

John Irving

Świat według Garpa

Przełożyła: Zofia Uhrynowska-Hanasz

Colinowi i Brendan

Rozdział I

Bostoński Szpital Miłosierdzia

Matkę Garpa, Jenny Fields, aresztowano w Bostonie w roku 1942 za to, że zraniła w kinie mężczyznę. Było to wkrótce po zbombardowaniu przez Japończyków Pearl Harbor i ludzie mieli życzliwy stosunek do żołnierzy, ponieważ nagle każdy był żołnierzem. Jednak nietolerancja Jenny Fields wobec mężczyzn w ogóle, a wobec żołnierzy w szczególności była niezłomna. W kinie przesiadała się trzy razy, ale za każdym razem żołnierz przysuwał się coraz bliżej, aż wreszcie znalazła się pod obskurną ścianą, gdzie widok na ekran niemal całkowicie zasłaniała jakaś idiotyczna kolumnada. Wtedy uznała, że już więcej nie zmieni miejsca. Żołnierz przesunął się raz jeszcze i usiadł obok niej.

Jenny miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Uniwersytet rzuciła niemal zaraz po rozpoczęciu, ale szkołę pielęgniarstwa skończyła z pierwszą lokatą i lubiła ten zawód. Była młodą kobietą o sportowej sylwetce, zawsze w rumieńcach; miała ciemne, lśniące włosy i - jak to określała jej matka - męski sposób chodzenia (kołysała ramionami), a pośladki i biodra tak szczupłe i jędrne, że robiły wrażenie chłopięcych. Sama Jenny uważała swój biust za zbyt duży i była zdania, że jego ostentacyjność nadaje jej wygląd „taniej i łatwej”.

Nic bardziej mylnego. Prawdę powiedziawszy, rzuciła uniwersytet, ponieważ zaczęła podejrzewać, że rodzice posłali ją do Wellesley tylko po to, żeby ją tam skojarzyć z jakimś mężczyzną z dobrej rodziny, a w końcu wydać za mąż. Wellesley polecieli jej starsi bracia, którzy zapewnili rodziców, że dziewczyn z tej uczelni nie traktuje się lekko i że są cenione na rynku matrymonialnym. Jenny uważała, że jej studia mają być tylko zawoalowaną formą wyczekiwania właściwego momentu, jak gdyby w gruncie rzeczy była po prostu krową przygotowaną do tego, by jej wsadzić odpowiednie urządzenie do sztucznego, zapładniania.

Miała studiować literaturę angielską, ale widząc, że koleżanki koncentrują się głównie na zdobywaniu wiedzy i obycia potrzebnych do obcowania z mężczyznami, bez żalu porzuciła literaturę dla pielęgniarstwa. Pielęgniarstwo było czymś, co znajdowało bezpośrednie zastosowanie w praktyce, a nauka zawodu nie kryła żadnych dodatkowych motywów (później w swojej sławetnej autobiografii Jenny napisała, że

zbyt wiele pielęgniarek nadstawia się zbyt wielu lekarzom, ale wtedy pielęgniarstwo miała już za sobą).

Lubiła prosty strój, bez żadnych ozdóbek; bluzka maskowała trochę biust, a wygodne pantofle były odpowiednie do jej szybkiego chodu. Poza tym w czasie nocnych dyżurów mogła czytać. Nie tęskniła za towarzystwem młodych chłopców z uniwersytetu, ordynarnych i nieprzyjemnych wobec dziewczyn nieuległych, a wyniosłych i lekceważących wobec uległych. W szpitalu Jenny spotykała więcej żołnierzy i chłopców pracujących niż studentów, bardziej bezpośrednich, nie tak próżnych i bez takich wygórowanych wymagań; jeśli dziewczyna była trochę łaskawsza, okazywali przynajmniej tyle wdzięczności, żeby się z nią umówić po raz drugi. A potem, nagle, wszyscy zostali żołnierzami - równie zarozumiałymi jak studenci - i Jenny przestała mieć cokolwiek wspólnego z mężczyznami.

„Moja matka - pisał Garp - była typem samotniczki”.

Rodzina Fieldsów zrobiła majątek na butach, chociaż pani Fields, z domu panna Weeks z Bostonu, wniosła do małżeństwa okazałe wiano. Fieldsom jednak na tyle dobrze żyło się z produkcji obuwia, że już dawno odsunęli się od fabryki. Mieszkali w dużym, krytym gontem domu w Dog's Head Harbor, na wybrzeżu po stronie New Hampshire. Na wolne dni Jenny jeździła do domu, głównie żeby sprawić przyjemność matce i przekonać ją, że chociaż „spaprała sobie życie jako pielęgniarka”, jak utrzymywała wielka dama, to nie zaśmieciła sobie języka i nie uległa demoralizacji.

Jenny często spotykała się z braćmi na North Station i razem jechali do domu. Jak tego oczekiwano po wszystkich członkach rodziny Fieldsów, opuszczając Boston siadali po prawej stronie w pociągu relacji Boston - Maine, a w drodze powrotnej po lewej. Było to zgodne z życzeniem pana Fieldsa seniora, który wprawdzie przyznawał, że po tej stronie krajobraz jest brzydszy, to jednak uważał, że Fieldsowie nie powinni odwracać oczu od obskurnych korzeni swojej niezależności i wysokiego poziomu życia. Po prawej bowiem stronie pociągu wyjeżdżającego z Bostonu, a po lewej w drodze powrotnej widać było główne zakłady Fieldsów w Haverhill i tablicę z wielkim butem roboczym, który energicznie kroczył w stronę pasażera. Tablica górowała nad stacją kolejową i odbijała się tysiącem miniaturowych tabliczek w oknach fabryki. Pod tym groźnie zbliżającym się butem, widniały słowa:

WSTĄP I KUP - FIELDS U TWOICH STÓP

Zakłady Fieldsa produkowały również specjalne obuwie dla pielęgniarek i pan Fields każdą wizytę córki w domu kwitował prezentem w postaci takich właśnie butów - Jenny musiała mieć już chyba z kilkanaście par. Matka, która uważała, że porzucenie przez Jenny Wellesley oznacza dla niej ponurą przyszłość, również za każdym razem dawała córce upominek. Pani Fields mianowicie obdarowywała córkę termoforami - a przynajmniej tak utrzymywała - zaś Jenny w to wierzyła, nigdy bowiem nie otwierała paczek. Matka mawiała:

- Kochanie, czy masz jeszcze ten termofor, który dostałaś ode mnie?

A Jenny, po krótkim zastanowieniu, przekonana, że musiała go zostawić w pociągu albo wyrzucić, odpowiadała:

- Nie jestem pewna, czy go nie zgubiłam, mamusiu, ale termofor nie jest mi potrzebny.

I wtedy pani Fields wynosiła z ukrycia paczkę i wciskała ją córce do ręki: zawinięty w papier termofor. Pani Fields mówiła wtedy:

- Proszę cię bardzo, Jennifer, tylko uważaj. Ale przede wszystkim używaj tego!

Jako pielęgniarka Jenny nie widziała specjalnego zastosowania dla termoforu; uważała, że jest wruszającym staroświeckim urządzeniem o działaniu głównie psychologicznym. Ale niektóre paczki docierały jednak do jej małego pokoiku przy Bostońskim Szpitalu Miłosierdzia. Trzymała je w szafie, wypełnionej niemal całkowicie pudełkami ze specjalistycznym obuwem dla pielęgniarek - również nie otwartymi.

Jenny nie czuła się związana z rodziną. Wydawało jej się dziwne, że tak wiele uwagi poświęcali jej jako dziecku, a potem nagle w czasie z góry ustalonym powstrzymali strumień uczucia zastępując go wymaganiami, jak gdyby człowiek w pewnej krótkiej fazie życia wchłaniał całą potrzebną mu miłość, a potem w fazie znacznie dłuższej i poważniejszej już tylko wypełniał określone zobowiązania. Kiedy Jenny zerwała tę więź, rzucając Wellesley dla czegoś tak pospolitego jak pielęgniarstwo, wyzbyła się niejako swojej rodziny, która nie mogąc nic na to właściwie poradzić, wyzbyła się Jenny. W rodzinie Fieldsów uważano by na przykład za znacznie właściwsze, gdyby Jenny została lekarzem albo przynajmniej nie porzucała uczelni, dopóki nie wyjdzie za mąż za lekarza. Za każdym razem, kiedy spotykała się z braćmi, matką i ojcem, wszyscy czuli się coraz bardziej skrepowani; brali udział w niezręcznym procesie wzajemnego „odpoznawania się”. Tak jest widocznie we wszystkich rodzinach, myślała Jenny Fields. Czuła, że gdyby

kiedykolwiek miała dzieci, kochałyby je tak samo w wieku lat dwudziestu jak i dwóch; doszła do wniosku, że jako dwudziestolatki mogą tego potrzebować nawet bardziej. Bo właściwie czego człowiekowi potrzeba, kiedy ma dwa lata? W szpitalu małe dzieci są najłatwiejszymi pacjentami. Im są starsze, tym większe mają potrzeby i tym samym są mniej chciane i kochane.

Jenny miała takie uczucie, jakby się wychowała na wielkim okręcie nigdy nie widząc, a tym bardziej nie rozumiejąc, działania jego maszynowni. Podobało jej się, że szpital sprowadzał; wszystko do tego, co człowiek je, na ile mu to pomaga, i co się potem z tym dzieje. Jako dziecko nigdy nie widziała brudnych naczyń; mówiąc szczerze, kiedy pokojówki sprzątały ze stołu, wyobrażała sobie, że po prostu wyrzucają talerze do śmieci (było to jeszcze zanim po raz pierwszy została wpuszczona do kuchni). A kiedy co rano przyjeżdżał samochód ciężarowy z mlekiem, Jenny była przekonana, że przywozi on także naczynia na cały dzień, dźwięki bowiem, jakie temu towarzyszyły, brzęk szkła i łomoty, kojarzyły jej się z odgłosami, które dochodziły zza zamkniętych drzwi kuchni, kiedy pokojówki wyczyniały te swoje sztuczki z naczyniami.

Jenny Fields miała pięć lat, kiedy po raz pierwszy zobaczyła łazienkę swojego ojca. Wytropiła ją pewnego ranka idąc za zapachem jego wody kolońskiej. Znalazła wypełnioną parą kabinę z prysznicem - całkiem nowoczesnym jak na 1925 rok - osobisty klozet i baterię flakonów zupełnie różnych od flakonów matki; uznała, że jest to leże tajemniczego mężczyzny, który od lat gnieździł się w domu bez ich wiedzy. I w gruncie rzeczy tak właśnie było.

W szpitalu Jenny wiedziała, co się ze wszystkim dzieje; uczyła się także nie zaszyfrowanych odpowiedzi na pytania, skąd się różne rzeczy biorą. W Dog's Head Harbor, kiedy była dziewczynka, każdy członek rodziny miał swoją łazienkę, swój pokój, swoje własne drzwi z własnym lustrem po drugiej stronie. W szpitalu nie szanowano intymności, nic tam nie robiono po cichu; komu było potrzebne lustro, prosił o nie pielęgniarkę.

Rzeczą najbardziej tajemniczą, którą jej pozwolono w dzieciństwie spenetrować na własną rękę, była piwnica, a w niej wielki kamienny gar, który co poniedziałek napełniano ślimakami. Wieczorem matka posypywała je mąką kukurydzianą, by je co rano płukać w morskiej wodzie doprowadzanej do sutereny długim węzłem bezpośrednio z morza. Pod koniec tygodnia ślimaki były tłuste, wypłukane z piasku i nie mieściły się w skorupach, a ich potężne, sprośne szyje

kołysały się w słonej wodzie. W piątki Jenny pomagała kucharce je przebierać; zdechłe nie cofały szyj pod wpływem dotyku.

Jenny poprosiła, żeby jej kupiono książkę o ślimakach. Przeczytała o nich wszystko: jak się odżywiają, rozmnażają, rosną. Było to pierwsze żywe stworzenie, które zrozumiała do końca - jego życie, seks i śmierć. W Dog's Head Harbor istoty ludzkie nie były tak przystępne. W szpitalu Jenny czuła, że nadrabia stracony czas - dokonała mianowicie odkrycia, że ludzie nie są tak znów wiele bardziej tajemniczy czy atrakcyjni od ślimaków. „Moja matka - pisał Garp - nie bawi się w szczegóły”. Dostrzegła wszakże jedyną uderzającą różnicę między ludźmi a mięczakami, a mianowicie, że większość ludzi ma poczucie humoru - tyle że humor nie był mocną stroną Jenny. W owym czasie wśród pielęgniarek Bostońskiego Szpitala Miłosierdzia, zwanego w skrócie Bostońskim Miłosierdziem, w którym pracowała Jenny, Poliklinicznego Szpitala Stanu Massachusetts, czyli Polikliniki, oraz Szpitala imienia Petera Benta Brigham, czyli po prostu Petera Benta, krążył bardzo popularny dowcip, ale Jenny Fields nie dopatrzyła się w nim niczego śmiesznego.

Pewnego dnia, jak mówi kawał, jakiś mężczyzna przywołał taksówkę. Z trudem zszedłszy z krawężnika o mało nie upadł na kolana. Był purpurowy z bólu na twarzy - albo się dusił, albo wstrzymywał oddech, w każdym razie nie ulegało wątpliwości, że mówienie sprawia mu trudność. Taksówkarz otworzył drzwi i pomógł mu wsiąść. Mężczyzna położył się z tyłu twarzą do podłogi, wzdłuż siedzenia, przyciskając kolana do piersi.

- Kutas złamany! - wrzasnął taksówkarz komentując sytuację na jezdni.
- Gorzej! - jęknął pasażer. - Molly mi go chyba odgryzła!

Dowcipy z zasady wydawały się Jenny mało śmieszne, a ten w szczególności. Żadne kawały o kutasach nie wchodziły w grę; Jenny trzymała się od tych spraw z daleka. Była już nieraz świadkiem kłopotów, jakie stąd wynikały, a dziecko wcale nie należało do najgorszych. Oczywiście spotykała się z ludźmi, którzy nie chcieli mieć dzieci - takie kobiety były smutne, kiedy zachodziły w ciążę. Nie powinno być w tej sprawie żadnego przymusu - myślała o nich Jenny - choć głównie żal jej było nowo narodzonych maleństw. Ale spotykała również ludzi, którzy pragnęli mieć dzieci, i to właśnie pod ich wpływem sama zapragnęła dziecka. Kiedyś, rozpamiętywała, będą miała dziecko - ale tylko jedno. Istniał jednak pewien problem: chciała mieć przy tym jak najmniej do czynienia z kuśką, zaś z samym mężczyzną zgoła nic.

Najczęstsze przypadki zachorowań na kuśkę, z jakimi się spotykała, zdarzały

się wśród żołnierzy. Armia Stanów Zjednoczonych poznała dobrodziejstwa penicyliny dopiero w roku 1943, a wielu jej synów, którym zaaplikowano ten zbawienny lek, dopiero w 45-tym. W Miłosierdziu Bostońskim na początku roku 1942 kuśki leczono zwykle sulfonamidami i arsenikiem. Sulfatiazol był na trypra - do tego zalecano dużo płynu. Na syfilis, w czasach sprzed penicyliny stosowano neoarsphenaminy. A oto, do czego się według Jenny Fields sprowadzał w gruncie rzeczy seks: do dawki arseniku, zaaplikowanej dla oczyszczenia organizmu.

Inny rodzaj kuracji kuśkowej miał charakter miejscowy i też wymagał dużej ilości płynu. Jenny często asystowała przy stosowaniu dezynfekcji tą metodą, ponieważ w tym czasie pacjent wymagał szczególnych zabiegów; krótko mówiąc, czasami należało mu potrzywać. Procedura była prosta: wstrzykiwało się do członka przez zaskoczoną cewkę moczową sto centymetrów sześciennych płynu, który następnie odbywał drogę powrotną; ten sposób jednak powodował nieprzyjemne urazy. Człowiek, który wynalazł przyrząd do stosowania owej metody leczenia, nazywał się Valentine, a sam przyrząd nazwano irygatorem Valentine'a. Długo jeszcze po tym, jak irygator doktora Valentine'a został udoskonalony czy też zastąpiony przez inne urządzenie, pielęgniarki z Miłosierdzia Bostońskiego używały terminu „kuracja Valentine'a”. Idealna wprost kara za te *rzeczy* - uznała Jenny Fields.

„Moja matka - pisał Garp - nie była naturą romantyczną”.

Kiedy żołnierz w kinie przesiadł się po raz pierwszy - kiedy się po raz pierwszy do niej przysunął - Jenny pomyślała, że kuracja Valentine'a byłaby dla niego wymarzona. Ale nie miała przy sobie irygatora, był za duży na to, żeby go nosić w torebce. A poza tym stosowanie irygatora wymagało znacznego współdziałania ze strony pacjenta. Miała natomiast przy sobie skalpel, z którym się praktycznie nie rozstawała. Nie ukradła go jednak z sali operacyjnej, był to skalpel wyrzucony, z głęboką szczerbą w ostrzu (prawdopodobnie ktoś upuścił go na podłogę albo do zlewu). Nie nadawał się już do precyzyjnych zabiegów, ale nie o precyzyjne zabiegi chodziło Jenny.

Ponieważ poprzecinał jej małe jedwabne kieszonki w torebce, użyła starego futerału od termometru, żeby w ten sposób - na wzór wiecznego pióra - zabezpieczyć ostrze. I właśnie ten futerał zdjęła Jenny ze skalpela w chwili, kiedy żołnierz przysiadł się do niej i oparł rękę na poręczy, którą - o absurdzie - mieli dzielić. Jego długie ramię zwisało z tej poręczy i drgało jak skóra na koniu, który ogania się od gzów. Jenny cały czas trzymała dłoń na skalpeli w torebce, którą przyciskała drugą ręką do

obleczonej w przepisową biel piersi. Wyobrażała sobie, że od jej pielęgniarskiego stroju bije blask jak od aureoli świętej i że w jakiś perwersyjny sposób przyciąga do niej tego potwora.

„Moja matka - pisał Garp - przeszła przez życie upatrując wszędzie amatorów torebek i piczek”.

Ale żołnierz w kinie nie był amatorem torebek. Dotknął jej kolana. Jenny dość wyraźnie powiedziała, co o tym myśli.

- Zabieraj tę brudną łapę, ale już! - Kilka osób spojrzało w ich stronę.

- Cicho, cicho - wyszeptał żołnierz i jego ręka błyskawicznie znalazła się pod jej spódnicą, gdzie natrafiła na mocno ściśnięte uda i skąd się wyłoniła rozchlastana od ramienia do nadgarstka jak melon. Jenny dokonała czystego cięcia przez wszystkie naszywki i koszulę, przez skórę i mięśnie, obnażając kości w stawie łokciowym. („Gdybym go chciała zabić - powiedziała policji później - przecięłabym mu rękę w nadgarstku. Jestem pielęgniarką. Wiem, jak wykrwawić człowieka”.)

Żołnierz wrzasnął. Zerwał się z krzesła, ale padając do tyłu zamachnął się zdrową ręką i wymierzył Jenny tak silny cios w głowę, że ją zamoczyło. W odpowiedzi znów ciachnęła skalpelem pozbawiając go kawałka górnej wargi, w przybliżeniu wielkości paznokcia dużego palca. („Nie miałam zamiaru poderżnąć mu gardła - powiedziała później policji. - Chciałam mu tylko odciąć nos, ale chybiłam”.)

Płacząc, na czworakach, żołnierz doczołgał się jakoś do przejścia między krzesłami i skierował ku bezpiecznym rejonom oświetlonego hallu. Ktoś jeszcze w kinie poza nim szlochał ze strachu.

Jenny wytarła skalpel o siedzenie, schowała do futerału po termometrze, a następnie do torebki. Po czym wyszła do hallu, gdzie było słychać ciche pochlipywanie, a kierownik wołał przez otwarte drzwi w stronę ciemnej widowni:

- Czy ktoś z państwa jest może lekarzem?!

Ktoś z państwa okazał się pielęgniarką, która natychmiast pospieszyła z pomocą. Na jej widok żołnierz zemdlał; bynajmniej nie z upływu krwi. Jenny wiedziała, jak potrafią krwawić rany twarzy, które przede wszystkim jednak groźnie wyglądają. Głębsze cięcie na rękę wymagało oczywiście natychmiastowej pomocy, ale nie było obawy, że żołnierz umrze z utraty krwi. Nikt zresztą poza Jenny nie wiedział, że tak wiele w gruncie rzeczy tej krwi nie stracił i że znaczna część znalazła się na jej białym pielęgniarskim stroju. Szybko zorientowano się, kto jest sprawcą. Portierzy nie pozwolili jej się dotknąć do nieprzytomnego żołnierza, a ktoś wyjął jej z ręki torebkę.

Zwariowana pielęgniarka! Szalona nożownicza! Jenny była spokojna. Uważała, że należy tylko poczekać na odpowiednie czynniki, żeby sytuacja się wyjaśniła. Ale policja też nie była dla niej specjalnie sympatyczna.

- Od jak dawna spotyka się pani z tym facetem? - zapytał ją pierwszy funkcjonariusz w drodze do komisariatu.

Inny spytał ją później:

- Skąd właściwie pani wiedziała, że on panią zaatakuje? Nam powiedział, że chciał się tylko pani przedstawić.

- To cholernie niesympatyczna zabawka, laleczko - powiedział trzeci. - Nie powinnaś czegoś takiego przy sobie nosić. To szukanie guza.

Tak więc Jenny czekała, aż jej bracia wyjaśnią sprawę. Obaj byli na wydziale prawa w Cambridge, po drugiej stronie rzeki. Jeden studiował, drugi wykładał.

„Obaj - pisał Garp - uważali, że stosowanie prawa jest czymś wulgarnym, naprawdę wzniosłe jest studiowanie tej dyscypliny”.

Kiedy przyjechali, niewiele jej pomogli.

- Wpędzasz matkę do grobu - powiedział jeden.

- Szkoda, że nie zostałaś w Wellesley - dodał drugi.

- Samotna dziewczyna musi się bronić - odparła Jenny. - Zachowałam się najwłaściwiej, jak mogłam.

Ale jeden z braci zapytał ją, czy może udowodnić, że nie łączyły jej z tym facetem żadne stosunki.

- Tak mówiąc między nami - szepnął drugi - od jak dawna się z nim spotykałaś?

Ostatecznie jednak sprawa została wyjaśniona, kiedy policja odkryła, że żołnierz pochodzi z Nowego Jorku, gdzie ma żonę i dziecko. Był w Bostonie na przepustce i niczego bardziej nie pragnął, niż tego, żeby ta historia nie dotarła do żony. Zgodzono się, że byłoby to okropne dla wszystkich, więc zwolniono Jenny od wszelkiej odpowiedzialności. Kiedy zaczęła robić szum, że policja nie zwróciła jej skarpela, jeden z jej braci powiedział:

- Na miłość boską, Jennifer, możesz sobie chyba ukraść drugi,

- Ale ja go wcale nie ukradłam - zaprotestowała.

- Powinnaś mieć jakichś przyjaciół - doradził jej brat.

- W Wellesley - podkreślili obaj.

- Dziękuję wam bardzo, żeście przyjechali - rzekła Jenny.

- A od czego jest rodzina? - odparł jeden z braci.

- No cóż, więzy krwi - dodał drugi i zbladł pod wpływem skojarzenia: strój Jenny cały był we krwi.

- Jestem przyzwoitą dziewczyną - zapewniła ich siostra.

- Jennifer - rzekł najstarszy z trójki, jej ideał z dziecinnych lat, jeśli 'chodziło o rozsądek i prawość. Był dość uroczy, kiedy powiedział: - Lepiej się nie zadawać z żonatymi mężczyznami.

- Nie powiemy matce - dodał drugi.

- A już w żadnym razie ojc! - dorzucił pierwszy i mrugnął do niej niezręcznie, usiłując stworzyć atmosferę naturalnego ciepła. Wykrzywił przy tym twarz w grymasie, który na moment wywołał u Jenny złudzenie, że jej ideał z czasów dzieciństwa dostał tiku.

Bracia stali w pobliżu skrzynki pocztowej z plakatem przedstawiającym Wujka Sama. Z jego wielkich łap spuszczał się malutki żołnierz, cały w brązach. Żołnierz miał wylądować na mapie Europy. Tekst brzmiał: „Popierajcie naszych chłopców!”. Starszy brat Jenny popatrzył na siostrę przyglądającą się plakatowi.

- I nie zadawaj się z żołnierzami - dodał, choć już za parę miesięcy sam miał zostać żołnierzem - jednym z tych, którzy nie wrócą z wojny - i wpędzić tym matkę do grobu, o czym mówił kiedyś z takim niesmakiem.

Drugi brat Jenny miał zginąć długo po zakończeniu wojny w wypadku na żaglach. Miał się utopić w odległości kilku mil od brzegu, nad którym leżała posiadłość rodzinna Fieldsów w Dog's Head Harbor. O jego zrozpaczonej żonie matka Jenny miała powiedzieć: „Jest w dalszym ciągu młoda i atrakcyjna, a dzieci nie są takie uciążliwe. W każdym razie jeszcze nie teraz. Z pewnością w odpowiednim czasie sobie kogoś znajdzie”. Ale to do Jenny zwróciła się wdowa w niecały rok po wypadku. Spytała mianowicie, czy jej zdaniem nadszedł już „odpowiedni czas” i czy może zacząć sobie kogoś znajdować. Bała się obrazić matkę. Pytała szwagierkę, czy uważa, że może już przestać nosić żałobę.

- Jeżeli nie czujesz takiej potrzeby, to po co ją w ogóle nosisz? - zapytała Jenny. A w swojej biografii napisała: „Tej biedaczce trzeba było mówić, co powinna czuć”.

„Twoja matka powiedziała, że była to najgłupsza kobieta, jaką w życiu spotkała - napisał Garp. - A ona właśnie chodziła do Wellesley”.

Ale Jenny Fields, pożegnawszy się z braćmi w swoim niewielkim pokoiku, który wynajmowała w pobliżu Bostońskiego Miłosierdzia, zbyt była oszołomiona, żeby się zdobyć na odpowiednią wściekłość. Poza tym była obolała - dolegało jej ucho, tam

gdzie ją palnął żołnierz, zaś między łopatkami miała bolesny skurcz mięśniowy, który nie pozwalał jej spać. Przypuszczała też, że musiała sobie coś wywichnąć, kiedy portierzy złapali ją w hallu i wykręcili jej ręce do tyłu. Doszła do wniosku, że na bóle mięśniowe dobry jest termofor z gorącą wodą; wstała, poszła do szafy i wyciągnęła jeden z prezentów matki.

Nie był to jednak termofor. Słowo „termofor” okazało się eufemizmem na określenie czegoś, o czym matka w ogóle nie była w stanie mówić. W paczce bowiem znajdował się irygator. Matka Jenny wiedziała, do czego służą irygatory; wiedziała i Jenny. Nieraz pomagała pacjentkom w ich użyciu, chociaż w szpitalu nie stosowano irygacji w celu zapobiegania ciąży po stosunku, tylko raczej dla higieny osobistej i w przypadku chorób wenerycznych. Dla Jenny Fields zwykły irygator był łagodniejszą i dogodniejszą wersją irygatora Valentine'a.

Jenny rozwinęła wszystkie paczki od matki. Każda zawierała irygator, „Używaj tego, kochanie, bardzo cię proszę!” - błagała ją starsza pani. Jenny wiedziała, że matka oczywiście pragnie jej dobra - wyobrażała sobie jej życie seksualne jako nie uporządkowane i rozbuchane. Niewątpliwie, jakby to powiedziała, „od czasu Wellesley”. Od czasu rzucenia Wellesley bowiem w jej przekonaniu Jenny uprawiała nierząd (jakby to również ona określiła) „ze zwykłej szczeniackiej pozy”.

Jenny Fields wśliznęła się z powrotem do łóżka z irygatorem napełnionym gorącą wodą i wtulonym pomiędzy łopatki; miała nadzieję, że zaciski, które zatrzymywały wodę w zbiorniku, nie puszczą, na wszelki wypadek jednak ścisnęła węża w rękach, jak mały kauczukowy różaniec, a jego końcówkę, z dziureczkami, wsadziła do pustej szklanki. Całą noc leżała bezsennie nasłuchując, czy irygator nie przecieka.

Na tym sprośnym świecie - myślała - jest się czyjąś żoną albo czyjąś dziwką - albo na najlepszej drodze do stania się jednym czy drugim. A jeśli nie pasujesz do żadnej z tych kategorii, dają ci do zrozumienia, że coś jest z tobą nie w porządku. Tylko że ze mną - myślała - wszystko jest w porządku.

Taki był początek książki, dzięki której w wiele lat później Jenny Fields stała się sławna. Mówiono, że jej autobiografia łączy wysoki poziom literacki z przystępnością, chociaż Garp twierdził, że dzieło matki reprezentuje mniej więcej poziom literacki katalogu Searsa i Roebucka.

Ale w jaki sposób Jenny zyskała sobie opinię wulgarnej? W każdym razie nie przez swoich braci-prawników. Ani nie przez przygodę w kinie z mężczyzną, który

zbrukał jej pielęgniarzki strój. Nawet nie przez irygatory matki, chociaż to one stały się bezpośrednią przyczyną wyrzucenia Jenny z mieszkania. Jej gospodyni (zgryźliwa baba, która z sobie tylko wiadomych względów podejrzewała w każdej kobiecie drzemiącego demona lubieżności) odkryła w maleńkim pokoiku i łazience Jenny dziewięć irygatorów. Sądziła ją według siebie: w pojęciu gospodyni Jenny musiała bać się zarażenia jeszcze bardziej niż ona sama. Albo co gorsze - ta obfitość irygatorów świadczyła o przerażającej potrzebie dokonywania irygacji, których przyczyny, możliwe do ogarnięcia umysłem, jawiły się gospodyni jedynie w najkoszmarniejszych snach.

Jak sobie wyjaśniła dwanaście par zdrowotnych butów - nie ma nawet co mówić. Jenny uważała sprawę za tak absurdalną, a jej stosunek do prezentów rodziców był na tyle obojętny, że nie próbowała dyskutować; po prostu się wyprowadziła.

Ale i nie to uczyniło ją wulgarną. Ponieważ bracia, rodzice i gospodyni niezależnie od jej zachowania przypięli Jenny etykietę rozwiązłej, uznała wszelką manifestację własnej niewinności za bezcelową i przyjęła postawę defensywną. Wynajęła małe mieszkanko, co wywołało nową lawinę irygatorów ze strony matki i zdrowotnego obuwia ze strony ojca. Widocznie rozumowali tak: skoro już ma być kurwą, to niech przynajmniej będzie kurwa czystą i właściwie obutą.

Wojna do pewnego stopnia uchroniła Jenny przed nadmiernym rozpamiętywaniem tego, jak fałszywie ocenia ją rodzina, nie dopuszczając jednocześnie do powstania uczucia rozgoryczenia czy rozczulania się nad sobą; Jenny nie była zresztą „pamiętliwa”. Była natomiast dobrą pielęgniarką, bardzo oddaną swojej pracy. Wiele pielęgniarek zaciągało się w owym czasie do wojska, ale Jenny nie marzyła ani o zmianie munduru, ani o podróżach; jako typ samotniczy nie interesowała się poznawaniem nowych ludzi. System hierarchii służbowej był dla niej dostatecznie irytujący w Miłosierdziu Bostońskim; w wojskowym szpitalu polowym mogło być pod tym względem tylko gorzej.

Przede wszystkim brakowałyby jej dzieci. To głównie dla nich została w szpitalu wtedy, kiedy tak wiele jej koleżanek odeszło. Czuła, że jako pielęgniarka może dać z siebie najwięcej matkom i ich maleństwu - a nagle zrobiło się strasznie dużo dzieci, których ojcowie byli daleko, nie żyli albo zaginęli; Jenny przede wszystkim chciała podtrzymać na duchu ich matki. Prawdę powiedziawszy, zazdrościła im. Dla niej była to idealna sytuacja: samotna matka z noworodkiem i mąż

zestrzelony gdzieś nad Francją. Młoda kobieta z własnym dzieckiem i całe życie przed nimi - tylko przed nimi dwojgiem. Dziecko pozbawione jakichkolwiek więzów, myślała Jenny Fields. Prawie niepokalane poczęcie. Przynajmniej na przyszłość spokój z kuśkową kuracją.

Te kobiety naturalnie nie zawsze były tak zadowolone ze swego losu, jak wydawało się Jenny, że byłaby ona. Rozpaczały, przynajmniej niektóre z nich; wiele czuło się osamotnionych; nieliczne były wściekłe na swoje pociechy, a niejedna źle znosiła brak męża i ojca dla dziecka. Jenny Fields podtrzymywała je na duchu - była rzeczniką samotności, tłumaczyła im, w jak szczęśliwej znalazły się sytuacji.

- Czy nie uważasz, że jesteś porządną kobietą? - pytała. - Większość z nich uważała, że jest.

- A czy twoje dziecko nie jest piękne? - Większość uważała, że jest.

- A ojciec dziecka? Jaki był?

- Próżniak - odpowiadała niejedna. - Świnia, cham, łgarz, picer i dziwkarz! Ale nie żyje! - szlochała.

- Wobec tego jesteś teraz w lepszej sytuacji - tłumaczyła im Jenny.

Niektóre kobiety dawały się po jakimś czasie przekonać, ale reputacja Jenny cierpiała z powodu tej krucjaty. Stosunek władz szpitalnych do matek niezamężnych nie był, ogólnie rzecz biorąc, pozytywny.

- Maria Jenny, zawsze dziewica - mówiły o niej inne pielęgniarki. - Nie chce iść na łatwiznę. Dlaczego nie poprosi Boga, żeby dał jej dziecko?

W swojej autobiografii Jenny napisała:

„Chciałam pracować i chciałam żyć samotnie. Zyskałam w ten sposób opinię seksualnie podejrzanej. A poza tym chciałam mieć dziecko nie dzieląc z nikim swojego ciała ani życia. I to też czyniło mnie seksualnie podejrzaną”.

A także wulgarną. (Stąd Jenny wzięła swój słynny tytuł: „Seksualnie podejrzana, czyli autobiografia Jenny Fields”.)

Jenny Fields odkryła, że znacznie łatwiej zyskać szacunek szokując innych ludzi, niż próbując żyć swoim własnym życiem, z zachowaniem odrobiny intymności. Zapowiedziała więc koleżankom, że pewnego dnia znajdzie mężczyznę, który jej zrobi dziecko - tylko tyle, nic więcej. Nie bierze też pod uwagę, że mogłyby się do tego przymierzać więcej niż raz, wyznała. A one oczywiście natychmiast rozpaplały to, komu się dało. Jenny nie czekała długo na propozycje. Musiała się szybko zdecydować: albo się wycofa, ze wstydu, że jej tajemnica wyszła na jaw, albo będzie

bezwstydna.

Pewien student medycyny zaoferował jej swoje usługi pod warunkiem, że w ciągu trzydniowego weekendu da mu szansę przynajmniej sześciokrotnie. Jenny odparła, że widocznie sobie nie dowierza; ona woli coś pewniejszego.

Jeden z anestezjologów zapewnił ją, że będzie płacił za naukę dziecka - aż do ukończenia college'u - ale Jenny zarzuciła mu, że ma za blisko osadzone oczy i krzywe zęby; nie skaże przecież z góry swojego przyszłego dziecka na takie felery.

Chłopak jednej z pielęgniarek potraktował ją brutalnie: zaskoczony, wręczył w szpitalnej kawiarni niemal pełną szklanekę mętnej, lepkiej substancji.

- Sperma - wyjaśnił, skinieniem głowy wskazując szklanekę. - To wszystko jeden sztos, ja tam się nie opieprzam. Jeżeli dajesz tylko jedną szansę, to ja jestem człowiekiem, którego szukasz. - Jenny uniosła do góry szklanekę i przyjrzała się chłodno ohydnej zawartości. Bóg jeden wie, co to naprawdę było. Chłopak powiedział: - To po prostu próbka tego, czym dysponuję. Duża zawartość nasienia - dodał z uśmiechem. Jenny wylała ciecz do doniczki z kwiatkiem.

- Ja chcę mieć dziecko - wyjaśniła. - Nie mam zamiaru zakładać hodowli spermy.

Zdawała sobie sprawę, że nie pójdzie jej gładko. Nauczyła się znosić szyderstwa i odpowiadać na nie w tym samym stylu.

Uznali więc, że Jenny Fields jest wulgarna i że posuwa się za daleko. Żart to żart, ale ona robiła wrażenie naprawdę zdecydowanej. Albo obstaje przy swoim z czystego uporu, albo - co gorsze - myśli poważnie. Z kolegami ze szpitala nie chciała się ani pośmiać, ani przespać. Garp tak pisał o problemie swojej matki: „Jej koledzy wyczuli, że uważa się za coś lepszego od nich. A żaden kolega tego nie lubi”.

Przyjęli więc wobec Jenny Fields twardą politykę. Była to decyzja zarządu szpitala - „dla jej dobra” oczywiście. Przede wszystkim postanowili odsunąć ją od dzieci i matek. Dzieci rzuciły jej się na mózg - powiedzieli. Koniec z położnictwem dla Jenny Fields. Trzeba ją trzymać z daleka od inkubatorów - ma za miękkie serce albo za słabą głowę.

Tak więc Jenny została odseparowana od matek i dzieci. To dobra pielęgniarka, przyznali zgodnie, niech teraz spróbuje swoich sił na oddziale intensywnej opieki. Wiedzieli z doświadczenia, że pielęgniarka pracująca w Bostońskim Miłosierdziu na oddziale intensywnej opieki musi stracić zainteresowanie dla własnych problemów. Oczywiście Jenny orientowała się, dlaczego odsunęli ją od

dzieci; było jej tylko przykro, że tak nisko oceniają jej opanowanie. Ponieważ to, czego chciała, wydawało im się dziwne, automatycznie odmówili jej cnoty wstrzemięźliwości. Ludzie są nielogiczni, myślała. A jeśli chodzi o zajście w ciążę, ma czas.

Nie musi się spieszyć. Ostatecznie to po prostu część jej życiowego planu.

Trwała wojna. Na oddziale intensywnej opieki Jenny miała okazję zapoznać się lepiej z jej skutkami. Szpitale dyżurne przysyłały im pacjentów specjalnych, wśród których zdarzały się zawsze przypadki beznadziejne. Byli przeciętni starzy ludzie, których życie wisiało jak zwykle na włosku; były zwykłe wypadki przy pracy i wypadki samochodowe, i straszliwe wypadki z dziećmi. Ale Jenny miała głównie do czynienia z żołnierzami. To, co im się zdarzało, trudno było nazwać wypadkami.

Jenny na własną rękę klasyfikowała żołnierzy według tych nie-wypadków; dzieliła ich na różne kategorie.

1. A więc byli przede wszystkim poparzeni - w przeważającej części na okrętach (najcięższe przypadki pochodziły ze Szpitala Marynarki Wojennej w Chelsea) - ale również w samolotach i na ziemi. Jenny nazywała ich Skórnymi.

2. Tych, co zostali ranni albo odnieśli inne poważne obrażenia wewnętrzne, nazywała Organami Wewnętrznymi albo po prostu Organami.

3. Byli tacy, których urazy wydawały się Jenny niemal mistyczne, ci, których już „po tej stronie” właściwie nie było, a którym stało się coś w kręgosłup czy w głowę. Czasami przejawiało się to paraliżem, a czasem „stanem nieważkości”. Jenny nazywała ich Nieobecnymi. Część Nieobecnych kwalifikowała się zarazem do Skórnych lub do Organów. Dla takich wszyscy mieli jedną nazwę.

4. Byli to Denaci.

„Mój ojciec - pisał Garp - był Denatem. Z punktu widzenia matki czyniło go to szczególnie atrakcyjnym: żadnych związków”.

Ojciec Garpa był strzelcem pokładowym, którego spotkał nie-wypadek w powietrzu nad Francją.

„Strzelec pokładowy - pisał Garp - to członek załogi bombowca najbardziej wystawiony na ogień przeciwlotniczy z ziemi, czyli na flak; flak często wyglądał dla strzelca pokładowego jak wyrzucony w górę kałamarz pełen atramentu, który rozpryskiwał się po niebie jak po bibule. Taki właśnie mały mężczyzna (bo żeby się zmieścić w wieżycze strzelniczej, należało być małym) siedział skulony wraz z karabinami maszynowymi w swoim ciasnym gnieździe jak w kokonie, w którym przypominał

owada zatopionego w szkłe. Wieżyczka była to metalowa kula z oszklonym otworem strzelniczym; tkwiła ona w podwoziu B-17 jak rozdęty pępek, jak sutek na brzuchu bombowca. Wewnątrz maleńkiej kopułki znajdowały się dwa karabiny maszynowe kalibru pięćdziesiąt i niski, drobny mężczyzna, którego zadaniem było śledzenie w celowniku nieprzyjacielskich myśliwców atakujących jego bombowiec. Kiedy wieżyczka się obracała, strzelec obracał się razem z nią. Na wierzchu drewnianych poręczy znajdowały się przyciski służące do odpalania działek. Uczepiony tych poręczy strzelec wyglądał jak groźny embrion zawieszony w absurdalnie wyeksponowanym worku płodowym bombowca, nastawiony wyłącznie na ochronę matki. Te rączki służyły również do sterowania wieżyczką uniemożliwiając strzelcowi odstrzelenie własnych śmigieł.

Mając pod sobą niebo, uczepiony samolotu jak spóźniona myśl, strzelec musiał odczuwać szczególny chłód. Przy lądowaniu wciągano wieżyczkę - to znaczy najczęściej. Nie wciągnięta wieżyczka krzesałaby iskry na starym pasie startowym równie gwałtownie jak samochód wyścigowy.

Sierżant technik Garp, były strzelec, którego otrzaskanie z gwałtowną śmiercią trudno przecenić, służył w Ósmej Armii Powietrznej bombardującej kontynent z Anglii. Zanim został strzelcem pokładowym, służył jako przedni strzelec na B-17C i strzelec boczny na B-17E.

Garpowi nie podobały się urządzenia na B-17T. W klatce piersiowej samolotu siedziało ściśniętych dwóch mężczyzn, ze stanowiskami karabinów naprzeciwko siebie, i Garp zawsze obrywał w ucho, ilekroć jego kumpel obracał działko w tym samym momencie co on. W późniejszych modelach, z powodu tej właśnie niedogodności, stanowiska strzelnicze umieszczono naprzemianległe. Ale z tej innowacji sierżant Garp nie zdążył już skorzystać. Jego pierwszym zadaniem bojowym był lot na maszynie typu B-17E na miasto Rouen we Francji 17 sierpnia 1942 roku. Lot odbył się bez strat. Sierżant technik Garp pełniący funkcję strzelca bocznego oberwał wtedy od swego kumpla raz w lewe ucho i dwa razy w prawie. Wynikało to częściowo z faktu, że kumpel był wyższy i jego łokcie wypadały na poziomie uszu Garpa.

Owego pierwszego dnia nad Rouen w wieżyczce znajdował się niejaki Fowler, mężczyzna jeszcze mniejszy od Garpa. Przed wojną Fowler pracował jako dżokej. Był lepszym strzelcem od Garpa, ale Garp marzył o tym, żeby zająć jego miejsce. Garp był sierotą, ale musiał lubić samotność i wyraźnie miał dosyć tłoku i poszturchiwania przez swego dotychczasowego towarzysza, strzelca bocznego. Oczywiście, jak wielu

strzelców, myślał o swoim pięćdziesiątym czy którymś tam z rzędu zadaniu bojowym, a po nim o przeniesieniu do Drugiej Armii Powietrznej - do dowództwa lotnictwa szkoleniowego - skąd mógłby spokojnie przejść na emeryturę jako instruktor strzelecki. Ale dopóki Fowler nie zginął, Garp zazdrościł mu jego osobistego miejsca, jego dżokejskiego poczucia odosobnienia.

- Wieżyczka to fatalne miejsce dla kogoś, kto dużo pierdzi - utrzymywał Fowler. Był to człowiek cyniczny, z irytującym suchym pokasływaniem i jak najgorszą reputacją wśród pielęgniarek szpitala polowego.

Fowler rozbił się podczas przymusowego lądowania na nie brukowanej drodze. Golenie podwozia poszły na wybojach, w wyniku czego wysiadło urządzenie sterowania podwoziem. Samolot z całą siłą zarył brzuchem w ziemię rozwalając wieżyczkę z nieproporcjonalną siłą drzewa miazdzącego winogrono. Fowler, który zawsze twierdził, że bardziej ufa maszynom niż koniom i ludziom, siedział skulony w nie wciągniętej wieżyczce, kiedy samolot na nim wylądował. Strzelcy boczni, nie wyłączając sierżanta Garpa, widzieli, jak szczątki wieżyczki tryskają spod brzucha bombowca. Szef sztabu, który był akurat najbliżej miejsca wypadku, zwymiotował w swoim jeepie. Dowódca dywizjonu nie musiał nawet czekać na oficjalny komunikat o śmierci Fowlera, by mianować na jego miejsce następnego co do wzrostu spośród strzelców dywizjonu. Maleńki sierżant technik Garp zawsze marzył o tym, żeby zostać strzelcem pokładowym. Został nim we wrześniu 1942 roku.

„Moja matka miała fioła na punkcie szczegółów” - pisał Garp.

Kiedy przynosili nowego rannego, Jenny Fields przede wszystkim pytała lekarza o okoliczności wypadku, a następnie dokowywała swojej milczącej klasyfikacji: Skórni, Organy, Nieobecni i Denaci. Wymyślała też różne sztuczki, żeby lepiej zapamiętać nazwisko i rodzaj upośledzenia. Na przykład: porucznik Jones zgubił wąs, kapral Perez stracił interes, major Brook nie ma nóg i tak dalej.

Sierżant Garp był tajemnicą. Podczas swojego trzydziestego piątego lotu nad Francją maleńki strzelec pokładowy nagle przestał strzelać. Pilot zauważył brak ognia z wieżyczki i pomyślał, że Garp oberwał. Ale jeśli tak było, nie odczuł tego w brzuchu swojej maszyny. Miał nadzieję, że i Garp tego specjalnie nie odczuł. Po wylądowaniu pospieszył, żeby przenieść Garpa do kosza motocykla sanitarnego, ponieważ akurat wszystkie ambulanse były zajęte. Siedząc już w koszu maleńki sierżant technik zaczął się onanizować. Przyczepa miała brezentowy fartuch na wypadek niepogody; pilot

zaciągnął go spiesznie. W brezencie znajdowała się szybka, przez którą młody lekarz, pilot i zbierający się gapie mogli obserwować sierżanta Garpa. Jak na tak niewielkiego mężczyznę miał on wyjątkowo duży członek w stanie erekcji, ale zabawiał się nim z nie większą wprawą niż dziecko, a już w żadnym razie nie dorównywał mistrzostwem małpie w ZOO. Małpę natomiast przypominał czym innym: ze swojej klatki niewinnie patrzył w oczy istotom ludzkim, które go obserwowały.

- Garp? - powiedział pilot. Czoło Garpa upstrzone było krwawymi kropkami, w przeważającej części zeschniętymi, ale jego pilotka, przyssana do czubka głowy, ociekała krwią. Poza tym sierżant wydawał się bez najmniejszego draśnięcia. - Garp! - krzyknął pilot. W metalowej kuli mieszczącej NKM¹ widniała szczelina; wyglądało na to, że flak trafił stanowiska karabinów maszynowych, uszkodzając ich obudowy, a nawet obluzowując drążki z włącznikami, aczkolwiek ręce Garpa nie odniosły żadnych obrażeń - po prostu były wyjątkowo niezdarne przy masturbacji. - Garp! - wrzasnął pilot.

- Garp? - powtórzył Garp. Przedrzeźniał pilota jak bystra papuga albo kruk. - Garp - powiedział, jakby się dopiero w tej chwili nauczył tego słowa. Pilot skinął głową, zachęcając go do zapamiętania własnego nazwiska. Garp uśmiechnął się. - Garp - rzucił. Najwyraźniej uważał, że ludzie się w ten sposób pozdrawiają. Nie „Cześć, cześć”, tylko „Garp, Garp”.

- Jezu, Garp - rzekł pilot. Szyba w luku wieżyczki cała była podziurawiona i popękana. Lekarz otworzył okienko w brezencie przyczepy motocyklowej i spojrzał Garpowi w oczy. Coś było z tymi oczami nie w porządku - obracały się dookoła niezależnie jedno od drugiego. Lekarz pomyślał, że świat w oczach Garpa wznosi się do góry, przepływa obok, a następnie znów wznosi się do góry - o ile sierżant w ogóle widzi. Jednego w owym czasie ani pilot, ani młody lekarz nie wiedzieli, a mianowicie, że ostre metalowe odpryski - skutek ognia artyleryjskiego - uszkodziły jeden z nerwów okoruchowych w mózgu Garpa, nie oszczędzając innych jego rejonów. Nerw okoruchowy składa się głównie z włókien ruchowych, które unerwiają większość mięśni gałki ocznej. Co do pozostałej części mózgu - doznane obrażenia, cięcia i ubytki przypominały w skutkach wykonaną dość niedbale lobotomię płata czołowego.

Lekarz bał się, jak dalece niedbała może się okazać ta lobotomia, i dlatego postanowił nie ruszać przylepionej do głowy sierżanta zakrwawionej pilotki, naciśniętej na czoło tak głęboko, że dotykała napiętego, błyszczącego guza, który

¹ NKM – Największy Karabin Maszynowy (przyp. tłum.)

właśnie zauważyli. Wszyscy zaczęli się rozglądać za kierowcą, który wymiotował gdzieś dyskretnie w ukryciu, i lekarz uznał, że najlepiej będzie, jeśli posadzi kogoś w przyczepie obok Garpa, a sam poprowadzi motocykl.

- Garp? - zwrócił się Garp do lekarza wyprobowując to nowe słowo.

- Garp - potwierdził lekarz. Sierżant był wyraźnie zadowolony. Z powodzeniem dokonując dzieła masturbacji trzymał obie niewielkie dłonie na imponującym członku.

- Garp! - szczechnął. W jego głosie brzmiała radość, ale zarazem i zdziwienie. Przewrócił oczami w stronę swojej widowni błagając świat, żeby wzniósł się do góry i zamarł. Nie był pewny tego, co zrobił. - Garp? - zapytał z powątpiewaniem.

Pilot poklepał go po ramieniu i skinął do pozostałych członków załogi, jakby chciał powiedzieć: „Chłopcy, trzeba sierżanta wesprzeć. Musi się poczuć swojsko”. I mężczyźni, oniemiałi z wrażenia na widok jego wytrysku, wykrzyknęli jak jeden mąż: - Garp! Garp! Garp! - niby życzliwy chór fok - ku pokrzepieniu Garpa.

Ranny skinął głową, uszczęśliwiony, ale lekarz wyciągnął rękę i zatroskany szepnął:

- Nie! Proszę nie ruszać głową, dobrze? Garp, proszę nie ruszać głową. - Błądzące oczy Garpa ominęły pilota i lekarza, którzy czekali, aż wróćą na swoje miejsce.

- Spokojnie, Garp - szepnął pilot. - Siedź spokojnie, okay?

Twarz Garpa promieniowała czystym spokojem. Trzymający oburącz więdnącego członka mały sierżant miał taką minę, jakby zrobił to, czego po nim właśnie oczekiwano.

W Anglii nie byli w stanie pomóc sierżantowi Garpowi. Miał szczęście, że wrócił do rodzinnego Bostonu na długo przed zakończeniem wojny. Właśnie zgłaszano pretensje pod adresem pewnego senatora. W artykule redakcyjnym jednego z bostońskich dzienników oskarżano Marynarkę Stanów Zjednoczonych, że odsyła do domu tylko tych rannych, którzy pochodzą z zamożnych i znaczniejszych rodzin amerykańskich. Aby uspokoić te ohydne plotki, senator oświadczył, że każdemu ciężko rannemu, który ma szansę powrotu do kraju, „przysługuje takie prawo, nawet jeśli jest sierotą”. Było wtedy trochę zachodu z poszukiwaniem ciężko rannego sieroty, ale żeby dowieść rzetelności senatorskiej obietnicy, znaleziono w końcu idealną wprost osobę.

Sierżant technik Garp był bowiem nie tylko sierotą; był on również kretyńcem,

którego słownik składał się z jednego słowa i który nawet nie mógł się poskarżyć w prasie. A do tego jeszcze na wszystkich zdjęciach wychodził uśmiechnięty.

Kiedy zidiociałego sierżanta przywieziono do Miłosierdzia Bostońskiego, Jenny Fields miała kłopot ze sklasyfikowaniem go. Bardziej potulny niż dziecko, z całą pewnością zaliczał się do Nieobecnych, ale nie wiedziała, czy mu przypadkiem czegoś jeszcze nie brakuje.

- Halo, jak się mamy! - zagadnęła, kiedy go wwieziono uśmiechniętego na oddział.

- Garp! - warknął sierżant. Nerw okoruchowy zregenerował się częściowo i Garp nie przewracał już oczyma, które teraz jak gdyby płąsały. Na dłoniach miał jednak coś w rodzaju rękawiczek z gazy - wynik oparzeń, jakich nabawił się podczas przypadkowego pożaru ,na oddziale szpitalnym okrętu transportowego. Na widok płomieni bowiem wyciągnął ręce przenosząc sobie ogień na twarz; stracił w ten sposób brwi. Jenny przypominał ogoloną sowę.

Te poparzenia kwalifikowały go jednocześnie i do Skórnych i do Nieobecnych. Z rękami tak grubo obandażowanymi nie mógł się jednak onanizować, co, jak głosiły jego papiery, robił często, z powodzeniem i bez jakichkolwiek zahamowań. Ci, którzy się nim bliżej interesowali od czasu pożaru na okręcie, obawiali się, że zdziecinniały strzelec pokładowy pozbawiony jedynej dorosłej rozrywki popadnie w depresję - przynajmniej do chwili całkowitego wygojenia rąk.

Nie można było wykluczyć, że Garp odniósł również i obrażenia wewnętrzne. Wiele odłamków dostało mu się do głowy; niejeden ulokował się w miejscu zbyt delikatnym, żeby go można było usunąć. Ale prymitywna lobotomia, jakiej ofiarą padł sierżant, wcale nie musiała być procesem zakończonym; wewnętrzna deterioracja mogła nadal postępować.

„Ogólna degeneracja człowieka jest i tak dostatecznie skomplikowana - pisał Garp - nawet bez ingerencji ognia artyleryjskiego w jego system”.

Przed sierżantem Garpem był pacjent z podobnymi uszkodzeniami mózgu. Miesiącami trzymał się nieźle; po prostu stale mówił do siebie i od czasu do czasu lał w łóżko. A potem nagle zaczął tracić włosy i miał kłopoty z kończeniem zdań. Przed samą śmiercią włosy wyrosły mu na piersiach.

Na podstawie dowodów rzeczowych - cieni i białych smug na zdjęciach rentgenowskich - należało zaliczyć Garpa do Denatów. Ale dla Jenny Fields wyglądał

on bardzo przyjemnie. Niewielki, schludny mężczyzna, były strzelec pokładowy wydawał jej się bezpośredni i niewinny w swoich potrzebach dwulatka. Wołał „Garp!”, kiedy był głodny, i „Garp!” na znak zadowolenia; pytał „Garp?”, kiedy go coś zdziwiło albo kiedy się zwracał do obcych; poznając kogoś, mówił po prostu „Garp” - bez znaku zapytania. Najczęściej stosował się do poleceń, ale nie należało mu ufać - łatwo zapominał i albo był posłuszny jak sześciolatek, albo bezmyślnie ciekawy jak półtoraroczne dziecko.

Jego stany depresyjne, skrupulatnie odnotowywane w karcie choroby, występowały jednocześnie z erekcjami. W takich chwilach ujmował swego biednego dorosłego wacka między obandażowane dłonie i płakał. Płakał, bo przez gazę nie było tak przyjemnie, jak to zachował w niedawnym wspomnieniu swoich rąk, ale również dlatego, że wszelki dotyk urażał poparzone miejsca. To właśnie w tych momentach przychodziła do niego Jenny. Drapała go po plecach, między łopatkami, aż wyginał głowę do tyłu jak kot, i przemawiała do niego cały czas głosem przyjacielskim, podniecająco modulowanym. Większość pielęgniarek mruczała monotonią do swoich pacjentów wydając z siebie usypiający dźwięk o niezmiennej tonacji, ale Jenny wiedziała, że Garpowi nie sen jest potrzebny. Wiedziała, że jest niemowlęciem znudzonym i wymagającym zabawiania. A więc go zabawiała. Na przykład nastawiała mu radio. Niektóre programy jednak denerwowały Garpa, choć nikt nie wiedział dlaczego. Inne natomiast audycje wywoływały u niego nieprawdopodobne wprost erekcje, które z kolei prowadziły do depresji, i tak w koło. Jeden z programów, ale tylko raz, wywołał u Garpa polucję, co wprawiło go w takie zdumienie i zachwyty, że od tej pory chciał ciągle widzieć radio. Jenny jednak nie była w stanie po raz drugi złapać tej audycji, nie zdołała więc powtórzyć przedstawienia. Wiedziała, że gdyby mogła podłączyć go do tego specjalnego polucyjnego programu, zarówno jej rola, jak i jego życie stałyby się znacznie lepsze. Ale cóż, nie było to takie proste.

Jenny zaprzestała wreszcie prób nauczania Garpa nowego słowa. Kiedy w trakcie karmienia widziała, że mu jedzenie smakuje, mówiła:

- Dobrze, prawda? To jest dobre.

- Garp! - zgadzał się z nią Garp.

A kiedy wypluwał to, co miał w ustach, na śliniak i wykrzywił się mówiła:

- Niedobre! A to jest niedobre, prawda?

- Garp! - krztusił się Garp.

Pierwszą oznaką cofania się Garpa w rozwoju, jaką Jenny dostrzegła, było

opuszczanie przez sierżanta zgłoski G. Pewnego ranka powitał ją:

- Arp.

- Garp - poprawiła go stanowczym głosem - Garp.

- Arp - powtórzył. Jenny wiedziała, że go traci.

Z każdym dniem wydawał się młodszy. We śnie niestrudzenie młócił powietrze pięściami, wydymał wargi, ssał, trzepotał powiekami. Jenny spędziła przy niemowlętach wiele czasu, wiedziała, że strzelec pokładowy ssie przez sen. Zastanawiała się nawet, czy nie wykraść z oddziału położniczego smoczka, ale od pewnego czasu trzymała się od tamtego miejsca z daleka; denerwowały ją dowcipy („Maria Jenny, Zawsze Dziewica, rąbnęła sztuczny cycek dla swojego malca. Kto jest szczęśliwym ojcem, Jenny?“). Obserwując sierżanta Garpa, jak ssie przez sen, myślała o tym, że jego ostateczny regres będzie spokojny: powróci do stanu embrionalnego i przestanie oddychać płucami; jego osobowość dozna błogiego rozszczepienia - połową zawładną sny jaja, połowa plemników. W końcu po prostu przestanie istnieć.

I niemal dokładnie tak było. Faza oseska przybrała u Garpa tak ostrą formę, że budził się regularnie jak niemowlę karmione co cztery godziny, a nawet płakał jak niemowlę - purpurowiał na twarzy, tryskając łzami, które w jednej chwili wysychały pod wpływem dźwięków radia, pod wpływem głosu Jenny. Kiedyś, podczas drapania po plecach, Garp czknął. Jenny wybuchnęła płaczem. Siedząc na brzegu łóżka życzyła mu szybkiej, bezbolesnej drogi powrotnej do łona i dalej.

Gdyby tylko ręce mu się wygoiły, myślała. Mógłby przynajmniej ssać palec. Kiedy budził się ze swoich niemowlęcych snów spragniony ssania, a przynajmniej tak mu się wydawało, Jenny wkładała mu do ust własny palec. Mimo że miał normalne zęby, w swojej świadomości oseska był bezzębny, dlatego też nigdy jej nie ugryzł. I właśnie to spostrzeżenie skłoniło Jenny pewnej nocy do tego, by mu dać piersi. Ssał niestrudzenie, nie zrażony jałowością tego zajęcia. Jenny pomyślała, że jeśli Garp nie przestanie jej ssać, dostanie w końcu pokarmu - tak potężny czuła w łonie zew natury zarówno macierzyńskiej, jak i seksualnej. Jej pragnienie było tak silne, że przez chwilę uważała samo karmienie piersią dzieciennego strzelca pokładowego za wystarczające do aktu poczęcia.

I niemal dokładnie tak było. Z tą różnicą, że strzelec Garp był niemowlęciem tylko do pewnego stopnia. Którejś nocy bowiem, podczas karmienia, Jenny spostrzegła, że doznaje on erekcji, która aż uniosła prześcieradła; niezdarnie, zabandażowanymi rękami zaczął się onanizować popiskując z rozczarowania i jedno-

czesznie rzucając się dziko na jej pierś. Tej nocy Jenny postanowiła mu pomóc. Chłodną, wytalkowaną dłonią ujęła jego członek; Garp przestał ssać - dźgał tylko nosem jej pierś.

- Ar - jęknął. Nie wymawiał już P.

Niegdyś Garp, później Arp, teraz zaledwie Ar; Jenny wiedziała, że umiera. Została mu już tylko jedna samogłoska i jedna spółgłoska.

Kiedy się spuścił, poczuła w ręce mokro i ciepło. Pod prześcieradłem zapachniało latem i cieplarnią, absurdalnym urodzajem; życie wprost z ręki. Cokolwiek by na tym posiać, bujnie rozkwitnie. Sperma Garpa natchnęła Jenny taką właśnie myślą: gdyby w cieplarni rozlać choć trochę tego płynu, z ziemi wystrzelał dzieci.

Poświęciła dwadzieścia cztery godziny na przemyślenie tej sprawy.

- Garp? - szepnęła. Rozpięła bluzkę i wyjęła piersi, które zawsze uważała za zbyt duże. - Garp? - powtórzyła mu do ucha; zatrzepotał powiekami, wyciągnął usta. Otaczał ich biały całun, zasłona, która miała zapobiegać ucieczkom chorych z oddziału. Po jednej stronie Garpa leżał Skórny - ofiara miotacza ognia, oślizły od jakiejś maści, cały owinięty w gazę. Nie miał powiek, więc robił wrażenie, że ich bez przerwy obserwuje, ale on był ślepy. Jenny zdjęła swoje solidne pielęgniarskie obuwie, odpięła białe pończochy, wyszła z sukienki. Dotknęła palcem ust Garpa.

Po drugiej stronie spowitego w biel łóżka sierżanta leżał Organ na najlepszej drodze do stania się Nieobecnym. Stracił większą część jelita cienkiego i odbył; obecnie miał kłopoty z nerkami, a i wątroba dawała mu się we znaki. Dręczyły go potworne koszmary - śniło mu się, że bez przerwy musi oddawać mocz i się wypróżniać, choć dla niego było to już tylko echo przeszłości. W chwili obecnej bowiem robił te rzeczy zupełnie nieświadomie za pośrednictwem rurek do gumowych worków. Jęczał często, ale w przeciwieństwie do Garpa całymi słowami.

- Gównno - jęknął.

- Garp? - wyszeptała Jenny. Wysunęła się z halki i majtek, zdjęła stanik i naciągnęła prześcieradło.

- Chryste - powiedział cicho Skórny; całe wargi miał w pęcherzach od oparzeń.

- Cholerne gównno! - wrzasnął Organ.

- Garp - rzekła Jenny Fields. Ujęła go za sztywny członek i dosiadła okrakiem.

- Aaa - powiedział Garp. Już nawet nie wymawiał r. Skala jego możliwości

wyrażania uczuć została zredukowana do jednej samogłoski. - Aaa - powtórzył, kiedy Jenny włożyła go sobie do środka i usiadła całym ciężarem.

- Garp? - spytała. - Okay? Dobrze ci, Garp?

- Dobrze - odparł bardzo wyraźnie. Ale było to jedyne słowo, jakie dobył ze swojej zdewastowanej pamięci, wypowiedziane jasno w chwili, kiedy w nią wszedł. Pierwsze i ostatnie prawdziwe słowo, jakie Jenny usłyszała z jego ust: dobrze. Kiedy członek mu zwiotczał, a życiodajny płyn wyciekł z Jenny, z powrotem cofnął się w swoje „Aaa”, zamknął oczy i zasnął. Jenny podetknęła mu pierś, ale nie okazał głodu.

- Boże! - wykrzyknął Skórny, bardzo ostrożnie wymawiając „ż”; miał poparzony również i język.

- Cii! - warknął Organ.

Jenny Fields umyła Garpa i siebie ciepłą wodą z mydłem w białej emaliowanej szpitalnej misce. Oczywiście nie zamierzała wziąć irygacji i nie miała wątpliwości, że magia zadziałała. Czują się bardziej żywna niż gleba uprawna - niż nawieziona ziemia - i czują również w sobie wytrysk Garpa tak obfity jak strumień z hydrantu latem.

Jenny nigdy tego z Garpem nie powtórzyła. Nie było powodu. Nie sprawiało jej to przyjemności. Od czasu do czasu tylko wyciągała ku niemu pomocną dłoń, a kiedy płakał, podawała mu pierś, ale po upływie kilku tygodni skończyły się erekcje sierżanta. Zdjęli mu z rąk bandażę i stwierdzili, że nawet proces gojenia postępuje w odwrotnym kierunku; od nowa założyli opatrunki, Stracił całe zainteresowanie ssaniem. Jego sny, zauważyła Jenny, mogły być równie dobrze snami ryby. Wiedziała, że Garp z powrotem znalazł się w łonie; skulony pośrodku łóżka, przyjął pozycję embrionalną. Przestał wydawać jakiegokolwiek dźwięki. Pewnego ranka patrząc, jak wierzga swoimi małymi, słabymi nóżkami, odniosła wrażenie, że poczuła w środku kopniecie. I chociaż było jeszcze za wcześnie, by mogła to być prawda, wiedziała, że ta prawda jest w drodze.

Wkrótce Garp przestał kopać. W dalszym ciągu oddychał płucami, ale Jenny nie miała wątpliwości, że to tylko przykład zdolności adaptacyjnych ludzkiego organizmu. Nie chciał jeść; musieli go odżywiać kroplówką i w tym celu od czasu do czasu podłączali go do czegoś w rodzaju pępownicy. Jenny z niepokojem oczekiwała ostatniej fazy. Czy skończy się to jakąś rozpaczliwą walką spermy? Czy plemnik się usunie obnażając jajo, które będzie oczekiwało śmierci? Jak też w podróży powrotnej małego Garpa dokona się podział jego duszy? Ale ta faza przeszła dla Jenny całkowicie niepostrzeżenie. Pewnego dnia, kiedy miała wolne, sierżant technik Garp

umarł.

„A kiedyż indziej mógł umrzeć? - napisał Garp. - Nieobecność mojej matki była dla niego jedyną szansą ucieczki”.

„Oczywiście, że coś czułam, kiedy umarł - napisała Jenny Fields w swojej słynnej autobiografii. - Ale najlepsze, co z niego zostało, było we mnie. Najlepsze dla nas obojga, bo on tylko w ten sposób mógł żyć, a ja tylko w ten sposób chciałam mieć dziecko. Fakt, że świat uznał to za coś nienormalnego, przekonał mnie jedynie, że świat nie szanuje praw jednostki”.

Był rok 1943. Kiedy ciąża zaczęła być widoczna, Jenny straciła pracę. Stało się oczywiście to, czego oczekiwali jej rodzice i bracia; nikt się nie zdziwił. Jenny już dawno zaniechała prób przekonania ich o swojej niewinności. Poruszała się po wielkich korytarzach rodzinnej rezydencji w Dog's Head Harbor jak zadowolony duch. Jej pogoda intrygowała rodzinę, która wreszcie zostawiła ją w spokoju. Tak po cichu Jenny była właściwie zupełnie szczęśliwa i choć wiele czasu musiała poświęcać w myślach przyszłemu dziecku, o dziwo, sprawa imienia nigdy jej nie przyszła do głowy.

Bo kiedy urodziła dziewięcioletniego chłopca, nie wiedziała, jak go nazwać. Matka Jenny spytała córkę, jak mały ma mieć na imię, ale było to tuż po porodzie i zażyciu przez Jenny środka uspokajającego, niewiele się więc dowiedziała.

- Garp - odparła Jenny.

Jej ojciec, król obuwia, myślał, że po prostu czknęła, ale matka wyszeptwała:

- Ma mieć na imię Garp.

- Garp? - zdziwił się ojciec. Wiedzieli, że w ten sposób mają szansę dowiedzieć się, kto był ojcem dziecka. Jenny oczywiście nie przyznała się do niczego.

- Dowiedz się, czy to jest imię, czy nazwisko skurwysyna - szepnęła ojciec Jenny do matki.

- Czy to jest imię, czy nazwisko, kochanie? - zapytała matka Jenny.

Jenny była bardzo śpiąca.

- Garp - odparła. - Po prostu Garp. To wszystko.

- Ja myślę, że to jest nazwisko - matka Jenny zwróciła się do ojca.

- To co jest imieniem? - zapytał ojciec Jenny z wściekłością.

- Nie wiem - wymamrotała Jenny. Była to prawda, nie znała jego imienia.

- Ona nawet nie zna jego imienia! - ryknął ojciec.

- Kochanie - powiedziała matka - przecież musiał mieć jakieś imię.

- Sierżant technik Garp - odparła Jenny Fields.
- Cholerny żołnierz, wiedziałem - rzekł ojciec.
- Sierżant technik? - zapytała matka Jenny.
- S. T. - odpowiedziała Jenny Fields. - S. T. Garp. Tak się będzie nazywało moje dziecko. - Zasnęła.

Ojciec Jenny szalał.

- S. T. Garp! - wykrzykiwał. - Cóż to za imię dla dziecka!
- Jego własne - wyjaśniła mu Jenny później. - Jego własne, do cholery.
Najwłaśniejsze.

„Przyjemnie było chodzić do szkoły mając takie imię – pisał Garp. - Nauczyciele stale pytali, co oznacza »S. T.«. Początkowo odpowiadałem, że to po prostu inicjały, ale i tak mi nikt nie wierzył. Wobec tego zacząłem ich odsyłać do matki. Zadzwońcie do mojej mamy. Ona wam wytłumaczy”.

Dzwonili więc. I poczciwa Jenny wyluszczała im swoje poglądy.

Tak wyglądał świat dany S. T. Garpowi urodzonemu z dobrej pielęgniarce na jej własne życzenie i z nasienia strzelca pokładowego; był to jego ostatni strzał.

Rozdział II

Krew i błękit

S. T. Garp zawsze podejrzewał, że umrze młodo. „Jak mój ojciec - pisał - jestem spod znaku krótkości. Jestem człowiekiem jednego strzału”.

Mało brakowało, by dorastał na terenie szkoły żeńskiej, gdzie zaproponowano jego matce posadę szkolnej pielęgniarki. Ale Jenny Fields dostrzegła ponurą przyszłość, jaką mogłaby mu zgotować: jej mały Garp w otoczeniu samych kobiet (zaoferowano im mieszkanie w jednej z burs). Wyobrażała sobie pierwsze seksualne doświadczenia swojego syna - fantazja zainspirowana widokiem i atmosferą żeńskiej pralni, gdzie dziewczęta dla zabawy zakopywałyby malca w miękkich zaspach damskiej bielizny. Jenny nawet podobałaby się taka praca, ale odmówiła ze względu na Garpa. Zamiast tego zaangażowała się w wielkiej i słynnej szkole w Steering, gdzie miała być po prostu jeszcze jedną z wielu pielęgniarek i gdzie dostała mieszkanie w zimnej, przypominającej więzienie przybudówce przeznaczonej na szkolną infirmerię.

- Nie przejmuj się - powiedział ojciec Jenny. Był zły na nią, że w ogóle chce pracować; mieli dość pieniędzy i wołałby, żeby Jenny schowała się w posiadłości rodzinnej w Dog's Head Harbor, dopóki jej nieślubny syn nie dorośnie i się nie wyniesie. - Jeśli mały ma choć trochę wrodzonej inteligencji - oświadczył - zacznie w końcu naukę w Steering, ale tymczasem, wydaje mi się, nie ma lepszej atmosfery, w której chłopiec mógłby dorastać. „Wrodzona inteligencja” to było jedno ze sformułowań, jakimi ojciec Jenny zwykł określać wątpliwe zaplecze genetyczne Garpa. Steering, do którego uczęszczali zarówno ojciec Jenny, jak i jej bracia, było w owym czasie szkołą wyłącznie męską. Jenny uważała, że jeśli zdoła wytrzymać to odosobnienie przez lata szkoły średniej młodego Garpa - zrobi dla swojego syna wszystko, co w jej mocy. „Żeby mu wynagrodzić to, żeś go pozbawiła ojca” - wytknął jej ojciec.

„To dziwne - pisał Garp - że moja matka, która znała siebie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie chce żyć z mężczyzną, żyła w końcu z ośmiuset chłopakami”.

Tak więc młody Garp wychowywał się z matką w szpitalnej przybudówce szkoły w Steering i nie był traktowany na równi z „pomiotem profesorskim” - jak uczniowie nazywali dzieci nauczycieli i personelu. Pielęgniarki szkolnej nie zaliczano bowiem do

tej samej klasy czy kategorii co członków ciała pedagogicznego. Co więcej Jenny nie uważała za stosowne wymyślić żadnego mitu dotyczącego ojca Garpa, stwarzając zarazem pozory małżeństwa i legalizując jednocześnie syna. Była niejaką Fields, co podkreślała podając swoje nazwisko. A jej syn był niejakim Garpem. Co podkreślała podając jego nazwisko. - To jest jego własne nazwisko - mówiła. Wszyscy zrozumieli, o co chodzi. Społeczność Steering nie tylko tolerowała, ale nawet popierała pewne formy zarozumiałstwa, czy jednak było ono do przyjęcia, czy nie, to już sprawa smaku i stylu. Przedmiot zarozumiałstwa winien mianowicie dotyczyć spraw wyższej wagi, a sposób, w jaki się było zarozumiałym, musiał być czarujący. Jenny Fields brakowało jednak polotu. Garp pisał, że jego matka „nigdy nie była zarozumiała z wyboru i jeśli w ogóle bywała zarozumiała, to tylko w sytuacjach przymusowych”. W Steering również wysoko ceniono dumę, ale Jenny Fields robiła wrażenie dumnej z nieślubnego dziecka. Może to nic takiego, czego należałoby się wstydzić, niemniej mogłaby okazać trochę skromności.

Ale Jenny była dumna nie tylko z Garpa, szczególnym zadowoleniem napawał ją sposób, w jaki się dorobiła syna. Świat nie znał tego sposobu, jak dotąd; Jenny bowiem nie zdążyła jeszcze opublikować swojej biografii; prawdę powiedziawszy, nawet nie zaczęła jej pisać. Czekala, aż Garp będzie na tyle dojrzały, żeby tę historię właściwie ocenić.

A historia, którą znał Garp, sprowadzała się do tego, co wiedział każdy, kto miał odwagę zapytać. Opowieść Jenny zawierała trzy suche zdania.

1. Ojciec Garpa był żołnierzem.
2. Zginął na wojnie.
3. Kto w czasie wojny myślał o ślubach?

Zarówno jej precyzja, jak i tajemniczość dopuszczały interpretację romantyczną. Mimo wszystko, sądząc z samych faktów, ojciec Garpa mógł być bohaterem wojennym. Można sobie było wyobrazić beznadziejną miłość. Jenny Fields mogła być na przykład pielęgniarką w szpitalu polowym. Mogła się zakochać „na froncie”. A ojciec Garpa mógł uważać, że ma do spełnienia jeszcze jedną, ostatnią, „misję wobec ludzkości”. Ale Jenny Fields nie zapładniała niczyjej wyobraźni w kierunku takich melodramatycznych wersji. Przede wszystkim wydawała się zbyt zadowolona ze swojej samotności, ponadto nigdy nie mówiła o swojej przeszłości w sposób mglisty. Nic jej nie rozpraszało - była całkowicie nastawiona na małego Garpa i na to, żeby być dobrą pielęgniarką.

Oczywiście nazwisko Fieldsów było znane na terenie Steering. Słynny król obuwia Nowej Anglii był hojnym absolwentem, a niezależnie od tego podejrzewano w owym czasie, że ma nawet zostać członkiem rady nadzorczej szkoły. Jego pieniądze nie były może najstarsze, ale i nie najmłodsze w Nowej Anglii, a żona, matka Jenny, niejaka panna Weeks z Bostonu, była chyba jeszcze bardziej znana w Steering. Weterani grona profesorskiego pamiętali bowiem czasy, kiedy rok w rok bez przerwy ktoś z Weeksów kończył szkołę. Z punktu widzenia Steering Jenny nie odziedziczyła jednak tych wszystkich walorów. Była przystojna, owszem, przyznawali, ale pospolita, i nosiła strój pielęgniarski, chociaż mogła ubierać się lepiej. W gruncie rzeczy sam fakt zostania pielęgniarką - czym też się przesadnie szczyciła - był dziwny. Biorąc pod uwagę jej rodzinę. Pielęgniarstwo nie było zajęciem odpowiednim ani dla nikogo z Fieldsów, ani z Weeksów.

W sensie towarzyskim Jenny cechowała pozbawiona wdzięku sztywność, która na osoby bardziej frywolne działała mroząco. Czytała masę i nieustannie myszkowała po bibliotece Steering; książki poszukiwane z reguły znajdowały się na rewersie siostry Fields. Odpowiadała na telefony grzecznie i często proponowała, że odnieść książkę bezpośrednio osobie zainteresowanej - jak tylko skończy czytać. Kończyła szybko, ale nie miała potem na jej temat nic do powiedzenia. W społeczności szkolnej zaś ktoś, kto czyta książkę w jakichś tajemniczych celach, innych niż przedyskutowanie jej z kolegami, jest uważany za dziwaka. Po co wobec tego w ogóle czytała?

To, że przychodziła na wykłady, kiedy miała wolne, budziło jeszcze większe zdziwienie. Regulamin Steering zapewniał gronu nauczycielskiemu i personelowi lub ich małżonkom prawo do uczęszczania na wszelkie zajęcia odbywające się na terenie szkoły za zezwoleniem jedynie osoby prowadzącej. Któż by wyprosił siostrę - z pisarzy elżbietańskich, z powieści wiktoriańskiej, z historii Rosji do roku 1917, z wprowadzenia do genetyki, z cywilizacji zachodnich? Przez lata całe Jenny Fields parła naprzód - od Cezara do Eisenhowera poprzez Lutra i Lenina, Erazma, mitozę, osmozę i Freuda, Rembrandta, chromosomy i van Gogha; od Styksu do Tamizy, od Homera do Wirginii Woolf. Od Aten do Oświęcimia - i nigdy nie odezwała się słowem. Była jedyną kobietą na wykładach. W swoim białym stroju siedziała tak cicho, że w końcu i chłopcy, i sam nauczyciel zapominali o jej obecności i zaczęli czuć się swobodnie; realizowali program nauki, podczas gdy ona siedziała wśród nich z uwagą, biała i skupiona, niemy świadek wszystkiego, być może nie rozstrzygając o

niczym, niewykluczone, że osądzając wszystko.

Jenny Fields zdobywała teraz wykształcenie, na które czekała; teraz, uznała, nadszedł odpowiedni czas. Ale jej motywy nie były natury całkowicie egoistycznej; Jenny badała Steering pod kątem przyszłości swojego syna. Kiedy Garp dorośnie do wieku szkolnego, będzie mogła mu udzielić bezcennych rad - będzie wiedziała, co w trawie piszczy, jeśli chodzi o każdy przedmiot; które wykłady to nudziarstwo, a które przyjemność.

Książki dosłownie kipiły z jej maleńkiego mieszkanca w przybudówce szpitalnej. Jenny spędziła w Steering dziesięć lat, zanim się zorientowała, że księgarnia daje członkom grona profesorskiego i personelu szkoły dziesięć procent zniżki (czego jej nigdy nie zaoferowano). Zezłościło ją to. Zwłaszcza że sama była hojna, szczególnie jeśli chodziło o książki, które w końcu zaczęła ustawiać w każdym pomieszczeniu ponurego szpitalnego skrzydła. Ale książki przestały się mieścić na półkach, wylewając się do głównej infirmerii, do poczekalni i do rentgena, z początku pokrywając, a następnie zastępując gazety i pisma ilustrowane. Powoli chorzy ze Steering przekonywali się, jak poważnym jest ono miejscem - to już nie zwykły szpital pełen powieściidel i gazetowego śmiecia. Czekając na lekarza wertowało się na przykład „Jesień średniowiecza”, w oczekiwaniu zaś na wyniki badań można było poprosić siostrę, żeby przyniosła bezcenny podręcznik genetyki „Rozwój muszki owocowej”. Jeśli ktoś był poważnie chory albo przez dłuższy czas odwiedzał szkolne ambulatorium, zawsze znalazł się dla niego egzemplarz „Czarodziejskiej góry”. Na chłopaka ze złamaną nogą i wszystkich, którzy odnieśli kontuzje sportowe, czekała cała plejada pozytywnych bohaterów z ich smakowitymi przygodami - a więc Conrad i Melville w miejsce „Sportu Ilustrowanego”, a zamiast „Time'a” i „Newsweeka” - Dickens, Hemingway i Twain. Leżeć w infirmerii Steering to prawdziwy orgazm dla miłośników literatury! Nareszcie szpital, w którym jest co poczytać.

Po dwunastu latach pobytu Jenny w Steering utarł się wśród szkolnych bibliotekarek pewien zwyczaj: kiedy nie miały poszukiwanej książki, mówiły: „Może ma infirmeria”. Podobnie w księgarni, kiedy wyprzedali jakiś tytuł albo był wyczerpany, odpowiadali: „Proszę poszukać siostry Fields w infirmerii, ona może to mieć”.

A wtedy Jenny marszczyła czoło i odpowiadała: „Pewnie jest w dwudziestce szóstce w aneksie, ale McCarty ją czyta. Ma grypę. Jak wyzdrowieje, na pewno chętnie ci da”. Czasem zaś odpowiadała tak: „Widziałam ją ostatnio w łazienkach

wibracyjnych; może być trochę mokra, pierwsze kartki".

Nie sposób ocenić wpływu Jenny na proces nauczania w Steering, w każdym razie nigdy im nie przebaczyła, że ją na dziesięć lat pozbawili dziesięcioprocentowej zniżki. „Moja matka dosłownie utrzymywała tę księgarnię - pisał Garp. - W porównaniu z nią nikt w Steering nic nie czytał".

Kiedy Garp miał dwa lata, szkoła zaproponowała Jenny trzyletni kontrakt; była dobrą pielęgniarzką, wszyscy się co do tego zgadzali, a lekki niesmak, jaki w każdym budziła, nie pogłębił się przez te dwa pierwsze lata. Dziecko ostatecznie było jak dziecko - może trochę bardziej śniade w lecie niż inne, trochę bardziej ziemiste na buzi w zimie i może trochę za tłuste. Było w nim coś okrągłego, coś, co przypominało okutanego Eskimosa nawet wtedy, kiedy Garp nie był okutany. Młodszy spośród grona pedagogicznego, którzy dopiero co przeżyli wojnę, utrzymywali, że mały swoim tępym kształtem przypomina bombę. Ale cóż, dzieci nieślubne to mimo wszystko też dzieci. Zaś irytacja, jaką budziły dziwactwa Jenny, była w końcu do zniesienia.

Jenny przyjęła trzyletni kontrakt. Uczyła się, robiła postępy, a jednocześnie torowała swojemu Garpowi drogę przez Steering, które według ojca Jenny zapewniało „pierwszorzędne wykształcenie". Woląca to sprawdzić.

Kiedy Garp miał pięć lat, została siostrą przełożoną. Trudno było o młode, energiczne pielęgniarki, które by chciały znosić bezczelność i psoty chłopaków; trudno było o kogokolwiek, kto chciałby mieszkać na terenie szkoły, a Jenny robiła wrażenie zupełnie zadowolonej ze swojej szpitalnej przybudówki. W pewnym sensie stała się dla wielu matką: zawsze na nogach, kiedy któryś z wychowanków zwymiotował w nocy, zadzwonił po nią czy stłukł szklanekę z wodą. Albo kiedy niesforni chłopcy biegali po ciemnych korytarzach, jeździli na łózkach szpitalnych, odbywali walki gladiatorów w wózkach inwalidzkich, ucinali sobie ukradkowe pogawędki z dziewczynami z miasta przez okratowane okna czy wreszcie próbowali zjeżdżać lub wspinać się po grubych pędach bluszczu, który oplatał stare ceglane mury infirmerii i jej przybudówki.

Infirmeria była połączona z przybudówką podziemnym tunelem, tak szerokim, żeby pomieścił łóżko na kółkach i szczupłą pielęgniarzkę po każdej stronie. Urwisy od czasu do czasu grywali tam w kule, czego odgłosy dochodziły do Jenny i Garpa w ich odległym skrzydle - jak gdyby doświadczalne szczury i króliki z laboratorium w suterenie urosły przez noc do nieprawdopodobnych rozmiarów i swoimi potężnymi

pyszczkami spychały głębiej w dół pojemniki na śmieci.

Ale kiedy Garp miał pięć lat, a jego matka została przełożoną pielęgniarek, społeczność Steering dopatrzyła się w nim czegoś dziwnego. Nie jest właściwie jasne, co może być szczególnego w pięcioletnim chłopcu, w każdym razie jego głowa miała ciemny, obły, mokry wygląd (jak głowa fokii), a nadmiernie nabite, krępe ciało wzbudziło dawne spekulacje na temat jego genów. Jeśli chodziło o temperament, syn przypominał matkę: był zdecydowany, może nawet nudny, powściągliwy, ale wiecznie czujny. Mały na swój wiek, pod innymi względami wydawał się nienaturalnie dojrzały; cechował go jakiś irytujący spokój. Bliski ziemi, jak idealnie zbudowane zwierzę, był nieprawdopodobnie sprawny ruchowo. Inne matki stwierdzały od czasu do czasu z niepokojem, że dzieciak wdrapuje się dosłownie na wszystko. Liny, zjeżdżalnie, huśtawki, a nawet najniebezpieczniejsze drzewa nie stanowiły dla niego przeszkody.

Pewnego wieczoru po kolacji Garp zginął. Zwykle biegał swobodnie po infirmerii i przybudówce rozmawiając z chłopakami i Jenny w każdej chwili mogła go wezwać przez telefon wewnętrzny. „Garp, do domu” - mówiła wtedy. Miał wyraźne instrukcje. Wiedział, do których pomieszczeń nie wolno mu wchodzić: kto jest chory na coś zakaźnego, który z chłopców czuje się na tyle źle, że woli, żeby go zostawić w spokoju. Garp najlepiej lubił kontuzje sportowe - lubił patrzeć na gips, temblaki i wielkie bandaże i mógł bez końca słuchać opowieści o przyczynach wypadków. Jak matka - urodzona pielęgniarka - i on lubił usługiwać chorym: przekazywać polecenia, przemycać jedzenie. Ale pewnego wieczora, kiedy miał pięć lat, Garp nie odpowiedział na wezwanie „Garp, do domu”. Zostało ono przekazane do wszystkich pokoi infirmerii i przybudówki, nawet do tych, do których pod ścisłym rygorem nie wolno było wchodzić - do laboratorium, sali operacyjnej, do rentgena. Jeżeli Garp nie usłyszał wezwania „Garp, do domu”, Jenny wiedziała, że albo jest w kłopotcie, albo go nie ma w obrębie budynków. Szybko zorganizowała spośród zdrowszych i sprawniejszych ruchowo pacjentów grupę poszukiwawczą.

Był to mglisty wieczór wczesną wiosną. Część chłopców wyszła na zewnątrz i zaczęła nawoływać wśród mokrej forsycji i na parkingu. Inni szukali po ciemnych, pustych zakamarkach i zakazanych pomieszczeniach ze sprzętem. Wtedy Jenny uległa swoim pierwszym strachom. Przede wszystkim zbadła zsypaną na brudną bieliznę, gładką rurę, która biegnąc przez cztery piętra prowadziła aż do suterenu (Garpowi nie wolno było nawet wrzucać brudnej bielizny do zsypu). Ale w miejscu, w którym rura

przebijała sufit i wypluwała swoją zawartość na podłogę sutereny, leżała tylko sterta brudów na zimnym betonie. Jenny zbadła również pomieszczenie, w którym był bojler, i wielki, rozpalony piec do grzania wody, ale stwierdziła, że Garp się w nim nie ugotował. Przejrzała wszystkie klatki schodowe, ale ponieważ nie wolno mu było bawić się na schodach, wobec czego nie leżał połamany na żadnym z czterech pięter. Następnie Jenny dopuściła do głosu swoje nie wyrażone lęki, że maleńki Garp padł ofiarą jakiegoś tajemniczego gwałciciela spośród chłopców ze Steering. Ale wczesną wiosną w infirmerii zbyt wielu było pacjentów, żeby Jenny mogła mieć wszystkich wychowanków na oku, nie mówiąc już o poznaniu ich seksualnych upodobań. Musiała zajmować się głupcami, którzy zażywali kąpiele pierwszego słonecznego dnia, zanim jeszcze śnieg na dobre stopniał; były też ostatnie przypadki przewlekłych zimowych przeziębień u tych, co stracili wszelką odporność, no i wreszcie ofiary sportów zimowych z okresu największego szczytu oraz pierwszych sportów wiosennych.

Jedną z nich był Hathaway, który właśnie dzwonił na nią ze swego pokoju na czwartym piętrze przybudówki. Hathaway grywał w lacrosse² i uszkodził sobie więzadło kolana. W dwa dni po tym, jak włożyli mu nogę w gips i pozwolili chodzić o kulach, Hathaway wyszedł na deszcz i kule rozjechały mu się na szczycie długich marmurowych schodów Hyle Hall. Na skutek upadku złamał sobie drugą nogę. Teraz więc leżał na czwartym piętrze przybudówki, ze swymi długimi nogami w gipsie, czule pieszcząc w dużych kościstych łapach kij do lacrosse. Położono go w odosobnieniu, niemal samego na całym czwartym piętrze, ponieważ miał denerwujący zwyczaj rzucania piłką do lacrosse przez pokój, tak żeby odbijała się od ściany. Następnie łapał twardą, sprężystą piłkę w koszyk przyczepiony na końcu kija i znów rzucał nią o ścianę. Jenny mogłaby położyć temu kres, ale ostatecznie sama miała syna i rozumiała tkwiącą w chłopcach potrzebę stałego bezmyślnego powtarzania jakiejś czynności. Działo to na nich odprężające, stwierdziła, bez względu na to, czy mieli lat pięć, jak Garp, czy siedemnaście, jak Hathaway.

Ale była wściekła na Hathawaya, że jest taki niezdara i bez przerwy traci piłkę! Zadała sobie specjalny trud umieszczając go na uboczu, tak żeby nie przeszkadzał innym, ale ilekroć Hathawayowi uciekła piłka, dzwonił na kogoś, żeby mu ją podał. Mimo windy, czwarte piętro przybudówki nie było nikomu po drodze. Kiedy Jenny zobaczyła, że winda jest akurat zajęta, weszła zbyt szybko na czwarte piętro, tak że

² Lacrosse - gra podobna do hokeja, rozgrywana na trawie przez dwie drużyny liczące po dziesięć osób. Gracze posługują się kijami przypominającymi rakiety o długich trzonkach i piłeczkami (przyp. tłum.).

kiedy dotarła na miejsce, była nie tylko zdyszana, ale i odpowiednio wściekła.

- Wiem, ile dla ciebie znaczy ta gra, Hathaway, ale w tej chwili zginął Garp i nie mam czasu podawać ci piłki.

Hathaway był sympatycznym, wolno myślącym chłopcem o ciastowatej, pozbawionej zarostu twarzy, z opadającym kosmykiem rudawoblond włosów, który częściowo zakrywał jego wodniste oko. Miał zwyczaj odrzucania głowy do tyłu, prawdopodobnie, żeby móc cośkolwiek zobaczyć, i z tego powodu, jak również dlatego, że był bardzo wysoki, wszyscy zaglądali mu w przestronne dziurki od nosa.

- Panno Fields - powiedział Hathaway. Jenny zauważyła, że nie ma w ręce kija do lacrosse.

- O co chodzi, Hathaway? - spytała. - Przepraszam, że jestem w takim pośpiechu, ale zginął Garp. Szukam go właśnie.

- Och - powiedział Hathaway i rozejrzał się po pokoju – jak gdyby za Garpem. Wyglądało jak gdyby ktoś go właśnie poprosił o popielniczkę. - Bardzo mi przykro - powiedział. - Chętnie bym pani pomógł go szukać. - Spojrzał bezradnie na swoje nogi w gipsie.

Jenny zastukała lekko w zagipsowane kolano, jak gdyby stukała do drzwi, za którymi ktoś śpi.

- Nie przejmuj się - powiedziała i czekała, aż Hathaway powie, o co mu chodzi, ale Hathaway jak gdyby zapomniał, że w ogóle po nią dzwonił. - Hathaway? - zapytała znów stukając w jego kolano, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w domu. - Co chciałeś? Straciłeś piłkę?

- Nie - odparł Hathaway. - Straciłem kij. - Automatycznie oboje rozejrzeli się po pokoju. - Zasnąłem - wyjaśnił - i kiedy się obudziłem, kija nie było.

Jenny najpierw pomyślała o Mecklerze, postrachu drugiego piętra przybudówki. Meckler był to złośliwy, inteligentny chłopak, który spędzał w infirmerii przynajmniej cztery dni w miesiącu. W wieku lat szesnastu był nałogowym palaczem, a zarazem autorem większości uczniowskich publikacji; dwukrotnie też zdobył doroczny puchar w walce klasycznej. Meckler gardził jedzeniem stołówkowym i żył głównie kawą i kanapkami z jajecznicą ze snackbaru Bustera, gdzie zresztą pisywał większość swoich długich i mocno spóźnionych, acz błyskotliwych wypracowań. Co miesiąc doznając załamania na skutek wyniszczającego trybu życia i własnej inteligencji umysł Mecklera dźwigał się w infirmerii obradzając paskudnymi kawałami, których autorstwa Jenny nigdy nie była w stanie mu dowieść. Kiedyś

posłano w czajniku gotowane kijanki laborantom, którzy się uskarżali na podejrzany smak herbaty; innym znów razem, Jenny była pewna, Meckler napełnił prezerwatywę białkami jajek i naciągnął na gałkę jej drzwi. Zorientowała się, że były to białka, jedynie dlatego, że znalazła później skorupki od jajek. W swojej torebce zresztą. Nie ulegało też dla Jenny wątpliwości, że to Meckler przed trzema laty zorganizował trzecie piętro infirmerii podczas epidemii wietrznej ospy: chłopcy jeden po drugim trzepali kapucyna, a następnie z gorącą jeszcze spermą w rękach latali do mikroskopów w laboratorium szpitalnym, żeby sprawdzić, czy są bezpłodni.

Ale w stylu Mecklera, pomyślała Jenny, byłoby wyciąć dziurę w siatce i zostawić bezużyteczny kij w ręce śpiącego chłopaka.

- Jestem przekonana, że Garp ma twój kij - zapewniła Hathawaya. - Jak znajdziemy Garpa, znajdzie się i kij. - Po raz setny oparła się pokusie odgarnięcia kosmyka włosów, który niemal całkowicie zakrywał mu oko; zamiast tego delikatnie ścisnęła wielkie paluchy nóg Hathawaya wystające z gipsu.

Gdyby Garp chciał grać w lacrosse, pomyślała Jenny, to gdzie by się w tym celu udał? Nie na dwór, bo jest ciemno; zgubiłby piłkę. Jedynym poza tym miejscem, w którym nie usłyszałby telefonu, był podziemny tunel łączący infirmerię z przybudówką, idealne miejsce do rzucania piłką. Nic nowego - kiedyś Jenny rozpedziła taką rozgrywkę już po północy. Wsiadła do windy i pojechała prosto do sutereny. Hathaway to miły chłopak, myślała po drodze. Garp może wyrosnąć na coś gorszego. Ale równie dobrze i na coś lepszego.

Mimo że wolno, to jednak Hathaway myślał. Miał nadzieję, że małemu Garpowi nic się nie stało, szczerze żałował, że nie może wstać i pomóc w poszukiwaniu dzieciaka. Garp często go odwiedzał. Okulawiony sportowiec z obiema nogami w gipsie, to było coś ekstra. Hathaway pozwalał Garpowi rysować po całym gipsie. Wśród podpisów przyjaciół nabazgrane kredkami widniały jakieś przedziwne twarze i potwory - produkty wyobraźni Garpa. Hathaway spojrzał na dziecięce rysunki i zatroskał się o malca. Dzięki temu dostrzegł pomiędzy swoimi udami piłkę do lacrosse; nie czuł jej przez gips. Leżała tam i grzała się jak zniesione przez Hathawaya jajko. Ale jak Garp może grać w lacrosse bez piłki?

Kiedy Hathaway usłyszał gołębie, wiedział, że Garp nie gra w lacrosse. Gołębie! - przypomniał sobie. Skarżył się na nie malcowi. Gołębie nie dawały mu w nocy spać swoim cholernym gruchaniem, swoim gdakliwym kokoszeniem się pod oknami i w rynnie pod stromym, pokrytym dachówką dachem. Był to problem czwartego, a

zarazem najwyższego piętra; problem każdego najwyższego piętra w szkole Steering - gołębie bowiem miały we władaniu cały kampus. Personel techniczny pozasłaniał większość okapów i miejsc, gdzie zwykle siadały, specjalną siatką dla kurcząt, ale gołębie w ładną pogodę gnieździły się w rynnach, wynajdując sobie nisze pod dachami i obsiadając sękatę pędy starego bluszczu. Nie było sposobu, żeby się ich pozbyć. A jak potrafiły gruchać! Hathaway nienawidził ich. Powiedział Garpowi, że gdyby miał chociaż jedną zdrową nogę, już on by je załatwił.

- Jak? - spytał Garp.

- One nie lubią latać nocą - Hathaway wyjaśnił chłopcu. Poznał obyczaje gołębi na drugim kursie biologii; Jenny Fields chodziła na te same wykłady. - Włazłbym w nocy na dach, tylko żeby nie padało, i wyłapał je wszystkie w rynnie. Bo one nic innego nie robią, tylko całą noc tam siedzą, gruchają i srają.

- Ale jak byś je wyłapał? - zapytał Garp.

Hathaway obrócił kij do lacrosse, wyrzucił piłeczkę sobie między nogi i delikatnie przykrył małą główkę Garpa siatką.

- Ów ten sposób - powiedział. - Tak wyłapałbym je z łatwością kijem do lacrosse. Jednego po drugim, aż miałbym je wszystkie z głowy.

Hathaway przypomniał sobie, jak Garp uśmiechnął się wtedy do niego - do tego dużego fajnego chłopaka z dwoma bohaterskimi gipsami. Hathaway wyjrzał przez okno i stwierdził, że jest ciemno i nie pada. Nacisnął brzęczyk.

- Garp! - wrzasnął. - O Boże. - Nie zdejmował palca z guzika.

Kiedy Jenny Fields zobaczyła, że pali się światelko czwartego piętra, przyszło jej do głowy tylko jedno: Garp odniósł Hathawayowi jego sprzęt do lacrosse. Co za pocziwe dziecko, pomyślała, wsiadła do windy i pojechała na czwarte piętro. Skrzypiąc swoim wspaniałym zdrowotnym obuwem wpadła do pokoju Hathawaya. Zobaczyła w ręce chłopaka piłkę do lacrosse. Jego jedyne widoczne oko miało wyraz przestraszony.

- On jest na dachu - powiedział Hathaway.

- Na dachu?! - powtórzyła Jenny.

- Usiłuje łapać gołębie moim kijem - wyjaśnił Hathaway.

Dorosły mężczyzna stojący na podeście schodów przeciwpożarowych na poziomie czwartego piętra mógł sięgnąć ręką do krawędzi rynny. Czyszczenie rynien w Steering odbywało się już po opadnięciu wszystkich liści, a jeszcze przed

nadejściem obfitych wiosennych deszczy. Do tej pracy posyłano tylko najwyższych mężczyzn; niżsi skarżyli się, że wsadzają ręce w coś, czego nie mogą zobaczyć - zdechłe gołębie, wiewiórki w stanie zaawansowanego rozkładu i inne bliżej nie określone świństwa. Tylko wysocy mężczyźni mogli stojąc na podestach schodków przeciwpożarowych zajrzeć do rynien, zanim do nich sięgnęli. Rynny te szerokością i głębokością przypominały świńskie koryta - tyle że nie tak mocne - no i były stare. W owym czasie wszystko w Steering było stare.

Kiedy Jenny wyszła drzwiami przeciwpożarowymi czwartego piętra i stanęła na podeście schodków, ledwie czubkami palców dostała do krawędzi rynien. Nie sięgała też wzrokiem ponad rynnę do stromego, krytego dachówką dachu ani w tych ciemnościach i mgle nie widziała nawet dna rynny. A już na pewno nie widziała Garpa.

- Garp? - wyszeptała. Cztery piętra niżej, wśród krzaków i błysków, jakie od czasu do czasu rzucały maski i dachy zaparkowanych tam samochodów, słyszała chłopców nawołujących Garpa. - Garp? - szepnęła nieco głośniejsze.

- Mama? - zapytał, czym ją przestraszył, mimo że jego szept był cichszy. Głos Garpa doszedł ją z bliska, jakby miała malca w zasięgu ręki, ale nie mogła zobaczyć. A potem na tle zamglonego księżyca dostrzegła zarys siatki stanowiącej zakończenie kija do lacrosse - niby łapę jakiegoś dziwnego płetwonogiego stworzenia. Kij wystawał z rynny niemal tuż nad nią. Kiedy sięgnęła ręką, z przerażeniem namacała nogę Garpa, którą przebił przerdzewiającą rynnę na wylot drąc spodnie, kalecząc się i jednocześnie więznąc z jedną nogą zapadniętą aż po udo, a drugą wyciągniętą wzdłuż krawędzi stromego dachu. Garp leżał więc na brzuchu w kompletnie skorodowanej rynnie.

Kiedy się zapadał, był zbyt przerażony, żeby krzyżeć; czuł, że krucha rynna jest zupełnie przerdzewiała, w każdej chwili gotowa się urwać. Od samego głosu, pomyślał, cały dach może się zawalić. Leżał więc z policzkiem w ścieku i przez maleńką dziurkę obserwował, jak cztery piętra niżej chłopcy poszukują go na parkingu i w krzakach. Kij do lacrosse, który rzeczywiście czas jakiś więził w siatce zdumionego ptaka, przechylił się przez krawędź dachu uwalniając gołębia.

Gołąb, mimo że odzyskał wolność, nie ruszył się z miejsca. Siedział przycupnięty w rynnie wydając swoje idiotyczne odgłosy. Jenny zorientowała się, że Garp nie byłby w stanie dostać się na dach ze schodków przeciwpożarowych, i przeszedł ją dreszcz na myśl, jak musiał się wspinać po bluszczu z kijem do lacrosse w ręce. Trzymała go bardzo mocno za nogę; naga, ciepła łydka była trochę lepka od

krwi, ale Garp nie skaleczył się poważnie. Zastrzyk przeciwko tężcowi - myślała; krew niemal całkowicie zaschła i Jenny uważała, że obejdzie się bez szycia, chociaż w ciemnościach nie widziała dokładnie rany. Zastanawiała się, jak go zdjąć. Na dole krzewy forsycji mrugały do niej w świetle padającym z okien niższych pięter. Z tak znacznej odległości żółte kwiaty wyglądały (dla niej) jak małe gazowe płomyczki.

- Mama? - zapytał Garp.

- Tak - szepnęła. - Trzymam cię.

- To nie puszczaj - powiedział.

- Okay - zapewniła go, jak gdyby pod wpływem jej głosu, dalszy kawałek rynny mógł puścić.

- Mamo! - powiedział Garp.

- Nic się nie stało - uspokoiła go Jenny. Zastanawiała się, czy nie byłoby najlepiej ściągnąć go na dół jednym mocnym szarpnięciem w nadziei, że przejdzie przez dziurę w zżartej rdzą rynnie. Ale przy okazji cała rynna mogłaby się oderwać od dachu - i co wtedy? - pomyślała. Oczyma wyobraźni widziała, jak oboje spadają ze schodków przeciwpożarowych i lecą w dół. Ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nikt tam nie wejdzie, żeby uwolnić dzieciaka i jej podać. Rynna ledwie mogła utrzymać pięciolatka, nie było mowy, żeby się nie załamała pod dorosłym. A Jenny wiedziała, że nie puści nogi Garpa, dopóki ktoś nie dokona takiej próby.

Osobą, która zobaczyła ich z dołu i pobiegła do budynku zawołać dziekana Bodgera, była nowa pielęgniarka, panna Creen. Siostra Creen pomyślała o reflektorze dziekana Bodgera, przytwierdzonym do jego czarnego samochodu (który co wieczór objeżdżał cały kampus wyłapując chłopców po nocnym gongu). Mimo protestów pracowników działu gospodarczego dziekan krążył samochodem po ścieżkach i puszystych trawnikach zapuszczając swój reflektor w gęste krzewy wzdłuż budynków i czyniąc kampus miejscem niepewnym dla różnych maruderów i bezdomnych kochanków.

Siostra Creen wezwała także doktora Pella, ponieważ jej myśl zawsze w chwilach kryzysu biegła ku ludziom powołanym do tego, by podejmować decyzje. Nie wzięła jednak pod uwagę straży pożarnej, o której z kolei myślała Jenny, aczkolwiek Jenny obawiała się, że zanim przyjadą, rynna się urwie; co gorsze wyobraziła sobie, że sami zechcą pokierować akcją i każą jej puścić nogę Garpa.

Ze zdziwieniem spojrzała na małą przemoczoną tenisówkę syna, która dyndała teraz żałośnie w nagłym upiornym blasku reflektora dziekana Bodgera. Światło

wprawilo w zdenerwowanie gołębie, które prawdopodobnie nie najlepiej znosiły świat i które najwyraźniej były gotowe do podjęcia jakiejś decyzji w rynnie; gruchanie i skrobanie blachy pazurami przybrało na sile.

Na dole na trawniku uwijali się wokół samochodu dziekana Bodgera chłopcy w białych szpitalnych kitlach, podnieceni całą tą historią czy też ostrymi rozkazami dziekana, że mają polecieć tu czy tam i przynieść to czy tamto. Bodger zwracał się do chłopców per „panowie”. Na przykład:

- Panowie, ułożmy pod schodami rząd materaców! Piorunem! - warknął właśnie. Zanim został dziekanem, przez dwadzieścia lat uczył w Steering niemieckiego; jego komendy przypominały koniugacje czasowników niemieckich w wykonaniu karabinu maszynowego.

„Panowie” ułożyli stertę materaców i przez ażurowe schodki przeciwpożarowe strzelali oczyma ku niebywale białemu w świetle reflektora strojowi Jenny. Jeden z chłopaków stał równo z budynkiem, dość głęboko pod schodkami i widok jej oświetlonych nóg pod spódnicą musiał go całkowicie oślepić, ponieważ zapomniawszy o całym nieszczęściu sterczał beczynn timer zagapiony.

- Schwartz! - wrzasnął na niego dziekan Bodger, ale chłopak nazywał się Warner, więc nawet nie drgnął. Dopiero kiedy dziekan dobrze go szarpnął, tamten oprzytomniał. - Więcej materacy, Schmidt! - polecił mu Bodger.

Okruch rynny, czy też może suchego liścia, wpadł Jenny do oka i musiała szerzej rozstawić nogi, żeby nie stracić równowagi. Kiedy rynna się załamała, ogłupiały gołąb stracił oparcie i został zmuszony do krótkiego, nerwowego lotu. W pierwszej chwili Jenny poraziła straszna myśl: że ptak, który przesłonił jej pole widzenia, to spadające ciało Garpa, uspokoiła się jednak czując w ręku jego nogę. Potężny kawał rynny wraz z Garpem uderzył ją tak, że najpierw znalazła się w głębokim przysiadzie, a następnie rzuciło ją na bok na podest schodków przeciwpożarowych. Dopiero kiedy stwierdziła, że są oboje bezpieczni na podeście, puściła nogę syna. Fantazyjny siniak, stanowiący niemal dokładny odcisk jej palców, miał jeszcze przez tydzień zdobić jego łydkę.

Z dołu scena przedstawiała całkowity chaos. Dziekan Bodger dostrzegł gwałtowny ruch ciał nad sobą, usłyszał trzask odłamującej się rynny; zobaczył padającą siostrę Fields. Zobaczył, jak trzystopowej długości kawał blachy leci w ciemność, ale przez cały czas nie widział dziecka. Zobaczył jeszcze coś, jakby gołębia przecinającego snop światła jego reflektora, ale nie był w stanie śledzić lotu

oślepiętego przez blask ptaka, który przepadł mu gdzieś w nocnych ciemnościach. Gołąb wpadł na żelazną krawędź schodków przeciwpożarowych i skręcił kark. Owinięty własnymi skrzydłami, lotem spiralnym runął w dół jak słabo nadmuchana piłka nożna, lądując z dala od sterty materacy, którą Bodger kazał ułożyć w obawie przed najgorszym. Dziekan widział, jak ptak spada, i jego maleńkie, szybko lecące ciało wziął za dziecko.

Dzekan Bodger był w zasadzie człowiekiem dzielnym i energicznym, ojcem czworga krótko trzymanyh dzieci. Zapał, z jakim oddawał się pracy policjanta kampusowego, wynikał nie tyle z chęci pozbawiania ludzi przyjemności, ile z przekonania, że każdy wypadek jest niepotrzebny i że dzięki odrobinie sprytu i zapobiegliwości można go uniknąć. Tak więc ufał, że zdoła złapać spadające dziecko, bowiem w głębi swego nieustannie czujnego serca był przygotowany i na taką sytuację, że przyjdzie mu kiedyś schwytać spadające z ciemnego nieba ludzkie ciało. Dziekan miał bardzo krótkie włosy. Zbudowany muskularnie i dziwnie jak bulterier, odznaczał się też właściwymi tej rasie psów małymi oczkami, które były zawsze w stanie zapalnym, zaczerwienione i lekko przymrużone jak u świni. Niby bulterier, Bodger potrafił rzucać się i ryc. Z całą więc zajadłością, rozpostarłszy ramiona, ze świńskimi oczkami utkwionymi w cel rzucił się właśnie na spadającego gołębia.

- Trzymam cię, synu! - wykrzyknął, co przeraziło chłopców w białych szpitalnych kitlach. Nie spodziewali się niczego podobnego.

Dzekan rzucił się w biegu na ptaka; gołąb wyrzwał go w pierś z siłą, na którą nawet on sam nie był przygotowany. Bodger zatoczył się i padł na wznak, z trudem łapiąc oddech i tuląc w ramionach zmasakrowanego ptaka; dziób gołębia tkwił w szczeciniastej brodzie dziekana. Któryś z przerażonych chłopców skierował reflektor z czwartego piętra wprost na Bodgera. Kiedy dziekan zobaczył, że tuli do piersi gołębia, rzucił zdechłego ptaka ponad głowami gapiących się chłopaków na parking.

W izbie przyjęć infirmerii panowało wielkie zamieszanie. Przyszedł doktor Pell, który zajął się raną małego Garpa. Rana była poszarpana, ale powierzchowna; wymagała poprzycinania skóry i starannego oczyszczenia - ale obyło się bez szycia. Siostra Creen zrobiła chłopcu zastrzyk przeciwțężcowy, a doktor Pell wyjął Jenny z oka okruszynę rdzy; Jenny nadwerężyła sobie kark podtrzymując Garpa i rynnę, ale poza tym nic jej się nie stało. W izbie przyjęć atmosfera była serdeczna i wesoła, z wyjątkiem momentów, kiedy Jenny udawało się przyciągnąć wzrok Garpa; publicznie Garp występował jako bohater, musiał być jednak dość niespokojny na myśl o tym, co

go czeka w zaciszu domowym.

Dziekan Bodger był jedną z nielicznych osób w Steering, które zyskały sobie sympatię Jenny. Gestem poprosił ją na stronę i powiedział, że chętnie udzieli chłopakowi reprimendy - o ile ona uważa, że nagana udzielona przez niego wywrze na malcu większe wrażenie. Jenny z wdzięcznością przyjęła tę propozycję i razem ustalili groźbę, która miała odnieść odpowiedni skutek. Bodger strzepnął z piersi pióra i wepchnął w spodnie koszulę, która mu wyłaziła spod ciasnej kamizelki jak krem z ciastka. Dość nagle oznajmił rozgadanej izbie przyjęć, że byłby wdzięczny, gdyby go na chwilę zostawiono samego z Garpem. Zapadła cisza. Garp usiłował się wymknąć razem z matką, ale Jenny powiedziała:

- Nie. Pan dziekan chce z tobą porozmawiać. - Zostali sami. Garp nie wiedział, kto to jest dziekan.

- Twoja matka trzyma tu wszystko żelazną ręką, prawda, chłopcze? - rzekł Bodger. Garp nie bardzo się zorientował, o co chodzi, ale skinął głową. - Uważam, że wywiązuje się doskonale ze swoich obowiązków - dodał dziekan. - Powinna mieć syna, któremu mogłaby zaufać. Czy ty wiesz, chłopcze, co to znaczy zaufanie?

- Nie - odpowiedział Garp.

- To znaczy: żeby matka mogła ci wierzyć, że będziesz tam, gdzie powiedziałeś, że będziesz. Żeby mogła ci wierzyć, że nigdy nie zrobisz tego, czego masz nie robić. To jest właśnie zaufanie, chłopcze - wyjaśnił dziekan Bodger. - Czy uważasz, że matka może ci zaufać?

- Tak - odparł Garp.

- Czy podoba ci się tutaj? - zapytał Bodger. Wiedział doskonale, że chłopiec jest zakochany w Steering; to Jenny mu podsunęła, żeby poruszył tę czulą strunę.

- Tak - odpowiedział Garp.

- A czy słyszałeś może, jak chłopcy mnie nazywają? - zapytał dziekan.

- Wściekły Pies? - zaproponował Garp. Słyszał, że chłopcy w infirmerii kogoś tak nazywali; dla niego dziekan Bodger do złudzenia przypominał wściekłego psa. Dziekan był zdziwiony; miał wiele przezwisk, ale tego nigdy nie słyszał.

- Chodziło mi o to, że mówią do mnie „sir” - powiedział Bodger, wdzięczny Bogu, że Garp jest dzieckiem wrażliwym; Garp pochwycił nutę urazy w jego głosie.

- Tak, sir - odparł Garp.

- A więc podoba ci się tutaj, tak? - powtórzył dziekan.

- Tak, sir - odpowiedział Garp.

- Otóż jeżeli jeszcze kiedykolwiek wejdiesz na te schodki albo zbliżysz się do tego dachu - oświadczył Bodger - nie będziesz mógł tutaj zostać. Zrozumiałeś?

- Tak, sir - powiedział Garp.

- Więc bądź dobry dla mamy - polecił mu Bodger - bo w przeciwnym razie będziesz się musiał wynieść gdzieś daleko, w jakieś obce miejsce.

Garp czuł, jak ogarnia go ciemność, podobna do ciemności i poczucia oddalenia, jakie przeżywał leżąc w rynnie na dachu cztery piętra nad bezpiecznym światem. Zaczął płakać, ale Bodger ujął jego podbródek między swój dziekański kikutowaty kciuk a palec wskazujący; pokiwał głową chłopca. - Pamiętaj, żebyś, nigdy nie zawiódł matki, chłopcze. Bo przez całe życie będziesz się tak źle czuł jak w tej chwili.

„Biedny Bodger chciał dobrze - pisał Garp. - Rzeczywiście przez większość życia czułem się źle i rzeczywiście zawiódłem matkę. Ale jego pojęcie o tym, co się naprawdę dzieje na świecie, jest równie podejrzane jak pojęcie wszystkich innych”.

Garp miał na myśli późniejsze złudzenie dziekana, że to, co wtedy złapał, było jednak małym Garpem spadającym z dachu, a nie gołębiem. Bez wątplenia na starość złapanie gołębia znaczyło dla poczciwego Bodgera tyle, co gdyby rzeczywiście złapał Garpa.

Rzeczywistość pojmowana przez Bodgera była istotnie często wypaczana. Wychodząc z infirmerii odkrył, że ktoś pozbawił jego samochód reflektora. Rozjuszony przeleciał przez wszystkie pokoje, łącznie z zakaźnymi.

- Przyjdzie chwila, że to światło oświetli tego, kto je zabrał! - wykrzykiwał, nikt się jednak nie zgłosił. Jenny była pewna, że to Meckler, ale nie miała na to żadnych dowodów. Dziekan Bodger odjechał do domu bez reflektora. W dwa dni później zgłosił się z grypą i leczył ją w infirmerii jako pacjent z zewnątrz. Jenny była w stosunku do niego szczególnie troskliwa.

Tak się złożyło, że dopiero po czterech dniach Bodger miał okazję zajrzeć do schowka na rękawiczki. Zakatarzony dziekan krążył po ciemnym kampusie z nowym reflektorem przytwierdzonym do samochodu, kiedy nagle zatrzymał go świeżo upieczony funkcjonariusz kampusowej policji.

- Na miłość boską, jestem dziekanem - powiedział do dygocącego młodzika.

- Nie mam żadnej pewności, sir - odparł policjant. - Powiedzieli mi, że mam pilnować, żeby nikt nie jeździł po ścieżkach.

- A nie powiedzieli ci, że masz nie wchodzić w drogę dziekanowi Bodgerowi? -

wrzasnął Bodger.

- To mi też powiedzieli, sir - rzekł policjant. - Ale skąd ja mam wiedzieć, że to właśnie pan jest dziekanem Bodgerem?

- No cóż - przyznał Bodger, który w duchu podziwiał sztywną służbistość młodzika - mogę przecież udowodnić, kim jestem. - W tym momencie uświadomił sobie, że ważność prawa jazdy mu się skończyła, i postanowił pokazać zamiast tego dowód rejestracyjny samochodu. Kiedy otworzył schowek na rękawiczki, znalazł tam zdechłego gołębia.

Meckler znów uderzył i znów nie było na to żadnego dowodu. Gołąb, nie na tyle dojrzały, żeby roić się od robactwa (jeszcze), zawszyl jednak dziekanowi Bodgerowi schowek na rękawiczki. Był na tyle zdechły, że wszy musiały sobie szukać nowego mieszkania. Dziekan znalazł dowód rejestracyjny, jak zdołał najprędzej, ale młody policjant nie mógł oderwać oczu od zdechłego ptaka.

- Mówili mi, że gołębie stanowią tutaj poważny problem - powiedział. - Mówili, że wszędzie wleżą.

- To chłopcy wszędzie wleżą - mruknął Bodger. - Gołębie są stosunkowo nieszkodliwe. To chłopców trzeba mieć na oku.

Przez czas, jak się wydawało Garpowi, nieprzyzwoicie długi Jenny nie spuszczała z niego oka. Prawdę powiedziawszy zawsze go miała na oku, ale jednocześnie miała do niego zaufanie. Teraz musiał jej udowodnić, że w dalszym ciągu na nie zasługuje.

W społeczności tak niewielkiej jak Steering wieści rozchodzą się szybciej niż liszaj. Historia o tym, jak to mały Garp wdrapał się na dach przybudówki infirmerii i jak jego matka nie wiedziała o tym, że on tam jest, uczyniła z nich obojga podejrzanych - Garpa jako dziecko, które może mieć zły wpływ na inne dzieci, Jenny jako matkę, która nie pilnuje syna. Garp oczywiście długo nie odczuwał żadnych przejawów dyskryminacji, ale Jenny, która nie tylko błyskawicznie je dostrzegała, ale nawet przeczuwała, raz jeszcze przekonała się, że ludzie robią niesprawiedliwe założenia. Ponieważ jej pięciolatek wymknął się na dach, to znaczy, że ona nigdy go nie pilnowała, jak trzeba. A to z kolei znaczy, że dziecko jest jakies dziwne.

Chłopak bez ojca, mówili niektórzy, zawsze ma w głowie głupie figle.

„To dziwne - pisał Garp - że rodzina, która miała mnie przekonać o mojej wyjątkowości, nigdy nie była bliska sercu matki. Matka była konkretna, wierzyła w

dowody i rezultaty. Wierzyła na przykład w Bodgera, bo przynajmniej to, co robił, uważała za jasne. Wierzyła w zawody konkretne, jak nauczyciel historii, trener zapasów, no i oczywiście pielęgniarka. Ale rodzina, która przekonała mnie o mojej wyjątkowości nigdy nie zasłużyła na jej szacunek. Według niej rodzina Percych nic nie robiła".

Jenny Fields nie była zresztą całkowicie odosobniona w tej opinii. Stewart Percy, mimo tytułu naukowego, nie miał właściwie żadnego konkretnego zawodu. Nazywano go sekretarzem szkoły, ale nikt nie widział, żeby kiedykolwiek pisał na maszynie. W rzeczywistości sam miał sekretarkę, która też nie bardzo miała co pisać. Przez jakiś czas wydawało się, że Stewart Percy ma powiązania ze Stowarzyszeniem Wychowanków Steering, organizacją absolwentów szkoły tak bogatą i przepojoną atmosferą sentymentalnej nostalgii, że cieszyła się wielkim uznaniem dyrekcji. Ale prezes do spraw absolwentów utrzymywał, że Stewart Percy jest zbyt nielubiany przez młodszych wychowanków, żeby się na coś przydać. Młodszy wychowankowie pamiętali go bowiem ze swoich szkolnych czasów.

A więc Stewart Percy był nielubiany wśród uczniów, którzy też podejrzewali, że on nic nie robi.

Był to duży, rumiany mężczyzna o pozornie potężnej klatce piersiowej, która nagle okazywała się po prostu dumnie wypiętym brzuchem. Brzuch rozsadał tweedową marynarkę wypychając przepisowy prążkowany krawat w szkolnych barwach Steering. „Krew i błękit” - mówił o nich zawsze Garp.

Stewart Percy, zwany przez żonę Stewie'm - chociaż całe pokolenie uczniów mówiło na niego Kałdun - strzygł swoją czuprynę w kolorze starego srebra na równego jeża. Chłopcy uważali, że ta jego płaska głowa ma przypominać lotniskowiec, ponieważ w czasie drugiej wojny światowej Percy służył w marynarce. Jego wkładem w program nauczania Steering był przedmiot, który Stewart prowadził przez piętnaście lat - tyle bowiem czasu zajęło komórce odpowiedzialnej za naukę historii zmobilizowanie dostatecznej odwagi i lekceważenia, żeby mu tego zabronić. Przez piętnaście lat sytuacja była kłopotliwa dla wszystkich. Tylko najmniej podejrzliwi nowicjusze dawali się zwieść na tyle, żeby uczęszczać na te wykłady. Przedmiot nazywał się „Moja część Pacyfiku” i obejmował jedynie te bitwy morskie drugiej wojny światowej, w których Stewart Percy uczestniczył osobiście. Czyli dwie. Jedyłą pomoc naukową, poza notatkami z wykładów, stanowiła prywatna kolekcja slajdów Percy'ego. Powstały one w jakimś dziwnym procesie technologicznym ze starych

czarno-białych zdjęć. Przynajmniej jedna z niezapomnianych tygodniowych porcji slajdów dotyczyła urlopu Stewarta na Hawajach, gdzie poznał i poślubił swoją żonę Midge.

- W każdym razie, chłopcy, ona nie była autochtonką - zaklinał się (aczkolwiek na szarym slajdzie trudno byłoby powiedzieć, kim była). - Po prostu przyjechała tam, ale stamtąd nie pochodziła - mawiał Stewart. Po czym następowała nie kończąca się kolekcja slajdów przedstawiających popielatoblond włosy Midge.

Wszystkie dzieci Percych też były blond i nasuwało się podejrzenie, że pewnego dnia ten kolor przejdzie im w stare srebro jak u Stewi'ego, którego chłopcy w czasach Garpa nazwali od dania serwowanego im w stołówce przynajmniej raz na tydzień Ciepłymi Kluchami. Na ciepłe kluchy składały się resztki jakiejś cotygodniowej podejrzonej potrawy. Ale Jenny Fields utrzymywała, że Stewart Percy składa się wyłącznie z włosów w kolorze starego srebra.

Niezależnie jednak od tego, czy nazywali go Kałdun, czy Ciepłe Kluchy, wszyscy chłopcy, którzy wybrali przedmiot „Moja część Pacyfiku”, mieli obowiązek wiedzieć wcześniej, że Midge nie jest rodowitą Hawajką, chociaż niektórym trzeba to było wyraźnie powiedzieć. Ale była jedna rzecz, o której wiedzieli cwańsi chłopcy, o której wiedział niemal od urodzenia każdy członek społeczności szkolnej - zobowiązany tym samym do cichej pogardy - a mianowicie, że Stewart Percy poślubił Midge Steering. Była ona ostatnią przedstawicielką tego rodu. Księżniczką Steering, o której rękę jeszcze nikt nie poprosił, na której drodze życiowej nie pojawił się jak dotąd żaden dyrektor. Stewart Percy poślubił tak wielkie pieniądze, że nie musiał nawet umieć nic robić - wystarczyło, że był małżonkiem.

Ojciec Jenny, król obuwia, na myśl o pieniądzach Midge Steering drżał w swoich butach.

„Midge była na tyle zbzikowana - napisała Jenny Fields w swojej autobiografii - że podczas drugiej wojny światowej pojechała spędzić wakacje na Hawajach. Miała totalnego bzika - pisała dalej Jenny - skoro rzeczywiście zakochała się w Stewarcie Percym i niemal natychmiast - jeszcze nim się wojna skończyła - zaczęła mu rodić kompletnie puste dzieciaki w kolorze starego srebra. A po wojnie przywiozła i jego, i swoją powiększającą się gromadkę do Steering. I powiedziała w szkole, żeby dali jej Stewi'emu pracę”.

„Za moich chłopięcych czasów - pisał Garp - znajdowała się już na świecie trójka czy czwórka małych Percych, a następne - tak, zawsze szykowały się następne -

były w drodze".

O licznych ciążyach Midge Percy Jenny ułożyła złośliwy wierszyk.

*Co u Midge Percy leży w brzuchu
Zaokrąglone, jasnoblonde?
Właściwie nic, tylko w kolorze
Starego srebra włosów kłęb.*

„Moja matka była kiepską literatką - pisał Garp mając na myśli autobiografię Jenny. - Ale jeszcze gorszą poetką". Kiedy jednak Garp miał pięć lat, był za mały na to, żeby mu udostępniać podobne wierszyki. Co wywołało taką niezyczliwość Jenny w stosunku do Stewarta i Midge?

Otóż Jenny wiedziała, że Stewart Percy patrzy na nią z góry. Ale nic nie mówiła, miała się tylko na baczności. Garp bawił się z dziećmi Percych, którym jednak nie było go wolno odwiedzać w przybudówce szpitalnej.

- Nasz dom jest naprawdę bardziej odpowiedni dla dzieci - powiedziała kiedyś Midge do Jenny przez telefon. - To znaczy - roześmiała się - przynajmniej niczego się nie nabawią.

Poza głupotą, pomyślała Jenny, ale powiedziała tylko:

- Ja wiem, kto jest chory na coś zaraźliwego, a kto nie. No i nikt się nie bawi na dachu.

Mówiąc szczerze, Jenny wiedziała, że dom Percych, stara rodzinna siedziba Steeringów, był dla dzieci wygodny - wyłożony dywanami, przestronny i pełen pięknych zabawek, na które złożyły się całe pokolenia. Był to dom bogaty. A ponieważ dbała o niego służba, panowała w nim jednocześnie swoboda. Jenny odnosiła się z niechęcią do swobody, na którą rodzina Percych mogła sobie pozwolić. Była zdania, że zarówno Midge, jak i Stewie są za głupi na to, żeby się troszczyć o swoje dzieci w tym stopniu, w jakim powinni; zresztą mieli tych dzieci tyle. Może kiedy ma się dużo dzieci - myślała - człowiek nie martwi się o każde z nich tak bardzo.

Jenny martwiła się więc szczególnie o swego Garpa, kiedy bawił się z dziećmi Percych. Sama wychowała się w zamożnym domu i doskonale wiedziała, że dzieci z zamożnych domów nie są w żaden magiczny sposób chronione przed niebezpieczeństwem, że nie rodzą się bezpieczniejsze, nie mają ulepszonych metabolizmu czy zaczarowanych genów, w co w Steering wiele osób wierzyło, ponieważ z pozoru często wyglądało to na prawdę. Było coś szczególnego w dzieciach z tych arystokratycznych rodzin: włosy zawsze miały na miejscu, skórę jak gdyby odporniej-

szą na uszkodzenia. Pewnie nie podlegają żadnym stresom, myślała Jenny, ponieważ niczego im nie brakuje. I wtedy zaczęła się zastanawiać, jak to się stało, że sama jest inna.

Jej niepokój o Garpa wynikał z dokładnych obserwacji, jakim poddawała małych Percych. Dzieciaki biegały samopas, jakby ich matka wierzyła, że są zaczarowane. Prawie albinosy, o skórze niemal przezroczystej, rzeczywiście robiły wrażenie bardziej magicznych, jeśli nie wręcz zdrowszych niż inne. I niezależnie od stosunku większości rodzin nauczycielskich do Ciepłych Kluch wszyscy czuli, że zarówno jego dzieci, jak i nawet sama Midge wyraźnie mają „klasę”. To sprawa mocnych, odpornych genów, uznali.

„Moja matka - pisał Garp - zawsze wojowała z ludźmi, którzy traktowali geny tak poważnie”.

Pewnego dnia Jenny patrzyła, jak jej mały, śniady Garp biegnie przez trawnik infirmerii w kierunku zajmowanych przez rodziny nauczycielskie elegantszych budynków, białych z zielonymi żaluzjami, pośród których dom Percych siedział jak najstarszy kościół w mieście pełnym kościołów. Jenny obserwowała, jak cała banda dzieciaków biega po bezpiecznych szkolnych ścieżkach, a wśród nich - najszybszy ze wszystkich - Garp. Za nim gnało całe stado ciapowatych, niezdarnych Percych i innych dzieci należących do gangu.

Był więc między nimi Clarence DuGard, którego ojciec uczył francuskiego i śmierział tak, jakby się nigdy nie mył; w każdym razie przez całą zimę nie otwierał okna. Był także Talbot Mayer-Jones, którego ojciec znał lepiej historię całej Ameryki niż Stewart Percy swoją małą część Pacyfiku. Była Emily Hamilton, która miała ośmiu braci i ukończyła poślednią żeńską szkołę na rok przedtem, nim w Steering przegłosowano dopuszczenie dziewcząt; jej matka popełniła samobójstwo, niekoniecznie na skutek tego głosowania, ale jednocześnie z ogłoszeniem jego wyników, co wywołało uwagę ze strony Stewarta Percy'ego, że taki będzie właśnie rezultat dopuszczenia dziewcząt do szkoły: więcej samobójstw. Byli też dwaj bracia Grove, Ira i Buddy, „chłopcy z miasta”; ich ojciec pracował w dziale gospodarczym. Stanowili oni delikatny problem: zastanawiano się mianowicie, czy ich w ogóle dopuścić do nauki w Steering, a jeżeli tak, to jak sobie poradzą.

Jenny obserwowała dzieci biegnące po prostokątach soczyście zielonej trawy i ścieżkach wysypanych świeżym żwirem i poprzedzielanych budynkami z cegły tak

zniszczonej i skruszałej, że przypominała różowy marmur. Razem z nimi, zauważyła z przykrością, biegał pies Percych, w pojęciu Jenny bezrozumny psi dureń, który latami lekceważył zarządzenie władz miejskich o prowadzeniu psów na smyczy w taki sam sposób, w jaki rodzina Percych obnosiła się ze swoją swobodą. Pies, ogromny nowofundlandczyk, wyrósł ze szczeniaka, który przewracał śmietniki i bezmyślnie kradł piłki baseballowe, na złośliwą bestię.

Pewnego dnia, podczas zabawy, pogryzł dzieciom piłkę do siatkówki; żadna złośliwość - zwykła psota. Ale kiedy chłopiec, do którego należała piłka, usiłował mu ją wyciągnąć z wielkiego pyska, pies ugryzł go pozostawiając mu w przedramieniu cztery głębokie ranki. Dla pielęgniarki nie ulegało wątpliwości, że nie był to jedynie przypadek, jako że „Bonkers jest troszeczkę podniecony, bo tak bardzo lubi bawić się z dziećmi” - według słów Midge Percy, która nazwała psa Bonkers. Poinformowała ona Jenny, że dostała go wkrótce po urodzeniu czwartego dziecka. Słowo „bonkers” oznacza lekkiego hysia, wyjaśniła Midge, i tak by właśnie można określić jej uczucia do Stewi’ego jeszcze po pierwszej czwórce dzieci.

- Miałam dosłownie hysia na jego punkcie - powiedziała - więc nazwałam biedne psisko Bonkers w dowód moich uczuć dla Stewi’ego.

„Midge Percy rzeczywiście miała hysia - pisała Jenny Fields. - Ten pies to był morderca, chroniony przez jedno z licznych, tyleż wątplych co bezsensownych założeń, z których słyną bogate warstwy Ameryki, a mianowicie, że swoboda, z jakiej korzystają zarówno dzieci, jak i zwierzęta z arystokratycznych domów, nigdy nie jest zbyt wielka i że nie mogą one nikomu zrobić krzywdy. To inni ludzie nie powinni się nadmiernie rozmnażać ani spuszczać swoich psów ze smyczy, zaś dzieci i psy ludzi bogatych mają prawo biegać samopas”.

„Kundle bogaczy” - nazywał je później Garp, mając na myśli zarówno psy, jak i dzieci.

Garp miał się zgodzić ze swoją matką, że pies Percych, Bonkers, ratowniczy nowofundlandczyk, był niebezpieczny. Nowofundlandy to jakby pletwonogie czarne bernardyny z oleście połyskliwą sierścią; są to z reguły psy leniwe i przyjacielskie. Ale na trawniku Percych Bonkers przerwał rozgrywkę piłki nożnej rzucając się całym swoim stusiedemdziesięciofuntowym cielskiem na plecy pięcioletniego Garpa i odgryzając dziecku lewą muszlę uszną, jak również kawałek pozostałej części ucha. Bonkers odgryzłby prawdopodobnie całe ucho, ale był to wyraźnie pies roztrzepany. Pozostałe dzieci rozbiegły się na wszystkie strony.

- Bonkie kogoś ugryzł - zameldowało jedno z młodszych Percych odciągając Midge od telefonu. Stawianie „y” albo „ie” na końcu imienia niemal każdego z członków rodziny należało do zwyczajów rodzinnych Percych. Tak więc dzieci: Stewart junior, Randolph, William, Cushman (dziewczynka) i Bainbridge (następna dziewczynka) były zwane w domu Stewie Drugi, Dopey, Willy Wrzask un, Cushie i Puchatek. Biedna Bainbridge, której imię nie poddało się przeróbce ani za pomocą końcówki „y”, ani „ie” i która ostatnia wygrzebała się z pieluch, została Puchatką; to chytre przezwisko miało być zarazem obrazowe i literackie.

Ale to Cushie uwiesiła się ramienia matki informując ją o tym, że „Bonkie kogoś ugryzł”.

- Kogo znowu tym razem? - zapytał Ciepłe Kluchy. Złapał raketkę do squasha, jak gdyby zamierzał zrobić z tym porządek, ale był kompletnie nie ubrany, wobec czego Midge zsunęła połę szlafroka i jako pierwsza z dorosłych wybiegła ocenić rozmiary szkody.

Stewart Percy często występował w domu nago. Nikt nie wiedział dlaczego. Może wynikało to z potrzeby odprężenia się po napięciu - chodził przecież tak bardzo ubrany po kampusie Steering nie mając nic do roboty poza obnoszeniem swojego starego srebra, a może była to konieczność - bo sadząc po tak licznych potomstwie, musiał często bywać w domu rozebrany.

- Bonkie ugryzł Garpa - zameldowała mała Cushie Percy.

Ani Stewart, ani Midge nie zauważyli stojącego w drzwiach malca, z połową twarzy pokiereszowaną i zalaną krwią.

- Pani Percy? - wyszeptał Garp, ale nie na tyle głośno, żeby go było słycać.

- Aha, więc to Garp? - powiedział Ciepłe Kluchy. Schylając się, żeby odłożyć do szafki raketkę, pierdnął. Midge posłała mu znaczące spojrzenie. - A więc Bonkie ugryzł Garpa - rozpamiętywał Stewart. - Przynajmniej pies ma dobry gust, co?

- Och, Stewie - rzekła Midge; zaśmiała się nieznacznie, jakby splunęła. - Przecież to jeszcze mały chłopiec. - No i rzeczywiście: stał przed nimi bliski omdlenia, krwawiąc na drogi dywan rozciągający się od hallu, bez jednej zmarszczki czy fałdki, przez cztery monstrualne pokoje parteru.

Cushie Percy, która miała umrzeć w kwiecie wieku usiłując wydać na świat swoje pierwsze dziecko, zobaczyła Garpa zraszającego krwią ich rodzinny klejnot - bezcenny dywan.

- Bo się wyrzygam! - krzyknęła wybiegając przez drzwi.

- Będę musiała zadzwonić do twojej matki - Midge zwróciła się do półprzytomnego Garpa, któremu jeszcze ciągle w resztkach ucha brzmiało warczenie i kłapanie psa.

Latami Garp interpretował sobie fałszywie „Bo się wyrzygam” Cushie. Był przekonany, że nie miała na myśli jego obgryzionego i zakrwawionego ucha, tylko wielką szarą nagość swego ojca, która wypełniała hall. Bo dla Garpa właśnie to było obrzydliwe - siwowłosy, brzuchaty eks-marynarz, który wyłoniwszy się z potężnych kręconych schodów Percych właśnie się ku niemu zbliżał.

Stewart Percy ukląkł przed Garpem i zajrzał ciekawie w zakrwawioną twarz chłopca: zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na zmasakrowane ucho i Garp zastanawiał się, czy w ogóle powinien wskazać nagiemu olbrzymowi miejsce, w którym doznał obrażeń. Ale Stewart Percy nie był ciekaw miejsca obrażeń Garpa. Ciekaw był natomiast jego błyszczących, piwnych oczu, ich koloru i kształtu. Jak gdyby przekonał się o czymś ostatecznie, skinął poważnie głową i powiedział do swojej głupkowatej jasnowłosej Midge:

- Żółtek.

Miały upłynąć lata, zanim Garp pojął w pełni i to. Ale Stewie wyjaśnił Midge:

- Dostatecznie długo pływałem po Pacyfiku, żeby poznać japońskie oczy. Mówiłem ci, że to był Żółtek. - Przez „to” Percy określał osobę ojca Garpa, obojętne, za kogo go uznał. Zgadywanie, kto był ojcem Garpa, stanowiło ulubioną rozrywkę intelektualną w środowisku Steering. Stewart Percy na podstawie własnych doświadczeń nabytych w swojej części Pacyfiku zdecydował, że był on Japończykiem.

„Wtedy - pisał Garp - myślałem, że słowo »Żółtek« ma coś wspólnego z moim uchem”.

- Nie ma sensu dzwonić do jego matki - powiedział Stewie do Midge. - Zaprowadź go po prostu do infirmerii. Przecież w końcu jest pielęgniarką. Najlepiej będzie wiedziała, co zrobić.

Jenny rzeczywiście wiedziała.

- Dlaczego nie przyprowadziliście tu psa? - spytała obmywając ostrożnie to, co zostało z małego ucha Garpa.

- Bonkersa? - spytała Midge.

- Proszę go tu przyprowadzić - powiedziała Jenny. - Dam mu zastrzyk.

- Zastrzyk? - spytała Midge i roześmiała się. - Czy chce pani powiedzieć, że jest taki zastrzyk, po którym nie będzie już więcej gryzł ludzi?

- Nie - odparła Jenny. - Chcę powiedzieć, że możecie zaoszczędzić na weterynarzu. Jest taki zastrzyk, po którym on zdechnie. Taki zastrzyk miałam na myśli. I wtedy rzeczywiście już więcej nikogo nie ugryzie.

„W ten sposób - pisał Garp - rozpoczęła się wojna z Percymi. Myślę, że dla mojej matki była to wojna klasowa, taka, jakie, powiedziała później, są na dobrą sprawę wszystkie wojny. Jeśli o mnie chodziło, wiedziałem, że po prostu muszę się wystrzeżać Bonkersa. I reszty Percych”.

Stewart Percy wysłał do Jenny list na papierze firmowym sekretarza Steering. „Nie mieści mi się w głowie, że pani rzeczywiście chce, abyśmy uśpili Bonkersa” - pisał.

- To dziwne, że cośkolwiek może się nie zmieścić w takim wielkim, pustym łbie - odpowiedziała mu Jenny przez telefon. - Przynajmniej uwiążcie go na stałe.

- Co za sens mieć psa, skoro nie mógłby on biegać swobodnie - odpowiedział Stewart.

- To go wobec tego zabijcie - rzekła Jenny.

- Dziękuję za dobrą radę. Bonkers przeszedł wszystkie obowiązkowe szczepienia. Poza tym to w gruncie rzeczy łagodny pies, chyba że coś działa na niego prowokująco.

„Najwyraźniej - pisał Garp - Ciepłe Kluchy uważał, że na Bonkersa działają prowokująco Żółtki”.

- Co to znaczy „dobry gust”? - zapytał matkę mały Garp. W infirmerii doktor Pell zszywał mu właśnie ucho; Jenny przypomniała mu, że Garp dostał przed chwilą zastrzyk przeciwko tężcowi.

- Dobry gust? - spytała Jenny. Dziwnie amputowane ucho zmuszało zawsze Garpa do noszenia dłuższych włosów, na co często narzekał.

- Ciepłe Kluchy powiedział, że Bonkers ma dobry gust - wyjaśnił Garp.

- Dlatego, że cię ugryzł? - zapytała Jenny.

- Chyba tak - odparł Garp. - A co to znaczy?

Jenny doskonale wiedziała, co to znaczy. Ale powiedziała:

- To znaczy, że Bonkers musiał wiedzieć, że jesteś najsmaczniejszy ze wszystkich dzieci.

- A ja jestem najsmaczniejszy? - zdziwił się Garp.

- Oczywiście - odparła Jenny.

- A skąd Bonkers mógł wiedzieć? - zapytał Garp.

- Nie mam pojęcia - powiedziała Jenny.
- A co to znaczy Żółtek? - zapytał Garp.
- Ciepłe Kluchy tak na ciebie powiedział? - spytała Jenny.
- Nie - odparł Garp. - Wydaje mi się, że on tak powiedział o moim uchu.
- Aha, o uchu. To znaczy, że masz wyjątkowe uszy. - Jenny zastanawiała się

jednak, czy przypadkiem nie powiedzieć mu, co myśli o Percych już teraz i czy jest dostatecznie do niej podobny, żeby coś takiego jak uczucie gniewu lepiej wykorzystał w późniejszym i ważniejszym momencie. Może, pomyślała, powinnam zachować dla niego ten kasek na czas, kiedy będzie potrafił zrobić z niego użytek. Oczywiście wyobraźni widziała zawsze przed sobą liczniejsze i większe bitwy.

„Matce najwyraźniej potrzebny był jakiś wróg - pisał Garp. - Rzeczywisty czy wydumany, taki wróg pomagał jej obrać właściwą drogę, pomagał jej mnie ustawiać. Macierzyństwo nie było dla niej czymś naturalnym; doszedłem do wniosku, że moja matka nie wierzyła, by cokolwiek mogło się odbywać w sposób naturalny. Była niepokorna i ostrożna do końca”.

W tych wczesnych latach Garpa wrogiem Jenny stał się świat według Stewarta Percy'ego. Ten etap można by nazwać „Przygotowaniem Garpa do Steering”.

Patrzyła, jak włosy stopniowo zakrywają mu brakujące części ucha. Była zdumiona jego urodą, ponieważ uroda nie istniała jako problem w jej stosunkach z sierżantem technikiem Garpem. Jeśli nawet sierżant Garp był przystojny, Jenny tego nie zauważyła. Ale młody Garp był przystojny, widziała to wyraźnie, chociaż pozostał mały - jak gdyby urodzony do wieżyczki strzelniczej.

Banda dzieciaków hasająca po ścieżkach, trawnikach i boiskach Steering w miarę dorastania stawała się coraz bardziej niezdarna i nieśmiała. Clarence DuGard wkrótce musiał zacząć nosić okulary, które ciągle tłukł; w ciągu kilku lat Jenny wielokrotnie ratowała go z zapalenia ucha, a raz opatrywała mu złamany nos; Talbot Mayer-Jones sepleniał; z figury przypominał butelkę, ale miał urocze usposobienie i lekkie chroniczne zapalenie zatok. Emily Hamilton tak wystrzeliła w górę, że miała zawsze kolana i łokcie poobijane i zakrwawione od ciągłych upadków, a jej małe piersi uwydatniały się w sposób przyprawiający Jenny o lekkie drżenie - od czasu do czasu przychodziło jej do głowy, że chciałaby mieć córkę. Ira i Buddy Grove, „chłopcy z miasta”, mieli grube pęciny, przeguby rąk i szyje, i palce wiecznie upaprane i pokiereszowane od myszkowania po warsztatach ojca. No i wreszcie dzieci Percych: rosły jasnowłose i metalicznie czyste o oczach koloru matowego lodu na słonawej

rzece Steering, która sącząc swoje wody przez słone bagna wpadała do pobliskiego morza.

Stewart junior, zwany Stewie'm Drugim, ukończył Steering, jeszcze zanim Garp osiągnął wiek, w którym mógł rozpocząć naukę. Jenny leczyła go dwukrotnie na zwichniętą nogę, a raz na rzeźączkę. Później zaliczył jeszcze wydział ekonomiczny na Harvardzie, zakażenie gronkowcem i rozwód.

Randolpha Percy'ego nazywano Dopeyem aż do śmierci (umarł na atak serca w wieku lat trzydziestu pięciu; był dzieciorobem po myśli swego grubego ojca, który sam spłodził piątkę dzieci). Dopey nigdy nie zdołał ukończyć Steering - przeniósł się do jakiejś innej szkoły średniej, gdzie po pewnym czasie udało mu się zrobić maturę. Ale kiedy pewnej niedzieli w jadalni Midge krzyknęła: „Nasz Dopey nie żyje!”, jego przezwisko zabrzmiało w tym kontekście tak idiotycznie, że po śmierci rodzina mówiła o nim tylko Randolph.

William Percy, Willy Wrzaskun, trzeba mu oddać sprawiedliwość, wstydził się swojego głupiego przezwiska i chociaż był o trzy lata starszy od Garpa, jako uczeń ostatniej klasy w miły sposób zaprzyjaźnił się z malcem, który dopiero zaczynał Steering. Jenny zawsze lubiła Williama i nazywała go Williamem. Wiele razy leczyła go z bronchitu, a wiadomość o jego śmierci (zginął na wojnie, zaraz po ukończeniu Yale) tak ją poruszyła, że napisała do Midge i Stewarta długi list z kondolencjami.

Co do dziewcząt z rodziny Percych, Cushie też dostała za swoje (Garp miał w tym nawet skromny udział; byli niemal rówieśnikami). Zaś biednej Bainbridge, najmłodszej z rodu, której przekleństwem było przezwisko Puchatek, spotkanie z Garpem miało być oszczędzone aż do momentu, kiedy osiągnął wiek dorosły.

Jenny śledziła rozwój wszystkich dzieci, łącznie ze swoim synem. W ciągu tych lat, kiedy czekała, aż Garp dorośnie do Steering, czarna bestia Bonkers zestarzał się bardzo i zrobił się niemrawy, jednak nie bezzębny, zauważyła Jenny. Ale Garp zawsze miał się na baczności, nawet jak już Bonkers przestał się uganiać za dziećmi, nawet kiedy wielki i zwały krył się w cieniu białych frontowych filarów domu Percych - skołtuniony i obrzydliwy jak krzew cierniowy w ciemności - nawet wtedy Garp się go wystrzegał. Czasem jakieś młodsze dziecko czy ktoś nowy podszedł do niego za blisko i odchodził dziabnięty. Jenny pilnie obserwowała wszelkie szycia i wyszarpane kawałki ciała, które były jego sprawką, ale Ciepłe Kluchy wytrzymał wszystkie ataki Jenny i Bonkers żył.

„Myślę, że matce w gruncie *rzeczy* odpowiadała obecność tego zwierzaka,

jakkolwiek nigdy by się do tego nie przyznała - pisał Garp. - Bonkers stanowił żywe uosobienie wroga, któremu na imię było Percy, zakłete w mięśniach, sierści i cuchnącym oddechu. Musiała chyba patrzeć z przyjemnością, jak stary pies słabnie, a ja się rozwijam".

Kiedy Garp był gotowy do Steering, czarny Bonkers skończył czternaście lat. Kiedy Garp wstępował do szkoły, Jenny Fields mogła się poszczycić własnym starym srebrem w liczbie kilku siwych włosów. Kiedy Garp rozpoczynał naukę, Jenny miała zaliczone wszystkie przedmioty, które były tego warte; zdążyła je też umieścić w skali wartości uniwersalnych i rozrywkowych. Kiedy Garp został stypendystą Steering, Jenny Fields otrzymała tradycyjny dar dla członków grona profesorskiego i personelu, którzy przepracowali w szkole piętnaście lat: słynny serwis obiadowy. Surowe budynki z cegły, nie wyłączając przybudówki szpitalnej, zostały odcisnięte w dużych płaszczyznach talerzy i oddane w żywych szkolnych barwach: stara poczciwa krew i błękit.

Rozdział III

Czym chciałby zostać, kiedy dorośnie

W roku 1781 wdowa i dzieci po Everecie Steeringu założyli Akademię Steeringa, jak pierwotnie nazywała się szkoła. Krając swoją ostatnią świąteczną gęs Everett Steering oświadczył bowiem rodzinie, że nic więcej nie ma do zarzucenia swojemu miastu, jak tylko brak odpowiedniej akademii, która by przygotowała jego chłopców do wyższych studiów. O dziewczętach nawet nie wspomniał. Był on budowniczym statków w miasteczku, które żyło dzięki połączeniu z morzem, jakie stanowiła skazana na zagładę rzeczka; Everett wiedział, że jest ona skazana na zagładę. Był człowiekiem mądrym i nie zawsze skłonny do rozrywek, ale po kolacji wigilijnej oddał się zabawie w śnieżki ze swoimi synami i córkami. Przed wieczorem zmarł na apopleksję. Everett Steering liczył siedemdziesiąt dwa lata i nawet jego synowie i córki byli już za starzy na śnieżki, ale miał prawo nazywać Steering swoim miastem.

Zostało ono nazwane jego imieniem na fali entuzjazmu wywołanego uzyskaniem niepodległości przez miasto po wojnie o niepodległość. Za sprawą Everetta Steeringa obsadzono armatami strategiczne punkty wzdłuż brzegów rzeki; zadaniem tych armat było zniechęcenie Anglików do ataku - do którego nigdy zresztą nie doszło; mieli oni wypłynąć z Great Bay i dostać się rzeką w głąb łądu. Rzeka w owym czasie nosiła nazwę Great River, ale po wojnie przemianowano ją na Steering River. Miasto - które nie miało dotychczas właściwej nazwy, znane jako Błonia z tytułu swego położenia na słono-słodkich bagnach zaledwie kilka mil w głąb łądu od Great Bay - również nazwano Steering.

Wiele rodzin żyło tu z budowy okrętów albo z innych związanych z morzem zawodów; miasteczko, pierwotnie zwane Błoniami, pełniło rolę portu pomocniczego w stosunku do Great Bay. Ale jednocześnie z oznajmieniem o intencji założenia akademii dla chłopców Everett Steering zakomunikował swojej rodzinie, że Steering niedługo już będzie portem. Koryto rzeki, jak zauważył, zaczynało się już bowiem zamulać.

Everett Steering był znany z tego, że przez całe swoje życie powiedział tylko jeden żart, i to tylko swojej rodzinie. Ten żart polegał na tym, że jedyna rzeka, która

miała zostać nazwana jego imieniem, była kompletnie zamulona; z minuty na minutę coraz bardziej. Cały teren, aż do morza, stanowiły bagna i łąki i Everett wiedział, że w końcu nawet zwykłą łódką nie da się dopłynąć ze Steering do Great Bay (chyba że podczas bardzo wysokiej wody), o ile mieszkańcy nie uznają, że warto utrzymać portowy charakter miasta, i nie pogłębią koryta rzeki. Everett wiedział również, że pewnego dnia morze wypełni to koryto od jego rodzinnego miasta aż do Atlantyku.

W następnym wieku rodzina Steeringów okazała mądrość przestawiając się na fabryki tekstylne, które zbudowała wykorzystując spadek wody na słodkowodnej części rzeki. Do czasu wojny domowej jedynym przemysłem miasta położonego nad Steering River były zakłady Steering. Kiedy sytuacja do tego dojrzała, Steeringowie przerzucili się z okrętów na tekstylia.

Inny ród Steering, który też żył z budowy statków, nie miał tyle szczęścia; ostatnia zbudowana przez nich jednostka dotarła tylko do połowy drogi między Steering a morzem. Na słynnym niegdyś odcinku rzeki zwanym Kiszka ostatni statek zbudowany w Steering osiadł na zawsze w mule i latami widać go było z drogi, jak leży do połowy zanurzony w czasie przyływu i całkowicie obnażony w czasie odpływu. Stanowił on ulubione miejsce zabaw dzieciaków aż do momentu, kiedy przechylwszy się na burtę zmiażdżył czyjś psa. Niejaki Gilmore, hodowca świń, pozbawił wrak masztów, które posłużyły mu do podniesienia stodoły. Do czasu, kiedy Garp rozpoczął naukę w Steering, szkolna reprezentacja wioślarska mogła trenować tylko podczas przyływu. Podczas odpływu rzeka od Steering aż po morze stawała się jedną wielką bagnistą równiną.

A więc męska szkoła w Steering powstała w roku 1781 dzięki wyczuciu wody Everetta Steeringa. Mniej więcej po upływie wieku osiągnęła rozkwit.

„Na przestrzeni lat - pisał Garp - mądre geny Steeringów musiały ulec pewnemu rozwodnieniu; wyczucie wody z dobrego zmieniło się w bardzo złe”. - Garp z upodobaniem wyrażał się w ten sposób o Midge Steering Percy. - „Przedstawicielka rodu Steeringów, której instynkt wody upłynął”. Dopatrywał się rozkosznej ironii w fakcie, że „geny Steeringów decydujące o ich wyczuciu wody dopłynęły do Midge wyprane z chromosomów. Jej wyczucie wody było tak zwyrodniałe, że najpierw rzuciło ją na Hawaje, a następnie w ramiona Marynarki Stanów Zjednoczonych w osobie Ciepłych Kluch”.

Na Midge Steering Percy kończył się ród. Ostatnim, co po niej miało prawo nosić imię „Steering”, była już tylko szkoła; może stary Everett przewidział i to; wiele

rodzin zostawiało po sobie mniej albo coś gorszego. W czasach Garpa przynajmniej szkoła w Steering była w dalszym ciągu nieustępliwa i zdecydowana w dążeniu do swego celu „przygotowywania młodych mężczyzn do wyższych studiów”. Co do Garpa, miał on matkę, która traktowała ten cel równie poważnie.

On zaś sam tak poważnie brał szkołę, że nawet Everett Steering, ze swoim jedynym w życiu żartem, byłby z niego zadowolony.

Garp wiedział, jakie wybrać przedmioty i których nauczycieli. To często przesądza o powodzeniu czy niepowodzeniu w szkole. Nie był może uczniem specjalnie błyskotliwym, ale miał rozeznanie; wiele spośród obranych przez niego przedmiotów Jenny zachowała jeszcze świeżo w pamięci, a była dobrym instruktorem. Garp nie miał prawdopodobnie wrodzonego pociągu do zajęć intelektualnych, podobnie jak jego matka, ale odznaczał się żelazną dyscypliną Jenny; pielęgniarka ma wrodzone poczucie ładu i porządku, a Garp wierzył w swoją matkę.

Jeżeli Jenny w czymkolwiek nie nadążała jako doradca, to tylko w jednej dziedzinie. Nigdy mianowicie nie przywiązywała wagi do sportów w Steering; nie potrafiła podsunąć Garpowi żadnych dyscyplin, które miałby uprawiać. Mogła mu powiedzieć, że z pewnością będzie wolał cywilizację wschodnioazjatycką u pana Merrilla niż Anglię Tudorów u pana Langdella, ale na przykład zupełnie nie zdawała sobie sprawy z różnic pomiędzy futbolem amerykańskim a piłką nożną. Wiedziała jedynie, że jej syn jest mały, silny, proporcjonalnie zbudowany i szybki; i że jest samotnikiem; przyjęła, że wie, jakie sporty chce uprawiać. Garp nie wiedział.

Wioślarstwo, myślał, jest głupie. Musisz ruszać wiosłem równo z innymi, jak galernik, zanurzając je w brudnej wodzie - a woda w Steering River była rzeczywiście brudna. Pływało w niej pełno fabrycznych zanieczyszczeń i ludzkich odchodów i zawsze na bagnach ustępująca fala pozostawiała słony szlam - paskudztwo o konsystencji zakrzepłego tłuszczu z bekonu. Rzekę Everetta Steeringa wypełniało coś więcej niż muł, ale nawet gdyby miała wody kryształowo czyste, z Garpa i tak nie byłby wioślarz. Ani tenisista. W jednym ze swoich wczesnych wypracowań w czasie pierwszego roku nauki w Steering Garp napisał: „Nie lubię piłek. Piłka dzieli sportowca od jego zadania. Tak samo krążek hokejowy i lotka badmintona; podobnie łyżwy i narty oddzielają ludzkie ciało od ziemi. A jeśli się jeszcze bardziej oddali ciało od walki przez użycie takich urządzeń, jak rakietki czy wszelkiego rodzaju kije - niweczy to całą czystość ruchu, siły czy koncentracji”. Nawet w wieku lat piętnastu

można było zauważyć u Garpa własne poczucie estetyki.

Ponieważ był za mały na futbol amerykański, a piłka nożna nieodwołalnie wymagała piłki, biegał na długi dystans, co wówczas nazywano biegiem przełajowym, ale zbyt często wpadał w kałuże, w rezultacie czego całą jesień nie wychodził z zaziębienia.

Kiedy rozpoczął się sezon sportów zimowych, Jenny była zmartwiona niepokojem, jaki okazywał Garp; zarzucała mu, że niepotrzebnie robi problem z tak prostej sprawy - jak może nie wiedzieć, który ze sportów odpowiada mu najbardziej? Ale dla Garpa sport nie miał charakteru rekreacyjnego. Nic dla Garpa nie miało charakteru rekreacyjnego. Najwyraźniej od samego początku uważał, że chodzi o forsowny wysiłek („Pisarze nie czytają dla przyjemności” - miał napisać później, myśląc o sobie). Wydaje się, że jeszcze zanim młody Garp wiedział, że zostanie pisarzem, zanim wiedział, czym chce zostać, nie robił nic „dla przyjemności”.

W dniu, w którym należało się zapisać na sporty zimowe, przebywał w infirmerii. Jenny postanowiła zatrzymać go w łóżku.

- I tak nie wiesz, na co się zapisać - powiedziała. Jediną odpowiedzią Garpa był kaszel.

- To przechodzi wszelkie wyobrażenie - rzekła Jenny. - Spędziłeś piętnaście lat w tym zasmakowanym, ordynarnym środowisku i nie możesz sobie poradzić z podjęciem decyzji, jaki masz uprawiać sport, żeby mieć czym wypełnić popołudnia.

- Nie widzę dla siebie sportu, mam - wychrypiał Garp. - A coś muszę uprawiać.

- Dlaczego? - zapytała Jenny.

- Nie wiem - jęknął. Zakasłał się.

- Boże, zmiłuj się! - narzekała Jenny. - Ja ci coś wynajdę. Pójdę do hali sportowej i na coś cię zapiszę.

- Nie! - błagał Garp.

Jenny wygłosiła to, co było dla niego w ciągu czterech lat pobytu w Steering jej litanią.

- Wiem chyba trochę więcej od ciebie, nie uważasz? - powiedziała. Garp opadł na przepoconą poduszkę.

- Ale nie na ten temat, mam - odparł. - Wysłuchałaś wszystkich możliwych wykładów, ale nigdy nie grałaś w żadnej drużynie.

Jeśli nawet Jenny uznała to za jedno ze swoich rzadkich przeoczeń, nie dała

tego po sobie poznać. Był typowy grudniowy dzień w Steering - ziemię pokrywała szklista powłoka zamrażonej chlapy i śnieg, szary i rozdeptany butami ośmiuset chłopców. Jenny Fields opatulila się i ruszyła *przez* ponury zimowy kampus jak zdecydowana i obowiązkowa matka, którą rzeczywiście była. Jak pielęgniarzka, która nie zważając na nic postanowiła zanieść na srogi front rosyjski choćby nikły promyk nadziei. W takim nastroju Jenny doszła do hali sportowej. Podczas swego piętnastoletniego pobytu w Steering nigdy tutaj nie była; nie wiedziała, że to takie ważne. W drugim końcu kampusu, podzielonym na wieloakrowe kręgi boisk, bieżni i kortów tenisowych i przypominającym przekrój poprzeczny wielkiego ludzkiego uła, Jenny zobaczyła ogromną halę sportową strzelającą w górę z brudnego śniegu - jak bitwę, której nie przewidziała; jej serce wypełniły troska i smutek.

Hala Sportowa i Szatnie Seabrooka, Stadion Seabrooka, Lodowisko Seabrooka - wszystkie te obiekty zostały nazwane na cześć wspaniałego sportowca z okresu pierwszej wojny światowej, asa pilotażu, Milesa Seabrooka, którego twarz i masywny tors powitały Jenny z tryptyku umieszczonego pieczołowicie w szklanej gablotce w obszernym korytarzu hali sportowej. Miles Seabrook, absolwent z 1909 roku, w skórzanym futbolowym hełmie i w naramiennikach ochronnych, najprawdopodobniej niepotrzebnych. Pod zdjęciem zawodnika Nr 32 znajdował się niemal całkowicie zniszczony podkoszulek: spłowiały, poddany częstym atakom moli, leżał stłamszony w zamkniętej gablotce na trofea pod pierwszą z trzech części tryptyku przedstawiającego Milesa Seabrooka. Napis głosił: JEGO ORYGINALNA KOSZULKA.

Środkowa część tryptyku ukazywała Milesa Seabrooka jako bramkarza hokejowego - w tamtych dawnych czasach bramkarze hokejowi nosili naramienniki, ale dzielna twarz, cała w bliznach, była odsłonięta, a oczy czyste i wyzywające. Potężny tułów Milesa Seabrooka wypełniał mizerną w porównaniu z nim bramkę. Jak można było strzelić gola Milesowi Seabrookowi, zawodnikowi o niedźwiedzich skórzanych łapach odznaczających się kocią zwinnością, z kijem podobnym do maczugi, z rozepchniętym ochraniaczem piersi, z łyżwami przypominającymi długie pazury gigantycznego mrówkojada? Pod zdjęciami hokejowym i futbolowym znajdowały się wyniki dorocznych rozgrywek ligowych. W każdej dyscyplinie sportu w Steering sezon kończył się tradycyjnymi rozgrywkami z Akademią Bath, niemal tak starą i sławną jak Steering, i z każdym ze znieawidzonych rywali tutejszych chłopców. Gnojki z Bath występowały w swoim złocie i zieleni (w czasach Garpa te kolory nazywano rzygowiną i sraczką). Steering 7, Bath 6; Steering 3, Bath 0. Nikt nie strzelił bramki Milesowi.

Kapitan Miles Seabrook, jak głosił podpis pod trzecim zdjęciem tryptyku, spoglądał na Jenny Fields, ubrany w mundur aż nazbyt dobrze jej znany. Zorientowała się natychmiast, że był to mundur lotnika; chociaż uniformy zmieniły się w okresie międzywojennym, to jednak nie na tyle, żeby Jenny nie poznała obszytego kożuszką kołnierza kurtki uniesionego pod zawadiackim kątem, nonszalancko rozpiętego pod brodą rzemyka pilotki, podniesionych kłapek na uszy (uszy Milesa Seabrooka nie marzły nigdy!) i gogli niedbale zsuniętych z czoła. Na szyi kapitana widniał śnieżnobiały szalik. Pod tym zdjęciem nie było żadnych wyników, ale gdyby ktokolwiek ze Studium Sportowego Steering miał poczucie humoru, Jenny mogłaby przeczytać: „Stany Zjednoczone 16, Niemcy 1”. Szesnaście oznaczało bowiem liczbę samolotów straconych przez Milesa Seabrooka, zanim Niemcy strzelili mu gola.

Wstążki i medale leżały zakurzone w zamkniętej gablotce na trofea jak ofiary na ołtarzu Milesa Seabrooka. Między innymi kawałek drewna, który Jenny niesłusznie wzięła za część zestrzelonego samolotu bohatera; była przygotowana na każdą obrzydliwość, ale drewno okazało się jedyną pozostałością jego kija hokejowego. Dlaczego na przykład nie ochraniacz na genitalia? - pomyślała Jenny. Albo pukiel włosów niby pamiątka po zmarłym dziecku? Ale włosy na każdym z fotosów były przykryte hełmem, czapką albo wielką pasiastą szarfą. Być może - pomyślała Jenny z charakterystyczną pogardą - Miles Seabrook był łysy.

Jenny z niechęcią odnosiła się do szczątków z czią złożonych w tej zakurzonej gablotce. Żołnierz-sportowiec dokonujący po prostu jeszcze jednej zmiany uniformu. Za każdym razem jego ciało zyskiwało jedynie pozory ochrony: jako szkolna pielęgniarka w Steering przez piętnaście lat oglądała najróżniejsze kontuzje hokejowe i futbolowe odniesione pomimo hełmów, masek, pasków, klamerek i wszelkiego rodzaju ochraniaczy. A przykład sierżanta Garpa i innych przekonał Jenny, że to na wojnie mężczyźni korzystali z najbardziej iluzorycznej ochrony.

Znużona, ruszyła dalej; kiedy minęła gablotki, odniosła wrażenie, że zbliża się do silnika niebezpiecznej maszyny. Unikała wielkich jak areny przestrzeni hali sportowej, skąd dochodziły krzyki i stękania towarzyszące walce. Szukała ciemnych korytarzy, gdzie, jak sądziła, musiały się znajdować biura. Czy ja tu po to spędziłam piętnaście lat, pomyślała, żeby stracić moje dziecko dla czegoś takiego?

Częściowo rozpoznała zapach. Środek dezynfekcyjny. Lata usilnych zabiegów. Nie ulegało wątpliwości, że hala sportowa była miejscem, gdzie się czaiły niezwykle potężne zarazki czekając tylko dogodnych warunków, żeby się rozmnożyć. Ta część

zapachu przypominała jej szpitale i infirmerię Steering - butelkowane powietrze pooperacyjne. Ale tu, w ogromnym gmachu wzniesionym ku czci Milesa Seabrooka, panował jeszcze inny odór, równie nienawistny Jenny Fields jak zapach seksu. Kompleks budynków składający się z hali sportowej i szatni przy boiskach został wybudowany w roku 1919, a więc niecały rok przed jej urodzeniem: na to, co Jenny czuła w tej chwili, złożyło się niemal czterdzieści lat pierdnieć i potów wyciśniętych z chłopców poddanych stresom i wysiłkom. To, co czuła Jenny, było walką, ostrą i pełną rozczarowań. Czymś na tyle dla niej obcym, że nigdy nie stanowiło to elementu jej dorastania.

W korytarzu, który wydawał się oddzielony od centralnych obszarów różnych dziedzin działalności sportowej, Jenny przystanąła i zaczęła nasłuchiwać. Gdzieś w pobliżu znajdowała się sala podnoszenia ciężarów; słyszała szcęk żelaza i potworne stękanie chłopców zarabiających na przepukliny - był to punkt widzenia pielęgniarki na tego rodzaju wysiłek. Prawdę powiedziawszy, Jenny odniosła wrażenie, że to cały budynek stęka i prze, jak gdyby każdy chłopak w Steering cierpiał na zatwardzenie i przyszedł sobie ulżyć w tej koszarnej sali.

Poczuła się załamana, tak jak może się poczuć tylko osoba bardzo ostrożna w obliczu popełnionego błędu.

W tym momencie niemal wpadł na nią zakrwawiony zapaśnik. Jenny nie wyobrażała sobie, jak taki półprzytomny i ociekający krwią chłopak mógł ją zaskoczyć, ale nagle otworzyły się jakieś drzwi w tak niewinnie wyglądającym korytarzu i dosłownie przed nosem Jenny wyrosła skołtuniona głowa jakiegoś zapaśnika, w ochraniaczach na uszy przekrzywionych tak, że pasek, który miał być pod brodą, zjechał mu na górną wargę podciągając ją do góry, co nadawało chłopakowi wyraz szyderczo uśmiechniętej ryby. Niewielkie zagłębienie w pasku, przeznaczone na brodę, wypełniała krew z nosa.

Jako pielęgniarka Jenny nie była wrażliwa na widok krwi, wzdragała się jednak na myśl o czekającym ją zderzeniu ze zwałistym, mokrym brutalem, który jednak uchylając się zdołał uniknąć kolizji. Z podziwu godną energią, wspaniałym łukiem puścił pawia na swego partnera, który go podtrzymywał.

- Przepraszam - wybulgotał, ponieważ większość chłopców w Steering była dobrze wychowana.

Kolega okazał się jeszcze na tyle uprzejmy, że zdjął mu z głowy kask, żeby się nieszczęśnik nie zachłysnął ani nie zadławił własnymi rzygowinami; zupełnie nie

bacząc na stan, w jakim sam się znalazł, wrzasnął głośno za siebie w stronę otwartych drzwi sali zapaśniczej:

- Carlisle nie doniósł!

Z drzwi pomieszczenia, którego ciepło kusiło Jenny powabem tropikalnej ciepłarni w środku zimy, doszedł czyjś czysty tenor:

- Carlisle! Zjadłeś dwie porcje tych pomyj stołóvkowych na lunch! Jedna zupełnie by wystarczyła, żeby wyrzygać! Wcałe mi cię nie żal!

Carlisle, dla którego nie było współczucia, szedł dalej zygzakiem znacząc swoją drogę krwawym śladem aż za drzwi. Jego partner, według Jenny też powściągliwy w okazywaniu współczucia, pozbył się w korytarzu kasku Carlisle'a wraz z resztą rzygowin, a następnie ruszył za kolegą do szatni. Jenny miała nadzieję, że idzie się przebrać.

Spojrzała na otwarte drzwi sali zapaśniczej: zaczerpnęła tchu i weszła do środka. Natychmiast straciła równowagę. Pod nogami miała coś miękkiego i mięsistego, a ściana ugięła się, kiedy Jenny oparła się o nią ręką; była w wyściełanej celi dla ciężkich wariatów, z podłogą i ścianami wyłożonymi ciepłymi, sprężystymi matami, gdzie dusiło z gorąca i smrodu, tak że nie miała odwagi oddychać.

- Zamykać drzwi! - rozległ się męski głos - ponieważ zapaśnicy, jak się miała później przekonać, uwielbiają upał i smród własnego potu, zwłaszcza kiedy zrzucają wagę, i dosłownie kwitną wśród ścian i podłóg tak gorących i sprężystych jak pośladki śpiącej dziewczyny.

Zamknęła drzwi. Nawet na drzwiach była mata; Jenny oparła się o nią marząc o tym, żeby ktoś litościwy otworzył drzwi od zewnątrz i ja wypuścił. Mężczyzna obdarzony tenorowym głosem był trenerem i Jenny w drgającym od upału powietrzu widziała, jak nie mogąc ustać w miejscu chodzi wzdłuż ściany dużego pomieszczenia przypatrując się cały czas walczącym.

- Trzydzieści sekund! - wrzasnął. Pary na macie wzmogły wysiłki, jakby pobudzone prądem elektrycznym. Rozrzucone po sali grupki dwójek przypominały splątane węzły, a zapamiętanie każdego zapaśnika przywodziło Jenny na myśl premedytację i zaciekłość gwałtu.

- Piętnaście sekund! - krzyknął trener. - Ostro!

Spleciona para koło Jenny rozpadła się nagle - napięte mięśnie rąk i nóg zapaśników zaczęły się rozluźniać, rozsądzone żyły na ramionach i szyjach pulsowały. Z ust jednego z nich wydobył się zduszony krzyk i nitka śliny, kiedy przeciwnik

uwolnił się z jego uścisku i obaj padli na miękką matę.

- Stop! - wrzasnął trener. Nie używał gwizdka. Zapaśnicy gwałtownie zwiędli, spowolnionym ruchem wyplątując się ze swoich objęć. Około sześciu chłopaków stłoczyło się przy drzwiach wokół Jenny; myśleli tylko o wodzie do picia i świeżym powietrzu, ale ona uważała, że wszyscy się pchają na korytarz, by tam w spokoju zwymiotować albo się wykrwawić - a może jedno i drugie.

Jenny i trener były to jedyne dwie stojące osoby, jakie zostały na sali. Jenny zauważyła, że mężczyzna jest schludny i mały, zwarty jak sprężyna; zauważyła również, że chyba jest ślepy - przymrużonymi oczyma patrzył w jej kierunku dochodząc do wniosku, że zarówno jej biel, jak i sylwetka są obce sali zapaśniczej. Zaczął po omacku szukać okularów, które zwykle kładł wysoko nad matami, ponad poziomem głowy, w obawie, że zostaną zmiażdżone przez rzucanych o ściany chłopaków. Jenny spostrzegła, że trener jest mniej więcej w jej wieku i że nigdy dotychczas nie widziała go ani na terenie, ani w pobliżu kampusu - w okularach czy bez.

Był on bowiem nowy w Steering. Nazywał się Ernie Holm i jak do tej pory przynajmniej - podobnie jak Jenny - uważał tutejsze środowisko za snobistyczne. Ernie Holm był dwukrotnie mistrzem ligi uczelnianej w zapasach na Uniwersytecie w Iowa, ale nigdy nie zdobył mistrzostwa kraju i przez piętnaście lat w różnych szkołach Iowy trenował chłopców usiłując samodzielnie wychować swoje jedyne dziecko, córkę. Miał powyżej uszu Środkowego Zachodu, jakby się sam wyraził, i przyjechał na Wschód, żeby zapewnić swojej córce lepsze wykształcenie - jakby to również sam ujął. Stanowiła mózg rodziny, o czym mówił z upodobaniem, i odziedziczyła urodę po matce, czego nigdy nie wspominał.

Piętnastoletnia Helen Holm wszystkie swoje popołudnia przesiedziała po różnych salach zapaśniczych od Iowy do Steering obserwując, jak chłopcy najrozmaitszego kalibru poca się i ciskają sobą. Wiele lat później Helen miała zauważyć, że dzieciństwo, które spędziła jako jedyna dziewczyna w sali zapaśniczej, zrobiło z niej mola książkowego.

- Zostałam wychowana na widza - powiedziała. - A właściwie na podglądacza.

Prawdę powiedziawszy, była tak pilną i niestrudzoną czytelniczką, że Ernie Holm przeniósł się na Wschód wyłącznie ze względu na nią. Dla niej też przyjął posadę w Steering, przeczytał bowiem w swoim kontrakcie, że dzieci nauczycieli i pracowników mogą uczęszczać do Steering za darmo albo mają prawo do finansowej rekompensaty na pokrycie kosztów wykształcenia w innej szkole prywatnej. Czytanie

jednak nie było mocną stroną Erniego; przeoczył jakoś fakt, że do Steering przyjmują tylko chłopców.

Tak więc pewnej jesieni okazało się, że Ernie został członkiem chłodnej społeczności Steering, a jego rozgarnięta córka jeszcze raz wylądowała w małej, kiepskiej szkole państwowej. Na dobrą sprawę tutejsza szkoła była gorsza od innych szkół państwowych, ponieważ co zdolniejsi chłopcy z miasta chodzili do Steering, a co zdolniejsze dziewczynki wyjeżdżały. Ernie nie wyobrażał sobie, żeby mógł się rozstać ze swoją córką - ostatecznie po to przecież się przeniósł, żeby z nią być. Podczas gdy Ernie Holm przyzwyczajał się do swoich nowych obowiązków w Steering, Helen błądziła po peryferiach wielkiej szkoły pożerając zasoby jej księgarni i biblioteki (i niewątpliwie wysłuchując opowieści o innej zapamiętałej czytelnicy - Jenny Fields), w dalszym ciągu znudzona, podobnie jak w Iowa, nudnymi kolegami z nudnej szkoły państwowej.

Ernie był szczególnie czuły na punkcie ludzi znudzonych. Przed szesnastu laty poślubił pielęgniarkę; po urodzeniu Helen pielęgniarka rzuciła pracę, żeby zostać „matką na pełnym etacie”. Po upływie sześciu miesięcy znów zapragnęła być pielęgniarką, ale w owych czasach nie było w Iowa żadnych ambulatoriów i młoda żona Erniego Holma jako matka na pełnym etacie i była pielęgniarka robiła się coraz bardziej obojętna. Pewnego dnia odeszła. Odeszła pozostawiając go na pełnym etacie matki i bez żadnych wyjaśnień.

Tak więc Helen Holm wychowała się w salach zapaśniczych, które jako miękkie od środka i zawsze ciepłe są bardzo bezpieczne dla dzieci. Książki jakoś ją ratowały przed znudzeniem, ale Ernie zamartwiał się, jak długo pilność jego córki przetrwa w próżni. Był przekonany, że Helen ma zapisane znudzenie w genach.

Tak doszło do tego, że znalazł się w Steering. Tak doszło do tego, że Helen, która nosiła okulary - równie niezbędne jej, jak i Erniemu - była u ojca w dniu, kiedy Jenny wkroczyła do sali zapaśniczej. Jenny nie zauważyła Helen; mało kto zauważał Helen, kiedy miała lat piętnaście. Helen natomiast zauważyła Jenny natychmiast; różniła się od swojego ojca między innymi i tym, że nie walcząc z chłopcami i nie demonstrując rzutów i trzymań, cały czas miała okulary na nosie.

Helen Holm zawsze wypatrywała pielęgniarek, ponieważ zawsze wypatrywała swojej zaginionej matki, której Ernie nie próbował odnaleźć. Co do kobiet - Ernie przywykł, że ich odpowiedź brzmiała zwykle: nie. Ale kiedy jego córka była mała, wymyślił na jej użytek bajeczkę, którą sobie sam bez wątplenia wmówił, a która

intrygowala Helen.

„Pewnego dnia - brzmiała opowieść - może spotkasz ładną pielęgniarkę i ta pielęgniarka będzie wyglądała tak, jakby nie wiedziała, gdzie jest, a potem ona spojrzy na ciebie, jakby nie wiedziała, kim ty jesteś, ale chciała się dowiedzieć”.

- I to będzie moja mama? - pytała Helen.

- I to będzie twoja mama! - odpowiadał Ernie.

Kiedy więc wówczas w sali zapaśniczej Steering Helen podniosła wzrok nad książki, była przekonana, że zobaczyła swoją matkę. Jenny Fields w pielęgniarskim białym stroju zawsze wyglądała nie na miejscu; na tle czerwonych mat wydawała się śniada, zdrowa, mocno zbudowana i przystojna, jeśli nie wręcz ładna, i Helen Holm musiała pomyśleć, że żadna inna kobieta nie mogła zstąpić do tego miękko wyściełanego piekła, w którym pracował jej ojciec. Okulary zaszyły jej mgłą, zamknęła książkę; w swoim bezosobowym szarym dresie, który ukrywał jej niezdarną piętnastoletnią sylwetkę - kanciaste biodra i maleńkie piersi - stała nieśmiało na tle ściany czekając jakiegoś znaku od ojca.

Ale Ernie Holm w dalszym ciągu poszukiwał swoich okularów. Zobaczył niewyraźną białą postać - przypominającą kobietę, być może nawet pielęgniarkę - i serce zamarło mu na myśl o tym, w co właściwie nigdy na dobrą sprawę nie wierzył: że oto wraca jego żona i mówi: „Ach, tak się stęskniłam za tobą i za naszą córką!” Jaka bowiem inna pielęgniarka mogłaby się znaleźć w miejscu jego pracy?

Helen widziała, jak ojciec maca w poszukiwaniu okularów, i wzięła to za oczekiwany znak. Ruszyła poprzez krwistocieple maty i w tym momencie Jenny pomyślała: O Boże, to jest dziewczynka! Ładna dziewczynka w okularach. Co w takim miejscu robi taka ładna dziewczynka?

- Mama? - odezwała się dziewczynka do Jenny. - To ja, mamó, Helen - powiedziała wybuchając łzami; zarzuciła Jenny na szyję szczupłe rączyny i przytuliła mokrą buzię do jej piersi.

- Jezus Maria! - rzekła Jenny Fields, która nigdy nie lubiła, żeby ją dotykać. Jako pielęgniarka musiała jednak zrozumieć potrzebę Helen, nie odepchnęła więc małej od siebie, chociaż bardzo dobrze wiedziała, że nie jest jej matką. Jenny uważała, że być matką raz wystarczy w zupełności. Powściągliwie poklepała płaczącą dziewczynkę po plecach i błagalnie spojrzała na trenera, który właśnie znalazł okulary. - Pana matką też nie jestem - wyjaśniła uprzejmie, Ernie bowiem spoglądał na nią z tym samym przelotnym uczuciem ulgi, jakie odmalowało się na twarzy ładnej

dziewczynki.

Ernie Holm pomyślał, że podobieństwo znacznie wykracza poza strój i przypadek, jaki te dwie pielęgniarki przywiódł do sali zapaśniczej. Ta nie dorównywała urodą jego zbiegłej żonie, która nawet po piętnastu latach, uznał, nie mogłaby być ani tak pospolita, ani zaledwie przystojna, mimo to Jenny spodobała mu się na tyle, że obdarzył ją jednym ze swoich niewyraźnych, przepaszających uśmiechów, tak dobrze znanych zapaśnikom przegrywającym.

- Moja córka myślała, że pani jest jej matką - wyjaśnił. - Nie widziała jej kawał czasu.

Najwyraźniej - pomyślała Jenny. Poczula, jak dziewczynka sztywnieje i wyrywa jej się z ramion.

- To nie jest twoja mama, kochanie - powiedział Ernie Holm do Helen, która zajęła z powrotem swoje miejsce pod ścianą. Helen była dzieckiem zamkniętym, nie zdradzającym się ze swoimi uczuciami, nawet przed ojcem.

- A pan myślał, że jestem pańską żoną? - zapytała Jenny, ponieważ przez chwilę odniosła wrażenie, że i Ernie się pomylił. Zastanawiała się, co należało rozumieć przez „kawał czasu” w odniesieniu do nieobecności pani Holm.

- Przez moment dałem się nabrać - wyjaśnił Ernie grzecznie; odznaczał się nieśmiałym uśmiechem, którym nie szafował zbyt.

Helen przycupnęła w kącie sali patrząc na Jenny spode łba, jakby to ona była świadomą przyczyną jej zmieszania. Jenny poczuła się wzruszona: od lat nie zdarzyło się, żeby Garp ją tak uściskał, a było to uczucie, którego, musiała przyznać, brakowało czasem nawet matce tak nietypowej jak ona.

- Jak się nazywasz? - spytała Jenny. - Ja się nazywam Jenny Fields.

To nazwisko Helen oczywiście znała. Należało ono do owej drugiej tajemniczej czytelniczki Steering. Poza tym Helen nigdy dotąd nie obdarzyła nikogo uczuciami zarezerwowanymi dla matki i chociaż było dziełem czystego przypadku, że ich eksplozję wywołała Jenny, to Helen nie potrafiła ich tak całkowicie powściągnąć. Pod wpływem nieśmiałego uśmiechu ojca spojrzała na Jenny z wdzięcznością. Co dziwniejsze pomyślała, że chętnie by ja uściskała jeszcze raz, ale się powstrzymała. Zapaśnicy zaczęli z powrotem napływać do sali, zdyszani, prosto od źródła, gdzie ci, co dusili wagę, jedynie płukali usta.

- Koniec zajęć - oznajmił Ernie Holm, gestem ręki wskazując im wyjście. - Starczy na dziś. Idźcie pobiegać. - Posłusznie, a nawet z ulgą, zaczęli się tłoczyć w

drzwiach purpurowej sali; zbierali kaski, gumowe zapocone kostiumy, szpule plastra. Ernie czekał, aż sala się opróżni, a jego córka i Jenny Fields czekały na wyjaśnienia. Ernie czuł, że przydałoby się jakieś wyjaśnienie, a nie istniało miejsce, w którym czułby się tak dobrze jak w sali zapaśniczej. Dla niego było to idealne miejsce, żeby opowiedzieć historię, trudną i bez zakończenia - nawet komuś obcemu. Kiedy więc jego zapaśnicy wyszli pobiegać, bardzo cierpliwie rozpoczął historię ojca i córki, krótką opowieść o pielęgniarce, która ich opuściła, i o Środkowym Zachodzie, skąd właśnie przybyli. Kto jak kto, ale Jenny potrafiła ją ocenić, jako że nigdy dotychczas nie spotkała drugiego samotnego rodzica z samotnym dzieckiem. I chociaż miała pokusę opowiedzieć mu swoją historię - z jej interesującymi podobieństwami i różnicami - to jednak podała tylko wersję standardową: ojciec Garpa był żołnierzem, i tak dalej. Poza tym, kto w czasie wojny ma głowę do ślubów. I chociaż historia była niekompletna, to przecież wyraźnie przemówiła do Helen i Erniego, którzy nie potrafiliby wskazać w całym środowisku Steering nikogo tak otwartego i szczerego jak Jenny.

Tam, w ciepłej, czerwonej sali zapaśniczej, na miękkich matach, wśród wyściełanych ścian - w takim właśnie otoczeniu nagle i niewytłumaczalne zbliżenie okazało się możliwe.

Oczywiście ten pierwszy uścisk miał pozostać w pamięci Helen na całe życie i chociaż jej uczucia do Jenny ulegały później różnym zmianom, to przecież od owego momentu w sali zapaśniczej Jenny Fields w większym stopniu niż ktokolwiek inny była dla niej matką. Jenny również miała na zawsze zapamiętać odczucia przytulanej matki, a nawet zauważyć w swojej autobiografii, w jakim stopniu uścisk córki różni się od uścisku syna. Fakt, że jedyne w życiu doświadczenie, jakie dało jej asumpt do tego rodzaju spostrzeżeń, miało miejsce owego grudniowego dnia w gigantycznej hali sportowej wzniesionej ku czci Milesa Seabrooka, miał wymowę co najmniej ironiczną.

Byłoby nieszczęściem, gdyby Ernie Holm poczuł jakikolwiek pociąg do Jenny Fields i gdyby sobie, choć na krótko, wyobraził, że oto zjawiała się na jego drodze kobieta, z którą mógłby spędzić życie. Jenny bowiem była jak najdalsza od takich skojarzeń; uznała jedynie, że Ernie to miły, przyzwoity facet - może, pomyślała, zostanie jej przyjacielem. Gdyby rzeczywiście miał zostać - zostałby pierwszym.

Musiało zatem zaniepokoić Erniego i Helen, kiedy Jenny zapytała, czy może przez chwilę побыć w sali zapaśniczej sama. Po co? - zastanawiali się z pewnością i wtedy Ernie przypomniał sobie, żeby ją zapytać, w jakim celu przyszła.

- Zapisać mojego syna na zapasy - odparła Jenny szybko. Miała nadzieję, że Garp się zgodzi.

- Proszę bardzo - rzekł Ernie. - Ale wychodząc zgasi pani światła i wyłączy grzejniki, dobrze? Drzwi wystarczy zatrzaskać.

Pozostawszy sama Jenny zgasiła światła i słuchała, jak potężne grzejniki mruczą coraz ciszej, by w końcu zamilknąć. Tam, w ciemnym pomieszczeniu, przy uchylonych drzwiach, zdjęła buty i zaczęła stąpać po macie. Dlaczego mimo całej oczywistej brutalności tego sportu, myślała, czuję się tutaj taka bezpieczna? Czy to dzięki niemu? - zastanawiała się, ale Erniego szybko skwitowała: po prostu nieduży, zręczny, muskularny mężczyzna w okularach. Jeżeli Jenny w ogóle myślała o mężczyznach - co jej się prawdę powiedziawszy prawie nie zdarzało - uważała, że są znośniejsi, o ile są mali i schludni, jeśli zaś chodziło o muskularność, była zdania, że jest ona równie ważna u mężczyzn, jak i u kobiet - wszyscy powinni być silni. Lubiła ludzi w okularach tak, jak tylko może lubić okulary ktoś, kto sam ich nie musi nosić - uważała, że są ładne. Ale przede wszystkim to ta sala, myślała, czerwona sala zapaśnicza, wielka, ale zwarta, zabezpieczona miękką wyściółką. Padła - pac! - na kolana, czemu towarzyszył odgłos uginających się mat. Fiknęła kozła i rozdarła spódnicę, następnie usiadła na macie i spojrzała na potężnego chłopaka, którego sylwetka rysowała się w drzwiach ciemnego pomieszczenia. Był to Carlisle, zapaśnik, który pozbył się lunchu. Przebrał się i przyszedł jeszcze poćwiczyć, wpatrując się w świetliście białą postać pielęgniarce, która siedziała przycupnięta wśród ciemnopurpurowych mat jak niedźwiedzica w swojej jamie.

- Przepraszam bardzo... - powiedział. - Szukałem właśnie kogoś, z kim mógłbym poćwiczyć.

- No, chyba nie ze mną - odparła Jenny. - Idź pobiegać!

- Tak jest - odrzekł Carlisle i oddalił się truchtem.

Kiedy Jenny wyszła i zatrzaskała za sobą drzwi, stwierdziła, że zostawiła wewnątrz buty. Dozorca nie mógł znaleźć właściwego klucza, ale pożyczył jej buty do koszykówki jakiegoś dużego chłopaka, które znalazł w „Rzeczach Znalezionych”. Jenny brnąc przez marznące blocko do infirmerii czuła, że jej pierwsza wyprawa w świat sportu dokonała w niej czegoś więcej niż tylko drobnej zmiany.

W przybudówce szpitalnej leżący w łóżku Garp w dalszym ciągu zanosił się kaszlem.

- Zapasy! - wychrypiał. - O Boże, mam, ty chyba chcesz mnie zabić!

- Jestem przekonana, że trener ci się spodoba - powiedziała Jenny. - Poznałam go właśnie. To miły człowiek. Poznałam też jego córkę.

- O Jezu - jęknął Garp. - To jego córka też uprawia zapasy?

- Nie, ona dużo czyta - rzekła Jenny z uznaniem.

- To się piekielnie ciekawie zapowiada, mamó. Czy zdajesz sobie sprawę, że swatając mnie z córką trenera zapasów narażasz moją głowę? Zależy ci na tym?

Ale do takiej intrygi Jenny nie byłaby zdolna. Miała na myśli rzeczywiście jedynie salę zapaśniczą i Erniego Holma; dla Helen żywiła uczucia wyłącznie macierzyńskie, kiedy więc jej młodociany syn wspomniał o swataniu - o tym, że sam mógłby się zainteresować Helen Holm - zaniepokoiła się. Nie brała do tej pory pod uwagę, że jej syn mógłby się kimkolwiek zainteresować, a przynajmniej jeszcze nieprędko. Wytrąciło ją to z równowagi i zdołała powiedzieć jedynie:

- Masz dopiero piętnaście lat. Nie zapominaj o tym.

- A ile lat ma ta córka? - zapytał Garp. - I jak się nazywa?

- Helen - odparła Jenny. - I też ma tylko piętnaście lat. I nosi okulary - dodała nieszczerze. Ostatecznie swój stosunek do okularów znała, ale może i Garp je lubił. - Oni są z Iowa - dorzuciła i poczuła, że jest znacznie większą snobką niż ci wszyscy wstrętni gogusie, którzy znajdowali w Steering wyjątkowo sprzyjające dla siebie warunki.

- O Boże, zapasy! - jęknął znów Garp i Jenny poczuła ulgę, że przestał mówić o Helen. Była zawstydzona swoim wyraźnie negatywnym stosunkiem do tej sprawy. Dziewczynka jest rzeczywiście ładna - myślała - ale nie rzuca się w oczy, a przecież młodzi chłopcy cenią sobie jedynie urodę krzykliwą. Ale czy byłabym zadowolona, gdyby Garpowi podobał się ktoś taki?

Jeśli chodziło o tę kategorię dziewcząt, Jenny miała na myśli Cushie Percy, może trochę zbyt impertynencką w sposobie wyrażania się i trochę zbyt niechlujną z wyglądu. I czy taka piętnastoletnia panienska z dobrego domu jak Cushman Percy powinna już być taka rozbudzona? W tym momencie poczuła do siebie nienawiść za samo sformułowanie „z dobrego domu”.

Jenny w ogóle miała ciężki dzień. Przynajmniej raz zasnęła nie martwiąc się kaszlem Garpa; czuła, że jej syn ma przed sobą poważniejsze problemy. I to właśnie w momencie, kiedy byłam spokojna, że wszystkie kłopoty mam z głowy - pomyślała. Musi z kimś porozmawiać o chłopcach - może z Erniem Holmem; miała nadzieję, że się co do niego nie pomyliła.

W każdym razie, jak się okazało, nie pomyliła się co do sali zapaśniczej i co do tego, jak wspaniale Garp się w niej będzie czuł. Chłopak polubił też Erniego. Podczas tego pierwszego sezonu zapaśniczego w Steering uczył się pilnie i ochoczo rzutów i trzymań. I chociaż bywał zdrowo poturbowany przez chłopaków z reprezentacji szkolnej, to jednak nigdy się nie skarżył. Wiedział, że trafił na swój sport, i wiedział, co robić z czasem; dopóki nie zaczął pisać, zapasy pochłaniały niemal całą jego energię. Odpowiadało mu poczucie samotności w walce i przerażającego zamknięcia w granicach koła nakreślonego na macie; morderczy trening; psychiczny nakaz nieustannego duszenia wagi. W ciągu tego pierwszego sezonu, zauważyła Jenny z ulgą, Garp prawie nie wspominał Helen Holm, która siedziała i czytała w swoich okularach i w szarym dresie. Od czasu do czasu tylko podnosiła wzrok, kiedy rozlegał się szczególnie głośny łomot na macie czy okrzyk bólu.

To właśnie Helen odniosła do infirmerii pantofle, co wprowadziło Jenny w takie zakłopotanie, że nawet jej nie zaprosiła do środka.. Przez moment wydawały się sobie bardzo bliskie. Ale w domu był Garp. A Jenny nie chciała, żeby się poznali. Poza tym Garp był zaziębiony.

Pewnego dnia Garp siedział w sali zapaśniczej koło Helen. Myślał o tym, że ma na szyi krostę i że jest okropnie spocony. Okulary dziewczynki tak były zaparowane, że Garp wątpił, czy widzi to, co czyta.

- Dużo czytasz, prawda?

- Nie tak dużo jak twoja matka - odparła Helen nie patrząc na niego.

W dwa miesiące później Garp zwrócił jej uwagę:

- Całkiem zepsujesz sobie wzrok, jak będziesz czytała w takich gorących pomieszczeniach. - Popatrzyła na niego. Tym razem jej okulary były zupełnie przejrzyste, a oczy tak powiększone przez soczewki, że aż się przeraził.

- Ja już mam zepsuty - odpowiedziała. - Urodziłam się z oczami do niczego. - Ale Garpowi te oczy wydały się bardzo ładne, tak ładne, że nie był w stanie już nic więcej powiedzieć.

A potem sezon zapaśniczy się skończył. Garp wszedł do reprezentacji juniorów i zapisał się na lekką atletykę, obojętny wobec wyboru sportu wiosennego. Dzięki uprawianiu zapasów miał dobrą kondycję, biegał więc miłą; był trzeci w drużynie Steering, ale nigdy nie poprawił swoich wyników. Pod koniec biegu czuł się tak jak przy starcie. („Byłem powieściopisarzem już wtedy, chociaż o tym ;nie wiedziałem" - miał napisać w wiele lat później). Rzucał także oszczepem, ale niedaleko.

Chłopcy ze Steering trenowali rzut oszczepem za boiskiem futbolowym, gdzie sporo czasu poświęcali na celowanie w żaby. Steering River w swoim górnym, słodkowodnym biegu przepływała za Stadionem Seabrooka; stracono tam wiele oszczepów i zamordowano wiele żab. Wiosna jest niedobra, myślał Garp, który był niespokojny - brakowało mu zapasów; jeśli nie może walczyć, to niech chociaż będzie lato, przynajmniej poświęć biegi długie na drodze do plaży w Dog's Head Harbor.

Pewnego razu w górnym rzędzie pustego Stadionu Seabrooka zobaczył Helen Holm samą, z książką. Wspiął się po schodach postukując o beton oszczepem, żeby się nie przestraszyła, kiedy nagle koło niej wyrosnie. Nie przestraszyła się. Od tygodni obserwowała jego i innych chłopców rzucających oszczepem.

- No co, już dość dziś nazabijałeś zwierzątek? - zwróciła się do Garpa. - Teraz połujesz na co innego?

„Od samego początku - pisał Garp - Helen radziła sobie ze słowami”.

- Tyle czytasz, że chyba zostaniesz pisarką - zagadnął udając obojętność, ale jednocześnie wstydliwie zasłaniał nogą czubek oszczepu.

- Wykluczone - odparła Helen. Nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości.

- To może wyjdiesz za mąż za pisarza - podsunął Garp. Spojrzała na niego z bardzo poważną miną. Jej nowe optyczne okulary przeciwsłoneczne były lepiej dopasowane do jej szerokich kości policzkowych i nie spadały tak z nosa jak poprzednie.

- Jeśli wyjdę za mąż, to tylko za pisarza - rzekła. - Ale wątpię, czy w ogóle wyjdę za mąż.

Garp próbował żartować; powaga Helen go denerwowała. Powiedział:

- W każdym razie jestem pewien, że nie wyjdiesz za zapaśnika.

- Tego rzeczywiście możesz być pewien - odparła. Widocznie Garp nie potrafił ukryć bólu, jaki mu to sprawiło, bo dodała: - Chyba że ten zapaśnik będzie jednocześnie pisarzem.

- Ale najważniejsze, żeby był pisarzem? - dopytywał się Garp.

- Tak, prawdziwym pisarzem - rzekła Helen tajemniczo, gotowa jednak sprecyzować bliżej, co miała na myśli. Garp nie śmiał pytać. Pozwolił jej powrócić do lektury.

Ciągnącemu za sobą oszczep Garpowi droga w dół po schodach stadionu wydawała się bardzo długa. Czy ona kiedykolwiek włoży na siebie co innego poza tym szarym dressem? - zastanawiał się. Napisał później, że po raz pierwszy zdał sobie

sprawę z tego, że ma wyobraźnię, kiedy usiłował sobie wyobrazić ciało Helen Holm.

„Widząc ją wiecznie w tym cholernym dresie - pisał - musiałem sobie wyobrazić jej ciało; bo nie było sposobu, żeby je zobaczyć”. Garp wyobrażał sobie, że Helen ma bardzo ładne ciało, i w tym, co pisał, nigdzie nie ma najmniejszej wzmianki o żadnym rozczarowaniu, kiedy je wreszcie zobaczył w rzeczywistości.

To właśnie tego popołudnia na pustym stadionie, kiedy stał przed nią z oszczepem umazanym posoką żaby, Helen Holm pobudziła jego wyobraźnię na tyle, że S.T. Garp postanowił zostać pisarzem. Prawdziwym pisarzem, jak się wyraziła Helen.

Rozdział IV

Matura

Od końca pierwszej klasy aż do matury Garp co miesiąc pisał jakieś opowiadanie, ale dopiero w trzeciej klasie pokazał coś z tego Helen. Po pierwszym roku spędzonym w Steering w charakterze widza Helen pojechała do Talbot, szkoły dla dziewcząt, i Garp spotykał ją tylko przypadkowo podczas weekendów. Czasem też przychodziła na miejscowe spotkania zapaśnicze. I właśnie po jednym z takich spotkań Garp poprosił, żeby poczekała na niego, aż weźmie prysznic; ma coś w szatni, co chciałby jej dać.

- O rany - powiedziała Helen. - Pewnie stare ochraniacze na łokcie?

Helen przestała przychodzić na salę zapaśniczą, nawet jak przyjeżdżała z Talbot na długie wakacje. Nosila teraz ciemnozielone podkolanówki i szarą układaną spódnicę z flaneli; często sweter, również w ciemnym, jednolitym kolorze, dobierała do skarpet, a długie, ciemne włosy zawsze upinała do góry, albo w formie zwiniętego warkoczyka na czubku głowy, albo skomplikowanego wężła. Miała szerokie usta o bardzo wąskich wargach i nigdy nie używała szminki. Garp wiedział, że Helen zawsze ładnie pachnie, ale nigdy jej nie dotknął. Nie wyobrażał sobie też, żeby mógł to zrobić ktokolwiek inny; była wiotka i wysoka jak młode drzewko - wyższa od Garpa o jakieś dwa albo i więcej cali. Miała kości policzkowe aż boleśnie ostre, ale jej oczy, przysłonięte okularami, były zawsze łagodne, duże, barwy nasyconego miodu.

- Stare buty zapaśnicze? - zgadywała dalej Helen na widok dużej wypchanej i zaklejonej koperty.

- To jest coś do czytania - odparł Garp.

- Nie narzekam na brak czytania - odrzekła Helen.

- Ale to jest coś, co ja sam napisałem.

- O kurczę! - wykrzyknęła Helen.

- Nie musisz tego czytać teraz. Możesz to zabrać ze sobą do Talbot i potem do mnie napisać,

- I tak się nie wyrabiam z pisaniem - odparowała Helen. - Bez przerwy mamy jakieś wypracowania.

- No to możemy o tym porozmawiać później - powiedział Garp. - Przyjedziesz

na Wielkanoc?

- Tak, ale jestem już umówiona.

- O kurczę - powiedział Garp. Ale kiedy sięgnął, żeby wziąć od niej swój utwór, kłykcie jej długiej dłoni zbieleły i Helen nie wypuściła koperty.

W kategorii do stu trzydziestu trzech funtów, na trzecim roku, Garp zakończył sezon ze stosunkiem zwycięstw i porażek 12:1, przegrywając jedynie w spotkaniach finałowych mistrzostw Nowej Anglii. Będąc na ostatnim roku wygrał wszystko - został kapitanem drużyny, zdobył tytuł Najlepszego Zapaśnika i mistrzostwo Nowej Anglii. Jego drużyna zapoczątkowała niemal dwudziestoletnią dominację Nowej Anglii w zapasach pod kierunkiem Erniego Holma. W tej części kraju Ernie dyskutował „przewagę Iowy”, jak to nazywał. Po jego odejściu zapasy w Steering zaczęły podupadać. I może dlatego, że Garp był pierwszą spośród wielu gwiazd szkoły, zajmował zawsze w sercu Erniego specjalne miejsce.

Helen było to obojętne. Cieszyła się, kiedy wygrywali zapaśnicy ojca, ponieważ sprawiało to Erniemu przyjemność. Ale w ostatnim roku, kiedy Garp był kapitanem drużyny Steering, nie pokazała się na żadnym meczu. Zwróciła mu jednak opowiadanie; przyszło pocztą z Talbot z następującym listem:

Drogi Garpie,

To opowiadanie jest obiecujące, aczkolwiek wydaje mi się, że w tej chwili jesteś bardziej zapaśnikiem niż pisarzem. Co prawda język masz staranny i widać, że rozumiesz ludzi, ale sytuacja jest wydumana, a zakończenie niedojrzałe. W każdym razie cenię sobie, że mi to pokazałeś. Twoja Helen.

W swojej pisarskiej karierze Garp miał dostać jeszcze niejedyn list zawierający negatywną ocenę jego prób, ale żaden nie wydawał mu się tak ważny jak ten. Helen była zresztą uprzejma. Opowiadanie, które jej przysłał, dotyczyło dwojga młodych kochanków, zamordowanych na cmentarzu przez ojca dziewczyny, który wziął ich za bandytów. W wyniku tej niefortunnej pomyłki kochankowie spoczęli w sąsiednich mogiłach; z powodów zupełnie niezrozumiałych groby te zostały natychmiast obrabowane. Dalsze losy ojca, nie mówiąc o rabusiu, były nieznane.

Jenny powiedziała Garpowi, że jego pierwsze próby są mało obiecujące, ale zachęcał go do pisania nauczyciel języka angielskiego, który w Steering był czymś w rodzaju pisarza na etacie. Drobnym jękała o nazwisku Tinch odznaczał się bardzo

nieświeżym oddechem, przywodzącym Garpowi na myśl cuchnący oddech psa Bonkersa albo atmosferę zamkniętego pomieszczenia pełnego gnijących pelargonii. Ale to, co mówił Tinch, choć nieprzyjemne w zapachu, było jednak życzliwe. Chwalił Garpa za wyobraźnię, raz na zawsze nauczył go starej, poczciwej gramatyki i wpoił mu poszanowanie dla precyzji języka. W tamtych czasach chłopcy ze Steering nazywali Tinch'a Skunksem i bez przerwy robili aluzje do jego przykrew dolegliwości. A to znajdował na biurku wodę do ust, a to dostawał szkolną pocztą szczotki do zębów.

I właśnie po jednym z takich kawałów - kiedy do literackiej mapy Anglii ktoś przykleił plastrem opakowanie miętowych odświeżaczy do ust - Tinch w trakcie zajęć ze stylistyki bez ogródek zapytał swoich słuchaczy, czy uważają, że ma nieświeży oddech. Wszyscy siedzieli jak myszy pod miotłą, ale Tinch wybrał sobie Garpa, swojego pupila, najbardziej zaufanego ze wszystkich, i skierował pytanie wprost do niego:

- A czczy t-t-ty, Garp, uważasz, że ja mam nieświeży oddech?

Tego wiosennego dnia, w ostatnim roku Garpa w szkole, prawda przepływała swobodnie przez otwarte okna tam i z powrotem. Garp był znany ze swojej śmiertelnie poważnej prawdomówności, ze swoich wyników w zapasach i z prac piśmiennych z angielskiego. Inne stopnie miał średnie albo kiepskie. Od najwcześniejszych lat, jak później stwierdził, dążył do doskonałości, nie rozmieniając się na drobne. Wyniki testów na inteligencję ogólną nie wykazywały szczególnych uzdolnień w żadnej dziedzinie - nie miał talentów. Nie stanowiło to dla niego specjalnego zaskoczenia; podzielał opinię swojej matki, że nie istnieje nic wrodzonego. Ale kiedy recenzent, po ukazaniu się jego drugiej powieści, nazwał go „urodzonym pisarzem”, Garp w przystępie złośliwej satysfakcji wysłał odpis tej recenzji do komisji przeprowadzającej testy w Princeton w New Jersey z prośbą, żeby zrewidowali swoje poprzednie oceny. Następnie wysłał wyniki swoich testów do recenzenta z adnotacją: „Dziękuję panu bardzo, ale ja nie urodziłem się niczym szczególnym”. W swojej własnej opinii bowiem Garp był w nie większym stopniu urodzonym pisarzem, co urodzonym pielęgniarzem czy urodzonym strzelcem pokładowym.

- G-g-garp - wyjąkał Tinch przysuwając się bliżej do chłopca, który poczuł straszliwą prawdę. Wiedział, że zdobędzie doroczną nagrodę za pracę na temat dowolny - jedynym jurorem był zawsze Tinch. Gdyby więc jeszcze do tego udało mu się zaliczyć matematykę z trzeciego roku, którą powtarzał, zdałby maturę zupełnie przyzwoicie i sprawił matce wielką przyjemność.

- Garp, czy mnie b-b-brzydko pachnie z ust? - zapytał Tinch.

- „Ładnie” i „brzydko” to pojęcia względne, panie profesorze - odparł Garp.

- Ale według ciebie, G-g-garp? - nalegał Tinch.

- Według mnie -- odrzekł Garp bez mrugnięcia okiem - pachnie panu z ust najładniej ze wszystkich psorów w tej szkole. - Z tymi słowy popatrzył surowo poprzez całą klasę na Benny'ego Pottera z Nowego Jorku, urodzonego dowcipnisia - co do tego nawet Garp był zgodny - wygaszając na jego twarzy uśmiezek spojrzeniem, które mówiło, że skreśli mu kark, jeśli tamten piśnie choćby słówko.

Tinch podziękował Garpowi, który dostał pierwszą nagrodę za prace piśmienne mimo bileciku, przesłanego wraz z ostatnim wypracowaniem.

Szanowny Panie, skłamałem wtedy w klasie, ponieważ nie chciałem, żeby tamci durnie się z pana śmieli. Powinien pan jednakże wiedzieć, że istotnie pachnie panu z ust dość brzydko. Bardzo mi przykro. S. T. Garp.

- W-w-wiesz c-c-co? - powiedział Tinch, kiedy zostali sami i rozmawiali na temat ostatniego opowiadania Garpa.

- Słucham.

- Ja nie mogę nic na ten mój oddech p-p-poradzić - rzekł Tinch. - T-t-to chyba dlatego, ż-ż-że ja umieram - wyjaśnił mrugając. - Ja g-g-gniję od środka! - Ale Garpa wcale to nie rozśmieszyło i przez wiele lat po maturze interesował się starym belfrem, z ulgą stwierdzając, że najwyraźniej nie cierpiał na żadną śmiertelną chorobę.

Tinch miał umrzeć na dziedzińcu szkolnym pewnej zimowej nocy z przyczyn zupełnie nie związanych ze swoim nieświeżym oddechem. Wracił do domu z jakiejś uroczystości dla grona profesorskiego, gdzie, jak przyznano, wypił trochę za dużo, pośliznął się na oblodzonej ścieżce, upadł i stracił przytomność. Nocny stróż znalazł go dopiero przed świtem, ale do tej pory Tinch zdążył już zamarznąć na śmierć.

Niestety pierwszą osobą, która doniosła o tym Garpowi, był żartowniś Benny Potter. Garp spotkał go w Nowym Jorku, gdzie Potter pracował w redakcji jakiegoś czasopisma. Kiepska opinia Garpa o Potterze była obciążona dodatkowo jego kiepską opinią o czasopismach w ogóle i przekonaniem, że Potter zawsze zazdrościł mu lepszych wyników w pisaniu.

„Potter jest jednym z tych niewydarzeńców, którzy trzymają z tuzin powieści poutykanych po szufladach - pisał Garp - ale nie mają odwagi ich nikomu pokazać”.

W szkolnych latach jednak Garp też nie obnosił się specjalnie ze swoimi

osiągnięciami. Tylko Jenny i Tinch mieli okazję śledzić jego postępy, nie licząc tego jednego opowiadania, które udostępnił Helen Holm. Zdecydował jednak, że nie pokaże jej już nic więcej, dopóki nie napisze czegoś, o czym nie będzie mogła powiedzieć nic złego.

- Słyszałeś? - zapytał Benny Potter Garpa w Nowym Jorku.

- O czym?

- Stary Skunks wykorkował. Z-z-zamarzył na śmierć.

- Co takiego? - zdziwił się Garp.

- No, Skunks - powtórzył Potter. Garp nigdy nie lubił tego przydomka. - Zalał się. Wracał do domu na cyku. Upadł na dziedzińcu, rozwalił sobie czerep i już się rano nie obudził.

- Jesteś skończony dureń - powiedział Garp.

- Ale to prawda, Garp - zapewnił go Benny. - Było cholernie zimno, piętnaście stopni mrozu. Chociaż - dodał nieostrożnie - tak mu się kopcilo z gęby, że powinno mu być zawsze c-c-ciepło.

Znajdowali się w barze przyzwoitego hotelu gdzieś w rejonie ulic pięćdziesiątych, między Park Avenue a Trzecią; Garp nigdy nie mógł się połapać w Nowym Jorku. Był umówiony z kimś innym na lunch, ale natknął się na Pottera, który go tu przyprowadził. Złapał Benny'ego pod pachy i posadził na barze.

- Ty nędzny gnojku - powiedział.

- Nigdy mnie nie lubiłeś - rzekł Benny.

Garp przechylił go do tyłu, tak że kieszenie jego odpiętej marynarki zanurzyły się w zlewie.

- Odczep się ode mnie! - krzyknął Potter. - Zawsze byłeś lizodupem Skunksa.

Garp pchnął go z taką siłą, że Benny wpadł siedzeniem w zlew pełen mokrych szklanek; woda chlusnęła na kontuar.

- Proszę nie siadać na barze - barman zwrócił uwagę Potterowi.

- Chyba widzisz, że mnie tu napadają, kretynie! - powiedział Benny. Ale w tym czasie Garp już wychodził i barman musiał wyjąć Benny'ego ze zlewu i zsadzić z baru.

- To skurwysyn, cały tyłek mam mokry! - wrzeszczał Potter.

- Proszę liczyć się ze słowami - powiedział barman.

- Kurwa, i cały portfel mam mokry - dodał Benny wyżymając spodnie na siedzeniu i wyciągając w stronę barmana zmoczony portfel. - Garp! - wrzasnął, ale Garpa już nie było. - Zawsze miałeś poczucie humoru do dupy.

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że Garpowi, szczególnie w czasach szkolnych Steering, istotnie nie dopisywało poczucie humoru w dwóch sprawach: zapasów i pisanie - ulubionej rozrywki i przyszłej kariery.

- Skąd wiesz, że zostaniesz pisarzem? - spytała go kiedyś Cushie Percy.

Garp był wtedy w ostatniej klasie - szli razem za miasto, wzdłuż Steering River; Cushie powiedziała, że zna takie jedno miejsce. Przyjechała do domu na weekend z Dibbs. Była to piąta z kolei szkoła średnia dla dziewcząt, do której uczęszczała; zaczęła razem z Helen od Talbot, ale miała problemy z dyscypliną i poproszono ją, żeby się przenieśli. Problemy z dyscypliną powtórzyły się w trzech innych szkołach. Wśród chłopców ze Steering Dibbs słynęło z dziewcząt, które nie przejmowały się dyscypliną. Na rzece była akurat wysoka fala i Garp obserwował, jak sunie po wodzie ósemka, a za nią mewa. Cushie Percy wzięła go za rękę. Na wiele różnych sposobów potrafiła sprawdzić, czy chłopiec jest nią zainteresowany. Niejeden chętnie się do niej dobierał, kiedy byli sami, ale większość wołała, żeby ich razem nie widziano. Garpowi, zauważyła Cushie, nie zależało na tym. Trzymał ją mocno za rękę; oczywiście wspólnie dorastali, ale nie uważała, żeby kiedykolwiek byli bliskimi przyjaciółmi. Jeśli Garpowi chodzi o to samo co innym, pomyślała, to przynajmniej się tego nie wstydzi. Spodobało jej się to w nim.

- Myślałam, że masz zamiar zostać zapaśnikiem - powiedziała.

- Zapaśnikiem jestem - odparł Garp. - A pisarzem mam zamiar zostać.

- I ożenisz się z Helen Holm - przekomarzała się z nim Cushie.

- Możliwe - rzekł Garp; jego ręka w jej dłoni jakby zwiotczała. Cushie wiedziała, że Helen Holm to następny temat, przy którym Garpa opuszcza poczucie humoru, i że powinna uważać.

Ścieżką prowadzącą nad rzeką zbliżała się ku nim z naprzeciwka grupka chłopców; kiedy ich mijali, jeden z nich zawołał:

- Garp, w co ty się ładujesz!

Cushie ścisnęła go za rękę.

- Nie przejmuj się nimi - powiedziała.

- Wcale się nie przejmuję.

- A o czym zamierzasz pisać? - spytała Cushie.

- Nie wiem - odparł Garp.

Nie wiedział nawet, czy pójdzie na studia. Kilka uczelni na Środkowym Zachodzie zainteresowało się jego wynikami i Ernie Holm wysłał tam listy.

Zaproszono Garpa w dwa miejsca, które odwiedził. Ale w salach zapaśniczych czuł, że go nie tyle biją na głowę, ile po głowie. Tamtejszym zapaśnikom znacznie bardziej zależało na tym, żeby wlać Garpowi, niż jemu, żeby wlać im. Ale jedna z uczelni wystąpiła z ostrożną propozycją: trochę pieniędzy i żadnych obietnic wykraczających poza pierwszy rok. Zupełnie przyzwoicie, jeśli się zważy, że pochodził z Nowej Anglii. Ale Ernie zdążył mu powiedzieć tyle:

- Tam to jest zupełnie inny sport, chłopcze. Ty masz talent i dobre przygotowanie - ja ci to mówię. Ale brak ci ducha współzawodnictwa. A powinieneś tego pragnąć. Powinieneś być naprawdę zainteresowany, rozumiesz, Garp?

Kiedy Garp zapytał Tinch'a, na jaką uczelnię powinien pójść, mając na uwadze swoje pisanie, stary znalazł się w prawdziwej kropce.

- Na jakąś d-d-dobłą - odparł. - Ale jeśli zamierzasz pisać, to czy nie możesz tego r-r-robić gdziekolwiek?

- Masz wspaniałe ciało - szepnęła Cushie Percy i Garp ścisnął ją w odpowiedzi za rękę.

- Ty też - rzekł poważnie. Prawdę powiedziawszy, miała ciało śmieszne. Była mała, ale w pełni rozwinięta, jak nabita kiść kwiatu. Powinna się nazywać, myślał Garp, nie Cushman, tylko Kuszetka i w dzieciństwie nieraz ją tak nazywał. - To co, Kuszetka, chcesz się przejść? - Powiedziała, że zna takie jedno miejsce.

- Dokąd mnie zabierasz? - spytał Garp.

- Ha! - odparła - to ty zabierasz mnie. Ja ci tylko pokazuję drogę. I miejsce - dodała.

Zeszli ze ścieżki tam, gdzie na pewnym odcinku Steering River za dawnych czasów została nazwana Kiszka. Kiedyś osiadł tam na mieliźnie statek, ale teraz nie było już po nim śladu. Jedyne brzeg zdradzał jego historię. To właśnie w tym wąskim zakolu Everett Steering wyobraził sobie, że rozniesie w pył Anglików i tu właśnie znajdowały się armaty Everetta, trzy potężne żelazne lufy rdzewiejące na betonowych cokółach. Kiedyś oczywiście armaty się obracały, ale późniejsi ojcowie miasta unieruchomili je na dobre. Koło nich piętrzyła się wieczna piramida kul armatnich wrosłych w beton. Kule były zielonkawoczerwone od rdzy, jak gdyby pochodziły z dawno zatopionego okrętu, a betonową platformę, w której tkwiły armaty, pokrywały pozostawione przez młodzież śmieci - puszki po piwie i kawałki szkła. Porośnięte trawą zbocze, które opadało do stojącej i niemal całkowicie wyschniętej rzeki, było stratowane, jakby wyskubane przez owce, ale Garp wiedział, że zostało po prostu

zdeptane przez całe rzesze chłopców ze Steering i ich dziewczyny. Pomyślał też, że wybrane przez Cushie miejsce nie należy do specjalnie oryginalnych, ale za to jest w jej stylu.

Lubił Cushie i William Percy zawsze traktował go dobrze. Garp był za młody, żeby znać Stewi'ego Drugiego, no a Dopey to Dopey. Puchatek była według niego dziwnym, bojaźliwym dzieckiem, a wzruszająca wprost głupota Cushie pochodziła w prostej linii od jej matki, Midge Steering Percy. Garp czuł się nielojalny wobec Cushie nie wspominając nawet kompletnego, jak to oceniał, kretynizmu jej ojca, Ciepłych Kluch.

- Nigdy tu przedtem nie byłeś? - spytała Cushie.

- Może kiedyś z matką - odparł Garp - ale to musiało być bardzo dawno. - Oczywiście wiedział doskonale, co znaczyły „armaty”. Krążyło nawet w Steering ulubione powiedzonko „przelecieć kogoś pod armatami”, jak na przykład „przeleciał mnie pod armatami w ostatni weekend” albo: „trzeba było widzieć Fenleya, jak ją dmuchał pod armatami”. Nawet same lufy pokryte były swobodnymi inskrypcjami w rodzaju: „Tu Paul przeleciał Betty, 1958” czy „Tu se popieprzył M. Overton - rocznik 1959”.

Poprzez szerokość leniwie sączącej się rzeki Garp obserwował, jak w Klubie Sportowym Steering grają w golfa. Nawet z tak daleka idiotyczne stroje zawodników wyglądały nienaturalnie na tle zielonego pola golfowego i pasa porośniętych trawą bagien przechodzących w muliste rozlewiska. W deseniowych i kraciastych koszulach rozsiani wzdłuż zielono-szaro-brązowej linii brzegowej wyglądali ni przypiął ni przyłatał, jak niezdarne zwierzęta lądowe uganiające się po jeziorze za podskakującymi białymi punkcikami.

- Jezus, jaki ten golf jest głupi - powiedział Garp, znów dając wyraz swojej opinii o wszelkich grach z piłkami i kijami. Cushie już to słyszała i nie okazała zainteresowania. Usadowiła się w wygodnym miejscu - poniżej mieli rzekę, dokoła krzaki, a nad głowami ziejące paszcze potężnych armat. Garp zajrzał w lufę najbliższej i zaskoczony zobaczył tam głowę rozbitej lalki z wpatrzonym w siebie szklanym okiem.

Cushie rozpięła mu koszulę i lekko ugryzła w sutki.

- Lubię cię - powiedziała.

- A ja lubię ciebie, Kuszetka - odparł Garp.

- Chyba nam to nie będzie w tym przeszkadzało, co? - spytała. - To, że jesteśmy

starymi przyjaciółmi?

- Ależ skąd - odpowiedział. Miał nadzieję, że nie będą z „tym” zwlekali, ponieważ „to” nigdy mu się do tej pory nie zdarzyło i liczył na doświadczenie Cushie. Zaczęli od pocałunku z języczkiem w dobrze wygniecionej trawie; Cushie całowała się z otwartymi ustami, przemyślnie napierając swoimi małymi, twardymi ząbkami na jego zęby.

Uczciwy nawet w tej sytuacji Garp usiłował wybełkotać, że uważa jej ojca za idiotę.

- Oczywiście, że jest idiotą - zgodziła się Cushie. - Ale twoja matka też jest trochę dziwna, nie uważasz?

Owszem, uważał.

- Ale ja ją i tak lubię - rzekł Garp, najwierniejszy z synów. Nawet w tym momencie.

- Och, ja ją też lubię - zapewniła go Cushie. Powiedziawszy w ten sposób to co niezbędne, rozebrała się. Garp rozebrał się również, ale Cushie zapytała go nagle: - No, a gdzie masz to?

Wpadł w panikę. Gdzie ma co? Był przekonany, że Cushie go za to trzyma.

- No, gdzie masz ten interes? - zapytała pociągając go za to, co Garp uważał właśnie za swój interes.

- Jaki interes? - zdziwił się.

- Jak to, nie wzięłeś nic ze sobą? - badała go Cushie, podczas gdy Garp zachodził w głowę, co takiego powinien był ze sobą wziąć.

- Jaki interes? - powtórzył.

- Och, Garp - westchnęła Cushie. - Nie masz gumy? Spojrzał na nią przepaszająco. Był przecież tylko chłopcem, który całe życie spędził z matką, i jedyną gumą, jaką widział, była prezerwatywa naciągnięta na gałkę ich drzwi w przybudówce należącej do infirmerii, najprawdopodobniej przez tego piekielnego chłopaka nazwiskiem Meckler, który już dawno skończył szkołę i był na najlepszej drodze do samounicestwienia.

Mimo to jednak powinien był wiedzieć; oczywiście słyszał nieraz rozmowy o gumach.

- Chodź no tutaj - powiedziała Cushie. Podprowadziła go do armat. - Chyba nigdy tego nie robiłeś, co? - Potrząsnął głową, uczciwy do szpiku swoich nieśmiałych kości. - Och, Garp - westchnęła. - Gdybyśmy nie byli takimi starymi przyjaciółmi... -

Uśmiechnęła się do niego, ale wiedział, że mu teraz nie da tego zrobić. Wskazała środkową lufę. - Spójrz. - Spojrzał. Zobaczył migotliwe diamenty tłuczonego szkła, niby drobny żwirek tropikalnej plaży ze swoich wyobrażeń i coś jeszcze - już nie tak przyjemnego. - Gummy - wyjaśniła Cushie.

Działo było dosłownie zapchane zużytymi kondomami. Setkami prezerwatyw! Pokaz wstrzymanej reprodukcji. Jak psy, które obsikują granice swojego terytorium, tak chłopcy ze Steering zostawiali coś z siebie w lufie gigantycznej armaty strzegącej Steering River. Nowoczesny świat zbrukał jeszcze jeden obiekt historyczny.

Cushie zaczęła się ubierać.

- Nie masz o niczym pojęcia - dogadywała mu - o czym ty będziesz pisał? - Podejrzywał, że na kilka lat ta sprawa stanie się dla niego problemem, drobną przeszkodą w planach na przyszłość.

Już miał się zacząć ubierać, kiedy kazała mu się położyć, tak żeby mogła sobie na niego popatrzeć.

- Ale ty jednak jesteś piękny - powiedziała. - I wszystko masz w porządku. - Pocałowała go.

- Mogę iść i skombinować jakieś gummy - zaproponował. - Przecież to nie potrwa długo, co? I moglibyśmy tu wrócić.

- Mam o piątej pociąg - powiedziała Cushie, ale uśmiechnęła się życzliwie.

- Nie wiedziałem, że musisz wracać na jakąś określoną godzinę - rzekł Garp.

- Cóż, nawet w Dibbs obowiązuje jakiś regulamin - powiedziała Cushie, wyraźnie urażona swoją opinią wagarowiczki. - A poza tym spotykasz się z Helen. Wiem, że się spotykasz, może nie?

- Nie w ten sposób - przyznał.

- Garp, ty nie powinieneś każdemu o wszystkim opowiadać - rzekła Cushie.

To samo dotyczyło jego pisania; mówił mu o tym Tinch.

- Zbyt poważnie wszystko traktujesz - dodała Cushie, która przynajmniej raz mogła kogoś pouczać.

W dole na rzece ósemka wioślarska prześliznęła się przez wąski przesmyk Kiszki i popłynęła ku przystani Steering, zanim odpływ jej to uniemożliwił.

W tym momencie Garp i Cushie zobaczyli nadchodzącego mężczyznę. Przebrnął przez trawiaste mokradła po drugiej stronie rzeki i podwinąwszy nogawki fioletowych spodni wlaź w grzęzawisko odsłonięte przez odpływ. Przed nim, w miejscu jeszcze bardziej podmokłym, w odległości jakichś sześciu stóp od linii wody,

spoczywała jego piłka. Mężczyzna niepewnie zrobił krok do przodu, ale szlam sięgał mu już powyżej łydki; wymachując kijem golfowym, żeby nie stracić równowagi, zanurzył w pewnym momencie jego błyszczący koniec w czarnym paskudztwie i zaklął.

- Harry, wracaj! - ktoś do niego krzyknął. Był to jego partner od golfa, mężczyzna ubrany równie jaskrawo - w długich do kolan szortach, zieleńszych od trawy, i żółtych skarpetach. Zawodnik nazwany Harrym ponuro zbliżył się do piłki. Wyglądał jak rzadki okaz ptaka wodnego poszukującego własnego jaja w oleistej mazi.

- Harry, bo się utopisz w tym gównie! - ostrzegł go przyjaciel. W tej chwili Garp rozpoznał partnera Harry'ego; mężczyzna w zielonym i żółtym był ojciec Cushie, Ciepłe Kluchy.

- To nowa piłka! - wrzasnął Harry i zapadł się lewą nogą aż po pachwinę; usiłując się odwrócić stracił równowagę i usiadł. Blocko szybko wessało go do pasa, a jego przerażona twarz wydawała się bardzo czerwona nad błękitną - błękitniejszą od nieba - koszulką. Pomachał kijem, ale kij wymknął mu się z ręki i odpłynął w muliste bagno, gdzie zatrzymał się zaledwie o kilka cali od piłki, nieprawdopodobnie biały i na zawsze nieosiągalny.

- Ratunku! - wrzasnął Harry; posuwając się na czworakach pokonał jednak odległość kilku stóp dzielącą go od Ciepłych Kluch i bezpiecznego brzegu. - Jakbym był cały w węgorzach! - krzyknął. Pełznął na brzuchu posługując się rękami jak foka płetwami na lądzie. Całej jego drodze towarzyszyło koszarne cmokanie, jakby pod powierzchnią bagna czaiła się straszliwa bestia gotowa go w każdej chwili wessać.

Garp i Cushie leżąc w krzakach stłumili śmiech. Harry po raz ostatni rzucił się całym ciałem ku brzegowi. Stewart Percy, który usiłował mu pomóc, wszedł jedną nogą w blocko i natychmiast stracił but golfowy wraz z żółtą skarpetą.

- Szszsz! Leż spokojnie - nakazała Cushie. Oboje zauważyli erekcję Garpa. - O, jaka szkoda - szepnęła, spoglądając smętnie w tę stronę, ale kiedy Garp próbował pociągnąć ją w trawę, powiedziała: - Ja nie chcę dzieci, Garp. Nawet z tobą. Zwłaszcza, że to mógłby być mały Żółtek, kapujesz? A tego to już bym naprawdę nie chciała.

- Co takiego? - zapytał Garp. Ostatecznie można nie wiedzieć o gumach, ale co ma znaczyć to całe gadanie o małych Żółtkach - zastanawiał się.

- Szszsz - szepnęła Cushie. - Zrobię ci coś takiego, żebyś miał o czym pisać.

Wściekli gracze pruli już przez porośniętą trawą bagna z powrotem do nieskazitelnego pola golfowego, kiedy usta Cushie skubnęły brzeżek jego twardego

pępka. Garp nigdy nie był pewny, czy jego pamięć została pobudzona przez słowo „Żółtek” i czy rzeczywiście w tym momencie przypomniał sobie krwawą scenę w domu Percych i słowa małej Cushie: „Bonkie ugryzł Garpa” (jak również taksujące spojrzenie nagiego Stewarta Percy). Ale być może właśnie wtedy sobie przypomniał, jak to Ciepłe Kluchy powiedział, że ma oczy Żółtka, i ujrzał kawał swojego życia z pewnej perspektywy; w każdym razie w tej chwili postanowił, że poprosi matkę o jakieś dalsze szczegóły poza tymi, które mu udostępniła dotychczas. Poczł potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej o ojcu ponad to, że był żołnierzem i tak dalej. Ale poczuł również na brzuchu miękkie wargi Cushie Percy i kiedy nagle wzięła jego członek w swoje ciepłe usta, był zdziwiony, a jego postanowienie eksplodowało równie szybko jak on sam. Tam, pod trzema lufami rodzinnych armat Steeringów, S. T. Garp po raz pierwszy w ten stosunkowo bezpieczny i bezproduktywny sposób zaznał co to seks. Oczywiście z punktu widzenia Cushie również bezwzajemny.

Wrócili wzdłuż Steering River trzymając się za ręce.

- Chciałbym się z tobą spotkać w najbliższy weekend - powiedział Garp. Postanowił, że tym razem nie zapomni o gumach.

- Kiedy ja wiem, że tak naprawdę to kochasz się w Helen - rzekła Cushie. Najprawdopodobniej nienawidziła Helen Holm, o ile ją w ogóle znała. Helen była straszną snobką na punkcie własnej inteligencji.

- Ale mimo to chcę się z tobą spotkać.

- Jesteś miły - powiedziała Cushie ściskając go za rękę. - A poza tym jesteś moim najstarszym przyjacielem. - Ale oboje wiedzieli, że można się znać całe życie i nigdy się nie zaprzyjaźnić.

- Kto ci powiedział, że mój ojciec był Japończykiem? - zapytał Garp.

- Nie wiem - odparła Cushie. - I nie wiem, czy rzeczywiście był.

- Ja też nie - przyznał Garp.

- Nie rozumiem, dlaczego nie spytasz o to matki - rzekła Cushie. Garp oczywiście spytał, tylko że Jenny twardo obstawała przy swojej pierwszej i jedynej wersji.

Kiedy Garp zadzwonił do Cushie do Dibbs, powiedziała:

- Kurczę, to ty! Właśnie dzwonił ojciec i zakazał mi się z tobą widywać i do ciebie pisać. Mam nawet nie czytać twoich ich listów - tak jakbyś kiedykolwiek do mnie pisywał. Musiał nas zobaczyć ktoś z grających w golfa, jak odchodziliśmy spod

armat. - Dla Cushie było to jedynie śmieszne, ale Garp czuł, jak jego przyszłość pod armatami umyka. - Przyjeżdżam na ten weekend, kiedy przypada twoja matura - poinformowała go Cushie. Garp zastanawiał się, czy gdyby zaraz kupił prezerwatywy, to by dotrwały do jego matury. I czy gumy się psują? A jeśli, to w ciągu ilu tygodni? Czy należy je trzymać w lodówce? Ale nie miał kogo spytać.

Pomyślał o Erniem Holmie, ale ogarnął go lęk, że Helen się dowie o jego randce z Cushie Percy, i chociaż nie łączyło ich nic takiego, żeby można było mówić o zdradzie, to jednak Garp miał i wyobraźnię, i swoje plany.

Napisał więc do Helen długi list z wyznaniem na temat swojej „żądzy”, jak to nazwał, i nieporównywalnych z nią wyższych uczuć dla niej, jak się o nich wyrażał. Helen odpowiedziała mu natychmiast, że zupełnie nie rozumie, dlaczego mówi o tym właśnie jej, ale uważa, że napisał to bardzo dobrze. Znacznie lepiej niż na przykład tanto opowiadanie, które dał jej wtedy do przeczytania, i ma nadzieję, że w dalszym ciągu będzie jej pokazywał swoje prace. Dodała, że wprowadzie niewiele wie o Cushie Percy, ale odnosi wrażenie, że musi być raczej głupia. „Tyle że przyjemna” - pisała Helen. I jeżeli już go napadła taka żądza, jak to sam określił, to czy nie jest szczęściarzem, że ma pod ręką taką Cushie?

Garp odpowiedział, że nie pokaże jej żadnego opowiadania, dopóki nie napisze czegoś, co byłoby jej godne. Zwierzył się także Helen ze swoich wahań co do pójścia na studia. Po pierwsze, uznał, jedynym powodem pójścia na uczelnię byłyby zapasy, a wcale nie miał pewności, czy mu zależy na zapasach na tym poziomie. Nie widział sensu w dalszym uprawianiu zapasów w jakimś małym college'u, gdzie się nie kładzie nacisku na sport. „Warto się w to angażować - pisał - tylko wtedy, gdybym usiłował być najlepszy”. Ale być najlepszym w zapasach to nie jest w gruncie rzeczy to, o co mu chodzi, poza tym uważa za mało prawdopodobne, żeby mógł być najlepszy. A kto słyszał iść na studia po to, żeby być najlepszym w pisaniu?

I skąd w ogóle ten pomysł, że ma być najlepszy?

Helen poradziła mu, żeby wyjechał do Europy, i Garp przedyskutował tę sprawę z Jenny.

Ku jego zdumieniu Jenny nigdy nie uważała, że powinien iść na studia. Nie zgadzała się z opinią, że po to są szkoły średnie.

- Skoro Steering zapewnia swoim uczniom takie pierwszorzędne wykształcenie - powiedziała - to po co ci na miłość boską lepsze? Jeżeli uważałeś na lekcjach, to jesteś wykształcony. Prawda? - Garp nie czuł się wykształcony, ale powiedział, że tak.

Jest zdania, że uważał. Co do Europy, Jenny okazała nawet zainteresowanie. - Owszem, chętnie bym spróbowała - powiedziała. - To na pewno rozsądniejsze, niż sterczeć tutaj.

I wtedy właśnie Garp się zorientował, że matka zamierza z nim mieszkać.

- Znajdę najlepsze w Europie miejsce dla pisarza - obiecała mu. - Sama zresztą myślałam o tym, żeby coś napisać.

Garp poczuł się tak strasznie, że poszedł do łóżka. Kiedy wstał, napisał do Helen, że jest skazany na to, że do końca życia Jenny będzie za nim jeździła.

„Jak mogę pisać - skarżył jej się - kiedy matka stale zagląda mi przez ramię”. Na to Helen nie znalazła odpowiedzi; odpisała, że wspomni o całej sprawie ojcu i że może Ernie porozmawia z Jenny. Ernie Holm lubił Jenny; od czasu do czasu zapraszał ją do kina. Stała się nawet do pewnego stopnia fanatyczką zapasów i chociaż nie mogło być mowy o niczym więcej między nimi poza przyjaźnią, to historia niezamężnej matki wywarła na nim wielkie wrażenie. Wysłuchał i zaakceptował jej wersję jako wystarczającą, przynajmniej dla niego, i gorąco bronił Jenny wobec tych spośród przedstawicieli społeczności Steering, którzy dawali do zrozumienia, że chętnie dowiedzieliby się czegoś więcej.

Ale w sprawach związanych z kulturą Jenny słuchała Tinch. Zapytała go więc, dokąd w Europie mógłby się udać młody chłopiec z matką, gdzie znalazłby najbardziej artystyczny klimat, najlepszą atmosferę do pisania. Tinch był ostatnio w Europie w roku 1913. Spędził tam tylko lato. Najpierw pojechał do Anglii, gdzie żyło jeszcze kilku Tinchów, jego brytyjskich antenatów, ale starcy wystraszyli go domagając się pieniędzy - żądali tak wiele i tak niedelikatnie, że szybko uciekł na kontynent. Ale ludzie byli dla Tinchy zbyt ordynarni we Francji i zbyt krzykliwi w Niemczech. Miał nerwicę żołądka, więc bał się włoskiej kuchni, pojechał wobec tego do Austrii.

- W Wiedniu - powiedział - znalazłem prawdziwą Europę. K-k-kontemplacyjną i artystyczną. Tam się czuło smutek i w-w-wielkość.

W rok później wybuchła pierwsza wojna światowa. W roku 1918 hiszpanka miała zdziesiątkować tych wiedeńczyków, którzy zostali przy życiu. Na grypę miał umrzeć stary Klimt, młody Schiele i jego młoda żona. Czterdzieści procent pozostałej męskiej populacji miało nie przeżyć drugiej wojny światowej. Wiedeń, do którego Tinch wysyłał Jenny i Garpa, był już miastem umarłym. Jego zmęczenie można było wprawdzie wziąć za atmosferę k-k-kontemplacyjną, co zaś do w-w-w-wielkości - trudno było dopatrzeć się jej śladów. Pośród półprawd Tinchy Jenny i Garp mogli jednak

wyczuć coś z tego smutku.

„Każde miejsce może być artystyczne - napisał później Garp - o ile pracuje w nim artysta”.

- Wiedzieć? - zdziwił się. Powiedział to dokładnie w ten sam sposób, jak przed z górą trzema laty powiedział „Zapasy?” Leżał wtedy chory i wątpił, czy Jenny potrafi mu wybrać właściwy sport. Ale jej wybór okazał się trafny; poza tym Garp nic nie wiedział o Europie, a bardzo niewiele o jakimkolwiek innym miejscu. Miał w szkole przez trzy lata niemiecki, co okazało się pożyteczne, zaś Jenny, która nie była mocna w językach, przeczytała książkę o dziwnej parze kochanków, jaką w historii Austrii stanowili Maria Teresa i faszyzm. Tytuł książki brzmiał: „Od cesarstwa do Anschlussu!”. Garp latami widywał ją w łazience, ale teraz nikt nie mógł jej znaleźć. Być może przepadła gdzieś w wannach wibracyjnych.

- Ostatnią osobą, u której ją widziałam - powiedziała Jenny - był Ulfelder.

- Mamo, Ulfelder skończył szkołę trzy lata temu - uświadomił jej Garp.

Kiedy Jenny oznajmiła dziekanowi Bodgerowi, że wyjeżdża, powiedział, że będzie jej bardzo w Steering brakowało i że z otwartymi ramionami przyjmą ją z powrotem. Jenny nie chciała być niegrzeczna, ale wymamrotała, że pielęgniarką można być praktycznie wszędzie; oczywiście nie wiedziała, że już nigdy nie będzie pielęgniarką. Bodger był zaskoczony wiadomością, że Garp nie wybiera się na studia. Jego zdaniem od owej przygody na dachu infirmerii, kiedy chłopak miał pięć lat, nie było żadnych problemów z jego dyscypliną, a zadowolenie Bodgera z roli, jaką sam w tej sprawie odegrał, zabarwiło życzliwością jego stosunek do Garpa. Poza tym dziekan Bodger był fanatykiem zapasów i jednym z nielicznych wielbicieli Jenny. Ale przyjął do wiadomości, że chłopak poważnie traktuje swoją „pisaninę”, jak to nazywał. Jenny nie zwierzyła się oczywiście Bodgerowi, że sama zamierza również pisać.

Ta część planu najbardziej zaniepokoiła Garpa, ale słowem nawet nie wspomniał o tym Helen. Wszystko działo się bardzo szybko i jedyną osobą, wobec której Garp mógł się zdradzić ze swoimi obawami, był jego trener Ernie Holm.

- Jestem przekonany, że twoja mama wie, co robi - powiedział Ernie.

Nawet stary Tinch był pełen optymizmu wobec tych planów.

- To jest trochę eks-eks-ekscentryczne - powiedział Garpo-wi - ale dobre pomysły często mają to do siebie.

W wiele lat później Garp miał sobie uświadomić z rozczuleniem, że to jąkanie

starego było czymś w rodzaju posłania dla Tinchy od ciała Tinchy. Napisał, że ciało Tinchy usiłowało ostrzec Tinchy, że pewnego dnia z-z-zamarznie na śmierć.

Jenny postanowiła, że wyjadą zaraz po maturze, ale Garp miał nadzieję, że zostaną w Steering jeszcze przez lato.

- A to z jakiego do licha powodu? - dopytywała się Jenny. Z powodu Helen, chciał odpowiedzieć, ale nie miał opowiadań, które byłyby jej godne; już to przecież powiedział. Nie pozostawało mu nic innego, jak jechać i pisać. Bo przecież nie mógł oczekiwać po matce, że zostanie w Steering jeszcze przez lato tylko dlatego, żeby doszło do skutku jego spotkanie pod armatami z Cushie Percy; może zresztą nie było mu ono pisane, W każdym razie miał nadzieję, że przynajmniej w maturalny weekend zrobi to z Cushie.

W dniu, w którym Garp zdawał maturę, padał deszcz. Strumienie deszczu siekły nasiąknięty wodą kampus; kanały burzowe kipiały od błota, a zamiejskowe samochody brnęły przez ulice niby jachty podczas szkwału. Kobiety wydawały się zupełnie bezradne w swoich letnich sukienkach; furgonetki ładowano w pośpiechu i w okropnych warunkach. Przed Halą Sportową Milesa Seabrooka wzniesiono wielki purpurowy namiot i świadectwa dojrzałości wręczano w panującym wewnątrz zaduchu cyrkowego pomieszczenia; bębnienie deszczu o czerwony brezent nad głowami zebranych zagłuszało słowa przemówień.

W mieście nie było żywego ducha. Wszyscy notable wyjechali.

Helen nie przyjechała, bo za tydzień szykowały się matury w Talbot i zdawała jeszcze egzaminy. Cushie Percy brała udział w obsłudze tutejszej żalostnej uroczystości. Garp nie miał co do tego wątpliwości, ale jej nie widział. Wiedział, że będzie w towarzystwie swojej idiotycznej rodziniki, a miał dość zdrowego rozsądku, żeby się trzymać na bezpieczną odległość od Ciepłych Kluch - ostatecznie rozwścieczony ojciec to mimo wszystko ojciec, nawet jeśli Cushman Percy już dawno utracił cześć.

Kiedy wreszcie ukazało się późne popołudniowe słońce, nie miało to właściwie żadnego znaczenia. Całe Steering spowijały opary, a ziemia - od Stadionu Seabrooka do armat - przez wiele jeszcze dni miała być nasiąknięta wilgocią. Garp wyobrażał sobie głębokie, wypełnione wodą kaniony przecinające miękką trawę wokół armat. Nawet Steering River będzie wezbrana, a same armaty zalane; zadarte do góry lufy napełniały się wodą za każdym razem, kiedy padało. W taką pogodę pluły tłuczonym szkłem zostawiając na poplamionym betonie tłuste kałuże zużytych prezerwatyw.

Garp wiedział, że w ten weekend nie zwabi Cushie do armat.

Mimo to w jego kieszeni szeleściła paczuszka zawierająca trzy sztuki prezerwatyw jak wąty, suchy płomyk nadziei.

- Wiesz co - powiedziała Jenny. - Kupiłam piwa. Możesz się upić, jeśli masz ochotę.

- Jezu, mamó - rzekł Garp, ale wypił z nią parę piw. Siedzieli sami w ten naturalny wieczór, w zupełnie pustym skrzydle budynku wśród pustych, odartych z bielizny pościelowej łóżek - prócz tych dwóch, w których mieli spać. Garp popijał piwo i zastanawiał się, czy wszystko musi się kończyć rozczarowaniem; pocieszał się myślą o nielicznych dobrych opowiadaniach, jakie czytał w życiu, ale mimo że odebrał wykształcenie w Steering, nie był wytrawnym czytelnikiem, w każdym razie nie mógł się równać z Helen czy na przykład z Jenny. Miał zwyczaj czytania w kółko opowiadań, które mu się podobały, i na dłuższy czas uniemożliwiało mu to czytanie czegokolwiek innego. Podczas swego pobytu w Steering zaliczył „Ukrytego sojusznika” Josepha Conrada trzydzieści cztery razy, a dwadzieścia jeden razy „Człowieka, który kochał wyspy” D. H. Lawrence'a; teraz czuł, że mógłby przeczytać to jeszcze raz.

Za oknami małego mieszkanka w przybudówce infirmerii kampus Steering rozciągał się ciemny, mokry i opuszczony.

- Spróbuj na to spojrzeć inaczej - powiedziała Jenny; widziała, że Garp jest przygnębiony. - Ukończenie Steering zajęło ci zaledwie cztery lata, a ja chodziłam do tej cholernej szkoły osiemnaście. - Była z niej kiepska pijaczka; w połowie drugiego piwa zasnęła. Garp zaniósł ją do sypialni, a ponieważ już wcześniej zdjęła buty, wyjął jej tylko przepisową pielęgniarską szpilkę, żeby się we śnie nie ukłuła. Zrobiło się ciepło, więc jej nawet nie przykrył.

Wypił jeszcze jedno piwo i poszedł się przejść.

Oczywiście wiedział, dokąd idzie.

Dom rodziny Percych - dawna siedziba Steeringów - przycupnięty na swoim mokrym trawniku, znajdował się niedaleko skrzydła zajmowanego przez infirmerię. Paliło się tam tylko jedno światło - Garp wiedział, u kogo. Czternastoletnia obecnie Bainbridge nie potrafiła zasnąć po ciemku. Cushie zwierzyła się także Garpowi, że jej siostra do tej pory chodzi z pieluchą - być może, pomyślał Garp, to dlatego, że rodzina uparła się dalej nazywać ją Puchatkiem.

- Ostatecznie - powiedziała Cushie - nie widzę w tym nic złego. Ona nie używa pieluch. To znaczy jest przyuczona, do czego trzeba i w ogóle. Puchatek po prostu lubi

nosić pieluchy... od czasu do czasu.

Garp stał na zroszonej trawie pod oknem i usiłował sobie uświadomić, który pokój należy do Cushie. Nie mógł sobie jednak przypomnieć i postanowił obudzić Puchatka; mała na pewno go pozna i powie Cushie. Ale Puchatek podeszła do okna jak duch - najwyraźniej nie od razu poznała Garpa, który kurczowo trzymał się bluszczu. Oczy Bainbridge Percy przypominały oczy sarny porażonej światłami samochodu, który ma ją za chwilę przejechać.

- Puchatek, to ja na miłość boską - szepnął Garp.

- Chodzi ci o Cushie, tak? - zapytała go ponuro.

- Tak! - burknął Garp. W tym momencie bluszcz puścił i Garp wpadł w żywopłot. Cushie, która spała w kostiumie kąpielowym, pomogła mu się wyplątać.

- O rany, obudzisz cały dom - powiedziała. - Co robiłeś? Piłeś czy co?

- Spadałem - odparł rozdrażniony. - Twoja siostra jest naprawdę niesamowita.

- Wszędzie tak mokro - powiedziała Cushie. - Gdzie teraz pójdziemy?

Ale Garp pomyślał i o tym. Wiedział, że w infirmerii jest sześćdziesiąt pustych łóżek.

Zanim jednak minęli werandę Percych, stanęli oko w oko z Bonkersem. Pies dyszał po zejściu ze schodów werandy, a stalowoszary pysk miał upstrzony cętkami piany; oddech czarnej bestii dosięgnął Garpa jak kawał starej darni rzucony mu w twarz. Bonkers warczał, ale nawet jego warczenie było zwolnione.

- Powiedz mu, żeby się uspokoił - szepnął Garp.

- On jest głuchy - odparła Cushie. - Jest bardzo stary.

- Wiem, jaki on jest stary - rzekł Garp.

Bonkers zaszczekał wydając z siebie skrzekliwy, ostry dźwięk przypominający skrzypienie zawiasów dawno nie używanych drzwi, otwieranych teraz na siłę. Był chudszy, ale i tak musiał ważyć co najmniej ze sto czterdzieści funtów. Ofiara pasożytów, parchów, starczego zgryzu i drutu kolczastego, Bonkers wyczuł jednak wroga i przyparł go do werandy.

- Wynoś się, Bonkie! - syknęła Cushie.

Garp usiłował uskoczyć przed psem i zauważył, jak wolno Bonkers reaguje.

- On jest na pół ślepy - szepnął.

- I już prawie stracił węch - dodała Cushie.

- Najwyższy czas, żeby zdechł - mruknął Garp pod nosem, usiłując jednocześnie wyminąć psa. Bonkers ruszył za nim na oślep. Jego pysk w dalszym

ciągu kojarzył się Garpowi z koparką parową, a luźny fałd mięśnia na czarnej, kudłatej piersi przypominał, jak silnie psisko potrafiło atakować - tyle że dawno temu.

- Nie zwracaj na niego uwagi - poradziła Cushie, właśnie w momencie, kiedy Bonkers rzucił się na Garpa.

Był jednak na tyle powolny, że Garp zdołał się wywinąć i stanąć za nim. Wyszarpnął spod niego przednie łapy i przywalił go ciężarem własnej piersi. Bonkers poleciał na pysk przebijając tylnymi łapami. Garp panował teraz nad jego złożonymi przednimi łapami, ale wielki łeb przyciskał jedynie piersią. Rozległo się przeraźliwe warczenie, kiedy przydusił stos pacierzowy Bonkersa wbijając brodę w gęstą sierść na jego karku. W trakcie szarpaniny Garp poczuł w ustach ucho, ugryzł. Ugryzł z całej siły. Bonkers zawył. Garp ugryzł go w ucho na pamiątkę własnej krzywdy, ugryzł go za swoje cztery lata w szkole i za osiemnaście lat Jenny w Steering.

Dopiero kiedy w domu Percych zabłysły światła, puścił starego Bonkersa.

- Uciekaj - powiedziała Cushie. Garp złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. W ustach miał ohydny smak. - Rany, czy musiałeś go ugryźć? - zapytała Cushie.

- To przecież on mnie pierwszy ugryzł - przypomniał jej Garp.

- Pamiętam - powiedziała. Ścisnęła go za rękę, a on ją poprowadził tam, gdzie chciał.

- Co tu się do diabła dzieje?! - doszedł ich wrzask Stewarta Percy'ego.

- To Bonkie, to Bonkie! - rozległ się wśród nocy głos Puchatka.

- Bonkers! - zawołał Ciepłe Kluchy. - Bonkers, do nogi, Bonkers! - I wszyscy usłyszeli donośne szczekanie głuchego psa.

Odgłos zamieszania niósł się przez cały pusty kampus. Obudził Jenny Fields, która wyjrzała przez okno infirmerii. Na szczęście dla siebie Garp zauważył, jak zapala światło, schował więc Cushie za siebie w korytarzu pustej przybudówki, a sam zwrócił się o poradę medyczną do Jenny.

- Co ci się stało? - zapytała. Garp był ciekaw, czy krew, która spływała mu strumieniem po brodzie, była jego własna, czy Bonkersa. Przy stole kuchennym Jenny zmyła mu coś czarnego i podobnego do strupa. To coś odpadło od jego szyi i wylądowało na stole - było wielkości srebrnej dolarówki. Oboje przyglądali się tej dziwnej rzeczy.

- Co to takiego? - spytała Jenny.

- Ucho - odparł Garp. - A przynajmniej kawałek ucha.

Na białym lakierowanym stole leżał czarny strzęp skóry, pozwijany lekko na

brzegach i popękany jak stara wysuszona rękawiczka.

- Nadziałem się na Bonkersa - wyjaśnił Garp.

- Ucho za ucho - powiedziała Jenny.

Garp nie poniósł najmniejszego szwanku; krew była wyłącznie psa.

Kiedy Jenny wróciła do swojej sypialni, chyłkiem przemycił Cushie do tunelu, prowadzącego do głównej infirmerii. Przez osiemnaście lat zdążył poznać tę drogę. Zabrał Cushie do skrzydła położonego najdalej od ich mieszkania; znajdowało się ono nad główną izbą przyjęć, w pobliżu sal operacyjnych i pokojów zabiegowych.

W ten sposób seks miał się Garpowi na zawsze kojarzyć z pewnymi określonymi zapachami i doznaniem. A sam fakt pozostać w pamięci jako coś dokonanego po kryjomu, ale na luzie: ostateczna nagroda w tych pełnych udręki czasach. Zapach miał zapisać się w jego świadomości jako głęboko osobisty, a zarazem mgliście szpitalny; otoczenie jako bezludne. Stosunek płciowy miał więc pozostać dla Garpa aktem dokonywanym samotnie w opuszczonym wszechświecie - w jakiś czas po deszczu. Ale zawsze aktem wspianego optymizmu.

Cushie oczywiście budziła w nim wiele wspomnień związanych z armatami. Kiedy zużyli trzecią prezerwatywę, zapytała, czy nie ma więcej - czy kupił tylko jedno opakowanie. Dla zapaśnika nie ma nic przyjemniejszego jak uczciwie zasłużone zmęczenie; Garp zasnął przy akompaniamencie utyskiwań Cushie.

- Za pierwszym razem nie miałeś ani jednej - mówiła - a teraz już ci się skończyły? Całe szczęście, że jesteśmy takimi starymi przyjaciółmi.

Było jeszcze ciemno i daleko do świtu, kiedy obudził ich Ciepłe Kluchy. Głos Stewarta wtargnął w ciszę starej infirmerii jak jakaś niewyobrażalna choroba.

- Otwierać! - usłyszeli jego wrzask i przemknęli do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Na bardzo zielonym trawniku w płaszczu kąpielowym, w kapciach - i z Bonkersem na smyczy - ojciec Cushie pieklił się pod oknami infirmerii. Wkrótce potem ukazała się w oświetlonym oknie Jenny.

- Czy pan jest chory? - zapytała Stewarta.

- Moja córka! - krzyknął Percy.

- Czy pan jest pijany? - spytała Jenny.

- Proszę mnie wpuścić! - darł się Stewart.

- Doktora nie ma - wyjaśniła Jenny Fields. - A ja nie sądzę, żebym mogła pana z czegokolwiek wyleczyć.

- Kurwa! - ryknął Stewart. - Twój bękart uwiódł moją córkę! Wiem, że tam są w tej pieprzonej infirmerii!

Teraz ta infirmeria jest rzeczywiście pieprzona - pomyślał Garp, rozkoszując się dotykiem i zapachem dygocącej obok niego Cushie. Ogarnięci nocnym chłodem wpadającym przez ciemne okno drżeli w milczeniu.

- Niech pani zobaczy, jak wygląda mój pies! - skrzeczał Stewart. - Wszędzie krew! Co to jest, żeby pies chował się pod leżakiem! Cała weranda we krwi! - chrypiał. - Co ten skurwysyn mu do diabła zrobił?!

Garp poczuł, jak stojąca obok niego Cushie wzdrygnęła się na głos jego matki. Bo to, co powiedziała Jenny, musiało przywieść Cushie na pamięć jej własne słowa sprzed trzynastu lat. Jenny powiedziała:

- Garp ugryzł Bonkiego. - Po czym światło w jej oknie zgasło i w ciemności, jaka zapadła nad infirmeria i jej przybudówką, słychać było jedynie oddech Stewarta Percy'ego i szum deszczu, który omywał szkołę Steering splukując wszystko do czysta.

Rozdział V

Miasto, w którym umarł Marek Aureliusz

Kiedy Jenny zabrała Garpa do Europy, był on lepiej przygotowany do samotnego życia pisarza niż jakikolwiek inny osiemnastolatek. Właściwie i do tej pory prosperował w świecie własnej wyobraźni; ostatecznie został wychowany przez kobietę, która uważała samotność i odosobnienie za całkowicie naturalny styl życia. Miały upłynąć lata, nim Garp zdał sobie sprawę, że praktycznie nie ma żadnych przyjaciół, a to nigdy nie uderzyło Jenny Fields jako dziwactwo. Na swój pełen rezerwy i grzeczności sposób Ernie Holm był jedynym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała.

Zanim Jenny i Garp znaleźli mieszkanie, zatrzymywali się w kilkunastu pensjonatach rozsianych po całym Wiedniu. Był to pomysł pana Tinha - jego zdaniem idealny sposób na wybranie najodpowiedniejszej części miasta: pomieszkać po trochu we wszystkich dzielnicach, a następnie na którąś się zdecydować. Ale krótkie pobyty w pensjonatach musiały być znacznie przyjemniejsze dla Tinha latem 1913 roku; kiedy Jenny i Garp przyjechali do Wiednia, był rok 1961; szybko zmęczyło ich taszczenie maszyn do pisania z miejsca na miejsce. Co nie przeszkadza, że właśnie to doświadczenie dostarczyło Garpowi materiału na jego pierwsze dłuższe opowiadanie „Pensjonat Grillparzer”. Przed przyjazdem do Wiednia nie miał nawet pojęcia, co to jest pensjonat, szybko jednak odkrył, że ma on nieco mniej do zaoferowania niż hotel; jest z reguły mniejszy, nigdy elegancki i nie zawsze daje śniadania. Zatrzymanie się w pensjonacie czasem stanowiło dobry interes, a czasem błąd. Jenny i Garp znajdowali pensjonaty, które bywały czyste, wygodne i przyjacielskie, ale często biedne.

Nie zastanawiali się długo nad wyborem miejsca: postanowili, że zamieszkają przy albo w pobliżu Ringstrasse, wielkiej kolistej ulicy otaczającej serce starego miasta, w dzielnicy, gdzie było prawie wszystko i gdzie Jenny nie znająca niemieckiego radziła sobie nieco lepiej, była to bowiem bardziej wyrafinowana i kosmopolityczna część Wiednia - o ile w ogóle taka istnieje.

Opiekowanie się matką sprawiało Garpowi przyjemność, trzyletni kurs niemieckiego w Steering wyznaczył mu rolę przewodnika i Garp najwyraźniej czuł się

dobrze jako jej szef.

- Weź Schnitzel! - mówił.

- Mnie się wydaje, że Kalbsnieren brzmi bardziej interesująco - odpowiadała Jenny.

- To nerki cielejące, mamó - wyjaśniał. - Lubisz nerki?

- Nie wiem - przyznawała Jenny. - Chyba nie.

Kiedy wreszcie wynajęli mieszkanie, Garp wziął na siebie zakupy. Przez osiemnaście lat Jenny jadała w stołówkach Steering; nie nauczyła się gotować, a do tego jeszcze nie mogła teraz korzystać z przepisów. Co zaś do Garpa, to dopiero w Wiedniu przekonał się, jak bardzo lubi kucharzyć. Jednakże pierwszą rzeczą, jaka mu tutaj przypadła do gustu, było WC. Mieszkając po różnych pensjonatach dokonał odkrycia, że WC to mały pokój, w którym znajduje się wyłącznie sedes - nareszcie coś sensownego w Europie. Napisał do Helen, że „oddawać mocz i wypróżniać się w jednym miejscu, a myć zęby w drugim to najmądrzejszy system”. WC miał oczywiście wywrzeć znaczący wpływ na „Pensjonat Grillparzer”, ale do pisania zarówno tego opowiadania, jak i czegokolwiek innego Garp miał się zabrać jeszcze nieprędko.

Mimo że jak na osiemnastolatka był wyjątkowo zdyscyplinowany, to jednak otaczało go zbyt wiele rzeczy wartych obejrzenia; to właśnie one wraz z obowiązkami, jakie nagle na niego spadły, zajmowały mu tyle czasu, że miesiącami jedynym pisaniem, z jakiego czerpał satysfakcję, były listy do Helen. Nowe otoczenie zbyt go rozpraszało, by mógł w sobie wyrobić niezbędny nawyk, pisania - chociaż próbował.

Próbował napisać opowiadanie o rodzinie, ale zabierając się do niego wiedział jedynie, że rodzina ma ciekawe życie i że jej członkowie są sobie bliscy. Stwierdził, że to za mało.

Mieszkanie, do którego wprowadzili się Jenny i Garp, było wysokie, pomalowane na kolor kremowy i znajdowało się na pierwszym piętrze starego budynku przy Schwindgasse, małej uliczce w dzielnicy czwartej. Mieszkali dosłownie o krok od Prinz-Eugen-Strasse, Schwartzbergplatz i Górnego i Dolnego Belwederu. Garp zwiedził wszystkie muzea w mieście, ale Jenny nie poszła do żadnego, z wyjątkiem Górnego Belwederu. Garp wyjaśnił jej, że w Górnym Belwederze znajduje się tylko dziewiętnasto- i dwudziestowieczne malarstwo, ale Jenny oświadczyła, że wystarczy jej wiek dziewiętnasty i dwudziesty. Garp usiłował ją przekonać, że mogłaby przynajmniej przejść się przez ogrody do Dolnego Belwederu i obejrzeć kolekcję

barokową, ale Jenny potrząsnęła głową - wysłuchała w Steering tyle wykładów z historii sztuki, że jest w tej dziedzinie dostatecznie wykształcona, powiedziała.

- No, ale Brueghelowie, mamó! - upierał się Garp. - Wsiadasz w Strassenbahn w kierunku Ringu i wysiadasz, przy Mariahilferstrasse. Takie duże muzeum naprzeciwko przystanku tramwajowego to Kunsthistorisches.

- Ale ja przecież mogę się przejść do Belwederu - powiedziała Jenny. - Po co mam wsiadać w tramwaj?

Równie dobrze mogła jednak przejść się piechotą do Karlskirche, a poza tym bardzo niedaleko na Argentinierstrasse miała bardzo ciekawe budynki ambasad. Na przykład naprzeciwko ich domu przy Schwindgasse, dosłownie przez ulicę, mieściła się ambasada bułgarska. Jenny powiedziała, że lubi się trzymać własnej dzielnicy. W odległości jednej przecznicy miała kawiarnię, do której czasem chodziła poczytać sobie prasę w języku angielskim. Nigdy nie jadała na mieście, chyba że ją Garp zabrał; ale również nie jadła nic w domu, chyba że on ugotował. Była kompletnie opętana myślą o napisaniu czegoś - na tym etapie znacznie bardziej niż Garp.

- W tym momencie życia nie mam czasu na turystykę - oświadczyła swojemu synowi. - Ale ty, proszę bardzo, chłoń kulturę. To jest właśnie to, co powinieneś robić.

- Chłońcie, ch-ch-chońcie - radził im Tinch. Zdaniem Jenny temu powinien się obecnie poświęcić Garp; co do niej samej, uznała, że wchłonęła już dość, żeby mieć wiele do powiedzenia. W wieku czterdziestu jeden lat Jenny Fields uważała, że najciekawszą część życia ma już za sobą; teraz chciała jedynie o tym pisać.

Garp wręczył jej karteczkę, którą miała zawsze nosić przy sobie. Zapisał jej tam adres na wypadek, gdyby się kiedykolwiek zgubiła: Schwindgasse 15 m. 2, Wiedeń IV. Musiał ją też nauczyć, jak się ten adres czyta - była to straszna lekcja.

- Schwindgassefiinfzehnzwei - wypluła Jenny.

- Jeszcze raz - rzekł Garp. - Czy chcesz się zgubić na dobre?

Za dnia Garp buszował po mieście wyszukując miejsca, gdzie mógłby zabrać Jenny wieczorem albo późnym popołudniem, kiedy już skończy pisanie; szli na piwo, na lampkę wina i wtedy Garp opowiadał jej, jak spędził dzień. Jenny słuchała grzecznie. Wino i piwo działały na nią usypiająco. Zwykle zjadali gdzieś smaczną kolację i wracali Strassenbahnem do domu; Garp tak dobrze poznał linie tramwajowe, że niekorzystanie z taksówek uważał za punkt honoru. Czasami rano chodził na targ i wtedy wracał wcześniej i całe popołudnie zajmował się gotowaniem. Jenny nigdy nie narzekała; było jej wszystko jedno, czy jedzą w domu, czy na mieście.

- To jest Gumpoldskirchner - mawiał Garp wyjaśniając jej, jakie pija wino. - Pasuje doskonale do Schweinebraten.

- Co za śmieszne słowa - dziwiła się Jenny.

W sposób typowy oceniając jej styl Garp pisał później: „Moja matka zawsze walczyła z angielskim, nic więc dziwnego, że nigdy nie zadała sobie trudu, żeby się nauczyć niemieckiego”.

Chociaż Jenny Fields codziennie przesiadywała przy maszynie, nie umiała pisać. I chociaż pisała w sensie fizycznym, nie lubiła tego czytać. Przypominała sobie różne dobre rzeczy, które kiedyś przeczytała, i zastanawiała się, czym się różniły od jej pierwszych prób. Zaczęła po prostu od początku:

„Urodziłam się” i tak dalej. „Moi rodzice chcieli, żebyśmy została w Wellesley, ale...” No i oczywiście: „Zdecydowałam się, że urodzę dziecko, i ostatecznie zostałam matką w następujący sposób...” Ale Jenny przeczytała wystarczająco dużo dobrych rzeczy w swoim życiu, żeby wiedzieć, że jej własna historia nie brzmi tak jak tamte dobre, które zachowała w pamięci. Zastanawiała się, co u niej nie gra, i często posyłała Garpa do tych nielicznych księgarń, gdzie sprzedawano książki w języku angielskim. Chciała się lepiej przyjrzeć, jak powinien wyglądać początek książki; wkrótce miała ponad trzysta stron maszynopisu, mimo to jednak czuła, że jej książka właściwie jeszcze się na dobre nie zaczęła.

W milczeniu jednak znosiła męki tworzenia; w towarzystwie Garpa była wesoła, choć niezbyt uważająca. Przez całe życie Jenny Fields miała poczucie, że wszystko ma swój początek i koniec. Jak wykształcenie Garpa - jak jej własne wykształcenie. Jak sierżant Garp. Nie przestała kochać swojego syna, ale czuła, że należy skończyć z matkowaniem; doprowadziła go do momentu, w którym sam powinien decydować, co ma robić dalej. Nie będzie przecież całe życie zapisywała go na zapasy czy na coś innego. Jenny lubiła życie ze swoim synem; prawdę powiedziawszy, nie przyszło jej nawet do głowy, że mogliby kiedykolwiek się rozstać. Ale oczekiwała, że każdy dzień w Wiedniu będzie dla niego rozrywką - i był.

Nie posunął się dalej ze swoją historią ciekawej, zżytej rodziny, poza tym, że znalazł dla jej członków interesujące zajęcie. Otóż ojciec był czymś w rodzaju inspektora i reszta towarzyszyła mu w wyjazdach służbowych. Jego praca polegała na kontrolowaniu wszystkich restauracji, hoteli i pensjonatów w Austrii, do niego należała ocena i wnioskowanie o kategorii: A, B lub C. Było to zajęcie, o którym Garp

myślał, że jemu by przypadło do gustu. W kraju, w którym turystyka odgrywała tak wielką rolę, klasyfikowanie i weryfikowanie kategorii miejsc, gdzie turyści jadają i śpią, powinno mieć zasadnicze znaczenie, tyle że Garp nie mógł sobie wyobrazić ani co w tym jest takiego ważnego, ani dla kogo. Jak dotąd miał więc tylko tę rodzinę - z owym zabawnym zajęciem. Ujawniali wszelkie uchybienia; dokonywali klasyfikacji. I co z tego? Znacznie łatwiej było pisać do Helen.

W tym roku na przełomie lata i jesieni Garp przemierzył na piechotę i objeździł tramwajami cały Wiedeń nie spotykając się z nikim. Pisał do Helen: „Częścią dojrzewania jest uczucie, że w twoim otoczeniu nie ma nikogo, kto byłby na tyle do ciebie podobny, żeby cię rozumieć”; pisał również, że Wiedeń spotęgował w nim to uczucie, „ponieważ w całym mieście istotnie nie ma nikogo takiego jak ja”.

Jego wrażenie, przynajmniej w sensie liczbowym, było uzasadnione. W Wiedniu istotnie znajdowało się niewiele osób w tym samym wieku co Garp. W roku 1943 urodziło się bardzo mało wiedeńczyków; jeśli chodzi o ścisłość, niewielu wiedeńczyków urodziło się od początku okupacji hitlerowskiej w roku 1938 aż do zakończenia wojny w 1945 roku. I chociaż zdumiewająco dużo dzieci przyszło na świat wskutek gwałtów, to prawie nikt nie chciał mieć dzieci aż do czasu zakończenia okupacji rosyjskiej w roku 1955. Okupacja Wiednia trwała w sumie siedemnaście lat. Dla większości wiedeńczyków sprawa wydaje się zupełnie zrozumiała: w ciągu tych siedemnastu lat nie było ani dobrze, ani mądrze mieć dzieci. Garpowi przypadło więc w udziale żyć w mieście, w którym fakt posiadania lat osiemnastu stawiał człowieka w szczególnej sytuacji. Musiało się to oczywiście przyczynić do jego szybszego dojrzewania, co z kolei wzmogło w nim poczucie, że Wiedeń bardziej przypomina „muzeum mieszczące martwe miasto - jak napisał w liście do Helen - niż miasto, które żyje”.

To spostrzeżenie nie miało charakteru krytycznego. Garp lubił błądzić po muzeach. „Miasto bardziej realne może by mi nie odpowiadało aż tak bardzo - napisał później. - Ale Wiedeń znajdował się w stadium umierania; pozostawał w całkowitym bezruchu pozwalając mi patrzeć na siebie, myśleć o sobie i znów patrzeć. W mieście żywym nigdy nie zdołałbym tyle zauważyć. Żywe miasta nigdy nie trwają w bezruchu”.

Tak więc S. T. Garp letnie miesiące spędził na „zauważaniu” Wiednia, pisaniu listów do Helen Holm i urządzaniu życia domowego matce, która odosobnienie pisarza dodała do swojej samotności z wyboru. „Moja matka, pisarka” - wyrażał się o niej żartobliwie w swoich niezliczonych listach do Helen. Ale jednocześnie zazdrościł

Jenny tego, że pisze. Czuł, że sam utknął w martwym punkcie. Doszedł do wniosku, że może obdarzać wymyśloną przez siebie rodzinę jedną przygodą po drugiej, ale dokąd ich to zaprowadzi? Do jeszcze jednej restauracji kategorii B, gdzie desery będą tak kiepskie, że awansowanie do kategorii A wyda się czymś nieosiągalnym; do jeszcze jednego hotelu B spadającego do poziomu C z taką pewnością jak to, że wilgotny smród pleśni nigdy nie wywietrzeje z hallu. Może ktoś z rodziny inspektora zatruje się w restauracji kategorii A, ale co to miałoby znaczyć? Poza tym w jednym z pensjonatów mogą się czaić jacyś wariaci albo nawet kryminaliści, ale co oni mogą mieć wspólnego z głównym wątkiem?

Garp wiedział jedno: że nie ma żadnego wątku.

Widział, jak czteroosobowa trupa cyrkowa z Węgier czy z Jugosławii wyładowuje się na stacji kolejowej, i usiłował ich jakoś wkomponować w swoją historię. Mieli też niedźwiedzia, który jeździł na motocyklu w kółko po parkingu. Zgromadził się niewielki tłumek i człowiek, który chodził na rękach, zbierał do garnka umieszczonego na piętach pieniądze za występy niedźwiedzia; od czasu do czasu upadał, podobnie zresztą jak i niedźwiedź.

Wreszcie motocykl odmówił posłuszeństwa. Garp nie dowiedział się nigdy, co stanowiło specjalność pozostałych dwóch członków trupy, w momencie bowiem, kiedy zamierzali zastąpić niedźwiedzia i człowieka, który chodził na rękach, przyszli policjanci i kazali im wypełnić mnóstwo formularzy. Ponieważ nie stanowiło to żadnej atrakcji, tłum - czy co to tam z niego zostało - rozszedł się. Garp pozostał najdłużej, nie dlatego jednak, żeby go tak interesowały dalsze występy podupadłego cyrku, tylko dlatego, że interesowało go wykorzystanie ich w opowiadaniu. Nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić. Opuszczając stację kolejową słyszał, jak niedźwiedź wymiotuje.

W ciągu wielu tygodni nie posunął się dalej w swojej pracy poza wymyśleniem tytułu: „Austriackie Biuro Turystyczne”. Nie był z niego jednak zadowolony. Zarzucił pisanie i wrócił do turystyki.

Ale kiedy zrobiło się zimniej, zmęczyła go turystyka; zaczął się czepiać Helen, że mu zbyt rzadko odpisuje - znak, że sam pisał do niej za często. Była znacznie bardziej zajęta od niego; studiowała i ponieważ została przyjęta od razu na drugi rok, miała podwójną ilość wykładów. Jeżeli w tych wczesnych latach istniało jakieś podobieństwo pomiędzy Helen i Garpem, to w tym, że oboje zachowywali się tak, jakby się gdzieś śpieszyli.

- Zostaw biedną Helen w spokoju - mówiła Jenny. - Myślałam, że napiszesz coś

jeszcze poza listami.

Ale Garp nie chciał mierzyć się z matką w tym samym mieszkaniu. Nie przerywała pisania nawet na moment, żeby się choćby zastanowić. Czuł, że systematyczny stukot jej maszyny najprawdopodobniej zakończy jego pisarską karierę, zanim się ona na dobre rozpocznie.

- Moja matka nie wiedziała, co to chwila ciszy przeznaczona na przejrzanie tego, co napisała - zauważył kiedyś.

Do listopada Jenny wystukała sześćset stron brudnopisu, ale w dalszym ciągu miała uczucie, że jeszcze właściwie nie zaczęła. Garp nie wyobrażał sobie, by jakikolwiek temat mógł się z niego wylewać z taką łatwością. To, co wynika z wyobraźni, stwierdził, przychodzi znacznie trudniej niż to, co wynika z pamięci.

„Przełom”, jak to nazwał w liście do Helen, nastąpił pewnego mroźnego i śnieżnego dnia w Muzeum Historii Miasta Wiednia. Znajdowało się ono na tyle blisko Schwindgasse, że można tam było dojść spacerem; wiedząc, że może to zrobić w każdej chwili, jakoś je przegapił. To Jenny zwróciła mu na nie uwagę. Było jednym z dwóch czy trzech miejsc, które zdążyła odwiedzić - znajdowało się dokładnie po drugiej stronie Karlsplatz, w samym środku tego, co nazywała „najbliższym sąsiedztwem”.

Wspomniała, że w muzeum jest pokój pisarza; nie zapamiętała tylko którego. Uznała, że to ciekawy pomysł umieścić pokój pisarza w muzeum.

- Pokój pisarza? - zapytał Garp.

- Tak, cały pokój - odparła Jenny. - Przenieśli całe oryginalne umeblowanie, może nawet ściany i podłogę. Nie mam pojęcia, jak to zrobili.

- A ja nie mam pojęcia po co - powiedział Garp. - I jest w muzeum cały pokój?

- Tak, myślę, że to była sypialnia - wyjaśniła Jenny - ale on tam również pisał.

Garp przewrócił oczyma. Było w tym coś nieprzyzwoitego. Czy jest tam wobec tego szczotka do zębów pisarza? A może i nocnik?

Pokój okazał się zupełnie zwyczajny, tyle że łóżko wydawało się zbyt małe - jakby dziecinne. Stolik do pisania też. Zupełnie nie jak łóżko czy stół pisarza płodnego, pomyślał Garp. Drzewo było ciemne, a wszystko razem jakieś kruche. Garp pomyślał, że jego matka ma lepszy pokój do pracy. Pisarz, którego pokój przechowywano pieczołowicie w Muzeum Historii Miasta Wiednia, nazywał się Franz Grillparzer; Garp nigdy o nim nie słyszał.

Franz Grillparzer umarł w roku 1872; był austriackim poetą i dramaturgiem, o

którym mało kto wiedział poza Austrią. Jednym z tych dziewiętnastowiecznych pisarzy, którzy żadną trwałą popularnością nie wyszli poza wiek dziewiętnasty, a jak dowodził później Garp, nie zasłużył nawet i na to. Garpa nie interesował dramat ani poezja, ale poszedł do biblioteki i przeczytał to, co jest uważane za wybitną prozę Grillparzera, a mianowicie długie opowiadanie „Biedny skrzypek”. Być może, pomyślał, trzyletni kurs niemieckiego w Steering nie wystarczy, żeby docenić to opowiadanie; w każdym razie, po niemiecku, wydało mu się okropne. Znalazł później angielskie tłumaczenie w antykwariacie na Habsburgergasse; wydało mu się równie okropne.

Uznał, że słynne opowiadanie Grillparzera jest nonsensownym melodramatem, cikliwym i nieporadnie napisanym. Mgliście tylko przypominało dziewiętnastowieczne piarstwo rosyjskie, gdzie często główny bohater jest niezdecydowanym kunktatorem, a poza tym bankrutem w każdej dziedzinie życia, ale Dostojewski, zdaniem Garpa, potrafił zainteresować takim nieszczęśnikiem; Grillparzer nużył łzawą trywialnością.

W tym samym antykwariacie Garp kupił angielskie tłumaczenie „Rozmyślań” Marka Aureliusza. Musiał czytać go po łacinie w Steering, ale nigdy przedtem nie zetknął się z przekładem. Kupił książkę, ponieważ właściciel sklepu powiedział mu, że Marek Aureliusz umarł w Wiedniu.

„Długość życia ludzkiego - to punkcik, istota - płynna, spostrzeganie - niejasne, zespół całego ciała - to zgnilizna, dusza - wir, los - to zagadka, sława - rzecz niepewna. Krótko mówiąc, wszystko, co związane jest z ciałem, to rzeka, co z duszą, to sen i mara”.³ Garpowi jakoś wydało się, że Marek Aureliusz musiał mieszkać w Wiedniu, kiedy to pisał.

Temat ponurych rozważań Marka Aureliusza stanowi z pewnością w przeważającej mierze temat wszelkiego poważnego piarstwa, uznał Garp; różnica pomiędzy Grillparzerem a Dostojewskim nie polega na treści. Ta różnica, doszedł do wniosku, tkwi w polocie i wdzięku - w tym, co stanowi o sztuce. To oczywiste odkrycie sprawiło mu niejaką przyjemność. W wiele lat później przeczytał we wstępie krytycznym do dzieł Grillparzera, że Grillparzer był „wrażliwy, udręczony, cierpiał na paranoiczne ataki i częste stany depresyjne, był kapryśny i nekany melancholią; krótko mówiąc, był skomplikowanym nowoczesnym człowiekiem”.

„Możliwe - pisał Garp. - Ale ponadto był bardzo kiepskim piarzem”.

³ Marek Aureliusz, „Rozmyślania”, Księga druga; Przekład Mariana Reitera; PWN, Warszawa, 1958 (przyp. tłum.).

Przekonanie, że Franz Grillparzer był kiepskim pisarzem, sprawiło, że młody Garp po raz pierwszy poczuł się naprawdę artystą - jeszcze zanim cokolwiek napisał. Może w życiu każdego pisarza musi być taki moment, że się odmawia innemu pisarzowi prawa do miana artysty. Instynkt zabijania u Garpa w odniesieniu do biednego Grillparzera miał w sobie coś z misterium zapasów. Jak gdyby obserwował swojego przeciwnika w walce z innym zapaśnikiem; widząc jego słabości wiedział, że potrafi być lepszy. Zmusił nawet Jenny do przeczytania „Biednego skrzypka”. Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy odwołał się do jej literackich gustów.

- Śmiecie - zawyrokowała. - Prymitywne. Ckliwe. Miałkie. Oboje byli zachwyceni.

- Prawdę powiedziawszy, nie podobał mi się jego pokój - zwierzyła się Garpowi.
- Zupełnie nie przypomina pokoju pisarza.

- To nie ma znaczenia, mamó - rzekł Garp.

- Ale strasznie ciasny - narzekła Jenny. - A poza tym za ciemny. I bardzo przeładowany.

Garp zajrzał do pokoju matki. Nad jej łóżkiem i toaletką i na lustrze ściennym, zasłaniając niemal jej własne odbicie, widniały klejone bezładnie kartki niewiarygodnie długiego i brudnego maszynopisu. Garp uważał, że pokój matki też nie wygląda na pokój pisarza, ale jej tego nie powiedział.

Napisał do Helen długi, pewny siebie list cytując Marka Aureliusza i ostro rozprawiając się z Franzem Grillparzerem. Zdaniem Garpa „Franz Grillparzer umarł na zawsze w roku 1872 i jak tanie lokalne wino, nie wytrzymuje transportu poza granice Wiednia”. List stanowił coś w rodzaju rozgrzewki; być może Helen zdawała sobie z tego sprawę. Rodzaj gimnastyki: w każdym razie spodobał się Garpowi na tyle, że przepisał go przez kalkę i zatrzymał sobie oryginał, a kopię wysłał Helen.

„Czuję się trochę jak biblioteka - odpisała mu Helen. - Traktujesz mnie jak szufladę w kartotece”.

Czy Helen rzeczywiście narzekła? Garpa za mało obchodziły jej sprawy, żeby ją o to spytać. Odpisał jej jedynie, że się „właśnie szykuje do pisania”. Był przekonany, że zyska jej aprobatę. Wszystko to mogłoby stanowić dla Helen ostrzeżenie, ale ona nie wydawała się zaniepokojona; na studiach pochłaniała wiedzę w tempie niemal trzykrotnie szybszym od przeciętnego. Pod koniec swojego pierwszego semestru kończyła drugi semestr trzeciego roku. Zatopienie się w sobie i osobowość młodego pisarza nie przerażały Helen Holm; parła do przodu we własnym szybkim tempie i

doceniała kogoś, kto wiedział, czego chce. A poza tym korespondencja Garpa sprawiała jej przyjemność. I ona miała silną osobowość, a jego listy, jak go stale zapewniała, były wspaniale napisane.

W Wiedniu Jenny i Garp bawili się doskonale kosztem Grillparzera. W całym mieście odkrywali ślady zmarłego pisarza. Była więc Grillparzergasse, Kaffeehaus des Grillparzers, a pewnego dnia w ciastkarni ze zdumieniem odkryli tort nazwany jego imieniem: Grillparzertorte! Okazał się o wiele za słodki. Kiedy Garp gotował coś dla matki, pytał ją na przykład, czy chce jajka na miękko, czy a la Grillparzer. Pewnego dnia w ZOO w Schönbrunn zobaczyli szczególnie wynędzniałą antylopę, o zapadniętych, oblepionych łajnem bokach, stojącą smętnie w brudnym, wąskim zimowym boksie. Garp zidentyfikował ją jako Gnu des Grillparzers.

O swoim własnym pisaniu Jenny powiedziała pewnego dnia, że „popada w grillparzeryzm”. Wyjaśniła, że polega to na wprowadzeniu sceny czy postaci, „jakby się nagle rozdzwonił budzik”. Miała mianowicie na myśli scenę, jaka się rozegrała w bostońskim kinie, kiedy napastował ją żołnierz.

„W kinie - pisała Jenny Fields - napastował mnie żołnierz, którego trawiła żądza”.

- To rzeczywiście okropne, mamó - przyznał Garp. Sformułowanie „trawiła żądza” było według Jenny typowym przykładem „grillparzeryzmu”.

- Ale to właśnie było to - powiedziała. - Właśnie żądza.

- Lepiej by brzmiało „ociekający żądzą” - zasugerował Garp.

- Fee! - skrzywiła się Jenny. Znów Grillparzer. Prawdę powiedziawszy, chodziło jej o samą żądzę. Omówili ten problem, jak mogli najlepiej. Garp zwierzył się matce ze swojej żądzy do Cushie Percy i przedstawił jej możliwie oględną wersję sceny spełnienia. Jenny nie była zachwycona.

- A Helen? - spytała. - Czy czujesz to samo do Helen?

Garp przyznał, że tak.

- To straszne - powiedziała. Zupełnie nie rozumiała tego uczucia i nie była w stanie pojąć, jak Garpowi może się ono kojarzyć z przyjemnością, a tym bardziej z miłością.

- „Wszystko, co związane jest z ciałem, to rzeka” - powiedział niepewnie cytując Marka Aureliusza; matka tylko pokiwała głową. Jedli kolację w bardzo czerwonej restauracji w pobliżu Blutgasse.

- Ulica Krwawa - przetłumaczył Garp, uradowany.

- Przestań wszystko tłumaczyć - powiedziała Jenny. - Nie chcę rozumieć wszystkiego. - Uważała, że wystrój restauracji jest zbyt czerwony, a jedzenie za drogie. Obsługa była powolna i wyszli za późno. Zrobiło się bardzo zimno i wesołe światła Karntnerstrasse też nie potrafiły ich rozgrzać.

- Weźmy taksówkę - zaproponowała Jenny. Ale Garp się uparł, że miną pięć przecznic i mają tramwaj. - Ty z tymi twoimi cholernymi Strassenbahnami - powiedziała.

Nie ulegało wątpliwości, że problem żądzy położył się cieniem na wieczorze.

Dzielnica pierwsza migotała od krzykliwych świątecznych dekoracji. Pomiedzy niebotycznymi wieżami Świętego Stefana i potężną bryłą opery znajdowało się siedem ulic z samymi sklepami, barami i hotelami; w obrębie tych siedmiu ulic mogli być o tej zimowej porze dosłownie w dowolnym miejscu na świecie.

- Któregoś dnia musimy iść do opery, mamó - zaproponował Garp. Byli już w Wiedniu od sześciu miesięcy i jeszcze nie wybrali się do opery, ale Jenny nie lubiła późno chodzić spać.

- Idź sam - powiedziała. Zobaczyła stojące trzy kobiety w długich futrach; jedna z nich miała futrzaną mufkę do kompletu - trzymała mufkę na wysokości twarzy i dmuchała w nią, żeby sobie ogrzać ręce. Na oko wydawała się zupełnie elegancka, chociaż w jej dwóch towarzyszkach było coś z taniego świątecznego blichtru. Jenny zazdrościła kobiecie mufki.

- Tego mi właśnie potrzeba - oznajmiła. - Gdzie mogłabym sobie coś takiego kupić? - Wskazała na kobiety, ale Garp nie zrozumiał, o co jej chodzi.

Wiedział, że to prostytutki.

Kiedy kurwy zobaczyły Jenny i Garpa, były zaskoczone widokiem tej pary. Przystojny chłopiec z pospolitą, choć przystojną kobietą, która mogłaby być jego matką; ale Jenny trzymała Garpa pod rękę dość sztywno, a w ich rozmowie można było wyczuć napięcie i zmieszanie - nie, jednak to nie matka, uznały. W tym momencie Jenny wskazała na nie i to je zezłościło; pomyślały, że też jest prostytutką, która naruszyła ich terytorium i sprzątnęła im sprzed nosa chłopaka wyglądającego zamożnie i niegroźnie - ładnego chłopca, który mógł zapłacić im.

W Wiedniu prostytutka jest legalna i w skomplikowany sposób kontrolowana. Istnieje coś w rodzaju związku zawodowego; są zaświadczenia lekarskie, okresowe badania, karty tożsamości. Tylko najładniejszym prostytutkom wolno pracować na eleganckich ulicach dzielnicy pierwszej. W dalej położonych dzielnicach prostytutki są

brzydsze albo starsze, albo i jedno, i drugie; są też oczywiście tańsze. W obrębie poszczególnych dzielnic obowiązują stałe ceny. Na widok Jenny kurwy weszły na chodnik, żeby zablokować im drogę. Szybko stwierdziły, że Jenny niezupełnie odpowiada standardom dzielnicy pierwszej i że prawdopodobnie pracuje na własną rękę, co jest nielegalne, albo próbuje szczęścia poza obrębem swego rewiru, żeby sobie trochę dorobić; naraziłoby to ją na niemałe kłopoty ze strony innych prostytutek.

Szczerze mówiąc, mało kto wziąłby Jenny za prostytutkę, ale trudno powiedzieć, jak naprawdę wyglądała. Przez tyle lat chodziła w stroju pielęgniarstwa, że właściwie nie wiedziała, co należy nosić w Wiedniu; kiedy wychodziła z Garpem, ubierała się zwykle nieco przesadnie, prawdopodobnie żeby mu wynagrodzić stary szlafrok kąpielowy, w którym zwykle przesiadywała pisząc. Nie miała doświadczenia w kupowaniu sobie garderoby, a w obcym mieście prawie wszystko wydawało jej się trochę inne. Nie mając żadnego określonego stylu kupowała po prostu rzeczy drogie; ostatecznie odłożyła sporo pieniędzy, a nie miała ani cierpliwości, ani ochoty na wybieranie strojów. Skutkiem tego lśniła nowością i przy Garpie nie robiła wrażenia kogoś z tej samej rodziny. Jego stały strój ze Steering, marynarka, krawat i wygodne spodnie - rodzaj standardowego miejskiego niedbałego munduru - czynił go niemal wszędzie anonimowym.

- Czy mógłbyś zapytać tę kobietę, gdzie kupiła mufkę? - zwróciła się Jenny do Garpa. Ku jej zdumieniu kobiety zablokowały chodnik, tak żeby się z nimi spotkali.

- To prostytutki, mamó - szepnął Garp.

Jenny Fields zeszywniała. Kobieta z mufką przemówiła do niej ostro. Jenny oczywiście nie zrozumiała ani słowa; patrzyła na Garpa, żeby jej przetłumaczył. Kobieta bluzgała potokiem słów pod adresem Jenny, która nie spuszczała wzroku z syna.

- Moja matka chciała panią spytać, gdzie pani kupiła taką ładną mufkę - powiedział Garp w swojej nieporadnej niemczyźnie.

- Aha, to cudzoziemcy - zauważyła jedna z kobiet.

- O rany, to jego matka - dodała druga.

Kobieta z mufką gapiała się na Jenny, która z kolei gapiała się teraz na jej mufkę. Jedna z prostytutek była młodą dziewczyną o bardzo wysoko upiętych włosach, obsypanych maleńkimi złotymi i srebrnymi gwiazdkami; na policzku miała dodatkowo wytatuowaną zieloną gwiazdkę. Miała też bliznę, która nieznacznie ściągała jej górną wargę, tak że przez moment nie było wiadomo, co jest nie w

porządku z jej twarzą; wszystko w porządku było natomiast z jej ciałem - była wysoka i szczupła i chociaż patrzenie na nią mogło być krępujące, to jednak Jenny stwierdziła, że nie spuszcza z niej oka.

- Spytaj ją, ile ma lat - poleciła Garpowi.

- Ich bin osiemnaście - odpowiedziała dziewczyna. - Znam dobry angielski.

- To tyle, ile mój syn - rzekła Jenny trącając Garpa. Nie zrozumiała, że wzięły ją za jedną z nich; kiedy Garp jej to wyjaśnił, była wściekła - ale tylko na siebie.

- To moje ubranie! - wrzasnęła. - Nie umiem się ubrać! - I od tej chwili Jenny Fields ubierała się zawsze tylko jak pielęgniarzka. Z powrotem włożyła swój biały strój i nosiła go wszędzie - jak gdyby zawsze była na dyżurze, choć tak naprawdę już nigdy nie wróciła do swego zawodu.

- Czy mogłabym zobaczyć pani mufkę? - zwróciła się do kobiety; uznała, że wszystkie prostytutki znają angielski, ale tylko młoda dziewczyna mówiła w tym języku. Garp przetłumaczył życzenie Jenny i kobieta niechętnie podała mufkę. Z ciepłego gniazdka, gdzie spoczywały jej długie, szczupłe splecione dłonie migocące od pierścionków, wydobywał się lekki zapach perfum.

Trzecia prostytutka miała na czole ślad po ospie, jakby odgniecioną pestkę brzoskwini. Poza tą skazą i małymi wywiniętymi wargami przypominającymi usta zatuczonego dziecka była normalnie dojrzała - miała po dwudziestce, jak osądził Garp; odznaczała się najprawdopodobniej ogromnym biustem, ale pod czarnym futrem trudno to było stwierdzić na pewno.

Kobieta z mufką według Garpa była piękna. Miała pociągłą, smutną twarz, a jej ciało, wyobrażał sobie, musiało być pogodne. Usta w każdym razie miała bardzo spokojne. Jedynie jej oczy i gołe dłonie na zimnie pozwoliły Garpowi stwierdzić, że jest w wieku jego matki - co najmniej. Może nawet starsza.

- To prezent - odpowiedziała na pytanie o mufkę. - Komplet do futra. - Było to futro srebrzystoblond, bardzo gładkie.

- To prawdziwe - wyjaśniła młoda prostytutka, która mówiła po angielsku; najwyraźniej podziwiała wszystko, co należało do starszej.

- Coś tańszego można kupić prawie wszędzie - dodała dziobata. - Spróbuj u Stefa - powiedziała w dziwnym slangu, ledwie zrozumiałym dla Garpa, i wskazała w górę Karntnerstrasse. Ale Jenny nie spojrzała w tamtą stronę, więc Garp tylko skinął głową i w dalszym ciągu patrzył na długie palce starszej kobiety migocące od pierścionków.

- Zimno mi w ręce - powiedziała cicho do Garpa, który wziął mufkę od Jenny i jej oddał. Jenny była zupełnie oszołomiona.

- Porozmawiajmy z nią - powiedziała. - Chcę ją o to zapytać.

- O co, mamó? - zaniepokoił się Garp. - Na miłość boską.

- O to, o czym rozmawialiśmy - odparła Jenny. - Chcę ją zapytać o żądzę.

Dwie starsze prostytutki spojrzały na młodą, która znała angielski, ale ta znajomość nie była na tyle biegła, żeby dziewczyna cokolwiek z tego złapała.

- Mamó, jest zimno - jęknął Garp. - I późno. Chodźmy już do domu.

- Powiedz jej, że chcielibyśmy z nią pójść gdzieś, gdzie jest ciepło, żeby po prostu posiedzieć i pogadać - poleciła mu Jenny. - Każe sobie pewnie za to zapłacić, co?

- Tak sadzę - mruknął Garp. - Mamó, ona nie ma zielonego pojęcia o żądzę. One prawdopodobnie nic takiego nie odczuwają.

- Ale ja się chce czegoś dowiedzieć o męskiej żądzę - oświadczyła Jenny. - O twojej żądzę. Musi coś przecież na ten temat wiedzieć.

- Na miłość boską, mamó! - zdenerwował się Garp.

- Was macht's? - zapytała ładna prostytutka. - O co chodzi? Co się dzieje? Czy ona chce kupić mufkę?

- Nie, nie - odparł Garp. - Ona chce kupić panią.

Starsza prostytutka wyraźnie osłupiała; dziobata parsknęła śmiechem.

- Nie, nie - wyjaśnił Garp. - Po prostu żeby porozmawiać. Moja matka chce pani tylko zadać kilka pytań.

- Jest zimno - powiedziała kurwa podejrzliwie.

- Może byśmy gdzieś weszli? - zaproponował Garp. - Gdzie pani chce.

- Zapytaj ją, ile to będzie kosztowało - powiedziała Jenny.

- Wie viel kostet? - wymamrotał Garp.

- To kosztuje pięćset szylingów - odparła prostytutka. - Normalnie. - Garp musiał wyjaśnić Jenny, że to będzie około dwudziestu dolarów. Jenny Fields przebywając w Austrii ponad rok do końca nie nauczyła się liczb po niemiecku ani systemu pieniężnego.

- Dwadzieścia dolarów za samą rozmowę? - zdziwiła się.

- Nie, mamó - powiedział Garp. - Tyle się płaci normalnie. - Jenny zastanawiała się, czy dwadzieścia dolarów za „normalnie” to dużo. Nie miała pojęcia.

- Powiedz jej, że jej damy dziesięć - rzekła Jenny, ale prostytutka miała

niepewną minę, jakby rozmowa była dla niej czymś trudniejszym niż to, co „normalnie”. Jej niezdecydowanie wynikało jednak z czegoś więcej niż tylko kwestia ceny; nie ufała Garpowi i Jenny. Spytała młodą prostytutkę, która mówiła po angielsku, czy to Anglicy, czy Amerykanie. Dowiedziawszy się, że Amerykanie, odczuła jak gdyby nieznaczną ulgę.

- Anglicy bywają często zbrojeńcami - powiedziała Garpowi wprost - Amerykanie są zwykle normalni.

- Chcemy po prostu z panią porozmawiać - upierał się Garp, ale widział, że prostytutka wyobraziła sobie jakiś akt niesłychanej wprost perwersji między matką a synem.

- Dwieście pięćdziesiąt szylingów - zgodziła się w końcu dama z mufką z norki.
- I na dodatek kawa.

Poszli więc do lokalu, gdzie chodzą wszystkie prostytutki, żeby się zagrzać, maleńkiego baru z miniaturowymi stolikami; telefon dzwonił cały czas, ale tylko paru mężczyzn czaiło się ponuro w okolicy wieszaka, lustrując dziewczyny. Istniała zasada, że w tym barze nie zaczepia się kobiet - stanowił on coś w rodzaju przystani domowej, strefy neutralnej.

- Zapytaj ją, ile ma lat - poleciała Jenny Garpowi, ale kiedy zapytał, kobieta powoli zamknęła oczy i potrząsnęła głową. - Okay - powiedziała Jenny. - Zapytaj ją, dlaczego uważa, że podoba się mężczyznom. - Garp wzniósł oczy do nieba. - No więc dobrze, a tobie się podoba? - Garp odpowiedział, że tak. - Ale co jest w niej takiego, na co masz ochotę? Nie chodzi mi tylko o seks, ale czy jest w niej jeszcze coś, co może być pociągające? Coś, co można by sobie wyobrażać, o czym można by myśleć, jakaś aura? - badała go Jenny.

- Mamo, dlaczego nie zapłacisz mnie tych dwustu pięćdziesięciu szylingów, zamiast jej zadawać pytania - rzekł Garp udreńczonym głosem.

- Nie bądź bezczelny. Chcę wiedzieć, czy fakt, że jej w ten sposób pożądamy, a następnie, jak sądzę, posiadamy, jest dla niej degradujący, czy może ona uważa, że tylko dla mężczyzn?

Garp czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby wszystko przetłumaczyć. Wyglądało na to, że kobieta potraktowała sprawę bardzo poważnie; albo nie zrozumiała pytania, albo niemczyzny Garpa.

- Nie wiem - odpowiedziała w końcu.

- Mam jeszcze inne pytania - oznajmiła Jenny.

Trwało to mniej więcej godzinę, po czym prostytutka oświadczyła, że musi wracać do pracy. Jenny nie była ani zadowolona, ani rozczarowana brakiem konkretnych wyników wywiadu; wydawała się po prostu nienasycona w swojej ciekawości. Garp nigdy w życiu nie pragnął nikogo tak jak tej kobiety.

- Czy ty jej pożądasz? - zapytała go Jenny tak nagle, że nie mógł skłamać. - To znaczy po tym wszystkim, po tym, jak z nią rozmawiałeś, jak na nią patrzyłeś, czy rzeczywiście chciałbyś mieć z nią stosunek?

- Oczywiście, mam - odparł nieszczęsny Garp. Jenny nie była ani o krok bliżej zrozumienia zjawiska żądy niż przed kolacją. Patrzyła na swojego syna zdziwiona i zaskoczona.

- Dobrze - powiedziała. Wręczyła mu dwieście pięćdziesiąt szylingów, które byli winni kobiecie, i jeszcze pięćset szylingów. - To zrób to, na co masz ochotę, czy też to, co jak widzę, musisz zrobić. Ale proszę cię, najpierw odwieź mnie do domu.

Prostytutka patrzyła, jak pieniądze przechodzą z rąk do rąk; miała oko, potrafiła ocenić sumę.

- Wiesz co - zwróciła się do Garpa i dotknęła jego ręki palcami tak zimnymi jak jej pierścionki. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby twoja matka ci to zafundowała, ale ona z nami nie pójdzie. Nie zgadzam się, żeby patrzyła, wykluczone. Ostatecznie jestem katoliczką, obojętne, czy w to wierzycie, czy nie - powiedziała - a jeżeli macie ochotę na coś fikuśnego, to musicie poprosić Tinę.

Garp zastanawiał się, kim jest ta Tina; wzdrygnął się na myśl, że dla Tiny nie ma nic zbyt „fikuśnego”.

- Odwiozę teraz matkę do domu - powiedział pięknej prostytutce. - I już nie wrócę, żeby się z tobą spotkać. - Ale ona uśmiechnęła się tylko do niego, a Garpowi wydało się, że członek w erekcji przebija mu kieszeń, po której telepały się pojedyncze szylingi i bezwartościowe grosze. Jeden z jej nieskazitelnych zębów - niestety duża górna jedynka - cały był złoty.

W taksówce (na którą się w końcu zgodził) Garp wyjaśnił matce wiedeński system prostytucji. Jenny nie zaskoczyła wiadomości, że prostytucja jest tu legalna; była raczej zdziwiona, że w tak wielu innych krajach jest nielegalna.

- Dlaczego miałyby być nielegalna? - spytała. - Dlaczego kobieta nie może dysponować swoim ciałem zgodnie z własnym życzeniem? A jeżeli ktoś chce za to płacić, to po prostu jest to jeszcze jedna żalosna transakcja. Czy dwadzieścia dolarów za coś takiego to dużo?

- Nie, to zupełnie umiarkowana cena - odparł Garp. - A jak na ładne nawet bardzo niska.

Jenny uderzyła go w twarz.

- Ty wszystko wiesz na ten temat! - powiedziała. A potem dodała, że bardzo przeprasza - nigdy go przedtem nie uderzyła, ale ona absolutnie nic nie rozumie z tej pieprzonej żądy, żądy, żądy! - dosłownie nic.

W domu na Schwinlgasse Garp uparł się, że nigdzie nie pójdzie; w rezultacie położył się do łóżka i zasnął przed Jenny, która przemierzała strony swojego rękopisu w swoim zwariowanym pokoju. Powoli dojrzewało w niej pewne zdanie, które od dłuższego czasu nie mogło nabrać ostatecznego kształtu, ale nie potrafiła go jeszcze jasno sformułować.

Garpowi śniły się inne prostytutki; odwiedził w Wiedniu ze dwie czy trzy, ale nigdy nie płacił cen pierwszej kategorii. Nazajutrz, po wczesnej kolacji na Schwindgasse, poszedł na spotkanie z właścicielką mufki z norek w jasne smugi.

W pracy nazywała się Charlotte. Na jego widok nie okazała zdziwienia. Miała wystarczająco dużo lat, żeby wiedzieć, kiedy udało jej się kogoś złapać, chociaż nigdy nie przyznała się Garpowi, w jakim jest wieku. Dbała o siebie bardzo i dopiero, jak się rozebrała, widać było po niej wiek właściwie wszędzie. Na brzuchu i piersiach miała rozstępy, ale powiedziała Garpowi, że dziecko umarło już dawno. Nie broniła mu dotknąć blizny po cesarskim cięciu.

Garp czterokrotnie odwiedzał Charlotte na zasadzie sztywnych cen dzielnicy pierwszej, zanim spotkał ją przypadkiem w sobotę rano na Naschmarkt. Kupowała owoce. Włosy, najwyraźniej nie umyte i splecione jak u młodej dziewczyny w dwa małe warkoczyki, przykryte miała szalikiem. Grzywka wydawała się tłusta na czole, które w świetle dziennym robiło wrażenie bledszego niż zwykle. Nie była umalowana i miała na sobie džinsy, tenisówki i długi, gruby sweter z wysokim golfem. Garp by jej nie poznał, gdyby nie zobaczył rąk, w których trzymała owoce; zdobiły je wszystkie pierścionki.

Początkowo Charlotte się do niego nie odzywała, kiedy ją zagadnął, ale powiedział, że już zrobił zakupy i ugotował, co chciał ugotować, dla siebie i dla matki, i to wydało jej się zabawne. Jak już jej przeszła złość wywołana spotkaniem klienta poza godzinami pracy, odzyskała dobry humor. Na razie nie docierało jeszcze do Garpa, że jest w tym samym wieku, w jakim byłoby dziecko Charlotte. Charlotte zaś udawała zainteresowanie tym, jak Garp żyje z matką.

- Jak idzie twojej matce pisanie? - pytała go na przykład.

- W dalszym ciągu z trudem - odpowiadał. - Sądzę, że do tej pory jeszcze nie rozwiązała problemu żądy.

Ale Charlotte pozwalała mu żartować z matki tylko do pewnego stopnia, Garp zaś tak dalece nie miał wobec niej poczucia pewności, że nigdy nie zwierzył jej się ze swoich własnych prób pisania; wiedział, że uzna go za zbyt młodego. Chwilami sam tak myślał. A poza tym to, co pisał, nie było jeszcze na tyle gotowe, żeby mógł o tym komukolwiek powiedzieć. Najważniejsze jego osiągnięcie polegało na zmianie tytułu. Jego opowiadanie miało się teraz nazywać „Pensjonat Grillparzer” i ten tytuł był pierwszą rzeczą, która go naprawdę usatysfakcjonowała. Pomogła mu się skoncentrować. Teraz w jego wyobraźni istniało takie miejsce, w którym miało stać się wszystko, co było ważnego. To mu pomogło lepiej skupić się na postaciach bohaterów - rodzinie inspektora i innych rezydentach pewnego małego, smutnego pensjonatu położonego gdzieś tam (musiał być mały i smutny i znajdować się w Wiedniu, żeby mógł nosić imię Franza Grillparzera). Ci „inni rezydenci” był to rodzaj trupy cyrkowej, nie najlepszej zresztą, która nie miała się gdzie podziać. Bo nigdzie jej nie chciano.

Myśląc kategoriami klasyfikacji wszystko to miało być doświadczeniem kategorii C. Te wyobrażenia kierowały Garpa powoli, jak sadił, na właściwe tory. Nie mylił się, ale to wszystko było zbyt nowe, aby coś z tego zapisać - czy nawet o tym pisać. W każdym razie im więcej korespondował z Helen, tym mniej pisał w ogóle, a poza tym nie mógł tego dyskutować z matką: wyobraźnia nie była jej mocną stroną. Oczywiście czułby się idiotycznie próbując rozmawiać o podobnych sprawach z Charlotte. Garp często spotykał ją w soboty rano na Nasehmarkt. Robili razem zakupy, a czasami jedli lunch w serbskiej restauracji niedaleko Stadtpark. Wtedy Charlotte płaciła za siebie sama. Podczas jednego z takich spotkań Garp wyznał, że jest mu trudno płacić jej regularnie stawkę obowiązującą w dzielnicy pierwszej nie przyznając się matce, na co wydaje tyle pieniędzy. Charlotte była na niego zła, że mówi o interesach w czasie wolnym od pracy. Byłaby znacznie bardziej zła, gdyby się przyznał, że coraz rzadziej spotyka się z nią na płaszczyźnie zawodowej, ponieważ cena dzielnicy szóstej za kogoś, kogo spotkał na rogu Karl Schweighofergasse i Mariahilfer, okazała się znacznie łatwiejsza do ukrycia przed Jenny.

Charlotte była bardzo kiepskiego zdania o swoich koleżankach działających w innych rejonach. Wyznała kiedyś Garpowi, że przejdzie na emeryturę, jak tylko się zorientuje, że przestaje spełniać warunki dzielnicy pierwszej. Nigdy nie będzie

pracowała na peryferiach. Nie ukrywała, że odłożyła sporo pieniędzy i zamierza się przenieść do Monachium, gdzie nikt nie wie, że jest prostytutką; wyjdzie tam za mąż za jakiegoś młodego lekarza, który zapewni jej wszechstronną opiekę aż do śmierci. Nie musiała wyjaśniać Garpowi, że podoba się młodszym mężczyznom, Garp jednak zupełnie nie podzielał jej przekonania, że lekarze są - na dłuższą metę - atrakcyjni. Być może to wczesne ujawnienie wobec niego atrakcyjności lekarzy spowodowało, że jako pisarz często zaludniał swoje powieści i opowiadania niesympatycznymi przedstawicielami tej profesji. Jeżeli tak było rzeczywiście, zdał sobie z tego sprawę dopiero znacznie później. W „Pensjonacie Grillparzer” w każdym razie nie występuje żaden lekarz. Na samym początku jest też niewiele o śmierci, chociaż do tego problemu sprowadzić się miało całe opowiadanie. Na początku miał tylko sen o śmierci, ale był to sen-gigant i Garp odstąpił go najstarszej żyjącej bohaterce - babce. Według niego znaczyło to, że ona umrze pierwsza.

Pensjonat Grillparzer

Mój ojciec pracował w Austriackim Biurze Turystycznym. Towarzystwo mu w jego wyjazdach służbowych w charakterze agenta tegoż biura było pomysłem mojej matki. Matka, mój brat i ja mieliśmy brać udział w jego tajnych misjach, których celem było ujawnianie nieuprzejmości, kurzu, niesmacznego jedzenia i wszelkich uchybień, jakich dopuszczały się restauracje, hotele i pensjonaty w Austrii. Polecono nam stwarzać najróżniejsze trudności: nigdy nie zamawiać dokładnie tego, co jest w menu, i naśladować najdziwniejsze życzenia cudzoziemców co do godzin kąpieli, zapotrzebowania na aspirynę czy wizyt w ZOO. Mieliśmy być grzeczni, ale kłopotliwi, a po zakończonej wizycie, w samochodzie, donosić wszystko ojcu.

Matka na przykład mówiła:

- Fryzjer jest zawsze rano zamknięty. Tyle że oni załatwiają to gościom na mieście. Wszystko jest w porządku, dopóki nie twierdzą, że mają fryzjera hotelowego.

- Ale oni twierdzą - mówił ojciec i zapisywał to w swoim wielkim notatniku.

Ja zawsze szoferowałem. Powiedziałem:

- Samochód był zaparkowany nie przy ulicy, a jednak ktoś nawinął czternaście kilometrów od momentu, kiedyśmy go oddali portierowi, do chwili, kiedyśmy go brali z garażu hotelowego.

- To jest sprawa, o której należy zawiadomić bezpośrednio dyrektora - odparł ojciec robiąc odpowiednią notatkę.

- Toaleta przeciekała - dodałem.

- A ja nie mogłem otworzyć drzwi do ubikacji - dorzucił mój brat Robo.

- Robo - rzekła matka - ty masz zawsze kłopoty z drzwiami.

- Czy to miała być klasa C? - spytałem.

- Obawiam się, że nie - odpowiedział ojciec. - W dalszym ciągu figuruje jako klasa B. - Krótką chwilę jechaliśmy w milczeniu; nasze najtrudniejsze problemy dotyczyły zmiany kategorii hotelu czy pensjonatu. Nigdy nie proponowaliśmy przekwalifikowania pochoinnie.

- Mnie się wydaje, że to wymaga listu do dyrektora - zauważyła matka. - Nie za miłego, ale i niezbyt ostrego. Po prostu takiego, który by zawierał stwierdzenie faktów.

- Tak, ja go nawet dosyć lubię - przyznał ojciec. Zawsze mu zależało, żeby poznawać dyrektorów osobiście.

- Nie zapomnij o tym, że używali naszego samochodu - przypomniałem. - To jest naprawdę niewybaczalne.

- I jajka były nieświeże - dodał Robo; Robo nie miał jeszcze dziesięciu lat i jego opinii nie traktowaliśmy poważnie.

Staliśmy się zespołem znacznie surowszym w ocenach, kiedy umarł mój dziadek i odziedziczyliśmy po nim babkę, matkę mojej matki, która od tamtej pory brała z nami udział w tych wyprawach. Johanna, prawdziwa dama, była przyzwyczajona do podróży klasy A, podczas gdy służbowych wizyt ojca domagały się przede wszystkim instytucje kategorii B i C. Bo właśnie te hotele (i pensjonaty) cieszyły się największym zainteresowaniem turystów. Z restauracjami mieliśmy lepiej. Ludzie, którzy nie mogli sobie pozwolić na luksusowe noclegi, przynajmniej jadali w dobrych restauracjach.

- Ja nie pozwolę, żeby na mnie wypróbowywano jakieś podejrzané jedzenie - oznajmiła Johanna. - Może wam ta dziwna posada dogadza, macie wakacje za darmo, ale ja uważam, że płacimy za to straszną cenę - chociażby ten ciągły niepokój, w jakich warunkach człowiek będzie spał. Może dla Amerykanów brak łazienek i toalet przy pokojach ma swój urok, ale ja jestem starą kobietą i nie widzę żadnej przyjemności w błędzeniu po wspólnych korytarzach i poszukiwaniu możliwości umycia się i załatwienia. Zdenerwowanie zresztą to jedynie połowa problemu. W tej sytuacji istnieje groźba chorób - nie tylko od jedzenia. Jeżeli łóżko nie będzie w porządku, zapowiadam wam: nie przyłożę głowy do poduszki. A dzieci są jeszcze małe i

wrażliwe. Nie powinniście zapominać, jaka bywa klientela w tych zakładach, i zdać sobie sprawę, czym to może dzieciom grozić. - Matka i ojciec skinęli głowami; nie odezwali się słowem. - Wolniej! - skarciła mnie ostro babka. - Jak wszyscy młodzi chłopcy lubisz się popisywać. - Zwolniłem. - Wiedeń - westchnęła. - W Wiedniu zawsze zatrzymywałam się w Ambasadorze.

- Ambasador nie podlega wywiadam - wyjaśnił ojciec.

- No, ja myślę, że nie - powiedziała babka. - Pewnie nie jedziemy nawet do żadnego hotelu kategorii A?

- To jest wyjazd kategorii B - przyznał ojciec. - W przeważającej części.

- Mam nadzieję, że po drodze przynajmniej jest z jeden obiekt kategorii A?

- Nie - nie ukrywał ojciec. - Jest jeden obiekt C.

- To fajnie - ucieszył się Robo. - W kategorii C są zawsze draki.

- Wyobrażam sobie - skomentowała Johanna.

- To jest pensjonacik kategorii C, bardzo mały - rzekł ojciec, jakby skromne rozmiary rekompensowały wszystko inne.

- I starają się o kategorię B - dodała matka.

- Ale były skargi - uzupełniłem.

- Nic dziwnego - zakończyła Johanna.

- I zwierzęta - dorzuciłem. Matka posłała mi znaczące spojrzenie.

- Zwierzęta? - zapytała Johanna.

- Zwierzęta - potwierdziłem.

- Podejrzenie, że są tam zwierzęta - sprostowała matka.

- Bądź sprawiedliwy - zwrócił mi uwagę ojciec.

- Coraz lepiej! - wykrzyknęła babka. - Podejrzenie, że są tam zwierzęta. Sierść na dywanach? I te okropne odchody po kątach! Czy wy wiecie, że na taki pokój, w którym był na przykład niedawno kot, reaguję natychmiast atakiem astmy?

- Ale skargi nie dotyczyły kotów - wyjaśniłem. Matka dała mi energicznego kuksańca w bok.

- A czego, psów? - spytała Johanna. - Wściekle psy! Które łapią człowieka za łydki po drodze do łazienki.

- Nie - odparłem. - Nie psów.

- Niedźwiedzi! - wykrzyknął Robo. Ale matka go zmytygowała:

- Z tym niedźwiedziem to nie wiadomo na pewno, Robo.

- Żarty sobie stroicie - oświadczyła Johanna.

- Jasne, że sobie stroją żarty! - uspokoił ją ojciec. - Jak w pensjonacie mogą być niedźwiedzie?

- Tak było napisane w jednym liście - wyjaśniłem. - Naturalnie Biuro Turystyczne uznało, że to skarga wariata. Ale była druga inspekcja i drugi list z zażaleniem, że jest niedźwiedź.

Ojciec posłał mi wściekle spojrzenie we wstecznym lusterku, ale uważałem, że skoro wszyscy mamy brać udział w misji wywiadowczej, to nie zaszkodzi, jeśli postraszymy babkę.

- To najprawdopodobniej nie jest prawdziwy niedźwiedź - powiedział Robo, wyraźnie rozczarowany.

- Mężczyzna w przebraniu niedźwiedzia! - wykrzyknęła Johanna. - A to co znów za perwersja? Jakiś brutal w przebraniu! I co to wszystko ma znaczyć? Tak, to musi być mężczyzna przebrany za niedźwiedzia, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - oświadczyła. - Jedźmy tam najpierw. Jeżeli w tej podróży czekają nas przygody kategorii C, chciałabym je mieć jak najprędzej za sobą.

- Ale nie mamy tam rezerwacji na dziś - powiedziała matka.

- Tak, lepiej dajmy im możliwość pokazania się z jak najlepszej strony - dodał ojciec. Chociaż nigdy nie zdradzał się przed swoimi ofiarami, że pracuje dla Biura Turystycznego, to jednak uważał, że rezerwacje są stosunkowo najprzyzwoitszą formą dania personelowi szansy.

- Uważam, że nie ma potrzeby robić rezerwacji w miejscu uczęszczanym przez mężczyzn, którzy się przebierają za zwierzęta - oświadczyła Johanna. - Jestem przekonana, że tam są zawsze miejsca. Jestem przekonana, że goście regularnie konają tam w łóżkach - ze strachu czy z powodu okrutnych krzywd, jakie im ten szaleniec w ohydnej niedźwiedziej skórze wyrządza.

- To jest prawdopodobnie jednak prawdziwy niedźwiedź - powiedział Robo z nadzieją w głosie, ponieważ wobec obrotu, jaki przybrała rozmowa, uznał, że prawdziwy niedźwiedź byłby lepszy od wymyślanego upiorka babki. Przypuszczam, że prawdziwego niedźwiedzia Robo się nie bał.

Podwiozłem nas możliwie najdyskretniej do ciemnego, niepozornego budynku na rogu Planken i Sellergasse. Szukaliśmy pensjonatu kategorii C z pretensjami do kategorii B.

- Nie ma miejsca do parkowania - zwróciłem się do ojca, który już to zapisywał w swoim notatniku.

Zaparkowałem na drugiego i siedzieliśmy w samochodzie przyglądając się pensjonatowi Grillparzer. Wznosił się zaledwie na wysokość trzech mizernych pięter pomiędzy ciastkarnią a kioskiem z wyrobami tytoniowymi.

- Widzisz - odezwał się ojciec - nie ma żadnych niedźwiedzi.

- Raczej mężczyzn, mam nadzieję - odparła babka.

- One przychodzą nocą - rzekł Robo rozglądając się uważnie po ulicy.

Weszliśmy do środka, żeby się zobaczyć z dyrektorem, niejakim Herr Theobaldem, który z miejsca obudził podejrliwość Johanny.

- Trzy pokolenia podróżujące razem! - wykrzyknął. - Jak za dawnych czasów - dodał specjalnie zwracając się do babki - zanim nastąpiły te wszystkie rozwody i młodzi zaczęli się domagać osobnych apartamentów. To jest pensjonat rodzinny! Szkoda, że państwo nie zrobili rezerwacji wcześniej, żebyśmy mogli państwa umieścić blisko siebie.

- Nie jesteśmy przyzwyczajeni do sypiania w jednym pokoju - poinformowała go babka.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął Theobald. - Po prostu chciałem powiedzieć, że moglibyśmy dać państwu pokoje bliżej. - To wyraźnie zaniepokoiło babkę.

- A jak daleko od siebie mamy być zakwaterowani?

- No cóż, zostały mi już tylko dwa pokoje wolne - odpowiedział Theobald - i tylko jeden z nich jest na tyle duży, że mogę w nim umieścić chłopców z rodzicami.

- A jak daleko od nich byłby mój pokój? - zapytała chłodno babka.

- Pani miałyby pokój dokładnie naprzeciwko toalety - oznajmił Theobald, jakby to była zaleta.

Ale kiedy prowadzono nas do naszych pokoi i babka trzymała się, na znak lekceważenia, razem z ojcem na samym końcu procesji - słyszałem, jak burczy pod nosem:

- Nie tak sobie wyobrażałam moje przejście na emeryturę. Naprzeciwko toalety, tylko przez korytarz, i słuchanie tych wszystkich odgłosów.

- Nie ma tu dwóch jednakowych pokoi - poinformował nas Theobald. - Całe umeblowanie było własnością mojej rodziny. - Uwierzyliśmy w to bez trudu. Duży pokój, w którym zostaliśmy zainstalowani my dwaj z rodzicami, przypominał pełną bibelotów salę muzealną, gdzie każda komoda miała inne gałki u szuflad. Z drugiej zaś strony nad umywalką były mosiężne krany, a zagłówek łóżka był rzeźbiony. Widziałem, jak ojciec waży to wszystko w myśli redagując zapis w swoim potężnym

notatniku.

- Możesz to zrobić później - poinstruowała go Johanna. - A gdzie ja zostanie umieszczona?

Posłusznie, całą rodziną, ruszyliśmy za Theobaldem i babką długim, krętym korytarzem. Ojciec całą drogę liczył kroki do WC. Chodnik w korytarzu był cienki, bury. Na ścianach wisiały zdjęcia drużyn łyżwiarstwa szybkiego - na nogach zawodników widniały dziwne ostrza, zakręcone na czubkach jak trzewiki błaznów dworskich albo płozy starodawnych sań.

Robo, który wybiegł daleko naprzód, oznajmił nam o odkryciu WC.

Pokój babki wypełniała porcelana i meble na wysoki połysk, zalatywało w nim pleśnią. Zasłony były wilgotne. Przez środek łóżka ciągnął się garb przypominający sierść zjeżoną na psim grzbiecie, prawdę powiedziawszy wyglądało to jak bardzo szczupłe ciało rysujące się pod narzutą.

Babka nie odezwała się słowem, ale kiedy Theobald wytoczył się z pokoju jak ranny, któremu powiedziano, że będzie żył, zapytała ojca:

- Na jakiej podstawie pensjonat Grillparzer ma nadzieję uzyskać kategorię B?

- Zupełnie niewątpliwe C - powiedział ojciec.

- Urodził się C i umrze C - dodałem.

- Dla mnie - oświadczyła babka - to raczej E albo F.

W mrocznej jadalni mężczyzna bez krawata śpiewał węgierską piosenkę.

- To wcale nie znaczy, że on jest Węgrem - ojciec uspokoił Johannę, która jednak była sceptyczna.

- Wszystko przemawia przeciwko niemu - orzekła. Nie chciała ani kawy, ani herbaty. Robo zjadł małe ciasteczko, które mu, jak wyznał, smakowało. Matka i ja wypaliliśmy papierosa. Ona się odzwyczajała od palenia, ja się przyzwyczajałem. Wobec tego wypaliliśmy jednego papierosa na spółkę - obiecaliśmy sobie, że żadne z nas nie wypali całego.

- To bardzo ważny gość - szepnął na ucho ojcu Herr Theobald wskazując śpiewaka. - Zna piosenki ze wszystkich stron.

- Przynajmniej z Węgier - powiedziała babka, ale uśmiechnęła się przy tym.

W pewnym momencie zagadnął ją niewielki mężczyzna, gładko wygolony, ale z charakterystycznym sinawym cieniem zarostu na szczupłej twarzy. Miał na sobie czystą białą koszulę (ale pożółkłą ze starości i licznych prań), spodnie od garnituru i marynarkę nie od kompletu.

- Słucham? - zapytała babka.

- Powiedziałem, że opowiadam sny - poinformował ją mężczyzna.

- Opowiada pan sny? - spytała babka. - To znaczy, że pan je ma?

- Mam je i opowiadam - wyjaśnił tajemniczo.

Śpiewak przestał śpiewać.

- Obojętne jaki sen - wtrącił się śpiewak, każdy, jaki tylko pani chce.

- Jestem zupełnie pewna, że nie chcę znać żadnego - rzekła babka. Patrzyła z obrzydzeniem na kłak ciemnych włosów wylazący śpiewakowi spod rozpiętej pod szyją koszuli. Na człowieka, który „opowiada” sny, nie chciała nawet spojrzeć.

- Widać, że pani jest damą - powiedział jej człowiek od snów. - Nie spodoba się pani pierwszy lepszy sen.

- Naturalnie, że nie. - Babka posłała ojcu jedno ze swoich spojrzeń jak-mogłes-mnie-na-coś-podobnego-narazić.

- Ale ja znam taki jeden - powiedział mężczyzna od snów i zamknął oczy. Śpiewak przysunął się z krzesłem i nagle stwierdziliśmy, że siedzi bardzo blisko nas. Robo, mimo że był już na to za duży, siedział u ojca na kolanach. - W wielkim zamku - zaczął mężczyzna od snów - leżała u boku swego męża kobieta. Ni z tego, ni z owego, w samym środku nocy, okazało się, że nie śpi. Obudziła się nie zdając sobie zupełnie sprawy, co było tego przyczyną, tak trzeźwa, jakby już wiele godzin nie spała. Stało się dla niej zupełnie jasne - bez jednego spojrzenia, słowa czy dotyku - że jej mąż też nie śpi, obudzony równie nagle.

- Mam nadzieję, że ta historia nie jest nieodpowiednia dla dzieci, ha, ha - rzekł Herr Theobald, ale nikt nawet nie spojrzał w jego stronę. Moja babka złożyła ręce na kolanach i zsunawszy razem nogi pod krzesłem o prostym oparciu, patrzyła na tamtych. Matka trzymała ojca za rękę.

Ja siedziałem koło mężczyzny od snów, którego marynarka zalatywała ogrodem zoologicznym. Mężczyzna mówił:

- Mąż i żona leżeli z szeroko otwartymi oczyma i nasłuchiwali odgłosów zamku, którego nie znali zbyt dobrze, ponieważ go jedynie wynajmowali. Nasłuchiwali odgłosów z dziedzińca, którego nigdy nie zadali sobie trudu zamknąć. Miasteczkowi ludzie często się przechadzali w pobliżu murów zamkowych, miasteczkowym dzieciom wolno było huścić się na wielkiej, wiodącej na dziedziniec bramie. Co ich mogło obudzić?

- Niedźwiedzie?! - wyrwał się Robo, ale ojciec położył mu palce na ustach.

- Otóż usłyszeli konie - powiedział człowiek od snów. Stara Johanna, z pochyloną głową i zamkniętymi oczyma, zadrżała w swoim sztywnym krześle. - Usłyszeli oddechy i tupot koni, które usiłowały stać spokojnie - wyjaśnił człowiek od snów. - Mężczyzna wyciągnął rękę i dotknął żony. „Konie?“, zapytał. Kobieta wstała z łóżka i podeszła do okna wychodzącego na dziedziniec. Do dziś gotowa jest przysiąc, że cały dziedziniec był pełen konnych wojowników - ale cóż to byli za wojownicy! Zakuci w zbroje, przyłbice u hełmów mieli opuszczone, a szmer ich rozmów tak był ulotny i trudny do uchwycenia jak zanikająca fala radiowa. Zbroje pobrzękiwały, kiedy konie niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę.

Na dziedzińcu zamkowym była stara czasza wyschniętej z dawna fontanny, ale kobieta widziała, że fontanna tryska wodą. Woda przelewała się przez wyszczerbiony brzeg i konie ją piły. Rycerze byli czujni, nie zsiadali z wierzchowców, patrzyli na ciemne okna zamkowe, jak gdyby wiedzieli, że nie są mile widzianymi gośćmi u tego wodopoju, na tym popasie, który im wypadł po drodze.

W świetle księżycy kobieta dostrzegła wielkie połyskujące tarcze. Umknęły z powrotem do łóżka i położyła się sztywno u boku męża.

- Co to takiego? - zapytał.

- Konie - wyjaśniła.

- Tak też myślałem - rzekł. - Zjedzą wszystkie kwiaty.

- Kto zbudował ten zamek? - spytała żona. Oboje wiedzieli, że jest bardzo stary.

- Karol Wielki - odparł mąż; znów zapadł w sen.

Ale kobieta leżała z szeroko otwartymi oczyma, przysłuchując się cieknącej wodzie, która teraz zdawała się płynąć przez zamek, bulgocząc w każdej rurze, jak gdyby fontanna czerpała wodę z każdego możliwego źródła. Słysząc też było niewyraźne głosy wojowników - rycerzy Karola Wielkiego, którzy rozmawiali w swoim martwym języku! Dla kobiety ich głosy były tak niesamowite jak wiek ósmy i lud zwany Frankami. Konie piły nadal.

Kobieta długo leżała nie śpiąc i czekając, aż rycerze odjadą. Nie bała się ataku z ich strony, była przekonana, że są w drodze i popasają w miejscu, które pamiętają z przeszłości. Czuła jednak, że tak długo, jak długo tryska woda, nie wolno jej zakłócać spokoju ani ciemności panujących w zamku. Kiedy zasypiała, wydawało jej się, że wojownicy Karola Wielkiego są w dalszym ciągu.

Rano mąż zapytał:

- Czy ty też słyszałaś plusk wody? - Tak, oczywiście, słyszała. Ale fontanna,

oczywiście, była sucha, a przez okno zobaczyli, że kwiaty nie zostały zjedzone - choć przecież każdy wie, że konie jedzą kwiaty.

- Popatrz - powiedział mężczyzna wychodząc z żoną na dziedziniec. - Nie ma śladów kopyt ani żadnych końskich odchodów. Musiało nam się śnić, że widzieliśmy konie. - Nie powiedziała mu, że byli i rycerze ani że jej zdaniem to, żeby dwie osoby śniły jednocześnie ten sam sen, jest zupełnie niemożliwe. Nie przypominała mu też, że jako człowiek pałacy nie czuje nigdy gotującej się zupy i że zapach koni w świeżym powietrzu był po prostu dla niego zbyt subtelny.

Kobieta jeszcze dwukrotnie w czasie ich pobytu na zamku widziała czy też śniła wojowników, ale mąż nigdy już nie obudził się razem z nią. Zawsze jej przebudzenie było nagłe: kiedyś ocknęła się z metalicznym smakiem na języku, jakby dotykała ustami miecza, napierśnika, kolczugi czy nagolennika. Znowu byli na dziedzińcu, na zimnie. Spowijała ich gęsta mgła, unosząca się z fontanny; konie okrywał biały szron. Tym razem rycerzy nie było już tak wielu; jak gdyby przetrzebiły ich mrozy czy potyczki. Ostatnim razem konie wydały się kobiecie wychudzone, a mężczyźni przypominali puste zbroje lekko osadzone w siodłach. Rumaki miały na pyskach długie maski z lodu i oddychały (czy też może to rycerze) z trudem.

Jej mąż - powiedział mężczyzna od snów - miał umrzeć na infekcję dróg oddechowych, ale kobieta, śniąc ten sen, jeszcze o tym nie wiedziała.

Moja babka uniosła wzrok znad kolan i uderzyła człowieka od snów w szarobrodą twarz. Robo zeszytniał u ojca na kolanach; matka złapała babkę za rękę. Śpiewak odjechał ze swoim krzesłem i zerwał się na równe nogi, przestraszony czy też gotów do bitki, ale człowiek od snów po prostu skłonił się przed babką i wyszedł z ponurego salonu. Wyglądało to tak, jakby zawarł z Johanną jakąś umowę, która była ostateczna, ale nie sprawiała żadnemu z nich przyjemności. Ojciec zapisał coś w swoim wielkim notatniku.

- No cóż, czy nie była to interesująca historia? - odezwał się Herr Theobald. - Ha, ha. - I zmierzwił Robowi włosy, czego Robo nie cierpiał.

- Herr Theobald - powiedziała matka, w dalszym ciągu trzymając Johannę za rękę - mój ojciec umarł na infekcję dróg oddechowych.

- O, to bzdura - rzekł Herr Theobald. - Przepraszam bardzo, Meine Frau - zwrócił się do babki, ale ona nie chciała z nim rozmawiać.

Zabraliśmy babkę na obiad do restauracji kategorii A, ale prawie nie tknęła jedzenia.

- Ten człowiek to Cygan - oświadczyła - istota diaboliczna, a poza tym Węgier.
- Mamo, daj spokój - powiedziała matka. - Przecież on nie mógł wiedzieć o ojcu.

- On wiedział więcej niż ty - ucięła babka.
- Sznycel jest wspaniały - zauważył ojciec zapisując to w notatniku. - I Gumpoldskirchner doskonale do niego pasuje.

- Kalbsnieren są bardzo smaczne - powiedziałem.

- Jajka są w porządku - dodał Robo.

Babka nie odezwała się słowem, dopóki nie wróciliśmy do pensjonatu Grillparzer, gdzie zauważyliśmy, że pod drzwiami WC jest szpara na stopę czy może nawet więcej i że przypominają dolną połowę drzwi amerykańskiego pisuaru czy saloonu z westernów.

- Całe szczęście, że skorzystałam z toalety w restauracji - odezwała się babka. - Coś odrażającego! Będę musiała wytrzymać całą noc, żeby się nie wystawiać na widok publiczny, gdzie każdy przechodzący mógłby sobie oglądać moje kostki.

W naszym pokoju ojciec powiedział:

- Czy Johanna nie mieszkała kiedyś w zamku? Wydaje mi się, że dawno, dawno temu wynajmowali z dziadkiem jakiś zamek.

- Tak, to było przed moim urodzeniem - przyznała matka. - Wynajmowali Schloss Katzelsdorf. Widziałam zdjęcia.

- A, to dlatego sen Węgry tak ją wzburzył - rzekł ojciec.

- Ktoś jeździ po korytarzu na rowerze - oznajmił Robo. - Widziałem koło przejeżdżające pod naszymi drzwiami.

- Robo, idź spać! - rozkazała matka.

- Robiło tak: skrzyp, skrzyp - dodał Robo.

- Dobranoc, chłopcy - rzekł ojciec.

- Jak wy możecie rozmawiać, to i my możemy - zaprotestowałem.

- To rozmawiajcie między sobą - rzekł ojciec. - Ja mówię do matki.

- Ja już chce iść spać - stwierdziła matka. - Nie życzę sobie żadnych rozmów.

Próbowaliśmy zasnąć. A może nawet nam się to udało. Ale nagle Robo zwierzył mi się szeptem, że musi iść do ubikacji.

- Wiesz przecież, gdzie jest - powiedziałem.

Wyszedł, zostawiając drzwi lekko uchylone; słyszałem, jak idzie korytarzem, szorując ręką o ścianę. Wrócił bardzo szybko. - Ktoś jest w ubikacji - powiedział.

- To poczekaj, aż skończy.

- Światło nie było zapalone - wyjaśnił - ale i tak w szparze pod drzwiami widziałem, że tam po ciemku ktoś siedzi.

- Ja też wolę po ciemku - powiedziałem.

Ale Robo upierał się, że mi opowie dokładnie, co tam zobaczył. Powiedział, że w szparze pod drzwiami zobaczył ręce.

- Ręce? - spytałem.

- Tak, tam, gdzie powinny być nogi - wyjaśnił Robo i upierał się, że po obu stronach muszli klozetowej, tam gdzie zwykle są stopy, widział ręce.

- Wynoś się, Robo! - krzyknąłem.

- Ale proszę cię, chodź i zobacz - błagał. Poszedłem z nim korytarzem, ale w ubikacji nie było nikogo. - Już wyszli - oświadczył.

- Tak, i to do tego na rękach - burknąłem. - Idź, wysikaj się, ja na ciebie poczekam.

Wszedł do ubikacji i smutno odlał się w ciemności. Kiedy już byliśmy pod drzwiami pokoju, minął nas niewysoki ciemny mężczyzna z podobną cerą i podobnie ubrany jak człowiek od snów, który tak zdenerwował babkę. Łypnął okiem w naszą stronę i uśmiechnął się. Trudno było nie zauważyć, że szedł na rękach.

- Widziałeś? - szepnął Robo. Weszliśmy do pokoju i zamknęliśmy za sobą drzwi.

- Co takiego? - zapytała matka.

- Człowiek, który chodzi na rękach - wyjaśniłem.

- Człowiek, który sika na rękach - dodał Robo.

- Kategoria C - mruknął ojciec przez sen; ojcu często się śniło, że zapisuje coś w swoim wielkim notatniku.

- Porozmawiamy o tym rano - powiedziała matka.

- To był prawdopodobnie akrobata, który się przed tobą popisował, bo jesteś dzieciak - wyjaśniłem Robowi.

- Skąd mógł wiedzieć, że jestem dzieckiem, skoro siedział w WC?

- Idźcie wreszcie spać - szepnęła matka.

A potem usłyszeliśmy wrzask babki w korytarzu.

Matka zarzuciła swój ładny zielony szlafroczek; ojciec włożył płaszcz kąpielowy i okulary; ja naciągnąłem spodnie na piżamę. Robo był pierwszy na korytarzu. W szparze pod drzwiami WC zobaczyliśmy światło. Dochodziły stamtąd rytmiczne krzyki

babki.

- Jesteśmy tutaj! - zawołała matka.

Zebrałiśmy się w szerokim paśmie światła. W szparze pod drzwiami widzieliśmy beżowe kapcie i porcelanowobiałe pęciny babki. Przestała krzyżeć.

- Kiedy bylam już w łóżku, usłyszałam szepty - powiedziała.

- To był Robo i ja - wyjaśniłem.

- I potem, kiedy już wszystko ucichło, wybrałam się do toalety - dodała Johanna. - Nie zapalałam światła. I byłam bardzo cicho - opowiadała. - I wtedy zobaczyłam i usłyszałam koło.

- Koło? - zapytał ojciec.

- Koło, które kilkakrotnie przejechało pod drzwiami. Przejechało, zawróciło i znów przejechało.

Ojciec wykonał palcami dokoła głowy taki ruch, jakby naśladował toczące się koło, i zrobił minę do matki.

Komuś chyba nawaliły kółeczka - szepnęła, ale matka spojrzała na niego ze złością.

- Zapaliłam światło - ciągnęła babka - i koło odjechało.

- Mówiłem, że w korytarzu jest rower - wtrącił się Robo.

- Cicho, Robo - skarcił go ojciec.

- Nie, to nie rower - wyjaśniła babka. - To było tylko jedno koło.

Ręce ojca wyrabiały wokół głowy dziwne rzeczy.

- To jej brakuje jakichś kólek - syknął do matki, ale ona palnęła go w okulary, które przekrzywiły mu się na nosie.

- A potem ktoś zajrzał przez tę szparę pod drzwiami - ciągnęła babka - i właśnie wtedy krzyknęłam.

- Ktoś? - Spytał ojciec.

- Widziałam, jego ręce, męskie ręce, całe porośnięte włosami - wyjaśniła. - Na, chodniku przed samymi drzwiami. Musiał mnie podglądać.

- Nie, babciu - zaprotestowałem. - On pewnie stał tam w korytarzu na rękach.

- Nie bądź głupi - skarciła mnie matka.

- Ale myśmy widzieli człowieka, który chodził na rękach - rzekł Robo.

- Nie widzieliście żadnego człowieka na rękach - powiedział ojciec.

- Owszem, widzieliśmy - odparłem.

- Bo pobudzimy wszystkich - zwróciła nam uwagę matka. Rozległ się odgłos

spuszczanej wody i z toalety wyszła babka, która zdołała uratować zaledwie nikłą część swojej godności. Miała jeden szlafrok na drugim, a na tym jeszcze jeden; jej szyja była bardzo długa, a twarz wypacykowana kremem na biało. Wyglądała jak zatroskana gęś.

- On był zły i nikczemny - oświadczyła - i znał straszne czary.

- Ten człowiek, który cię podglądał? - spytała matka.

- Ten człowiek, który opowiadał mój sen - wyjaśniła babka. Widać się wśród bruzd i kolein kremu spłynęła jej po policzku łza. - To był mój sen - rzekła - a on go opowiedział wszystkim. To niesamowite, że go w ogóle znał - syknęła. - Mój sen o koniach i rycerzach Karola Wielkiego, który ja jedna powinnam znać. Miałam ten sen jeszcze przed twoim urodzeniem - zwróciła się do matki. - I ten zły, nikczemny magik opowiedział go, jakby to były zwykłe wiadomości.

Ja nawet twojemu ojcu nie wspomniałam słowem o tym śnie. Nigdy nie byłam pewna, czy to był naprawdę sen. A tu się pętają jacyś ludzie, co chodzą na rękach, z owłosionymi dłońmi, nie mówiąc o magicznych kołach. Ja chcę, żeby chłopcy spali ze mną w pokoju.

I tak się stało, że Robo i ja dzieliliśmy duży rodzinny pokój z dala od WC z babką, która spoczywała na poduszkach rodziców nakremowana i lśniąca jak mokry duch. Robo obserwował ją leżąc z otwartymi oczyma. Nie sędzę, żeby Johanna spała dobrze; wydaje mi się, że znów śnił jej się ten sam śmiertelny sen, że raz jeszcze przeżywała tę ostatnią noc zlodowaciałych rycerzy Karola Wielkiego z ich dziwnym oszronionym metalowym odzieniem i przyłbicami zamrażającymi na głucho.

Kiedy stało się oczywiste, że muszę iść do WC, okrągłe, błyszczące oczy Robo odprowadziły mnie do drzwi.

Ktoś był w toalecie. Spod drzwi nie sączyło się światło, ale pod ścianą na zewnątrz stał zaparkowany unicykl. Właściciel siedział w ciemnej ubikacji - raz po raz słyhać było odgłos spuszczonej wody, jakby unicyklista był dzieckiem, które nie czeka, aż rezerwuuar się napęlni.

Podszedłem bliżej do szpary pod drzwiami ubikacji, ale użytkownik czy użytkowniczka nie stała na rękach. Zobaczyłem coś, co niewątpliwie było stopami, w niemal normalnej pozycji, ale te stopy nie dotykały podłogi. Zwrócone podszewkami w moją stronę, przypominały ciemne poduszki w kolorze siniaków. Były to ogromne stopy przyczepione do krótkich włochatych łydek. Były to stopy niedźwiedzie, tyle że bez pazurów. Niedźwiedź nie potrafi chować pazurów jak kot; gdyby miał pazury,

byłoby je widać. Był to zatem oszust w przebraniu niedźwiedzia albo niedźwiedź zdepażowany. Może po prostu niedźwiedź domowy. A przynajmniej - sądząc z jego obecności w ubikacji - obłaskawiony. Sądząc z kolei po zapachu, nie mógł to być człowiek w przebraniu niedźwiedzia; był to więc niewątpliwie niedźwiedź stuprocentowy. Niedźwiedź autentyczny.

Wycofałem się prosto na drzwi dawnego pokoju babki, za którymi czał się ojciec w oczekiwaniu dalszych komplikacji. Otworzył drzwi gwałtownie, tak że dosłownie wpadłem do środka, co przestraszyło nas obu. Matka usiadła na łóżku i naciągnęła na głowę puchową kołdrę.

- Mam go! - wrzasnął ojciec rzucając się na mnie. Podłoga zadrżała, unicykl ześliznął się po ścianie i uderzył w drzwi WC, z których nagle wylał niedźwiedź potykając się o swój pojazd i wywijając salto. Zatroškany patrzył przez szerokość korytarza na ojca, który siedział mi na piersi, a następnie złapał unicykl przednimi łapami. Ojciec zatrzasnął drzwi.

- Grauf? - powiedział niedźwiedź.

Gdzieś w głębi korytarza usłyszeliśmy głos kobiety:

- Duna, gdzie jesteś?

- Harf! - odpowiedział niedźwiedź.

Pochwyciliśmy zbliżające się kroki.

- Och, Duna, znów ćwiczysz? Ciągłe ćwiczysz i ćwiczysz. Przecież znacznie lepiej robić to w dzień. - Niedźwiedź nie odezwał się słowem. Ojciec otworzył drzwi.

- Nie wpuszczaj nikogo więcej - powiedziała matka, w dalszym ciągu spod kołdry.

Na korytarzu, ładna podstarzała kobietka stała koło niedźwiedzia, który balansował w miejscu na swoim unicyklu, wielką łapą trzymając się jej ramienia. Kobieta miała na głowie turban w żywym czerwonym kolorze i długą luźną suknię, która przypominała kurtynę. Na jej wysokim biuście spoczywał naszyjnik z niedźwiedziach pazurów; jeden kolczyk opadał na ramię zasłonięte suknią, drugi na gołe w miejscu, gdzie obaj z ojcem dostrzegliśmy interesujący pieprzyk.

- Dobry wieczór - zwróciła się do ojca. - Przepraszam bardzo, jeśli przeszkadziliśmy. Dunie nie wolno ćwiczyć w nocy, ale on tak kocha swoją pracę.

Niedźwiedź popedałował mrużąc coś pod nosem. Doskonale utrzymywał równowagę, ale był niedbały - jadąc ocierał się o ściany korytarza i dotykał łapami fotografii łyżwiarzy. Kobieta skłoniwszy się ojcu ruszyła za niedźwiedziem wołając:

„Duna, Duna!” - i wyglądając fotografie na ścianie.

- Duna to po węgiersku Dunaj - wyjaśnił mi ojciec. - Ten niedźwiedź jest nazwany na cześć naszego ukochanego Donau. - Moja rodzina była wyraźnie zdziwiona, że Węgrzy też mogą kochać tę rzekę.

- Czy to jest prawdziwy niedźwiedź? - pytała matka, w dalszym ciągu spod kołdry, ale pozostawiłem ojcu te wyjaśnienia. Wiedziałem, że rano Herr Theobald będzie miał wiele do wyjaśniania i że wtedy usłyszę to wszystko jeszcze raz.

Poszedłem korytarzem do WC. Moje posiedzenie tam zostało znacznie skrócone ze względu na zalegający w powietrzu odór niedźwiedzi i podejrzenie, że na wszystkim są kłaki; były to jednak tylko podejrzenia - niedźwiedź zostawił po sobie porządek, w każdym razie zachował się czysto jak na niedźwiedzia.

- Widziałem niedźwiedzia - zawiadomiłem Robo szeptem, on jednak włożył babce do łóżka i zasnął u jej boku kamiennym snem. Ale stara Johanna nie spała.

- A żołnierzy coraz to ubywało - powiedziała. - Ostatnim razem było ich tylko dziewięciu. Robili wrażenie strasznie głodnych, chyba pozjadali wszystkie zapasowe konie. Było potwornie zimno. Naturalnie chciałam im pomóc! Ale myśmy w tych czasach nie żyli, jak mogłam im pomóc, skoro mnie jeszcze nie było na świecie? Oczywiście wiedziałam, że umrą. Ale to trwało tak długo!

Jak przyszli po raz ostatni, fontanna była zamarznęta. Za pomocą mieczy i długich pik kruszyli lód na kawałki. Rozpalili ogień i topili ten lód w garnku. Z juków wyjęli kości - przeróżne kości - i powrzucaли je do zupy. Rosół musiał być bardzo cienki, bo już dawno zostały ogryzione do czysta. Nie wiem, co to były za kości. Królicze chyba, a może z jelenia czy z dzika. A może były to kości tych zapasowych koni. Wolałam nie myśleć, że mogły to być kości brakujących żołnierzy.

- Babciu, śpij - powiedziałem.

- Nie przejmuj się niedźwiedziem - odparła.

I co potem? - zastanawiał się Garp. Co może stać się później? Nie był tak całkiem pewien, co się stało i dlaczego. Był urodzonym gawędziarzem; mógł zmyślać różne rzeczy jedną po drugiej i wszystko wydawało się idealnie pasować. Ale co to znaczyło? Ten cały sen i ci żałośni cyrkowcy, i to, co się z nimi stało - wszystko musi się jakoś wiązać. Jakie wytłumaczenie będzie naturalne? Jaki rodzaj zakończenia uczyni ich wszystkich częścią jednego świata? Garp czuł, że wie za mało; przynajmniej na razie. Wierzył w swój instynkt, który go doprowadził do tego miejsca „Pensjonatu

Grillparzer"; teraz należało zawierzyć temu samemu instynktowi, który mówił mu, że nie powinien iść dalej, dopóki nie nauczy się znacznie więcej.

To, co sprawiło, że Garp był starszy i mądrzejszy od swoich dziewiętnastu lat, nie miało nic wspólnego ani z jego doświadczeniem, ani z tym, czego się nauczył. Miał pewien instynkt, determinację i cierpliwość większą od przeciętnej; lubił ciężką pracę. Pospołu z gramatyką, której nauczył go Tinch, to było wszystko. Jedynie dwa fakty wydawały mu się ważne: że jego matka rzeczywiście wierzy, że potrafi napisać książkę, i że najbardziej znaczący związek w jego obecnym życiu łączy go z prostytutką. Te dwa fakty w znacznej mierze wpłynęły na kształtowanie się poczucia humoru młodego człowieka.

Odłożył „Pensjonat Grillparzer” - jak to się mówi - na bok. Przyjdzie samo - myślał. Zdawał sobie sprawę, że musi wiedzieć więcej; nie pozostawało mu więc nic innego, jak patrzeć na Wiedeń i uczyć się. Miasto zastygło dla niego w bezruchu. Życie jakby zastygło dla niego w bezruchu. Poczytał również wiele obserwacji dotyczących Charlotte i dostrzegał wszystko, co robi jego matka, ale był po prostu za młody. Potrzebna mi jest jakaś wizja - tyle przynajmniej wiedział. Ogólny schemat, całkowicie własna wizja świata. To przyjdzie - powtarzał sobie, jakby się przygotowywał do nowego sezonu zapaśniczego: skakanka, biegi, podnoszenie ciężarów - coś niemal równie bezmyślnego, ale tak samo niezbędnego.

Nawet Charlotte ma jakąś wizję świata, myślał, nie mówiąc o matce. Garp nie posiadał mądrości, która stanowiłaby odpowiednik absolutnej klarowności świata według Jenny Fields. Ale wiedział, że wyczarowanie własnego świata to dla niego tylko kwestia czasu i - niewielkiej pomocy ze strony świata realnego. Bo świat realny przyjdzie mu wkrótce z pomocą.

Rozdział VI

Pensjonat Grillparzer

Kiedy do Wiednia zawitała wiosna. Garp w dalszym ciągu miał nie ukończony „Pensjonat Grillparzer”; oczywiście o tym, co go łączyło z Charlotte i jej koleżankami, nawet nie wspomniał w listach do Helen. Jenny przełączyła swoje pisanie na jeszcze wyższy bieg; znalazła wreszcie zdanie, które dojrzywało w niej od tamtej sławetnej nocnej rozmowy z Charlotte i Garpem na temat żądz. Było to w gruncie rzeczy zdanie stare, z jej bardzo dawnego życia, i właśnie nim tak naprawdę rozpoczęła książkę, która miała uczynić ją sławną.

„Na tym sprośnym świecie - pisała - jest się czyjąś żoną albo czyjąś dziwką, albo na najlepszej drodze do stania się jednym czy drugim”. To zdanie nadało książce ton, którego jej brakowało; Jenny odkryła, że spowiło ono jej autobiografię w specyficzną aurę łączącą w harmonijną całość poszczególne epizody jej życia - jak mgła zaciągnięta nad krajobrazem i pokrywająca jego nierówności, jak ciepło rozchodzące się po najdalszych zakamarkach domu. To jedno zdanie inspirowało następne i Jenny przetykała nimi swój tekst, jakby wplatała jaskrawy wątek w bezbarwną osnowę gobelinu.

„Chciałam pracować i chciałam żyć samotnie - pisała. - Zyskałam w ten sposób opinię seksualnie podejrzanej”. Ale zarazem zyskała i tytuł: „Seksualnie podejrzana”, czyli autobiografia Jenny Fields. Zanim doczekała się wydania broszurowego, z którego sprzedaży mogła się utrzymać nie tylko ona, ale cały zastęp pielęgniarek w nowych mundurkach przez sto lat, autobiografia Jenny miała osiem wydań w twardej okładce i została przetłumaczona na sześć języków.

„A poza tym chciałam mieć dziecko, nie dzieląc z nikim swojego ciała ani życia - pisała Jenny. - I to też czyniło mnie seksualnie podejrzaną”. W ten sposób Jenny znalazła nić, która powiązała jej niespójną książkę w jednolitą całość.

Ale kiedy do Wiednia zawitała wiosna, Garp zapragnął podróży - może do Włoch; mogliby wynająć samochód.

- A czy ty umiesz prowadzić samochód? - zapytała go Jenny. Wiedziała doskonale, że nigdy się nie uczył; nie było takiej potrzeby. - Ja też nie umiem, a poza tym pracuję. I nie mogę teraz przerwać. Jeżeli masz ochotę podróżować, to wybierz

się sam.

Garp i Jenny odbierali swoją pocztę w biurze American Express i tam Garp spotkał po raz pierwszy młodych podróżujących Amerykanów. Dwie dziewczyny, dawne uczennice Dibbs, i chłopaka imieniem Boo, który chodził do Bath.

- A co byś powiedział na nas? - spytała Garpa jedna z dziewczyn, kiedy się spotkali. - My chodzimy do ogólniaka.

Miała na imię Flossie i Garp odniósł wrażenie, że żyje z Boo. Druga dziewczyna nazywała się Vivian i pod małym stolikiem w kawiarni na Schwarzenbergplatz ścisnęła nogami Garpa za kolano; popijając wino nawijała:

- Byłam właśnie u dentyszysty - wyjaśniła - i mam w usz-sztach tyle nowokainy, że już nie wiem, kiedy są zamknięte, a kiedy otwarte.

- Tak mniej więcej pół na pół - odpowiedział Garp, ale pomyślał: cholera. Brak mu było Cushie Percy, a na skutek swoich stosunków z prostytutkami sam zaczął się czuć jak seksualnie podejrzany. Charlotte matkowała mu bez wątplenia i chociaż usiłował przeżyć to wszystko w innej płaszczyźnie, to jednak ze smutkiem musiał przyznać, że nigdy nie będzie ona inna niż profesjonalna.

Flossie, Vivian i Boo wybierali się do Grecji, ale pozwolili Garpowi przez trzy dni oprowadzać się po Wiedniu. W tym czasie Garp dwukrotnie przespał się z Vivian, której nowokaina w końcu wywietrzała; przespał się też raz z Flossie, kiedy Boo poszedł zrealizować czeki podróżne i zmienić olej w samochodzie. Garp wiedział, że nie ma co udawać miłości pomiędzy chłopcami ze Steering i z Bath, ale to Boo śmiał się ostatni.

Nie sposób powiedzieć, od której Garp złapał rzeżączkę – od Vivian czy od Flossie, jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: źródło stanowił Boo. Zdaniem Garpa był to „klasyczny tryper z Bath”. Kiedy jednak wystąpiły pierwsze objawy, cała trójka zdążyła już wyjechać do Grecji, pozostawiając Garpa sam na sam ze swędzeniem i wyciekami. Chyba w całej Europie nie można złapać gorszego trypra - myślał.

„Boo szczerze obdarzył mnie swoim tryprem” - napisał, jednakże znacznie później; wtedy, kiedy go to spotkało, nie widział w tym nic śmiesznego, zwłaszcza że nie śmiał się zwrócić do matki o pomoc. Nie uwierzyłaby mu, że nie zaraził się od prostytutki. Zdobył się jednak na odwagę, żeby poprosić Charlotte o polecenie mu odpowiedniego specjalisty; uważał, że powinna kogoś takiego znać. Pomyślał później, że chyba Jenny byłaby na niego mniej zła.

- Można by się po Amerykanach spodziewać, że znają podstawowe zasady

higieny! - rzuciła Charlotte z wściekłością. - Co by powiedziała twoja matka! Myślałam, że masz lepszy gust! Ktoś, kto daje coś takiego za darmo człowiekowi, którego prawie nie zna, musi się wydać podejrzany, nie uważasz? - I znów zgubił go brak prezerwatywy.

Tak więc z drzeniem udał się do osobistego lekarza Charlotte, serdecznego człowieka o nazwisku Thalhammer, któremu brakowało dużego palca lewej ręki.

- Byłem kiedyś mańkutom - poinformował Garpa Herr Doktor Thalhammer. - Ale ze wszystkim można sobie poradzić, jeśli człowiek ma tylko dość energii. Można się nauczyć praktycznie wszystkiego! - powiedział z wesołą stanowczością i zademonstrował Garpowi, jak w podziwu godny sposób potrafi wykaligrafować receptę prawą ręką. Leczenie było proste i bezbolesne. Za czasów Jenny w starym, pocziwym Bostońskim Miłosierdziu zaaplikowałiby Garpowi kurację Valentine'a, co by go w sposób bardziej dobitny nauczyło, że nie wszystkie dzieci z zamożnych domów są czyste.

O tym również nie napisał Helen.

Garpa opuścił dobry nastrój; wiosna wlokła się i miasto na wiele różnych niedostrzegalnych sposobów otwierało się jak pąki kwiatów. Ale Garp czuł, że przeszedł Wiedeń wzdłuż i wszerz. Ledwie mógł teraz skłonić Jenny, by przerwała pisanie choć na wspólne zjedzenie kolacji. Kiedy wreszcie postanowił odszukać Charlotte, jej koleżanki powiedziały mu, że jest chora; nie pracowała już od kilku tygodni. Przez trzy soboty z rzędu nie spotykał jej na Naschmarkt. Pewnego majowego wieczoru zagadnąwszy jej koleżanki na Karntnerstrasse, stwierdził, że niechętnie mówią o Charlotte. prostytutka z dziobem w kształcie pestki brzoskwini na czole powiedziała Garpowi jedynie, że Charlotte jest bardziej chora, niż jej się początkowo wydawało. Młoda dziewczyna w wieku Garpa, ze zniekształconą wargą i kiepską znajomością angielskiego, usiłowała mu wyjaśnić:

- Ona ma chory seks - powiedziała.

Ciekawie to ujęła, pomyślał Garp. Nie zdziwiło go, kiedy usłyszał, że czyjś seks może być chory, ale kiedy skwitował tę uwagę uśmiechem, młoda prostytutka mówiąca po angielsku zrobiła obrażoną minę i odeszła.

- Nie rozumiesz - powiedziała wypindrzona prostytutka z dziobem po ospie na czole. - Zapomnij o Charlotte.

Kiedy mniej więcej w połowie czerwca Charlotte nie pojawiła się w dalszym ciągu, Garp zadzwonił do Herr Doktora Thalhammera i zapytał, gdzie może ją

znaleźć.

- Wątpię, czy chciałaby widzieć się z kimkolwiek - powiedział mu Thalhammer - ale istota ludzka potrafi się przystosować niemal do wszystkiego.

Bardzo blisko Grinzingu i Lasku Wiedeńskiego, w dzielnicy dziewiętnastej, gdzie już nie ma prostytutek, Wiedeń przypomina wiejską imitację samego siebie; na tych przedmieściach wiele ulic jest w dalszym ciągu brukowanych, a wzdłuż chodników rosną drzewa. Nie znający tej części miasta Garp pojechał Strassenbahnem Nr 38 i wysiadł za daleko na Grinzinger Allee; musiał wracać na piechotę do rogu Billrothstrasse i Rudolfnergasse, gdzie znajdował się szpital.

Rudolfinerhaus jest prywatnym szpitalem w mieście uspołecznionej służby zdrowia; jego stare kamienne mury z czasów Marii Teresy są tak samo żółte jak pałac w Schönbrunn czy Górny i Dolny Belweder. Ogrody szpitalne zamykają się w granicach dziedzińca, a koszty pobytu wynoszą niemal tyle samo, ile prawie w każdym szpitalu w Stanach Zjednoczonych. Rudolfinerhaus nie zapewnia swoim pacjentom piżam, ponieważ na ogół wolą oni własną bieliznę. Na luksus chorowania w tym szpitalu pozwalają sobie zamożni wiedeńczycy, trafia tu także większość cudzoziemców, którzy boją się uspołecznionej służby zdrowia i dopiero w obliczu opłat doznają szoku.

W czerwcu, kiedy zjawił się tam Garp, szpital uderzył go jako miejsce pełne młodych ładnych matek, które właśnie urodziły dzieci. Było także mnóstwo zamożnych ludzi, którzy spodziewali się stanąć tutaj na nogi, ale również i takich, którzy, jak Charlotte, przyszli tu umrzeć.

Charlotte miała osobny pokój, bo jak stwierdziła, teraz nie było już sensu oszczędzać. Garp nie miał wątpliwości, że umiera, jak tylko ją zobaczył. Straciła na wadze niemal trzydzieści funtów. Zauważył, że te pierścionki, które jej zostały, nosiła na palcach wskazującym i środkowym; na innych by się nie utrzymały. Charlotte była koloru matowego lodu na słonawej Steering River. Nie robiła wrażenia specjalnie zdziwionej na jego widok, ale była tak silnie zamroczona, że wydała mu się niezdolna do jakiegokolwiek zdziwienia.

Garp przyniósł jej koszyk owoców; od czasu kiedy robili razem zakupy, wiedział, co lubi, ale Charlotte miała przez kilka godzin dziennie rurkę w gardle, które było tak podrażnione, że nie mogła nic łykać poza płynami. Garp zjadł kilka czereśni, a Charlotte wymieniła w tym czasie wszystkie organy, które jej usunięto. A więc

narządy płciowe, jak sądziła, i większą część przewodu pokarmowego, ale również coś związanego z wydalaniem.

- Och, i chyba piersi - powiedziała. Białka oczu miała bardzo szare i trzymała ręce nad klatką piersiową, gdzie - jak sobie pochlebiała - były kiedyś piersi. Garpowi wydało się jednak, że piersi jej nie ruszyli; pod prześcieradłem w dalszym ciągu coś się rysowało. Ale później pomyślał, że Charlotte była tak cudowną kobietą, że samym ułożeniem ciała potrafiła stworzyć złudzenie piersi.

- Dzięki Bogu mam pieniądze - powiedziała. - Prawda, że to szpital klasy A?

Garp skinął głową. Nazajutrz przywiózł butelkę wina; w szpitalu nie obowiązywały żadne rygory, jeśli chodziło o trunki i odwiedziny; może to był właśnie jeden z luksusów, za które się płaciło.

- Nawet gdybym stąd wyszła - powiedziała Charlotte - to co bym robiła? Wycięli mi portmonetkę. - Napila się trochę wina, po czym zasnęła. Garp spytał młodszą pielęgniarkę, co Charlotte chciała powiedzieć przez „portmonetkę”, aczkolwiek wydawało mu się, że wie. Dziewczyna była w jego wieku, miała może z dziewiętnaście lat, a może mniej, więc tłumacząc mu slangowe wyrażenie zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

Portmonetka w języku prostytutek oznaczała pochwę.

- Dziękuję - powiedział Garp.

Odwiedzając Charlotte kilka razy spotkał jej dwie koleżanki, które wydawały się dziewczęce i nieśmiałe wobec Garpa w świetle słonecznego pokoju. Młoda, ta, która mówiła po angielsku, miała na imię Wanga; rozcięła sobie wargę jako dziecko - potknęła się biegnąc ze sklepu do domu ze słoikiem majonezu.

- Wybieraliśmy się na piknik jechać - wyjaśniła. - Ale moja rodzinka zamiast tego musiała mnie do szpitala zawieźć.

Dojrzała, ponurawa kobieta ze śladem w kształcie pestki brzoskwini na czole i piersiami jak dwa pełne wiadra, nie zadała sobie trudu, żeby wyjaśnić pochodzenie swojej blizny; była to owa sławetna Tina, dla której nie było nic zbyt „fikuśnego”.

Od czasu do czasu Garp natykał się tam na Herr Doktora Thalhammera, a raz nawet odprowadził go do jego samochodu; tak się złożyło, że razem wychodzili ze szpitala.

- Podwieźć pana? - zaproponował mu życzliwie Thalhammer. W samochodzie siedziała ładna uczennica, którą doktor przedstawił Garpowi jako swoją córkę. Rozmawiali swobodnie we trójkę na temat Die Vereinigten Staaten i Thalhammer

zapewnił Garpa, że podwiezienie go do domu na Schwindgasse nie sprawi mu najmniejszego kłopotu. Córka Thalhammera przypominała Garpowi Helen, ale zupełnie nie wyobrażał sobie, jakby mógł się z nią umówić; fakt, że jej ojciec dopiero co leczył go na trypra, wydał mu się przeszkodą nie do pokonania - pomimo optymistycznego poglądu Thalhammera, że ludzie są zdolni przystosować się do wszystkiego. Garp wątpił, czy Thalhammer byłby zdolny przystosować się do tego.

Teraz miasto wokół Garpa było jak gdyby dojrzałe umieraniem. Rojące się parki i ogrody cuchnęły rozkładem, a wielcy malarze w wielkich muzeach mieli zawsze za temat śmierć. W Strassenbahnie Nr 38 jadącym do Grinzinger Allee spotykał zawsze kaleki i starców, a wonne kwiaty, którymi wysadzono eleganckie ścieżki na dziedzińcu Rudolfinerhaus kojarzyły się Garpowi jedynie z salonami pogrzebowymi. Przywodziły mu na myśl pensjonaty, w których zatrzymywał się z Jenny zaraz po przyjeździe, przeszło rok temu: spłowiałe i źle dobrane tapety, zakurzone stare graty, obtłuczoną porcelaną, zawiasy domagające się naoliwienia. „Długość życia ludzkiego - pisał Marek Aureliusz - to punkcik... zespół całego ciała to zgnilizna”...

Młoda pielęgniarka, którą Garp wprowadził w zakłopotanie pytaniem o „portmonetkę” Charlotte, robiła się w stosunku do niego coraz bardziej opryskliwa. Pewnego dnia, kiedy przyszedł nieco przed godziną odwiedzin, zapytała go odrobinę zbyt agresywnie, kim w końcu jest dla niego ta Charlotte. Czy kimś z rodziny? Widywała innych gości Charlotte - jej krzykliwie ubrane koleżanki - i doszła do wniosku, że Garp musi być po prostu klientem starej zdiury.

- To moja matka - wyjaśnił; nie wiadomo dlaczego, zarówno szok, jakiego doznała dziewczyna, jak i jej późniejszy szacunek sprawiły mu satysfakcję.

- Co im powiedziałaś? - szepnęła do niego Charlotte w kilka dni później. - One myślą, że jesteś moim synem. - Przyznał jej się do kłamstwa; Charlotte przyznała się, że nie zrobiła nic, żeby je sprostować. - Dziękuję ci - wyszeptwała. - To miło wyciąć numer takim świniom. Wydaje im się, że są dużo lepsze. - I przywołując resztki swojej lubieżności powiedziała: - Dałabym ci raz za darmo, gdybym miała wyposażenie. Może dwa razy za pół ceny.

Garp rozplakał się ze wzruszenia.

- Nie bądź dzieckiem - powiedziała. - Czym ja w gruncie rzeczy dla ciebie jestem? - Kiedy zasnęła, przeczytał na jej karcie informacyjnej, że ma pięćdziesiąt jeden lat.

Umarła w tydzień później. Został jej pokój wysprzątny, łóżko ogołocone z

pościeli, okna szeroko otwarte. Kiedy o nią zapytał, natknął się na zupełnie nową pielęgniarkę dyżurną - żelazną dziewczycę, która cały czas kiwała głową.

- Fraulein Charlotte - powiedział. - Była pacjentką Herr Doktora Thalhammera.

- On ma dużo pacjentów - odparła żelazna dziewczyna. Usiłowała sprawdzić na liście, ale Garp nie znał prawdziwego nazwiska Charlotte. Wreszcie nie widząc innej możliwości zidentyfikowania jej wyjaśnił:

- Taka prostytutka. Była prostytutką. - Żelazna dziewczyna obrzuciła go zimnym spojrzeniem; jeżeli w tym spojrzeniu Garp nie dopatrywał się satysfakcji, to nie dopatrywał się w nim również współczucia.

- prostytutka umarła - oznajmiła stara pielęgniarka. Garpowi wydało się, że pochwyił w jej głosie jedynie lekką nutę tryumfu.

- Pewnego dnia, meine Frau - odrzekł - i pani umrze.

Było to w bardzo wiedeńskim stylu - pomyślał Garp opuszczając Rudolfinerhaus. Dobrze ci tak, ty szary molochu, ty stary trupie - pomyślał pod adresem Wiednia.

Tego wieczoru po raz pierwszy poszedł na operę; ku jego zdumieniu śpiewano w języku włoskim, a ponieważ nic nie zrozumiał, uznał, że całe przedstawienie to rodzaj nabożeństwa. Przeszedł na piechotę nocą aż do oświetlonych wież Świętego Stefana; budowa wieży południowej, jak przeczytał na jakiejś płycie pamiątkowej, została rozpoczęta w połowie wieku czternastego, a zakończona w roku 1439. Wiedeń, pomyślał Garp, to trup; być może cała Europa to nic innego jak wystrojone zwłoki w otwartej trumnie. „Długość życia ludzkiego - pisał Marek Aureliusz - to punkcik... los - to zagadka”...

W tym nastroju Garp poszedł do domu piechotą Karntnerstrasse, gdzie spotkał słynną Tinę. Głęboka blizna, zbierająca światło miejskich neonów, miała kolor zielonkawobłękitny.

- Guten Abend, Herr Garp - powitała go Tina. - Wiesz co?

Powiedziała, że Charlotte pomyślała o prezencie dla niego. Prezent polegał na tym, że Garp mógł mieć Tinę i Wangę za darmo; mógł je mieć jedną po drugiej albo obie naraz. Obie naraz - uznała - byłoby ciekawiej i szybciej. Ale może Garp nie chce obydwóch. Przyznał, że Wanga mu się nie podoba; była mu zbyt bliska wiekiem i chociaż nigdy by tego nie powiedział przy niej, żeby jej nie urazić, nie był zachwycony jej wargą ściągniętą przez bliznę po słoiku majonezu.

- No to możesz mieć mnie dwa razy - oznajmiła Tina radośnie. - Raz teraz, a drugi tak, żebyś miał czas złapać oddech, Zapomnij o Charlotte - dodała. - Śmierć przychodzi na każdego. - Mimo to Garp grzecznie odrzucił jej propozycję.

- W każdej chwili - powiedziała Tina. - Kiedy tylko zechcesz. - Bezceremonialnie nakryła mu go ciepłą dłonią; jej duża ręka stanowiła obszerny sączek, ale Garp uśmiechnął się tylko, skłonił na wiedeński sposób i poszedł do matki.

Nieznaczny żal, jaki odczuwał, sprawiał mu przyjemność. Sprawiało mu przyjemność to głupie wyrzeczenie, zwłaszcza że, jak sądził, znacznie większą satysfakcję znajdował w swoim wyobrażeniu Tyny, niżby kiedykolwiek mógł znaleźć w jej zwalistym cielsku. Srebrzyste wyżłobienie na czole dziewczyny było niemal tak duże jak jej usta; przypominało Garpowi mały otwarty grób.

Napawał się zaczątkiem swego upragnionego pisarskiego transu, w którym cały świat poddaje się jednemu przemożnemu głosowi. „Wszystko, co związane jest z ciałem, to rzeka - przypomniało mu się - co z duszą, to sen i mara”. Był lipiec, kiedy Garp powrócił do pracy nad „Pensjonatem Griilparzer”. Matka kończyła właśnie rękopis, który już wkrótce miał odmienić życie ich obojga.

Był sierpień, kiedy Jenny skończyła swoją książkę i oznajmiła, że teraz ona jest gotowa podróżować, a przynajmniej zobaczyć coś z Europy. Może Grecję? - zaproponowała.

- Wybierzmy się gdzieś pociągiem - powiedziała. - Zawsze chciałam się przejechać Orient Expressem. Jak on kursuje?

- Chyba z Paryża do Istambułu - odparł Garp. - Ale to ty się wybierasz, mamó. Ja mam za dużo roboty.

Wet za wet, przyznała Jenny. Miała już tak dosyć „Seksualnie podejrzanej”, że nie była w stanie się zmusić do jeszcze jednej, ostatniej korekty. Nie wiedziała nawet, co z tym fantem zrobić; czy jechać po prostu do Nowego Jorku i wręczyć historię swego życia obcemu człowiekowi? Chciała, żeby Garp przeczytał jej autobiografię, ale widziała, że tym razem on jest pochłonięty pracą; czuła, że nie powinna mu zawracać głowy. A poza tym była niepewna: znaczna część historii jej życia to zarazem historia jego życia - obawiała się, że może być zły.

Przez cały sierpień Garp pracował nad zakończeniem swojego opowiadania „Pensjonat Griilparzer”. Helen, zaniepokojona, napisała do Jenny. „Czy Garp umarł? - zapytywała. - Uprzejmie proszę o wiadomości”. Ta Helen to bystra dziewczyna - pomyślała Jenny. Helen uzyskała bardziej wyczerpującą odpowiedź, niż się

spodziewała. Jenny posłała jej także egzemplarz „Seksualnie podejrzaney” z dopiskiem wyjaśniającym, że tym właśnie zajmowała się przez cały rok, a teraz Garp z kolei coś pisze. Dodała, że będzie wdzięczna Helen za szczerą opinię o rękopisie. Być może - wyraziła nadzieję - ktoś z jej wykładowców wie, co się robi z ukończoną książką.

Dla odprężenia Garp chodził czasem do ZOO; zajmowało ono część wielkich terenów i ogrodów otaczających pałac Schönbrunn. Wyglądało na to, że wiele budynków w ZOO to ruiny z czasów wojny, w trzech czwartych zniszczone; zostały one częściowo odbudowane z myślą o zwierzętach. Garp odniósł w związku z tym niesamowite wrażenie, że wiedeńskie ZOO istniało i w czasie wojny; fakt ten zainteresował go także tym okresem. Wieczorami, przed snem, czytywał różne bardzo specyficzne relacje dotyczące Wiednia z okresu okupacji hitlerowskiej i rosyjskiej. Nie pozostało to bez wpływu na motyw śmierci, jaki nawiedzał go podczas pisania „Pensjonatu Griilparzer”. Garp dokonał odkrycia, że kiedy się coś pisze, wszystko wydaje się kojarzyć ze wszystkim. Wiedeń umierał, ZOO nie zostało tak dobrze odbudowane ze zniszczeń wojennych jak domy, w których mieszkali ludzie; historia miasta jest jak historia rodziny - jest w niej bliskość czy nawet uczucie, ale w końcu śmierć rozdziela ludzi. I tylko dzięki sile pamięci zmarli pozostają na zawsze żywi; sprawą pisarza jest, by jego wyobrażenia miały charakter na tyle osobisty, żeby fikcja miała żywość naszych własnych wspomnień. Garp czuł dziury po pociskach artyleryjskich w kamiennych ścianach hallu mieszkania na Schwindgasse.

Teraz już wiedział, co znaczył sen babki.

Napisał do Helen, że młody pisarz rozpaczliwie potrzebuje z kimś żyć, a on zdecydował, że chce żyć z nią; może się z nią nawet ożenić, zaproponował, ponieważ seks jest po prostu niezbędny, a nieustanne planowanie tych rzeczy zabiera człowiekowi zbyt wiele czasu. Wobec tego, rozumował, lepiej z tym żyć!

Helen przeredagowała kilka listów, zanim mu wreszcie odpowiedziała, że może, jak to się mówi, pocałować ją w nos. Czy on sobie wyobraża, że ona po to tak rygorystycznie traktuje swoje studia, żeby mu zapewnić życie seksualne, którego w dodatku nawet nie trzeba planować?

Ale on ani trochę nie przeredagował swojej odpowiedzi na ten list; napisał, że jest zbyt zajęty pisaniem, żeby tracić czas na wyjaśnianie jej tego wszystkiego; niech przeczyta to, nad czym on obecnie pracuje, a przekona się, jak poważnie myśli.

„Nie wątpię, że myślisz poważnie - odpisała mu Helen. - Ale akurat w tej chwili mam więcej do czytania, niż mi potrzeba”.

Nie powiedziała mu, że ma na myśli książkę Jenny „Seksualnie podejrzana”; rękopis liczył 1158 stron. Chociaż Helen miała się później zgodzić z Garpem, że nie jest to perła literatury, to musiała jednak przyznać, że historia była zajmująca.

Podczas kiedy Garp dokonywał ostatnich pociągnięć pędzla przy swoim znacznie krótszym utworze, Jenny Fields obmyślała następny krok. Na fali podniecenia zakupiła w dużym kiosku amerykańskie pismo, w którym wyczytała, że odważny wydawca z pewnego nowojorskiego wydawnictwa odrzucił właśnie rękopis przysłany mu przez skompromitowanego byłego członka rządu, który został skazany za sprzeniewierzenie rządowych pieniędzy. Owa „fikcja literacka” stanowiła ledwie zawołaną historię żalosnych drobnych matactw politycznych autora. „Jest to obrzydliwa książka - cytowano wydawcę. - Ten facet nie umie pisać. Jakim prawem zresztą miałby robić pieniądze na swoim nędznym życiu?” Książka oczywiście zostanie wydana gdzie indziej i w końcu przyniesie swojemu pożałowania godnemu autorowi i wydawcy kupę pieniędzy. „Czasami czuję, że moim obowiązkiem jest powiedzieć nie - cytowano dalej tego samego wydawcę - nawet jeśli wiem, że ludzie chcą czytać taki chłam”.

„Chłam” doczeka się w końcu kilku poważnych recenzji, jak gdyby to była poważna książka, ale postawa wydawcy, który miał odwagę powiedzieć nie, zrobiła na Jenny tak duże wrażenie, że wycięła sobie ten artykuł. Obwiodła kółkiem jego nazwisko - zupełnie pospolite, jak nazwisko aktora albo jakiegoś zwierzaka w dziecinnej książeczce: John Wolf. W piśmie zamieszczono także zajęcia Johna Wolfa; widać było, że o sobie dba i jest bardzo dobrze ubrany; wyglądał jak wielu, którzy pracują i żyją w Nowym Jorku, gdzie dobrze idące interesy i zdrowy rozsądek składają do tego, żeby o sobie dbać i ubierać się jak najlepiej - ale dla Jenny Fields wyglądał jak anioł. Zostanie jej wydawcą, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Wiedziała, że jej życie nie było „nędzne” i że John Wolf uzna, że zasłużyła na to, żeby zrobić na nim pieniądze.

Garp miał inne ambicje co do „Pensjonatu Grillparzer”. Opowiadanie nigdy nie przyniesie mu pieniędzy, ale najpierw ukaże się w poważnym czasopiśmie, gdzie prawie nikt go nie przeczyta. W wiele lat później, kiedy był już znany, opowiadanie miało zostać wydrukowane z większymi honorami i miało się ukazać kilka pozytywnych wzmianek o nim, ale za życia Garpa „Pensjonat Grillparzer” nie przyniósł mu nawet tyle pieniędzy, żeby starczyło na dobry samochód. Garp jednak oczekiwał po swoim opowiadaniu czegoś znacznie więcej niż pieniędzy czy środka

transportu. Oczekiwał po prostu, że skłoni Helen, żeby z nim żyła - a nawet żeby wyszła za niego za męża.

Kiedy skończył pisać, oświadczył matce, że zamierza wracać do domu, żeby zobaczyć się z Helen; pośle jej egzemplarz opowiadania, tak żeby zdążyła je przeczytać do czasu jego przyjazdu. Biedna Helen, pomyślała Jenny; wiedziała, ile ma do czytania. Jenny niepokoiło też, że Garp nazywa Steering domem, ale miała własne powody, by się zobaczyć z Helen, a Ernie Holm, jak sądziła, też chyba nie będzie miał nic przeciwko ich towarzystwu przez kilka dni. Zresztą był jeszcze zawsze dom rodzinny w Dog's Head Harbor, gdyby chcieli odpocząć czy zrobić plany na przyszłość.

Jenny i Garp byli ludźmi tak obsesyjnie myślącymi, że nie zastanawiali się ani przez moment, dlaczego już wyjeżdżają, skoro tak niewiele zobaczyli z Europy. Jenny spakowała swoje pielęgniarskie stroje. W świadomości Garpa tkwił jeszcze tylko „prezent” Charlotte pozostawiony do uznania Tiny.

Myśl o tym „prezencie” podtrzymywała Garpa w czasie pisania „Pensjonatu Grillparzer”, ale jak miało go doświadczenie nauczyć, wymogi pisania nie zawsze idą w parze z wymogami życia. Wyobraźnia podtrzymywała go, kiedy pisał; teraz, kiedy przestał pisać, zapragnął Tiny. Poszedł jej szukać na Karntaerstrasse, ale kurwa od słoika z majonezem, która mówiła po angielsku, powiedziała mu, że Tina się wyniosła z dzielnicy pierwszej.

- Tak to już jest - stwierdziła Wanga. - Zapomnij o Tinie.

Garp uznał, że może o niej zapomnieć; żądza, jak to matka nazywała, była w tym sensie zdradliwa. A poza tym czas, doszedł do wniosku, złagodził nieco jego odrazę do majonezowej wargi; nagle Wanga zaczęła mu się podobać. Wobec tego wziął ją dwukrotnie, ale jak nieraz miał się w życiu przekonać, pisarzowi, który właśnie skończył jakieś dzieło, wszystko wydaje się rozczarowaniem.

Spędzili w Wiedniu piętnaście miesięcy. Był wrzesień - Garp i Helen mieli zaledwie po dziewiętnaście lat i Helen wkrótce musiała wracać na uczelnię. Jenny i Garp polecili samolotem z Wiednia do Frankfurtu. Nieznacznego mrowienia, jakie Garp odczuwał w całym ciele (zasługa Wangi), powoli ustąpiło. Kiedy myślał o Charlotte, wyobrażał sobie, że powinna być szczęśliwa; ostatecznie nigdy nie musiała się wynosić z dzielnicy pierwszej.

Następnie polecili z Frankfurtu do Londynu; Garp raz jeszcze przeczytał „Pensjonat Grillparzer” i miał nadzieję, że Helen go nie odrzuci. W drodze z Londynu

do Nowego Jorku Jenny przeczytała opowiadanie. W porównaniu z tym, nad czym sama strawiła ponad rok, wydało jej się nieobiecujące. Ale w sprawach literatury nigdy nie miała specjalnie wyrafinowanego smaku; zadziwiła ją natomiast wyobraźnia syna. Znacznie później miała powiedzieć, że „Pensjonat Grillparzer” to według niej typowa historia, jaką mógł wymyślić chłopak bez prawdziwej rodziny.

Być może. Helen miała zaś później powiedzieć, że to właśnie zakończenie „Pensjonatu Grillparzer” daje przedsmak tego, jaki będzie świat według Garpa.

Pensjonat Grillparzer (Zakończenie)

W jadalni pensjonatu Grillparzer stanęliśmy oko w oko z Herr Theobaldem i pozostałą menażerią gości, którzy zepsuli nam wieczór. Wiedziałem (jak nigdy dotychczas), że ojciec zamierza się zdradzić jako szpieg Biura Turystycznego.

- Ludzie, którzy chodzą na rękach! - powiedział.

- Podglądający człowieka przez szparę pod drzwiami WC! - dodała babka.

- O, to ten - wskazałem na małego ponurego mężczyznę przy stole w rogu jadalni czekającego na śniadanie w towarzystwie swoich przybocznych - człowieka od snów i węgierskiego śpiewaka.

- On zarabia w ten sposób na życie - wyjaśnił nam Herr Theobald i, jak gdyby na potwierdzenie jego słów, mężczyzna, który stał na rękach, stanął na rękach.

- Niech pan mu powie, żeby przestał - zażądał ojciec. - My wiemy, że on to potrafi robić.

- Ale czy wiedzieliście państwo, że on nie potrafi inaczej? - zapytał zniechęcony człowiek od snów. - Czy wiedzieliście, że jego nogi są bezużyteczne? On w ogóle nie ma piszczeli. To cudowne, że może chodzić na rękach! Inaczej w ogóle by nie chodził.

- Mężczyzna skinął głową, mimo że musiało mu być bardzo trudno zrobić to w tej pozycji.

- Proszę, niech pan siądzie - powiedziała matka.

- Do kalectwa nie mam żadnych zastrzeżeń - odezwała się śmiało babka. - Ale pan jest człowiekiem złym - rzekła do człowieka od snów. - Wie pan rzeczy, których pan nie ma prawa wiedzieć. Znał mój sen - zwróciła się do Herr Theobalda, jak gdyby zgłaszała mu popełnioną w jej pokoju kradzież.

- Rzeczywiście jest w nim coś złego - przyznał Herr Theobald. - Ale nie zawsze! A poza tym zachowuje się coraz lepiej. Przecież to nie jego wina, że wie takie rzeczy.

- Chciałem po prostu trochę panią rozsupłać - człowiek od snów wyjaśnił

babce. - Pomyślałem sobie, że to pani dobrze zrobi. Ostatecznie pani mąż nie żyje już ładny kawałek czasu i pora, żeby pani przestała się tym snem tak przejmować. Nie pani jedna miała taki sen.

- Proszę przestać! - zażądała babka.

- Ale pani powinna wiedzieć - nalegał człowiek od snów.

- Nie, daj spokój - wtrącił się Herr Theobald.

- Ja jestem z Biura Turystycznego - oznajmił ojciec, prawdopodobnie nie mając nic lepszego do powiedzenia.

- A niech to szlag! - zaklął Herr Theobald.

- To nie jest wina Theobalda - zabrał głos śpiewak. - Wina jest nasza. To ładnie z jego strony, że nas toleruje, chociaż w ten sposób naraża swoją reputację.

- Oni się ożenili z moją siostrą - dodał tonem wyjaśnienia Herr Theobald. - Są moją rodziną. Co mam zrobić w takiej sytuacji?

- Ożenili się z pana siostrą? - zapytała matka.

- Najpierw wyszła za mnie - wtrącił się człowiek od snów.

- A potem usłyszała, jak ja śpiewam - dodał śpiewak.

- Tego żoną nie była nigdy - powiedział Theobald i wszyscy spojrzeli ze współczuciem na człowieka, który chodził tylko na rękach.

- Oni kiedyś stanowili trupę cyrkową - wyjaśnił Theobald - ale mieli kłopoty natury politycznej.

- Byliśmy najlepsi na Węgrzech - oświadczył śpiewak. - Czy może słyszeliście państwo kiedyś o Cyrku Szolnok?

- Obawiam się, że nie - odparł poważnie ojciec.

- Występowaliśmy w Miskolcu, Szegedzie i Debreczynie - rzekł człowiek od snów.

- W Szegedzie dwa razy - uzupełnił śpiewak.

- Gdyby nie Rosjanie, dojechalibyśmy i do Budapesztu - oznajmił człowiek, który chodził na rękach.

- Tak, to Rosjanie pozbawili go kości piszczelowych! - wyrwał się człowiek od snów.

- Powiedz prawdę - wtrącił się śpiewak. - On się urodził bez piszczeli. Ale rzeczywiście z Rosjanami nie mogliśmy wytrzymać.

- Chcieli niedźwiedzia wsadzić do pudła - wyjaśnił człowiek od snów.

- Powiedz prawdę - zażądał Theobald.

- Uratowaliśmy przed nimi jego siostrę - powiedział człowiek, który chodził na rękach.

- W tej sytuacji muszę ich trzymać - rzekł Theobald. - A oni ciężko pracują na życie. Ale kogo w tym kraju interesują ich numery? To sztuka węgierska. Tu nie ma tradycji, jeśli chodzi o jazdę niedźwiedzi na unicyklach. A te cholerne sny dla nas, wiedźniaków, też nie mają żadnego znaczenia.

- Powiedz prawdę - nastawał człowiek od snów. - To dlatego, że opowiadałem niewłaściwe sny. Pracowaliśmy w nocnym klubie na Karntnerstrasse, ale nas stamtąd przepędzili.

- Nie powinieneś był opowiadać im tamtego snu - rzekł poważnie śpiewak.

- To była także wina twojej żony - powiedział człowiek od snów.

- Ona była wtedy twoją żoną - sprostował śpiewak.

- Błagam was, dajcie już spokój! - poprosił Theobald.

- Występujemy na balach dobroczynnych na rzecz chorych dzieci - powiedział człowiek od snów. - I niektórych szpitali państwowych, zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia.

- Powinniście bardziej wykorzystywać niedźwiedzia - poradził im Herr Theobald.

- Porozmawiaj o tym ze swoją siostrą - odparł śpiewak. - To jej niedźwiedź, ona go tresowała, przez nią zrobił się leniwy, niechlujny i nabrał ohydnych zwyczajów.

- On jeden się ze mnie nie wyśmiewa - powiedział człowiek, który chodził tylko na rękach.

- Mam już tego wszystkiego dosyć - oświadczyła babka. - To coś koszmarnego.

- Szanowna pani - zwrócił się do niej Herr Theobald - chcieliśmy tylko wyjaśnić, że nie mamy nic złego na myśli. Czasy są ciężkie. Kategoria B jest mi niezbędnie potrzebna dla przyciągnięcia większej liczby turystów, a ja w swoim sumieniu nie potrafiłbym wyrzucić Cyrku Szolnok.

- W swoim sumieniu, niech go świnia powącha! - wykrzyknął człowiek od snów. - Po prostu boi się swojej siostry. Nawet mu się nie śni nas wyrzucić.

- Gdyby mu się śniło, na pewno byś o tym wiedział! - wykrzyknął człowiek stojący na rękach.

- Boję się tego zwierzaka - przyznał Herr Theobald - zrobi wszystko, co ona mu każe.

- Nie mów o nim „ten zwierzak” - zwrócił mu uwagę człowiek na rękach. - To

bardzo przyzwoity niedźwiedź, nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Wiesz doskonale, że nie ma pazurów, a i zębów niewiele.

- Biedaczysko strasznie się męczy przy jedzeniu - przyznał Herr Theobald. - Jest już dość stary i obrzydliwy.

Przez ramię ojca widziałem, jak zapisuje w swoim wielkim notatniku: „Zidiociały niedźwiedź i bezrobotny cyrk. Siostra gra pierwsze skrzypce w rodzinie”.

W tym momencie na chodniku przed pensjonatem zobaczyliśmy kobietę z niedźwiedziem. Rankiem ruch na ulicy był niewielki. Zgodnie z przepisami trzymała zwierzę oczywiście na smyczy, ale właściwie tylko symbolicznie. Kobieta, w swoim zaskakującym czerwonym turbanie na głowie, chodziła tam i z powrotem za leniwie pedałużącym na unicyklu niedźwiedziem, który bez trudu pokonywał odległość między jednym a drugim zegarem parkingowym, od czasu do czasu jedynie, przy zawracaniu, opierając się łapą o słupek. Widać było, że jest bardzo utalentowanym unicyklistą, ale jednocześnie nie ulegało wątpliwości, że unicykl to dla niego ślepy zaułek, że już nie robi w tej dziedzinie żadnego postępu.

- Powinna go już zabrać z ulicy - powiedział zatroskany Herr Theobald. - Właściciele sąsiadującej z nami ciastkarni skarżą się. Mówią, że niedźwiedź odstrasza im klientów.

- Przeciwnie, on przyciąga klientów! - wykrzyknął człowiek na rękach.

- Jednych przyciąga, drugich odstrasza - wyjaśnił człowiek od snów. Zrobił się nagle ponury, jakby się załamał pod wpływem własnej głębi.

Tak nas frapowały sztuczki Cyrku Szolnok, że zupełnie zapomnieliśmy o starej Johannie. Kiedy matka zobaczyła, że babka popłakuje z cicha, poleciła mi przyprowadzić samochód.

- To przekroczyło jej wytrzymałość - wyszeptał ojciec do Theobalda. Cyrk Szolnok robił wrażenie zawstydzonego.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, podjechał do mnie na unicyklu niedźwiedź i wręczył mi kluczyki; samochód stał zaparkowany przy krawężniku.

- Nie każdy lubi, żeby mu podawano kluczyki w ten sposób - zwrócił uwagę swojej siostrze Herr Theobald.

- Och, pomyślałam sobie, że jemu się to spodoba - odparła mierzwiąc mi włosy. Była ponętna mniej więcej jak barmanka, to znaczy głównie w nocy. W świetle dziennym widać było, że jest starsza od brata, a nawet starsza od obu swoich mężów. Z czasem - pomyślałem - przestanie być dla nich - odpowiednio - kochanką i siostrą, a

zacznie być dla wszystkich matką. Dla niedźwiedzia już jest.

- Podjedź tutaj - poleciła mu. Podjechał apatycznie na wskazane miejsce, przytrzymując się zegara. Oblizwał niewielką szklaną tarczę. Kobieta pociągnęła za smycz. Niedźwiedź spojrział na nią. Pociągnęła ponownie. Niedźwiedź bezczelnie zaczął pedałowac, najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Widząc, że ma widownię, wyraźnie się ożywił, zaczął się popisywać. - Tylko nie próbuj żadnych sztuczek - ostrzegła go, ale niedźwiedź pedałowac coraz szybciej i szybciej, przed siebie i do tyłu, biorąc ostre zakręty i klucząc między zegarami. Kobieta musiała wypuścić z ręki smycz. - Duna, przestań! - krzyknęła, ale straciła już całkowicie panowanie nad niedźwiedziem. W pewnym momencie zwierzę przejechało za blisko krawężnika i rzuciło nim silnie o zderzak zaparkowanego samochodu. Niedźwiedź usiadł na chodniku, koło unicykla. Najwyraźniej nic mu się poważnego nie stało, ale był bardzo zawstydzony i nikt się nie śmiał. - Och, Duna - powiedziała siostra z naganą, ale podeszła i kucnęła przy nim. - Duna, Duna - strofowała go łagodnie. Niedźwiedź potrząsnął swoim wielkim łbem; nie chciał na nią patrzeć. Na sierści, koło pyska, snuła mu się cienka nitka śliny i kobieta wytarła mu ją ręką; niedźwiedź odsunął jej dłoń łapą.

- Zapraszam na przyszłość! - wykrzyknął nieszczęsny Herr Theobald, kiedy wsiedliśmy do samochodu.

Matka siedziała z zamkniętymi oczyma masując sobie palcami skronie; w ten sposób wydawała się nie słyszeć nic z tego, co mówiliśmy. Twierdziła, że to jej jedyna obrona przed taką kłótliwą rodziną.

Nie chciałem już nic mówić, jak to zwykle robiłem, na temat obchodzenia się z naszym samochodem, ale widziałem, że ojciec usiłuje zachować spokój i porządek; miał rozłożony na kolanach swój wielki notatnik, jakbyśmy właśnie zakończyli najnormalniejszą w świecie inspekcję.

- Co mówi licznik? - zapytał.

- Ktoś nawinał trzydzieści pięć kilometrów - odparłem.

- Tu musiał być ten potworny niedźwiedź - oświadczyła babka. - Na tylnym siedzeniu są jego kudły. I czuję smród.

- Ja nic nie czuję - powiedział ojciec.

- I perfumy tej Cyganki w turbanie - dodała babka. - To wszystko unosi się w powietrzu. - Ojciec i ja pociągnęliśmy nosami. Matka nie przestawała masować sobie skroni.

Na podłodze, obok pedałów hamulca i sprzęgła, zobaczyłem kilka zielonych wykałaczek, które węgierski śpiewak miał zwyczaj nosić w kąciku ust jak bliznę. Nie wspomniałem o nich ani słowem. W zupełności wystarczyło wyobrazić sobie ich wszystkich na mieście w naszym samochodzie. Śpiewak za kierownicą, obok niego człowiek na rękach wymachujący przez okno nogami. Zaś z tyłu między człowiekiem od snów a jego była żoną - szorując wielkim łbem o wybitą tapicerką sufit samochodu, z ruchliwymi łapskami spoczywającymi teraz swobodnie na wielkim podolku - stary niedźwiedź rozwalony błogo jak pijaczyna.

- Biedni ludzie - powiedziała matka z ciągle zamkniętymi oczami.

- Kłamcy i kryminaliści - rzekła babka. - Mistycy, uciekinierzy i zdegenerowane zwierzęta.

- Robili, co mogli - dodał ojciec - ale im się nie powiodło.

- Lepiej by im było w ZOO - powiedziała babka.

- Ja tam się świetnie bawiłem - oświadczył Robo.

- Trudno wydostać się z kategorii C - zauważyłem.

- Spadli poniżej Z - warknęła stara Johanna. - Zniknęli z ludzkiego alfabetu.

- Uważam, że sprawa wymaga listu - odezwała się matka.

Ale ojciec uniósł rękę, jakby miał zamiar nas pobłogosławić, więc umilkliśmy. Pisał właśnie w swoim wielkim notatniku i chciał mieć spokój. Jego twarz była surowa. Wiedziałem, że babka jest pewna jego werdyktu. Matka zdawała sobie sprawę, że dyskusja na nic się nie zda. Robo był już znudzony. Ja lawirowałem wśród wąskich uliczek; postanowiłem jechać Spiegelgasse do Lobkowitzplatz. Spiegelgasse jest tak wąska, że widzi się w wystawach sklepowych odbicia światła własnego samochodu, a ja odnosiłem wrażenie, że nasza przejażdżka po Wiedniu to jak gdyby przenikanie się obrazów - (coś w tym rodzaju) - jak zdjęcia trikowe w filmie, a my jakbyśmy odbywali bajkową podróż po mieście lalek.

Kiedy babka już zasnęła w samochodzie, matka powiedziała: - Nie sądzę, żeby w tym przypadku zmiana kategorii miała jakiegokolwiek znaczenie.

- Nie, rzeczywiście, żadnego - zgodził się z nią ojciec. Trudno mu było odmówić racji, aczkolwiek miały minąć lata, zanim po raz drugi udało mi się zobaczyć Grillparzer.

Kiedy umarła babka, nagle i we śnie, matka oznajmiła, że ma dosyć podróżowania. Prawdziwą przyczyną tej decyzji był jednak fakt, że to ją teraz zaczął

nawiedzać sen babki.

- Konie są takie chude - powiedziała mi kiedyś. - To znaczy ja wiedziałam, że one będą chude, ale przecież nie do tego stopnia. A rycerze... cóż, też wiedziałam, że będą wynędzniali, ale nie aż tak.

Ojciec rzucił pracę w Biurze Turystycznym i przeniósł się do miejscowej agencji detektywistycznej specjalizującej się w hotelach i domach towarowych. Był z tej odmiany zadowolony, chociaż odmawiał pracy w okresie świąt Bożego Narodzenia, kiedy, jak twierdził, niektórym ludziom należy pozwolić na małe kradzieże.

Moi rodzice w miarę starzenia się jak gdyby łagodnieli i wydaje mi się, że pod koniec byli chyba zupełnie szczęśliwi. Potęgę snu babki przyćmiły fakty życia, a w szczególności to, co stało się z Robo. Robo poszedł do szkoły prywatnej i był tam nawet bardzo lubiany, ale zginął od bomby domowej roboty na pierwszym roku uniwersytetu. Nie zajmował się nawet polityką. W swoim ostatnim liście do rodziców pisał: „Brak dystansu do siebie wśród radykalnych ugrupowań studenckich jest w znacznym stopniu przeceniany. A poza tym jedzenie jest obrzydliwe”. Potem Robo poszedł na wykład z historii i jego sala wyleciała w powietrze.

Po śmierci rodziców przestałem palić i zacząłem znów podróżować. Swoją drugą żonę zabrałem do pensjonatu Grillparzer, z pierwszą nie dojechałem nawet do Wiednia.

Grillparzer nie utrzymał długo kategorii B, którą zawdzięczał ojcu, a w czasach kiedy tam byłem po raz drugi, wymykał się już wszelkiej klasyfikacji. Zarządzała nim siostra Herr Theobalda. Jej wyzywający urok przeminał, ustępując miejsca pozbawionemu seksu cynizmowi typowemu dla niektórych starych panien. Zrobiła się zupełnie bezkształtna, a włosy farbowała na jasny brąz, tak że jej głowa przypominała miedziany druciak do czyszczenia garnków. Nie pamiętała mnie i odnosiła się podejrzliwie do moich pytań. Myślała zapewne, że skoro tak dużo wiem na temat jej dawnych przyjaciół, to pracuję w policji.

Węgierski śpiewak poszedł sobie uwiódłszy swoim głosem inną kobietę. Człowieka od snów zabrano do szpitala dla wariatów. Jego własne sny przerodziły się w koszmary i co noc stawiał na nogi cały pensjonat swoimi przeraźliwymi wrzaskami. Jego usunięcie z tego zwariowanego miejsca, powiedziała siostra Theobalda, było niemal równoczesne z utratą kategorii B przez pensjonat.

Herr Theobald nie żył. Upadł w korytarzu trzymając się za serce, kiedy pewnej nocy podchodził, jak mu się wydawało, złodzieja. Ale był to tylko Duna, wiecznie

niezadowolony niedźwiedź, ubrany w prążkowany garnitur człowieka od snów. Dlaczego siostra pana Theobalda przebrała w ten sposób niedźwiedzia, nikt mi nie umiał wyjaśnić, w każdym razie widok ponurego bydlaka, pedaającego na unicyklu w ciuchach po wariacie, wystarczył, żeby śmiertelnie przestraszyć Herr Theobalda.

Człowiek, który chodził tylko na rękach, też wpadł w poważne kłopoty. Zahaczył się zegarkiem o wrąbek schodów ruchomych i nie mógł w porę zeskoczyć; krawat, którego rzadko używał, ponieważ włókł mu się po ziemi, wkręcił się w schody na samym końcu i go po prostu udusił. Za nim uformowała się kolejka ludzi, którzy dreptali w miejscu - krok do tyłu, trochę do przodu i znów krok do tyłu. Trwało dosyć długo, zanim znalazł się ktoś, kto zebrał się na odwagę i przeszedł nad nim. Świat jest pełen niezamierzenie okrutnych mechanizmów zgubnych dla ludzi, którzy chodzą na rękach.

Po tym wszystkim, wyznała mi siostra Theobalda, pensjonat Grillparzer spadł z klasy C jeszcze niżej. W miarę jak obowiązki zarządzania absorbowały ją coraz bardziej, miała coraz mniej czasu dla Duny i niedźwiedź popadał w starczą demencję nabierając coraz gorszych obyczajów. Kiedyś pogonił listonosza po marmurowych schodach z taką szybkością, że mężczyzna przewrócił się i złamał nogę w stawie biodrowym. Doniesiono o tym władzom i wyegzekwowano stare zarządzenie władz miejskich zabraniające trzymania na swobodzie zwierząt w miejscach publicznych. Duna został uwięziony w pensjonacie Grillparzer.

Przez jakiś czas siostra Theobalda trzymała go w klatce na dziedzińcu, ale tam drażniły go psy i dzieci, a z pokoi wychodzących na tę stronę wrzucano mu do klatki jedzenie (i gorsze rzeczy). Duna zatracił swoje niedźwiedzie obyczaje, zrobił się złośliwy - udawał na przykład, że zapada w sen - i zjadł komuś większą część kota. Po tej historii dwukrotnie próbowano go otruć, w wyniku czego niedźwiedź odmówił przyjmowania jakichkolwiek pokarmów w tym niebezpiecznym otoczeniu. Nie pozostawało nic innego, jak tylko oddać go do ZOO Schönbrunn, ale zachodziła wątpliwość, czy go przyjmą. Bezzębny i chory, może nawet zakaźnie, a poza tym długo traktowany jak człowiek nie był przystosowany do życia w znacznie łagodniejszych warunkach ogrodu zoologicznego.

Pomieszczenie, w którym sypiał na dziedzińcu pensjonatu Grillparzer, przyczyniło się do zaostrzenia jego dolegliwości reumatycznych, przez co bezpowrotnie stracił swoją jedyną umiejętność, jaką była jazda na unicyklu. Kiedy po raz pierwszy spróbował tej sztuczki w ZOO, natychmiast się przewrócił. Ktoś zaczął

się śmiać. A wystarczyło, by raz ktoś się roześmiał z tego, co Duna robi, wyjaśniła siostra Theobalda, żeby niedźwiedź więcej tego nie powtórzył. Stał się w końcu przedmiotem ogólnego politowania na terenie Schönbrunn, gdzie umarł w niespełna dwa miesiące od przeprowadzki. Zdaniem siostry Theobalda Duna umarł w wyniku upokorzenia - dostał bowiem wysypki rozsianej po całej jego potężnej piersi, którą w konsekwencji trzeba było ogolić. Ogolony niedźwiedź, jak się wyraził ktoś z członków zarządu ZOO, potrafi się zawstydzic na śmierć.

Stojąc na zimnym dziedzińcu pensjonatu patrzyłem na pustą klatkę po niedźwiedziu. Ptaki nie zostawiły nawet jednej pestki, ale w rogu wznosiła się góra skamieniałych niedźwiedzich odchodów - tak wyzuty z wszelkiego życia, a nawet odoru jak trupy w dotkniętej kataklizmem Pompei. Nie mogłem się oprzeć myśli o Robo; z niedźwiedzia zostało mimo wszystko więcej.

W samochodzie dokonałem następnego przygnębiającego odkrycia: licznik nie wskazywał ani o kilometr więcej, nikt nie przejechał po kryjomu ani jednego kilometra. Nie było już nikogo, kto mógłby sobie na takie rzeczy pozwolić.

- Jak tylko znajdziemy się w bezpiecznej odległości od twojego ukochanego pensjonatu Grillparzer - powiedziała moja druga żona - chciałabym, żebyś mi wyjaśnił, po co mnie przywiozłeś w to obskurne miejsce.

- To długa historia - przyznałem.

Wydawało mi się, że w opowieściach siostry Theobalda o życiu zauważyłem dziwny brak i entuzjazmu, i goryczy. Snuła swoją historię beznamiętnie jak gawędziarz przyzwyczajony do nieszczęśliwych zakończeń, jak gdyby w jej życiu czy w jej towarzyszach nigdy nie było dla niej nic egzotycznego - jak gdyby zawsze dokonywali absurdalnych i beznadziejnych prób awansowania do wyższej kategorii.

Rozdział VII

Jeszcze o żądzy

No i wyszła za niego za mąż; zrobiła to, o co prosił. Helen uznała, że jak na początek opowiadanie jest zupełnie dobre. Staremu Tinchowi też się podobało.

- Jest nasycone atmosferą o-o-obłądu i smutku - powiedział Garpowi. Poradził mu też, żeby wysłał „Pensjonat Grillparzer” do jego ulubionego czasopisma. Garp czekał trzy miesiące na taką odpowiedź:

„Opowiadanie jest zaledwie średnio interesujące, a poza tym nie wnosi nic nowego ani w dziedzinie języka, ani formy. Niemniej dziękujemy za udostępnienie nam tekstu”.

Garp był zakłopotany; pokazał odmowę Tinchowi. Tinch też był zakłopotany.

- Widocznie interesuje ich jakaś n-n-nowsza proza - powiedział.

- A na czym to polega? - zapytał Garp.

Tinch przyznał, że właściwie nie wie.

- Nowa proza kładzie chyba nacisk na język i f-f-formę - powiedział. - Ale tak naprawdę to nie wiem, czym się zajmuje. Czasami s-s-samą sobą, wydaje mi się.

- Samą sobą? - zdziwił się Garp.

- Rodzaj powieści o p-p-powieści - wyjaśnił Tinch.

Garp w dalszym ciągu nie rozumiał, o co chodzi, ale dla niego było ważne, że opowiadanie podobało się Helen.

Niemal piętnaście lat później, po opublikowaniu przez Garpa trzeciej powieści, ten sam redaktor ulubionego pisma Tinha miał napisać do Garpa list. List ogromnie pochlebny w stosunku do autora i do jego pracy i zawierający prośbę, aby Garp przesłał coś ze swoich najnowszych rzeczy do ulubionego pisma Tinha. Ale S. T. Garp był pamiętliwy i zapalczywy jak borsuk. Znalazł stary list odrzucający „Pensjonat Grillparzer”, w którym określono opowiadanie jako „zaledwie średnio interesujące”; list był tak pozalewany kawą, że aż zrobił się sztywny, i tyle razy składany, że na zagięciach się poprzedzierał, ale Garp dołączył go do odpowiedzi, jaką wystosował do redaktora ulubionego pisma Tinha. Odpowiedź Garpa brzmiała:

„Uważam pismo Państwa za zaledwie średnio interesujące, a poza tym w dalszym ciągu nie dokonałem niczego nowego ani w dziedzinie języka, ani formy. Niemniej dziękuję za propozycję”.

Garp miał głupią osobowość - czepiał się pamięcią wszystkich obelg i odmów dotyczących jego utworów. Całe szczęście, że Helen miała swoją własną silną osobowość, gdyby bowiem nie ceniła siebie wysoko, prawdopodobnie znienawidziłaby Garpa. A tak byli szczęśliwi. Wiele par żyje ze sobą i dopiero po jakimś czasie odkrywa, że się nie kochają; niektóre pary nigdy nie robią takiego odkrycia. Inni pobierają się i ta wiadomość dociera do nich często w zupełnie nieodpowiednim momencie życia. Co się tyczy Garpa i Helen, prawie się nie znali, ale mieli do siebie nosa - uparcie i z premedytacją pokochali się w jakiś czas po ślubie.

Może dlatego, że jedno i drugie było tak pochłonięte własną karierą, nie analizowali nadmiernie swojego wzajemnego stosunku. Helen zrobiła dyplom w dwa lata po wstąpieniu na uniwersytet; tytuł doktora w dziedzinie literatury angielskiej uzyskała w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat, a pierwszą pracę - adiunkta w college'u dla dziewcząt - w rok później. Garpowi napisanie pierwszej powieści zajęło pięć lat, ale miała to być dobra powieść, której zawdzięczał zupełnie niezłą opinię jak na młodego pisarza - mimo że nie przyniosła mu pieniędzy. Ale wtedy Helen pracowała na nich oboje. Przez cały czas, kiedy Helen się uczyła, a Garp pisał, utrzymywała ich Jenny.

Książka Jenny okazała się znacznie bardziej zaskakująca dla Helen niż dla Garpa, który bądź co bądź wychowywał się z matką i nie był zdziwiony jej ekscentrycznością; przywykł do niej po prostu. Dla niego zaskakujące było powodzenie autobiografii Jenny; nie spodziewał się też, że on sam zostanie znaną postacią, głównym bohaterem czyjejs książki jeszcze zanim napisał swoją własną.

Wydawca, John Wolf, miał nigdy nie zapomnieć tego ranka, kiedy po raz pierwszy w jego wydawnictwie zjawiała się Jenny Fields.

- Jakaś pielęgniarka do pana - oznajmiła sekretarka przewracając oczami, jakby ktoś ścigał jej szefa o ojcostwo. John Wolf i jego sekretarka nie mogli wiedzieć, że teczka Jenny jest taka ciężka z powodu maszynopisu, który liczył 1158 stron.

- To jest o mnie - powiedziała Jenny otwierając teczkę i wyładowując maszynopis na biurko. - Kiedy pan może to przeczytać? - John Wolf odniósł wrażenie, że kobieta domaga się, żeby przeczytał książkę na poczekaniu. Rzucił okiem na

pierwsze zdanie („Na tym sprośnym świecie...”) i pomyślał: o rany, jak ja się tego pozbędę.

Później oczywiście popadł w panikę, kiedy nie mógł znaleźć jej numeru telefonu, żeby powiedzieć, że - tak! - oczywiście, że zamierza to wydać! Skąd miał wiedzieć, że Jenny Fields była gościem Erniego Holma w Steering, gdzie co wieczór do późnej nocy wiedli długie rozmowy (zwykle rodzicielskie problemy, kiedy dwoje dziesiętnastolatków zamierza się pobrać).

- Gdzie oni tak chodzą co wieczór? - pytała Jenny. - Wracają o drugiej albo o trzeciej, a wczoraj padało. Lało całą noc, a oni nawet nie mają samochodu.

Chodzili do sali zapaśniczej. Helen oczywiście miała klucz. A mata była wygodna i swojska jak łóżko. Za to dużo większa.

- Mówią, że chcą mieć dzieci - narzekał Ernie. - A Helen powinna skończyć studia.

- Przy dzieciach Garp nigdy nie skończy książki. - Mimo wszystko pomyślała, że sama musiała czekać osiemnaście lat na to, żeby swoją zacząć.

- Oboje są pracowici - powiedział Ernie, chcąc uspokoić siebie i Jenny.

- Muszą - odparowała Jenny.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogą po prostu być ze sobą - rzekł Ernie. - I jeśli próba się powiedzie, to dopiero niech się pobierają. Wtedy będzie czas na dziecko.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie chcą ze sobą być - powiedziała Jenny Fields.

Ernie poczuł się z lekka urażony.

- Jak to, przecież ty chcesz być z Garpem, a ja chcę być z Helen. Naprawdę mi jej brak, kiedy jest na uczelni.

- To wszystko żądza - powiedziała Jenny złowieszczo. - Świat jest opętany żądzą.

Ernie zaniepokoił się o nią na serio; nie wiedział, że już wkrótce stanie się sławna i bogata.

- Może byś się napiła piwa? - spytał.

- Nie, dziękuję - odparła Jenny.

- To dobre dzieci - przypomniał jej Ernie.

- Ale w końcu na wszystkich przychodzi żądza - powiedziała Jenny posępnie i Ernie dyskretnie wyszedł do kuchni i otworzył jeszcze jedno piwo dla siebie.

Najbardziej krępujący okazał się dla Garpa rozdział „Seksualnie podejrzanej” poświęcony właśnie żądzy. Co innego być sławnym dzieckiem urodzonym z

małżeństwa, a co innego sławną historią młodzieńczych intymnych pragnień, które stają się publiczną własnością. Helen uważała to za bardzo zabawne, chociaż wyznała, że nie rozumie jego pociągu do prostytutek.

„Żądza sprawia, że najprzyczoitsi ludzie przestają być sobą” - pisała Jenny Fields. To zdanie szczególnie rozwścieczyło Garpa.

- Cóż ona do diabła może na ten temat wiedzieć?! - wrzasnęła. - Ona nigdy tego nie odczuwała. Nigdy w życiu. Dopiero mi autorytet! To tak, jakby roślina wypowiadała się o mechanizmach działań ssaków!

Ale inni recenzenci byli łaskawszy dla Jenny. I chociaż poważniejsze pisma besztwały ją od czasu do czasu, to jednak środki masowego przekazu, ogólnie rzecz biorąc, ciepło odniosły się do jej książki. „Pierwsza autobiografia napisana z prawdziwie feministycznego punktu widzenia w tym samym stopniu gloryfikująca jeden styl życia, co potępiająca inny” - ktoś napisał. „Ta śmiała książka lansuje bardzo ważną tezę, że kobieta może mieć pełne życie bez jakichkolwiek związków natury seksualnej” - napisał ktoś inny.

- W dzisiejszych czasach - John Wolf ostrzegł Jenny - albo krytyka traktuje książkę jako właściwy głos we właściwym czasie, albo ją całkowicie lekceważy jako niewypał. Książka Jenny została przyjęta jako właściwy głos we właściwym czasie. Siedząc jednak w białym pielęgniarskim stroju w restauracji, do której John Wolf zapraszał tylko swoich ulubionych autorów, Jenny poczuła się nieswojo wobec słowa feminizm. Nie była pewna, co ono znaczy, albo samo jego brzmienie kojarzyło jej się z kobiecą higieną osobistą i kuracją Valentine'a. Ostatecznie z zawodu była pielęgniarką. Powiedziała więc nieśmiało, że tylko dokonała właściwego, jak jej się wydaje, wyboru co do sposobu życia, a że ten wybór nie jest specjalnie popularny, była zmuszona powiedzieć coś na jego obronę. O ironio, cała gromada młodych kobiet z Uniwersytetu Stanowego Florydy w Tallahassee uznała wybór Jenny za bardzo popularny; wywołały nawet pewną kontrowersję swoimi zaplanowanymi ciążami. Przez pewien czas w Nowym Jorku ten syndrom był nazywany przez niezależnie myślące kobiety „popadaniem w fieldyzm”. Ale dla Garpa było to zawsze popadanie w grillparzeryzm. Co do Jenny, uważała, że kobieta - na równi z mężczyzną - powinna mieć przynajmniej prawo do świadomego decydowania o swoim życiu; jeśli to oznacza feminizm, powiedziała, to owszem, jest feministką.

John Wolf polubił Jenny bardzo i jak mógł ostrzegł ją przed niezrozumieniem zarówno ataków na jej autobiografię, jak i pochwał. Ale Jenny i tak nigdy w pełni nie

pojęła, jak bardzo polityczna była to książka ani tego, że może zostać wykorzystana jako taka.

- Jestem z wykształcenia pielęgniarzką - powiedziała później w jednym ze swoich rozbijających wywiadów. - Pielęgniarstwo było pierwszym zawodem, który polubiłam i który chciałam wykonywać. Niesienie pomocy ludziom chorym, którzy nie mogą sobie sami pomóc, wydało mi się po prostu zajęciem szczególnie praktycznym dla kogoś, kto jest zdrowy - a ja zawsze byłam zdrowa. I taka jest również intencja mojej książki.

Zdaniem Garpa jego matka nigdy nie przestała być pielęgniarzką. Pielęgnowała go przez całą szkołę Steering. Odegrała rolę sumiennej akuszerki w stosunku do dziwnej historii własnego życia; wreszcie została pielęgniarzką wielu kobiet z problemami poszukujących jej rady; słynnym uosobieniem siły. Nagły sukces „Seksualnie podejrzanej” Jenny Fields ujawnił bowiem rzesze kobiet postawionych wobec wyboru stylu życia - poczuły się one zachęczone jej przykładem podejmowania niepopularnych decyzji.

Mogłaby redagować kącik porad w dowolnym piśmie, ale w obecnej chwili Jenny Fields skończyła z pisaniem, tak jak już kiedyś skończyła z nauką i - z Europą. W jakiś sposób jednak nigdy nie skończyła z pielęgniarstwem. Jej ojciec, król obuwia, dogłębnie wstrząśnięty zmarł na atak serca wkrótce po opublikowaniu „Seksualnie podejrzanej” i chociaż matka Jenny nigdy nie obciążała tą tragedią książki - a i Jenny również nie poczuwała się do winy - to jednak Jenny wiedziała, że matka nie może być sama. Odwrotnie niż córka - miała nawyk życia z kimś; była już stara i Jenny wyobrażała sobie, jak tłucze się po swoim wielkim domu w Dog's Head Harbor, zupełnie bez celu, pozbawiona resztek zdrowego rozsądku w nieobecności swojego partnera.

Jenny zajęła się więc matką i właśnie w wielkim rodzinnym domostwie w Dog's Head Harbor zapoczątkowała poradnictwo dla kobiet, które szukały wsparcia w jej praktycznej umiejętności podejmowania decyzji.

- Nawet niesamowitych decyzji - jęczał Garp, ale sam był szczęśliwy i zadbany. Niemal natychmiast urodziło im się dziecko. Chłopiec imieniem Duncan. Garp często żartował, że to właśnie przez Duncana jego pierwsza powieść miała takie krótkie rozdziały. Pisał bowiem w przerwach pomiędzy karmieniem, spaniem i przewijaniem.

„Była to powieść krótkich odcinków - powiedział później. - A zasługa należała wyłącznie do Duncana”. Helen codziennie chodziła na uczelnię; zgodziła się na

dziecko tylko pod warunkiem, że Garp się nim zajmie. Garpowi bardzo odpowiadała idea siedzenia w domu. Pisał i zajmował się Duncanem; gotował i pisał, i znów zajmował się Duncanem. Helen wracała do całkiem zadowolonego strażnika domowego ogniska. Jak długo Garp robił postępy w pisaniu, żadne obowiązki, obojętne jak bezmyślne, nie były w stanie wyprowadzić go z równowagi. Prawdę powiedziawszy, im bardziej były one bezmyślne, tym lepiej. Na dwie godziny dziennie zostawiał Duncana pod opieką kobiety, która mieszkała pod nimi; szedł wtedy do hali sportowej. Później stał się osobliwością żeńskiego college'u, w którym uczyła Helen, biegając bez końca wokół pola hokejowego albo po pół godziny skacząc ze skakanką w kącie sali gimnastycznej. Brakowało mu zapasów i narzekał, że Helen nie przyjęła pracy na jakiejś uczelni, gdzie byłaby drużyna zapaśnicza. Helen narzekała, że wydział anglistyki jest za mały i że nie ma mężczyzn wśród słuchaczy, ale praca była w sumie dobra i postanowiła się jej trzymać, dopóki nie trafi się coś lepszego.

Wszystko w Nowej Anglii jest przynajmniej blisko. Bo musieli przecież odwiedzać Jenny na wybrzeżu i Erniego w Steering. Garp zabierał Duncana do sali zapaśniczej w Steering i tam go dosłownie turlał jak piłkę.

- Tutaj twój tata walczył - powiedział mu kiedyś.

- Tutaj twój tata robił wszystko - uzupełniła Helen mając oczywiście na myśli poczęcie Duncana i swoją pierwszą deszczową noc z Garpem w zamkniętej pustej Hali Sportowej Seabrooka na ciepłych czerwonych matach rozciągających się od ściany do ściany.

- No, wreszcie mnie dopadłeś - szepnęła mu wtedy ze łzami, ale Garp leżał rozkrzyżowany na macie zastanawiając się, kto właściwie dopadł kogo.

Po śmierci matki Jenny odwiedzała ich częściej, chociaż Garp nie lubił tego, co nazywał jej entourage'em. Jenny mianowicie podróżowała z grupką najbardziej zagorzałych wielbicielek albo z przypadkowymi postaciami, które uważały się za uczestniczki tak zwanego ruchu kobiecego; często chodziło im o poparcie albo rekomendację. Nieraz była jakaś sprawa czy akcja, która domagała się jej białego pielęgniarskiego stroju na mównicy, chociaż Jenny rzadko mówiła dużo i długo.

Zwykle po cudzych przemówieniach przedstawiano autorkę „Seksualnie podejrzanej”. W sakramentalnym pielęgniarskim stroju łatwo ją było poznać. W wieku pięćdziesięciu lat Jenny Fields zachowała dobrą sportową sylwetkę, była czerstwa i niezbyt urodziwa. Wstawała i mówiła: „To jest słuszne” albo czasami „Nie,

to jest niesłuszne" - zależnie od okoliczności. Postawiona nieraz wobec trudnego wyboru podejmowała własne życiowe decyzje i można było na niej polegać, że w sprawach kobiecych stanie po właściwej stronie.

Dorobiona do tego wszystkiego motywacja przyprawiała Garpa o trwające po wiele dni ataki wściekłości. Redaktorka jednego z pism kobiecych zapytała go, czy mógłby udzielić jej wywiadu jako syn słynnej feministki. Kiedy odkryła, jak wygląda życie, które sobie wybrał, i rolę „gospodyni domowej”, w jakiej występował, według jej żartobliwego określenia, Garp zaatakował ją ostro.

- Robię to, na co mam ochotę - powiedział. - I proszę nie wymyślać na to żadnej nazwy. Robię to, na co mam ochotę, i moja matka nigdy nie robiła nic innego - tylko to, na co miała ochotę ona.

Redaktorka naciskała: twierdziła, że jest rozgoryczony. Oczywiście - powiedziała - niełatwo być nieznanym pisarzem, będąc zarazem synem kobiety, której książkę zna cały świat. Garp odparował, że przykro jest być jedynie nie zrozumianym i że on nie zazdrości swojej matce sukcesu, a tylko nie lubi jej niektórych nowych przyjaciółek. „Tych pasożytów, które z niej żyją” - jak się wyraził.

W artykule zamieszczonym w piśmie kobiecym podkreślono, że Garp też żyje ze swojej matki, i to bardzo wygodnie, i że nie ma najmniejszego prawa potępiać ruchu kobiecego. Wtedy po raz pierwszy Garp spotkał się z określeniem „ruch kobiecy”.

W parę dni później odwiedziła go Jenny; była z nią jedna z jej bojówkarek, jak je nazywał Garp: wielka, milcząca, ponura baba, która stała przyczajona w drzwiach i nie chciała zdjąć płaszcza. Przyglądała się czujnie małemu Duncanowi, jak gdyby z wyraźnym obrzydzeniem oczekiwała momentu, kiedy dzieciak jej dotknie.

- Helen jest w bibliotece - wyjaśnił Garp. - A ja się właśnie wybierałem z Duncanem na spacer. Pójdiesz z nami? - Jenny spojrzała pytająco na wielkie babsko; kobieta wzruszyła ramionami. Garp uważał, że największą słabością Jenny od czasu jej sukcesu było to, że wedle jego słów, dała się wykorzystywać wszystkim upośledzonym i niepewnym kobietom, które żałowały, że to nie one napisały „Seksualnie podejrzana” albo coś równie wziętego.

Garpa złościło, że we własnym mieszkaniu sterczy zastraszonej przez milczącą towarzyszkę matki, kobietę tak wielką, że z powodzeniem mogłaby być gorylem Jenny. A może właśnie jest, pomyślał. Oczyma wyobraźni ujrzał matkę w eskorcie potężnej lesbii - zawziętej morderczynie, do której obowiązków należała ochrona

białego stroju Jenny przed łapami mężczyzn.

- Czy coś jest nie w porządku z językiem tej kobiety, mamó? - spytał Garp szeptem. Wyniosłe milczenie olbrzymki działało mu na nerwy; Duncan usiłował nawiązać z nią rozmowę, ale kobieta przygważdżała go tylko spojrzeniem. Jenny spokojnie poinformowała Garpa, że kobieta nie mówi, ponieważ nie ma języka. Dosłownie.

- Ma obcięty - wyjaśniła.

- Jezu - szepnął Garp. - Jak to się stało?

Jenny przewróciła oczami; zwyczaj, którego nabyła od swojego syna.

- Ty chyba zupełnie nic nie czytasz - stwierdziła. - Nigdy ci nie zależało, żeby być na bieżąco i wiedzieć, co się dzieje na świecie. - To, co się dzieje na świecie, nigdy zdaniem Garpa nie było tak ważne, jak to, co się działo w jego wyobraźni, a więc to, nad czym pracował. Jedną z rzeczy, które go najbardziej drażniły u matki od czasu, kiedy ruch kobiecy ją dosłownie zaanektował, było wieczne omawianie „spraw aktualnych”.

- Aha, to jest właśnie „sprawa aktualna”, tak? - zapytał. - Słynny wypadek z językiem, o którym powinienem słyszeć?

- O Boże - westchnęła Jenny znużona. - Żaden słynny wypadek. To było całkowicie rozmyślne.

- Mamó, czy chcesz powiedzieć, że ktoś obciął tej kobiecie język?

- Dokładnie - odpowiedziała Jenny.

- Jezus - jęknął Garp.

- Nigdy nie słyszałeś o Ellen James? - spytała Jenny.

- Nie - przyznał.

- Powstało już nawet stowarzyszenie takich kobiet - poinformowała go Jenny - z powodu tego, co przytrafiło się Ellen James.

- A co jej się takiego przytrafiło? - spytał Garp.

- Kiedy miała jedenaście lat, zgwałciło ją dwóch mężczyzn - wyjaśniła Jenny. - A potem obcięli jej język, żeby nikomu nie mogła powiedzieć, kim byli ani jak wyglądali. Tym głupcom nie przyszło do głowy, że jedenastoletnie dziecko umie pisać. Ellen James podała na piśmie bardzo dokładny rysopis tych mężczyzn, których schwytano i skazano. W więzieniu ktoś ich zamordował.

- Aha. I to jest właśnie Ellen James? - szepnął spoglądając na dużą milczącą kobietę z nowym zupełnie szacunkiem.

Jenny znów przewróciła oczami.

- Nie, ona jest członkinią Stowarzyszenia Miłośniczek Ellen James. Ellen James to w dalszym ciągu dziecko. Delikatna mała blondyneczka.

- Czy chcesz powiedzieć, że członkinie tego stowarzyszenia nie mówią - spytał Garp - tak jakby to one nie miały języków?

- Nie, chcę powiedzieć, że one nie mają języków - wyjaśniła Jenny. - Członkinie tego stowarzyszenia mają obcięte języki. Na znak protestu przeciwko temu, co spotkało Ellen James.

- O rany - Garp spojrział na olbrzymkę z nową niechęcią.

- One się nazywają jamesjanki - wyjaśniła Jenny.

- Nie chcę więcej słuchać tych bzdur, mamó - uciał Garp.

- No więc ta kobieta to jest właśnie jamesjanka, chciałeś przecież wiedzieć.

- Ile lat ma teraz Ellen James? - zapytał Garp.

- Dwanaście. To się stało zaledwie rok temu.

- A te jamesjanki, czy one mają swoje zebrania i wybierają na nich prezesów i skarbników, i tego rodzaju historie?

- Dlaczego nie zapytasz jej? - Jenny wskazała sterczącą w drzwiach debilkę. - Przecież powiedziałeś, że nie chcesz więcej o tym słyszeć.

- Jak mogę ją spytać, skoro nie ma języka? - syknął Garp.

- Ona pisze - powiedziała Jenny. - Wszystkie jamesjanki noszą przy sobie małe notatniki, w których piszą to, co chcą powiedzieć. Wiesz, na czym polega pisanie, prawda?

Na szczęście wróciła Helen.

Garp miał się jeszcze zetknąć z większą liczbą jamesjanek, ale chociaż wstrząsnęło nim to, co spotkało Ellen James, to jednak w stosunku do jej dorosłych zgorzkniałych naśladowniczek, które miały zwyczaj wręczania bilecików, odczuwał tylko niesmak. Na bilecikach był mniej więcej taki tekst: „Cześć, jestem Marta. Jestem jamesjanką. Czy wiesz, co to są jamesjanki?”

A jeśli pytany nie wiedział, dostawał drugi bilecik.

Dla Garpa jamesjanki były kobietami, które stawiały jego matkę na piedestale po to, żeby ją wykorzystać w walce o swoje prymitywne cele.

- Ja ci coś powiem na temat tych kobiet, mamó - powiedział kiedyś do Jenny. - Najprawdopodobniej one wszystkie nie umiały się wyjęzyczyć. Zapewne nigdy w życiu nie miały i tak nic ciekawego do powiedzenia, więc wyrzeczenie się języka nie jest

wielką ofiarą z ich strony. W gruncie rzeczy pewnie oszczędza im to wielu kłopotliwych sytuacji. O ile rozumiesz, co mam na myśli.

- Widzę, że brak ci współczucia - powiedziała Jenny.

- Owszem, mam wiele współczucia dla Ellen James - odparł Garp.

- Te kobiety same musiały cierpieć w inny sposób - oświadczyła Jenny. - Dlatego chcą być bliżej siebie.

- I jeszcze przysporzyć sobie cierpienia, tak, mam?

- Gwałt to problem wszystkich kobiet.

Garp szczególnie nie znosił „wszystkoizmu” matki. Uważał, że jest to przykład posuwania demokracji do idiotycznej skrajności.

- Jest to również problem wszystkich mężczyzn, mam? Następnym razem, kiedy dojdzie do jakiegoś gwałtu, odetnę sobie kutasa i zawieszę na szyi. Czy i ta postawa zyska twój szacunek?

- Mówimy o szczerych odruchach - powiedziała Jenny.

- Mówimy o głupich odruchach - powiedział Garp.

Miał jednak na zawsze zapamiętać swoją pierwszą jamesjanę - wielką babę, która przysłała do niego wtedy z matką; kiedy wychodziła, wetknęła mu do ręki zapisany świstek, jakby to był napiwek.

- Mama ma nowego goryla - szepnął do Helen, kiedy machali im na pożegnanie. Potem przeczytał kartkę: „Twoja matka jest warta dwóch takich jak ty”.

Ale nie miał prawa narzekać na matkę; przez pierwsze pięć lat jego małżeństwa z Helen Jenny płaciła za nich wszystkie rachunki.

Garp żartował, że zatytułował swoją pierwszą powieść „Kunktatorstwo”, ponieważ jej pisanie zajęło mu tak wiele czasu, ale pracował nad nią systematycznie i starannie; Garp rzadko bywał kunktatorem.

Powieść została zakwalifikowana jako historyczna. Miejscem akcji był Wiedeń w latach wojny 1938-1945 i podczas okupacji rosyjskiej. Główny bohater to młody anarchista, który po Anschlussie musi się przycisnąć: wyczekuje odpowiedniego momentu, żeby zadać hitlerowcom decydujący cios. Czeka zbyt długo. W gruncie rzeczy byłoby lepiej, gdyby uderzył przed aneksją Austrii, ale niczego nie może być pewny, a poza tym jest za młody, żeby właściwie oceniać to, co się dzieje. Jednocześnie jego matka, wdowa, kultywuje życie osobiste; obojętna dla spraw polityki, dusi pieniądze swojego zmarłego męża.

Podczas wojny młody anarchista pracuje jako dozorca w ZOO w Schönbrunn. Kiedy ludność Wiednia zaczyna na dobre głodować i nocne napady na ZOO stają się powszechnym źródłem zaopatrzenia w żywność, anarchista decyduje się na uwolnienie pozostałych zwierząt, oczywiście Bogu ducha winnych, jeśli chodzi o kunktatorstwo jego ojczyzny i jej poddanie się hitlerowskiemu Niemcom. Ale w tym czasie już i zwierzęta głodują; uwolnione pożerają anarchistę.

„Było to zupełnie naturalne” - pisał Garp. - Zwierzęta z kolei padają ofiarą wygłodniałego tłumu, który plądruje Wiedeń stanowiąc forpocztę wojsk rosyjskich. To również było „zupełnie naturalne”.

Matka anarchisty, która przetrwała wojnę, żyje w radzieckiej strefie okupacyjnej (Garp osadził ją w tym samym mieszkaniu na Schwindgasse, które dzielił z Jenny); wyrozumiałość skąpej wdowy wyczerpuje się w końcu pod wpływem nieustannych okropności [...] - głównie gwałtów. Patrzy, jak miasto stopniowo powraca do stanu ugody i samozadowolenia i z wielkim żalem wspomina własną bierność w okresie, kiedy hitlerowcy dochodzili do władzy. Wreszcie Rosjanie opuszczają Wiedeń; jest rok 1956 i miasto przychodzi do siebie. Ale wdowa oplakuje syna i zniszczony kraj; co weekend odbywa spacer po częściowo odbudowanym i znów zdrowym ZOO w Schönbrunn wspominając, jak potajemnie odwiedzała tu syna podczas wojny. Dopiero rewolucja na Węgrzech skłania ją do podjęcia działania. Do Wiednia napływają setki tysięcy nowych uchodźców.

Chcąc pobudzić bezwolne miasto - żeby nie siedziało z założonymi rękami i nie czekało, jak wtedy, na rozwój wypadków - matka usiłuje dokonać tego, co zrobił syn: wypuszcza mianowicie zwierzęta z ZOO w Schönbrunn. Ale teraz zwierzęta są dobrze odżywione i zadowolone; nieliczne tylko udaje jej się nakłonić do opuszczenia klatek, a te, które wychodzą, są i tak ograniczone do ogrodów i ścieżek Schönbrunn; w końcu wszystkie trafiają z powrotem do klatek nie ponosząc żadnego uszczerbku. Jeden podstarzały niedźwiedź dostaje ostrej biegunki. Gest uwolnienia zwierząt przez staruszkę wynika ze szlachetnych pobudek, ale jest kompletnie bez znaczenia. Kobieta zostaje aresztowana i policyjny lekarz stwierdza u niej raka; jest nieuleczalnie chora.

Ostatecznie, o ironio, pieniądze, które dusiła, okazują się wreszcie użyteczne. Umiera w luksusowych warunkach, w jedynym prywatnym szpitalu Wiednia - Rudolfinerhaus. W agonii majaczy jej się, że część zwierząt ucieka z ZOO - jest to para czarnych niedźwiedzi himalajskich. Wyobraża sobie, że niedźwiedziom udaje się przeżyć i tak licznie rozmnożyć, że zapoczątkują w dolinie Dunaju nowy słynny

gatunek zwierząt.

Ale to wszystko dzieje się jedynie w jej wyobraźni. Powieść kończy się - jak już starszka nie żyje - śmiercią chorego na biegunkę niedźwiedzia w ZOO. „Tyle na temat rewolucji w obecnych czasach” - napisał jeden z recenzentów, który nazwał „Kunktatorstwo” powieścią antymarksistowską.

Książka była chwalona za rzetelność tła historycznego, co zresztą nie miało dla Garpa większego znaczenia. Podkreślano także jej oryginalność i szerokie horyzonty jak na debiut tak młodego autora. Wydawcą Garpa był John Wolf i chociaż obiecał, że na skrzydełku okładki nie wspomni, że jest to pierwsza powieść syna bohaterki ruchu feministycznego, Jenny Fields, to jednak nieliczni tylko recenzenci powstrzymali się od tej wzmianki.

„To zdumiewające, że sławny obecnie syn Jenny Fields - pisał jeden z nich - rzeczywiście wyrósł na tego, kim powiedział, że chciałby być, kiedy dorośnie”. Ten i inne przejawy nie mającego nic do rzeczy zainteresowania jego związkami z Jenny bardzo Garpa złościły; uważał, że książka powinna być czytana i dyskutowana dla jej własnych wad czy zalet, ale John Wolf odkrył przed nim przykrą prawdę, że większość czytelników znacznie bardziej interesuje to, kim on jest, niż to, co napisał.

„Młody pan Garp w dalszym ciągu pisze o niedźwiedziach - wytykał mu jeden dowcipniś, który zadał sobie trud, żeby odgrzebać z mroków przeszłości »Pensjonat Grillparzer« - może kiedy dojrzeje, zacznie pisać o ludziach”.

Ogólnie rzecz biorąc, był to debiut literacki bardziej zaskakujący niż większość debiutów i - bardziej dostrzeżony. Książka oczywiście nigdy nie zyskała popularności, a nazwisko Garp nie stało się dzięki niej firmą; Garp nie stał się też dzięki niej „przedmiotem domowego użytku” - jak się wyrażał o swojej matce. Ale to nie była tego rodzaju książka, a on nie był tego rodzaju pisarzem. I nigdy nie będzie - powiedział mu John Wolf.

„Czego pan oczekuje? - napisał do niego w liście. - Jeśli pan chce być bogaty i sławny, musi pan się przerzucić na inny rodzaj pisarstwa. Skoro traktuje pan tę sprawę poważnie, to niech pan nie narzeka. Napisał pan poważną książkę, która została w poważny sposób opublikowana, a jeśli pan chciałby z niej żyć, to jest to nieporozumienie. I proszę pamiętać: ma pan dopiero dwadzieścia cztery lata. Z pewnością napisze pan jeszcze niejedno”.

John Wolf był człowiekiem uczciwym i inteligentnym, ale Garp czuł się niepewnie - nie był zadowolony. Zarobił wprawdzie trochę pieniędzy, no i Helen

miała już stałe pobory; ale teraz, kiedy na dobrą sprawę nie potrzebował brać od Jenny, przyjmował od niej pieniądze bez skrupułów. Uznał też, że należy mu się jeszcze jedno: poprosił Helen o drugie dziecko. Duncan miał cztery latka - przydałby mu się brat albo siostra. Helen wyraziła zgodę pomna, jak bardzo Garp ją odciążył przy pierwszym dziecku. Jeśli chce zmieniać pieluszki między rozdziałami swojej następnej książki - jego sprawa.

Ale Garpa skłoniło do reprodukcji coś więcej niż tylko chęć posiadania drugiego dziecka. Zdawał sobie sprawę, że jest ojcem nadmiernie troskliwym i bojaźliwym, i uważał, że mając na głowie drugie dziecko, które skanalizuje nadmiar jego niepokoju, uwolni Duncana od presji ojcowskich lęków.

- Z największą radością - powiedziała Helen. - Jeśli chcesz mieć drugie dziecko, możemy je zrobić. Zależy mi na tym, żebyś był na luzie, żebyś był szczęśliwy. Napisałeś jedną dobrą książkę, a teraz napiszesz drugą. Przecież o to ci zawsze chodziło, prawda?

Ale Garp narzekał na recenzje z „Kunktatorstwa” i jęczał z powodu kiepskiej sprzedaży. Czepiał się matki i wściekał na jej „zausznice”. Wreszcie Helen powiedziała:

- Żądasz za wiele. Za wiele pochwał czy miłości bez zastrzeżeń, obojętne zresztą czego - w każdym razie bez zastrzeżeń. Chcesz, żeby świat powiedział: „Kocham to, co piszesz, kocham ciebie”, a to trochę za dużo. To właściwie nienormalne.

- Kiedy to właśnie ty tak powiedziałaś - przypomniał jej Garp. - „Kocham to, co piszesz, kocham ciebie”. Dokładnie tak powiedziałaś.

- Ale ja mogę być tylko jedna - uprzytomniła mu Helen.

I rzeczywiście, miała być tylko jedna Helen, i Garp kochał ją bardzo. Miał ją zawsze nazywać „najmądrzejszą ze swoich życiowych decyzji”. Podejrzewał bowiem, że nie wszystkie były mądre, ale w ciągu pierwszych pięciu lat małżeństwa tylko raz zdradził Helen - zresztą na krótko.

Była to dziewczyna, która przychodziła jako baby-sitter do Duncana, studentka Helen z pierwszego roku anglistyki; odnosiła się miło do Duncana, chociaż Helen twierdziła, że na uczelni niczym się nie wyróżnia. Miała na imię Cindy; przeczytała „Kunktatorstwo” i wpadła w stosowny zachwyty. Kiedy Garp odwoził ją do domu, zasypywała go pytaniami na temat jego pisarstwa: w jaki sposób przyszło ci do głowy to? A dlaczego potraktowałeś w ten sposób tamto? Była drobniutkim stworzeniem, roztrzepanym, nerwowym i szczebiotliwym, a tak ufnym, stałym i głupim jak gołębie

rodem ze Steering. Helen nazywała ją Nieopierzonym Kurczakiem, ale Garpowi się podobała; nie nazywał jej w żaden szczególny sposób. Rodzina Percych wyrobiła w nim trwałą awersję do przezwisk. A poza tym podobały mu się pytania Cindy.

Cindy rzucała właśnie studia, ponieważ uznała, że uczelnia żeńska jest nie dla niej; uważała, że powinna się obracać wśród ludzi dorosłych i wśród mężczyzn, i chociaż władze uczelniane pozwoliły jej przenieść się z akademika do własnego mieszkania - to jednak w dalszym ciągu była zdania, że uczelnia jest zbyt „ograniczona” i że woli żyć w środowisku „bardziej autentycznym”. Wyobrażała sobie, że takim „środowiskiem autentycznym” był właśnie Wiedeń Garpa, mimo że Garp stawał na głowie, żeby ją przekonać, że nic podobnego. Nieopierzony Kurczak, myślał, ma kurzy mózdzek i jest miękka jak banan i podatna na wpływy. Mimo to pragnął jej, bo była po prostu dostępna, jak prostytutki z Karntnerstrasse; zawsze do dyspozycji. I będzie go kosztowała jedynie kłamstwa.

Helen przeczytała mu recenzję ze znanego czasopisma; recenzent nazywał „Kunktatorstwo” głęboką i wzruszającą powieścią z ostrymi historycznymi rezonansami... „dramat zawiera tęsknoty i męki młodości”.

- Pieprzę „tęsknoty i męki młodości” - powiedział Garp. Jedną z tych młodzieńczych tęsknot sprawiała mu właśnie kłopot.

Co zaś do dramatu, to w ciągu owych pierwszych pięciu lat małżeństwa z Helen S. T. Garp raz tylko doświadczył prawdziwego życiowego dramatu, który zresztą miał niewiele wspólnego z nim samym.

Biegał właśnie w miejskim parku, kiedy na ścieżce do konnej jazdy zobaczył biegnącą przed sobą nagą dziesięciolatkę. Kiedy się zorientowała, że Garp ją dogania, rzuciła się na ziemię i zakryła twarz; potem zasłoniła krocze, a następnie usiłowała zasłonić maleńkie piersi. Była późna jesień, wyjątkowo zimny dzień, i Garp dostrzegł krew na udach małej i jej przerażone wychodzące z orbit oczy. Dziewczynka darła się przeraźliwie.

- Co ci się stało? - spytał Garp, chociaż dobrze wiedział. Rozejrzał się dokoła, ale nie zobaczył w pobliżu nikogo. Dziecko przyciskało do piersi pościerane kolana i nie przestawało, krzyczeć. - Nie zrobię ci nic złego - zapewnił ją Garp. - Chciałbym ci pomóc. - Ale mała zaczęła zawodzić jeszcze głośniejsze. Mój Boże, oczywiście! - pomyślał. Przecież ten koszmarny łobuz najprawdopodobniej dopiero co zwrócił się do niej tymi samymi słowami. - W którą stronę on poszedł? - zapytał. Po czym zmienił ton usiłując

przekonać małą, że jest po jej stronie. - Zabiję go za to, co ci zrobił. - Dziewczynka patrzyła na niego w milczeniu bezustannie potrząsając głową i skubiąc palcami napiętą skórę na ramionach. - Powiedz mi, proszę cię, gdzie jest twoje ubranie. - Nie mógł jej zaoferować nic prócz przepoconego podkoszulka. Miał na sobie poza tym tylko krótkie sportowe spodenki i trampki. Ściągnął przez głowę podkoszulek i natychmiast zrobiło mu się zimno; dziewczynka krzyknęła, okropnie głośno, i ukryła twarz. - Nie bój się, chcę, żebyś to na siebie włożyła - wyjaśnił jej Garp. Zarzucił na nią podkoszulek, ale mała zdarła go z siebie i skopała, a następnie bardzo szeroko otworzyła buzię i ugryzła własną pięść.

„Nie była nawet na tyle dojrzała, żeby być chłopcem albo dziewczynką - pisał Garp. - Jedyne w nieznaczej pulchności wokół sutek było coś jakby dziewczęcego. Nieopierzona piczka też nie mówiła wyraźnie o płci; podobnie bezpłciowe dziecinne dłonie. Czało się może coś zmysłowego w ustach małej - miała spuchnięte wargi - ale przecież nie zrobiła sobie tego sama”.

Garp zaczął płakać. Niebo było szare, dokoła leżały zeschnięte liście i kiedy zaczął głośno szlochać, dziewczynka nakryła się jego podkoszulkiem. Znajdowali się właśnie w tej osobliwej pozycji w stosunku do siebie - kuląca się dziewczynka, a nad nią płaczący Garp - kiedy ścieżką nadjechało dwóch konnych policjantów, by złapać na gorącym uczynku oczywistego gwałciiciela z ofiarą. Garp napisał, że jeden z policjantów wjechał między nich konno i „mało nie stratował dziewczynki”. Drugi zdzielił go pałą w obojczyk; „Jedną połowę ciała - pisał Garp - miałem zupełnie sparaliżowaną, ale na szczęście została mi jeszcze druga”. Tą drugą połowę wysadził policjanta z siodła i zwałił go na ziemię.

- To nie ja, ty skurwysynu! - ryknął. - Ja ją znalazłem, właśnie tu, właśnie przed chwilą.

Policjant, rozciągnięty na ziemi wśród liści, trzymał nieruchomo wycelowaną broń. Drugi policjant, pod którym koń cały czas tańczył, krzyknął do dziewczynki:

- Czy to ten?! - Dziecko wyraźnie bało się koni. Patrzyło to na konie, to na Garpa. Najprawdopodobniej w ogóle nie rozumie, co się stało, pomyślał Garp, a tym bardziej, kto jest sprawcą. Ale dziewczynka gwałtownie potrząsnęła głową. - Dokąd on uciekł? - spytał policjant ze swego konia. Ale mała w dalszym ciągu patrzyła na Garpa. Szarpała się za brodę i tarła policzki - usiłowała coś powiedzieć na migi. Najwyraźniej brak jej słów albo języka - pomyślał Garp przypominając sobie Ellen James.

- Jej chodzi o brodę - powiedział policjant spomiędzy liści; zdążył już się

pozbiierać, ale nie schował jeszcze broni. - Mała chce nam powiedzieć, że ten facet miał brodę. - Garp w owym czasie nosił brodę.

- To musiał być ktoś z brodą - powiedział Garp. - Z taką jak moja? - zwrócił się do dziewczynki, gładząc swoją przystryżoną na okrągło, lśniąca od potu ciemną bródkę. Ale dziewczynka potrząsnęła głową i przesunęła palcami po opuchniętej górnej wardze.

- Wąsy! - wykrzyknął Garp i dziecko skinęło głową. Pokazała w stronę, z której przyszedł Garp, ale Garp pamiętał, że przy wejściu do parku nie było nikogo. Konny policjant pochylony w siodle odjechał zasłaną liśćmi ścieżką. Jego towarzysz uspokajał swojego konia; nie dosiadł go jednak.

- Niech pan ją przykryje albo znajdzie jej ubranie - powiedział do niego Garp i pobiegł za pierwszym policjantem; wiedział, że są rzeczy, które łatwiej dostrzec z ziemi niż z konia.

A poza tym miał tak wysokie mniemanie o swoim bieganiu, że wyobrażał sobie, że potrafi - jeśli nie prześcignąć - to w każdym razie przewyższyć wytrzymałością każdego konia.

- Hej, stać! - krzyknął za nim policjant, ale Garp nabrał szwungu i ani myślał się zatrzymać.

Biegł po głębokich śladach pozostawionych przez końskie kopyta. Nie oddalił się nawet na pół mili, kiedy jakieś dwadzieścia pięć kroków w bok od ścieżki zobaczył przygarbioną postać mężczyzny, prawie całkowicie zasłoniętą przez drzewa. Garp wrzasnął, na co starszy mężczyzna z siwymi wąsami obejrzał się przez ramię i popatrzył z wyrazem takiego zaskoczenia i zmieszania, że Garp nie miał wątpliwości: złapał gwałciela małej. Ruszył przez pędy wina i cienkie młodziutki drzewka ku sikającemu mężczyźnie, który teraz w pośpiechu zapinał spodnie. Miał minę typową dla człowieka, który zrobił coś, czego nie powinien był zrobić.

- Ja właśnie... - zaczął, ale Garp zdążył go już dopaść i zaatakować sztywną, krótko przystryżoną bródką, po czym obwąchał go jak pies.

- To ty, sukinsynu, czuć to jeszcze od ciebie! - wykrzyknął.

Mężczyzna cofnął się przed półnagim brutalem, ale Garp złapał go za przeguby obu rąk i podetknął je sobie pod nos. Zaczął węszyć i mężczyzna krzyknął, jakby się bał, że Garp go ugryzie. - Tylko spokojnie! - powiedział Garp. - To twoja sprawka! Gdzie jest ubranie małej?

- Proszę... - zapiszczał starszy pan. - Szedłem właśnie do toalety. - Nie zdążył

zapiąć rozporka i Garp obrzucił jego krocze podejrzliwym spojrzeniem.

„Zapach spermy nie ma sobie równego - pisał. - Nie da się ukryć. Jest bogaty i intensywny jak zapach rozlanego piwa”.

Upadł więc na kolana, odpiął mężczyźnie pasek i spodnie, ściągnął mu gatki do kostek i przyjrzał się wystraszonemu przyrządowi.

- Ratunku! - krzyknął starszy pan.

Garp pociągnął nosem i mężczyzna osunął się w młode drzewka; miotając się jak kukielka na sznurku młócił rękami smukłe pnie i gałązki, zbyt gęste, żeby mógł upaść. - Ratunku, na Boga! - wołał, ale Garp biegł już z pulsującym bólem obojczyka w kierunku końskiej ścieżki, wzbijając nogami liście i boksując powietrze.

U wejścia do parku konny policjant tłukł się po parkingu, zaglądając do samochodów i krążąc wokół przysadzistego budynku, gdzie mieściły się toalety. Obserwowało go kilka osób wyczuwając jego pełne gorliwości napięcie.

- Nie ma nikogo z wąsami! - zawołał do Garpa.

- Jeśli zdążył tu przed panem, mógł już odjechać - powiedział Garp.

- Niech pan idzie i zobaczy w toalecie - policjant podjechał do kobiety z wózkiem dziecięcym, w którym piętrzyły się koce. Wszystkie męskie toalety wydawały się Garpowi jednakowe; w drzwiach do tego ponurego, śmierdzącego przybytku minął się z wychodzącym właśnie młodym chłopakiem. Był on tak gładko ogolony, że górna warga niemal mu lśniła; wyglądał na ucznia szkoły średniej. Garp wszedł do toalety jak pies ze zjeżona sierścią na grzbiecie. Wypatrywał stóp pod drzwiami kabin. Nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył tam ręce albo nawet - niedźwiedzia. Rozglądał się za odwróconymi plecami wzdłuż rzędu pisuarów czy wreszcie za kimkolwiek przy brudnych zażółconych umywalkach, kto by spoglądał w dziobate lustro. Ale w męskiej toalecie nie było nikogo. Garp zaczął węszyć. Od dawna już nosił sporą przystrzyganą tylko brodę i nie od razu rozpoznał zapach kremu do golenia. Wiedział tylko, że w tym obskurnym miejscu pachnie czymś obcym. Zajrzał do najbliższej umywalki: zobaczył tam bryzgi piany i ciemną linię osadu zgolonego zarostu.

Kiedy opuszczał toaletę, młody, gładko ogolony chłopak, który wyglądał na ucznia, szybkim, ale spokojnym krokiem przemierzał właśnie parking.

- To on! - wrzasnął Garp. Konny policjant spojrział zakłopotany na młodego gwałciciela.

- On nie ma wąsów - powiedział.

- Bo je właśnie zgolił! - wykrzyknął Garp; rzucił się na przelaj przez parking

prosto na chłopaka, który już uciekał ku płataninie ścieżek zasnuwającej park. Spod jego marynarki wysypała się cała masa najróżniejszych drobiazgów: Garp zauważył nożyczki, brzytwę, tubkę kremu do golenia, a na koniec w małych porcjach garderobę - dziewczęcą oczywiście. Dżinsy z bożą krówką przyszytą na biodrze i sweterek z uśmiechniętą żabą na piersi. Naturalnie nie było stanika; nie miałyby najmniejszego zastosowania. Garp dopadł majtek. Były zwyczajne bawełniane i w zwyczajnym niebieskim kolorze; naszyty przy gumce niebieski króliczek wachał niebieski kwiatek.

Konny policjant po prostu najechał uciekającego. Końska pierś walnęła go w plecy przewracając twarzą na żwir ścieżki, a jedna z tylnych podków wyrwała mu z łydki kawałek ciała w kształcie litery U; chłopak zwinął się na ziemi przyjmując pozycję embrionalną i trzymając się za nogę. Na to nadszedł Garp z błękitnymi majteczkami ozdobionymi króliczkiem; podał je policjantowi. Za chwilę dołączyli do nich inni - kobieta z wózkiem pełnym koców, dwaj chłopcy na rowerach i chudy mężczyzna z gazetą. Przynieśli policjantowi resztę rzeczy pogubionych przez chłopaka: brzytwę i pozostałe części ubrania dziewczynki. Nikt nie odezwał się słowem. Garp napisał później, że w tym momencie roztoczyła się przed jego oczyma u końskich kopyt krótka historia młodego gwałciciela: nożyczki i tubka kremu do golenia. Oczywiście! Chłopak zapuszczał wąsy, atakował dziewczynki, po czym golił wąsy (które przecież zapamiętałoby każde dziecko).

- Czy robiłeś to już przedtem? - zapytał go Garp.

- Pan nie ma prawa zadawać mu żadnych pytań - powiedział policjant.

Ale chłopak uśmiechnął się głupio do Garpa.

- Nigdy przedtem mnie nie złapali - rzekł bezczelnie. Kiedy się uśmiechnął, Garp zobaczył, że nie ma przednich górnych zębów; wybił mu je koń kopytem. Pozostał tylko krwawiący strzep dziąsła. Garp stwierdził, że coś jest z chłopakiem nie w porządku, że niewiele czuje bólu czy czegokolwiek innego.

Z lasku przy końcu ścieżki wyłonił się drugi policjant prowadząc konia; na siodle, nakryta kurtką policjanta, siedziała dziewczynka. W rękach ścisnęła podkoszulek Garpa. Wydawało się, że nie poznaje nikogo. Policjant podprowadził ją do miejsca, w którym leżał gwałciciel, ale mała na niego nie patrzyła. Pierwszy policjant zsiadł z konia; podszedł do gwałciciela i zadarł mu zakrwawioną twarz w stronę dziecka.

- To on? - spytał małą. Patrzyła na chłopaka obojętnie tępym wzrokiem. Gwałciciel zaśmiał się krótko i splunął krwią; dziecko nie zareagowało. Wtedy Garp

delikatnie dotknął palcem ust chłopaka i namazał mu krwią wąsy na górnej wardze. Dziewczynka zaczęła wrzeszczeć. Trzeba było uspokajać konie. Mała nie przestała krzyczeć, dopóki drugi policjant nie zabrał gwałciciela. (Wtedy ucichła i oddała Garpowi podkoszulek. Poklepywała konia po krótkiej, gęstej, czarnej grzywie, jakby po raz pierwszy siedziała w siodle.

Garp pomyślał, że to siedzenie na koniu musi być dla niej bolesne, ale mała zapytała:

- Czy mogę się jeszcze raz przejechać?

Był zadowolony, że przynajmniej ma język. W tym momencie dostrzegł schludnie ubranego starszego pana, którego wąsy okazały się niewinne; opuszczał właśnie park i ostrożnie wchodził na parking rozglądając się bacznie za szaleńcem, który w sposób tak brutalny zdarł mu spodnie i obwąchał go niby groźna wszystkożerna bestia. Kiedy zobaczył Garpa stojącego koło policjanta, odczuł wyraźną ulgę. Uznał, że Garp został ujęty, i podszedł już śmieiej. Garp zastanawiał się nawet, czy nie uciec - żeby uniknąć kompromitacji i wyjaśnień - ale właśnie w tym momencie policjant powiedział:

- Poproszę pana o nazwisko. I czym się pan zajmuje. Poza bieganiem po parku.

- Roześmiał się.

- Jestem pisarzem - wyjaśnił Garp. Policjant usiłował się jakoś usprawiedliwić, że o nim nie słyszał, ale w owym czasie Garp nie opublikował jeszcze nic poza „Pensjonatem Grillparzer”; nic dziwnego, policjant niewiele mógł przeczytać; wprawilo go to w zakłopotanie.

- Pisarz nie publikowany? - zapytał. Garp miał niewyraźną minę. - To z czego pan żyje?

- Utrzymują mnie matka i żona - przyznał Garp.

- Wobec tego muszę zapytać, czym one się zajmują - powiedział policjant. - Dla celów statystycznych interesujemy się, w jaki sposób ludzie zarabiają na życie.

Obrażony dżentelmen z siwym wąsem, który usłyszał tylko sam koniec rozmowy, powiedział:

- No właśnie, dokładnie tak, jak myślałem! Włóczęga i nikczemny próżniak.

Policjant wybałuszyl na niego oczy. We wczesnym okresie swojej kariery, kiedy jeszcze nie publikował, Garp był wściekły, ilekroć musiał się przyznać, z czego żyje, wolał obecnie dalej brnąć w niezręczną sytuację, niż cokolwiek wyjaśniać.

- Cieszę się w każdym razie, że pan go złapał - powiedział starszy pan. - To był

kiedyś bardzo przyjemny park, ale dzisiaj przychodzą tutaj tacy... powinniście panowie staranniej go pilnować - zwrócił się do policjanta, który był przekonany, że ma on na myśli gwałciela. Policjant nie chciał rozmawiać na ten temat przy dziecku, więc wskazał oczyma małą, która sztywno siedziała w siodle.

- Ach, nie, to niemożliwe, on chyba tego nie zrobił temu dziecku! - wykrzyknął starszy mężczyzna, jak gdyby dopiero teraz zauważył dziewczynkę na koniu tulącą do siebie swoje małe ubranka albo jakby dopiero teraz zauważył, że mała nie ma nic pod kurtką policjanta. - Co za podłość! - wykrzyknął wpatrując się w Garpa. - Coś obrzydliwego! Panowie z pewnością będziecie chcieli moje nazwisko, prawda?

- Po co? - zdziwił się policjant.

Garp nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- I jeszcze się głupio uśmiecha! - wykrzyknął stary. - Oczywiście jako świadek chętnie opowiem całą tę historię przed każdym sądem w kraju, jeśli tylko będę mógł się przyczynić do skazania takiego łobuza!

- Ale jako świadek czego? - zapytał policjant.

- No bo... on zrobił to i mnie!

Policjant spojrział na Garpa; Garp przewrócił oczami. Policjant trzymał się jedyne rozsądnego wyjaśnienia - w dalszym ciągu uważał, że mężczyzna ma na myśli gwałciela małej, ale zupełnie nie rozumiał, dlaczego tak surowo traktuje Garpa.

- Bardzo proszę - powiedział w końcu, żeby dogodzić staremu durniowi. Wziął od niego nazwisko i adres.

W wiele miesięcy później, kiedy Garp kupował prezerwatywy, do drogerii wkroczył ten sam starszy pan.

- Co takiego?! Ty tu?! - wykrzyknął. - Już cię wypuścili? A ja myślałem, że cię wsadzili na ładne parę latek!

Upłynęła chwila, zanim Garp go poznał. Właściciel drogerii doszedł do wniosku, że stary przyk musi być stuknięty. Dżentelmen ze swoim siwym, elegancko przyciętym wąsikiem powoli zbliżał się do Garpa.

- Co znaczy dzisiaj prawo? - zaatakował go. - Pewnie cię wypuścili za dobre sprawowanie. W więzieniu nie ma starszych panów ani małych dziewczynek do obwąchiwania, co? Albo adwokat wyciągnął cię za pomocą jakiejś brudnej sztuczki! Biedne dziecko ma uraz na całe życie, a ten się dalej spokojnie włóczy po parkach!

- Pan się pomylił - powiedział Garp.

- Oczywiście, to jest pan Garp - wyjaśnił właściciel drogerii. Nie dodał „pisarz”. Gdyby jednak w ogóle zamierzał cokolwiek dodać, Garp wiedział, że dodałby „bohater”; właściciel drogerii widział bowiem śmieszne nagłówki w gazetach dotyczące schwytania gwałciela w parku: „Niedoceniony pisarz - doceniony bohater!” „Obywatel ujmuje w parku zboczeńca”; „Syn znanej feministki występuje w obronie dziewczynek”...

Garp przez wiele miesięcy nie mógł z tego powodu pisać, ale artykuł wywarł wielkie wrażenie na wszystkich w okolicy, którzy znali Garpa jedynie z supermarketu, hali sportowej i drogerii. Tymczasem wyszło „Kunktatorstwo”, ale o książce nikt nie słyszał. Przez wiele tygodni sprzedawcy i właściciele sklepów przedstawiali go innym klientom: „A to jest właśnie pan Garp, który złapał w parku gwałciela”.

- Jakiego gwałciela?

- No, tego w parku miejskim. Tego Wąsika, co to napastował małe dziewczynki.

- Dzieci?

- To właśnie pan Garp go złapał.

- Jeśli chodzi o ścisłość, złapał go konny policjant - wyjaśniał Garp.

- I powybił mu zęby, tak że się nimi zadławił - dopowiadali z lubością właściciel drogerii, sprzedawca i różni ekspedienci tu i tam.

- To właściwie zasługa konia - prostował skromnie Garp. Od czasu do czasu ktoś pytał:

- A czym pan się zajmuje, panie Garp?

Cisza, jaka zapadała, gdy Garp stał zastanawiając się, czy nie lepiej powiedzieć, że żyje z biegania, bywała dla niego bolesna. Krąży po parkach jako zawodowy wylapywacz gwałcieli. Kręci się koło budek telefonicznych jak ten Superman z komiksów, zawsze gotów do pomocy w razie nieszczęścia. Każda z tych rzeczy wydałaby im się bardziej sensowna od tego, co robił naprawdę.

- Piszę - wyznawał w końcu. Początkowo na pełnych podziwu twarzach pojawiała się rozczarowanie, a nawet podejrzliwość.

W drogerii, jak na złość, Garp upuścił jeszcze paczuszkę prezerwatywy.

- Aha! - wykrzyknął starszy pan. - Proszę popatrzeć. Ciekawe, co on z tym będzie wyprawiał!

Garp zastanawiał się, co mógłby z tym wyprawiać.

- Zboczeniec na wolności - zapewnił drogistę starszy pan. - Poszukuje niewinnych, żeby gwałcić i plugawić.

Napastliwość starego pryka tak była irytująca, że Garp stracił chęć na wyjaśnianie nieporozumienia; prawdę powiedziawszy z przyjemnością wspominał, jak to w parku ściągnął staruchowi spodnie; w najmniejszym nawet stopniu nie żałował tego, co zrobił.

Dopiero w jakiś czas później odkrył, że stary nie miał monopolu na napastliwość. Zabrał kiedyś Duncana na mecz koszykówki uczniów szkoły średniej, gdzie dokonał szokującego odkrycia: otóż bileterem był nie kto inny, jak Wąsik we własnej osobie, prawdziwy gwałcieł bezbronnego dziecka z parku miejskiego.

- Ty na wolności?! - zapytał osłupiały Garp. Zboczeniec bezczelnie uśmiechnął się do Duncana.

- Jeden normalny, jeden dziecinny - powiedział wydzierając bilety.

- Jakim cudem wydostałeś się z więzienia? - zapytał Garp; czuł, jak cały dygocze ze złości.

- Nic mi nie udowodnili - odparł chłopak z wyższością. - Ta głupia smarkuła nawet nie chciała mówić. - Garp znów pomyślał o Ellen James, która straciła język w wieku lat jedenastu.

Nagle zrozumiał wściekłość starszego pana, którego obnażył w taki wieprzyjemny sposób. Mając poczucie tak wielkiej niesprawiedliwości potrafił zrozumieć kobietę, która z rozpaczycy obcięła sobie język. Miał ochotę zrobić Wąsikowi krzywdę, już zaraz, na miejscu, w obecności Duncana, traktując akt okaleczenia jako lekcję moralną.

Ale tłum czekał na bilety; Garp opóźniał sprawę.

- No, przechodź, piczokłaku - zwrócił się do niego chłopak, zawierając w tym określeniu całą lubieżność świata. Na jego górnej wardze widać było cień nowego wąsika.

W wiele lat później Garp spotkał tamtą małą, już jako dorosłą. Poznał ją tylko dlatego, że to ona go zaczepiła. Wychodził właśnie z kina w innym mieście; dziewczyna czekała w kolejce do wejścia. Była z jakimiś przyjaciółmi.

- Hej, jak się masz! - powiedział Garp. Z zadowoleniem stwierdził, że ma przyjaciół. Oznaczało to, że jest normalna.

- Dobry film? - spytała.

- Ale wyrosłaś! - Dziewczyna zaczerwieniła się i Garp zrozumiał, że wyrwał się głupio. - Chciałem powiedzieć, że to było tak dawno, że czas o tym zapomnieć - dodał serdecznie. Jej przyjaciele wchodzili właśnie do kina i dziewczyna rzuciła za nimi

szybkie spojrzenie, żeby się przekonać, czy są z Garpem sami.

- Tak, w tym miesiącu robię maturę - powiedziała.

- Dużą? - zastanawiał się głośno Garp. Czy to możliwe, że to już było tak dawno?

- Nie, małą - dziewczyna zaśmiała się nerwowo.

- Wspaniale! - wykrzyknął Garp i sam nie wiedząc dlaczego dodał: - Postaram się przyjść na uroczystość.

Ale dziewczyna jak gdyby się nagle przestraszyła.

- Nie, proszę, bardzo proszę, niech pan nie przychodzi.

- Okay, nie przyjdę - zgodził się łatwo.

Spotykał ją jeszcze kilka razy, ale nigdy go już nie poznała, ponieważ zgolił brodę.

- Dlaczego znów nie zapuścisz brody? - od czasu do czasu pytała go Helen. - Albo przynajmniej wąsów. - Ale za każdym razem, kiedy tamta dziewczyna z parku go nie poznawała, przekonywał się od nowa, że powinien golić zarost.

„Przeszkadza mi świadomość - pisał Garp - że już tyle razy w życiu zetknąłem się z gwałtem". Najwyraźniej odnosiło się to do tamtej dziesięciolatki z parku miejskiego, do jedenastoletniej Ellen James i do zainspirowanego przez nią koszmarnego stowarzyszenia - satelitek jego matki, okaleczonych kobiet dotkniętych symboliczną niemotą z wyboru. Później Garp miał napisać powieść, która w większym stopniu uczyniła go „przedmiotem domowego użytku" i która miała wiele wspólnego z gwałtem. Być może agresywność tego aktu była czymś, co napawało go niesmakiem do samego siebie - do własnych męskich instynktów, które skądinąd nie budziły jego zastrzeżeń. Sam nigdy nie miał ochoty nikogo zgwałcić, ale gwałt, uważał, budzi w mężczyznach w ogóle poczucie winy przez skojarzenie.

Czuł się nawet winny z powodu uwiedzenia Nieopierzonego Kurczaka, tak jakby to był gwałt. Ale z gwałtem miało to niewiele wspólnego. Może jedynie w tym, że też zostało z góry zaplanowane. Kupił nawet na kilka tygodni wcześniej prezerwatywy z wyraźnym przeznaczeniem. Czy najgorszych zbrodni nie popełnia się z Premudytacją? Bo Garp nie poddał się naglej namiętności do opiekunki Duncana; planował i czekał w pełnej gotowości, aż Cindy ulegnie swojej namiętności do niego. Musiało go więc ukłuć sumienie, kiedy upuszczając wtedy w drogerii prezerwatywy i wiedząc, do czego zamierza ich użyć, usłyszał oskarżenie starego: „Szuka niewinnych, żeby gwałcić

i plugawić!" Święta prawda.

Piętrzył więc przeszkody na drodze swojej żądy; dwukrotnie chował prezerwatywy, ale jednocześnie dobrze pamiętał, gdzie. I w dniu, w którym Cindy miała przyjść po raz ostatni, późnym popołudniem, z całym zapamiętaniem rzucił się na Helen. W momencie kiedy powinni się byli ubierać do wyjścia czy też szykować kolację dla Duncana, Garp zamknął sypialnię od środka i siłą wyciągnął Helen z garderoby.

- Czyś ty zwariował? - zaprotestowała. - Przecież wychodzimy.

- Gwałtowny przyływ żądy - wyjaśnił. - Nie odmawiaj. Postanowiła się z nim podroczyć.

- Ależ, proszę pana, nie mam zwyczaju robić tego przed hors d'oeuvres'ami.

- Sama jesteś hors d'oeuvres - powiedział Garp.

- Dziękuję - odparła Helen.

- Hej, drzwi są zamknięte - powiedział Duncan pukając.

- Duncan! - zawołał Garp. - Idź i zobacz, jaka jest pogoda.

- Pogoda? - Duncan usiłował otworzyć drzwi.

- Wydaje mi się, że na podwórku pada śnieg! - zawołał Garp. - Idź no i zobacz.

Helen stłumiła śmiech - i inne odgłosy - o twarde ramię Garpa; spuścił się tak szybko, że wprawił ją w zdumienie. Duncan przydreptał z powrotem pod drzwi sypialni z wiadomością, że na podwórku i wszędzie jest wiosna. Teraz, kiedy już było po wszystkim, Garp wpuścił go do sypialni.

Ale nie było po wszystkim, i Garp o tym wiedział - wracając z przyjęcia pamiętał dokładnie, gdzie są prezerwatywy: leżały sobie spokojnie pod maszyną do pisania czekając przez wiele nudnych, drętowych miesięcy od chwili opublikowania „Kunktatorstwa”.

- Robisz wrażenie zmęczonego - powiedziała Helen. - Może ja odwiozę Cindy do domu?

- Nie, dziękuję, jest okay - mruknął. - Ja ją odwiozę.

Helen uśmiechnęła się do niego i otarła się policzkiem o jego usta.

- Mój szalony popołudniowy kochanek - szepnęła. - Zawsze możesz mnie w ten sposób zabierać na przyjęcia, jeśli chcesz.

Długo siedział w samochodzie z Nieopierzonym Kurczakiem przed jej ciemnym mieszkaniem. Dobrze wybrał porę - kończyły się właśnie zajęcia na uczelni i Cindy wyjeżdżała z miasta. Była już i tak zdenerwowana koniecznością rozstania się ze

swoim ulubionym pisarzem; bądź co bądź jedynym pisarzem, którego poznała osobiście.

- Jestem przekonany, że czeka cię dobry rok, Cindy - powiedział. - Gdybyś przypadkiem przyjechała tu do kogoś w odwiedziny, pokaż się u nas koniecznie. Duncan będzie za tobą tęsknił. - Dziewczyna gapiała się na zimne światła tablicy rozdzielczej, a następnie żałośnie spojrzała na Garpa: na zaczerwienionej, mokrej od łez twarzy miała wypisaną całą historię.

- Będę tęskniła za tobą - pisnęła.

- Nie, nie - powiedział Garp. - Za mną nie tęsknij.

- Ale ja cię kocham - wyszeptała i jej mała główka niezręcznie opadła na jego ramię.

- Proszę cię, nie mów takich rzeczy - powiedział nie dotykając jej. Jeszcze nie.

Trzy prezerwatywy, zwinięte jak węże, czekały cierpliwie w kieszeni.

W jej zatechłym mieszkaniu Garp zużył tylko jedną. Ku jego zdumieniu wszystkie meble zostały już wyniesione. Pozostawiali wyładowane walizy Cindy i zrobili z nich coś w rodzaju niewygodnego pośłania. Pilnował się bardzo, żeby nie zostać ani minuty dłużej, niż było to konieczne; Helen mogłaby uznać, że zabawił zbyt długo, nawet jak na literackie pożegnanie.

Przez środek dziedzińca żeńskiej uczelni płynął gęsty, wezbrany strumień i Garp wyrzucił do niego ukradkiem przez okno jadącego samochodu dwie pozostałe prezerwatywy; zląkł się, że czujny funkcjonariusz policji kampusowej mógł to zauważyć i właśnie złazi z wysokiego brzegu, żeby wyłowić dowód rzeczowy - dwie gumy! Narzędzie zbrodni, które doprowadzi do sprawcy.

Ale nikt go nie zauważył, nikt go nie nakrył. Nawet Helen, która już spała, nie dopatrywałaby się niczego osobliwego w zapachu spermy; ostatecznie zaledwie przed kilkoma godzinami nabył go legalnie. Mimo to wziął prysznic i wśliznął się świeży do własnego bezpiecznego łóżka; zwinął się u boku Helen, która wymamrotała jakieś czułości. Instynktownie przerzuciła swoje długie udo przez jego biodro. Kiedy na to nie zareagował, napała na niego pośladkami. Wzruszony jej ufnością i swoim uczuciem do niej, czule dotknął nieznacznego wzniesienia jej cięży.

Duncan był zdrowym, bystrym dzieckiem. Pierwsza powieść uczyniła Garpa przynajmniej tym, czym powiedział, że chciałby być. Żądza w dalszym ciągu nękała jego młode lata, ale miał przynajmniej tyle szczęścia, że jego żona pożądała go w dalszym ciągu, a on pożądał jej. Teraz drugie dziecko miało scementować ich

przemyślaną, uporządkowaną przygodę. Z niepokojem pomacał brzuch Helen w oczekiwaniu wierzgnięcia, jakiejś oznaki życia. I chociaż zgadzał się z nią, że byłoby dobrze mieć dziewczynkę, to jednak w skrytości ducha wołał drugiego chłopca.

- Dlaczego? - zastanawiał się. Przywołał na pamięć dziewczynkę z parku, wizerunek niemej Ellen James, trudne decyzje matki. Czuł się szczęśliwy, że był z Helen; miała swoje własne ambicje i nie mógł nią manipulować. Wspomnił również prostytutkę z Karntnerstrasse i Cushie Percy (która miała umrzeć rodząc dziecko). A teraz - czując na sobie czy też w podświadomości - mimo prysznicu - jej zapach, pogrążył się w myślach o Nieopierzonym Kurczaku. Cindy, wygięta na walizce, płakała pod nim. Na jej skroni, przezroczystej skroni dziecka o białej karnacji, pulsowała błękitna żyłka. I chociaż Cindy miała język, to jednak nie była w stanie nic powiedzieć, kiedy ją opuszczał.

Garp nie chciał córki z powodu mężczyzn. Z powodu złych mężczyzn oczywiście; ale nawet, pomyślał, z powodu takich jak ja.

Rozdział VIII

Drugie dzieci, drugie powieści, druga miłość

Był to jednak chłopiec; drugi syn. Bratu Duncana dali na imię Walt - nie Walter i nie niemieckie Valt; po prostu Walt - jak walc z „t” zamiast „c” na końcu. Walt: jak plaśnięcie o wodę ogona bobra, jak mocne uderzenie w piłeczkę squasha. Zjawił się nagle pośród nich i od tej pory mieli dwóch chłopców.

Garp usiłował napisać drugą powieść, Helen wzięła drugą posadę; dostała stanowisko adiunkta na wydziale anglistyki uniwersytetu stanowego w bliskim sąsiedztwie żeńskiej uczelni, Garp i jego chłopcy mieli nareszcie męską halę sportową, w której mogli szaleć, a Helen miała od czasu do czasu błyskotliwego studenta dla urozmaicenia i coraz więcej interesujących kolegów.

Jednym z nich był Harrison Fletcher; specjalizował się w powieści wiktoriańskiej, ale Helen lubiła go z innych względów, w szczególności dlatego, że był ożeniony z pisarką. Miała na imię Alice; ona też pracowała nad swoją drugą powieścią, chociaż nie skończyła jeszcze pierwszej. Kiedy Garpowie ją poznali, o mało nie wzięli jej za jamesjanke: Alice po prostu nie mówiła. Harrison, którego Garp - jak nikt do tej pory - nazywał Harrym, lubił Garpa i cieszył się ze swojego nowego imienia, jakby dostał prezent. Helen wprawdzie nie przestała mówić na niego Harrison, ale dla Garpa pozostał na zawsze Harrym Fletcherem. Był on pierwszym przyjacielem Garpa, chociaż obaj zdawali sobie sprawę, że Harrison woli towarzystwo Helen.

Ani Helen, ani Garp nie wiedzieli jednak, co począć z Niemą Alice, jak ją nazwali.

- Musi pisać jakąś cholerną książkę - mawiał często Garp - skoro oddała jej wszystkie słowa.

Fletcherowie mieli jedno dziecko, dziewczynkę, która wiekiem plasowała się niezbyt fortunnie między Duncanem a Waltem; dawali do zrozumienia, że planują drugie dziecko. Ale książka, druga powieść Alice, miała wyraźnie pierwszeństwo; jak zostanie skończona, zdecydują się na dziecko, powiedzieli.

Te dwie pary małżeńskie od czasu do czasu jadały razem kolacje, ale Fletcherowie nie stołowali się w domu - w każdym razie żadne z nich nie gotowało -

zaś Garp przeżywał okres, kiedy wypiekał nawet chleb i kiedy zawsze coś w garnku na kuchni perkotało. Helen i Harrison rozmawiali głównie o książkach, o sprawach dydaktycznych i o swoich kolegach; jadalili razem lunch w stołówce uniwersyteckiej i prowadzili wieczorami długie dyskusje przez telefon. Garp i Harry chodzili natomiast na mecze futbolowe i koszykówki i na spotkania zapaśnicze; trzy razy w tygodniu grywali w squasha - ulubioną grę Harry'ego, a zarazem jedyny uprawiany przez niego sport, ale Garp potrafił z nim wygrać, ponieważ był ogólnie bardziej wysportowany i dzięki ciągłemu bieganiu w lepszej kondycji. Wobec przyjemności, jaką mu sprawiała ta gra, zdołał powściągnąć swoją niechęć do piłek.

W drugim roku ich przyjaźni Harry powiedział Garpowi, że Alice lubi kino.

- Ja nie lubię - przyznał - ale jeśli ty lubisz, a Helen mówiła, że tak, to mógłbyś czasem zabrać Alice na jakiś film.

Alice Fletcher chichotała w kinie, szczególnie na poważnych filmach; z niedowierzaniem potrzasała głową na widok niemal wszystkiego. Minęło wiele miesięcy, zanim Garp się zorientował, że ma wadę wymowy czy też jakieś nerwowe zahamowania w mówieniu; być może była to sprawa natury psychicznej. Początkowo myślał, że to wina prażonej kukurydzy.

Pewnego wieczoru, odwożąc ją do domu, spytał:

- Ty masz zdaje się jakieś problemy z wymową, Alice, prawda?

- Owthem - skinęła głową. Czasami było to zwykle seplenienie, a czasami coś zupełnie innego. Albo też wszystko było w porządku. Zdenerwowanie wyraźnie pogarszało sprawę.

- Jak się posuwa praca nad książką? - zapytał Garp.

- Dobrze - odpowiedziała. Kiedyś na filmie zdradziła się, podobało jej się „Kunktatorstwo”.

- Czy chciałabyś może, żebym przeczytał coś z twoich rzeczy?

- Owthem - powiedziała kiwając swoją małą główką. Siedziała i krótkimi, mocnymi palcami mięła spódnicę na kolanach. Jej córka, jak Garp zauważył, też wiecznie miętoszyła ubranie - czasami rolowała spódniczka do góry jak żaluzję, ukazując majtki - tak daleko, trzeba przyznać, Alice się nie posuwała.

- Czy to był jakiś wypadek? - zapytał Garp. - To znaczy z tą twoją wadą wymowy. Czy sprawa wrodzona?

- Wrodzona - powiedziała Alice.

Samochód zatrzymał się przed domem Fletcherów i Alice szarpnęła Garpa za

ramię. Otworzyła usta i pokazała palcem, jak gdyby to wyjaśniało wszystko. Garp zobaczył dwa rzędy drobnych, nieskazitelnych ząbków i język, tłusty i różowy jak język dziecka. Nie dopatrzył się niczego szczególnego, ale w samochodzie było ciemno; zresztą nawet gdyby coś zobaczył, to i tak by nie wiedział, co w tym niezwykłego. Kiedy Alice zamknęła usta, stwierdził, że płacze uśmiechając się jednocześnie, jakby to obnażenie się przed nim wymagało ogromnego zaufania. Garp skinął głową, że niby wszystko zrozumiał.

- Rozumiem - bąknął.

Alice otarła łzy wierzchem dłoni; drugą ścisnęła go za rękę.

- Harrithon ma romanth - powiedziała.

Garp wiedział, że nie jest to romanś z Helen, ale nie miał pojęcia, kogo biedna Alice ma na myśli.

- W każdym razie nie z Helen - powiedział.

- Nie, nie - Alice potrząsnęła głową. - Th kimś innym.

- Z kim? - spytał Garp.

- Ze thtudentką! - zakwiliła. - Głupią, małą cipą!

Minęły dwa lata, odkąd Garp napastował Nieopierzonego Kurczaka; od tamtej pory sypiał z jeszcze jedną dziewczyną, która przychodziła do nich jako baby-sitter; ze wstydem uświadomił sobie, że zapomniał, jak miała na imię. Wierzył, i to szczerze, że jeśli chodzi o baby-sitters, ma sprawę raz na zawsze z głowy. Ale solidaryzował się z Harrym, który był jego przyjacielem i którego przyjaźń była tak ważna dla Helen. Współczuł jednak również i z Alice, osobą zdecydowanie budzącą sympatię. Była w niej niewątpliwie jakaś nieuleczalna bezbronność, którą obnosiła jak za ciasny sweter na swoim krępym, nabitym ciele.

- Przykro mi - powiedział. - Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

- Powiedz mu, żeby przethtał - odparła Alice. „Przethtanie” nigdy nie stanowiło problemu dla Garpa, ale Garp nigdy nie był nauczycielem i „thtudentek” nie miał ani w głowie, ani w zasięgu ręki. Może z Harrym było inaczej. Jedyne, co przyszło mu na myśl jako ewentualna pociecha dla Alice, to wyznanie własnych błędów.

- To się zdarza, Alice - powiedział.

- Ale nie tobie - odparła.

- Dwukrotnie - oznajmił.

Popatrzyła na niego wstrząśnięta.

- Powiedz prawdę - nalegała.

- Prawda jest taka, że zdarzyło mi się to dwukrotnie. Za każdym razem z dziewczyną, która przychodziła do nas jako baby-sitter.

- Jezuth Maria - powiedziała Alice.

- Ale to nie miało żadnego znaczenia - wyjaśnił Garp. - Kocham Helen.

- Ale to ma znaczenie - upierała się Alice. - Ja przeto cierpię. I nie mogę pithać.

Garp wiedział coś niecoś na temat pisarzy, którzy nie mogą „pithać”, i z miejsca poczuł sympatię do Alice.

- Pieprzony Harry ma romans - powiedział Helen.

- Wiem - odparła. - Mówiłam mu, żeby dał spokój, ale on brnie w to dalej. Ona nawet nie jest specjalnie dobrą studentką.

- To co robić? - zapytał Garp.

- Pieprzona żądza. Twoja matka miała rację. To problem męski. Ty z nim pogadaj.

- Alice mówiła mi o twoich dupach - powiedział Harry do Garpa. - Ale to jest co innego. To jest dziewczyna wyjątkowa.

- Studentka, Harry! - wykrzyknął Garp. - Jezus Maria!

- Ale wyjątkowa studentka - rzekł Harry. - A ja jestem inny niż ty. Ja uczciwie powiedziałem Alice od samego początku. Musi się przystosować. Powiedziałem jej, że może robić to samo.

- Ale ona nie zna żadnych studentów - zwrócił mu uwagę Garp.

Zna ciebie i kocha się w tobie.

- Co robić? - Garp spytał Helen, - Chce mnie ubrać w Alice, żeby sobie poprawić samopoczucie.

- Przynajmniej był w stosunku do niej uczciwy - powiedziała Helen. Zaległa typowa nocna cisza, kiedy można rozróżnić oddechy poszczególnych członków rodziny. Otwarte drzwi do hallu na górze: oddech Duncana, leniwy oddech ośmiolatka, który ma przed sobą długie życie; Walt: niepewny, urywany oddech dwulatka; Helen - równy i spokojny. Garp wstrzymywał oddech. Wiedział, że ona wie o jego dziewczynach.

- Harry ci wypaplał? - spytał.

- Mogłeś powiedzieć mnie, zanim zwierzyłeś się Alice - rzekła z wyrzutem Helen. - A która była druga?

- Zapomniałem, jak miała na imię - przyznał Garp.

- To żałosne - powiedziała Helen. - Poniżej mojej godności, ale i poniżej twojej. Miałam nadzieję, że z tego wyrosłeś.

- Bo wyrosłem - Garp miał na myśli baby-sitters. Ale czy wyrósł z samej żądzy? Mój Boże. Jenny Fields rozpracowała ten problem w samym sercu swego syna.

- Musimy pomóc Fletcherom - oznajmiła Helen. - Zbyt ich lubimy, żeby obojętnie na to patrzeć. - Helen, ze zdumieniem stwierdził Garp, idzie przez ich wspólne życie, jak gdyby pisała esej: wstęp, ekspozycja i podsumowanie.

- Harry uważa, że ta studentka to coś wyjątkowego - podkreślił Garp.

- Pieprzone chłopy - powiedziała Helen. - Ty się zajmij Alice. A ja pokażę Harrisonowi, co jest naprawdę wyjątkowe.

Tak więc pewnego wieczoru, kiedy Garp przyrządził wspaniałego kurczaka w papryce i spatzle, Helen powiedziała do Garpa:

- My z Harrisonem pozmywamy, a ty odwieź Alice do domu.

- Mam ją odwieźć do domu? - zdziwił się Garp. - Teraz?

- Pokaż mu swoją powieść - powiedziała Helen do Alice. Pokaż mu wszystko, co tylko chcesz. A ja pokażę twojemu mężowi, jaki jest dureń.

- Do licha - rzekł Harry. - Przecież jesteśmy przyjaciółmi i chyba chcemy nimi zostać, prawda?

- Ty głupi sukinsynu - powiedziała Helen. - Pieprzysz studentkę i uważasz, że to coś wyjątkowego. Obrażasz swoją żonę, obrażasz mnie. Ja ci pokażę, co jest naprawdę wyjątkowe.

- Spokojnie, Helen - upomniął ją Garp.

- Zabieraj Alice - poleciła mu. - I niech odwiezie swoją baby-sitter do domu.

- No tylko spojnie - upomniął ją Harrison Fletcher.

- Thamknij się, Harrithon! - rzuciła Alice i biorąc Garpa za rękę wstała od stołu.

- Pieprzone chłopy - powiedziała Helen. Garp, oniemiały jak jamesjanka, wyszedł za Alice z domu.

- Ja odwożę waszą baby-sitter, Alice - zaoferował się.

- Tylko tharath wracaj - przykazała mu Alice.

- Zaraz wrócę - zapewnił ją Garp.

Poprosiła go, żeby przeczytał głośno pierwszy rozdział jej książki.

- Chciałabym to usłyszeć - powiedziała. - A nie mogę thobie tego przeczytać na głos. - A więc Garp jej to przeczytał; tekst, jak stwierdził z ulgą, czytał się doskonale.

Alice pisała tak płynnie i tak starannie, że bez żadnego skrepowania mógłby jej zdania śpiewać, i brzmiałyby pięknie.

- Masz śliczny głos, Alice - powiedział jej i Alice się rozplakała. No i oczywiście zaczęli się kochać; i bez względu na to, co każdy wie na ten temat, było to coś wyjątkowego.

- Prawda, że było? - zapytała Alice.

- Prawda - odparł Garp.

Teraz dopiero, pomyślał, zaczyna się problem.

- I co dalej? - spytała go Helen; udało jej się doprowadzić do tego, że Harrison Fletcher zapomniał o swojej „wyjątkowej” studentce; teraz uważał, że to Helen jest czymś najbardziej wyjątkowym w jego życiu.

- To ty zaczęłaś - powiedział Garp. - Jeśli mamy przestać, ty musisz przestać pierwsza.

- Łatwo ci mówić - broniła się Helen. - Lubię Harrisona, jest moim najlepszym przyjacielem i nie chcę tego stracić. Ale nie zależy mi specjalnie na sypianiu z nim.

- Jemu zależy.

- Mój Boże, wiem - odparła Helen.

- Uważa, że jesteś najlepsza ze wszystkich kobiet, jakie miał - za-pewnił ją Garp.

- Ładna historia. To musi być bardzo miłe dla Alice.

- Alice w ogóle o tym nie myśli - uspokoił ją. Alice myślała o nim; Garp doskonale o tym wiedział i bał się, że to się musi skończyć. Chwilami wydawało mu się, że Alice jest najlepsza ze wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek miał.

- No a ty? - zapytała go Helen. („Równowaga nie istnieje” - Garp miał napisać pewnego dnia.)

- Ja? W porządku - odparł. - Lubię Alice, lubię ciebie, lubię Harry'ego.

- A Alice? - zapytała Helen.

- Alice lubi mnie - odpowiedział Garp.

- O rany - westchnęła Helen. - To znaczy, że wszyscy lubimy się nawzajem, tyle że mnie nie zależy specjalnie na sypianiu z Harrisonem.

- To znaczy, że koniec - powiedział Garp usiłując ukryć ponury nastrój. Alice płakała, że to się nigdy nie może skończyć. („Może? Może? - szlochała. - Ja nie potrafię tak po prostu przethtać”!)

- No, ale czy mimo wszystko nie jest lepiej, niż było? - spytała Helen Garpa.

- Dopięłaś swego - przyznał. - Zdjęłaś Harry'ego z tej jego cholernej studentki. Teraz musisz delikatnie z nim zerwać.

- A co z tobą i Alice? - zapytała Helen.

- Jeśli to jest koniec dla jednego z nas, to musi to być koniec dla wszystkich - odparł Garp. - Tylko w ten sposób będzie uczciwie.

- Sama wiem, co jest uczciwe - oświadczyła Helen. - Ale wiem również, co jest ludzkie.

Zerwania, jakie Garp w myślach przeprowadzał z Alice, przebiegały z reguły według bardzo gwałtownych scenariuszy, pełne niezbornej mowy Alice, i kończyły się zawsze namiętym stosunkiem - jeszcze jedno nie dotrzymane postanowienie, mokre od potu, ckiwe i lepkie od seksu, owhem, tak.

- Alice jest chyba lekko stuknięta - powiedziała Helen.

- Ona jest zupełnie dobrą pisarką - odparł Garp. - Naprawdę obiecującą.

- Pieprzeni pisarze - mruknęła Helen.

- Harry nie docenia jej talentu - Garp usłyszał swoje własne słowa.

- O rany - burknęła Helen. - Ostatni raz próbuję ratować czyjeś małżeństwo, poza swoim własnym.

Upłynęło sześć miesięcy, zanim Helen udało się w miarę łagodnie zerwać z Harrym. W tym czasie Garp spotykał się z Alice, jak tylko mógł najczęściej, usiłując ją przygotować na to, że ich czworokąt nie może być strukturą trwałą. Jednocześnie usiłował przygotować siebie, ponieważ odczuwał lęk na myśl o tym, że będzie musiał z nią zerwać.

- To jednak nie jest to samo dla wszystkich nas czworga - powiedział. - Trzeba będzie przestać, i to bardzo szybko.

- Dlaczego? - spytała Alice. - Przecież to się jeszcze nie skończyło, prawda?

- Jeszcze nie - przyznał Garp. Czytał jej głośno wszystkie słowa, które napisała, i kochali się bez przerwy, tak że go szczypało, kiedy brał prysznic, i nie mógł wkładać ciasnych slipów do biegania.

- Musimy to robić i robić - mówiła Alice żarliwie. - Dopóki możemy.

- Wiesz przecież, że to nie może trwać długo - Garp usiłował przestrzec Harry'ego podczas gry w squasha.

- Wiem, wiem - powiedział Harry - ale to jest cudowne, kiedy trwa, prawda?

- Prawda? - nalegała Alice. Czy Garp kochał Alice? Owhem, tak.

- Tak, tak - powiedział Garp kiwając głową. Wydawało mu się, że tak.

Ale Helen, która miała z tego najmniej przyjemności, ucierpiała najbardziej; kiedy wreszcie ogłosiła koniec, nie była w stanie ukryć swojej euforii. Pozostała trójka nie była w stanie ukryć urazy - że potrafi być taka radosna, kiedy im jest tak smutno. Bez żadnego formalnego nakazu przyjęli sześciomiesięczne moratorium na wzajemne widywanie się - wszelkie poza przypadkowym. Oczywiście Helen i Harry widywali się na uczelni. Garp i Alice spotykali się w supermarkecie. Kiedyś nawet celowo najechała na niego swoim wózkiem; mały Walt dostał się pomiędzy różne produkty i puszki z sokiem, a córka Alice była równie przerażona zderzeniem.

- Odczułam potrzebę kontaktu - powiedziała Alice i pewnego dnia, bardzo późno, kiedy Helen i Garp już leżeli w łóżku, zadzwoniła do nich do domu.

- Czy jest u was Harrithon? - spytała.

- Nie, Alice, a czy coś się stało? - odparła Helen.

- Nie ma go w domu. Nie widziałam go cały wieczór!

- Może przyjechać i posiedzieć z tobą, co? - zaproponowała Helen. - A Garp pójdzie poszukać Harrisona.

- A czy Garp nie może przyjechać i ze mną posiedzieć? - zapytała Alice. - A ty byś poszukała Harrithona.

- Nie, ja przyjadę z tobą posiedzieć - odparła Helen. - Tak będzie lepiej. A Garp poszuka Harrisona.

- Ja chcę Garpa - upierała się Alice.

- Bardzo mi przykro, ale będziesz się musiała bez niego obejść - oświadczyła Helen.

- Przepraszam, Helen - Alice zaczęła płakać w słuchawkę wyrzucając z siebie potoki słów, których Helen nie była w stanie zrozumieć. Oddała słuchawkę Garpowi.

Garp na przemian to przemawiał do Alice, to jej słuchał niemal przez godzinę. Nikt nie poszedł szukać „Harrithona”. Helen była z siebie rada: przez te sześć miesięcy, kiedy pozwoliła sprawie trwać, trzymała się w ryzach; teraz, kiedy było po wszystkim, oczekiwała, że reszta przynajmniej będzie nad sobą jako tako panowała.

- Jeżeli Harrison znów pieprzy studentki, to ja go naprawdę skreślam - powiedziała. - Co za dureń! A skoro Alice uważa się za pisarkę, to dlaczego nie pisze? Jeśli rzeczywiście ma tyle do powiedzenia, to po co marnuje słowa przez telefon?

Czas, Garp wiedział, uleczy wszystko. Czas miał również pokazać, że mylił się w ocenie pisarstwa Alice. Może i miała ładny głos, ale nie była w stanie niczego doprowadzić do końca; nigdy nie skończyła swojej drugiej powieści, w każdym razie

nie w ciągu lat trwania ich znajomości - ani w następnych. Potrafiła powiedzieć wszystko bardzo pięknie, ale - jak Garp wyznał Helen, kiedy miał już dosyć Alice - nie potrafiła niczego skończyć. Nie potrafiła przethtać.

Harry też nie potrafił rozegrać swoich kart dobrze ani mądrze. Uniwersytet odmówił mu tenure⁴, co było dotkliwą stratą dla Helen, która bardzo sobie ceniła jego przyjaźń. Jednakże ze studentką, którą Harrison dla niej rzucił, nie poszło tak łatwo: zaczęła się skarżyć na wydziale, że została uwiedziona - aczkolwiek te skargi wynikały oczywiście z tego, że została porzucona. Wywołało to zdziwienie wśród kolegów Harry'ego, ale oczywiście poparcie Helen w sprawie etatu dla Harrisona Fletchera zostało po cichu zignorowane - porzucona studentka zadbała i o to, żeby się wszyscy dowiedzieli o związku Helen z Harrisonem.

Nawet Jenny Fields, mimo swoich poglądów na sprawę kobiet, zgodziła się z Garpem, że etat samej Helen na uniwersytecie, tak hojnie jej zaoferowany, kiedy była młodsza od biednego Harry'ego, miał być symbolicznym gestem ze strony wydziału anglistyki. Prawdopodobnie ktoś im powiedział, że powinni mieć kobietę na stanowisku adiunkta, i akurat nawinęła się Helen. I chociaż Helen nigdy nie wątpiła we własne kwalifikacje, to jednak wiedziała, że wcale nie kwalifikacjom zawdzięcza tę propozycję.

Ale Helen nie sypiała ze studentami; jeszcze nie wtedy. A Harrison Fleteher w niewybaczalny sposób pozwolił, żeby sprawy seksualne stały się dla niego czymś bardziej „wyjątkowym” niż praca. Dostał jednak inną posadę. I być może to, co zostało z przyjaźni Garpów z Fletcherami, uratował wyjazd Harrisona i Alice. W ten sposób widywali się dwa razy do roku; oddalenie rozmyło osad urazy. Alice mogła się wypowiadać w swojej nieskazitelnej prozie - za pośrednictwem listów do Garpa. Pokusa, żeby się dotknąć nawzajem czy choćby zderzyć wózkami w supermarkecie, też zniknęła i pozostali przyjaciółmi jak wielu innych starych przyjaciół: to znaczy, kiedy się do siebie odzywali czy spotykali czasami. A kiedy tych kontaktów nie było, po prostu nie myśleli o sobie.

Garp wyrzucił swoją drugą powieść i zaczął pisać drugą drugą powieść. Odwrotnie niż Alice - był prawdziwym pisarzem nie dlatego, że pisał lepiej niż ona, ale dlatego, że wiedział to co powinien wiedzieć każdy artysta: że „człowiek rozwija się tylko kończąc jedno, a zaczynając drugie”. Nawet jeśli te tak zwane zakończenia i

⁴ Tenure - rodzaj dożywotniego etatu, z którego korzystają pracownicy naukowcy i dydaktyczni uczelni amerykańskich (przyp. tłum.).

początki są złudzeniami. Garp nie pisał szybciej od innych ani więcej; po prostu pracował ze świadomością zakończenia dzieła.

Jego druga powieść była rozdęta, zdawał sobie z tego sprawę, przez cały ładunek nie wykorzystanej energii, jaka mu została po Alice.

Była to książka pełna meandrujących dialogów i seksu, który zwykle przyprawiał partnerów o cierpienie; seks wywoływał też u nich poczucie winy, a przy tym jeszcze większe pożądanie. Ten paradoks wytknęło wielu recenzentów; jedni uważali go za błyskotliwy, inni za głupi. Któryś z recenzentów wyraził się o powieści, że jest pełna gorzkiej prawdy, pospieszył jednak dodać, że ta gorycz kwalifikuje ją jako zaledwie drugorzędną klasykę. Gdyby „odfiltrować” trochę tej goryczy, teoretyzował, „ukazałaby się prawda w czystej formie”.

Znacznie więcej bzdur wypisywano na temat „tezy” powieści. Jeden z recenzentów zmagął się z koncepcją, że powieść lansuje założenie, że tylko stosunek płciowy jest zdolny umożliwić ludziom dogłębne wzajemne poznanie się, ale jednocześnie w akcie płciowym ludzie tracą całą głębię, jaką posiadają. Garp oświadczył, że jego książka nigdy nie miała żadnej tezy, i opryskliwie powiedział dziennikarzowi przeprowadzającemu z nim wywiad, że napisał „poważną komedię na temat małżeństwa, która jest zarazem seksualną farsą”. Później napisał, że „pociąg płciowy zamienia w farsę nasze najpoważniejsze intencje”.

Niezależnie jednak od tego, co powiedział o niej sam Garp czy recenzenci, książka nie odniosła sukcesu. Zatytułowana „Drugi oddech rogacza” nie była właściwie jasna dla nikogo; nawet recenzje były niejasne. Jeśli chodzi o liczbę sprzedanych egzemplarzy, różnica w stosunku do „Kunktatorstwa” wyniosła kilka tysięcy na niekorzyść „Rogacza” i chociaż John Wolf zapewniał Garpa, że taki los często spotyka drugie powieści, to jednak Garp - po raz pierwszy w życiu - miał poczucie klęski.

John Wolf, który był dobrym wydawcą, chronił go szczególnie przed pewną recenzją aż do momentu, kiedy się zląkł, że może ona wpaść w ręce Garpa przypadkowo. Bardzo niechętnie posłał mu w końcu wycinek z gazety Wybrzeża Zachodniego z notatką, w której informował go, że podobno recenzent cierpi na zaburzenia hormonalne. Autor recenzji pisał krótko, wężłowato, że jest to zarazem żalose i patetyczne, że S. T. Garp, „pozbawiony talentu syn sławnej feministki Jenny Fields, napisał powieść seksistowską, która dosłownie nurza się w seksie - nie mając nawet

pretensji do charakteru instruktażowego". I tak dalej.

Garp, wychowany przez Jenny Fields, nie przejmował się specjalnie tym, co o nim myślą inni, ale Helen też nie podobał się „Drugi oddech rogacza”. I nawet Alice w żadnym ze swoich, rozkochanych listów ani słowem nie wspomniała o książce.

„Drugi oddech rogacza” była to powieść o dwóch parach małżeńskich, które łączy wspólny romans.

- O rany - powiedziała Helen, kiedy się dowiedziała, o czym, jest książka.

- To nie jest o nas - wyjaśnił Garp. - Nic z tych rzeczy. Po prostu tylko wykorzystuję nasze przeżycia.

- Zawsze mi mówiłeś - zauważyła Helen - że powieści autobiograficzne są najgorsze.

- Ale ta nie jest autobiograficzna - odparł Garp. - Przekonasz się sama.

Nie przekonała się. Chociaż bowiem w książce nie występowali Helen, Garp, Harry i Alice, to jednak opowiadała ona o czworgu ludziach, których nierówny i pełen seksualnych zmagani wzajemny stosunek okazuje się ostatecznie kompletnym niewypałem.

Każda osoba z tego czworokąta ma jakiś fizyczny feler. Jeden z mężczyzn jest ślepy. Drugi jąka się tak potwornie, że jego kwestie są niebywale trudne i denerwujące w czytaniu. Jenny objechała Garpa za to, że w tani sposób ośmiesza zmarłego pana Tinch, ale pisarze - Garp miał smutną świadomość tego faktu - są po prostu obserwatorami, dobrymi i pozbawionymi skrupułów naśladowcami ludzkich zachowań. Garp nie chciał obrazić pamięci Tinch; po prostu wykorzystał jedną z jego cech.

- Nie rozumiem, jak mogłeś zrobić coś takiego Alice - narzekała Helen.

Helen miała na myśli ułomności, zwłaszcza kobiet. Jedna mianowicie cierpi na skurcze mięśniowe w prawej ręce - wali nią na oślep tłukąc kieliszki z winem, doniczki z kwiatami, dzieci po twarzach; raz, trzymając właśnie sekator, o mało nie pozbawiła męskości swojego męża. I tylko jej kochanek, mąż tej drugiej kobiety, jest w stanie uspokoić ów koszmarny przypadkowy skurcz, tak że kobieta po raz pierwszy w życiu staje się posiadaczką doskonałego, wolnego od jakichkolwiek wad ciała, odznaczającego się celowością ruchu, kontrolowanego i całkowicie podporządkowanego jej woli.

Druga kobieta cierpi na nie dające się przewidzieć ani opanować wzdęcia. Jąkała jest żonaty z pierdulą, ślepiec z niebezpieczną rączką.

Trzeba oddać Garpowi sprawiedliwość, że nikt z całego czworokąta nie jest pisarzem. („Powinniśmy pewnie być jeszcze wdzięczni za te drobne względy, co?” - spytała Helen.) Jedno z małżeństw jest bezdzietne, z wyboru. Druga para próbuje mieć dziecko; kobieta zachodzi nawet w ciążę, ale na jej radość kładzie się cieniem niepokój wszystkich czworga co do tożsamości prawdziwego ojca. Który to z nich dwóch? Obie pary pilnie wypatrują jakichś znaczących symptomów u nowo narodzonego dziecka. Czy będzie się jękało, pierdziło, waliło ręką na oślep czy może będzie ślepe? (Garp widział w tym swój ostateczny komentarz - wypowiedziany w imieniu matki - do sprawy genów.)

Jest to do pewnego stopnia powieść optymistyczna, mimo że przyjaźń pomiędzy dwiema parami przekonuje je ostatecznie o konieczności zerwania. Bezdzietne małżeństwo rozchodzi się później, rozczarowane do siebie nawzajem, aczkolwiek niekoniecznie w wyniku eksperymentu. Para z dzieckiem pozostaje razem; dziecko rozwija się bez żadnego widocznego feleru. Ostatnia scena powieści przedstawia przypadkowe spotkanie dwóch kobiet; mijają się na schodach ruchomych domu towarowego w okresie Bożego Narodzenia - pierdula jedzie w górę, niebezpieczna rączka w dół. Obie są obciążone zakupami. W momencie kiedy się mijają, kobieta cierpiąca na niekontrolowane gazy puszcza trzy ostre bąki jednego po drugim; kobieta dotknięta nerwowym tikiem zwała starszego mężczyznę z jadących schodów, a ten z kolei podcina nogi całej masie ludzi. Ale jest Boże Narodzenie. Na ruchomych schodach są tłumy i panuje gwar; nikomu nie staje się nic złego, a poza tym wszystko się w tym okresie wybacza. Dwie kobiety oddalające się od siebie na swoich mechanicznych transporterach ze zrozumieniem traktują nawzajem swoje ułomności; uśmiechają się do siebie ponuro.

- To jest przecież komedia! - wykrzykiwał Garp w kółko. - Do nikogo ten fakt nie dotarł. To ma być bardzo śmieszne. Jaki wspaniały byłby z tego film!

Ale nikt nie kupił praw nawet na tanie broszurowe wydanie.

Jak wynikało z losów człowieka, który chodził tylko na rękach, Garp miał obsesję na punkcie ruchomych schodów.

Helen powiedziała, że nikt u nich na wydziale nie wspomniał przy niej słowem „Drugiego oddechu rogowca”; co do „Kunktatorstwa”, to wiele życzliwych osób przynajmniej próbowało rozmowy. Helen uważała książkę za pogwałcenie swojej intymności i miała nadzieję, że to tylko mania, która wkrótce Garpowi minie.

- Na miłość boską, czy oni naprawdę uważają, że to masz być ty? - zapytał

Garp. - I co ci twoi głupi koledzy sobie do diabła myślą? Czy ty tam w pracy popierdajesz? Czy może na zebraniach wydziału wyskakuje ci nagle ręka ze stawu barkowego, co? A czy biedny Harry jękał się na wykładach? - wściekał się Garp. - A może ja jestem ślepy, co?

- Owszem, jesteś - powiedziała Helen. - Masz własny pogląd na to, co jest fikcją, a co faktem, ale czy sobie wyobrażasz, że inni znają klucz do twojego systemu? To wszystko w jakiś sposób stanowi twoje doświadczenie - obojętne, jak wiele z tego wymyśliłeś, nawet jeśli jest to tylko doświadczenie wyimaginowane. Ludzie są przekonani, że to jestem ja i że to jesteś ty. A czasem i ja sama tak myślę.

Ślepy mężczyzna w książce jest geologiem.

- Czy ktoś widział, żebym się zabawiał minerałami? - wykrzykiwał Garp.

Cierpiąca na wzdęcia kobieta podejmuje na ochotnika pracę w szpitalu; jest młodszą pielęgniarką.

- Czy moja matka ma jakąś pretensję? - zapytał Garp. - Czy pisze do mnie i zwraca mi uwagę, że nigdy nie spierdziała się w szpitalu, że robi to tylko w domu i zawsze w sposób kontrolowany?

Ale Jenny Fields miała do Garpa pretensję o „Drugi oddech rogowca”. Powiedziała mu, że wybrał niewybaczalnie wąski temat bez ogólniejszego znaczenia.

- Ma na myśli oczywiście seks - powiedział Garp. - Klasyczna historia. Kobieta, która nie wie, co to pociąg płciowy, pozwala sobie pouczać innych, co ma znaczenie ogólniejsze, a co nie. Jest jak papież, który ślubuje czystość podejmując w imieniu milionów decyzje na temat antykoncepcji. Świat jest naprawdę szalony!

Najnowsza przyjaciółka Jenny Fields miała metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, nazywała się Roberta Muldoon i była hermafrodytą. Jako Robert Muldoon grała w obronie Filadelfijskich Orłów; po udanej operacji zmiany płci jej waga spadła ze stu sześciu i pół do osiemdziesięciu jeden i pół kilograma. Dawki estrogenów wpłynęły też na zmniejszenie jej gigantycznej niegdyś siły i wytrzymałości; Garp był również zdania, że jej słynne kiedyś „błyskawiczne ręce” nie były już tak błyskawiczne, ale Roberta stanowiła wspaniałą towarzyszkę dla Jenny Fields; uwielbiała matkę Garpa. To bowiem właśnie „Seksualnie podejrzana” natchnęła Roberta Muldoona chęcią poddania się zabiegowi zmiany płci, kiedy pewnej zimy w jednym ze szpitali w Filadelfii odbywał rekonwalescencję po operacji kolana.

Jenny Fields udzielała teraz przyjaciółce poparcia w jej konflikcie z telewizją, która, jak twierdziła Roberta, potajemnie zobowiązała się nie angażować jej jako

komentatora sportowego w sezonie futbolowym. Znajomość futbolu Roberty nie ucierpiała ani na jotę mimo tych wszystkich estrogenów - dowodziła Jenny; napływające bez przerwy fale poparcia z różnych uczelni w całym kraju uczyniły z niemal dwumetrowej Roberty Muldoon postać silnie kontrowersyjną. Roberta była inteligentna, potrafiła mówić i oczywiście doskonale znała się na futbolu; stanowiłaby groźną konkurencję dla kretynów, którzy zwykle komentowali rozgrywki.

Garp ją lubił. Rozmawiali o futbolu i grywali w squasha. Roberta zawsze wygrywała z Garpem pierwszych kilka gemów - była od niego znacznie potężniejsza i bardziej wysportowana - ale nie dorównywała mu wytrzymałością i będąc znacznie większa szybciej się męczyła. Zmęczyła się również swoją walką z telewizją, ale za to nabrała wytrwałości w innych, znacznie ważniejszych sprawach.

- Oceniam cię o wiele wyżej niż Stowarzyszenie Miłośniczek Ellen James - mawiał Garp. Znacznie większą przyjemność sprawiały mu wizyty Jenny, kiedy przychodziła z Robertą. No i Roberta godzinami potrafiła bawić się w piłkę z Duncanem. Obiecała mu nawet, że go kiedyś zabierze na mecz, jak będą grały Orły, ale tego Garp najbardziej się obawiał. Roberta mogła stanowić cel różnych ataków; miała wielu wrogów. Garp wyobrażał sobie najrozmaitsze zamachy, łącznie z bombowymi, na Robertę i Duncana; oczyma duszy widział, jak chłopak znika gdzieś na ogromnym, wypełnionym szalejącym tłumem stadionie w Filadelfii, gdzie może być napastowany przez zboczeńca.

Takie obrazy podsuwały Garpowi przesyczone nienawiścią fanatyczne listy, jakie otrzymywała Roberta, ale kiedy Jenny pokazała mu podobne listy skierowane do siebie, zaczął się niepokoić i o nią. Był to aspekt popularności matki, którego Garp nie brał pod uwagę: że wiele osób autentycznie ją znienawidzi. Pisali na przykład, że jej życzą, żeby dostała raka. A do Roberty Muldoon, że mają nadzieję, że jej - czy też jego - rodzice już nie żyją. Pewne małżeństwo napisało do Jenny, że chcieliby, żeby została sztucznie zapłodniona spermą słonia i w ten sposób rozsadzona od środka. Ten list był podpisany: „Legalne małżeństwo”.

Jeden mężczyzna napisał do Roberty Muldoon, że przez całe życie był kibicem Orłów, że nawet jego dziadkowie urodzili się w Filadelfii, ale teraz zamierza zostać kibicem Gigantów albo Czerwonoskórych i przenieść się do Nowego Jorku albo Waszyngtonu - „albo nawet do Baltimore, jeśli zajdzie potrzeba” - ponieważ taki zboczeniec jak Roberta zdeprawował cały ich atak.

Pewna kobieta napisała do niej, że ma nadzieję, że Roberta dostanie się w łapy

Jeźdźców Oaklandzkich. Uważa ich za najohydniejszą drużynę futbolową; być może oni już jej pokażą, jak to przyjemnie być kobietą.

Obrońca z drużyny futbolowej ze szkoły średniej w Wyoming napisał do Roberty, że *przez* nią wstydzi się być dalej w obronie i przechodzi na skrzydłowego. Jak do tej pory nie ma jeszcze hermafrodytów wśród skrzydłowych.

Napastnik z drużyny uniwersyteckiej z Michigan napisał do Roberty, że gdyby kiedykolwiek była w Ypsilanti, to chciałby ją wypieprzyć, ale żeby koniecznie była w naramiennikach.

- To jest nic - oświadczyła Roberta Garpowi. - Twoja matka dostaje znacznie gorsze listy. Jest znienawidzona przez dużo większą liczbę osób.

- Mamo - powiedział Garp. - Dlaczego się nie wyłączysz na jakiś czas? Weź sobie urlop. Napisz drugą książkę. - Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie namawiał Jenny do czegoś takiego, ale nagle dostrzegł w niej potencjalną ofiarę wystawiającą się poprzez inne ofiary na całą nienawiść, okrucieństwo i brutalność świata.

Pytana przez dziennikarzy, Jenny odpowiadała zawsze, że pisze następną książkę; jedynie Garp, Helen i John Wolf wiedzieli, że to nieprawda, że Jenny nie napisała ani słowa więcej.

- W swojej sprawie zrobiłam wszystko, co chciałam - oświadczyła synowi. - Teraz interesują mnie inni ludzie. A ty zajmujesz się tylko sobą - dodała poważnie, jakby jej zdaniem Garp jako introwertyk żyjący w świecie wyobraźni przyjął znacznie bardziej niebezpieczną postawę życiową.

Helen zresztą też się tego obawiała - zwłaszcza wtedy, kiedy Garp nie pisał; a właśnie przez z górą rok po „Drugim oddechu rogowca” nie pisał nic. Potem niby przez rok pisał, ale wszystko wyrzucił. Wreszcie zajął się korespondencją ze swoim wydawcą; listy Garpa były najtrudniejsze do czytania ze wszystkich, jakie John Wolf dostawał, nie mówiąc już o odpisywaniu. Niektóre miały po dziesięć-dwanaście stron; w większości z nich Garp zarzucał Johnowi Wolfowi, że nie lansuje „Drugiego oddechu rogowca” tak, jakby mógł.

- Wszystkim ta książka wydała się niesmaczna - przypomniał mu John Wolf. - Jak mogliśmy ją lansować?

„Nigdy jej nie popierałeś” - pisał Garp.

Helen poprosiła Wolfa, żeby okazał cierpliwość w stosunku do Garpa, ale John Wolf znał dobrze pisarzy i był tak cierpliwy i uprzejmy, jak tylko potrafił.

W końcu Garp zaczął pisywać do innych ludzi. Odpowiedział między innymi na kilka obelżywych listów skierowanych do matki - na te nieliczne, które miały adresy zwrotne. Pisał długie epistoły usiłując wyperswadować ludziom ich nienawiść.

- Robi się z ciebie działacz społeczny - powiedziała mu Helen, ale Garp był gotów odpowiedzieć nawet na niektóre obelżywe listy napływające do Roberty; Roberta miała jednak nowego kochanka i obelżywe listy spływały po niej jak woda po gęsi.

- Jezus - wypominał jej Garp - ledwie zmieniałaś płęć, a już się kochasz. Wiesz co, Roberta, jak na obrońcę futbolowego z cyckami jesteś naprawdę męcząca.

Byli bardzo dobrymi przyjaciółmi i namiętnie grywali w squasha, ilekroć Roberta i Jenny przyjeżdżały do miasta, ale zdarzało się to za rzadko, żeby zając Garpowi cały wolny czas i skanalizować jego niepokój. Godzinami grywał w różne gry z Duncanem i czekał, aż Walt dorośnie na tyle, żeby i on mógł grać. A tymczasem szykował numer.

- Trzecia powieść jest z reguły najlepsza - zapewnił Helen John Wolf, czując, że niepokój Garpa zaczyna ją nużyć i że trzeba podtrzymać Helen na duchu. - Daj mu tylko czas, a zobaczysz, przyjdzie samo.

- Skąd on może wiedzieć, że trzecia powieść jest najlepsza? - pieklił się Garp. - Moja trzecia powieść nawet nie istnieje. A i druga, biorąc pod uwagę, jak została wydana, mogłaby z powodzeniem nie istnieć. Ci wydawcy z ich mitami i samospelniającymi się przepowiedniami! Skoro tyle wie na temat trzecich powieści, to dlaczego sam nie napisze trzeciej powieści? Dlaczego nie napisze pierwszej?

Ale Helen uśmiechała się tylko i całowała go; zaczęła z nim nawet chodzić do kina, czego nie cierpiała. Była zadowolona z pracy; dzieci rosły szczęśliwe. Garp okazał się dobrym ojcem i dobrym kucharzem i kochał się z nią w sposób bardziej wyszukany, teraz kiedy nie pisał, niż przedtem, kiedy ciężko pracował. Samo przyjdzie, myślała.

Jej ojciec, poczciwy, stary Ernie Holm, zaczął zdradzać pierwsze objawy choroby serca, ale było mu dobrze w Steering. Każdej zimy razem z Garpem robili wyprawy do Iowy na jedno z ważniejszych spotkań zapaśniczych. Helen była przekonana, że zahamowanie Garpa w sprawie pisania to nic poważnego i że należy je po prostu przeczekać.

- Przyjdzie samo - powiedziała Garpowi Alice Fletcher przez telefon - nie można tego forthować.

- Nie mam zamiaru niczego forsować - zapewnił ją - ponieważ nie ma nic do forsowania. - Ale pomyślał jednocześnie, że pociągająca Alice, która nigdy niczego nie potrafiła skończyć - nawet swojej miłości do niego - nie zrozumie, co chciał przez to powiedzieć.

A potem Garp sam zaczął dostawać obraźliwe listy. Jeden z nich, bardzo agresywny w tonie, pochodził od kogoś, kto poczuł się dotknięty „Drugim oddechem rogacza”. Nie był to ślepy, jąkający pierdziel z nerwowym tikiem, jak należało się spodziewać. List przyszedł w porę, żeby wyrwać Garpa ze stanu apatii.

Drogi Kretynie, (pisała obrażona autorka)

Przeczytałam twoją powieść. Problemy innych ludzi najwyraźniej wydają ci się bardzo zabawne. Widziałam twoje zdjęcie. Mając taką szopę na głowie możesz się oczywiście spokojnie śmiać z łysych. W swojej okrutnej książce naśmiewasz się też z ludzi, którzy nie zaznali orgazmu i którym się nie powiodło w małżeństwie, jak również z tych, których żony i mężowie zdradzają. Może cię zainteresuje, że ludzie borykający się z takimi problemami wcale nie uważają ich za śmieszne. Spójrz na świat, kretynie - jest on siedliskiem bólu, pełnym ludzi cierpiących, którzy nie wierzą w Boga i nie potrafią nawet przyzwolicie wychować własnych dzieci. A ty, kretynie, widocznie nie masz sam żadnych problemów, skoro możesz się spokojnie naśmiewać z tych, co je mają. Z poważaniem I. B. Poole Findlay, Ohio.

Garp odebrał ten list jak policzek; chyba nigdy nie czuł się tak dogłębnie nie rozumiany. Dlaczego ludzie upierają się, że skoro jesteś „komiczny”, to nie możesz być jednocześnie poważny? Garp uważał, że większość ludzi myli głębię z trzeźwością, a szczerłość z myślicielstwem. Wystarczy tylko robić wrażenie poważnego, żeby nim być. Przypuszczalnie inne stworzenia nie potrafią się z siebie śmiać; dla Garpa śmiech graniczył z życzliwością, a tej nigdy, nie jest za dużo. Ostatecznie jako dziecko nie miał poczucia humoru i nie był religijny - może dlatego brał komedię znacznie poważniej niż inni.

Fakt, że jego wizję rozumiano jako szydzenie z ludzi, zabolął go bardzo, zaś wniosek, że jego sztuka czyni go w ludzkich oczach okrutnym, przyprawił go o dojmujące poczucie klęski. Bardzo ostrożnie, jakby mówił do potencjalnej samobójczyni, znajdującej się na wysokim piętrze nieznanego i nieprzyjaznego hotelu, Garp odpisał swojej czytelnicy z Findlay, Ohio.

Droga pani Poole,

Świat jest siedliskiem bólu, ludzie rzeczywiście cierpią okropnie, niewielu z nas wierzy w Boga czy wychowuje dobrze swoje dzieci; ma pani co do tego całkowitą rację. Prawdą jest również, że ci, co mają poważne problemy, z reguły nie uważają ich za śmieszne.

Horace Walpole powiedział kiedyś, że świat jest komiczny dla tych, którzy myślą, a tragiczny dla tych, co czują. Zgodzi się pani ze mną chyba, że podobnym stwierdzeniem Horace Walpole upraszcza nieco świat. Z pewnością oboje i myślimy, i czujemy. Co zaś do komizmu i tragizmu, droga pani Poole - świat stanowi mieszaninę jednego i drugiego. Z tego powodu nie mogę zrozumieć, dlaczego pojęcia „poważne” i „śmieszne” mają być przeciwstawne. Fakt, że ludzkie problemy bywają śmieszne, a ludzie mimo to są często smutni, stanowi dla mnie jedynie rzeczywistą sprzeczność.

Wstyd mi jednak, iż uważa pani, że wyśmiewam czy wyszydzam ludzi. Traktuję ich bowiem bardzo poważnie. Mówiąc szczerze, jedyne, co naprawdę poważnie traktuję, to ludzi. Stąd też dla ludzkich zachowań nie mam nic poza życzliwością i nic poza śmiechem na pocieszenie bliźnich.

Śmiech uważam za swoją religię, pani Poole. Ale jak to bywa z większością religii, jest on, przyznaję, dość rozpaczliwy. Dla zilustrowania tego, co pisze, chciałbym pani opowiedzieć pewną historię. Rzecz dzieje się w Bombaju, Indie, gdzie codziennie wiele ludzi umiera z głodu; ale nie wszyscy w Bombaju głodują.

Otóż wśród nie głodującej części mieszkańców Bombaju, Indie, odbywał się ślub i na cześć państwa młodych wydano przyjęcie. Część gości przyprowadziła na to przyjęcie słonie. Nie ze snobizmu jednak; traktowali je jako środek transportu. I chociaż ten sposób podróżowania może nam się wydać ostentacyjny, to jednak ci goście tego tak nie odczuwali. Większość z nich najprawdopodobniej nie była w bezpośredni sposób odpowiedzialna za to, że całe rzesze ich rodaków głodują; zrobili sobie po prostu „wolne” od swoich własnych problemów i od problemów świata, żeby wziąć udział w weselu przyjaciela. Gdyby pani jednak należała do grona głodujących Hindusów i przechodząc przypadkiem koło tego wesela zobaczyła tamte zaparkowane słonie, z pewnością odczułaby to pani jako przykrość.

Co więcej, kilku biesiadników mając już w czubie zaczęło pić swojego słonia piwem. Opróżnili wiaderko z lodem, napełnili je piwem, chichocząc wylegli na

parking i dali to zgrzanemu słoniowi do wypicia. Zwierzęciu zasmakowało piwo, więc weselnicy dali mu jeszcze kilka wiader.

Kto wie, jak piwo może podziałać na słonia? Ci ludzie nie mieli na myśli nic złego; oni się po prostu dobrze bawili - a mogli słusznie przypuszczać, że reszta ich życia nie będzie w stu procentach zabawą. Może to wesele było im potrzebne. Ale ci ludzie zachowywali się oczywiście głupio i nieodpowiedzialnie.

Gdyby któryś z licznych głodujących Hindusów przywlókł się wtedy na parking i zobaczył, jak pijani weselnicy poją słonia piwem, założę się, że byłby rozgoryczony. Mam nadzieję, że pani nie uważa, że się z kogokolwiek wyśmiewam.

Następnie pijani weselnicy zostają wyproszeni z wesela, ponieważ ich zachowanie uraża pozostałych gości; nikt nie może tych pozostałych potępiać gości za to, że tak czują; niektórzy z nich mogli nawet uważać, że zapobiegają w ten sposób „wymknięciu się spraw spod kontroli”, aczkolwiek rzadko się to ludziom udaje.

Obrażeni i podochoceni piwem biesiadnicy wdrapali się na swojego słonia, zrobili w tył zwrot i odjechali z parkingu demonstrując oczywiście radosny nastrój i wpadając po drodze na inne słonie i przedmioty, ponieważ ich pojazd zataczał się w pijanym widzie, zamroczony i wzdęty od wiader piwa. Wymachiwał też trąbą w przód i w tył jak źle przymocowaną protezę. Ogromne zwierzę tak kiepsko trzymało się na nogach, że wpadło na słup elektryczny łamiąc go i zwalając sobie na łeb przewody wysokiego napięcia - wszyscy zginęli na miejscu: i słoń, i jego pasażerowie.

Niech mi pani wierzy, droga pani Poole, nie ma w tym dla mnie nic śmiesznego. Ale nagle nadchodzi jeden z tych głodujących Hindusów. Widzi weselników oplakujących śmierć swoich przyjaciół i ich słonia: zawođenje, darcie pięknych szat, marnotrawienie dobrego jedzenia i picia. Pierwsza rzecz, to wślizguje się do weselnego domu, podczas kiedy goście są zajęci czym innym, i kradnie trochę dobrego jedzenia i picia dla głodującej rodziny. A zaraz potem śmieje się do rozpuku z losu, jaki biesiadnicy zgotowali sobie i swemu słoniowi. W zestawieniu ze śmiercią głodową to efektowne umieranie musiało się wydać nie dożywionemu Hindusowi śmieszne, a przynajmniej szybkie. Ale goście weselni patrzą na to inaczej. Dla nich to już jest tragedia; oni już mówią o „tragicznym wydarzeniu” i chociaż przeszliby może do porządku nad obecnością „parszywego żebraka” na swoim przyjęciu - czy nawet przyknęliby oko na kradzież jedzenia - to przecież nigdy mu nie wybaczą

tęgo, że śmiali się z ich zmarłych przyjaciół i ze słonia.

Otóż goście weselni, rozwścieczeni zachowaniem żebraka (jego śmiechem, nie kradzieżą i lachmanami), topią go w wiadrze piwa, którego zmarli biesiadnicy używali do pojenia swojego słonia. Uważają, że w ten sposób sprawiedliwości staje się zadość. Wynika więc z tego, że historia dotyczy walki klasowej i że jest mimo wszystko „poważna”. Ale ja wolę widzieć ją jako komedię, która ma za temat naturalne nieszczęście, występują w niej bowiem zwykli ludzie w dość głupi sposób usiłujący zapanować nad sytuacją, której złożoność przerasta ich siły i która składa się zarówno z elementów wiecznych, jak i błahostek. Ostatecznie z czymś tak ogromnym jak słoń mogło być znacznie gorzej.

Mam nadzieję, droga pani Poole, że udało mi się nieco wyjaśnić moje intencje. W każdym razie jestem wdzięczny, że zadała pani sobie trud, żeby do mnie napisać, ponieważ głosy moich słuchaczy, nawet krytyczne, są dla mnie bardzo ważne. Z poważaniem „Kretyn”.

Garp był człowiekiem skłonny do przesady. Wszystko musiało być u niego barokowe - wierzył w przejaskrawienia; jego pisarstwo też miało skrajny charakter. Nigdy nie zapomniał swojej porażki; myśl o pani Poole niepokoiła go często, a jej odpowiedź na jego pompatyczny list musiała go jeszcze bardziej zdenerwować.

Drogi panie Garp, (pisała pani Poole)

Nigdy nie przypuszczałam, że zada pan sobie trud napisania do mnie listu. Pan musi być chyba chory. Z tego listu widzę, że wierzy pan w siebie, co się zresztą chwali. Ale to, co pan pisze, jest dla mnie w większości śmieciem i nonsensem i nie życzę sobie, żeby pan jeszcze kiedykolwiek próbował mi cokolwiek wyjaśniać, bo to mnie nuży i obraża moją inteligencję. Z poważaniem Irena Poole.

Garp - jak i jego wierzenia - był pełen wewnętrznych sprzeczności. Potrafił się zdobyć w stosunku do innych na wielkoduszność, ale był zarazem potwornie niecierpliwy. Sam ustalał normy czasu i cierpliwości, na jakie zasługiwali z jego strony poszczególni ludzie. Mógł być bezgranicznie miły, dopóki nie uznał, że dość tego. Wtedy robił w tył zwrot i atakował z furją.

Droga Ireno, (pisał Garp do pani Poole)

Albo w ogóle powinnaś przestać czytać książki, albo się do tego znacznie bardziej przykladać.

Drogi Kretynie, (pisała Irena Poole)

*Mój mąż mówi, że jeśli jeszcze raz do mnie napiszesz, zrobi ci z mózgu dupę.
Szczерze oddani Irena & Fitz Poole.*

Drodzy Fitzy i Ireno, (odpalil z miejsca Garp) Pocałujcie mnie w dupę.

Tak więc Garp stracił poczucie humoru, a świat jego życzliwość.

W „Pensjonacie Grillparzer” udało mu się jakoś uderzyć w nutę komediową (z jednej strony) i współczucia (z drugiej). Nie pomniejszał swoich bohaterów ani przez wymuszoną ckliwość, ani przez żadne inne przejawienie służące dowiedzeniu własnych racji. Opowiadanie to nie robiło z nich ani specjalnie sentymentalnych, ani w inny sposób nie deprecjonowało ich smutku.

Ale Garp jak gdyby stracił teraz tę umiejętność wyważania narracji. Jego pierwsza powieść „Kunktatorstwo” była - według niego - obciążona pretensjonalnym balastem całej historii faszyzmu, w której nie uczestniczył. Na drugiej położył się cieniem niedostatek wyobraźni - Garp uznał, że nie wyszedł wyobraźnią dostatecznie daleko poza swoje dość w końcu przeciętne doświadczenie. Miał chłodny stosunek do „Drugiego oddechu rogowca” - wydawał mu się jeszcze jednym „autentycznym”, ale dość banalnym doświadczeniem.

Prawdę powiedziawszy, uważał, że jest teraz zanadto przepelniony swoim własnym szczęściem rodzinnym (z Helen i dziećmi). Obawiał się dość typowego ograniczenia swoich możliwości twórczych - do pisania głównie o sobie. Kiedy jednak próbował spojrzeć daleko poza siebie, widział jedynie pokusę udawania. Zawodziła go wyobraźnia - „sposrzeganie - niejasne”. Jeśli go ktoś pytał, jak mu idzie pisanie, zdobywał się tylko na lakoniczne, okrutne naśladownictwo biednej Alice Fletcher.

- Przethtałem - mówił.

Rozdział IX

Wieczny mąż

Przeglądając żółte kartki książki telefonicznej w poszukiwaniu składu drewna Garp zatrzymał wzrok na „Poradach Mażeńskich i Rodzinnych”. Miał parę niewinnych pytań dotyczących belek dwa na cztery, kiedy jego oko przyciągnęło słowo „mażeńskie” nasuwając znacznie ciekawsze i bardziej niepokojące pytania. Nigdy nie przyszło mu na przykład do głowy, że istnieje znacznie więcej doradców mażeńskich niż składów drewna. Ale oczywiście zależy to od miejsca zamieszkania - pomyślał. Pewnie na wsi ludzie mają więcej do czynienia z drewnem.

Garp był żonaty już prawie jedenaście lat; w tym czasie miał niewielkie zapotrzebowanie na drewno, ale jeszcze mniejsze na porady. Nie ze względów osobistych jednak studiował długą listę haseł w książce telefonicznej; robił to, ponieważ od dłuższego czasu usiłował sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby miał posiadłość.

Było więc Centrum Poradnictwa Duszpasterskiego i Chrześcijańska Poradnia Rodzinna; Garp wyobrażał sobie serdecznych duchownych nieustannie zacierających suche, pulchne ręce. Wypowiadali okrągłe, mokre zdania, jak bańki mydlane, mówiąc rzeczy w rodzaju: „Nie mamy żadnych złudzeń co do tego, że Kościół może wydatnie pomóc człowiekowi w jego indywidualnych problemach, takich jak twoje. Poszczególne jednostki muszą poszukiwać rozwiązań indywidualnych, muszą zachować indywidualność, z doświadczenia wiemy jednak, że wiele osób odnalazło swoją indywidualność właśnie w kościele”.

A tu na przykład siedzi onieśmielona para, która miała nadzieję na przedyskutowanie problemu jednoczesnego orgazmu - czy to jest mit, czy prawda?

Garp stwierdził, że duchowieństwo lubuje się w poradnictwie: była więc Luterańska Służba Społeczna; był Wielebny Dwayne Kuntz („zatwierdzony”) i Louise Nagle - Sługa Wszystkich Dusz, powiązana z czymś, co się nazywało Amerykańskim Biurem Mażeństw i Poradnictwa Rodzinnego (które z kolei „zatwierdziło” ją). Garp wziął ołówek i porobił małe kółeczka obok nazwisk doradców mażeńskich powiązanych w jakiś sposób z instytucjami kościelnymi. Ich porady, wyobrażał sobie, są z pewnością optymistyczne.

Nie miał tej pewności, jeśli chodziło o doradców o bardziej „naukowym” przeszkoleniu; do samego przeszkolenia też nie miał zaufania. Był na przykład „dyplomowany psycholog kliniczny”; inny po prostu dopisał sobie do nazwiska mgr kliniczny; Garp wiedział doskonale, że te rzeczy mogły oznaczać wszystko albo nic. Na przykład studenta ostatniego roku socjologii czy byłego studenta wydziału handlu. Był na przykład mgr B - botaniki? Inny znów dr - czego, małżeństwa? A może medycyny czy filozofii? Który byłby lepszy, jeśli chodzi o poradnictwo małżeńskie? Ktoś tam specjalizował się w terapii grupowej; ktoś, zapewne mniej ambitny, oferował jedynie „ocenę psychologiczną”.

Garp wybrał sobie dwóch ulubionych. Pierwszy był: „Dr O. Rothrock - warsztat doskonalenia osobowości; przyjmujemy karty kredytowe”.

Drugi M. Neff - „tylko na zapisy”. Po nazwisku M. Neffa następował już tylko numer telefonu. Żadnych kwalifikacji ani super bezczelności? Być może i jedno, i drugie. Gdybym i ja kogoś potrzebował, pomyślał Garp, spróbowałbym najpierw pana Neffa. Dr O. Rothrock ze swoimi kartami kredytowymi i warsztatem doskonalenia osobowości musi być niewątpliwym szarlatanem. Ale M. Neff wyglądał na poważnego faceta; M. Neff miał wizję, Garp był przekonany.

Wędrował dalej po żółtych kartkach; minął Poradnictwo Małżeńskie i Pranie na sucho, aż potknął się na „Przyjmuję maty do odświeżania” (tylko jedno ogłoszenie, spoza miasta, i numer telefonu ze Steering: był to teść Garpa, Ernie Holm, który odświeżał stare maty zapaśnicze traktując to jako hobby przynoszące niewielki dochód.

Ale Garp nie pomyślał o swoim dawnym trenerze; prześliznął się po nim wzrokiem nie rozpoznając nazwiska Emiego). Rzeźnicki Sprzęt Nowoczesny - Patrz Piły. Dość. Świat jest zbyt skomplikowany. Garp wrócił do Poradnictwa Małżeńskiego.

W tym momencie przyszedł ze szkoły Duncan. Starszy syn Garpa miał teraz dziesięć lat; był to wysoki chłopiec z chudą, delikatną twarzą Helen i jej migdałowymi żółtobrazowymi oczami. Helen miała śniadą cerę i Duncan odziedziczył po niej również i tę wspaniałą skórę. Po Garpie wziął nerwowość, upór i napady czarnej melancholii.

- Tata? - powiedział. - Czy mogę iść na noc do Ralpha? To bardzo ważna sprawa.

- Co takiego? - zapytał Garp. - Nie. Kiedy?

- Znów czytałeś książkę telefoniczną? - Duncan wiedział, że ilekroć ojciec

studiował książkę telefoniczną, trzeba go było budzić jak z drzemki. A robił to często ze względu na nazwiska. Nazwiska swoich bohaterów czerpał bowiem właśnie z książki telefonicznej; kiedy utknął z pisaniem, czytał książkę telefoniczną w poszukiwaniu dalszych nazwisk; nazwiska bohaterów zmieniał bez przerwy. Kiedy gdzieś wyjeżdżał, pierwszą rzeczą, za którą się rozglądał w motelu, była książka telefoniczna; zwykle ją kradł.

- Tata? - powtórzył Duncan; doszedł do wniosku, że ojciec jest w swoim zwykłym transie, w jaki wprawiała go często ta lektura, że przeżywa losy swoich wymyślanych bohaterów. Garp w gruncie rzeczy zapomniał, że właśnie dziś miał „nieliteracki” interes do książki telefonicznej; zapomniał o składzie drewna i myślał jedynie o bezczelności M. Neffa i o tym, jakby to było, gdyby był doradcą małżeńskim.

- Tata! - krzyknął Duncan. - Jeśli nie zadzwonię do Ralpha przed kolacją, jego mama nie pozwoli mi przyjść.

- Ralpha? Przecież Ralpha tu nie ma - powiedział Garp.

Duncan zadarł do góry swoją delikatną brodę i przewrócił oczami; był to również gest Helen i Duncan odziedziczył po niej także piękną szyję.

- Ralph jest w swoim domu - wyjaśnił - a ja jestem w swoim i chciałbym spędzić noc w domu Ralpha, z Ralphem.

- Ale nie w normalny szkolny dzień - powiedział Garp.

- Dziś jest piątek, tato - odparł Duncan. - Rany.

- Nie przeklinaj, Duncan - zwrócił mu uwagę Garp. - Przyjdzie mama z pracy, to ja zapytasz. - Garp wiedział, że się wykręca; był podejrzliwy w stosunku do Ralpha, a nawet więcej: bał się o Duncana, mimo że mały nocował tam już nieraz. Ralph był starszym chłopcem i Garp mu nie dowierzał. Poza tym nie podobała mu się matka Ralpha - wychodziła wieczorami zostawiając chłopców bez opieki (przyznał to sam Duncan). Helen nazwała ją kiedyś „fleją”. To słowo zawsze intrygowało Garpa (i wygląd, który w jakiś sposób na niego działał). Ojciec Ralpha nie mieszkał z nimi i status samotnej kobiety tylko wzmacniał jej flejowatość.

- Ale ja nie mogę czekać, aż mama wróci - upierał się Duncan. - Mama Ralpha mi powiedziała, że muszę dać znać przed kolacją, bo inaczej nie będę mógł przyjść. - Kolacja należała do obowiązków Garpa i wobec tego poczuł się wytracony z równowagi; zastanawiał się, która może być godzina. Duncan nigdy nie wracał ze szkoły o stałej porze.

- A dlaczego nie zaprosisz Ralpha do nas na noc? - zapytał Garp. Znany chwyt.

Ralph zwykle spędzał noc u Duncana, co Garpowi oszczędzało niepokoju w związku z fletuchostwem pani Ralph (nigdy nie mógł zapamiętać ich nazwiska).

- Ralph zawsze u mnie nocuje - powiedział Duncan - teraz ja chcę iść tam na noc.

I co tam robić? - zastanawiał się Garp. Popijać, palić trawę, znęcać się nad zwierzakami czy podglądać panią Ralph, jak się na swój niechlujny sposób pieprzy? Ale Garp wiedział, że Duncan ma zaledwie dziesięć lat i że jest dzieckiem psychicznie zdrowym, bardzo ostrożnym. Prawdopodobnie chłopcom po prostu dobrze było samym w domu, gdzie nie czuli na sobie uśmiechu Garpa i gdzie nikt ich bez przerwy nie pytał, czy czegoś nie potrzebują.

- A może zadzwoń do pani Ralph i zapytaj, czy może poczekać na twoją odpowiedź, aż wróci mama? - zaproponował Garp.

- Jezus, „pani Ralph”! - jęknął Duncan. - A mama powie: „Ja nie mam nic przeciwko temu. Zapytaj tatę”. Zawsze tak mówi.

Bystry dzieciak - pomyślał Garp. Przyparł go do muru. Nie miał już teraz nic do powiedzenia - mógł się tylko wygadać, że się boi, że zginą wszyscy w ten sposób, że pani Ralph wywoła w nocy pożar zasypiając z papierosem, od którego zajmą się jej włosy.

- No dobrze, idź już - burknął ponuro. Nie wiedział nawet, czy matka Ralpa w ogóle pali. Po prostu jej nie lubił, tak na oko, a sam Ralph wydał mu się podejrzany z tej jednej jedynej przyczyny, że był starszy od Duncana i wobec tego, wyobrażał sobie Garp, mógł mieć na niego pod wieloma względami fatalny wpływ.

Garp był podejrzliwy w stosunku do większości ludzi, do których lgnęli jego żona i dzieci; odczuwał potrzebę chronienia garstki tych, których kochał, przed tymi, jacy musieli być w jego pojęciu „wszyscy inni”. Biedna pani Ralph być może wcale nie była jedyną ofiarą spotwarzaną przez jego paranoiczne wyobrażenia. Powinienem się więcej udzielać - pomyślał Garp. Gdybym tak miał pracę. Ta myśl nawiedzała go codziennie i wracała natrętnie, odkąd przestał pisać.

Ale nie istniało chyba na świecie takie zajęcie, które by przemawiało do jego wyobraźni, a już w każdym razie takie, do którego miałby kwalifikacje. Wiedział, że jego kwalifikacje są szalenie skromne. Umiał pisać, a kiedy pisał, wierzył, że robi to bardzo dobrze. Był jednak poważny powód, dla którego myślał o podjęciu pracy - czuł mianowicie, że musi pogłębić swoją znajomość ludzi; przewyciężyć nieufność do nich. Praca zmusiłaby go przynajmniej do nawiązywania jakichś kontaktów, a jeśli nie

zostanie zmuszony do tego, żeby się obracać wśród ludzi, to będzie siedział w domu.

Początkowo ze względu na pisanie nie brał poważnie pod uwagę podjęcia pracy. Teraz ze względu na pisanie uznał, że powinien pracować. Kończą mi się ludzie, których mógłbym sobie wyobrazić - myślał - ale być może w rzeczywistości chodziło o to, że tych, których lubił, nie było zbyt wielu; i zbyt dawno nie napisał niczego, co by mu się podobało.

- To ja idę! - zawołał Duncan wyrwijąc Garpa z rozmyślań. Chłopiec miał na plecach jaskrawopomarańczowy plecak i pod klapą zrolowany żółty śpiwór. I jedno, i drugie wybrał Garp ze względu na rzucające się w oczy kolory.

- Zawiozę cię - powiedział, ale Duncan znów przewrócił oczami.

- Mama wzięła samochód, tato, a jeszcze nie wróciła z pracy.

Jasne; Garp uśmiechnął się głupio. Zobaczył, że Duncan bierze rower, i zawołał do niego od drzwi:

- A nie lepiej, żebyś poszedł piechotą, Duncan?!

- Dlaczego? - zapytał chłopak, zły.

Żeby ci nie połamał kręgosłupa samochód prowadzony przez jakiegoś zwariowanego nastolatka czy pijaczkę, który akurat dostanie za kierownicą ataku serca i zmiecie cię z jezdni - pomyślał Garp - i twoja pierś zostanie zmiażdżona o krawężnik, twoja niezwykła czaszka rozłupana, kiedy wylądujesz na chodniku, i jakiś idiota zawinie cię w stary koc, jakbyś był psem albo kotem znalezionym w rynsztoku. A potem przyjdą jacyś durnie i będą się zastanawiać, do kogo to zawiniątko należy („To będzie chyba ten zielono-biały dom na rogu Elm i Dodge”). W końcu ktoś cię odwiezie do domu, zadzwoni do drzwi i powie: „Bardzo mi przykro”, i wskazując na krew na tylnym siedzeniu spyta: „Czy to pana?”. Ale Garp powiedział jedynie:

- Dobrze, Duncan, weź rower. Tylko uważaj!

Patrzył, jak chłopak przejeżdża na drugą stronę i zbliżając się do następnej przecznicy ogląda się przed zakrętem („Dobre dziecko; ostrożnie daje ręką znak - być może zresztą to tylko ze względu na mnie”). Było to bezpieczne przedmieście małego bezpiecznego miasteczka; przyjemne zielone ogródki, domki jednorodzinne, zajmowane głównie przez pracowników uniwersytetu i ich rodziny, i tu i ówdzie większy dom podzielony na osobne mieszkania dla studentów kończących. Matka Ralpha na przykład - chociaż miała cały dom dla siebie i chociaż była starsza od Garpa - wydawała się typową wieczną studentką kończąca. Jej były mąż wykładał któryś z przedmiotów ścisłych i pewnie pokrywał koszty jej nauki. Garp przypominał sobie, że

ktoś mówił Helen, że facet żyje teraz z którąś ze swoich słuchaczek.

Pani Ralph to najprawdopodobniej bardzo przyzwoita osoba - myślał Garp; ma dziecko, które niewątpliwie kocha. Z pewnością ma jakieś poważne plany życiowe. Gdyby tylko była trochę ostrożniejsza! A trzeba być ostrożnym - ludzie nie zdają sobie sprawy, jak łatwo wszystko spieprzyć.

- Hej! - ktoś wykrzyknął albo przynajmniej tak się Garpowi wydawało. Rozejrzał się dokoła, ale ten, kto to powiedział, albo już sobie poszedł, albo go nigdy nie było. Garp stwierdził, że stoi na bosaka (miał zmarznięte nogi, była wczesna wiosna) na chodniku przed swoim domem, z książką telefoniczną w ręku. Chętnie by sobie jeszcze powyobrażał M. Neffa i całe poradnictwo małżeńskie, ale wiedział, że jest późno, że do niego należy przygotowanie wieczornego posiłku, a jeszcze nie był po zakupy. Z niedalekiej przecznicy dochodził szum agregatów zasilających wielkie urządzenia chłodnicze w supermarkecie (dlatego się przenieśli do tej dzielnicy - żeby Garp miał blisko po zakupy, kiedy Helen brała samochód do pracy; było też bliżej do parku, w którym mógł biegać). Na tyłach supermarketu znajdowały się wielkie wentylatory i Garp słyszał, jak wysysały stojące powietrze z hali i rozpylały na ulicy subtelny zapach jedzenia. Lubił to. Miał duszę kucharza.

Dzień spędzał na pisaniu (albo usiłował pisać); trochę biegał i gotował. Wstawał wcześnie i szykował śniadanie dla siebie i dzieci; na lunch nikt nie wracał do domu, więc i on nie jadł; codziennie natomiast przygotowywał kolację dla całej rodziny. Był to obrządek, który uwielbiał, ale ambicje kulinarne utrzymywał w karbach - uzależniał je mimo wszystko od wyników dziennych w pisaniu i bieganiu. Jeśli pisanie mu nie szło, wynagradzał to sobie długim, męczącym biegiem; czasami niepowodzenie w pisaniu okazywało się tak wyczerpujące, że nie mógł przebiec więcej jak milę - wtedy próbował ocalić dzień wydając wspaniałą kolację.

Helen nigdy nie była w stanie ocenić po tym, co im przyrzadził, jak mu się akurat powiodło; coś specjalnego mogło równie dobrze oznaczać jakąś uroczystość, jak i to, że jedzenie było jedyną dziedziną, w której odniósł sukces, że gotowanie stanowiło jedyne zajęcie, które uratowało go przed rozpaczą.

„Jeśli się jest uważnym - pisał Garp - jeśli się używa dobrych składników i nie upraszcza sobie roboty, zawsze się ugotuje coś dobrego. Czasami to, co człowiek zje, stanowi jedyną wartość całego dnia. Co zaś do pisania, stwierdziłem, że można mieć wszystkie niezbędne składniki, poświęcić masę czasu i uwagi i mimo to nic nie wskórać. To samo dotyczy miłości. A zatem gotowanie jest tą czynnością, która

najpewniej gwarantuje pozostanie przy zdrowych zmysłach".

Wszedł do domu i rozejrzył się za butami. Niemal jedynym obuwiem, jakie posiadał - za to w dużej ilości - były buty do biegania. Znajdowały się one w różnych stadiach zniszczenia. Garp i jego dzieci nosili zazwyczaj czyste, ale wygniecione ubranie; Helen dobrze się ubierała i chociaż Garp prał jej wszystko, to jednak zdecydowanie odmawiał prasowania. Prasowała więc sobie i czasem uprasowała też jemu koszulę; była to jedyna typowo domowa czynność, od której Garp się uchylał. Gotowanie, dzieci, pranie, sprzątanie - proszę bardzo. Gotowanie wspaniale, dzieci - trochę nerwowo, ale sumiennie, sprzątanie - z lekkim przymusem. Klął porozrzucaną garderobę, naczynia i zabawki, ale wszystko sprzątał; miał fioła na punkcie zbierania rzeczy. Czasem rano, zanim zasiadł do pisania, oblatywał cały dom z odkurzaczem albo szorował kuchnię. W mieszkaniu nigdy nie było nieporządku ani brudu, ale w panującej w nim czystości wyczuwało się pośpiech. Garp wyrzucał masę rzeczy i ciągle czegoś brakowało. Nieraz całymi miesiącami w lampach tkwiły poprzepalane żarówki, których nie wymieniał, i dopiero Helen stwierdzała nagle, że żyją w całkowitych niemal ciemnościach, skupieni wokół dwóch działających jeszcze lamp. To znowu pamiętał o żarówkach, ale za to zapominał o mydle i paście do zębów.

Helen też wносиła coś do domu, ale za to już Garp nie brał odpowiedzialności. Na przykład kwiatki doniczkowe: albo sama o nie dbała, albo umierały. Wystarczyło, że Garp zauważył, że kwiatek więdnie albo choćby nieznacznie traci kolor, usuwał go natychmiast z domu i wyrzucał do śmieci. Czasem, w wiele dni później, Helen pytała:

- A gdzie jest ten czerwony amarylis?

- Ach, to paskudztwo! - mówił Garp. - On był chory. Widziałem na nim robaki i gubił liście.

W ten sposób Garp zajmował się domem.

Po wejściu do mieszkania znalazł parę żółtych trampek. Książkę telefoniczną odłożył do szafki, gdzie trzymał ciężki sprzęt kuchenny (utykał książki telefoniczne po całym domu, a potem wywracał wszystko do góry nogami, żeby znaleźć właściwą). Nalał trochę oliwy do żeliwnego rondla i czekając, aż się rozgrzeje, siekał cebulę. Było późno na kolację, a jeszcze nie zrobił zakupów. Zwykły sos pomidorowy, trochę makaronu, zielona sałata i bochenek dobrego chleba własnego wypieku. W ten sposób, przyrządziwszy sos, może skoczyć do sklepu i na dobra sprawę kupić tylko zieleninę. Przyspieszył siekanie (teraz trochę świeżej bazylii); najważniejsze, żeby nie wrzucić nic do rondla, zanim oliwa nie będzie gotowa, to znaczy bardzo gorąca, ale

żeby się nie paliła. Są pewne drobiazgi, zarówno jeśli chodzi o gotowanie, jak i pisanie, których nie można przyspieszać. Garp o tym wiedział i nigdy nie próbował tego robić.

Kiedy zadzwonił telefon, był tak wściekły, że cisnął do rondla garść cebuli parząc sobie przy tym rękę pryskającą oliwą.

- Cholera! - wrzasnął; kopnął drzwi szafki kuchennej wyrwijając jeden z zawiasów. Wyleciała książka telefoniczna i Garp zaczął się na nią gapić. Wrzucił do oliwy resztę cebuli i bazylię, zmniejszył płomień. Wsadził rękę pod strumień zimnej wody i balansując na jednej nodze i krzywiąc się z bólu, drugą ręką złapał za słuchawkę.

(Oszuści - myślał. - Ciekawe, jakie mają kwalifikacje po temu, żeby udzielać porad małżeńskich? Nie ulega wątpliwości, że to jeszcze jedna z wielu dziedzin, w której ci prymitywni psychoanalitycy uważają się za ekspertów.)

- Cholera, przerwałaś mi w samym środku! - warknął w telefon; patrzył, jak kawałki cebuli zwijają się w gorącej oliwie. Nie było takiej osoby wśród dzwoniących, którą bałby się obrazić - jeden z przywilejów osoby nie pracującej. Jego wydawca, John Wolf, miał jedynie zauważyć, że sposób, w jaki Garp odbiera telefony, potwierdza tylko jego opinię, że Garp jest ordynarny. Helen była przyzwyczajona do tego, jak mąż odbiera telefony, a jej koledzy i przyjaciele wyrobili już sobie o nim zdanie jako o człowieku nieokrzesanym. Jeśli dzwonił Ernie Holm, Garp doświadczał przelotnych wyrzutów sumienia - trener zawsze usprawiedliwiał się nadmiernie, co go krepowało. Gdyby to była jego matka, Garp wiedział, zaraz by mu się odgryzła: „Znów kłamstwo! Ty nigdy nie możesz być w środku niczego. Żyjesz na poboczach”. (Garp miał nadzieję, że to nie jest Jenny.) O tej porze żadna inna kobieta nie mogła do niego dzwonić. Tylko gdyby to był telefon z przedszkola donoszący o jakimś wypadku małego Walta; tylko gdyby to dzwonił Duncan, żeby powiedzieć, że ma zepsuty suwak w śpiworze albo że złamał nogę - tylko wtedy Garp żałowałby swego opryskliwego tonu. Dzieci mają prawo przerwać coś człowiekowi w samym środku - i zwykle to robią.

- W samym środku czego, kochanie? - spytała Helen. - Czy może kogo? Mam nadzieję, że jest przynajmniej ładna.

Głos Helen w słuchawce brzmiał podniecająco; dziwiło to zawsze Garpa - ten jej ton - bo Helen wcale taka nie była; nie była nawet skłonna do flirtu. I chociaż jemu osobiście wydawała się bardzo podniecająca, to zarówno w jej sposobie ubierania się,

jak i w zachowaniu wobec innych nie było nic prowokacyjnego. A jednak przez telefon odebrał jej głos jako lubieżny, zawsze taki mu się wydawał.

- Sparzyłem się - powiedział dramatycznie. - Oliwa jest za gorąca i cebula mi się przypala. O co ci chodzi, do diabła?

- Moje biedactwo - powiedziała Helen prowokując go w dalszym ciągu. - Nie zostawiłeś u Pam żadnej wiadomości. - Pam była sekretarką wydziału anglistyki; Garp nie mógł sobie przypomnieć, jaką miał jej zostawić wiadomość. - Bardzo się sparzyłeś? - spytała Helen.

- Nie. - Był zły. - Jakiej wiadomości?

- No, o tych beleczkach dwa na cztery - powiedziała Helen.

Skład drewna, przypomniał sobie Garp. Miał zadzwonić do składu drewna, żeby się zapytać o przycięcie dwóch belek dwa na cztery; Helen miała je zabrać po drodze do domu. Uświadomił sobie, że porady małżeńskie odwróciły jego uwagę od składów drewna.

- Zapomniałem - wyznał. Wiedział, że Helen będzie miała plan alternatywny; była na to przygotowana, zanim zadzwoniła.

- Zadzwon teraz - powiedziała - a ja się do ciebie odezwę z przedszkola. Pojedziemy tam z Waltem i odbierzemy te belki. On bardzo lubi składy drewna. - Walt miał teraz pięć lat; drugi syn Garpa chodził do przedszkola czy też do klasy zerowej - obojętne, jak to się nazywało, w każdym razie panująca tam atmosfera ogólnego niedbalstwa i nieodpowiedzialności przyprawiała Garpa o najstraszniejsze nocne koszmary.

- Dobrze, w porządku - powiedział. - Zaraz zacznę tam dzwonić. - Bał się o swój sos pomidorowy, ale z drugiej strony nie znosił kończyć rozmowy z Helen w momencie, kiedy tak wyraźnie był zaabsorbowany czym innym i nudny. - Znalazłem ciekawą pracę - dodał korzystając z jej milczenia. Ale to milczenie nie trwało długo.

- Jesteś pisarzem, kochanie - przypomniała mu. - I masz ciekawą pracę. - Czasami Garpa ogarniało przerażenie na myśl o tym, że Helen chce, żeby on był w domu i „po prostu pisał” - dlatego tylko, że ułatwiało jej to sprawy domowe. Ale i dla niego ta sytuacja była wygodna; było to coś, czego wydawało mu się, że chce.

- Muszę zamieszać cebulę - przerwał jej. - A poza tym piecze mnie to oparzenie - dodał.

- Spróbuję zadzwonić, jak znów będziesz w środku czegoś - powiedziała Helen zalotnie; w jej szelmowskim tonie wyraźnie brzmiała uwodzicielska nuta; podniecało

go to i jednocześnie złościło.

Zamieszał cebulę i rozgniół w gorącej oliwie kilka pomidorów, potem dodał soli, pieprzu i rigani. Zadzwoił tylko do składu położonego najbliżej przedszkola Walta. Helen była zbyt drobiazgowa w niektórych sprawach - na przykład jeśli chodziło o porównywanie cen - chociaż podziwiał ją za to. Drewno to drewno, rozumował; najlepsze miejsce, żeby przycięli cholerne belki dwa na cztery, to najbliższe miejsce.

Doradca małżeński! - pomyślał znów rozpuszczając łyżkę przecieru pomidorowego w kubku ciepłej wody i wlewając do sosu. Dlaczego wszystkie poważne zawody muszą wykonywać szarlatani? Co może być poważniejszego od doradztwa małżeńskiego? Mimo to uznał, że doradca małżeński cieszy się mniejszym prestiżem niż kręgarz. Czy - jak wielu lekarzy pogardza kręgarzami - tak samo psychiatrzy szydzą z doradców małżeńskich? Z nikogo Garp nie naigrawał się tak jak z psychiatrów: uważał, że w niebezpieczny sposób wszystko upraszczają odzierając naturę ludzką z całej jej złożoności. Według niego u psychiatry znajdował żaloszny koniec każdy, kto nie potrafił uprzątnąć własnych brudów.

A psychiatra podchodzi do tych brudów bez należącego tym brudom szacunku - myślał. Celem psychiatry jest oczyszczenie głowy; w opinii Garpa ten cel najczęściej osiągnano (o ile w ogóle osiągnano) przez wyrzucanie brudów. Jak wiedział, jest to najprostsza metoda sprzątnięcia. Problem polega na tym, żeby te brudy wykorzystać - żeby brudne rzeczy na ciebie pracowały. „Pisarzowi łatwo tak mówić - powiedziała mu kiedyś Helen. - Artyści potrafią wykorzystywać brudy, ale większość ludzi nie potrafi i po prostu chce się ich pozbyć. Ja na przykład nie chcę. Co z ciebie byłby za psychiatra! Co byś zrobił, gdyby przyszedł do ciebie jakiś biedny człowiek, który nie widzi zastosowania dla swoich brudów i chce je po prostu usunąć? Pewnie byś mu poradził, żeby o tym napisał”. Garp przypomniał sobie tę rozmowę na temat psychiatrii i popadł w ponury nastrój; wiedział, że nadmiernie upraszcza te rzeczy, które go złością, ale był przekonany, że psychiatra nadmiernie upraszcza wszystko. Kiedy zadzwoniła Helen, powiedział:

- Skład drewna w bok od Springfield Avenue. Ten będziesz miała najbliżej.

- Wiem, gdzie to jest - odparła Helen. - Czy to jedyne miejsce, w które dzwoniłeś?

- Drewno jest drewno - rzucił Garp. - A belki dwa na cztery to są belki dwa na cztery. Podjedź na Springfield Avenue i będą na ciebie czekały.

- A jaką to ciekawą pracę znalazłeś? - zapytała; Garp wiedział, że o tym myślała.

- Poradnictwo małżeńskie - odparł. Sos pomidorowy perkotał, a kuchnia wypełniła się jego smakowitym zapachem. Helen zachowała pełne szacunku milczenie po drugiej stronie przewodu. Oczywiście tym razem będzie jej trudno zapytać, jakie jego zdaniem ma po temu kwalifikacje.

- Jesteś pisarzem - powiedziała.

- Idealne kwalifikacje do takiego zajęcia - odparł Garp. - Lata spędzone na rozpamiętywaniu bagna stosunków międzyludzkich: godziny strawione na zgłębianiu problemu, co ludzie mają ze sobą wspólnego. Niepowodzenie w miłości - marudził - zawilość kompromisu, potrzeba współczucia.

- To napisz o tym - zaproponowała Helen. - Jeszcze ci mało? - Wiedziała doskonale, co po tym nastąpi.

- Sztuka jeszcze nikomu nie pomogła - powiedział Garp. - Ludzie nie mają z niej konkretnego pożytku: nie mogą jej zjeść, nie zastąpi im mieszkania ani jedzenia, a jeśli są chorzy, nie jest w stanie ich uleczyć. - Taki był pogląd Garpa na zasadniczą bezużyteczność sztuki; odrzucał myśl, że sztuka przedstawia jakąkolwiek społeczną wartość, że mogłaby przedstawiać, że powinna. Tych dwóch rzeczy nie wolno mylić, myślał: sztuka to jedno, a pomaganie ludziom drugie. I tu był - grzebiąc się w jednym i w drugim mimo wszystko - prawdziwym synem swojej matki. Ale wierny swoim poglądom widział w sztuce i w obowiązkach społecznych dwa odrębne pola działania. Problem powstaje, kiedy jakiś idiota usiłuje te dwie dziedziny połączyć. Garpa całe życie irytowało własne przekonanie, że literatura to artykuł luksusowy; chciał, żeby miała znacznie przystępniejszy charakter - a jednak kiedy miała, był niezadowolony.

- Pojadę teraz po te belki - powiedziała Helen.

- A gdyby specyfika mojej sztuki - ciągnął Garp - nie gwarantowała mi wystarczających kwalifikacji, to, jak wiesz, jestem żonaty - zrobił pauzę. - I mam dzieci. - Znów przerwał. - A poza tym miałem wiele różnych związanych z małżeństwem doświadczeń. Oboje mieliśmy.

- Springfield Avenue? - spytała Helen. - Niedługo będę w domu.

- Mam więcej niż wystarczające doświadczenie, żeby wykonywać ten zawód - upierał się Garp. - Wiem, co to zależność finansowa. Przeżyłem zdradę małżeńską.

- Bravo! - wykrzyknęła Helen. Odłożyła słuchawkę.

Ale Garp myślał: a może poradnictwo małżeńskie to w ogóle szarlataneria, nawet jeśli zajmuje się tym ktoś uczciwy i z kwalifikacjami. Położył słuchawkę. Był

przekonany, że może się ogłaszać na żółtych kartkach z powodzeniem - zupełnie bez naciągania.

Filozofia małżeństwa

Porady rodzinne

S. T. Garp

Autor „Kunktatorstwa” i „Drugiego oddechu rogowca”

Po co wyjaśniać, że są to powieści. Tytuły brzmią tak, doszedł do wniosku Garp, jakby to były poradniki małżeńskie.

Tylko czy ma przyjmować swoich nieszczęsnych pacjentów w domu, czy w gabinecie?

Garp wziął strąk zielonej papryki i położył go na palniku; podkręcił płomień i papryka zaczęła się przypiekać. Kiedy zrobi się już cała czarna, pozwoli jej wystygnać, po czym zeskrobie spaloną skórę. W środku papryka będzie upieczona, bardzo słodka - pokroi ją w plasterki i zamarynuje w oliwie i occie z odrobiną majeranku. Tym przyprawi sałatę. Ale głównie chodziło mu o wspaniały zapach, jaki wypełniał kuchnię.

Przewrócił paprykę szczypcami. Kiedy już się zwęgliła z wierzchu, wrzucił ją do zlewu. Papryka syknęła na niego.

- Mów, co tylko chcesz - powiedział jej Garp. - Nie masz wiele czasu.

Był roztargniony. Zwykle przy gotowaniu lubił nie myśleć o niczym innym - w gruncie rzeczy zmuszał się do tego. Ale w tej chwili przeżywał kryzys zaufania do poradnictwa małżeńskiego.

- Przeżywasz kryzys zaufania do swojego pisarstwa - powiedziała Helen wkraczając do kuchni w sposób bardziej autorytatywny niż zwykle - z dwiema świeżo przyciętymi beleczkami dwa na cztery pod pachą jak z dwururką.

- Tata coś przypalił - zauważył Walt.

- Paprykę, ale tata zrobił to naumyślnie - wyjaśnił Garp.

- Za każdym razem, jak nie możesz pisać, robisz coś głupiego - powiedziała Helen. - Chociaż muszę przyznać, że to już lepsza rozrywka niż ta ostatnia.

Garp spodziewał się, że to wykorzysta, ale zdziwił się, że tak szybko. Mówiąc o „ostatniej rozrywce” i wykrętach od pisania miała na myśli dziewczynę, która przychodziła do dzieci.

Garp wsadził drewnianą łyżkę głęboko w sos pomidorowy. Wzdrygnął się w momencie, kiedy jakiś dureń wziął zakręt koło ich domu redukując bieg z rykiem silnika i piskiem opon, który przeszył go jak wrzask najechanego kota. Instynktownie rozejrzał się za Waltem; mały stał obok - bezpieczny w kuchni.

Helen zapytała:

- Gdzie jest Duncan? - Ruszyła w stronę drzwi, ale Garp odciął jej drogę.

- Duncan poszedł do Ralpa - wyjaśnił; tym razem nie denerwował się, że pędzący samochód przejechał Duncana, to on, Garp, miał zwyczaj ścigać takie pędzące samochody. Zrobił już odpowiednie awantury wszystkim amatorom szybkiej jazdy w okolicy. Ulice dookoła domu Garpa były podzielone na kwadraty, a każde skrzyżowanie obwarowane znakiem stopu; normalnie Garp był w stanie dogonić każdy samochód na piechotę, o ile tylko kierowca przestrzegał tych znaków.

Pobiegł ulicą kierując się warkotem samochodu. Czasami, jeśli samochód jechał szczególnie szybko, potrzebował trzech albo nawet czterech znaków stopu, żeby go dogonić. Kiedyś przeleciał pięć przecznic i tak był zadyszany, że kiedy wreszcie dopadł występnego pojazdu, kierowca nie miał wątpliwości, że gdzieś w okolicy popełniono morderstwo i Garp albo chce o tym zameldować, albo sam je popełnił.

Większość kierowców liczyła się z Garpem i nawet jeśli później go kłęli, wobec niego byli grzeczni i obiecywali, że już nigdy nie będą w tej okolicy rozwijali takiej szybkości. Wiedzieli, że Garp jest w doskonałej formie fizycznej. Większość z nich stanowili uczniowie szkół średnich, których .nietrudno było speszyć, kiedy się ich złapało na tym, jak w podrasowanych samochodach szaleli z dziewczynami albo zostawiali jeszcze dymiące ślady opon na asfalcie. Garp nie był taki głupi, żeby sobie wyobrażać, że zmieniają dla niego swoje obyczaje; jemu wystarczało, że urządzali sobie wyścigi gdzie indziej.

Obecny winowajca okazał się kobietą (Garp zobaczył błysk kolczyków i bransoletki na ręku, kiedy podbiegał z tyłu). Właśnie miała ruszać spod znaku stopu, kiedy Garp przestraszył ją łomocząc w okno drewnianą łyżką. Łyżka ociekająca sosem pomidorowym na pierwszy rzut oka wyglądała jak zanurzona we krwi. Garp zaczekał, aż kobieta odkręci okno, i już miał zacząć swoją zwykłą formułę („Bardzo mi przykro, że panią przestraszyłem, ale chciałem poprosić o wyświadczenie mi pewnej uprzejmości"...), kiedy poznał w kobiecie matkę Ralpa, słynną panią Ralph. Nie było z nią Duncana ani Ralpa; jechała sama i nie ulegało wątpliwości, że płakała.

- Tak. Słucham, o co chodzi? - spytała. Garp nie był pewny, czy poznała w nim

ojca Duncana, czy nie.

- Bardzo mi przykro, że panią przestraszyłem... - zaczął. Urwał. Co dalej? Z zapłakaną twarzą, świeżo po kłótni z byłym mężem albo kochankiem, biedna kobieta wkraczała w wiek przekwitania, jakby przechodziła grypę: jej ciało robiło wrażenie wymiętego, oczy miała czerwone i mętne. - Bardzo mi przykro - wymamrotał Garp. Było mu przykro za jej całe życie. Jak miał jej powiedzieć, że chce od niej tylko tyle, żeby jechała wolniej?

- O co panu chodzi? - spytała po raz drugi.

- Jestem ojcem Duncana - wyjaśnił Garp.

- Wiem, że pan jest - odparła. - A ja jestem matką Ralpa.

- Wiem - powiedział; uśmiechnął się.

- Ojciec Duncana spotyka matkę Ralpa - powiedziała uszczypliwie, a następnie wybuchnęła łzami. Oparła głowę o kierownicę i przycisnęła klakson. Prostując się gwałtownie potrąciła Garpa w rękę opartą na odkręconym oknie; niechcący upuścił jej na kolana łyżkę na długim drążku. Oboje spojrzeli na łyżkę; sos pomidorowy zrobił plamę na wymiętej beżowej sukience.

- Pan musi myśleć, że ja jestem okropną matką - powiedziała pani Ralph. Garp, który ani na chwilę nie zapominał o problemie bezpieczeństwa, sięgnął przez nią, przekręcił kluczyk w stacyjce i wyłączył silnik. Łyżkę zdecydował zostawić na jej kolanach. Przekleństwem Garpa była nieumiejętność ukrywania uczuć przed ludźmi, nawet przed obcymi; jeśli myślał o kimś z pogardą - ten ktoś z pewnością o tym wiedział.

- Nie mam pojęcia, jaką pani jest matką - odparł. - Uważam, że Ralph to miły chłopak.

- Ale potrafi być naprawdę paskudnym gnojkiem - powiedziała.

- A może by pani wolała, żeby Duncan nie zostawał dziś na noc u państwa? - zapytał Garp; miał nadzieję Garp. Odniósł wrażenie, że ona w ogóle nie wie, że Duncan ma dziś u nich nocować. Popatrzył na leżącą na jej kolanach łyżkę. - To sos pomidorowy - wyjaśnił. Ku jego zdumieniu pani Ralph wzięła łyżkę i oblizwała.

- Pan jest kucharzem? - spytała.

- Tak, dość lubię gotować - odparł Garp.

- To bardzo dobrze - stwierdziła pani Ralph oddając mu łyżkę. - Mnie by się też taki przydał, mały, silny szajbus, który by lubił gotować.

Garp policzył w myśli do pięciu, a następnie powiedział:

- Z przyjemnością zabiorę chłopców. Mogą nocować u nas, jeśli by pani wolała być sama.

- Sama?! - wykrzyknęła. - Ja zawsze jestem sama. Lubię, jak chłopcy są ze mną. I oni też lubią - dodała. - A wie pan dlaczego? - Pani Ralph spojrzała na niego prowokacyjnie.

- Dlaczego?

- Bo lubią mnie podglądać w kąpielni - wyjaśniła. - W drzwiach jest szpara. Czy to nie urocze, że Ralph chce się pochwalić swoją staruszką przed przyjaciółmi?

- Tak - przyznał Garp.

- Ale panu się to nie podoba, prawda, panie Garp? I w ogóle ja się panu nie podobam, co?

- Bardzo mi przykro, że pani czuje się taka nieszczęśliwa. - Obok na siedzeniu jej niechlujnego samochodu leżało broszurowe wydanie „Wiecznego męża” Dostojewskiego; Garp przypomniał sobie, że pani Ralph studiuje. - Co pani studiuje? - zapytał głupio; uświadomił sobie, że jest wieczną studentką - jej problem polegał prawdopodobnie na pracy dyplomowej, której nigdy nie zrobi.

Pani Ralph potrząsnęła głową.

- Czy pan jest zawsze taki sztywniak? - zapytała. - Od jak dawna jest pan żonaty?

- Prawie jedenaście lat - wyznał Garp.. Pani Ralph przyjęła to mniej więcej obojętnie; była mężatką od lat dwunastu.

- Pana chłopak jest całkowicie u mnie bezpieczny - powiedziała, jakby ją nagle zirytował i jakby dokładnie czytała w jego myślach. - Niech pan się nie obawia, jestem zupełnie niegroźna... dla dzieci - dodała. - I nie palę w łóżku.

- Myślę, że to dobrze dla chłopców, że mogą sobie popatrzeć na panią w kąpielni - rzekł Garp i natychmiast zrobiło mu się głupio, chociaż była to jedna z nielicznych rzeczy, które powiedział jej szczerze.

- Nie wiem - odparła. - Nie widzę, żeby coś dobrego przyszło z tego mojemu mężowi, chociaż oglądał mnie latami. - Spojrzała na Garpa, którego bolała już twarz od wymuszonych uśmiechów. Dotknij jej policzka albo pogłaszcz ją po rękę - pomyślał; a przynajmniej coś powiedz. Ale uprzejmości Garpowi nie wychodziły, a flirtować nie umiał.

- No cóż, mężowie bywają dziwni - wymamrotał. Garp, doradca małżeński, pełen dobrych rad. - Mało który wie, czego chce.

Pani Ralph zaśmiała się z goryczą.

- Mój mąż znalazł sobie dziewiętnastoletnią cipę - powiedziała. - I chce jej.

- Bardzo mi przykro - rzekł Garp. Doradca małżeński to człowiek, któremu ciągle jest przykro, jak pechowemu lekarzowi, który stawia same beznadziejne diagnozy.

- Pan jest pisarzem - powiedziała pani Ralph oskarżycielsko; pomachała w jego stronę „Wiecznym mężem”. - Co pan myśli o tym?

- Wspomniała historia - rzekł Garp. Na szczęście była to książka, którą pamiętał, cudownie zawiła, pełna perwersji i ludzkich sprzeczności.

- A ja myślę, że ta historia jest chora - oświadczyła pani Ralph. - Bardzo bym chciała wiedzieć, co jest w Dostojewskim takiego szczególnego.

- Jego postacie są tak złożone, zarówno pod względem psychicznym, jak i emocjonalnym. Sytuacje tak niejednoznaczne.

- Jego kobiety to mniej niż przedmioty, na dobrą sprawę nie mają nawet kształtu. Są tylko pojęciami, o których mówią i którymi się bawią mężczyźni. - Rzuciła książką w Garpa przez otwarte okno; książka uderzyła go w pierś i upadła koło krawężnika. Pani Ralph zacisnęła pięści na kolanach, wpatrując się w plamę, która znaczyła jej krocze jak pomidorowy środek tarczy strzelniczej. - Taki już mój zakichany los - dodała patrząc na to miejsce.

- Bardzo mi przykro - powiedział Garp. - To może zostawić trwałe ślad.

- Wszystko zostawia ślady! - wykrzyknęła pani Ralph. Wybuchnęła śmiechem tak niewesołym, że Garpa przeszły ciarki. Nie odezwał się słowem. - Założę się, że pan uważa, że ktoś mnie powinien porządnie zerznąć.

Prawdę powiedziawszy, Garp rzadko takie rzeczy myślał o ludziach, ale kiedy już pani Ralph o tym wspomniała, zgodził się z nią, że takie dziecinnie proste rozwiązanie mogłoby się w jej przypadku okazać skuteczne.

- I założę się, że pan pomyślał, że ja bym chciała, żeby to zrobił pan - dodała patrząc na niego spode łba. Garp istotnie tak pomyślał.

- Nie, nie uważam, że pani by chciała - powiedział.

- Owszem, uważa pan, i że nawet bardzo bym chciała - powiedziała pani Ralph. Garp zwiesił głowę.

- Nie - powiedział.

- Być może nawet bym chciała. - Spojrzał na nią, a pani Ralph uśmiechnęła się do niego złośliwie. - Może by pan przestał być tak zarozumiały.

- Nie zna mnie pani na tyle, żeby tak mówić.

- Wiem, że pan jest zarozumiały - odparła pani Ralph. - Ma się pan za coś lepszego. - To prawda, Garp wiedział, miał się za coś lepszego. Byłby z niego fatalny doradca małżeński, teraz już nie ulegało wątpliwości.

- Niech pani jedzie ostrożnie, bardzo panią proszę - powiedział; oderwał się od jej samochodu. - Gdybym mógł w czymś pomóc, bardzo proszę dzwonić.

- Gdybym na przykład potrzebowała chłopca do łóżka, co? - zapytała ironicznie pani Ralph.

- Nie, nie o to mi chodziło.

- A dlaczego mnie pan w ogóle zatrzymywał?

- Bo wydawało mi się, że pani za szybko jedzie - powiedział.

- Jest pan nadęty wypierdek - rzuciła.

- A pani nieodpowiedzialna fleja - odparował. Wrzasnęła, jakby ją dźgnął nożem.

- Bardzo mi przykro - powiedział (znów) - ale ja jednak pojedę zabrać Duncana.

- Nie, proszę, niech go pan nie zabiera - zaprotestowała. - Będzie naprawdę pod dobrą opieką. Bardzo pana proszę. Nic mu się nie stanie, zaopiekuję się nim jak własnym dzieckiem! - Ale to nie uspokoiło Garpa. - Nie jestem taka fleja... jeśli chodzi o dzieci - dodała; przywołała na twarz niebezpiecznie pociągający uśmiech.

- Bardzo mi przykro - wygłosił swą zwykłą formułę Garp.

- Mnie też - powiedziała pani Ralph. I jak gdyby już wszystko między sobą wyjaśnili, ruszyła, minęła znak stopu i nie patrząc za siebie przejechała skrzyżowanie. Odjechała powoli, ale mniej więcej środkiem jezdni, i Garp pomachał jej drewnianą łyżką.

A potem podniósł „Wiecznego męża” i poszedł do domu.

Rozdział X

Pies w zaułku, dziecko w niebie

- Musimy zabrać Duncana od tej wariatki - oświadczył Garp.
- Ty musisz - powiedziała Helen. - To ty jesteś niespokojny.
- Szkoda, że nie widziałas, jak ona prowadzi samochód.
- No to co? - odparła Helen. - Nie sądzę, żeby Duncan z nią jeździł.
- Może na przykład wziąć chłopców na pizzę - rzekł Garp. - Jestem przekonany, że nie umie gotować.

Helen patrzyła na „Wiecznego męża”.

- To dziwne, żeby kobieta dawała taką książkę mężowi innej kobiety.
- Ona mi tego wcale nie dała. Ona tym we mnie rzuciła, Helen.
- To wspaniała historia - powiedziała Helen.
- Ona twierdzi, że to książka chora - rzekł Garp z rozpaczą. - Nieuczciwa w stosunku do kobiet.

Helen była zaskoczona.

- Nie widzę tu w ogóle żadnego problemu.
- Oczywiście, że nie! - wrzasnął Garp. - To kompletna idiotka! Moja matka byłaby nią zachwycona.

- Biedna Jenny - westchnęła Helen. - Daj jej święty spokój.

- Skończ makaron, Walt - powiedział Garp.

- A ja cię czniam - odrzekł Walt.

- Ładnie się wyrażasz - zwrócił mu uwagę Garp. - Dlaczego mnie czniasz?

- Bo czniam.

- On nie wie, co to znaczy - odezwała się Helen. - Ja sama nie bardzo wiem.

- Pięcioletni chłopiec - powiedział Garp. - Bardzo brzydko tak się odzywać do starszych.

- Jestem pewna, że usłyszał to od Duncana.

- A Duncan uczy się takich rzeczy od Ralpha - dodał Garp - który z kolei uczy się takich rzeczy od swojej cholernej mamusi!

- Garp, licz się ze słowami - zwróciła mu uwagę Helen. - Równie dobrze Walt mógł się nauczyć tego „czniania” od ciebie.

- Ode mnie w żadnym razie - zachnął się Garp. - Ja sam nie wiem dobrze, co to znaczy, i nigdy nie używam tego słowa.

- Ale używasz wielu innych w tym stylu - powiedziała Helen.

- Walt, jedz makaron - powtórzył Garp.

- Uspokójcie się wreszcie - powiedziała Helen.

Garp patrzył na nie dojedzony makaron Walta, jakby to była osobista obelga pod jego adresem.

- A zresztą po co ja się przejmuję? - powiedział. - Może sobie nie jeść.

Skończyli posiłek w milczeniu. Helen wiedziała, że Garp wymyśla jakąś historię, którą ma opowiedzieć Waltowi po kolacji. Wiedziała, że robi to zawsze, żeby się uspokoić, ilekroć się martwi o dzieci. Jak gdyby proces wymyślania jakiejś dobrej opowieści dla dzieci był sposobem na zapewnienie im bezpieczeństwa na zawsze.

W stosunku do dzieci Garp był instynktownie wielkoduszny - lojalny jak zwierzę - najbardziej oddany z ojców; rozumiał Duncana i Walta głęboko, każdego z osobna. A jednak, Helen nie miała co do tego wątpliwości, nie pojmował zupełnie, że jego niepokój udziela się dzieciom, że są przez to napięte, a nawet niedojrzałe. Z jednej strony traktował chłopców jak dorosłych, z drugiej tak był w stosunku do nich opiekuńczy, że nie pozwalał im dojrzeć. Nie przyjmował na przykład do wiadomości, że Duncan ma dziesięć, a Walt pięć lat; czasami obaj byli w jego świadomości trzylatkami.

Helen słuchała historii, którą Garp wymyślił dla Walta, ze swoim zwykłym zainteresowaniem i zaangażowaniem. Jak wiele innych historii, które opowiadał dzieciom, zaczynała się jak historia dla dzieci, a kończyła jak historia, którą Garp wymyślił dla Garpa. Można by sądzić, że dzieciom pisarza czyta się więcej niż jakimkolwiek innym, ale Garp wolał, żeby jego chłopcy słuchali tylko jego historyjek.

- Był sobie pies - zaczął.

- Ale jaki pies? - zapytał Walt.

- Wielki owczarek niemiecki - odparł Garp.

- A jak miał on imię? - zapytał Walt.

- W ogóle nie miał imienia. Żył w pewnym mieście w Niemczech po wojnie.

- Po jakiej wojnie?

- Po drugiej wojnie światowej - odrzekł Garp.

- Aha - powiedział Walt.

- I ten pies był na wojnie - ciągnął Garp. - Jako pies obronny był bardzo zły i

bardzo mądry.

- Bardzo złośliwy - dodał Walt.

- Nie - zaprotestował Garp. - Nie był złośliwy ani nie był specjalnie miły, a czasami był i taki, i taki. Był taki, na jakiego wytresował go pan, a pan wytresował go, żeby robił to, co on mu każe.

- A skąd on wiedział, kto jest jego panem? - zapytał Walt.

- Nie wiem - odparł Garp. - Po wojnie dostał nowego pana. Ten pan był właścicielem kawiarni w mieście. Można tam się było napić kawy i herbaty i przeczytać gazety. Wieczorem ten pan zostawiał w kawiarni jedno zapalone światło, żeby przez okna widać było pościerane stoliki i krzesła odwrócone do góry nogami i poukładane na blatach. Podłoga była wymyta i wielkie psisko przechadzało się po niej co noc tam i z powrotem. Przypominał lwa w klatce - nigdy nie usiadł na miejscu. Czasami ludzie stukali w szybę, żeby zwrócić jego uwagę. Wtedy pies po prostu gapił się na nich - ale ani nie szczekał, ani nawet nie warczał. Przystawał tylko spacerować i patrzył, dopóki przechodzień sobie nie poszedł. Miało się wrażenie, że gdyby postać dłużej, pies by się rzucił przez okno. Ale on nigdy tego nie zrobił. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie zrobił niczego, ponieważ nigdy nikt się nie włamał nocą do kawiarni. Wystarczyło, że ten pies tam był. Nie musiał niczego robić.

- Bo wyglądał na złośliwego - wtrącił Walt.

- No więc teraz już wiesz, o co chodzi - powiedział Garp. - Wszystkie noce były dla tego psa jednakowe, a w dzień siedział zawsze uwiązany w zaułku koło kawiarni. Był uwiązany na długim łańcuchu, przymocowanym do przedniej osi starej wojskowej ciężarówki, która tam wjechała tyłem i już tak została. Ta ciężarówka nie miała kół.

Wiesz, co to jest gazobeton, prawda? - zapytał Garp. - Otóż wóz stał na blokach gazobetonu, żeby się nie potoczył na osiach. Pod ciężarówką było akurat tyle miejsca, żeby pies mógł tam wpełznąć i schować się przed deszczem i słońcem. A łańcuch był na tyle długi, że pies mógł dojść do wylotu zaułka i patrzeć na ludzi przechodzących chodnikiem i na przejeżdżające ulicą samochody. Kiedy się tamtędy szło, widać czasem było czubek psiego nosa u wylotu zaułka; bo akurat dotąd sięgał łańcuch, ani odrobinę dalej.

Można było wyciągnąć rękę i pies ją obwąchał, ale nie lubił, żeby go dotykać. Nigdy też tej ręki nie polizal, jak to się zdarza innym psom. Kiedy się go próbowało pogłaskać, robił unik i cofał się w głąb zaułka. I patrzył wtedy w taki sposób, że człowiek czuł, że lepiej się tam za nim nie pchać, żeby go pogłaskać.

- Bobby ugryzł - powiedział Walt.

- To nic pewnego - odparł Garp - on nigdy nikogo nie ugryzł, a jeśli, to w każdym razie ja o tym nie słyszałem.

- A ty tam byłeś? - zapytał Walt.

- Tak - odparł Garp; wiedział, że narrator zawsze musi być „tam”.

- Walt! - zawołała Helen; Garpa złościło, kiedy podsłuchiwała historie, które opowiadał dzieciom. - To się właśnie nazywa pieskie życie.

Ale ani Walt, ani jego ojciec nie docenili dygresji Helen. Walt powiedział:

- No, opowiadaj. Co się stało z tym psem?

Za każdym razem Garp czuł się przytłoczony odpowiedzialnością. Co to za dziwny instynkt każe ludziom zawsze oczekiwać, że coś się stanie? Wystarczy tylko zacząć historię o jakimś człowieku czy o psie, a coś się koniecznie musi stać.

- No, dalej! - wykrzyknął Walt zniecierpliwiony. Garp w zapamiętaniu często zapominał o swoich słuchaczach.

Podjął opowieść:

- Jeśli zbyt dużo osób wyciągało ręce do obwąchiwania, pies wycofywał się w głąb zaułka i chował pod ciężarówkę. Często widać było czubek jego czarnego nosa wystający spod samochodu. Pies przebywał albo pod ciężarówką, albo w drugim końcu zaułka od strony chodnika. Nigdy nie zatrzymywał się wpół drogi. Miał swoje ustalone obyczaje i nic ich nie było w stanie zmienić.

- Nic? - zapytał Walt, zawiedziony czy też zmartwiony, że nic się nie dzieje.

- No, prawie nic - ustąpił Garp i Walt uniósł głowę. - Bo jednak było coś, co go wytrącało z równowagi. To jedno doprowadzało psa do szału i tylko to mogło go sprowokować do zaszczekania. Tak że dosłownie się wściekał.

- Aha, już wiem, to na pewno kot! - wrzasnął Walt.

- Strrraszny kot - powiedział Garp głosem, pod wpływem którego Helen przerwała kolejną lekturę „Wiecznego męża” i wstrzymała oddech. Biedny Walt, pomyślała.

- A dlaczego ten kot był taki strrraszny? - zapytał Walt.

- Bo drażnił się z psem - powiedział Garp. Helen odetchnęła z ulgą, że tylko to było w tym kocie straszego.

- Nieladnie jest się drażnić - powiedział z przekonaniem Walt, który zwykle padał ofiarą dokuczliwości Duncana. Duncan powinien posłuchać tej historii, pomyślała Helen. Jeśli chodzi o Walta jest to strata czasu.

- Drażnienie się jest strrrraszne - powiedział Garp. - Ale ten kot był strrrraszny. Stary dachowiec, brudny i złośliwy.

- A jak on się nazywał? - spytał Walt.

- Wcale się nie nazywał. Był bezpański i przez cały czas głodny, więc kradł jedzenie. Ale nikt nie mógł mieć do niego o to pretensji. I ciągle walczył z innymi kotami, ale i tego nikt mu nie mógł brać za złe. Miał tylko jedno oko, drugie stracił tak dawno, że dziura się zasklepiła i porosła futrem. Nie miał też uszu. Musiał bez przerwy walczyć.

- Biedactwo! - wykrzyknęła Helen.

- Nikt nie mógł mieć pretensji do kota o to, że był właśnie taki, jaki był - powiedział Garp - poza tym, że drażnił się z psem. To było bardzo nieładne z jego strony. Nie powinien był tego robić. Dręczył go głód, więc musiał być podstępny, i nikt o niego nie dbał, więc musiał walczyć. Ale nie musiał drażnić się z psem.

- Drażnić się jest bardzo brzydko - powtórzył Walt. To jest zdecydowanie opowieść dla Duncana, doszła do wniosku Helen.

- Codziennie - mówił dalej Garp - kot przechodząc ulicą przystawał u wylotu zaułka, żeby się umyć. Pies wyłaził wtedy spod ciężarówki i biegł tak szybko, że łańcuch wił się za nim jak ten wąż, co go niedawno przejechało na drodze. Widziałeś może?

- No pewnie, że widziałem - powiedział Walt.

- I kiedy pies dobiegł do końca łańcucha, łańcuch szarpał go za szyję i zwał z nóg. Pies leżał wtedy bez tchu, czasem dlatego, że uderzył się w głowę. Kot nigdy nawet nie drgnął. Wiedział, jak długi jest łańcuch, i siedział myjąc się i jednym okiem lypiąc na psa. A pies dostawał szału. Szczekał i kłapał zębami, i szarpał łańcuch, aż właściciel kawiarni, jego pan, musiał wychodzić i przeganiać kota. Wtedy pies wpełzał z powrotem pod ciężarówkę.

Czasami kot wracał natychmiast i wtedy pies leżał pod ciężarówką, dopóki mógł wytrzymać, ale to nie trwało długo. Leżał tam, a kot w tym czasie siedział sobie na chodniku i wylizywał się od stóp do głów. Ale po chwili pies już skomlał i piszczał, a kot mył się dalej i tylko patrzył w głąb zaułka. Bardzo szybko pies zaczynał pod tą ciężarówką wyć i miotać się, jakby go obsiadły pszczoły, ale kot obojętnie mył się dalej. Wreszcie pies wyskakiwał spod ciężarówki i rzucał się do wylotu zaułka naprężając łańcuch, mimo że wiedział, co się stanie. Wiedział, że łańcuch znów go zwali z nóg i będzie dusił, i że go rzuci na chodnik, a kiedy się podniesie, kot będzie tam w

dalszym ciągu siedział w odległości kilku cali i mył się, jakby nigdy nic. I pies wiedział, że będzie czekał, aż zachrypnie, dopóki jego pan albo ktoś inny nie wyjdzie i nie przepłoszy kota. Ten pies nienawidził tego kota.

- Ja go też nienawidzę - stwierdził Walt.

- I ja też - dodał Garp. Helen czuła, jak nabiera niechęci do tej historii - jej wydźwięk był zbyt oczywisty. Nie odezwała się słowem.

- No, dalej - nalegał Walt. Garp wiedział, że opowiadając dziecku jakąś historię, należy opowiadać (lub udawać, że się opowiada) historię z wydźwiękiem oczywistym.

- Pewnego dnia - podjął Garp - wszyscy myśleli, że pies zupełnie zwariował. Przez cały dzień wybiegał spod ciężarówki i pędził aż do wylotu zaułka, dopóki łańcuch nie zwałił go z nóg. A potem wszystko zaczynał od nowa. Nawet kiedy nie było kota, rzucał się przed siebie i szarpał łańcuch usiłując sięgnąć aż do chodnika. Wiele osób, które akurat tamtędy przechodziły, a nie wiedziały, że pies jest na łańcuchu, miało porządnego stracha.

Tej nocy pies był tak zmęczony, że nie spacerował po kawiarni. Spał na podłodze, jakby był chory. Tej nocy każdy mógł się spokojnie tam włamać. Myślę, że pies by się nawet nie obudził. Następnego dnia powtórzyła się ta sama historia, chociaż musiał mieć strasznie obtartą od łańcucha szyję, bo za każdym razem, kiedy łańcuch zwał go z nóg, okropnie skowytał. Tej nocy znów spał w kawiarni na podłodze jak nieżywy, jakby go ktoś zamordował.

No więc jego pan wezwał weterynarza - ciągnął Garp - i ten weterynarz dał psu jakieś zastrzyki, pewnie na uspokojenie. Przez dwie noce pies leżał na podłodze kawiarni, a przez dwa dni pod ciężarówką i nie drgnął nawet, kiedy kot przechodził w pobliżu albo siadał i mył się u wylotu zaułka. Biedne psisko - dodał Garp.

- Był bardzo smutny - powiedział Walt.

- Ale czy uważasz, że on był mądry? - zapytał Garp. Walt był zakłopotany, ale odpowiedział:

- Myślę, że był.

- Otóż był - potwierdził Garp - ponieważ za każdym razem, kiedy rzucał się i szarpał łańcuch, przesuwał odrobinę ciężarówkę, do której był przywiązany. I chociaż ta ciężarówka tkwiła tam od lat i przyrdzewiała na dobre do tych bloków, na których stała, i chociaż prędzej by runęły wszystkie budynki dokoła, niżby ona ruszyła się z miejsca, to jednak pies zdołał przesunąć ją troszeczkę. Odrobinę. Czy myślisz, że przesunął ją wystarczająco? - Garp spytał Walta.

- Myślę, że tak - odparł Walt. Helen też tak myślała.

- Zabrakło mu tylko kilku cali, żeby dosięgnąć kota - powiedział Garp. Walt skinął głową. Helen, pewna krwawego zakończenia, pogrzyżyła się znów w lekturze „Wiecznego męża”.

- Jednego dnia - mówił wolno Garp - kot przyszedł, usiadł na chodniku u wylotu zaułka i zaczął sobie lizać łapy. Mokrymi łapkami mył następnie dziury, które mu zostały po uszach, i zarośnięty oczodół, w którym kiedyś tkwiło oko, i gapił się w zaułek na psa leżącego pod ciężarówką. Kota zaczynało to już nudzić. I wtedy nagle pies wyskoczył.

- Bo na pewno ta ciężarówka przesunęła się już wystarczająco daleko - powiedział Walt.

- Pies przebiegł zaułek prędzej niż kiedykolwiek do tej pory, tak że stary łańcuch tańczył tylko za nim nad ziemią, ale kot ani drgnął, mimo że tym razem pies mógł go dosięgnąć. Tyle że - dodał Garp - niezupełnie. - Helen jęknęła. - Pies rozwarł już pysk nad głową kota, ale w tym momencie łańcuch szarpnął tak mocno, że nie zdołał go zamknąć. Pies zacharczał i jak zwykle poleciał do tyłu, a kot stwierdził, że coś się zmieniło, i umknął.

- O Boże! - wykrzyknęła Helen.

- Och, nie - zawtórował jej Walt.

- Oczywiście takiego kota jak ten nie da się wyprowadzić w pole dwa razy - powiedział Garp. - Pies miał jedną jedyną szansę i ją zaprzepaścił. Kot już nigdy więcej nie pozwoli mu się zbliżyć do siebie na taką odległość.

- Co za koszmarna historia! - wykrzyknęła Helen.

Walt patrzył w milczeniu, wyglądało na to, że się z nią zgadza.

- Ale jeszcze coś się zdarzyło - powiedział Garp. Walt się ożywił, stał się czujny. Helen, zirytowana, znów wstrzymała oddech. - Kot był tak przerażony, że wybiegł na ulicę nie rozglądając się na boki. A przecież wiesz, Walt - dokończył Garp - że obojętne, co się dzieje, nie wolno wybiegać na ulicę nie rozglądając się w jedną i drugą stronę, prawda?

- Prawda - przyznał Walt.

- Nawet gdyby miał cię ugryźć pies - powiedział Garp. - Nigdy nie należy wybiegać na ulicę nie oglądając się na boki.

- No chyba, ja wiem - zapewnił go Walt. - Ale co się stało z kotem?

Garp klasnął w ręce tak mocno, że mały aż podskoczył.

- Został zabity, o tak! - wykrzyknął. - Trach! - i już nie żył. Przepadło. Miałby znacznie większą szansę, gdyby go dopadł pies.

- Przejechał go samochód? - spytał Walt.

- Ciężarówka - wyjaśnił Garp. - Przejechała mu dokładnie przez głowę. I mózg wypłynął tymi starymi dziurami, co to mu zostały po uszach.

- Zmiażdżyła go? - zapytał Walt.

- Na placek - odparł Garp i uniósł dłoń do góry równo z poważną twarzą małego. Jezu - pomyślała Helen - a jednak mimo wszystko była to opowieść dla Walta. Nie wybiegaj na ulicę nie rozglądając się na boki!

- Koniec - powiedział Garp.

- Dobranoc - powiedział Walt.

- Dobranoc - odpowiedział mu Garp. Helen usłyszała, jak się całują.

- A dlaczego ten pies nie miał imienia? - zapytał Walt.

- Nie wiem - odparł Garp. - Nie wybiegaj na ulicę nie rozglądając się na boki.

Kiedy Walt zasnął i skończyli się kochać, Helen nagle coś tknęło w związku z opowieścią Garpa.

- Wykluczone, żeby ten pies ruszył tę ciężarówkę z miejsca - powiedziała. - Nawet o cal.

- Jasne - przyznał Garp.

Helen nie miała wątpliwości, że Garp tam rzeczywiście był.

- To jak ty mogłeś ją ruszyć? - zapytała.

- Ja też nie mogłem - rzekł Garp. - Nie dała się ruszyć z miejsca. Wyjąłem jedno ogniwo z łańcucha, nocą, kiedy pies pilnował kawiarni, i dokupiłem kilka takich samych w sklepie żelaznym. Następnej nocy dołożyłem kilka ogniwek i podłużyłem łańcuch o jakieś sześć cali.

- Ale ten kot oczywiście nigdy nie wybiegł na ulicę, prawda? - zapytała Helen.

- Nie, to było specjalnie dla Walta - przyznał Garp.

- Oczywiście.

- Łańcuch był już wtedy dostatecznie długi - powiedział Garp. - Kot nie zdołał uciec.

- I pies go zabił? - spytała Helen.

- Przegryzł na pół.

- W pewnym mieście w Niemczech?

- Nie, w Austrii - odrzekł Garp. - To było w Wiedniu. Nigdy nie mieszkałem w

Niemczech.

- Ale jak pies mógł być na wojnie? Musiałby mieć ze dwadzieścia lat wtedy, kiedy ty tam byłeś.

- Pies nie był na wojnie - przyznał Garp. - To był zwykły pies. Jego pan był na wojnie, właściciel kawiarni. Stąd znał się na tresurze. Uczył psa, że ma zabić każdego, kto by wszedł do kawiarni, kiedy jest ciemno na zewnątrz. Kiedy było jasno, mógł wejść każdy. Po ciemku nie śmiał wejść nawet właściciel.

- Ładna historia! - wykrzyknęła Helen. - A gdyby tak wybuchł pożar? Wygląda na to, że ta metoda ma wiele wad.

- To jest najwyraźniej metoda wojenna - wyjaśnił Garp.

- To lepsza historia niż z tym psem na wojnie - powiedziała Helen.

- Rzeczywiście tak uważasz? - Helen odniosła wrażenie, że po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Garp jest czujny. - Ciekawe - powiedział - bo ja to właśnie w tej chwili wymyśliłem.

- To, że właściciel był na wojnie? - zapytała Helen.

- Znacznie więcej - przyznał.

- A którą część wymyśliłeś? - spytała.

- Wszystko.

Leżeli razem w łóżku i Helen milczała, ponieważ wiedziała, że jest to jeden z bardziej zdradliwych momentów.

- To znaczy prawie wszystko - dodał.

Garp nigdy nie miał dosyć tej zabawy, chociaż Helen już była nią znużona. Czekał zwykle, żeby zapytała: „A co?” Co jest prawdą, a co jest zmyślane. I wtedy on by jej powiedział, że to nie ma znaczenia; niech ona mu tylko powie, w co nie wierzy. To on zmieni tę część. Wszystko, w co uwierzyła, to jest prawda, a w co nie uwierzyła, wymaga przeróbki. Jeżeli wierzyła we wszystko, to znaczy, że wszystko jest prawdą. Był bezlitosny jako narrator, Helen wiedziała. Jeżeli prawda pasowała do opowieści, ujawniał ją bez żadnych skrupułów, ale jeśli jakaś prawda nie nadawała się do opowiadania, przerabiał ją dowolnie.

- Jak już ci się znudzi ta zabawa - powiedziała - chciałabym wiedzieć, jak było naprawdę.

- Naprawdę - odrzekł Garp - to był pies myśliwski.

- Pies myśliwski!

- Dokładnie sznaucer. I rzeczywiście był przywiązany przez cały dzień w zaułku,

ale nie do żadnej wojskowej ciężarówki.

- Do Volkswagena? - zgadywała Helen.

- Do sanek - wyjaśnił Garp. - Te sanki służyły w zimie do wywożenia pojemników na chodnik, ale oczywiście sznaucer był za mały i za słaby, żeby je uciągnąć - o każdej porze roku.

- A właściciel kawiarni? - zapytała Helen. - Nie był na wojnie?

- Właścicielka - odparł Garp. - To była wdowa.

- A jej mąż zginął na wojnie? - zgadywała dalej Helen.

- To była młoda wdowa. Jej mąż zginął przechodząc przez ulicę. Była bardzo przywiązana do psa, którego mąż sprezentował jej na pierwszą rocznicę ślubu. A jej nowa gospodyni nie pozwalała trzymać psów w mieszkaniu, więc wdowa wpuszczała go nocą do kawiarni.

Pomieszczenie było puste i ponure, i pies był zdenerwowany. Prawdę powiedziawszy, paskudził tam przez całą noc. Ludzie zatrzymywali się, zaglądali przez okna i śmieli się z tych jego kup. A ten ich śmiech jeszcze bardziej denerwował psa, który fajdał wtedy na potęgę. Wdowa przychodziła bardzo wcześnie rano, żeby wywietrzyć lokal i posprzątać po psie. Biła go gazetą, wywlekała opierającego się na zewnątrz i tkwił cały dzień w zaułku uwiązany do sanek.

- I nie było żadnego kota?

- Och, było masę kotów - powiedział Garp - przychodziły tam z powodu pojemników na śmieci należących do kawiarni. Pies nigdy nie dotykał śmieci, ponieważ bał się wdowy i dosłownie drżał ze strachu przed kotami. Ilekroć w zaułku pojawił się jakiś kot, plądrujący pojemniki, pies wpełzał pod sanie i siedział tam, dopóki kot się nie wyniósł.

- Mój Boże - westchnęła Helen - to nawet nikt nikogo nie drażnił?

- Zawsze ktoś kogoś drażni - powiedział Garp uroczyście. - Była tam mała dziewczynka, która stawała u wylotu zaułka i wywoływała psa na chodnik, tyle tylko, że łańcuch nie sięgał do chodnika i pies - hau, hau, hau - ujadał na nią. A ona stała na brzegu chodnika i wołała: „Chodź tu, do nogi”, dopóki ktoś nie otworzył okna i nie krzyknął na małą, żeby zostawiła biedną psinę w spokoju.

- A ty tam byłeś? - spytała Helen.

- Myśmy tam byli - odparł Garp. - Moja matka codziennie pisała w pokoju, którego jedyne okno wychodziło na ten zaułek. Ujadanie tego psa doprowadzało ją do szału.

- Aha, więc to Jenny przesunęła te sanie - powiedziała Helen - a pies zjadł dziewczynkę, której rodzice dali znać na policję, i uspili psa. A ty oczywiście pocieszałeś jak mogłeś wdowę, która miała niewiele po czterdziestce.

- Sporo po trzydziestce - sprostował Garp - ale to nie było tak.

- A jak? - spytała Helen.

- Pewnej nocy w kawiarni - odparł Garp - pies dostał apopleksji. Wiele osób przyznawało się do tego, że to one tak wystraszyły biedaka. W tej sprawie panowało nawet w okolicy coś w rodzaju współzawodnictwa. Ludzie na przykład skradali się, a potem rzucali się na okna i drzwi kawiarni, wrzeszcząc jak wielkie kociska i przyprawiając nieszczęsnego psa o gigantyczną sraczkę ze strachu.

- I ta apopleksja zabiła psa, mam nadzieję - powiedziała Helen.

- Niezupełnie. Od tego wylewu sparaliżowało mu tylną część ciała, tak że mógł poruszać tylko przednimi łapami i kiwać głową. Wdowa jednak tak czepiała się życia tej nieszczęsnej psiny jak pamięci swego zmarłego męża, poprosiła nawet stolarza, z którym sypiała, żeby zrobił taki specjalny mały wózek. Wózek był na kółkach, więc pies chodził po prostu na przednich łapach wożąc za sobą w tym małym wózeczku swój bezwładny zad.

- O Boże - powiedziała Helen.

- Nie uwierzyłybyś, jaki potworny hałas robiły te kółka.

- Prawdopodobnie bym nie uwierzyła - rzekła Helen.

- Matka twierdziła, że tego nie słyszy, ale w tym turkocie było coś tak patetycznego, że wydawał się gorszy od psiego ujadania na tę głupią smarkulę. A poza tym pies nie umiał brać zakrętów i zawsze go zarzucało. Skakał więc, a dopiero potem skręcał i wtedy tylne kółka wymykały się spod niego i jechały szybciej, niż on nadażał podskakiwać, i pies padał. A jak już leżał na boku, nie mógł wstać. Wyglądało na to, że byłem jedyną osobą, która go widywała w tej sytuacji, w każdym razie to zawsze ja tam szedłem i go podnosiłem. Jak tylko poczuł pod sobą kółka, usiłował mnie ugryźć - ciągnął Garp - tyle że łatwo było od niego uciec.

- A więc pewnego dnia - przerwała mu Helen - odwiązałeś sznaucera, który wybiegł na ulicę nie rozglądając się na boki.

- Nie, przepraszam: wyturlał się na ulicę nie rozglądając się na boki. I wszystkie kłopoty się skończyły. A wdowa i stolarz się pobrali.

- Nie tak było - zaprotestował Garp.

- Ale ja chcę wiedzieć, jak było naprawdę - powiedziała Helen sennie - co się

stało z tym cholernym sznaucerem?

- Nie wiem - odparł Garp - wróciliśmy z matką do kraju i resztę znasz.

Helen, którą już ogarniał sen, wiedziała, że tylko jej milczenie może skłonić Garpa do wyjawienia prawdy. Wiedziała, że ta wersja może być tak samo wymyślona, jak i inne, albo że inne wersje mogą być w większości prawdziwe, a nawet, że ta może być w znacznej mierze prawdziwa. Z Garpem możliwa była praktycznie każda kombinacja.

Helen już spała, kiedy Garp zapytał:

- Która wersja podobała ci się bardziej? - Ale igraszki miłosne działały na nią usypiająco, a nieustanny dźwięk głosu Garpa wzmagał tylko jej senność - tak zresztą najbardziej lubiła zasypiać: najpierw żeby ją kochał, a potem mówił.

Ale Garp był rozczarowany. Wieczorem jego aktywność niemal wygasła, a mdłość wprowadzała go jak gdyby w szybsze obroty, odradzała: mógł stawać do maratonów w mówieniu, jeść, czytać do rana, krzątać się. W takich chwilach jednak rzadko zabierał się do pisania; czasem tylko robił notatki, które później wykorzystywał.

Ale nie tej nocy. Tym razem ściągnął z Helen koce i przez chwilę patrzył na śpiącą; następnie zakrył ją z powrotem. Poszedł do pokoju Walta i z kolei przyglądał się małemu. Napawał się tak bliskim widokiem dziecka. Położył się koło niego czując jego świeży oddech; przypomniał sobie moment, w którym oddech śpiącego Duncana stał się po dorosłemu nieświeży. Było to dla Garpa nieprzyjemne przeżycie, kiedy wkrótce potem, jak Duncan skończył pięć lat, stwierdził, że jego oddech podczas snu jest jakiś zakisły, a nawet z lekka cuchnący. Jak gdyby już się w nim rozpoczął proces rozkładu, powolnego umierania. Wtedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze śmiertelności swojego syna. Wraz z tym odorem pojawiły się też pierwsze przebarwienia i skazy na nieskazitelnych dotychczas zębach chłopca. Być może dlatego, że Duncan był jego pierwotnym dzieckiem, Garp bardziej obawiał się o niego niż o Walta, mimo że pięciolatek wydaje się narażony na więcej niebezpieczeństw wieku dziecięcego od dziesięciolatka. A jakież to są niebezpieczeństwa? - zastanawiał się. Wypadki samochodowe? Zakrztuszenie się na śmierć orzeszkami ziemnymi? Uprowadzenie przez obcych? Rak, na przykład, to też obcy.

Tyle było powodów do obaw, zwłaszcza o dzieci - a Garp obawiał się bez przerwy o wszystko - że czasami, szczególnie w owych chwilach bezsenności, uważał,

że w sensie psychicznym nie dorósł do ojcostwa. A wtedy zaczynał się martwić i tym, i jeszcze bardziej niepokoił się o dzieci. A jeśli ich najbardziej niebezpiecznym wrogiem okaże się on sam?

Wkrótce zasnął koło Walta, ale miał złe sny, więc nie trwało to długo. Zaczął jęczeć - poczuł, że go coś ciągnie pod pachą. Obudził się nagle i stwierdził, że mała piąstka Walta wplątała mu się we włosy. Walt też jęczał. Garp odczepił się od popiskującego dziecka, które w jego przekonaniu śniło ten sam sen - jak gdyby drżące ciało Garpa przekazywało sen Garpa Waltowi. Ale Walt zmagął się z własnym koszmarem.

Garpowi nie przyszłoby do głowy, że jego instruktażowa opowieść o wojennym psie, o drażniącym go kocie i o nieuchronnej śmiercionośnej ciężarówce mogła być dla Walta tak przerażająca.

A Walt w swoim śnie widział wielką porzuconą wojskową cię żarówkę, rozmiarami i kształtem przypominającą bardziej czołg, całą w działkach, różnych dziwnych przyrządach i groźnie wyglądających głowicach, z przednią szybą w formie szpary nie większej niż otwór w skrzynce na listy. Oczywiście wszystko było czarne.

Pies przywiązany do ciężarówki wielkością dorównywał koniowi, tyle że był chudszy i zły. Powolnymi susami zbliżał się do wylotu zaułka, a słaby łańcuch wił się za nim spiralą. Łańcuch nie wyglądał na to, żeby mógł utrzymać psa. A na końcu zaułka, potykając się o własne miękkie nogi, beznadziejnie niezdarny i niezdolny do ucieczki, kręcił się w kółko malutki Walt –nie mógł zrobić kroku i wydostać się poza zasięg złego psiska. Kiedy łańcuch puścił, wielka ciężarówka ruszyła do przodu, jakby ktoś uruchomił silnik, i w tym momencie pies dopadł Walta. Walt złapał go za sierść, spoconą i szorstką (włosy pod pachą ojca), ale jakoś wywinął mu się. Pies sięgał mu już do gardła, ale Walt tymczasem biegł w stronę ulicy, po której toczyły się ciężarówki, podobne do tej opuszczonej wojskowej, a ich potężne zapasowe koła, w rzędach, przypominały gigantyczne pączki. Ale ponieważ zamiast przednich szyb miały tylko otwory strzelnicze, kierowcy oczywiście nic nie widzieli; nie widzieli więc również małego Walta.

A potem Garp go pocałował i sen Walta uleciał, przynajmniej na razie. Walt znowu znalazł się w bezpiecznym miejscu; czuł zapach ojca i dotyk jego rąk i usłyszał, jak mówi:

- To tylko sen, Walt.

We śnie Garpa przyśniło się Garpowi, że leci samolotem z Duncanem. Duncan

chciał iść do toalety. Garp wskazał mu na końcu przejścia między fotelami drzwi: do małej kuchenki, do kabiny pilota, do ubikacji. Duncan domagał się, żeby go tam zaprowadzić, żeby mu pokazać, które to drzwi, ale Garp był na niego zły.

- Masz dziesięć lat, Duncan - powiedział. - Umiesz czytać. A zresztą możesz zapytać stewardesę. - Duncan skrzyżował nogi i nadął się. Garp popchnął go w tamtą stronę. - Dorośnij wreszcie, Duncan. To jedne z tamtych drzwi. No, idź.

Naburmuszone dziecko ruszyło w tamtym kierunku. Kiedy przechodził, stewardesa uśmiechnęła się do niego i zwichrzyła mu włosy, ale Duncan - bardzo charakterystyczne - o nic nie zapytał. Doszedł do końca i patrzył stamtąd na Garpa spode łba; Garp pomachał mu ze zniecierpliwieniem. Duncan bezradnie wzruszył ramionami. Które drzwi?

Rozdrażniony Garp wstał.

- Spróbuj którychś! - krzyknął do Duncana i wszyscy spojrzeli na stojącego chłopca. Duncan zawstydzził się i natychmiast otworzył drzwi najbliższe sobie. Rzucił szybkie, zdziwione, choć pozbawione krytycyzmu spojrzenie na ojca, zanim go jak gdyby wessało. Drzwi zatrzęsły się. Stewardesa krzyknęła. Samolot zapikował, a następnie wyrównał. Wszyscy wyjrzeni przez okna; niektórzy zemdleli, inni wymiotowali. Garp rzucił się do drzwi, ale pilot i jakaś druga urzędowo wyglądająca osoba nie pozwolili mu ich otworzyć.

- Te drzwi zawsze powinny być zamknięte, ty głupia dziwko! - wrzasnął pilot do płaczącej stewardesy.

- Ja myślałam, że były! - wyszlochała.

- Dokąd one prowadzą? - krzyknął Garp. - O Boże, dokąd one prowadzą? - Zobaczył, że na drzwiach nie ma żadnego napisu.

- Bardzo mi przykro, proszę pana - powiedział pilot - nie było na to rady. - Garp odepchnął pilota, rzucił tajniaka na oparcie fotela, kłapsem usunął z drogi stewardesę. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył, że wychodzą po prostu na zewnątrz, na pędzące chmury, i zanim zdążył zawołać głośno Duncana, sam został wessany i poleciał w niebo za swoim synem.

Rozdział XI

Pani Ralph

Gdyby Garpowi zapewniono spełnienie jakiegoś zakrojonego na dużą skalę a naiwnego życzenia, prosiłby, żeby świat był bezpieczny. Dla dzieci i dla dorosłych. Uważał bowiem świat za niepotrzebnie niebezpieczny dla jednych i dla drugich.

Po kochaniu, kiedy Helen spała, po tamtych snach - Garp ubrał się. Siadając na łóżku, żeby sobie zawiązać trampki, usiadł Helen na nodze i obudził ją. Sięgnęła ręką, żeby go dotknąć, i namacała krótkie spodenki.

- Dokąd się wybierasz? - spytała.

- Zobaczyc, co z Duncanem. - Helen podparła się na łokciu i spojrzała, która godzina. Było po pierwszej w nocy i wiedziała, że Duncan jest u Ralpa.

- W jaki sposób masz zamiar zobaczy, co z Duncanem? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Garp.

Jak rewolwerowiec ścigający ofiarę, jak gwałciciel nieletnich, którego tak obawiają się wszyscy rodzice, Garp przemyka się przez pogrążone w wiosennym śnie przedmieścia, zielone i ciemne; ludzie chrapią i mają różne sny, a ich mechaniczne kosiarki stoją bezczynnie; jest za zimno na to, żeby włączać klimatyzatory. Kilka okien jest otwartych, kilka zamrażarek mruczy. Słychać przyciszony świergot telewizorów nastawionych na nocny program, z niektórych domów sączy się pulsujący szarobłękitny poblask ekranów telewizyjnych. Garpowi ten blask kojarzy się z rakiem - podstępny, zdradliwy, obezwładniającym, który usypia świat. Być może telewizja rzeczywiście powoduje raka - myśli - ale jego prawdziwa złość to złość pisarza: wie, że tam gdzie jarzy się ekran telewizora, tam siedzi ktoś, kto nie czyta.

Garp ostrożnie przemyka się ulicą; wołałby nikogo nie spotkać. Trampki ma luźno zasnurowane, spodenki wiszą na nim swobodnie - nie włożył slipek - nie zamierzał biegać. Mimo że panuje wiosenny chłód, nie ma na sobie koszuli. Kiedy przechodzi, tu i tam w ciemnym domu powarkuje pies. Tuż po igraszkach miłosnych Garp wyobraża sobie, że jego zapach jest tak przenikliwy jak aromat rozduszonej truskawki. Wie, że psy go czują.

Są to przedmieścia dobrze pilnowane przez policję i Garp się boi, że go złapią

za pogwałcenie jakiegoś niepisanego kodeksu dotyczącego strojów, a co najmniej za to, że nie ma przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Spieszy się w przekonaniu, że podaży Duncanowi na pomoc - biegnie ratować swego syna przed lubieżną panią Ralph.

O mało na niego nie wpada młoda kobieta na nie oświetlonym rowerze - włosy powiewają za nią na wietrze, kolana łysekają, nagie i błyszczące, jej oddech uderza w Garpa zaskakującą mieszaniną świeżo skoszonego trawnika i tytoniu. Garp kuli się - dziewczyna krzyczy i chwiejnie wymija go na rowerze; naciska na pedały i nie oglądając się za siebie odjeżdża. Prawdopodobnie uważa go za niedosłego ekshibicjonistę z gołym torsem i nogami, gotowego w każdej chwili spuścić spodenki. Garp myśli, że dziewczyna wraca z jakiegoś miejsca, w którym nie powinna być, i że wyraźnie wisi nad nią jakieś nieszczęście. W tym momencie, myśląc natrętnie o Duncanie i pani Ralph, ma głowę nabitą nieszczęściami.

Garp widzi dom Ralph po raz pierwszy, jest zdania, że zasługuje on na nagrodę - wszystkie okna płoną światłem, drzwi frontowe stoją otworem, rakotwórcza telewizja ryczy. Podejrzewa, że pani Ralph wydaje właśnie przyjęcie, ale w miarę jak się zbliża - na widok trawnika upstrzonego psimi kupami i walającym się sprzętem sportowym w rozsypce - dochodzi do wniosku, że dom jest opuszczony. Śmiercionośne promienie telewizyjne pulsują w living-roomie, zawalonym stertami butów i ubrań, a obok zdezelowanego tapczanu leżą w niedbałych pozach, do połowy schowane w śpiworach, ciała Duncana i Ralph (śpiących oczywiście), którzy wyglądają, jakby ich telewizja zamordowała. W jej niezdrowym świetle twarze chłopców robią takie wrażenie, jakby w nich nie było kropli krwi.

Ale gdzie jest pani Ralph? Spędza wieczór poza domem? Położyła się spać przy zapalonych światłach i otwartych drzwiach, pozostawiając chłopców samych, żeby się kąpali w promieniach telewizji? Garp zastanawia się, czy aby na pewno pamiętała o wyłączeniu kuchni gazowej. Living-room jest cały poznaczony wysypką kipiących popielniczek; Garpowi włos się jeży na myśl; o nie pogaszonych papierosach. Czai się za żywopłotem i przemyka do okna kuchennego węsząc, czy nie poczuje gazu.

Zlew zawalony nie zmytymi naczyniami, na stole butelka dzinu, w kuchni unosi się kwaśny zapach pokrojonych limonek. Sznur od wyłącznika górnego światła, niegdyś za krótki, został: znacznie przedłużony połową przeciętych wzdłuż rajstop. Nylonowa stopa, nakrapiana przezroczystymi plamami tłuszczu, dynda w powiewach wiatru nad dżinem. Garp nie czuje, żeby się coś przypalało, chyba że płonie mały

ogień pod kotem, który leży artystycznie rozwalony na kuchni między palnikami, z broda wspartą na rączce ciężkiego rondla, grzejąc kosmaty brzuch przy mikroplomyczkach do zapalania gazu. Garp i kot przyglądają się sobie nawzajem. Kot mruży oczy.

Ale Garp wie, że pani Ralph z pewnością nie stać na taką koncentrację, żeby się mogła zamienić w kota. Kobieta, której dom - której życie - pozostaje w tak totalnym nieładzie, albo opuściła ten tonący okręt, albo leży nieprzytomna na górze. Czy jest w łóżku? Czy może utopiła się w wannie? I gdzie się podziewa bestia, której niebezpieczne odchody zamieniły trawnik w pole minowe?

W tym momencie z huraganowym łomotem zjeżdża kuchennymi schodami cielsko i rozwalając drzwi wypłasza kota, który zrzuca na ziemię tłusty żeliwny rondel. Pani Ralph ląduje gołym tyłkiem na linoleum. Siedzi mrugając w luźnym kimonie rozchełstany na piersiach i niedbale związanym w grubej talii; w rękę trzyma cudem nie rozlany trunek. Patrzy na szklankę zdziwiona i popija; jej wielkie piersi spoglądające smętnie w dół lśnią; rozlewają się po piegowatej klatce piersiowej, kiedy pani Ralph opada do tyłu na łokcie i czka. Kot, w kącie kuchni, drze się na nią oburzony.

- Zamknij się, Cycuś - pani Ralph zwraca się do kota. Ale kiedy usiłuje wstać, z jękiem pada na plecy. Jej włosy łonowe są mokre i lyskają do Garpa; biały, poorany rozstępami brzuch wygląda jak wymoczony, jak gdyby pani Ralph przez dłuższy czas przebywała pod wodą.

- Ja cię stamtąd wyciągnę, nawet gdybym miała skonać - zwraca się do sufitu, chociaż Garp jest przekonany, że mówi do kota. Może złamała sobie nogę w kostce i jest zbyt pijana, żeby cokolwiek czuć - myśli - może złamała sobie kręgosłup.

Przesuwa się wzdłuż domu do otwartych drzwi frontowych. Woła:

- Czy jest tam ktoś?! - Kot smyrga między jego nogami na dwór. Garp czeka. Słyszy dochodzące z kuchni stękanie i dziwne odgłosy czołgającego się ciała.

- Jak babcię kocham - mówi pani Ralph halsując w stronę drzwi z połami kimona w wypłowiałe kwiatki mniej więcej dociągniętymi; gdzieś po drodze zgubiła drinka.

- Zobaczyłem, że wszystkie światła się palą, i pomyślałem, że może coś się stało - mamrocze Garp.

- Spóźnił się pan. Obaj chłopcy nie żyją. Nie powinnam im była pozwolić bawić się tą bombą. - Pani Ralph szuka w kamiennej twarzy Garpa jakichś przebłysków

poczucia humoru, ale stwierdza, że w tej sprawie poczucie humoru go zawodzi. - Okay, chce pan zobaczyć ciała? - pyta. Przyciąga go do siebie za gumkę spodenek. Garp uświadamia sobie, że nie włożył slipek, więc szybko dogania swoje spodenki wpadając na panią Ralph, która nagle puszcza gumkę i wychodzi do living-roomu. Jej zapach wprawia go w zmieszanie - jakby esencja waniliowa rozlana na dnie głębokiej, wilgotnej torby papierowej.

Pani Ralph łapie Duncana pod pachy i z zadziwiającą siłą dźwiga razem ze śpiworem na górzysty, wygnieciony tapczan. Garp pomaga jej unieść Ralpha, który jest cięższy. Wspólnie układają chłopców na waleta, obtykają śpiworami i podkładają im poduszki pod głowy. Garp wyłącza telewizor, a pani Ralph błędzi po pokoju gasząc światła i zbierając popielniczki. Przypominają małżeństwo, które sprząta po gościach.

- Dobranocka! - szepcze pani Ralph do ciemnego nagle living-roomu, podczas kiedy Garp idąc po omacku, żeby zapalić światło w kuchni, wpada na stołek. - Nie idź jeszcze - syczy do niego pani Ralph. - Musisz mi pomóc pozbyć się stąd kogoś. - Bierze go za rękę i upuszcza popielniczkę; jej kimono rozjeżdża się na boki. Garp, schylając się, żeby podnieść popielniczkę, muska włosami jej pierś. - Ten patafian jest na górze w mojej sypialni - informuje Garpa - i nie chce się wynieść. Nie mogę go zmusić, żeby sobie poszedł.

- Patafian? - dziwi się Garp.

- To jest naprawdę model - mówi pani Ralph - pieprzony świr.

- Świr? - powtarza Garp.

- Tak, wywal go - prosi pani Ralph. Znów odciąga gumkę jego spodenek, ale tym razem zagląda bez żenady. - O rany, nie powiem, żebyś był ubrany zbyt dokładnie. Nie zimno ci? - pyta i kładzie mu dłoń na gołym brzuchu. - Nie, nie zimno - stwierdza wzruszając ramionami.

Garp cofa się przed nią.

- A kto to taki? - pyta w obawie, że może zostać wmanewrowany w wyrzucanie z domu jej byłego męża.

- Chodź, to ci pokażę - szepcze pani Ralph. Ciągnie go kuchennymi schodami na górę, wąskim przesmykiem między zwałami brudnej bielizny a stertą worków wyładowanych pokarmem dla zwierząt. Nic dziwnego, że tu upadła, myśli Garp.

W sypialni pierwszą rzeczą, która rzuca mu się w oczy, jest czarny labrador rozwalony na falującym wodnym materacu pani Ralph. Pies obojętnie przewraca się na bok i zaczyna walić ogonem. Pani Ralph spółkuje ze swoim psem, myśli Garp, i nie

może się go pozbyć z łóżka.

- No, chodź - mówi - wynoś się stąd! - Pies coraz mocniej wali ogonem i posikuje.

- Nie o niego mi chodzi - mówi pani Ralph, dając Garpowi potężnego kuksańca; Garp łapie się materaca, który bulgocze. Wielkie psisko oblizuje mu twarz. Pani Ralph wskazuje fotel w nogach łóżka, ale Garp już przedtem dostrzega w lustrze toaletki młodego człowieka. Siedząc nago w fotelu chłopak czesze jasny koniec swojego mizernego końskiego ogonka, który przerzucił przez ramię, i spryskuje go jednym z aerozoli pani Ralph. Jego brzuch i uda są tak samo białe i błyszczące jak ciało i futerko pani Ralph, a młoda kuśka cienka i wygięta jak grzbiet charta.

- Się masz! - wita Garpa chłopak.

- Dziękuję, dobrze.

- Wyrzuć go stąd - prosi Garpa pani Ralph.

- Chciałem, żeby się zrelaksowała, kapujesz? Żeby się temu poddała.

- Nie pozwól mu się wymądrzać - mówi pan Ralph. - Bo się porzygasz z nudów.

- Każdy jest dziś taki spięty - chłopak obraca się w fotelu, odgina do tyłu i kładzie nogi na wodnym materacu; pies liże jego długie palce. Pani Ralph skopuje mu nogi z łóżka. - Kapujesz, o co mi chodzi? - pyta Garpa.

- Ona chce, żebyś się stąd wyniósł.

- A co, ty jesteś jej mężem?

- Tak - mówi pani Ralph - wyciągnie cię stąd za tego twojego mizernego kutasinę, jeżeli sam się nie wyniesiesz.

- Lepiej idź - radzi mu Garp - pomogę ci znaleźć ubranie.

Chłopak zamyka oczy, jakby się pogrążył w medytacji.

- Te bzdury to jego popisowy numer - pani Ralph wyjaśnia Garpowi. - Nic innego nie potrafi, tylko zamykać te swoje cholerne oczy.

- Gdzie twoje ubranie? - pyta Garp.

Chłopak może mieć siedemnaście - osiemnaście lat. Dorósł właśnie do studiów albo do wojny. Dalej jest pogrążony w transie, więc Garp potrząsa go delikatnie za ramię.

- Nie dotykaj mnie, człowieku - mówi chłopak nie otwierając oczu. W jego głosie pobrzmiwa jakaś idiotyczna pogróżka, pod wpływem której Garp cofa rękę i spogląda na panią Ralph. Pani Ralph wzrusza ramionami.

- To samo powiedział do mnie - oznajmia. Podobnie jak i uśmiechy, stwierdza

Garp, jej wzruszenia ramion są spontaniczne i szczerze. Łapie chłopaka za koński ogon i owija mu nim szyję, a następnie chwyta jego głowę pod pachę i przytrzymuje. Chłopak otwiera oczy.

- No, radzę ci znaleźć to ubranie, okay? - mówi Garp.

- Nie dotykaj mnie - powtarza chłopak.

- Owszem, będę cię dotykał.

- Okay, okay. - Garp pozwala mu wstać. Chłopak jest wyższy od niego o dobre kilka cali, ale zarazem z dziesięć funtów lżejszy. Rozgląda się za swoim ubraniem, ale pani Ralph już zdążyła znaleźć długi fioletowy kaftan z absurdalnie ciężkiego brokatu. Chłopak wchodzi w niego jak w zbroję.

- Przyjemna była orgietka - zwraca się do pani Ralph - ale musisz się bardziej przy tym relaksować. - Pani Ralph w odpowiedzi wybucha tak rechotliwym śmiechem, że nawet pies przestaje walić ogonem.

- A ty powinieneś się cofnąć do lekcji pierwszej i uczyć się wszystkiego od początku. - Wyciąga się na tapczanie koło psa który kładzie jej głowę na brzuchu. - Daj spokój, Bill! - strofuje go ze złością.

- Ona jest bardzo niezrelaksowana - chłopak informuje Garpa.

- Gównie wiesz, jak się zrelaksować - mówi pani Ralph.

Garp wyprowadza młodego człowieka z pokoju po zdradliwych schodach kuchennych i eskortuje przez kuchnię do otwartych drzwi frontowych.

- Ona mnie sama zaprasza, kapujesz - wyjaśnia chłopak. - To był jej pomysł.

- Ale też i ona ci powiedziała, żebyś się wynosił - mówił Garp.

- Jesteś tak samo niezrelaksowany jak i ona.

- Czy dzieci wiedziały, co się tu wyprawia? - pyta Garp. Spały, kiedy szliście na górę?

- Nie przejmuj się dziećmi - mówi chłopak. - Dzieci są piękne, człowieku. I wiedzą znacznie więcej, niż sobie dorośli wyobrażają. Dziecko to człowiek doskonały, dopóki dorośli nie położą na nim swoich łap. Dzieciaki były w porządku, dzieciaki zawsze są w porządku.

- A ty masz dzieci? - Garp nie może się powstrzymać przed tym pytaniem; do tej pory okazywał wielką cierpliwość wobec chłopaka, ale tam gdzie w grę wchodziły dzieci, jego cierpliwość się kończy. W tych sprawach nie uznaje żadnych autorytetów.

- Do widzenia - mówi - i nie pokazuj się tu więcej. - Wypycha go, ale lekko, przez otwarte drzwi.

- Nie pchaj mnie! - krzyczy chłopak, ale Garp uchyla się przed ciosem i łapie go wpół; wydaje mu się, że smarkacz waży siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt funtów, chociaż oczywiście jest cięższy. Obejmuje go i przytrzymuje mu ręce z tyłu, a następnie wynosi na chodnik. Kiedy chłopak przestaje się wyrywać, stawia go na ziemi.

- Wiesz, dokąd masz iść? - pyta. - A może potrzebne ci są jakieś wskazówki, co?
- Chłopak oddycha ciężko, maca się po żebrach. - Tylko nie opowiadaj swoim kumplom, którzy za tym węszą, gdzie byłeś. I nie próbuj dzwonić.

- Ja nawet nie wiem, jak ona się nazywa, człowieku - skamle chłopak.

- I nie nazywaj mnie więcej „człowiekiem” - dodaje Garp.

- Okay, człowieku. - Garp czuje w gardle przyjemną suchość, znak, że chętnie by kogoś „dotknął”, ale pozwala uczuciu przeminać.

- Płyn stąd - mówi.

Z odległości przecznicy chłopak woła:

- Do widzenia, człowieku! - Garp zdaje sobie sprawę, że dogoniłby go bez trudu, i nawet perspektywa takiej komedii go rajcuje, ale byłby zawiedziony, gdyby młody człowiek nie okazał odpowiedniego strachu, a Garp nie czuje potrzeby zrobienia mu krzywdy. Macha mu na do widzenia. Chłopak unosi do góry środkowy palec i wlokąc za sobą swoją idiotyczną szatę, jak jeden z pierwszych chrześcijan, ginie gdzieś w perspektywie przedmieścia.

Uważaj na lwy, bracie, myśli Garp błogosławiąc go na drogę. Za kilka lat Duncan będzie w tym wieku; Garp ma nadzieję, że łatwiej się z nim porozumie.

Po powrocie słyszy, że pani Ralph płacze, przemawiając do psa.

- Och, Bill - szłocha. - Przepraszam, że cię obrażam. Jesteś taki miły.

- Do widzenia! - woła Garp w górę. - Twój przyjaciel już sobie poszedł i ja też idę.

- A gówno! - wrzeszczy pani Ralph. - Nie możesz mnie tak zostawić! - Zawodzi coraz głośniej; jeszcze chwila, myśli Garp, i pies zacznie ujadać.

- A co mam zrobić? - woła.

- Przynajmniej ze mną porozmawiać! Ty pieprzony świętoszku! Świrze cholerny!

Co to takiego świr? - zastanawia się Garp idąc po schodach na górę.

- Ty pewnie myślisz, że ja tak cały czas? - mówi pani Ralph, całkowicie rozmamlana na swoim materacu wodnym. Siedzi założywszy nogę na nogę, ciasno

owinięta kimonem, z wielkim łbem Billa na kolanach.

Garp rzeczywiście tak myśli, ale potrząsa głową.

- Myślisz, że upokarzając się robię sobie przyjemność. Siadaj, na miłość boską.
- Ciągnie Garpa na kołyszące się łóżko. - Ten cholerny materac cieknie i jest w nim za mało wody - wyjaśnia. - Mój mąż go zwykle dopełniał.

- Bardzo mi przykro - mówi Garp-doradca małżeński.

- Mam nadzieję, że nigdy nie rzucisz swojej żony - pani Ralph bierze Garpa za rękę i trzyma ją na kolanach; pies oblizuje mu palce. - To najohydniejsza rzecz, jaką może zrobić mężczyzna. Powiedział, że latami udawał zainteresowanie mną! I że prawie każda kobieta, młoda czy stara, podoba mu się bardziej ode mnie. To chyba niezbyt ładnie, prawda? - pyta pani Ralph.

- No, niezbyt - zgadza się z nią Garp.

- Możesz mi wierzyć, że nie puszczałam się z nikim, dopóki mnie nie rzucił.

- Wierzę ci.

- To bardzo źle robi kobiecie na samopoczucie - zapewnia go pani Ralph. - Nie sądzisz, że powinnam sobie czasem zrobić małą przyjemność?

- Powinnaś - przytakuje Garp.

- Ale ja jestem w tym do kitu! - wyznaje pani Ralph; zasłania oczy rękami i kołysze się na łóżku. Bill usiłuje polizać ją po twarzy, ale Garp go odpycha; pies myśli, że to zabawa, i rzuca się na niego przez kolana pani Ralph. Garp wali go w nos - za mocno - i biedak cofa się skomląc. - Nie rób Billowi krzywdy! - krzyczy pani Ralph.

- Chciałem ci tylko pomóc - tłumaczy się Garp.

- Nie pomożesz mi przez to, że zrobisz krzywdę Billowi. Jezu, czy wszyscy mają kota?

Garp opada na łóżko z zaciśniętymi oczyma; łóżko faluje jak małe morze i Garp jęczy.

- Nie mam pojęcia, jak ci pomóc. Bardzo mi przykro z powodu twoich kłopotów, ale naprawdę nie mogę nic na nie poradzić. Jeśli chcesz się przede mną wygadać, to proszę bardzo - mówi z oczyma zamkniętymi w dalszym ciągu - ale co zrobić, że tak się czujesz.

- A, to rzeczywiście cholernie pocieszające, co powiedziałeś - mówi pani Ralph. Bill dyszy Garpowi we włosy. Nieśmiało liże go po uchu. Garp zastanawia się: czy to Bill, czy pani Ralph. Potem czuje, jak pani Ralph pcha mu łapę w spodenki, i myśli chłodno: jeśli rzeczywiście nie mam na to ochoty, to dlaczego położyłem się na

wznak?

- Proszę cię, nie rób tego - mówi. Pani Ralph oczywiście czuje brak zainteresowania z jego strony i daje mu spokój. Kładzie się koło niego, a potem odwraca się tyłem. Łóżko chlebcze gwałtownie, kiedy Bill usiłuje wcisnąć się pomiędzy nich, ale pani Ralph daje mu taką potężną sójkę w masywną klatkę piersiową, że pies kaszle i zeskakuje na ziemię.

- Biedny Bill. Przepraszam cię - pani Ralph popłakuje z cicha. Bill wali potężnym ogonem w podłogę. Pani Ralph, jakby dla dopełnienia miary własnego upokorzenia, pierdzi. Jej łkania są miarowe jak deszcz, który potrafi padać cały dzień. Garp-doradca małżeński zastanawia się, w jaki sposób mógłby choć odrobinę poprawić jej samopoczucie.

- Pani Ralph? - mówi i gryzie się w język.

- Co? Co ty powiedziałaś? - Pani Ralph dźwiga się, podpira na łokciach, odwraca do niego głowę i łypie spod oka. Słyszała, co powiedział, nie ma co do tego wątpliwości. - Czy powiedziałaś „pani Ralph”? Jezu, „pani Ralph”! - wykrzykuje. - Ty nawet nie wiesz, jak ja się nazywam.

Garp siada na brzegu łóżka; ma ochotę zejść do Billa na podłogę.

- Uważam, że jesteś bardzo pociągająca - mamrocze, ale cały czas patrzy na Billa. - Naprawdę.

- Udowodnij. Cholerny łgarz. Pokaż mi, że tak jest rzeczywiście.

- Nie mogę ci pokazać - tłumaczy się Garp - ale wcale nie dlatego, żebym cię nie uważał za pociągającą.

- Nawet ci przy mnie nie staje! Jestem półnaga, a ty siedzisz koło mnie na moim cholernym łóżku i nawet nie masz przyzwoitej erekcji.

- Próbowałem to przed tobą ukryć.

- Udało ci się. A może powiesz, jak ja się nazywam?

Garp nigdy nie był bardziej boleśnie świadom jednej ze swoich koszmarnych słabości: jak bardzo mu zależy na tym, żeby go ludzie lubili, jak bardzo chce być doceniony. Z każdym słowem, zdaje sobie sprawę, głębiej brnie w niezręczną sytuację i w oczywiste kłamstwo. Teraz już wie, co znaczy świr.

- Twój mąż musi być szalony - mówi - mnie się podobasz bardziej niż większość kobiet.

- Och, przestań, chyba jesteś chory.

Rzeczywiście, chyba jestem chory - zgadza się z nią Garp, ale mówi:

- Powinnaś mieć większe zaufanie do swojej seksualnej atrakcyjności, naprawdę. A co ważniejsze, powinnaś uwierzyć w siebie również w wielu innych sprawach.

- Nigdy nie było żadnych innych spraw - przyznaje pani Ralph. - Nigdy właściwie nie byłam napalona na nic innego poza seksem, a teraz właściwie nie jestem napalona i na to.

- Ale studiujesz - mówi Garp błędząc po omacku.

- Naprawdę nie wiem, po co. Aha, pewnie o to ci chodziło, kiedy mówiłaś, że mam uwierzyć w siebie w innych sprawach, tak? - Garp zaciska powieki, marzy o tym, żeby stracić przytomność; kiedy słyszy, że materac wodny chlupocze jak fala przyboju, wietrzy niebezpieczeństwo i otwiera oczy. Pani Ralph zdążyła się rozebrać i wyciągnąć nago na łóżku. Drobne falki w dalszym ciągu podmywają jej cielsko, które wygląda jak solidna łódź zacumowana na burzliwych wodach. - Pokaż, że ci stanął, i możesz sobie iść. Pokaż mi swoją erekcję, to uwierzę, że ci się podobam.

Garp usiłuje wywołać u siebie erekcję. W tym celu zamyka oczy i myśli o kim innym.

- Ty skurczybyku - mówi pani Ralph, ale Garp czuje, że już jest gotów; okazało się, że nie było to takie trudne, jak sobie wyobrażał. Otworzył oczy musi przyznać, że pani Ralph nie jest tak zupełnie pozbawiona powabu. Ściąga spodenki i pokazuje jej, co ma do pokazania. Już sam ten gest umacnia jego erekcję; stwierdza, że nawet podoba mu się jej wilgotny, kędzierzawy błamik. Ale pani Ralph nie jest ani rozczarowana, ani zachwycona tym, co zobaczyła; jest zrezygnowana i przygotowana na niepowodzenie. Wzrusza ramionami. Przekręca się na bok i odwraca do Garpa swoim wielkim okrągłym dupskiem.

- Aha, to jednak potrafisz go postawić na baczność - mówi. - Dziękuję. Możesz już iść.

Garp ma ochotę jej dotknąć. Zniecierpliwiony swoim skrępowaniem czuje, że mógłby się spuścić od samego patrzenia na nią. Potykając się o własne nogi złazi po koszmarnych schodach. Zastanawia się, czy ta kobieta wykonała już na dziś program samoupodlenia. I czy Duncan jest bezpieczny? A może przedłużyć czuwanie aż do uspokajającego brzasku? Nadepnąwszy na rondel, który zadzwonił o kuchnię, nie słyszy nawet westchnienia pani Ralph, tylko pomruk Billa. Gdyby chłopcy się teraz obudzili i czegoś potrzebowali, pani Ralph też ich z pewnością nie usłyszy.

Jest wpół do czwartej nad ranem w cichym wreszcie domu, kiedy Garp

decyduje się posprzątać kuchnię, żeby spędzić jakoś czas do rana. Obznajmiony z obowiązkami domowymi, napełnia zlew wodą i zaczyna zmywać.

Kiedy zadzwonił telefon, wiedział, że to Helen. Nagle zdał sobie sprawę ze wszystkich koszmarnych rzeczy, które mogły jej przyjść do głowy.

- Halo - powiedział.

- Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co się dzieje? - zapytała. Garp wiedział, że od dawna nie śpi. Była czwarta rano.

- Nic się nie dzieje, Helen - uspokoił ją. - Były tu małe kłopoty i nie chciałem zostawiać Duncana samego.

- Gdzie jest ta kobieta?

- W łóżku - przyznał Garp. - Film jej się urwał.

- Od czego?

- Piła. A poza tym był u niej jakiś młody facet. Chciała, żebym jej pomógł się go pozbyć.

- I potem już byłeś z nią sam, tak?

- Niedługo. Ona zaraz zasnęła.

- Wcale nie twierdzę, że to musiało trwać długo... - powiedziała Helen - z nią.

Puścił to mimo uszu. Od dłuższego czasu Helen nie okazywała mu zazdrości, ale bez trudu przypomniał sobie, jak potrafi żądlić.

- Nic się nie dzieje, Helen.

- Powiedz mi dokładnie, co robisz akurat w tym momencie - zażądała.

- Zmywam naczynia - odparł Garp. Słyszał, jak bierze głęboki kontrolowany oddech.

- Ciekawe, po co tam jeszcze jesteś.

- Nie chciałem zostawić Duncana samego.

- Uważam, że powinieneś go przyprowadzić do domu. Zaraz.

- Helen - powiedział Garp - byłem dobry. - Zabrzmiało to dość żałośnie, nawet dla niego samego, poza tym wiedział, że wcale nie był taki znów dobry. - Nic się nie stało - dodał, już pewniejszy prawdziwości tego stwierdzenia.

- Oszczędzę ci pytania, po co zmywasz jej brudne naczynia.

- Dla zabicia czasu.

W gruncie rzeczy nie zastanawiał się nad tym, co robi, aż do tej chwili, a teraz wydało mu się to zupełnie bezsensowne: sterczy tu wyczekując świtu, jakby wypadki

zdarzały się tylko po ciemku.

- Czekam, aż się Duncan obudzi - powiedział, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że i w tym nie ma za grosz sensu.

- A dlaczego po prostu go nie obudzisz?

- Jestem dobry jako pomywacz. - Garp usiłował wprowadzić do rozmowy lżejszą nutę.

- Znam te wszystkie rzeczy, w których jesteś dobry - odparła Helen ze zbyt wyraźną goryczą, żeby to mogło uchodzić za żart.

- Niepotrzebnie się trujesz takimi myślami. Naprawdę, Helen, proszę cię, przestań. Nie zrobiłem nic złego. - Ale małostkowa purytańska pamięć podsunęła Garpowi wspomnienie erekcji, jakiej doznał przy pani Ralph.

- Już się zatrułam - głos Helen mimo wszystko trochę zmiękł. - Proszę cię, wracaj do domu.

- I mam zostawić Duncana?

- Obudź go, na miłość boską! Albo go przynieś.

- Zaraz będę w domu - zapewnił ją Garp. - Tylko się nie przejmuj, nie myśl tego, co myślisz. Opowiem ci wszystko. Na pewno ci się spodoba ta historia, - Ale wiedział, że będzie miał kłopot chcąc jej powiedzieć wszystko i że bardzo starannie musi wyeliminować w myśli te fragmenty, do których się nie przyzna.

- Zaraz poczułam się lepiej - powiedziała Helen. - Mam nadzieję, że wkrótce cię zobaczę. I nie myj już ani jednego naczynia. - Odłożyła słuchawkę, a Garp rozejrzał się po kuchni. Pomyślał, że pani Ralph nawet nie dostrzeże efektów jego półgodzinnej pracy nad opanowaniem tego straszliwego pobojuwiska.

Pośród odrażających stert odzieży porozrzucanej po całym living-roomie zaczął szukać ubrania Duncana. Znał jego rzeczy, ale nigdzie nie mógł ich znaleźć; nagle uświadomił sobie, że Duncan, jak chomik, wpychał wszystko na dno śpiwora, a następnie sam wlaził jak do gniazda. Chłopiec ważył około osiemdziesięciu funtów plus śpiwór, plus ubranie, ale Garp był przekonany, że da radę zanieść go do domu, że nie obudzi go w domu Ralphi. A nuż wyniknie jakaś scena - Duncan nie będzie chciał iść, może się nawet obudzić pani Ralph.

A potem pomyślał o pani Ralph. Był wściekły na siebie - wiedział, że ma ochotę jeszcze raz na nią spojrzeć; nagła erekcja uświadomiła mu, że chce sobie popatrzeć na jej zwaliste cielsko, Szybko ruszył w stronę kuchennych schodów. Mógłby trafić do tamtego cuchnącego pokoju na węż.

Spojrzał prosto w jej krocze, na dziwnie skrecony pepek, na dość małe sutki (jak na takie wielkie piersi). Szkoda, że nie popatrzył najpierw na oczy - przekonałby się, że pani Ralph nie śpi i że na niego patrzy.

- Wszystkie naczynia pozmywane? - spytała. - Przyszedłeś się pożegnać?

- Chciałem zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

- Bzdura - rzuciła pani Ralph - chciałeś sobie jeszcze popatrzeć.

- Tak - wyznał; odwrócił wzrok. - Bardzo mi przykro.

- Niech ci nie będzie przykro. To mnie podnosi na duchu. - Garp próbował się uśmiechnąć. - Bez przerwy jest ci przykro, co za „przykry” człowiek z ciebie dla każdego, z wyjątkiem żony. Jej nigdy nie mówisz, że ci jest przykro.

Koło wodnego tapczanu stał telefon. Garp uznał, że jeszcze nigdy tak błędnie nie ocenił niczyjego stanu. Nagle pani Ralph okazała się nie bardziej pijana niż Bill; albo w cudowny sposób stała się niepijana, albo doznawała właśnie tej półgodzinnej jasności pomiędzy stanem zamroczenia a kacem, o której Garp czytał, ale którą zawsze uważał za mit. Jeszcze jedno złudzenie.

- Zabieram Duncana do domu - oświadczył.

Skinęła głową.

- Na twoim miejscu zrobiłabym to samo.

Garp po krótkiej, ale ostrej walce wewnętrznej powstrzymał się przed kolejnym „bardzo mi przykro”.

- Możesz coś dla mnie zrobić? - spytała pani Ralph. Garp patrzył na nią; nie miała nic przeciwko temu. - Nie mów swojej żonie o mnie wszystkiego, dobrze? Nie chciałabym wyjść przed nią na świnię. Spróbuj mnie opisać choćby z małą dozą sympatii.

- Ta doza wcale nie musi być mała - wymamrotał.

- Nie tylko doza - powiedziała pani Ralph patrząc na jego uniesione spodenki. - Z tym lepiej nie wracaj do domu. - Nie odezwał się słowem. Garp-purytanin uznał, że sobie zasłużył na to, żeby oberwać. - Twoja żona naprawdę o ciebie dba, co? - dodała. - A ty chyba nie zawsze byłeś taki święty? Wiesz, jak by cię nazwał mój mąż? Nazwałby cię pantoflarzem.

- Twój mąż musi być cholernym durniem - odparł Garp. Dobrze było oberwać, choćby słabo, ale Garp czuł się głupio, że wziął tę kobietę za prymityw.

Pani Ralph podniosła się z łóżka i stanęła naprzeciwko niego. Sutkami dotykała jego piersi. Garp obawiał się, że dźgnie ją swoim twardym członkiem.

- Wrócisz tu jeszcze - powiedziała. - Chcesz się założyć?

Wyszedł bez słowa.

Nie oddalił się nawet na odległość dwóch przecznic - z wiercącym się w śpiworze Duncanem na ramieniu - kiedy do krawężnika podjechał mrugając na niego swoim niebieskim światłem wóz policyjny. Półnagi kidnaper rzucając ukradkowe spojrzenia przemyka się z jaskrawym tobołem wypełnionym kradzionymi rzeczami i - kradzionym dzieckiem.

- Co tam masz, bracie? - zapytał go policjant. Było ich dwóch w samochodzie i na tylnym siedzeniu jakaś trzecia osoba, której prawie nie było widać.

- Swojego syna - powiedział Garp.

Obaj policjanci wysiedli.

- A dokąd pan z, nim idzie? - zapytał jeden z nich. - Nic mu nie jest? - Zaświecił latarką Duncanowi w twarz. Duncan w dalszym ciągu usiłował spać; skrzywił się i odwrócił.

- Poszedł na noc do przyjaciela - wyjaśnił Garp. - Ale było mu tam niedobrze, więc zabieram go do domu. - Policjant przejechał latarką po Garpie, po jego sportowym stroju: spodenki, buty do biegania, a od góry nic.

- Ma pan dowód? - zapytał. Garp delikatnie położył Duncana na czymś trawniku.

- Oczywiście, że nie mam. Jak mnie podwieziecie do domu, to wam pokażę. - Policjanci spojrzeli na siebie. Przyjechali tu kilka godzin temu na wezwanie młodej kobiety, którą, jak twierdziła, zaczepiał ekshibicjonista, a przynajmniej stalker⁵. Mogło to być nawet usiłowanie gwałtu. Powiedziała, że uciekła mu na rowerze.

- Długo pan się tutaj kręci? - spytał Garpa jeden z policjantów.

Trzeci pasażer siedzący z tyłu wyjrzał, żeby zobaczyć, co się dzieje. Na widok Garpa rzekł:

- Hej, co jest z tobą, człowieku? - Duncan zaczął się budzić.

- Ralph? - powiedział.

Jeden z policjantów ukląkł koło chłopca i skierował promień latarki na Garpa.

- Czy to twój ojciec? - spytał. Mały miał przerażenie w oczach; wodził niespokojnie wzrokiem od ojca do policjantów i do niebieskiego światła błyskającego na dachu samochodu.

Drugi policjant podszedł do pasażera siedzącego z tyłu. Był nim chłopak w

⁵ Ktoś, kto dla kawału albo z innych względów przebiega nago w miejscu publicznym (przyp. tłum.).

fioletowym kaftanie, którego zatrzymali objeżdżając okolicę w poszukiwaniu ekshibicjonisty. Nie potrafił powiedzieć im, gdzie mieszka, ponieważ na dobrą sprawę nie mieszkał nigdzie.

- Znasz tego mężczyznę z dzieckiem? - spytał go policjant.

- Tak, to cholernie niebezpieczny facet.

- Wszystko w porządku, Duncan - uspokajał go Garp. - Nic się nie bój. Idziemy do domu.

- Synu - rzekł policjant - czy to jest twój ojciec?

- Przestraszyliście go - zwrócił mu uwagę Garp.

- Ja się wcale nie boję - zaprotestował Duncan. - Dlaczego zabierasz mnie do domu? - Wyglądało na to, że wszyscy chcieliby to wiedzieć.

- Mama Ralpa była zdenerwowana - wyjaśnił Garp; miał nadzieję, że to wystarczy, ale odrzucony kochanek w wozie policyjnym zaczął się śmiać. Policjant z latarką poświecił na kochasia i spytał Garpa, czy go zna. Garp pomyślał: to się nigdy nie skończy.

- Nazywam się Garp - powiedział poirytowany. - S. T. Garp. Jestem żonaty. Mam dwoje dzieci. Ten tutaj, Duncan, starszy, poszedł na noc do przyjaciela. Byłem przekonany, że matka tego przyjaciela nie zasługuje na to, żeby jej powierzyć dziecko. Poszedłem tam i zabrałem małego do domu. Czy raczej próbuję go zabrać. A ten chłopak - Garp wskazał wóz policyjny - był właśnie u matki przyjaciela mojego syna, kiedy przyszedłem. Ale ona chciała, żeby już sobie poszedł, o, właśnie ten chłopak - znów pokazał na młodzieńca w fioletowym kaftanie. - I on poszedł.

- A jak się ta matka nazywa? - spytał policjant; usiłował zapisywać wszystko w gigantycznym notatniku. Po chwili uprzejmego milczenia spojrzał na Garpa.

- Duncan? - Garp zwrócił się do syna. - Jak Ralph ma na nazwisko?

- On zmienia nazwisko - wyjaśnił Duncan. - Miał nazwisko ojca, ale matka chce mu zmienić.

- No dobrze, ale jak się nazywa jego ojciec?

- Ralph - odpowiedział Duncan. Garp zamknął oczy.

- Ralph Ralph? - zdziwił się policjant z notatnikiem.

- Duncan, proszę cię, pomyśl - powiedział Garp. - Jak brzmi nazwisko Ralpa?

- No właśnie mu je zmieniają.

- Ale z jakiego mu zmieniają?

- Możesz spytać samego Ralpa - zaproponował Duncan. Garpowi chciało się

płakać.

- A pan powiedział, że pan się nazywa Garp? - spytał pierwszy policjant.

- Tak.

- A S. T. to pana inicjały? - Garp wiedział, co teraz nastąpi; czuł się bardzo zmęczony.

- Tak, S. T. - powiedział. - Po prostu S. T.

- Straszny Tatunio! - wrzasnął chłopak z samochodu, padając na oparcie i zwijając się ze śmiechu.

- Co oznacza pierwsza litera, panie Garp? - spytał policjant.

- Nic - odparł Garp.

- Nic?

- To są same inicjały - wyjaśnił Garp. - Tak mnie nazwała matka.

- Pan ma na imię S? - spytał policjant.

- Wszyscy nazywają mnie Garp.

- Ale numer, człowieku! - krzyknął chłopak w kaftanie; stojący bliżej samochodu policjant zastukał w dach.

- Jak jeszcze raz położysz swoje brudne nogi na siedzeniu, synu - powiedział - to wyliziesz to siedzenie do czysta.

- Garp? - powtórzył policjant przepytujący Garpa. - Aha, ja wiem, kto pan jest!

- wykrzyknął nagle. Garp poczuł się zaniepokojony. - To pan złapał tego gwałciciela w parku!

- Tak! - potwierdził Garp. - Ja. Ale to nie było tu i zdarzyło się wiele lat temu.

- Pamiętam tę historię, jakby to było wczoraj - powiedział policjant.

- O co chodzi? - spytał jego kolega.

- Jesteś za młody - wyjaśnił mu ten pierwszy. - Ten pan nazywa się Garp, przyłapał gwałciciela w parku... zaraz... gdzie to było? Facet gwałcił dzieci, o tak. A pan co wtedy robił? - spytał zaintrygowany. - Coś takiego śmiesznego, prawda?

- Śmiesznego? - zdziwił się Garp.

- No, z czego się pan utrzymywał? Z czego pan żył?

- Jestem pisarzem - wyjaśnił Garp.

- Ano właśnie - przypomniał sobie policjant. - I w dalszym ciągu jest pan pisarzem?

- Tak - wyznał Garp. Wiedział przynajmniej, że nie jest doradcą małżeńskim.

- To by było na tyle - rzekł policjant, ale coś mu jeszcze nie dawało spokoju;

Garp widział, że coś jest nie w porządku.

- Miałem wtedy brodę - podsunął.

- Ano właśnie! - wykrzyknął policjant. - I pan ją zgolił?!

- Tak jest - odparł Garp.

Policjanci odbyli naradę w czerwonym blasku świateł swego wozu. Zdecydowali, że podwiozą Garpa z Duncanem do domu, ale powiedzieli, że jednak Garp musi jakoś potwierdzić swoją tożsamość.

- Ja pana nie poznaję z fotografii, bez brody - powiedział starszy policjant.

- To było wiele lat temu - rzekł smutno Garp - i w innym mieście.

Wolał, żeby młodziak w kaftanie nie zobaczył, gdzie mieszkają. Wyobraził sobie, że pewnego dnia zjawi się i czegoś zażąda.

- Pamiętasz mnie? - chłopak zapytał Duncana.

- Chyba nie - odpowiedział Duncan grzecznie.

- No tak, ty już prawie spałeś - przyznał. I zwrócił się do Garpa: - Człowieku, jesteś za nerwowy, jeśli chodzi o dzieci. Dzieciaki sobie świetnie radzą. To pański jedynak?

- Nie, mam jeszcze drugiego - odparł Garp.

- Człowieku, powinieneś mieć jeszcze z tuzin takich. Wtedy byś nie był taki nerwowy o tego jednego, kapujesz? - Garpowi przypomniało się to, co jego matka nazywała Percych Teorią Dzieci.

Teraz niech pan skręci w lewo - Garp powiedział do policjanta za kierownicą - a potem w prawo i to jest na rogu. - Drugi policjant wręczył Duncanowi lizaka.

- Dziękuję - powiedział mały,

- A ja? - upomniał się chłopak w kaftanie. - Ja też lubię lizaki. - Policjant spojrzał na niego spode łba. Kiedy się odwrócił, Duncan oddał mu swojego lizaka. Nigdy nie był amatorem lizaków.

- Dziękuję - szepnęła chłopak. - Widzisz, człowieku? - zwrócił się do Garpa. - Dzieci są piękne.

Helen też - pomyślał Garp, kiedy ją zobaczył stojącą w drzwiach i oświetloną od tyłu. Jej błękitna, długa do ziemi podomka miała wysoki golf; Helen podniosła go do góry, jakby jej było zimno. Włożyła też okulary - żeby Garp wiedział, że ich wypatrywała.

- Człowieku - wyszeptał chłopak w kaftanie i szturchnął wysiadającego Garpa łokciem. - Jak ta śliczna pani wygląda, kiedy zdejmie okulary?

- Mamo! Nas aresztowali! - zawołał Duncan. Wóz policyjny czekał przy krawężniku, aż Garp się wylegitymuje.

- Nie aresztowali, Duncan, tylko podwieźli - wyjaśnił Garp. - Wszystko jest w porządku! - zirytowany krzyknął do Helen. Pobiegnął na górę poszukać w ubraniu portfela.

- A ty tak wyszedłeś z domu? - zawołała za nim Helen. - Tak ubrany?

- Policja myślała, że on mnie porwał - powiedział Duncan.

- Przyszli tam do Ralpa? - spytała Helen.

- Nie, tata niósł mnie do domu - wyjaśnił Duncan. - Rany, ale on jest niesamowity.

Garp zleciał jak burza ze schodów i wypadł z domu.

- Pomylili mnie z kim innym - burknął. - Musieli kogoś szukać. Tylko się nie denerwuj, na litość boską.

- Nie denerwuję się - odpowiedziała Helen ostro.

Garp pokazał policjantowi dowód.

- Dobra, w porządku, to by było na tyle - rzekł starszy z dwóch. - Rzeczywiście, po prostu S. T. Garp. Może tak jest łatwiej.

- Nie zawsze - odrzekł Garp.

Kiedy wóz policyjny ruszał, chłopak zawołał jeszcze do niego;

- Człowieku, nie jesteś wcale taki zły, tylko się naucz trochę relaksować!

Ale wyobrażenie ciała Helen, szczupłego, napiętego i drżącego w długiej błękitnej sukni, nie wpłynęło na Garpa relaksująco. Duncan nie spał i cały czas paplał; był głodny. Garp zresztą też. W kuchni o świcie Helen chłodno patrzyła, jak jedzą. Duncan opowiedział im akcję długiego filmu telewizyjnego; Garp podejrzewał, że były to dwa filmy. Mały musiał zasnąć, zanim jeden się skończył, a obudzić już po rozpoczęciu drugiego. Usiłował sobie uzmysłwić, w którym miejscu i momencie wkroczyła do akcji pani Ralph.

Helen nie zadawała żadnych pytań. Częściowo dlatego, Garp wiedział, że nie mogła nic mówić przy Duncanie. Ale częściowo dlatego, że jak on starannie redagowała to, co chciała powiedzieć. Oboje cieszyli się z obecności syna; do czasu kiedy będą mogli swobodnie porozmawiać, będą dla siebie uprzejmiejsi i ostrożniejsi.

O świcie nie wytrzymali i zaczęli rozmawiać ze sobą przez Duncana.

- Opowiedz mamie, jak wyglądała kuchnia - powiedział Garp. - I powiedz jej o psie.

- O Billu?

- Tak! Powiedz jej o starym Billu.

- Co miała na sobie mama Ralpha, kiedy tam byłeś? - spytała Helen. Uśmiechnęła się do Garpa. - Mam nadzieję, że coś więcej niż tata.

- A co jadłeś na kolację? - spytał Garp.

- Czy sypialnie są na górze, czy na dole? - interesowała się Helen. - Czy i tu, i tu? - Garp usiłował jej posłać spojrzenie, które miało mówić: nie zaczynaj. Czuł, że Helen ostrzy starą stępioną broń, żeby mieć ją pod ręką. Mogła mu wypomnieć ze dwie baby-sitters i czuł, że się do tego szykuje. Jeżeli go dźgnie jednym z tych starych imion, Garp nie znajdzie żadnego w odwet. Nie miał żadnych studentów na swoją obronę, wtedy jeszcze nie. A w pojęciu Garpa Harrison Fletcher się nie liczył.

- Ile tam jest telefonów? - zapytała Duncana Helen. - Czy jest jeden w kuchni, a drugi w sypialni? Czy tylko w sypialni?

Kiedy wreszcie Duncan poszedł do swojego pokoju, do chwili obudzenia się Walta zostało im niecałe pół godziny. Ale Helen miała imiona swoich wrogów w pogotowiu. Zawsze jest dość czasu na zadanie ran, jeśli się wie, gdzie są stare blizny.

- Tak bardzo cię kocham i tak dobrze cię znam... - zaczęła.

Rozdział XII

To się zdarza Helen

Nocne telefony - dzwonki alarmowe w sercu - miały przez całe życie przerażać Garpa. Które to z moich bliskich? - wykrzykuje na pierwszy dzwonek. - Kogo przejechała ciężarówka? Kto się utopił w piwie albo leży w straszliwej ciemności stratowany przez słońca?

Garp bał się przyjmowania nocnych telefonów, ale kiedyś nieświadomie sam sobie na taki pozwolił. Stało się to pewnego wieczoru podczas odwiedzin Jenny, której się wyrwało, że Cushie Percy pękła przy porodzie macica. Garp o tym nie wiedział i chociaż od czasu do czasu żartowali sobie z Helen na temat jego dawnej namiętności do Cushie, a nawet Helen mu dokuczała z tego powodu, to wiadomość o tym, że Cushie nie żyje, dosłownie go poraziła. Cushman Percy taka żywa, pełna ciepłej soczystości - wydawało mu się to wprost niemożliwe. Chyba wiadomość o ewentualnym wypadku Alice Fletcher znacznie mniej by nim wstrząsnęła; na to, że jej się coś stanie, był bardziej przygotowany. Ze smutkiem przyznawał, że Niemej Alice zawsze będą się zdarzały różne rzeczy.

Garp zawędrował do kuchni i właściwie nie zdając sobie sprawy ani która może być godzina, ani kiedy otworzył następne piwo, stwierdził, że wykręcił numer Percych; telefon dzwonił, Garp wyobrażał sobie długą drogę, jaką Ciepłe Kluchy musi odbyć z głębi snu, żeby odebrać telefon.

- O Boże, do kogo ty dzwonisz? - zapytała Helen, która właśnie weszła do kuchni. - Przecież jest piętnaście po pierwszej!

Zanim zdążył odłożyć słuchawkę, Stewart Percy przyjął telefon.

- Słucham? - zapytał stroskanym głosem i Garp wyobraził sobie wątłą bezmózgą Midge siedzącą koło niego na łóżku jak spłoszona kura.

- Przepraszam bardzo, że państwa obudziłem - powiedział. - Ale nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak późno. - Helen pokiwała głową i szybko wyszła z kuchni. W drzwiach pojawiła się Jenny z tak krytycznym wyrazem twarzy, na jaki może sobie pozwolić tylko matka w stosunku do syna. W takim spojrzeniu jest znacznie więcej rozczarowania niż w zwykłym gniewie.

- Kto mówi, do diabła?! - wrzasnął Stewart Percy.

- Garp, proszę pana - odparł Garp, znów mały chłopiec przepraszający za swoje geny.

- Cholera - powiedział Ciepłe Kluchy - a pan czego znów sobie życzy?

Jenny zapomniała powiedzieć Garpowi, że Cushie Percy umarła już wiele miesięcy temu; był przekonany, że składa kondolencje z powodu świeżej tragedii. Zająknął się.

- Bardzo, bardzo mi przykro, naprawdę...

- Już słyszałem - burknął Stewart.

- Właśnie się o tym dowiedziałem - wyjaśnił Garp - chciałem powiedzieć panu i pani Percy, jak bardzo mi jest z tego powodu przykro. Może tego nie okazywałem tak specjalnie wobec pana, ale ja naprawdę bardzo lubiłem...

- Ty świni! - wrzasnął Stewart Percy. - Ty pieprzony zbrodźcu, ty japoński gnoju! - Odłożył słuchawkę.

Nawet Garp nie był przygotowany na tyle nienawiści. Ale źle zrozumiał sytuację. Miały upłynąć lata, zanim zrozumiał okoliczności swojego telefonu. Biedna Puchatek Percy, znikowana Bainbridge, miała to pewnego dnia wyjaśnić Jenny. Otóż kiedy Garp zadzwonił, Cushie nie żyła już od tak dawna, że Stewart nie skojarzył sobie jego wyrazów współczucia z jej stratą. Garp bowiem zadzwonił w dniu, który zapisał się czarnymi zgłoskami w ich życiu - tego dnia czarna bestia Bonkers oddał wreszcie ducha. Stewart Percy wziął telefon Garpa za okrutny żart, fałszywe kondolencje z powodu śmierci znienawidzonego psa.

Teraz więc, na dźwięk telefonu, Garp poczuł mocny uścisk Helen, instynktowny, z głębi snu. Kiedy podnosił słuchawkę, Helen mocno ścisnęła mu nogę kolanami - jak gdyby kurczowo trzymała się życia i bezpieczeństwa, jakim było dla niej jego ciało. Garp w myślach przeleciał wszystkie możliwości. Walt jest w domu, śpi. Tak samo Duncan; nie był u Ralpha.

Helen pomyślała: to mój ojciec - dostał ataku serca. Czasami przychodziło jej do głowy: wreszcie znaleźli i zidentyfikowali - moją matkę. W kostnicy.

Garp pomyślał: zamordowali moją matkę. Albo uprowadzili ją dla okupu - mężczyźni, którzy w zamian za uwolnienie nie tkniętej słynnej feministki zażądają co najmniej gwałtu popełnionego na czterdziestu dziewczynach. A do tego zażądają życia moich dzieci, i tak dalej.

Okazało się, że dzwoni Roberta Muldoon, co jedynie utwierdziło Garpa w przekonaniu, że ofiarą jest Jenny Fields. Ale ofiarą była Roberta.

- Zostawił mnie - powiedziała swoim potężnym głosem nabrzmiętym łzami. - Rzucił. Mnie! Możesz w to uwierzyć?

- Jezus, Roberta - rzekł Garp.

- Nigdy nie przypuszczałam, jakie to świnię z tych mężczyzn, dopóki nie zostałam kobietą.

- To Roberta - Garp szepnął do Helen, żeby się przestała denerwować. - Jej kochanek dał dyla. - Helen westchnęła, puściła jego nogę i opadła na poduszki.

- Nic cię to nie obchodzi, co? - powiedziała cierpko Roberta.

- Roberta, daj spokój.

- Przepraszam, ale uznałam, że jest za późno, żeby dzwonić do twojej matki. - Ta logika wydała się Garpowi dosyć dziwna, ponieważ wiedział, że Jenny chodzi spać jeszcze później niż on, ale jednocześnie bardzo lubił Robertę, która z pewnością znalazła się w trudnej sytuacji.

- Powiedział, że nie jestem w dostatecznym stopniu kobietą, że go peszę w sensie seksualnym, że jestem seksualnie dwuznaczna! - Roberta zaczęła płakać. - Boże, co za kutas! Chodziło mu tylko o nowe wrażenia. Chciał się pokazać przed przyjaciółmi.

- Założę się, że dałabyś mu radę, Roberta. Mogłabyś mu zdrowo dosunąć.

- Nic nie rozumiesz. Nie mam już ochoty nikomu dosuwać. Jestem kobietą!

- A czy kobiety nie mają czasem ochoty komuś dosunąć? - zapytał Garp. Helen sięgnęła ręką i pociągnęła go za kuśkę.

- Nie wiem, na co kobiety mają ochotę - zawodziła Roberta. - A w każdym razie nie wiem, na co powinny mieć ochotę. Wiem, na co ja mam ochotę.

- Na co? - spytał Garp wiedząc, że Roberta chce mu to powiedzieć.

- Ja bym mu chciała dosunąć teraz - wyznała - ale jak mnie rzucał, to po prostu siedziałam spokojnie i wszystko pokornie przyjmowałam. Nawet płakałam. Szlochałam cały dzień - łkała Roberta. - I jeszcze do mnie zadzwonił i powiedział, że jeśli w dalszym ciągu płaczę, to znaczy, że udaję.

- Niech go cholera! - zaklął Garp.

- Jemu tylko chodziło o dobrą dupę - ciągnęła Roberta. - Dlaczego mężczyźni są tacy?

- No cóż...

- Ja wiem, że ty jesteś inny, ale dla ciebie najprawdopodobniej nie jestem nawet pociągająca.

- Oczywiście, że jesteś pociągająca, Roberta - zapewnił ją Garp.

- Ale nie dla ciebie. Nie kłam. Nie jestem atrakcyjna pod względem seksualnym, prawda?

- No, może rzeczywiście nie dla mnie - przyznał Garp - ale dla wielu innych mężczyzn z pewnością tak. Oczywiście, że jesteś pociągająca.

- Mam w tobie dobrego przyjaciela i to jest znacznie ważniejsze. Ty zresztą też nie jesteś dla mnie seksualnie atrakcyjny.

- To się świetnie składa - odparł Garp.

- Jesteś za krótki - mówiła Roberta. - Wole ludzi „dłużej wyglądających” w sensie seksualnym. Ale nie gniewaj się.

- Nie gniewam się - zapewnił ją Garp. - Ty też się nie gniewaj.

- Oczywiście, że nie - uspokoiła go Roberta.

- A może byś zadzwoniła rano - zaproponował. - Będziesz w lepszym nastroju.

- Nie będę - odparła ponuro. - Będę w gorszym nastroju. I będzie mi wstyd, że do ciebie dzwoniłam.

- A może byś porozmawiała ze swoim lekarzem? - podsunął. - Z urologiem? Z tym facetem, który cię operował? Jest chyba twoim przyjacielem, co?

- Ja myślę, że on chce mnie wypieprzyć - powiedziała Roberta poważnie. - Sądzę, że to jedyne, czego w ogóle kiedykolwiek ode mnie chciał. Przypuszczam, że zaproponował całą tę operację po to, żeby mnie uwieść, ale najpierw postanowił zrobić ze mnie kobietę. Oni są z tego znani, mówił mi jeden z przyjaciół.

- To jakiś stuknięty przyjaciel - stwierdził Garp. - Kto jest z tego znany?

- Urolodzy. Och, zresztą nie wiem. A nie uważasz, że w urologii jest coś obrzydliwego? - Garp uważał, ale nie chciał dalej denerwować Roberty.

- Zadzwoń do mamy - usłyszał swoje słowa. - Ona cię jakoś pocieszy, na pewno wymyśli coś mądrego.

- Och, ona jest rzeczywiście wspaniała - wyszlochała Roberta. - Ona zawsze coś wymyśli, ale ja ją i tak już tyle razy wykorzystywałam.

- Ona lubi pomagać, Roberta - Garp wiedział, że przynajmniej to jest prawda. Jenny Fields była pełna współczucia i cierpliwości, a Garpowi chciało się tylko spać. - Wiesz, co by ci pomogło? Jakbyś sobie tak porządnie pograła w squasha - zaproponował słabo. - Przyjedź do nas na kilka dni, to sobie postukamy w piłeczkę. - Helen przysunęła się do niego, skrzywiła i ugryzła go w sutek; lubiła Robertę, ale we wczesnej fazie metamorfozy seksualnej Roberta potrafiła mówić tylko o sobie.

- Kiedy czuję się taka wypompowana - powiedziała Roberta. - Za grosz energii, nic. Nie wiem nawet, czy byłabym w stanie grać.

- W każdym razie powinnaś spróbować - powiedział Garp. - Powinnaś się zmusić do jakiegoś działania. - Helen odsunęła się od niego wściekła.

Ale Helen była wdzięczna Garpowi, kiedy odbierał te nocne telefony; twierdziła, że się ich boi i woli, żeby to nie ona pierwsza dowiedziała się, co się stało. Wydało się więc tym dziwniejsze, że kiedy Roberta Muldoon zadzwoniła po raz drugi, w parę tygodni później, to właśnie Helen przyjęła telefon. Zdziwiło to Garpa tym bardziej, że aparat stał po jego stronie łóżka i Helen musiała sięgnąć przez niego. Tym razem dosłownie rzuciła się na słuchawkę i szybko wyszeptała: „Tak, o co chodzi?” Kiedy się przekonała, że to Roberta, natychmiast oddała słuchawkę Garpowi; jak gdyby nie chciała, żeby spał.

A kiedy Roberta zadzwoniła po raz trzeci, Garp poczuł wprost namacalną nieobecność, kiedy podnosił słuchawkę. Czegoś brakowało.

- Halo, Roberta - powiedział. Nie poczuł na nodze zwykłego w takich wypadkach uścisku Helen. Nie było go. Nie było również Helen. Pocieszając Robertę miał świadomość chłodnego pustego miejsca po tamtej stronie łóżka; stwierdził, że jest druga w nocy - ulubiona pora Roberty. Kiedy Roberta wreszcie odłożyła słuchawkę, zszedł na dół, żeby poszukać Helen. Znalazł ją siedzącą samotnie na kanapie w living-roomie, z kieliszkiem wina i rękopisem na kolanach.

- Nie mogłam spać - powiedziała, ale z jakimś szczególnym wyrazem twarzy, którego Garp nie potrafił w pierwszej chwili zidentyfikować. I chociaż wydało mu się, że go poznaje, to jednocześnie pomyślał, że nigdy nie widział go u Helen.

- Czytasz prace? - zapytał; skinęła głową, ale przed nią leżał tylko jeden rękopis. Garp wziął go do ręki.

- To praca mojego studenta - powiedziała sięgając po rękopis.

Nazwisko studenta brzmiało Michael Milton. Garp przeczytał jeden akapit.

- To wygląda na opowiadanie. Nie wiedziałem, że zadajesz swoim studentom prace z beletrystyki.

- Bo nie zadaję, ale czasem sami pokazują mi to, co napiszą.

Garp przeczytał jeszcze jeden akapit. Uznał, że styl jest sztywny i wymuszony, ale na stronie nie było błędów; przynajmniej facet znał ortografię.

- To jeden z moich studentów ostatniego roku - wyjaśniła Helen. - Jest bardzo inteligentny, ale... - Wzruszyła ramionami; ten gest miał coś ze sztucznej swobody

speszzonego dziecka.

- Ale co? - spytał Garp. Roześmiał się; zabawne, że Helen o tej nocnej porze potrafi wyglądać tak dziewczęco.

Ale Helen zdjęła okulary i pokazała mu tamten inny wyraz twarzy, który zauważył na początku i którego nie potrafił zidentyfikować. Podniecona powiedziała:

- Właściwie to nie wiem. Młody może. Jest po prostu młody. Bardzo inteligentny, ale młody.

Garp przewrócił kartkę, przeczytał jeszcze połowę innego akapitu i oddał Helen rękopis. Wzruszył ramionami.

- Dla mnie to wszystko są bzdury - powiedział.

- Nie, to nie są bzdury - rzekła Helen poważnie. O, Helen, rozsądny nauczyciel, pomyślał Garp i oznajmił, że wraca do łóżka. - Zaraz też idę - dodała.

A potem Garp zobaczył się w lustrze w łazience na górze. I wtedy właśnie zidentyfikował ten wyraz, dziwnie nie na miejscu, który zobaczył na twarzy swojej żony. Rozpoznał go, ponieważ od czasu do czasu widywał go u siebie - ale nigdy u Helen. Bo to, co zobaczył na jej twarzy Garp, było poczuciem winy. Zastanawiające. Długo jeszcze nie spał, ale nie doczekał się Helen. Rano ze zdziwieniem stwierdził, że chociaż tylko rzucił okiem na rękopis studenta, nazwisko „Michael Milton” było pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy. Spojrzał ostrożnie na Helen, która leżała teraz obok niego z otwartymi oczami.

- Michael Milton - powiedział cicho, nie do niej, ale na tyle głośno, że usłyszała. Obserwował jej niekomunikatywną twarz. Albo była pogrążona w myślach i bardzo daleka, albo po prostu go nie słyszała. Chyba że miała w podświadomości Michaela Milтона - dlatego kiedy Garp wymówił jego nazwisko, być może w chwili, kiedy ona sama je wymówiła do siebie - po prostu tego nie zauważyła.

Michael Milton, student trzeciego roku specjalizujący się w literaturze porównawczej, skończył romanistykę w Yale z wynikiem miernym. Był absolwentem Steering, ale bagatelizował szkolne lata. Jeśli wiedział, że rozmówca wie o jego studiach w Yale, bagatelizował i te studia, nigdy natomiast nie bagatelizował trzeciego roku studiów za granicą - we Francji. Słuchając Michaela Milтона nikt by nie powiedział, że w Europie spędził tylko rok; potrafił stworzyć wrażenie, że całe swoje młode życie przebywał we Francji. Miał dwadzieścia pięć lat.

Chociaż tak krótko bawił w Europie, można było sądzić, że zaopatrzył się tam w

ubranie na całe życie; tweedowe marynarki miały szerokie klapy i na równi ze spodniami krojem podkreślały biodra i talię - ten typ ubrań nawet Amerykanie w czasach szkolnych Garpa nazywali „kontynentalnym”. Kołnierzyki koszul Michaela Milтона, zawsze rozpięte pod szyją (z reguły dwa guziki), były miękkie i szerokie, i trochę renesansowe w stylu łączącym niedbałość z najwyższą elegancją.

Różnił się od Garpa tak, jak struś różni się od foki. Jego ciało było eleganckie - w ubraniu. Rozebrany Michael Milton w znacznym stopniu przypominał czapłę. Był chudy, wysoki i z lekka przygarbiony, co maskowały szyte na zamówienie tweedowe marynarki - aż się prosił, żeby powiesić na nim ubranie. Nagi - prawie nie miał ciała.

Stanowił przeciwieństwo Garpa niemal pod każdym względem, poza niesłychaną pewnością siebie, która była im wspólna: obaj odznaczyli się cnotą - czy też może wadą - bezczelności. Michael Milton, jak Garp, był agresywny w sposób, w jaki może być agresywny jedynie ktoś, kto tak całkowicie wierzy w siebie. I to właśnie te cechy charakteru, dawno temu, spodobały się Helen u Garpa.

Tu miała je w nowym wydaniu i choć manifestowały się w zupełnie inny sposób, poznała się na nich bez trudu. Na ogół nie lubiła młodych zblazowanych playboyów, którzy ubierali się i wyrażali, jakby lata spędzone w Europie napełniły ich zaprawioną goryczą mądrością, podczas gdy w rzeczywistości większość swego krótkiego życia spędzili na tylnych siedzeniach samochodów w Connecticut. Ale w młodzińskich latach i zapaśnicy nie zawsze podobali się Helen. Lubiała mężczyzn pewnych siebie, pod warunkiem, że ta pewność siebie nie była ulokowana w absurdalnie niewłaściwym miejscu.

Michaelowi Miltonowi natomiast podobało się w Helen to, co podobało się w niej licznym mężczyznom i nielicznym kobietom: miała niewiele po trzydziestce i była czarująca nie tylko dlatego, że była piękna; Helen wyglądała także nienagannie. Co więcej, robiła wrażenie osoby zadbanej, ale takiej, która ma po temu pełne podstawy. Onieśmielający, a zarazem powabny wygląd w jej przypadku nie mylił. Osiągnęła powodzenie pod każdym względem. Pod jej spojrzeniem jedynie najbardziej pewni siebie mężczyźni nie spuszczaali oczu. Należała do kobiet, na które nawet na przystankach autobusowych patrzy się tylko do mementu, dopóki one nie odwzajemnią spojrzenia.

Helen nie przywykła, żeby na nią patrzono; na korytarzach wydziału anglistyki przyglądał jej się każdy, kto tylko mógł, ale ukradkiem. Nie była więc przygotowana .na przeciągłe, jawne spojrzenie, jakim pewnego dnia obrzucił ją młody Michael Mil-

ton. Po prostu przystanął w korytarzu i patrzył, jak się do niego zbliżała. Tym razem to Helen spuściła wzrok; Milton odwrócił się, patrząc z kolei, jak się oddala. Do kogoś, kto stał w pobliżu, powiedział na tyle głośno, że go usłyszała:

- Czy ona tu wykłada, czy studiuje? Co ona tu właściwie robi?

W drugim semestrze tego roku Helen prowadziła zajęcia z przedmiotu zwanego „narracyjnym punktem widzenia”: było to seminarium dla studentów kończących i dla kilku zaawansowanych z młodszych lat. Helen była zainteresowana w rozwoju i doskonaleniu techniki narracyjnej w nowoczesnej powieści, ze szczególnym uwzględnieniem punktu widzenia. W pierwszej grupie zauważyła starszego na oko studenta z cienkim, jasnym wąsikiem i w ładnej koszuli z dwoma guzikami rozpiętymi pod szyją; odwróciła od niego wzrok i zaczęła rozdawać kwestionariusze ankietowe. Między innymi zawierały one pytania: dlaczego interesuję się tym właśnie przedmiotem. Student o nazwisku Michael Milton napisał: „Ponieważ od chwili kiedy panią zobaczyłem, chciałem zostać pani kochankiem”.

Po zajęciach, siedząc samotnie w swoim pokoju, Helen przeczytała tę ankietę. Przypuszczała, że wie, który to Michael Milton; gdyby sądziła, że to kto inny, jakiś chłopak, którego nawet nie zauważyła, pokazałaby kwestionariusz Garpowi. Garp mógłby na to powiedzieć: „Pokaż mi tego sukinsyna!” Albo: „Przedstawimy go Robercie Muldoon”. I wtedy oboje by się uśmiali i Garp by sobie żartował z tego, jak ona uczy tych swoich studentów. Ponieważ intencje studenta, obojętne, kim był, zostałyby między nimi omówione, nie byłoby żadnej możliwości nawiązania kontaktu; Helen to dobrze wiedziała. Nie pokazując Garpowi kwestionariusza już właściwie czuła się winna, przyszło jej jednak do głowy, że jeśli Michael Milton to ten, o którym ona myśli, chętnie zobaczy, co to będzie, jeśli sprawa zajdzie trochę dalej. W tym momencie, u siebie w pokoju, Helen rzeczywiście nie przewidziała, że sprawa zajdzie dalej niż trochę dalej. Cóż może być złego w takim trochę?

Gdyby Harrison Fletcher był w dalszym ciągu na miejscu, pokazałaby ankietę jemu. Nawet jeśli Michael Milton okazałby się tamtym chłopakiem o niepokojącym wyglądem, omówiłaby sprawę z Harrisonem. W przeszłości miewali takie sekrety przed Garpem i Alice; były to tajemnice trwałe, ale niewinne. Helen wiedziała, że zwierzenie się Harrisonowi byłoby dla niej jeszcze jednym sposobem uniknięcia zbliżenia z Michaeliem.

Ale nie wspomniała o Michaelu Miltonie Garpowi, a Harrison oczywiście wyjechał, żeby gdzieś indziej szukać etatu. Charakter pisma na kwestionariuszu

wypełnionym czarnym atramentem przywodził na myśl osiemnastowieczną kaligrafię, która wymagała specjalnego pióra; przesłanie Michaela Milтона robiło wrażenie czegoś bardziej trwałego niż druk i Helen odczytywała je po wiele razy. Zwróciła też uwagę na takie dane jak data urodzenia, szkoła, inne przedmioty na wydziale anglistyki czy literatury porównawczej. Sprawdziła jego wyniki: stopnie miał dobre. Zadzwoiła do dwóch kolegów, którzy mieli z nim zajęcia w ubiegłym semestrze, i od obydwóch dowiedziała się, że był dobrym studentem, agresywnym i dumnym niemal do próżności. Zorientowała się też z tego, co obaj mówili - choć nie powiedzieli tego wyraźnie - że Michael Milton jest bardzo zdolny, ale nielubiany. Myślała o celowo nie zapiętych guzikach u jego koszuli (tak, teraz już była pewna, że to on); wyobrażała sobie, jak mu je zapina. Wyobrażała sobie nikły wąsik, zaledwie smugę na górnej wardze. Garp miał później komentować ten wąsik nazywając go obelgą rzuconą wszystkim wąsom i wargom świata; był zdania, że jest to zaledwie imitacja prawdziwych wąsów i że goląc ją Michael Milton wyświadczyłby swojej twarzy jedynie przysługę.

Ale Helen podobał się ten dziwny, skąpy wąsik na górnej wardze Michaela Milтона.

- Ty po prostu w ogóle nie lubisz wąsów - powiedziała Garpowi.

- Nie lubię takich wąsów. Nie mam nic przeciwko wąsom w ogóle - upierał się Garp, ale w gruncie rzeczy Helen miała rację: nie cierpiał wszelkich wąsów od czasu swojego spotkania z Wąsikiem w parku. Wąsik obrzydził mu wąsy na zawsze.

Helen podobały się także bokobrody Michaela Milтона - długie, kędzierzawe, blond; bokobrody Garpa były zgolone równo z jego ciemnymi oczyma, niemal na poziomie górnej granicy uszu, mimo że włosy miał gęste, kudłate i zawsze na tyle długie, żeby przykrywały odgryzione przez Bonkera ucho.

Helen zauważyła również, że dziwactwa męża zaczęły ją irytować - może po prostu teraz, kiedy jako pisarz przeżywał jeden ze swoich kryzysów. Może kiedy był zajęty pisaniem, miał na nie mniej czasu? Obojętne, jaka była tego przyczyna, wydawały jej się teraz denerwujące. Na przykład jego numer z podjazdem doprowadzał ją po prostu do szału - krył w sobie nawet sprzeczność. Jak na kogoś, kto robił tyle szumu wokół bezpieczeństwa dzieci - nieostrożnych kierowców, kałuż benzyny i tym podobnych - Garp sam miał zwyczaj wjeżdżania po ciemku do garażu w sposób, który przerażał Helen.

Ich podjazd - odgałęzienie długiej biegnącej w dół drogi - skręcał ostro pod górę. Jeśli Garp wiedział, że dzieci już śpią, wyłączał silnik i światła i siłą rozpędu

wjeżdżał na nie oświetlony podjazd; ze stromego spadku wystarczało mu rozpędu, żeby pokonać najwyższy punkt wzniesienia i wpaść do garażu. Twierdził, że w ten sposób - warkotem i światłami - nie pobudzi dzieci, choć i tak zawsze musiał zapalić silnik, żeby odwieźć do domu baby-sitter. Helen utrzymywała, że stosował ten trik dla emocji i że jest on infantylny i niebezpieczny. Zawsze przy okazji rozjeżdżał pozostawione na nie oświetlonej drodze zabawki i potraçał rowery, o ile nie zostały w porę wstawione do garażu.

Kiedyś jedna z dziewczyn przychodzących na baby-sitting skarżyła się Helen, że boi się z kolei zjeżdżania z wyłączonym silnikiem i światłami (jeszcze jeden numer Garpa, który wciskał sprzęgło i włączał światła tuż przed wyjazdem na drogę).

A może to ja jestem niespokojna? - zastanawiała się Helen. Nigdy nie przyszło jej to do głowy, dopóki nie pomyślała o niepokoju Garpa. I od jak dawna irytują ją jego zwyczaje i dziwactwa? Nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że zauważyła, jak ją irytują, niemal od momentu przeczytania kwestionariusza Michaela Milтона.

Helen jechała właśnie do pracy zastanawiając się, co ma powiedzieć bezczelnemu i zarozumiałemu chłopakowi, kiedy nagle gałka od dźwigni biegów Volvo została jej w ręce, a ostry koniec zranił ją w przegub dłoni. Zakłęła zjeżdżając na bok i oglądając szkodę, jaką poniosła ona sama i dźwignia biegów.

Gałka odpadała już od tygodni, ponieważ gwint był wyrobiony, i Garp kilka razy próbował przykleić ją przyklepcem. Helen krytykowała tę idiotyczną metodę, ale Garp nie miał w tej dziedzinie żadnych ambicji, a dbanie o samochód należało do jej obowiązków.

Ten podział pracy, mimo że z grubsza między nimi uzgodniony, wywoływał czasem nieporozumienia. Chociaż bowiem w zasadzie domem zajmował się Garp, to jednak prasowała Helen („bo to tobie - twierdził - zależy, żeby ubranie było wyprasowane”), Helen dbała też o samochód („to ty - utrzymywał - codziennie używasz samochodu. Ty wiesz najlepiej, kiedy trzeba coś naprawić”). Helen zgodziła się na prasowanie, ale uważała, że troska o samochód powinna należeć do niego. Nie bardzo jej się uśmiechała jazda z warsztatu do pracy w zatłuszczonej szoferce ciężarówki z jakimś młodym niedoświadczonym kierowcą, który nie przestrzega nawet podstawowych zasad bezpieczeństwa. Garaż, z którego usług korzystali, był miejscem dobrze znanym Helen, ale nie lubiła tam jeździć; miała też dość przetargów na temat, kto ją odwiezie do pracy po zostawieniu samochodu.

- Kto ma chwilę czasu, żeby odwieźć panią Garp na uniwersytet? - wołał szef w

stronę ciemnych, wilgotnych, wypačkanych smarem czeluści kanałów. I wtedy trzech czy czterech chłopców, chętnych, ale umazanych, rzuciło klucze i szczypce, wyłąziło z kanału i zgłaszało się na ochotnika, aby na krótki, pełen emocji moment dzielić ze smukłą profesor Garp zawałoną gratami szoferkę.

Garp podkreślał, że kiedy on odstawia samochód do garażu, ochotnicy nie są tak wyrywni; zdarzało mu się czekać i godzinę, zanim zdołał uprosić jakiegoś guzdrałę, żeby go raczył odwieźć do domu. Żał mu było porannych godzin przeznaczonych na pracę, zdecydował więc, że dbanie o Volvo należy do obowiązków Helen.

Oboje zwlekali w sprawie tej dźwigni biegów.

- Jeżeli telefonicznie zamówisz nową - powiedziała Helen - pojedę, żeby mi to zrobili ma poczekaniu. Ale nie chcę tam zostawiać samochodu na cały dzień, żeby się pieprzyli z tą starą. - Rzuciła mu gałkę, ale Garp poszedł z nią do samochodu i przy-mocował byle jak taśmą klejącą.

Jakoś tak się składa, myślała Helen, że gałka zawsze odpada wtedy, kiedy ja prowadzę - ale oczywiście ona używała samochodu więcej niż Garp.

- Cholera - powiedziała i pojechała do pracy ze sterczącym paskudnie gołym końcem dźwigni. Bolała ją ręka przy każdej zmianie biegów, a krew z zadrapanego nadgarstka poplamiała jej trochę świeżą spódnicę garsonki. Zaparkowała samochód i z gałką w ręku ruszyła przez parking w stronę budynku biurowego. Zastanawiała się, czy nie wyrzucić jej do kanału odpływowego, ale były na niej wybite maleńkie cyferki; u siebie w pokoju zadzwoni do garażu i poda im numer. I dopiero wtedy wyrzucił gałkę, gdzie jej się będzie podobało; albo, pomyślała, mogę ją wysłać Garpowi pocztą.

W takim właśnie nastroju, pod wrażeniem prozaicznych błahostek, spotkała na korytarzu stojącego niedbale koło swego pokoju przystojniaka w ładnej koszuli z dwoma guzikami rozpiętymi pod szyją. Ramiona jego tweedowej marynarki, zauważyła, były nieznacznie wywatowane, a włosy jakby za gładkie i za długie. Jeden koniec wąsa - cienki jak czubek noża - opadał trochę za nisko nad kącikiem ust. Nie była pewna, czy ma ochotę kochać tego młodego człowieka, czy raczej go ostrzyć.

- Wcześniej pan wstał. - Wręczyła mu gałkę od dźwigni biegów, żeby móc otworzyć drzwi.

- Skaleczyła się pani? - zapytał. - Widzę krew. - Helen pomyślała później, że musiał mieć chyba nosa do krwi, bo niewielkie zadrapanie na nadgarstku niemal przestało krwawić.

- Czy pan zamierza zostać lekarzem? - spytała wpuszczając go do swego pokoju.

- Zamierzałem.

- Co panu w tym przeszkodziło? - Helen w dalszym ciągu na niego nie patrzyła, tylko krzątała się wokół biurka, układając równo to, co i tak leżało równo, poprawiając żaluzje, które były dokładnie w takim położeniu, jak sobie życzyła. Zdjęła okulary i kiedy na niego spojrzała, jego rysy wydały jej się miękkie, nieostre.

- Chemia organiczna - odpowiedział. - Nie zaliczyłem. A poza tym chciałem wyjechać do Francji.

- O, pan mieszkał we Francji? - zapytała wiedząc, że oczekuje po niej tego pytania, że uważa to za jeden ze swoich atutów, o którym nie zawahał się wspomnieć nawet w ankiecie. Cholernie płytki facet - zauważyła to od razu; miała nadzieję, że jest choć trochę inteligentny, ale odkrycie, że jest płytki, sprawiło jej dziwną ulgę - jak gdyby czyniło go to mniej niebezpiecznym dla niej, a jej zostawiało większą swobodę.

Rozmawiali o Francji, co było dla Helen zabawne, ponieważ miała na ten temat nie mniej do powiedzenia niż Michael Milton, chociaż nigdy nie była w Europie. Powiedziała mu też, że powód, dla którego wybrał jej przedmiot, wydaje się zbyt wątpliwy.

- Wątpliwy? - nalegał uśmiechając się.

- Przede wszystkim pańskie oczekiwania związane z tym wyborem są całkowicie pozbawione realnych podstaw.

- Aha, to znaczy, że pani już ma kochanka? - zapytał Michael Milton w dalszym ciągu z uśmiechem.

Zabrzmiało to tak frywolnie, że Helen nie poczuła się dotknięta; nie ucięła krótko, że wystarczy jej mąż ani że to nie jego interes czy że za wysokie progi. Powiedziała, że jak na to, czego oczekuje, powinien mieć przynajmniej indywidualny program studiów. Odparł, że chętnie zmieni program. Poinformowała go, że nigdy nie przyjmuje w drugim semestrze nowych studentów z indywidualnym programem studiów.

Wiedziała, że nie całkowicie go zniechęciła, ale że również nie wyraziła przyzwolenia. Michael Milton bardzo poważnie mówił przez jakąś godzinę o temat jej wykładu z narracji. Omawiał „Fale” Wirginii Wolf i „Pokój Jakuba” bardzo przekonująco, chociaż kiedy przeszedł „Do latarni morskiej”, nie był już taki dobry, a „Pani Dalloway”, Helen wiedziała, że z pewnością nie czytał. Po jego wyjściu była zmuszona zgodzić się ze swoimi dwoma kolegami, którzy już wcześniej ocenili go jako

wygadanego, gładkiego, układnego - a to wszystko nie budziło sympatii. Odznaczał się też pewną błyskotliwą inteligencją, powierzchowną i tanią - ostatecznie też nie godnego pochwały. Ale była jedna rzecz, którą przeoczyli jej koledzy: bezczelny uśmiech i wyzywająco nonszalancki sposób ubierania się. Ale koledzy Helen byli mężczyznami; trudno się dziwić, że nie potrafili ocenić bezczelnego uśmiechu Michaela Milтона, tak jak Helen. Helen bowiem widziała uśmiech, który mówił: ja już znam i ciebie, i wszystko, co lubisz. Ten uśmiech doprowadzał ją do szału, ale jednocześnie kusił - miała ochotę zetrzeć mu go z twarzy. A jednym ze sposobów starcia mu tego uśmiechu z twarzy byłoby pokazanie Michaelowi Miltonowi, że jednak nie zna jej absolutnie i nie ma pojęcia, co ona lubi naprawdę.

Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że niewiele ma sposobów na pokazanie mu tego.

Kiedy w drodze powrotnej do domu po raz pierwszy zmieniła bieg, wbiła sobie boleśnie w dłoń nie osłonięty koniec dźwigni. Wiedziała dokładnie, gdzie Michael Milton zostawił gałkę: na parapecie nad koszem do śmieci, gdzie znajdzie ją dozorca i najprawdopodobniej wyrzuci. Wyglądała zresztą, jak gdyby była do wyrzucenia, a Helen uświadomiła sobie, że nie podała telefonicznie warsztatowi jej numeru. Oznaczało to, że albo ona, albo Garp będą musieli zadzwonić do garażu i zamówić nową gałkę bez cholernego numerka, podając jedynie rok produkcji i model samochodu, i w rezultacie najpewniej zadowolili się czymś zastępczym.

Helen postanowiła już nie wracać do pracy, a miała za dużo na głowie, żeby jeszcze myśleć, że ma zadzwonić do dozorca i powiedzieć o gałce. Poza tym i tak może już być za późno.

A zresztą, pomyślała, to nie tylko moja wina. To jest także wina Garpa. Albo, pomyślała, nie jest to w gruncie rzeczy niczyja wina. To po prostu jedna z tych spraw.

Ale Helen nie czuła się tak zupełnie niewinna; jeszcze nie wtedy. Kiedy Michael Milton dawał jej swoje prace - stare, z innych przedmiotów - przyjmowała je i czytała, ponieważ był to przynajmniej dopuszczalny i w dalszym ciągu niewinny temat do rozmów. Kiedy się ośmielił i bardziej do niej zbliżył, pokazał jej nawet próbki swojego pisarstwa, opowiadania i patetyczne wiersze o Francji. Helen w dalszym ciągu wierzyła, że ich długie dyskusje, przesyczone duchem twórczej krytyki, wynikają ze stosunku łączącego studenta z nauczycielem.

Nie było w tym nic dziwnego, że jedli razem lunch - mieli przecież do omówienia jego pracę. Być może oboje zdawali sobie sprawę, że ta praca to nic

szczególnego. Ale dla Michaela Milтона każdy pretekst był dobry. Co do Helen, w dalszym ciągu podniecała ją perspektywa oczywistego zakończenia - kiedy po prostu wyczerpią mu się zasoby; kiedy pochłoną już wszystko, co zdoła napisać; kiedy już omówią każdą książkę, którą oboje czytali. Wtedy - Helen wiedziała - muszą sięgnąć po nowy temat. Wiedziała również, że będzie to tylko jej problem, że Michael ten nieuchronny temat zna. Wiedziała, że na swój cyniczny i irytujący sposób czeka, żeby się zdecydowała; od czasu do czasu zastanawiała się nawet, czy będzie na tyle bezczelny, żeby powtórzyć swoją ankietową odpowiedź, ale doszła do wniosku, że nie. Być może oboje zdawali sobie sprawę, że nie musi - że następny ruch należy do niej. Ale spośród tych wszystkich uczuć, tak dla niej nowych, jedno ją wyraźnie niepokoiło: nie była mianowicie przyzwyczajona do poczucia winy; zawsze dotychczas bowiem we wszystkich poczynaniach towarzyszyło Helen Holm przekonanie o słuszności tego, co robi. A więc i tym razem powinna czuć się wolna od winy. Była już zresztą prawie wolna - ale jeszcze niezupełnie, jeszcze nie wtedy.

To dopiero Garp miał ją wprowadzić w ten pożądany stan. Być może wyczuł rywala i z ducha rywalizacji obudził się w nim pisarz, wyszedł z impasu z nowym przyływem sił twórczych.

Helen, był pewien, czytuje kogo innego. Nie przyszło mu do głowy, że może chodzić o coś więcej niż literaturę, ale z typową zazdrością pisarza dostrzegł, że czyjeś inne słowa nie dają jej w nocy spać. Po raz pierwszy zalecał się do Helen za pomocą „Pensjonatu Grillparzer”. Instynktownie czuł, że znów czas się do niej pozalecać.

O ile jednak ta motywacja podjęcia pisania byłaby dopuszczalna u młodego twórcy, o tyle u Garpa - zwłaszcza po tak długiej przerwie - wydawała się wątpliwa. Mógł się znajdować w niezbędnej fazie ponownych przemyśleń, wypełniania się wyschłego źródła, przygotowywania książki na przyszłość poprzedzonej stosownym okresem milczenia. W jakiś sposób to nowe opowiadanie, które napisał dla Helen, odzwierciedlało nienaturalne i wymuszone okoliczności jego poczęcia. Historia została napisana bardziej z potrzeby rozładowania niepokojów pisarza niż z rzeczywistej reakcji na prozę życia.

Może była to wprawka konieczna dla pisarza po tak długim milczeniu, w każdym razie Helen zignorowała natarczywość, z jaką Garp wetknął jej opowiadanie.

- Wreszcie coś skończyłem - wyznał. Było to po kolacji i dzieci już spały. Helen chciała iść z nim do łóżka - potrzebny jej był akt miłosny, długi i uspokajający,

ponieważ przeczytała wszystko, co napisał Michael Milton; nie mieli już o czym rozmawiać. Wiedziała, że nie może okazać najmniejszego rozczarowania maszynopisem Garpa, ale opanowało ją straszliwe znużenie; siedząc pochyłona wśród nie pozmywanych naczyń gapiała się w tekst bezmyślnie.

- Ja sam pozmywam - zaproponował Garp, torując w ten sposób Helen drogę do swojego opowiadania. Zrobiło jej się słabo; miała już dość lektur. Miłość albo przynajmniej pieśczoćy - to ją w tej chwili interesowało i Garp powinien jej to zapewnić, jeżeli nie chciał, żeby go Michael wyręczył.

- Pokochajmy się teraz - zwróciła się do Garpa; zbierał właśnie naczynia jak kelner, pewien sowitego napiwku. Roześmiał się.

- Najpierw przeczytaj opowiadanie, Helen, a potem będziemy się kochać.

Nie była zadowolona z jego skali wartości. Oczywiście nie było żadnego porównania między pisarstwem Garpa a szkolnymi wypracowaniami Michaela Milтона. Chociaż zdolny jako student, Michael Milton, Helen zdawała sobie sprawę, jako pisarz będzie zawsze tylko studentem. Nie chodzi zresztą o pisanie. Chodzi o mnie - pomyślała; potrzebny mi jest ktoś, kto mi będzie okazywał względy. Sposób zalecania się Garpa odczuła nagle jako obraźliwy. Przedmiotem tych zalotów było bowiem w gruncie rzeczy jego pisarstwo. To nie jest temat dla nas, pomyślała Helen. Z powodu Michaela znacznie wyprzedzała Garpa w pojmowaniu wypowiedzianych i nie wypowiedzianych tematów między ludźmi. „Gdyby tylko ludzie mówili sobie nawzajem to, co naprawdę myślą” - pisała Jenny Fields; naiwność wybaczalna, ponieważ i Garp, i sama Jenny wiedzieli, jak bardzo jest to trudne.

Garp powoli zmywał naczynia czekając, aż Helen przeczyta jego opowiadanie. Helen, doświadczona nauczycielka, odruchowo wzięła czerwony ołówek i zaczęła. Nie tak powinna czytać moje utwory - pomyślał Garp; nie jestem jej studentem. Ale spokojnie dalej zmywał naczynia. Widział, że w żaden sposób nie da sobie przerwać.

S. T. Garp - Czuwanie

Kiedy biegam moje pięć mil dziennie, zdarza się często, że jakiś przemądrzały samochodzik podjeżdża do mnie i pyta z bezpiecznego miejsca kierowcy:

- A pan co trenuje?

Dowcip polega na umiejętności oddychania; rzadko kiedy brak mi tchu - odpowiadając, nigdy nie dyszę ani mnie nie zatyka.

- Pracuję nad kondycją, żeby móc ścigać samochody - mówię.

Reakcje kierowców są różne: Ostatecznie istnieją różne stopnie głupoty, jak i wszystkiego innego. Naturalnie nigdy się nie orientują, że nie mam na myśli ich, że nie ćwiczę formy, żeby ścigać ich samochody; przynajmniej nie na jezdni. Tam ich puszczam, chociaż czasem mi się wydaje, że mógłbym ich dogonić. A poza tym nie biegam po jezdni po to, żeby, jak niektórzy kierowcy sądzą, zwrócić na siebie uwagę.

W mojej dzielnicy nie ma gdzie biegać. Trzeba się wydostać poza przedmieścia, żeby biegać choćby na średni dystans. Tam gdzie ja mieszkam, na każdym skrzyżowaniu są znaki stopu na wszystkich czterech pasmach; odcinki między przecznicami są krótkie, a skręty pod kątem prostym nieprzyjemne dla bosych stóp. Tak samo chodniki - zawsze zagrożone psami, pełne porzuconych zabawek, regularnie skrapiane obrotowymi spryskiwaczami do trawników. A tam, gdzie już jest miejsce do biegania, zawsze się znajduje jakaś starsza osoba, która idąc niepewnie o lasce czy o kulach zajmuje całą szerokość chodnika. Człowiek nie może z czystym sumieniem zawołać: „Z drogi!” do kogoś takiego. Nawet jak mijam starszych ludzi z daleka, ale z moją normalną szybkością, wytrąca ich to z równowagi, a wywoływanie ataków serca nie jest moim celem. Pozostaje mi więc tylko jezdnia, ale ja przecież ćwiczę na warunki podmiejskie. W mojej obecnej kondycji mogę się z powodzeniem mierzyć z każdym samochodem, który złapię na tym, że jedzie z nadmierną szybkością. Jeżeli przynajmniej udaje, że się zatrzymuje przed znakami stopu, nie ma mowy, żeby rozwinął większą szybkość niż pięćdziesiąt mil na godzinę między jednym a drugim znakiem. Zawsze takiego doganiam. Dla mnie oczywiście nie stanowią przeszkody trawniki, ganki, huśtawki i brodziki dla dzieci; przedzieram się albo skaczę przez żywopłoty. A ponieważ mój silnik pracuje cicho, spokojnie i zawsze równo, mogę nasłuchiwać samochodów; ja nie muszę przystawać przed znakami stopu.

W końcu zawsze doganiam taki samochód - macham i z reguły się zatrzymuje. Mimo że jestem rzeczywiście w imponującej kondycji, to wcale nie to robi na nich największe wrażenie. Nie: przede wszystkim fakt, że jestem ojcem; ci szybkościowcy to głównie ludzie młodzi. Tak, to moje ojcostwo przywołuje ich do porządku, prawie zawsze. Zaczynam zwyczajnie:

- Czy nie widział pan tam gdzieś moich dzieci? - pytam głośno i z niepokojem. Rajdowcy weterani po zadaniu przeze mnie takiego pytania są z reguły przerażeni, że je przejechali. I natychmiast przyjmują postawę obronną.

- Mam dwoje małych dzieci - mówię. Dramatyczne napięcie w moim głosie, który moduluję tak, żeby lekko drżał, jest zamierzone. Jakbym powstrzymywał łzy albo straszną złość, albo jedno i drugie. Może myślą, że ścigam kidnapera albo ich podejrzewam, że są gwałtcicielami nieletnich.

- A co się stało? - pytają niezmiennie.

- Ale widział pan moje dzieci czy nie? - powtarzam. - Małego chłopca ciągnącego malutką dziewczynkę w czerwonym wózku? - Jest to oczywiście wymysł. Mam dwóch chłopców, wcale nie takich znów małych, a poza tym nie mają wózka. Mogą równie dobrze oglądać w tym momencie telewizję albo jeździć na rowerach po parku, gdzie jest zupełnie bezpiecznie, gdzie nie ma samochodów.

- Nie - odpowiada zaskoczony rajdowiec. - Owszem, widziałem dzieci. Jakies dzieci widziałem. Ale chyba nie te. A bo co?

- Bo pan je prawie zabił! - mówię.

- Ale ja ich w ogóle nie widziałem! - protestuje rajdowiec.

- Bo pan jechał ze zbyt dużą szybkością, żeby je zobaczyć! - rzucam im to w twarz jak dowód winy; to zdanie zawsze wypowiadam tak, jakby to był dowód rzeczowy. A oni nigdy nie są pewni. Mam tę rolę doskonale opanowaną. Tymczasem pot po forsownym biegu kapie mi z wąsów i brody ściekając na drzwi samochodu. Wiedzą, że tylko ojciec, który naprawdę lęka się o swoje dzieci, może biec tak szybko, mieć wzrok szaleńca i nosić takiego groźnego wąsa.

- Bardzo mi przykro - mówią zwykle.

- To dzielnica, w której jest pełno dzieci - wyjaśniam. - Są inne miejsca, gdzie można rozwijać taką prędkość, prawda? Dla dobra dzieci bardzo pana proszę, żeby pan tu nigdy nie jeździł zbyt szybko. - W takich chwilach mój głos nigdy nie jest nieprzyjemny; zawsze proszący. Ale widzą, że za moimi szczerymi, wilgotnymi od łez oczyma kryje się ledwie utrzymywany w karbach fanatyzm.

Zwykle są to młodzi chłopcy. Tacy muszą uronić trochę oleju; chcą pędzić w zwariowanym rytmie muzyki, która im łomocze w radio. Nie oczekuję, że zmienią obyczaje. Mam jedynie nadzieję, że będą to robili gdzie indziej. Zgadza się, jezdni należy do nich. Jak sam trenuję na jezdni, znam swoje miejsce. Biegam miękkim poboczem - po gorącym piasku czy żwirze, po tłuczonym szkle butelek od piwa, wśród rozjechanych kotów, okaleczonych ptaków, wgniecionych w ziemię kondomów. Ale w mojej okolicy samochód nie jest panem i władcą, jeszcze nie.

Zwykle nauka nie idzie w las.

Po moim pięciomilowym biegu robię pięćdziesiąt pięć pompek, potem pięć pięciojardowych przebieżek, po nich pięćdziesiąt pięć siadów, wreszcie pięćdziesiąt pięć zapaśniczych mostków na karku. To nie dlatego, żebym tak wierzył w liczbę pięć; po prostu dlatego, że forsowny i bezmyślny wysiłek jest łatwiejszy, kiedy człowiek nie musi sobie zawracać głowy zbyt wieloma różnymi liczbami. Po prysznicu (który biorę około piątej) w ciągu popołudnia i wieczoru pozwalam sobie na pięć piw.

Nie ścigam samochodów po nocach. Dzieci nie powinny o tak późnej porze bawić się poza domem - ani w mojej dzielnicy, ani w żadnej innej. Uważam, że w nocy samochód jest panem i władcą całego nowoczesnego świata. Nawet przedmieść.

Nocą, prawdę powiedziawszy, rzadko kiedy wychodzę z domu czy pozwalam wychodzić mojej rodzinie. Ale kiedyś poszedłem sprawdzić, jak doszło do oczywistego wypadku: ciemność rozdarła nagle eksplozją reflektorów; cisza - zgrzytem metalu i brzękiem tłuczonego szkła. W połowie odległości między przecznicami, dokładnie pośrodku mojej ulicy, leży na dachu łazik krwawiąc olejem i benzyną, w kałuży tak głębokiej, że widać w niej odbicie księżyca. Jedyny odgłos to pulsowanie w gorących przewodach i wygasłym silniku. Łazik wyglądał jak czołg, który najechał na minę. Wielkie wyrwy i dziury w asfalcie świadczyły o tym, że zanim się zatrzymał w tej pozycji, musiał ładne kilka razy przeokoziółkować.

Drzwi kierowcy były lekko uchylone, ale wystarczająco, żeby jakimś cudem zapaliło się światło wewnątrz. W małej kabinie, w dalszym ciągu za kierownicą, w dalszym ciągu do góry nogami i w dalszym ciągu żywy, tkwił gruby mężczyzna. Wyglądało na to, że nic mu się nie stało. Czubkiem głowy oparty niepewnie o sufit szoferki, który pełnił obecnie rolę podłogi, robił wrażenie, jakby ta zmiana perspektywy docierała do niego tylko częściowo. Przede wszystkim wyglądał na zakłopotanego obecnością wielkiej brązowej kuli do kręgli, która leżała obok niby druga głowa; siedział przytulony policzkiem do wielkiej kuli i mogło mu się wydawać, że dotyka odciętej głowy kochanki, która spoczywała na jego ramieniu.

- Czy to ty, Roger? - spytał mężczyzna. Nie wiedziałem, czy zwraca się do mnie, czy do kuli.

- To nie Roger - odpowiedziałem za siebie i za kulę.

- Ten Roger to kretyn - wyjaśnił mężczyzna. - Zamieniliśmy się kulami. Ta jest Rogera - wskazał kulę, której dotykał policzkiem. - Powiniennem wiedzieć, że to

nie moja, bo się nie zmieściła do mojej torby. Moja kula wejdzie do każdej, a ta Rogera jest naprawdę dziwna. Właśnie usiłowałem wsadzić ją do torby, kiedy łazik spadł z mostu.

Chociaż wiedziałem, że w całej mojej okolicy nie ma żadnego mostu, usiłowałem sobie wyobrazić tę scenę. Ale przeszkadzał mi bulgot wylewającej się benzyny jak bulgot piwa spływającego do gardła spragnionego człowieka.

- Pan powinien wysiąść - powiedziałem do odwróconego do góry nogami kierowcy.

- Zaczekam na Rogera - odparł. - On pewnie zaraz nadjedzie.

I rzeczywiście wkrótce pojawił się drugi łazik, jakby stanowili oddzielną chwilowo od kolumny wojskowej dwójkę. Łazik Rogera nadjechał z nie zapalonymi światłami i nie zatrzymał się na czas; wyrznął w wóz tłuszczocha i razem, jak sczepione wagony towarowe, przejechały jeszcze ulicą dobre dziesięć jardów.

Okazało się, że Roger to istotnie kretyn, ale ja zadałem mu jedyne możliwe w tej sytuacji pytanie:

- Czy to ty, Roger?

- Aha - odpowiedział mężczyzna, którego pulsujący łazik był ciemny i skrzypiał, a drobne cząstki przedniej szyby i reflektorów, i kratka silnika posypały się na ziemię jak hałaśliwe konfetti.

- To może być tylko Roger - jęknął grubas, w dalszym ciągu do góry nogami i w dalszym ciągu żywy w swojej oświetlonej szoferce. Widziałem, że nos mu krwawi nieznanie; pewnie oberwał kulą.

- Ty kretynie! - zawołał do Rogera. - Wziąłeś moją kulę!

- To ktoś musiał wziąć moją! - odparł Roger.

- Ja ją mam, kretynie - wyjaśnił mu grubas.

- Ale to jeszcze nie wszystko - rzekł Roger. - Masz też mojego łazika. - Roger zapalił papierosa w ciemnej szoferce. Najwyraźniej nie zamierzał opuszczać wraka.

- Niech pan zapali reflektory - zaproponowałem. - A ten grubas niech wysiądzie z pańskiego samochodu. Tu wszędzie jest pełno benzyny, nie powinien pan palić papierosa. - Ale Roger ignorując mnie spokojnie palił dalej w przywodzącej na myśl pieczarę ciszy drugiego łazika, zaś grubas znów wrzasnął, jakby śnił powracający natrętnie sen:

- Czy to ty, Roger?!

Poszedłem do domu i zadzwoniłem na policję. W dzień w swojej dzielnicy nie

tolerowałbym nigdy takiego ciężkiego przestępstwa, ale ludzie, którzy grają w kręgle w swoich łazikach, nie są zwykłymi podmiejskimi rajdowcami i zdecydowałem, że i tak są właściwie straceni.

- Halo, czy to policja? - spytałem.

Zdążyłem się już nauczyć, czego się można spodziewać po policji. Wiem, że ogólnie rzecz biorąc, nie lubią, jak obywatele dokonują zatrzymań. Kiedy im meldowałem o rajdowcach, wynik był z reguły zniechęcający. Nie interesują ich szczegóły. Podobno są ludzie, których policja chętnie by ujęła, ale uważam, że w gruncie rzeczy sprzyjają rajdowcom, a poza tym nie lubią, żeby ich wyręczać.

Podąłem miejsce wypadku kręglarzy, a kiedy mnie zapytali, jak zresztą zwykle, kto dzwoni, odpowiedziałem „Roger”.

O ile znałem policję, mogło z tego wyniknąć coś ciekawego. Oni zawsze wolą narobić kłopotu zgłaszającemu wypadek niż sprawcy. I rzeczywiście, jak tylko przyjechali, od razu przyczepili się do Rogera. W świetle latarni ulicznych widziałem, jak się kłóca, ale docierały do mnie tylko strzępy rozmowy.

- To on jest Roger - powtarzał w kółko grubas. - Roger jak najbardziej.

- Ale ja nie jestem ten Roger, który was wezwał, sukinsyny - wyjaśnił Roger policjantom.

- To prawda - oświadczył grubas. - Ten Roger nie wezwałby policji za nic w świecie.

I po chwili w mroku przedmieścia rozbrzmiało wołanie:

- Czy jest tam jeszcze jakiś Roger?! - zawołał jeden z policjantów.

- Roger! - wrzasnął tłuszcioch, ale i mój ciemny dom, i ciemne domy sąsiadów stosownie milczały. Gdyby to był dzień, to wiedziałem, że już by ich wszystkich wymiotło. Zostałyby tylko kałuże oleju i potłuczone szkło.

Z uczuciem zadowolenia, jak zwykle, kiedy dochodziło do zniszczenia pojazdów mechanicznych, niemal do rana przyglądałem się, jak szczepione kolosy wreszcie rozdzielono i odholowano. Przypominały dwa wielkie wyczerpane nosorożce złapane na spółkowaniu w tej podmiejskiej dzielnicy. Roger i grubas stali kłócąc się i wymachując swoimi kulami, dopóki nie wygaszono lamp ulicznych; wtedy, jak na dany sygnał, uściśnieli sobie ręce i rozeszli się w przeciwnie strony - jak gdyby wiedzieli, dokąd idą.

Rano znów zjawiała się policja przepytując, kogo się da, w dalszym ciągu zaintrygowana możliwością istnienia drugiego Rogera. Ale ode mnie nie

dowiedzieli się niczego, tak samo zresztą, jak niczego się nigdy nie dowiadują, kiedy im zgłaszam zatrzymanie jakiegoś rajdowca. „Gdyby się to powtórzyło - mówią mi zwykle - proszę nas koniecznie zawiadomić”.

Na szczęście rzadko kiedy potrzebna mi jest policja; z nowicjuszami zwykle sam sobie daję radę. Tylko raz mi się zdarzyło, że musiałem powtórnie zatrzymać tego samego kierowcę - na tym się zresztą skończyło. Był to ordynarny młody człowiek w krwawo-czerwonym wozie pogotowia hydraulicznego. Na szoferce wypisane miał trupiożółtymi literami: „Roto-Rooter - zakład prowadzi roboty ziemne i świadczy wszelkie usługi hydrauliczne.

O. FECTEAU, WŁAŚCICIEL I GŁÓWNY HYDRAULIK"

Z recydywistami szybko przechodzę do rzeczy.

- Wzywam policję - powiedziałem młodemu człowiekowi. - I dzwonię do twojego szefa, starego O. Fecteau. Powinienem był to zrobić już poprzednim razem.

- Ja jestem swoim własnym szefem - odparł mężczyzna. - Ten interes hydrauliczny jest mój. Odpieprz się pan.

Stwierdziłem, że mam do czynienia z O. Fecteau we własnej osobie, pewnym siebie młodym konusem, gwizdzącym na uznane autorytety.

- Mamy tu dużo dzieci w tej dzielnicy - powiedziałem - a dwójka z tego jest moja.

- Tak, już to słyszałem - odparł hydraulik; zwiększył obroty silnika, jakby odchrząknął. W jego twarzy czaiła się zapowiedź groźby, tak jak zapowiedź brody czaiła się w rzadkim przypominającym łonowe włosy zaroście, który hodował na swoim młodym podbródku. Położył ręce na drzwiach - jedną na klamce, drugą na opuszczonym oknie.

- Bardzo pana proszę, żeby pan tu nie jeździł z taką szybkością.

- Dobra, postaram się - powiedział O. Fecteau. Poprzestałbym na tym, ale hydraulik zapalił papierosa i uśmiechnął się do mnie. Wydało mi się, że na twarzy gnojka dojrzałem całą chytrą chytrość świata.

- Jak cię jeszcze raz złapię jadącego z taką szybkością, wsadzę ci w dupę twój Roto-Rooter.

Gapiliśmy się na siebie przez chwilę, O. Fecteau i ja. Następnie hydraulik dodał gazu i puścił sprzęgło. Musiałem uskoczyć na chodnik; w rynsztoku znalazłem zabawkę - małą metalową śmieciarkę, której brakowało przednich kół. Podniosłem samochodzik i pobiegłem za O. Fecteau. Pięć przecznic dalej byłem na tyle blisko, że

mogłem cisnąć śmieciarką, która trafiła w szoferkę. Narobiła hałasu, ale odbiła się i upadła nie powodując żadnej szkody. Mimo to O. Fecteau nacisnął na hamulec. Ze skrzyni wozu wypadło chyba z pięć długich rur, a jedna z metalowych szuflad otworzyła się wypływając śrubokręt i kilka szpul grubego drutu. Hydraulik wyskoczył z szoferki i zatrzasnął za sobą drzwi, w rękę miał potężną żabkę. Widać było, że bardzo nie lubi żadnych wgnieceń na swoim krwawym wozie. Złapałem za jedną z rur, mniej więcej pięciostopowej długości, i szybko stłukłem mu lewe tylne światło. Od pewnego czasu mam jakąś naturalną skłonność do piątki. Na przykład obwód mojej klatki piersiowej liczony w calach (na wydechu) wynosi pięćdziesiąt pięć.

- Masz stłuczone tylne światło - wskazałem mu szkodę. - Nie powinieneś tak jeździć.

- Zaraz wezwę policję, ty pieprznięty skurwysynu! - wykrzyknął O. Fecteau.

- Zatrzymuję cię pod zarzutem przekroczenia dozwolonej szybkości i narażania życia moich dzieci. Razem pójdziemy na policję. - Podłożyłem długą rurę pod tylną tablicę rejestracyjną i zgiąłem ją jak kartkę papieru.

- Jeżeli jeszcze raz dotkniesz się do mojego samochodu - powiedział hydraulik - to będziesz miał kłopoty. - Ale rura w mojej ręce była lekka jak raketka do badmintonu; zamachnąłem się nią bez trudu i stłukłem mu drugie światło.

- A ty już masz kłopoty - wskazałem zbite światło. - Jeżeli się tu jeszcze kiedy pokażesz tym samochodem, to radzę ci używać pierwszego biegu i migacza. - Przedtem jeszcze, pomyślałem (wymachując rurą), będzie musiał zreperować migacz.

Właśnie w tym momencie z jednego z domów wyszła jakaś kobieta, żeby zobaczyć, co to za zamieszanie. Poznała mnie natychmiast. Na jej narożniku łapię sporo kierowców.

- Brawo! - zawołała. Uśmiechnąłem się do niej, a ona przydreptała do mnie zatrzymując się po drodze, żeby obejrzeć małą śmieciarkę, która wylądowała na jej zadbanym trawniku. Podniosła ją z wyraźnym niesmakiem i wręczyła mi. Wrzuciłem zabawkę razem z kawałkami potłuczonego plastiku i szkła tylnych światel i migacza do skrzyni półciężarówki hydraulika. Nasze osiedle jest czyste; brzydzę się śmieci. Biegając po ulicach, nie widzę nic innego poza śmieciami. Resztę rur też mu załadowałem do samochodu, a tą jedną długą, którą w dalszym ciągu trzymałem jak wojownik oszczep, trąciłem śrubokręt i szpule drutu, które upadły

koło krawężnika. O. Fecteau zgarnął je i wsadził z powrotem do metalowej szuflady. Jest prawdopodobnie lepszym hydraulikiem niż kierowcą, pomyślałem; wielka żabka pasowała mu do ręki.

- Powinien się pan wstydzić - powiedziała starsza kobieta do O. Fecteau.

Spojrzał na nią spode łba.

- To jeden z najgorszych - wyjaśniłem.

- No proszę - staruszka zwróciła się do hydraulika. - Taki duży, a nie umie się przyzwoicie zachowywać.

O. Fecteau wycofał się do szoferki; wyglądał tak, jakby miał ochotę zdzielić mnie żabką, wskoczył do samochodu i przejechał starą wiedźmę.

- Tylko proszę jechać ostrożnie - przykazałem mu. Kiedy siedział już bezpiecznie w szoferce, wsunąłem mu długą rurę do skrzyni. Następnie wziąłem pod rękę starszą panią i poprowadziłem ją chodnikiem.

Kiedy samochód oderwał się od krawężnika i śmignął ze smrodem palonej gumy i tak przejmującym grzechotem jak wyłamywanie kości ze stawów, przez delikatny koniuszek jej łokcia poczułem, że staruszka drży; coś z tego strachu udzieliło się i mnie - uświadomiłem sobie, jak ryzykowne jest doprowadzanie kogoś do takiej złości, jak ja doprowadziłem O. Fecteau. Słyszałem go jeszcze z odległości chyba pięciu przecznic, jak pędzi z furią, i modliłem się za wszystkie psy, koty i dzieci, które mogły się znaleźć na jego drodze. Bez wątpienia, pomyślałem sobie, życie w dzisiejszych czasach jest z pięć razy trudniejsze niż dawniej.

Powiniennem dać spokój tej krucjacie wymierzonej przeciwko rajdowcom. Niewątpliwie przeciągam już strunę, ale oni mnie doprowadzają do wściekłości - swoim niedbalstwem, swoim niebezpiecznym, niechlujnym stylem życia, który uważam za bezpośrednio zagrażający mnie i moim dzieciom. Nienawidzę samochodów i nienawidzę ludzi, którzy głupio z nich korzystają. Jestem wściekły na tych, co ryzykują życiem innych. Niech sobie szaleją w swoich wozach - ale na pustym! Tu, na przedmieściu, nie chcemy takiej strzelnicy na świeżym powietrzu! Mogą sobie nawet skakać z samolotów - ale nad oceanem! W każdym razie nie tam, gdzie żyją moje dzieci.

- Czym byłoby to osiedle bez pana? - zastanawiała się głośno starsza pani. Nigdy nie mogę zapamiętać jej nazwiska. Beze mnie, pomyślałem, to osiedle byłoby najprawdopodobniej spokojne. Może bardziej niebezpieczne, ale spokojne. - Oni tak strasznie szybko jeżdżą - dodała. - Czasami myślę, że gdyby nie pan, te ich zderzenia

wypadałyby dokładnie w moim pokoju. - Ale było mi głupio, że przeżywam niepokoje osiemdziesięciolatek, że moje obawy bardziej przypominają nerwowe starcze lęki niż normalne troski ludzi w średnim wieku.

Jakie potwornie nudne jest moje życie! - myślałem kierując babcię ku jej frontowym drzwiom i sterując nią pomiędzy wyrwami w chodniku.

I wtedy wrócił hydraulik. Myślałem, że staruszka umrze na moich rękach. Podskoczył na krawężniku, przemknął koło nas i przejechał przez jej trawnik, wgniatając w ziemię młodziutki, cienkie jak witka drzewko. Następnie mało się nie wyrócił robiąc gwałtowny skręt w kształcie litery U - wyrwał przy tym z korzeniami potężny kawał żywopłotu i powyszarpywał płaty darni wielkości pięciofuntowych steków. Wreszcie śmignął chodnikiem tryskając ze skrzyni biegów kaskadą narzędzi, kiedy tylne koła znów podskoczyły na krawężniku. O. Fecteau był znów na jezdni, raz jeszcze terroryzował moje osiedle; widziałem, jak brutalny hydraulik wjechał na krawężnik na skrzyżowaniu ulic Dodge i Furiong, gdzie otarł tył zaparkowanego samochodu, którego bagażnik otworzył się od uderzenia i tak pozostał kiwając klapą.

Wprowadziwszy do domu wstrząśniętą staruszkę, zadzwoniłem na policję i do żony, żeby nie wypuszczała dzieci na ulicę. Hydraulik był wyraźnie stuknięty. Oto, jak dbam o swoje osiedle, pomyślałem. Szaleńców przyprawiam o szaleństwo.

Staruszka siedziała w swoim wzorzystym fotelu w zagraconym living-roomie, krucha jak roślina. Kiedy O. Fecteau wrócił z rykiem klaksonu przejeżdżając po żwirze pośród młodych drzewek i tym razem w odległości dosłownie kilku cali od jej wykuszowego okna - staruszka nawet nie drgnęła. Stałem przy drzwiach oczekując ostatecznego ataku, ale pomyślałem, że będzie mądrzej, jak mu się nie pokaże. Wiedziałem, że jeśli O. Fecteau mnie zobaczy, spróbują wjechać do domu.

Zanim przyjechała policja, zdążył się przewrócić w wyniku nieudanej próby ominięcia furgonetki na skrzyżowaniu Cold Hill i North Lane - O. Fecteau siedział bardzo sztywno w szoferce ze złamanym obojczykiem, mimo że jego samochód leżał na boku. Nie był w stanie czy też może nawet nie próbował wydostać się drzwiami nad swoją głową. Robił wrażenie spokojnego; słuchał radia.

Od tej pory starałem się już nie prowokować niesfornych kierowców; jeżeli stwierdzą, że czują się dotknięci tym, że ich zatrzymuję i pozwalam sobie krytykować ich złe obyczaje, mówię im po prostu, że idę poinformować o tym

policej, i szybko znikam.

Fakt, że O. Fecteau nieraz pogwałcił zasady społecznego współżycia, wcale mnie nie usprawiedliwia.

- To dobrze, że przegnałeś tego hydraulika - powiedziała żona, która na ogół ma mi za złe moje wtrącanie się w sprawy innych ludzi. Ale ja pomyślałem, że doprowadziłem tego robociarza do szału i że gdyby w czasie swojego napadu O. Fecteau zabił jakieś dziecko, to czyja byłaby wina? Chyba częściowo moja.

W dzisiejszych czasach albo wszystko stanowi problem moralny, albo problemów moralnych już nie ma. Albo nie ma kompromisów, albo są same kompromisy. Zawsze niezależny, czuwam stale. Nie należy sobie folgować.

Nie mów nic - powiedziała sobie Helen. - Idź, pocałuj go, otrzyj się o niego; weź go jak najprędzej na górę, a o cholernym opowiadaniu powiesz później. Dużo później - przestrzegła się. Ale wiedziała, że on jej nie daruje.

Naczynia były pozmywane i Garp siedział naprzeciwko niej przy stole.

Przywołała na twarz swój najmiłszy uśmiech i powiedziała:

- Chce iść z tobą do łóżka.

- Nie podoba ci się?

- Pogadamy w łóżku.

- Do diabła, Helen, to pierwsza rzecz, jaką udało mi się skończyć od dłuższego czasu. Jestem ciekaw, co o tym myślisz.

Zagryzła wargę i zdjęła okulary; nie zrobiła nawet najmniejszego znaczka swoim czerwonym ołówkiem.

- Kocham cię - powiedziała.

- Tak, tak - odparł niecierpliwie. - Ja cię też kocham, ale popieprzyć się możemy praktycznie zawsze. Co z opowiadaniem? - Odprężyła się wreszcie; uznała, że w jakiś sposób uwolnił ją od napięcia. Próbowałam - pomyślała; odczuła wielką ulgę.

- Do dupy jest to opowiadanie - powiedziała. - Nie, nie podobało mi się. I nie chcę o nim rozmawiać. A ty wyraźnie masz w nosie to, co ja chcę. Jesteś jak mały chłopczyk przy stole: nakładasz sobie pierwszy.

- Nie podoba ci się? - spytał Garp.

- No, nie jest całkiem złe. Ale właściwie nic specjalnego. Błahostka. Byle co. Jeżeli ma stanowić przygotowanie do czegoś większego, to chciałabym zobaczyć tamto, jak już będzie gotowe. Ale musisz wiedzieć, że to jest nic. Usiadłeś i napisałeś

coś od ręki. I to lewej, prawda?

- Ale musisz przyznać, że jest śmieszne?

- Owszem, jest śmieszne, tak jak każdy kawał. Jednowierszowy. Ale właściwie co to ma być? Parodiujesz samego siebie? Jesteś jeszcze za młody i za mało napisałeś, żeby samego siebie wykpiwać. To jest gładkie i pod publiczność. Nie mówi o niczym poza tobą samym. Zręczne.

- Do cholery - powiedział Garp. - Zręczne.

- Zawsze mówisz o ludziach, którzy dobrze piszą, ale nie mają *nic* do powiedzenia - rzekła Helen. - A jakbyś nazwał „Czuwanie”? Z pewnością nie jest to „Grillparzer”. Nie jest warte nawet piątej części „Grillparzera”. Nawet dziesiątej.

- „Pensjonat Grillparzer” to pierwsza większa rzecz, jaką napisałem – bronił się Garp. - To coś zupełnie innego. Całkowicie odmieniony rodzaj prozy.

- Zgadzasz się z tobą - tamto jest o czymś, a to jest o niczym - oświadczyła Helen. - Tamto jest o ludziach, a to jest tylko o tobie. W tamtym jest jakaś intryga i precyzja, a w tym tylko dowcip. - Kiedy już Helen uruchomiła swoje krytyczne mechanizmy, trudno je było zatrzymać.

- Porównywanie tych dwóch rzeczy jest nie fair. Wiem, że to jest skromniejsze.

- Więc nie mówmy o tym więcej - powiedziała Helen.

Garp przez chwilę siedział naburmuszony.

- „Drugi oddech rogowca” też ci się nie podobał - rzekł. - I przypuszczam, że następna rzecz też ci się nie spodoba.

- Jaka następna rzecz? - zapytała Helen. - Piszesz następną powieść?

Garp znów się nadąsał. Nienawidziła go za to, że ją zmusza, żeby robiła to wszystko, ale zarazem pragnęła go i wiedziała, że go kocha.

- Proszę cię - powiedziała - chodźmy do łóżka.

Ale teraz on dostrzegł szansę na odrobinę okrucieństwa - a może odrobinę prawdy - i w jego oczach pojawił się błysk.

- Ani słowa więcej - błagała go. - Chodźmy do łóżka.

- Ty uważasz, że „Pensjonat Grillparzer” jest najlepszy ze wszystkiego, co napisałem, tak? - Wiedział już, co Helen myśli o jego drugiej powieści, i wiedział również, że niezależnie od jej ciepłego stosunku do „Kunktatorstwa” pierwsza powieść, to jest pierwsza powieść. Tak, uważała, że „Grillparzer” jest najlepszy.

- Jak do tej pory, tak - powiedziała miękko. - Jesteś uroczym pisarzem, wiesz przecież, że tak uważam.

- Przypuszczam, że nie rozwinąłem jeszcze w pełni swoich możliwości twórczych - powiedział Garp zjadliwie.

- Ale rozwinięsz - współczucie i miłość powoli uchodziły z jej głosu.

Popatrzyli na siebie; Helen odwróciła wzrok. Garp ruszył na górę.

- Idziesz się położyć? - zapytał. Stał tyłem do niej; jego intencje były przed nią ukryte, uczucia też: albo ukryte, albo pogrzebane w jego piekielnej pracy.

- Jeszcze nie w tej chwili.

Czekał na schodach.

- Masz coś do czytania? - zapytał.

- Nie, na jakiś czas mam dosyć czytania.

Poszedł na górę. Kiedy przyszła, już spał, co wprawilo ja w rozpacz. Jeżeli w ogóle o niej myślał, to jak mógł zasnąć? Ale w gruncie rzeczy miał tyle na głowie, że był sfrustrowany; zasnął z oszołomienia. Gdyby był w stanie skupić swoje uczucia na jednym, nie spałby, kiedy Helen zjawiała się na górze. Mogli jeszcze wtedy wiele uratować.

A tak Helen usiadła przy nim i obserwowała jego twarz z większą czułością, niż sądziła, że ją będzie na to stać. Widziała, że ma erekcję tak solidną, jak gdyby rzeczywiście na nią czekał, wzięła go więc do ust i zaczęła ssać delikatnie, aż się spuścił.

Obudził się, zdziwiony, z miną pełną poczucia winy - kiedy się zorientował, gdzie jest i z kim. Helen - przeciwnie - nie miała najmniejszego poczucia winy; była tylko smutna. Dopiero później przyszło mu do głowy, że Helen jakby wiedziała, że śnił o pani Ralph.

Kiedy wrócił z łazienki, spała. Szybko zapadła w sen. Wolna wreszcie od poczucia winy, wyswobodzona na tyle, by się oddać własnym snom. Garp leżał koło niej obserwując zdumiewający wyraz niewinności na twarzy żony - dopóki nie obudziły jej dzieci.

Rozdział XIII

Walt zaziębia się

Za każdym razem, kiedy Walt się zaziębił, Garp źle sypiał. Jakby usiłował oddychać i za małego, i za siebie. Wstawał w nocy, żeby pocałować i popieścić chłopca; gdyby go ktokolwiek wtedy zobaczył, pomyślałby, że chce uwolnić malca od infekcji biorąc ją na siebie.

- Mój Boże - powiedziała Helen. - Przecież to tylko zaziębienie. Duncan w jego wieku chorował całą zimę. - Teraz, w wieku prawie jedenastu lat, wydawało się, że z tego wyrósł. Walt, jako pięciolatek, wpadał z jednego zaziębienia w drugie - a może było to po prostu jedno długie przeziębienie, które odchodziło i powracało. Z nastaniem marcowych pluch Garp stwierdził, że mały całkowicie stracił odporność; co noc budził go atakami mokrego męczącego kaszlu. Garp czasami zasypiał z uchem przytkniętym do piersi malca i po jakimś czasie zrywał się przerażony nie słysząc bicia jego serca. Ale dzieciak po prostu spychał ciężką głowę ojca ze swojej piersi, żeby móc się obrócić na bok i spać wygodniej.

I lekarz, i Helen powtarzali Garpowi:

- To jest tylko kaszel.

Ale nocne trudności Walta z oddychaniem nie dawały mu spać. Zwykle więc nie spał, kiedy dzwoniła Roberta. Niepokoje dużej i potężnej pani Muldoon przestały robić na nim wrażenie; Garp przywykł do nich, ale histeryczna bezsenność męża zaczęła działać Helen na nerwy.

- Gdybyś się zajął pisaniem, byłbyś zbyt zmęczony na to, żeby pół nocy leżeć bezsennie. To twoja wyobraźnia nie daje ci spać - tłumaczyła mu; Garp zdawał sobie sprawę, że jednym z symptomów tego, że za mało pisze, był fakt, że jego nie obciążona wyobraźnia zajmowała się różnymi rzeczami. Na przykład gwałtowna inwazja snów - Garpowi śniły się teraz wyłącznie potworności, które spotykały jego dzieci.

W jednym ze snów zdarzyło się coś strasznego w czasie, kiedy czytał pismo pornograficzne. Przyglądał się w kółko temu samemu zdjęciu; było ono bardzo pornograficzne. Zapaśnicy drużyny uniwersyteckiej, z którymi Garp od czasu do czasu trenował, mieli szczególny słownik na określenie takich obrazków. Ten słownik, stwierdził Garp, nie zmienił się od czasów Steering - chłopcy z jego drużyny

rozmawiali o takich sprawach w ten sam sposób. Zmieniała się tylko dostępność tych obrazków - była coraz większa - ale nie terminologia.

Zdjęcie, któremu przyglądał się Garp we śnie, zaliczało się do najbardziej drastycznych w skali ocen pornografii. Zdjęcia przedstawiające nagie kobiety dzieliły się bowiem w zależności od tego, ile można było na nich zobaczyć. Same włosy łonowe, bez narządów płciowych, nazywano kocurem albo krzakiem. Jeżeli było widać narządy płciowe, choćby częściowo przysłonięte włosami, był to bóbr; bóbr był czymś lepszym od krzaka, bo bóbr to było wszystko: włosy i narządy. Jeśli zaś narządy były rozchylone, nazywało się to rozdziawiony bóbr. A jeśli do tego jeszcze lśniły, co uważano za najwyższy stopień doskonałości w świecie pornografii, był to wilgotny rozdziawiony bóbr. Ta wilgotność sugerowała, że kobieta jest nie tylko naga, wystawiona na widok i otwarta, ale także gotowa.

W swoim śnie Garp oglądał coś, co w żargonie zapaśników nazywało się wilgotnym rozdziawionym bobrem, kiedy usłyszał krzyk dzieci. Nie wiedział, czyje to dzieci, ale były z mimi Helen i jego matka Jenny Fields; cała grupka zeszła z góry i przedfilowała przed nim, gdy on tymczasem usiłował ukryć przed nimi to, co oglądał. Spali na górze i nagle obudziło ich coś okropnego; teraz schodzili, dalej, aż do piwnicy, jakby to był schron przeciwlotniczy. Pod wpływem tego skojarzenia Garp usłyszał głuchy łomot bomb - widział odpadający tynk i mrugające światła - i dotarła do niego potworność tego, co ich czeka. Dzieci dwójkami, pochlipując, maszerowały za Helen i Jenny, które prowadziły je do schronu, spokojnie jak pielęgniarki. Jeżeli w ogóle malcy spojrzeli na Garpa, to z jakimś dziwnym smutkiem i pogardą, jak gdyby to on ich na to wszystko naraził, a teraz patrzył bezsilnie nie potrafiąc im pomóc.

Może zamiast wypatrywać samolotów nieprzyjacielskich, gapił się na wilgotnego rozdziawionego bobra? Problem, dlaczego właściwie Garp miał takie poczucie winy i dlaczego oni patrzyli na niego, jakby się czuli pokrzywdzeni, pozostał, zgodnie z prawami snów, na zawsze nie rozstrzygnięty.

Na samym końcu szeregu szli Walt i Duncan trzymając się za ręce; chodzenie parami, stosowane na obozach letnich, we śnie Garpa wydawało się naturalną reakcją na nieszczęście, jakie się wydarzyło dzieciom. Mały Walt płakał tak jak wtedy, kiedy miał nieprzyjemny sen, z którego nie mógł się obudzić.

- Mam zły sen! - pochlipywał. Patrzył na ojca i niemal krzyczał: - Ja mam zły sen!

Ale w swoim śnie Garp nie był w stanie obudzić małego z jego snu. Duncan ze

stoickim spokojem patrzył przez ramię na ojca; na jego pięknej, młodej twarzy malował się wyraz pełnej odwagi rezygnacji. Duncan robił ostatnio wrażenie bardzo dorosłego. Spojrzeniem dzielił z Garpem tajemnicę: obaj wiedzieli, że to nie sen i że Waltowi nie można pomóc.

- Obudź mnie! - krzyczał mały, ale długi szereg dzieci ginął już w schronie przeciwlotniczym. Wyrывая się Duncanowi (sięgał mu mniej więcej do łokcia) Walt oglądał się za ojcem. - To zły sen! - wrzeszczał, jakby usiłował upewnić samego siebie. Garp nie mógł nic na to poradzić; nie odezwał się słowem; nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby za nimi iść po tych ostatnich schodach. Odpadający tynk pokrywał wszystko białą warstwą. Cały czas leciały bomby.

- To ci się tylko śni! - krzyknął Garp za małym Waltem. - To tylko zły sen! - wołał, chociaż wiedział, że kłamie.

W takich chwilach Helen kopała go i Garp się budził.

Być może bała się, że jego chora wyobraźnia zwróci się ku niej. Gdyby bowiem choć połową swojej troski obdarzył Helen, zorientowałyby się pewnie, że coś się dzieje.

Ale Helen uważała, że panuje nad tym, co się dzieje, a przynajmniej panowała nad samym początkiem (kiedy otwierała drzwi jak zwykle czekającemu pod ścianą Michaelowi Miltonowi i wpuszczała go do pokoju). Zamknąwszy drzwi pocałowała go szybko w usta, objęła za smukłą szyję, tak że nawet nie mógł się ruszyć dla złapania tchu, i wcisnęła mu kolano między nogi; Michael kopnął kosz na śmieci i upuścił notatnik.

- Nie mamy już o czym dyskutować - Helen nabrała tchu. Przejechała językiem po jego górnej wardze; usiłowała powziąć decyzję, czy lubi jego wąsik. Zdecydowała, że lubi; a przynajmniej lubiła teraz. - Pójdziemy do ciebie do domu, nigdzie indziej - powiedziała.

- Mieszkam po drugiej stronie rzeki - odparł.

- Wiem, gdzie mieszkasz. Czy tam jest czysto? - Oczywiście. I mam cudowny widok na rzekę.

- Nie zależy mi na widoku. Zależy mi, żeby było czysto.

- Jest zupełnie czysto, ale mogę posprzątać jeszcze lepiej.

- I możemy tam jechać tylko twoim samochodem.

- Ale ja nie mam samochodu.

- Wiem, że nie masz. Będziesz musiał kupić.

Uśmiechnął się teraz; był zdziwiony, ale już znów poczuł się pewny siebie.

- Mam nadzieję, że nie w tej chwili - łaskotał ją węsami w policzek; dotknął jej piersi. Helen uwolniła się z jego uścisku.

- Kupisz, kiedy zechcesz - powiedziała. - W każdym razie ja nie będę używała swojego. Tak samo nie będę się afiszować chodząc z tobą po mieście na piechotę czy jeżdżąc autobusami. Jeżeli ktokolwiek by się o tym dowiedział, koniec ze wszystkim. Rozumiesz? - Usiadła przy biurku, a on nie czuł się zachęcony do tego, by je obejść i jej dotknąć; usiadł na krześle przeznaczonym dla studentów.

- Jasne, że rozumiem - powiedział.

- Kocham swojego męża i nigdy nie chciałabym mu zrobić przykrości - wyjaśniła Helen. Michael Milton był na tyle rozsądny, że powstrzymał uśmiech.

- Kupię samochód zaraz - oświadczył.

- I posprzątaj w mieszkaniu albo każ posprzątać - dodała.

- Absolutnie - teraz już odważył się na uśmiech, nieśmiały. - A jaki samochód byś chciała, żebym kupił?

- Wszystko mi jedno - odparła. - Taki, żeby jeździł, żeby bez przerwy nie stał w warsztacie. I żeby nie miał siedzeń składanych. Tylko jedną długą kanapkę z przodu. - Ponieważ miał minę jeszcze bardziej zdziwioną i zakłopotaną niż dotychczas, wyjaśniła: - Żebym mogła się wygodnie położyć na przednim siedzeniu. I położyć głowę na twoich kolanach. W ten sposób nikt mnie nie zobaczy. Rozumiesz?

- Nic się nie bój - powiedział znów się uśmiechając.

- To małe miasto. Nikt się nie może dowiedzieć.

- Nie aż tak małe - rzekł Michael Milton porozumiewawczo.

- Każde miasto jest małe. A to jest mniejsze, niż sobie wyobrażasz. Chcesz, żebym ci powiedziała?

- Co żebyś mi powiedziała? - zapytał.

- Sypiasz z Margie Tallworth z trzeciego roku - odparła Helen. - Jest w mojej grupie na zajęciach z literatury porównawczej. A poza tym spotykasz się z inną bardzo młodą studentką, jest u Dirksona w grupie, chyba na pierwszym roku, ale nie dam głowy, czy z nią sypiasz. Jeśli nie, to oczywiście jeszcze nie dowód, żebyś nie próbował - dodała. - O ile wiem, nie ruszałeś studentek ze swojego roku, przynajmniej jak dotąd. Zresztą i tak z pewnością jest ktoś, kogo pominęłam, albo był.

Michael Milton poczuł się głupio, ale zarazem rozpiekała go duma, w każdym razie tak dalece stracił swoje zwykłe panowanie nad własnym wyrazem twarzy, że na widok jego miny Helen, odwróciła się z dezaprobatą.

- Oto jak małe jest to i każde inne miasto - rzekła. - I jeśli będziesz miał mnie, nie możesz mieć żadnej z tamtych dziewcząt. Wiem, ile potrafią zauważyć takie smarkule i jak potrafią paplać.

- Dobrze - Michael Milton robił wrażenie, jakby miał zaraz notować.

Helen przypomniało się coś nagle i poczuła się przez mement zaniepokojona.

- Mam nadzieję, że masz prawo jazdy? - spytała.

- Ależ oczywiście! - zapewnił ją.

Roześmieli się oboje i Helen znów się odprężyła, ale kiedy obszedł biurko, żeby ją pocałować, potrząsnęła głową i oddaliła go gestem ręki.

- A tutaj żebyś się nawet nie ważył mnie dotknąć. Żadnej intymności w pracy. Nie zamykam nigdy drzwi na klucz. Lubię nawet, żeby były lekko uchylone. I proszę cię, otwórz je teraz - poleciła mu i Michael zrobił, jak mu kazano.

Kupił samochód, wielkiego Buicka Roadmastera, stary typ combie, z prawdziwymi drewnianymi listewkami po bokach. Był to Buick Dynaflo z roku 1951, ciężki i lśniący od chromów sprzed wojny koreańskiej i prawdziwego dębu. Ważył pięć tysięcy pięćset pięćdziesiąt funtów albo blisko trzy tony. Mieścił ponad siedemdziesiąt osiem litrów benzyny. Dawna cena wynosiła dwa tysiące osiemset pięćdziesiąt dolarów, ale Michael kupił go za niecałe sześćset.

- Szeregowy ośmiocylindrowy, pojemność trzysta dwadzieścia, kierownica ze wspomaganie hydraulicznym, gaźnik z jedną dyszą - sprzedawca powiedział Michaelowi. - I nie jest bardzo skorodowany.

Samochód był matowego nijakiego koloru zakrzepłej krwi, miał ponad sześć stóp szerokości i siedemnaście długości i przednie siedzenie tak długie i głębokie, że Helen mogła się na nim wyciągnąć prawie nie zginając nóg; nie potrzebowała nawet kłaść głowy na kolanach Michaela, co zresztą robiła i tak.

Nie dlatego jednak trzymała mu głowę na kolanach, że musiała; lubiła po prostu widok tablicy rozdzielczej i bliskość starego znanego zapachu marokinowej skóry wielkiego gładkiego siedzenia. Kładła mu głowę na kolanach, ponieważ lubiła czuć, jak mięśnie jego nogi napinają się i rozluźniają, a udo przesuwają się nieznacznie pomiędzy pedałem hamulca i gazu. Były to bardzo spokojne kolana, gdy się położyło na nich głowę, ponieważ samochód nie miał sprzęgła; kierowca musiał poruszać tylko jedną nogą, i tylko od czasu do czasu. Michael Milton z rozmysłem trzymał drobne w lewej bocznej kieszeni, tak że tylko miękkie prążki sztruksowych spodni zostawiały delikatny ślad na jej policzkach - a czasami sztywniejący członek dotykał jej ucha albo

sięgał włosów na karku.

Wyobrażała sobie nieraz, że bierze go do ust, kiedy jechali przez miasto wielkim samochodem, który rozwartą paszczą chromowanej kraty z przodu i napisem „Buick Osiem” na zębach przypominał żerującą rybę. Ale to, Helen wiedziała, nie byłoby bezpieczne.

Pierwszym symptomem, że cała rzecz może nie być bezpieczna, było rzucenie przez Margie Tallworth wykładów Helen z literatury porównawczej bez najmniejszego wyjaśnienia, co jej się w tych wykładach nie podoba. Helen obawiała się, że to nie z wykładów Margie jest niezadowolona, i poprosiła pannę Tallworth do swojego pokoju domagając się wyjaśnień.

Margie Tallworth, studentka trzeciego roku, знаła jednak na tyle dobrze przepisy, żeby wiedzieć, że żadne wyjaśnienia nie są w takim wypadku wymagane; do pewnego momentu w dowolnym semestrze każdy student mógł przestać chodzić na dowolne wykłady bez zgody wykładowcy.

- A czy muszę mieć jakiś powód? - zapytała nachmurzona.

- Nie, nie musisz - odpowiedziała Helen. - Ale jeśli masz, chciałabym go poznać.

- Nie muszę mieć żadnego powodu - powtórzyła Margie Tallworth. Wytrzymała wzrok Helen znacznie dłużej niż większość studentów; następnie wstała, żeby wyjść. Jest ładna, mała i dobrze ubrana jak na studentkę, pomyślała Helen. Jeżeli poprzednia sympatia Michaela Milтона i jego obecna wybranka miały ze sobą cokolwiek wspólnego, to niewątpliwie świetne ciuchy.

- Przykro mi, że to nie wyszło - rzekła Helen zgodnie z prawdą; w dalszym ciągu usiłowała wybadać, co dziewczyna wie.

Musi wiedzieć, pomyślała i szybko oskarżyła Michaela.

- Już wszystko spieprzyłeś - powiedziała mu zimno, ponieważ mogła mówić do niego zimno... przez telefon. - Jak zerwałeś z Margie Tallworth?

- Bardzo łagodnie - odparł Michael gładko. - Ale zerwanie jest zerwaniem, obojętne, w jaki sposób się to zrobi. - Helen nie lubiła, kiedy ją pouczał, chyba że w sprawach seksualnych; do tego dała mu pełne prawo i w tej sferze Michael Milton odczuwał potrzebę dominowania. Jej właściwie na tym nie zależało. Czasami bywał szorstki, ale nigdy naprawdę brutalny, pomyślała, i jeżeli twardo się przed czymś broniła, ustępował. Kiedyś musiała mu powiedzieć: „Nie, tego nie lubię, nie zrobię tego!” Dodała jednak: „Proszę cię”, ponieważ nie była go jeszcze pewna. Dał spokój;

ale potrafił postawić na swoim, tyle że w sposób, który jej odpowiadał. Fakt, że nie mogła mu ufać do końca, był podniecający. Ale nie móc zaufać jego dyskrecji - to już inna sprawa, zwłaszcza kiedy chodziło o nią.

- Nic jej nie powiedziałem - upierał się Michael. - Powiedziałem jej: „Margie, koniec z nami” czy coś w tym rodzaju. Nie mówiłem jej nawet, że jest ktoś inny, a już w żadnym razie nie wspomniałem o tobie.

- Ale najprawdopodobniej słyszała, jak coś mówiłeś o mnie wcześniej - nalegała Helen. - To znaczy zanim się między nami zaczęło.

- Jej się i tak nigdy nie podobały twoje wykłady - odparował Michael. - Kiedyś z nią na ten temat rozmawiałem.

- Nigdy jej się nie podobały moje wykłady? - zdziwiła się szczerze Helen.

- No cóż, może jest za mało inteligentna - powiedział zniecierpliwiony.

- Lepiej, żeby Margie o nas nie wiedziała - rzekła Helen. - Mówię poważnie, radzę ci sprawdzić.

Ale niczego nie sprawdził. Margie Tallworth nie chciała z nim w ogóle rozmawiać. Próbował jej wytłumaczyć przez telefon, że to dlatego, że wróciła do niego jego dawna dziewczyna: przyjechała z innego miasta i nie miała się gdzie zatrzymać, no i jedno pociągnęło za sobą drugie. Ale Margie Tallworth odłożyła słuchawkę, zanim zdążył wygładzić swoją historię.

Helen zaczęła trochę więcej palić. Przez kilka dni obserwowała Garpa z niepokojem, a kiedyś nawet miała prawdziwe poczucie winy - kiedy się kochali; czuła się winna dlatego, że kochała się z nim nie z rzeczywistej potrzeby, tylko dlatego, żeby go uspokoić, o ile myślał, że coś jest nie w porządku.

Ale on nie myślał; w każdym razie niewiele. Czy raczej: pomyślał, raz, o siniakach z tyłu na szczupłych, twardych udach Helen; Garp mimo swojej siły był niesłychanie delikatny w obejściu z dziećmi i żoną. Jako zapaśnik znał też dobrze siniaki odcisnięte od palców. W dzień czy dwa później takie same malutkie siniaki zauważył z tyłu na ramionach Duncana, w miejscach, gdzie go trzymał, kiedy trenowali, uznał więc, że tych, których kocha, chwyta mocniej, niżby chciał, że siniaki Helen też są jego dziełem.

Był zbyt próżny, żeby uczucie zazdrości miało do niego łatwy dostęp. A imię, z którym na ustach obudził się kiedyś rano, jakoś mu uleciało z pamięci. W domu przestały się też pojawiać prace Michaela Milтона, które dawniej zajmowały Helen do późna w noc. Przeciwnie, kładła się coraz wcześniej; potrzebny był jej odpoczynek.

Co zaś do Helen, to polubiła nagie ostrze dźwigni biegów swojego Volvo; kiedy wracała wieczorem z pracy, ukłucie w dłoń wydawało jej się przyjemne, często przyduszała nawet dźwignię mocniej, aż do bólu. Wyciskało jej to z oczu łzy i Helen znów mogła czuć się czysta, kiedy wróci do domu i chłopcy pomachają jej z okna pokoju telewizyjnego, a w kuchni Garp oznajmi, co przygotował na kolację.

Przypuszczenie, że Margie Tallworth może coś wiedzieć, przerażało Helen, ponieważ mimo że zapowiedziała Michaelowi - i sobie - koniec w momencie, kiedy ktokolwiek się dowie, czuła już teraz, że zerwanie byłoby znacznie trudniejsze, niż to sobie na początku wyobrażała. Uściskała więc Garpa w jego kuchni pocieszając się naiwnością Margie Tallworth.

Istotnie Margie Tallworth była naiwna, ale akurat nie w sprawie romansu Michaela Milтона z Helen. W tym okazała się wyjątkowo bystra. Być może jej naiwność polegała na tym, że swoje płytkie zaślepienie w Michaelu brała za coś, co „przekraczało”, jakby się wyraziła, „sprawy seksu”, jednocześnie uważając, że Helen bawi się tylko Michaelem. W gruncie rzeczy bowiem Margie Tallworth „tarzała się”, jakby to również ona sama określiła, w seksie; trudno zresztą powiedzieć, na czym jeszcze mógł się opierać ich wzajemny stosunek. Nie myliła się jednak tak zupełnie przyjmując, że i związek Michaela Milтона z Helen do tego się w gruncie rzeczy sprowadza. Margie Tallworth mogła się mylić domyślając się zbyt wiele; a przynajmniej zbyt wiele w danym momencie, ale w tym przypadku jej domysły były uzasadnione.

Już bowiem wtedy, kiedy Michael Milton i Helen rzeczywiście tylko „dyskutowali nad jego pracą”, Margie uważała, że ze sobą sypiają. Margie Tallworth nie wierzyła, że stosunki z Michaeliem Miltonem mogą mieć jakikolwiek inny charakter. W tym jednym przypadku nie była naiwna. Przewidziała, jaki charakter ma ich znajomość, jeszcze zanim wiedziała to sama Helen.

Przez mroźną szybę okna damskiej toalety na trzecim piętrze Budynku Anglistyki i Literatury Margie mogła przeniknąć wzrokiem barwioną przednią szybę trzytonowego Buicka, kiedy odpływał z parkingu niby królewski sarkofag. A wewnątrz widać było wyciągnięte na długim przednim siedzeniu szczupłe nogi pani Garp. Trudno sobie wyobrazić, żeby można było wozić w ten sposób kogokolwiek poza najbardziej zażyłymi przyjaciółmi.

Margie znała ich obyczaje lepiej, niż mogła zrozumieć własne; chodziła na długie spacerunki, próbując zapomnieć Michaela Milтона i zapoznać się dokładnie z

otoczeniem domu Helen. Wkrótce zapoznała się również dokładnie ze zwyczajami jej męża, ponieważ były one znacznie bardziej stałe niż czyjekolwiek inne: rano dreptał po mieszkaniu z pokoju do pokoju; być może nie pracował. To pasowało do wyobrażeń Margie o typowym rogacz: nie pracujący mężczyzna. Około południa wybiegał z domu w sportowej odzieży; po kilku milach wracał i czytał pocztę, która zwykle przychodziła w jego nieobecności. A potem znów zaczynał dreptać po domu; w drodze pod prysznic rozbierał się po kawałku, po czym ubierał się niespiesznie. Jedno tylko nie pasowało do jej wizerunku rogacza: Garp miał wspaniałe ciało. I dlaczego spędzał tyle czasu w kuchni? Zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem bezrobotnym kuchaczem.

A potem wracały dzieci i to zupełnie łamało młode, wrażliwe serduszko Margie. Wyglądał tak sympatycznie, kiedy się bawił z malcami, co z kolei pasowało do jej wyobrażeń o tym, jaki powinien być rogacz - rogacz oddaje się niewinnym igraszkom z dziećmi, podczas kiedy jego żonę „dmucha” inny. „Dmucanie” również było słowem używanym przez zapaśników z otoczenia Garpa, nawet w dawnych czasach Steering. Zawsze któryś się przechwalał, jak to dmuchał wilgotnego rozdziawionego bobra.

Kiedy więc pewnego dnia Garp wyskoczył z domu ubrany po sportowemu, Margie odczekała tyle tylko, żeby zdążył się oddalić; podeszła wtedy do ganku z perfumowanym liścikiem, który zamierzała wrzucić do skrzynki. Wszystko obmyśliła bardzo starannie: miał przeczytać liścik i jeszcze zdążyć (oby!) ochłonać przed powrotem dzieci. Wyobrażała sobie, że tak się przyjmuje podobne wiadomości: nagle! Potem jakiś okres na ochłonięcie i można się spotkać z dziećmi. I tu była druga sprawa, w której Margie okazała naiwność.

Samo sformułowanie liściku sprawiło jej trudność. Margie nie była biegła w piśmie. Nie perfumowała go też specjalnie, po prostu każdy najmniejszy skrawek papieru znajdujący się w posiadaniu Margie Tallworth był perfumowany; gdyby się zastanowiła, doszłaby do wniosku, że perfumowany liścik nie jest w tych okolicznościach na miejscu, ale była to jedna z tych rzeczy, w których wyrażała się jej naiwność. Nawet jej szkolne wypracowania były perfumowane; kiedy Helen przeczytała jej pierwszą pracę z literatury porównawczej, wzdrygnęła się od samego zapachu.

Liścik Margie do Garpa brzmiał: „Pana żona jest zaangażowana z Michaeliem Miltonem”.

Margie Tallworth miała wyrosnąć na osobę mówiącą „odszedł”, zamiast umarł. Słowa „zaangażowana” w stosunku do Helen użyła z delikatności. Stała więc niepewnie na ganku Garpów z pachnącym listem w ręku, kiedy zaczęło padać.

Nic nie było w stanie przerwać Garpowi biegu tak gwałtownie jak deszcz. Wściekał się, kiedy przemoczył sobie buty sportowe. Mógł biegać w mróz, mógł biegać w śnieg, ale kiedy zaczynało padać, klnąc wracał do domu i gotował przez godzinę w kwaśnym humorze. Potem wkładał poncho i jechał autobusem do hali sportowej, tak żeby zdążyć na trening zapaśników. Po drodze odbierał Walta z przedszkola i brał go ze sobą na salę gimnastyczną; stamtąd dzwonił do domu, żeby sprawdzić, czy Duncan wrócił ze szkoły. Czasem instruował go w sprawach kulinarnych, jeśli coś się akurat gotowało, ale najczęściej ostrzegał go tylko co do jazdy rowerem i przepytował o numery telefonów różnych służb: czy Duncan wie, pod jaki numer zadzwonić w razie pożaru, wybuchu, włamania z bronią w ręku, zbrodni na ulicy?

Potem trenował, a po treningu szli z Waltem pod prysznic; w czasie kiedy ponownie dzwonił do domu, była już zwykle Helen, która po nich przyjeżdżała.

A więc Garp nie lubił deszczu i chociaż lubił zapasy, deszcz komplikował jego proste plany. Margie nie była zatem przygotowana na to, że nagle pojawi się za nią na ganku, wściekły i zdyszany.

- Aaach! - krzyknęła; ścisnęła w ręce swój perfumowany liścik tak mocno, jakby to była arteria główna jakiegoś zwierzęcia, a ona chciała zatamować krwotok.

- Halo - odezwał się Garp. Wyglądała dla niego na baby-sitter. Już od jakiegoś czasu nauczył się omijać baby-sitters. Uśmiechnął się do niej z czystej ciekawości - nic więcej.

- Aaa - powiedziała Margie Tallworth; zatkało ją. Garp spojrzał na zgnieciony list w jej ręku. Zamknęła oczy i wyciągnęła w jego stronę rękę, jakby wkładała ją w ogień.

O ile w pierwszej chwili wziął ją za jedną ze studentek Helen, która miała jakąś sprawę, o tyle teraz zupełnie co innego przyszło mu do głowy. Widział, że dziewczyna nie może mówić, i dostrzegł straszliwe zmieszanie, z jakim wręczała mu list. Doświadczenia Garpa dotyczące niemych kobiet, które wręczały z zakłopotaniem karteczki, ograniczały się do jamesjanek - stłumił więc w sobie gwałtowną falę gniewu, jaki go ogarnął na myśl o tym, że to następna obleśna jamesjanka pragnie mu się przedstawić. Czy może przyszła się nad nim poznać - nad samotnikiem, synem niezwyklej Jenny Fields?

„Hej, jestem Margie. Jestem jamesjanka" - brzmiałby jej idiotyczny tekst.

„Czy wiesz, kto to jest jamesjanka?"

Mało brakuje, pomyślał Garp, żeby się zorganizowały jak ci religijni debile, którzy podkładają ludziom pod drzwi swoje idiotyczne broszurki o Jezusie. Z obrzydzeniem pomyślał o tym, że ten ruch ogarnia już dziewczęta tak młode jak ta: jest za młoda, żeby wiedzieć, czy język będzie jej w życiu potrzebny, czy nie. Potrząsnął głową i gestem ręki oddalił list.

- Tak, wiem, wiem - powiedział. - I co z tego?

Na to biedna Margie Tallworth nie była przygotowana. Przyszła niby anioł zemsty wypełnić straszliwą misję - cóż za potworny był to dla niej ciężar! - przynosząc złe wieści, które jakoś trzeba mu było podać, a on już wiedział! I co więcej nic go to nawet nie obchodziło.

Przyciskała list oburącz do swoich ładnych, drżących piersiątek tak mocno, że niemal wycisnęła z niego - czy może z siebie - jeszcze trochę perfum. Fala jej młodzieńczego zapachu ogarnęła Garpa, który stał wpatrując się w nią.

- No więc co z tego, powiedziałem. Czy oczekujesz po mnie szacunku dla kogoś, kto sobie sam obcina język?

Margie wydusiła z siebie jedno słowo:

- Co? - Była już teraz przerażona. Teraz zrozumiała, dlaczego ten biedny bezrobotny człowiek cały dzień drepcze po domu: jest wariatem.

Garp usłyszał słowo wyraźnie; nie było to zdławione „Aaagfe" ani nawet krótkie „Aaa" - dźwięki charakterystyczne dla amputowanego języka - tylko pełne słowo.

- Co? - spytał.

- Co? - powtórzyła Margie.

Garp spojrział na list, który do siebie przyciskała.

- Możesz mówić?

- Oczywiście - wychrypiała.

- A to co takiego? - wskazał na list. Ale teraz już Margie bała się nie na żarty: zwariowany rogacz. Bóg jeden wie, co takiemu może strzelić do głowy. Może zamordować dzieci albo ją; robił wrażenie tak silnego, że mógłby jedną ręką zamordować nawet Michaela Milona. A każdy mężczyzna wygląda groźnie, kiedy tak przepytuje. Margie wycofała się poza ganek.

- Czekaj! - krzyknął Garp. - Czy ten list to do mnie? Co to takiego? Czy to coś dla Helen? Kto ty jesteś?

Margie Tallworth potrząsnęła głową.

- To pomyłka - wyszeptała i kiedy wykonała zwrot, żeby rzucić się do ucieczki, wpadła na przemoczonego listonosza, któremu wytrąciła torbę wysypując z niej wszystko, a następnie z powrotem na Garpa. Przypomniała tym Garpowi Dunę, stetryczalego niedźwiedzia, który zrzucił w Wiedniu listonosza ze schodów. Ale Margie Tallworth po prostu tylko przewróciła się na podłogę ganku drąc sobie pończochy i zdzierając skórę z kolana.

Listonosz, który uznał, że przyszedł nie w porę, szukał właśnie wśród rozsypanych listów poczty Garpa, ale Garpa interesował już tylko list, który mu przyniosła płacząca dziewczyna.

- Co to jest takiego? - spytał łagodnie; chciał ją podnieść, ale ona nie ruszała się z miejsca; nie przestawała szlochać.

- Przepraszam - powiedziała. Straciła całą odwagę; o minutę za długo była tu z Garpem i teraz, kiedy poczuła do niego sympatię, nie mogła sobie wyobrazić, że mu wręcza tę wiadomość.

- Z tym kolanem nie jest tak źle - powiedział Garp - ale może by je przemyć. - Wszedł do domu po jakiś środek dezynfekcyjny i bandaż, ale Margie skorzystała z okazji i odeszła kulejąc. Nie śmiałyby mu spojrzeć w oczy przynosząc takie wieści, ale zarazem nie mogła mu ich oszczędzić. Zostawiła list. Listonosz patrzył, jak kuśtyka boczną uliczką na róg, gdzie był przystanek autobusowy; przez moment zastanawiał się, co się u tych Garpów dzieje. Dostawali też więcej listów niż inne rodziny.

Były to w większości odpowiedzi biednego Johna Wolfa na listy, którymi zasypywał go Garp, a poza tym egzemplarze książek do recenzowania. Trafiały do Helen, która je przynajmniej czytała. Były pisma dla Kelen; Garpowi wydawało się, że jest ich strasznie dużo. I dwa pisma prenumerowane przez Garpa: „Smakosz” i „Wiadomości Zapaśnika Amatora”. No i oczywiście rachunki. I dość częste listy od Jenny; to jedyne, co ostatnio pisywała. I od czasu do czasu krótki, uroczy list od Erniego Holma.

Czasami pisywał do nich obojga Harry Fletcher i Alice - tylko do Garpa - z niezwykłą potocznością, dosłownie o niczym.

A teraz wśród normalnej poczty był jeszcze liścik, pachnący perfumami i mokry od łez. Garp odłożył butelkę ze środkiem dezynfekcyjnym i bandaż; nie zawracał sobie więcej głowy dziewczyną. Wziął do ręki zmięty list domyślając się mniej więcej o co chodzi.

Zastanawiał się, dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej, skoro tak wiele na to wskazywało; teraz kiedy już mu to przyszło do głowy, zdał sobie sprawę, że właściwie myślał już o tym, ale pewnie nie całkiem świadomie. Wolno, ostrożnie rozprostowywany list szeleścił jesienią, chociaż dokoła Garpa panował zimny marzec, a skrzywdzona ziemia dopiero rozmarzała zamieniając się w błoto. Mały liścik trzeszczał jak kości, kiedy go Garp otwierał. Wraz z ulatującym zapachem perfum uderzyło w niego krótkie, ostre jak szczeknięcie „Co?” dziewczyny.

Wiedział co; nie wiedział tylko z kim - nie znał tego nazwiska, które pewnego ranka chodziło mu po głowie, a potem uciekło. W liście naturalnie znajdzie nazwisko: Michael Milton. Brzmieniem przypominało Garpowi jakiś nowy specjalny gatunek lodów z lodziarni, do której zabierał chłopców. Piramida Porzeczkowa, Czekoladowa Czara, Mała Mokka i Michael Milton. Obrzydliwe nazwisko - Garp czuł niesmak - wdeptał więc pachnący zjadliwie list w otwór kanału ściekowego, podarł i strzępy wepchnął przez kratkę. Następnie wszedł do domu i zaczął w kółko odczytywać to nazwisko w książce telefonicznej.

Wydało mu się teraz, że Helen jest już od dłuższego czasu „zaangażowana”; odniósł wrażenie, że i on wie już o tym od dawna. Ale co za nazwisko! Michael Milton! Garp sklasyfikował go w rozmowie z Helen na przyjęciu, na którym przedstawiono mu Michaela Milтона. Powiedział, że to „mydłek”; omawiali wtedy jego wąsy. Michael Milton! Garp odczytywał to nazwisko tyle razy, że kiedy Duncan wrócił ze szkoły, w dalszym ciągu ślęczał nad książką telefoniczną; chłopak uznał, że ojciec znów poszukuje swoich zmyślonych ludzi.

- Nie odebrałeś jeszcze Walta? - spytał.

Garp zupełnie zapomniał. Walt jest zaziębiony, pomyślał. W tej sytuacji tym bardziej nie powinien na mnie czekać.

- Chodź, razem po niego pójdziemy - powiedział. Ku zdumieniu Duncana wyrzucił książkę telefoniczną do pojemnika na śmieci. Po czym poszli na przystanek autobusowy.

Garp był w dalszym ciągu ubrany jak do biegania i w dalszym ciągu padało; Duncanowi to też wydało się dziwne, ale nie powiedział ani słowa.

- Tata, strzeliłem dzisiaj dwa gole. - Z jakichś względów u Duncana w szkole nie grało się w nic innego poza piłką nożną; przez całą jesień, zimę i wiosnę - tylko nożną. Szkoła była mała, ale istniało jeszcze inne uzasadnienie dla całej tej piłki nożnej; Garp zapomniał jakie. Tak czy siak nigdy mu się ono nie podobało. - Dwa gole

- powtórzył Duncan.

- To wspaniale - powiedział Garp.

- Jeden to była główka.

- Twoja? - spytał Garp. - To wspaniale.

- Ralph mi idealnie podał.

- Ja i tak uważam, że to wspaniale - rzekł Garp. - Brawo dla Ralpa. - Objął Duncana ramieniem, ale wiedział, że Duncan byłby zakłopotany, gdyby usiłował go pocałować. To Walt pozwala mi się całować, pomyślał. A potem pomyślał o całowaniu Helen i mało nie wpadł pod autobus.

- Tata! - krzyknął Duncan, a w autobusie spytał ojca: - Dobrze się czujesz?

- Jasne - odparł Garp.

- Myślałem, że będziesz na sali zapasniczej - powiedział Duncan. - Przecież pada.

Z przedszkola Walta był dobry widok na drugą stronę rzeki i Garp usiłował zlokalizować adres Michaela Milтона, który zapamiętał z książki telefonicznej.

- Gdzie byłeś? - jęczał Walt. Kasłał, lało mu się z nosa; miał wypieki. Był przyzwyczajony, że zawsze, kiedy padało, chodzili trenować zapasy.

- Dlaczego wszyscy razem nie pójdziemy do sali zapasniczej, skoro już jesteśmy w śródmieściu? - zapytał Duncan; stawał się coraz bardziej logiczny, ale Garp powiedział, że nie, dziś nie ma ochoty na zapasy. - Dlaczego? - chciał wiedzieć Duncan.

- Bo jest ubrany do biegania, głupku - wyjaśnił mu Walt.

- Zamknij się, Walt! - warknął Duncan. Właściwie cały czas poszturchiwali się w autobusie, dopóki Garp im nie kazał przestać. Walt jest chory, tłumaczył im, i jak się będą bili, to mu się pogorszy.

- Wcale nie jestem chory - stawiał się Walt.

- Owszem, jesteś - powiedział Garp.

- Owszem, jesteś - drażnił się z nim Duncan.

- Spokój, Duncan - skarcił go Garp.

- Rany, ale masz humor. - Garp miał ochotę pocałować Duncana; chciał go uspokoić, że wcale nie jest w takim złym humorze, ale wiedział, że całowanie go krępuje, więc zamiast niego pocałował Walta.

- Tata - powiedział z wyrzutem Walt - cały jesteś mokry i spocony.

- Bo jest ubrany do biegania, głupku - odgryzł się Duncan.

- On na mnie mówi głupek - poskarżył się Garpowi Walt.

- Słyszałem.

- Ja wcale nie jestem głupek.

- Owszem, jesteś - powiedział Duncan.

- Macie się obaj w tej chwili uspokoić - polecił im Garp. - Tata jest w fajnym humorku, no nie, Walt - zwrócił się Duncan do Walta.

- Aha. - Zdecydowali, że zamiast się kłócić między sobą, podroczą się z ojcem, aż do chwili kiedy autobus zatrzymał się o kilka przecznic od domu w gęstniejącym deszczu. Wszyscy trzej byli kompletnie przemoczeni i mieli jeszcze kawałek drogi, kiedy jadący z nadmierną szybkością samochód zwolnił nagle na ich widok. Po chwili szamotania okno zostało opuszczone i w zaparowanym wnętrzu Garp dostrzegł znużoną błyszczącą twarz pani Ralph. Uśmiechnęła się do nich.

- Widziałeś może Ralpa? - zwróciła się do Duncana.

- Nie - odparł Duncan.

- Ten głupi debil włóczy się gdzieś po deszczu - powiedziała. - Tak samo jak i pan zresztą - dodała słodko pod adresem Garpa; uśmiechała się w dalszym ciągu i Garp usiłował odwzajemnić ten uśmiech, ale zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Musiał niezbyt dobrze panować nad swoim wyrazem twarzy - w przeciwnym razie pani Ralph nie pominęłaby okazji, żeby się z nim poprzekomarzać w deszczu. Zamiast tego spojrzała nagle wstrząśnięta niesamowitym uśmiechem Garpa; zakręciła okno.

- Do zobaczenia! - zawołała i odjechała. Powoli.

- Do zobaczenia - wymamrotał Garp; podziwiał tę kobietę, ale pomyślał, że i ten koszmar w końcu przeminie: że rzeczywiście zobaczy panią Ralph.

Po przyjeździe do domu zrobił Waltowi gorącą kąpiel - często korzystał z tego pretekstu, żeby samemu wśliznąć się do wanny i tam potrenować z malcem zapasy; z Duncanem już się nie mieścił w wannie.

- Co jest dziś na kolację? - zawołał na górę Duncan.

Garp uprzytomnił sobie, że zupełnie zapomniał o kolacji.

- Zapomniałem o kolacji! - krzyknął.

- Ty zapomniałeś? - zdziwił się Walt, ale Garp przewrócił go w wodzie i zaczął łaskotać, a Walt broniąc się zapomniał o jedzeniu.

- Ty zapomniałeś o kolacji?! - wrzasnął z dołu Duncan. Garp zdecydował, że nie wyjdzie z wanny. Cały czas dolewał gorącej wody; uważał, że parówka dobrze robi Waltowi na płuca. Będzie tak długo trzymał dzieciaka w kąpieli, jak długo małemu nie

znudzi się zabawa.

Kiedy przyszła Helen, w dalszym ciągu siedzieli w wodzie.

- Tata zapomniał o kolacji - zameldował jej natychmiast Duncan.

- Zapomniał o kolacji?

- Zupełnie zapomniał.

- A gdzie on jest? - spytała Helen.

- Kąpie się razem z Waltem - wyjaśnił Duncan. - Całymi godzinami.

- O Boże! - jęknęła Helen. - Może się potopili.

- Pewnie byłabyś zachwycona! - wrzasnął Garp z łazienki.

Duncan wybuchnął śmiechem.

- Jest w kijowym humorze - poinformował matkę.

- Widzę - Helen położyła mu łagodnie rękę na ramieniu, uważając jednak, żeby nie dać mu odczuć, że szuka w nim oparcia. Nagle wydało jej się, że traci równowagę. Stojąc niepewnie u stóp schodów zawołała do Garpa: - Miałeś dziś zły dzień?!

Ale Garp dał nurka pod wodę. Był to akt samokontroli: czuł do niej w tej chwili wielką nienawiść, a nie chciał, żeby to Walt zobaczył czy usłyszał.

Ponieważ nie było odpowiedzi, Helen mocniej ścisnęła ramię Duncana. Tylko nie przy dzieciach, pomyślała. Znalazła się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji - w pozycji defensywnej i konfliktowej w stosunku do Garpa - i napawało ją to lękiem.

- Czy mam przyjść? - zawołała.

W dalszym ciągu nie było odpowiedzi; Garp potrafił na długo wstrzymać oddech. Walt odkrzyknął:

- Tata jest pod wodą!

- Tata jest niesamowity - stwierdził Duncan.

Garp wystawił głowę, żeby zaczerpnąć tchu, właśnie w momencie, kiedy Walt wrzasnął po raz drugi:

- Tata wstrzymuje oddech!

Mam nadzieję, pomyślała Helen. Nie wiedziała, co robić, nie była w stanie się ruszyć.

Po chwili Garp szepnął do Walta:

- Powiedz jej, że ja w dalszym ciągu jestem pod wodą. Okay?

Walt musiał uznać, że to wspianiały dowcip, bo zawołał do Helen:

- Tata jest w dalszym ciągu pod wodą!

- Rany - powiedział Duncan. - Musimy mu zmierzyć czas. To chyba będzie

rekord.

Ale Helen ogarnęła panika. Duncan wysunął się spod jej ręki i ruszył na górę, żeby być świadkiem tego rekordu we wstrzymywaniu oddechu, i Helen poczuła, że nogi się pod nią uginają.

- Jest w dalszym ciągu pod wodą! - powtórzył Walt, mimo że Garp wycierał go już ręcznikiem i nawet zaczął spuszczać wodę z wanny; stali razem nago na macie przed dużym lustrem. Kiedy Duncan wszedł do łazienki, Garp położył palec na ustach.

- Teraz powiedzcie to razem - wyszeptał. - Jak policzę do trzech: „On jest w dalszym ciągu...”! No, raz, dwa, trzy.

- On jest w dalszym ciągu pod wodą! - Duncan i Walt ryknęli razem i Helen wydało się, że to jej mają pęknąć płuca. Miała wrażenie, że słyszy swój krzyk, ale nie wydała żadnego dźwięku, pognąła więc na górę myśląc po drodze, że to tylko jej mąż mógł wykoncypować podobną intrygę, żeby jej odplącić: utopić się na oczach dzieci pozostawiając ją wobec konieczności wyjaśnienia im, dlaczego to zrobił.

Wbiegła z płaczem do łazienki, wprawiając Walta i Duncana w takie zdumienie, że musiała się natychmiast opanować - żeby ich nie przerazić. Garp stał nago przy lustrze wycierając sobie powoli między palcami i obserwując ją w sposób, w jaki - pamiętała - Ernie Holm uczył swoich zapaśników wypatrywać dogodnego momentu do ataku.

- Spóźniłaś się. Ja już nie żyję. Ale to mimo wszystko wzruszające i trochę dziwne, że jednak ci zależy.

- Pogadamy o tym później, zgoda? - powiedziała z nadzieją i uśmiechem, jakby to był dobry kawał.

- Ale cię oszukaliśmy - Walt szturchnął Helen w wystającą kość biodrową.

- Rany, jakbyśmy tobie zrobili taki numer - zwrócił się Duncan do ojca - to byś był na nas wkurzony.

- Dzieci nic nie jadły - powiedziała Helen.

- Nikt nic nie jadł - odparł Garp. - Chyba że ty.

- Ja mogę poczekać.

- Ja też - zapewnił ją Garp.

- Zrobię coś dzieciom - zaofiarowała się Helen wypychając Walta z łazienki. - Na pewno są jakieś jajka i płatki.

- Na kolację? - zdziwił się Duncan. - O, to będzie chyba jakaś wystawna kolacja.

- Po prostu zapomniałem, Duncan - tłumaczył się Garp.

- Ja chcę grzanekę - zażądał Walt.

- Możesz dostać i grzanekę - zapewniła go Helen.

- Czy jesteś pewna, że dasz sobie z tym radę? - zapytał Garp.

Helen skwitowała to po prostu uśmiechem.

- Rany, to nawet ja bym sobie poradził z grzankami - rzekł Duncan. - A z płatkami to chyba i Walt.

- Ale jajka są podstępne - Helen próbowała się roześmiać. Garp w dalszym ciągu wycierał sobie między palcami. Kiedy dzieci wyszły już z łazienki, Helen wsadziła głowę i powiedziała:

- Przepraszam i bardzo cię kocham. - Ale Garp nie podniósł nawet oczu i dalej manipulował metodycznie rącznikami. - Nie chciałam ci w żadnym razie zrobić przykrości - dodała. - W jaki sposób się dowiedziałeś? Ani na chwilę nie przestałam o tobie myśleć. Czy to ta dziewczyna? - spytała szeptem, ale Garp był całkowicie zajęty swoimi palcami.

Kiedy już przygotowała jedzenie dla dzieci (jakby to były psy albo koty, pomyślała później), wróciła do niego na górę. Zastała go w dalszym ciągu przed lustrem, siedział nago na brzegu wanny.

- On nie myślał nic złego. Nigdy niczego ci nie zabrał - powiedziała. - I wszystko już jest skończone. Naprawdę.

- Od kiedy?

- Od teraz - odparła. - Muszę mu tylko o tym powiedzieć.

- Nie mów mu. Niech sam się domyśli.

- Nie mogę tego zrobić.

- W moim jajku jest skorupka! - wrzasnął z dołu Walt.

- A moja grzanka jest przypalona! - dodał Duncan. Spiskowali wspólnie, żeby odwrócić uwagę rodziców od siebie nawzajem, obojętnie, czy robili to świadomie, czy nie. Dzieci, pomyślał Garp, mają jakiś szczególny instynkt, jeśli chodzi o rozdzielanie rodziców akurat wtedy, kiedy powinni być rozdzieleni.

- Zjedz ją! - zawołała Helen. - Nie jest taka zła. Próbowała dotknąć Garpa, ale prześliznął się obok niej, wymknął z łazienki i zaczął się ubierać.

- Zjedzcie, to was zabiorę do kina! - zawołał do dzieci.

- Po co to robisz? - spytała Helen.

- Nie mam zamiaru tu z tobą siedzieć. Wychodzimy. A ty zadzwoń do tego głupiego mydłka i powiedz mu do widzenia.

- Ale on będzie się chciał ze mną zobaczyć - powiedziała Helen głucho.

Perspektywa zerwania teraz, kiedy Garp dowiedział się o wszystkim, podziałała na nią jak nowokaina. O ile na początku bardzo ją obchodziło, do jakiego stopnia zrobiła Garpowi przykrość, o tyle teraz jej uczucia dla niego powoli tępiały i Helen znów zaczęła myśleć o sobie.

- Niech się zagryzie. Powiedz mu, że się z nim nie zobaczysz. Żadnych pożegnalnych sztosów, Helen. Po prostu powiedz mu do widzenia. Przez telefon.

- Kto mówi o „pożegnalnych sztosach”?

- Załatw to przez telefon - nalegał Garp. - Ja zabieram dzieci z domu. Idziemy na film. I proszę cię, żebyś to załatwiła do naszego powrotu. Więcej się z nim nie zobaczysz.

- Nie zobaczę się, obiecuję ci. Ale powinnam. Tylko raz - żeby mu to powiedzieć.

- Przypuszczam, że uważasz, że załatwiłaś to wszystko bardzo przyzwoicie - powiedział Garp.

Helen dokładnie właśnie tak uważała; nie odezwała się słowem. Uważała, że pozwalając sobie, ani na chwilę nie straciła z oczu Garpa i dzieci; uważała, że ma moralne prawo rozegrać teraz tę sprawę po swojemu.

- Powinniśmy porozmawiać o tym później. Kiedy nabierzemy do tego dystansu.

Garp uderzyłby ją z pewnością, gdyby w tym momencie nie wpadły do pokoju dzieci.

- Raz, dwa, trzy - Duncan wyliczył Waltowi.

- Płatki są stęchłe! - wyrecytowali chórem.

- Spokój, chłopcy! - powiedziała Helen. - Mamy z tatą małe nieporozumienie. Bardzo was proszę, idźcie na dół.

Malcy gapili się na nią bez słowa.

- Proszę was - Garp odwrócił się do nich tyłem, żeby nie zobaczyli, że płacze, ale Duncan i tak się zorientował, no i oczywiście zorientowała się Helen. Walt najprawdopodobniej nie złapał, o co chodzi.

- Nieporozumienie? - spytał.

- Chodź - Duncan wziął go za rękę i wyprowadził z sypialni. - Chodź, Walt, bo nie pójdziemy do kina.

- Ja chcę do kina! - zaczął krzyczeć mały.

Ku swojemu przerażeniu Garp zorientował się, w jakich okolicznościach

chłopcy wychodzili z pokoju: kiedy Duncan sprowadzał Walta po schodach, malec cały czas oglądał się za siebie i machał ręką, ale Duncan ciągnął go na siłę. Zniknęli na dole w schronie przeciwbombowym. Garp ukrył twarz w ubraniu i płakał.

Kiedy Helen go dotknęła, powiedział:

- Nie dotykaj mnie. - Płakał dalej. Helen zamknęła drzwi sypialni.

- Daj spokój - prosiła go. - On nie jest tego wart. To nie było nic ważnego. Po prostu było mi z nim przyjemnie - próbowała mu tłumaczyć, ale Garp potrząsnął tylko gwałtownie głową i rzucił w nią gatkami. W dalszym ciągu był tylko do połowy ubrany - sytuacja, stwierdziła Helen, chyba najbardziej kompromitująca dla mężczyzny: kiedy nie jest ani jednym, ani drugim. Do połowy ubrana kobieta ma w sobie jakąś siłę; mężczyzna nie jest ani tak przystojny, jak wtedy kiedy jest nagi, ani tak bezpieczny, jak wtedy kiedy jest ubrany. - Proszę cię, ubierz się - szepnęła wręczając mu kalesony. Garp wziął je, wciągnął i płakał dalej.

- Zrobię dokładnie to, co chcesz - zapewniła go.

- Nie zobaczysz się z nim więcej?

- Nie, ani razu - obiecała. - Nigdy w życiu.

- Walt jest zaziębiony. Nie powinien właściwie wychodzić z domu, ale w kinie nic mu się nie stanie. A zresztą nie wrócimy późno - dodał. - Idź zobacz, czy jest dostatecznie ciepło ubrany. - Poszła.

Otworzył górną szufladę z jej bielizną; wyciągnął szufladę i zagłębił twarz w cudownej pachnącej jedwabistości - jak niedźwiedź trzymający w łapach wielkie, pełne żarcia koryto, zatracił się w niej całkowicie. Kiedy Helen wróciła do sypialni, poczuła się tak, jakby go złapała na masturbacji. Zawstydzony, z rozmachem spuścił szufladę i połamał ją na kolanie; bielizna Helen fruwała wszędzie dokoła. Uniósł roztrzaskaną szufladę nad głowę i grzmotnął nią o brzeg komody, jak gdyby łamał kręgosłup jakiemuś zwierzęciu. Helen wybiegła z pokoju, a Garp dokończył ubierania.

Zobaczył zupełnie niezłe zjedzoną kolację Duncana na talerzu Duncana; zobaczył nie zjedzoną kolację Walta na talerzu Walta i w różnych miejscach na stole i podłodze.

- Jak nie będziesz jadł, Walt, to wyrośniesz na mydłko.

- Ja nie wyrosnę na nic - zaprotestował Walt.

Wprawilo to Garpa w takie przerażenie, że obrócił się gwałtownie do malca, aż go przestraszył.

- Żebyś nigdy czegoś podobnego nie mówił.

- Ale ja nie chcę urosnąć - bronił się Walt.

- Rozumiem - Garp zmiękł. - Chciałbyś zawsze być dzieckiem?

- Aha.

- Walt jest niesamowity - oświadczył Duncan.

- Wcale nie jestem! - krzyknął Walt.

- Owszem, jesteś.

- Idźcie do samochodu - polecił im Garp - i przestańcie się kłócić.

- To wyście się kłócili - powiedział Duncan, ostrożnie; nikt na to nie zareagował i Duncan wyciągnął Walta z kuchni. - Chodź.

- Ja chcę do kina! - upierał się Walt. Wyszli. Garp powiedział do Helen:

- Ale żebyś się nie ważyła go tu przyprowadzać. Jeśli go wpuścisz do domu, nie wyjdzie stąd żywy. I ty masz nie wychodzić. Pod żadnym pozorem. Proszę cię - dodał i musiał się odwrócić.

- Kochanie - rzekła Helen.

- Taki kretyn! - wymamrotał Garp.

- Przecież to nie mógł być nikt taki jak ty, czy ty tego nie rozumiesz? To mógł być jedynie ktoś zupełnie do ciebie niepodobny.

Garp pomyślał o baby-sitters, o Alice Fletcher i o swoim niewytłumaczalnym pociągu do pani Ralph - oczywiście wiedział, co Helen ma na myśli; wyszedł. Było już ciemno i padało; niewykluczone, że deszcz zamarźnie. Błoto na podjeździe, jeszcze mokre, zdążyło stwardnieć. Zawrócił, a następnie, z przyzwyczajenia, wyprowadził samochód na najwyższy punkt podjazdu i wyłączył silnik i światła. Volvo potoczyło się w dół, ale Garp znał krzywiznę podjazdu na pamięć. Dzieci były podniecone odgłosem, jaki w gęstniejącej ciemności wydawał żwir i śliskie blocko i kiedy Garp odpuścił na samym dole sprzęgło i zapalił światło, obaj chłopcy - i Duncan, i Walt - wydawali okrzyki radości.

- Na jaki film idziemy? - zapytał Duncan.

- Na jaki chcecie - odparł Garp. Pojechali do śródmieścia, żeby obejrzeć plakaty.

W samochodzie było zimno i wilgotno i Walt kasłał; przednia szyba bez przerwy zachodziła mgłą, więc nie mogli się zorientować, co grają w kinach. Walt i Duncan kłócili się cały czas, który z nich ma stać w przerwie między tylnymi siedzeniami; z jakichś względów chłopcy uważali to miejsce za najlepsze i zawsze toczyli boje o to, który będzie tam stał czy klęczał spychając tego drugiego i trącając

Garpa w łokieć, ilekroć używał dźwigni biegów.

- Wynoście się stamtąd obaj - polecił im Garp.

- To jest jedyne miejsce, z którego coś widać - powiedział Duncan.

- Ja jestem jedyną osobą, która potrzebuje coś widzieć. A ten odmrażacz jest całkowicie do kitu, więc i tak nikt nic nie widzi przez przednią szybę.

- Dlaczego nie napiszesz do firmy Volvo? - zapytał Duncan.

Garp usiłował wyobrazić sobie list do Szwecji na temat niedoskonałości systemu rozmrażania szyby, ale nie był w stanie poświęcić temu problemowi wiele czasu. Z tyłu Duncan ukląkł na nodze Waltowi i wypchnął go z przerwy między siedzeniami; teraz już Walt i płakał, i kasłał.

- Ja pierwszy zająłem to miejsce - powiedział Duncan.

Garp energicznie zmienił bieg i koniec obnażonej dźwigni wbil mu się w rękę.

- Widzisz to, Duncan? - rzekł ze złością. - Widzisz tę dźwignię biegów? Jest jak włócznia. Chcesz się na to nadziać, jak nagle zahamuję?

- To dlaczego jej nie zreperujesz? - zapytał Duncan.

- Wyłaź stamtąd w tej chwili! - krzyknął Garp.

- Ale ta dźwignia biegów jest już taka od miesiący - powiedział Duncan.

- Od tygodni, to może - odparł Garp.

- Jeśli jest niebezpieczna, to powinienes ją zreperować - upierał się Duncan.

- To sprawa mamy.

- A ona mówi, że twoja - odezwał się Walt.

- Jak z twoim kaszlem, Walt? - zapytał Garp.

Walt zakasłał. Mokre rżenie w jego małej piersi wydawało się za duże dla dziecka.

- Jezu - powiedział Duncan.

- Ładne rzeczy, Walt - rzekł Garp.

- To nie moja wina - bronił się mały.

- Oczywiście, że nie twoja.

- Owszem, jego - wtrącił się Duncan. - Walt połowę życia spędza w kałużach.

- A właśnie, że nie!

- Duncan, rozejrzyj się za jakimś interesującym filmem - polecił mu Garp.

- Nic nie zobaczę, jeżeli nie ukląknę między siedzeniami - rzekł Duncan.

Jeździli w kółko. Wszystkie kina były w tej samej okolicy, ale musieli objechać je kilka razy, żeby wybrać film, a potem jeszcze kilka, żeby znaleźć miejsce do

zaparkowania.

Dzieci uparły się przy jedynym kinie, do którego była kolejka, wychodząca spod markizy aż na ulicę, na której zaczął marznąć deszcz. Garp zarzucił Waltowi na głowę swoją kurtkę: mały przypominał nędznie ubranego żebraka, przemoczonego karła, który wykorzystuje brzydką pogodę, żeby wzbudzić litość. Natychmiast włożył kałużę i przemoczył sobie nogi; Garp wziął go na ręce i przytknął mu ucho do piersi. Jak gdyby sobie wyobrażał, że woda z butów przeciekła mu natychmiast do małych płuc.

- Jesteś niesamowity, tata - powiedział Duncan.

Walt zauważył dziwny samochód, który szybko przejechał mokrą ulicą, rozchlapując jasne kałuże ukazał się w odbitym świetle neonów: był to duży, ciemny samochód w kolorze zakrzepłej krwi. Po bokach miał jasne drewniane listwy, które lśniły w blasku lamp ulicznych. Listwy wyglądały jak żebra długiego oświetlonego szkieletu jakiejś ogromnej ryby przemykającej się w świetle księżyca.

- Popatrzcie na ten samochód! - krzyknął Walt.

- To na pewno karawan - orzekł Duncan.

- Nie, Duncan, to stary Buick - wyjaśnił mu Garp - z czasów, kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie.

Buick, którego Duncan wziął za karawan, udawał się właśnie do domu Garpa, mimo że Helen zrobiła wszystko, by zniechęcić do tego Michaela Milтона.

- Nie mogę się z tobą zobaczyć - powiedziała mu przez telefon. - Po prostu. Koniec z nami, dokładnie tak jak ci mówiłam, że będzie, jak tylko on się dowie. Nie mam zamiaru sprawiać mu już więcej przykrości.

- No dobrze, a co ze mną? - spytał Michael.

- Bardzo mi przykro - rzekła Helen. - Ale wiedziałeś. Oboje wiedzieliśmy.

- Ale ja się chcę z tobą zobaczyć - upierał się.

- Może jutro?

Helen wyjaśniła mu jednak, że Garp wziął dzieci do kina tylko po to, żeby zakończyła z nim sprawę zaraz.

- Przyjeżdżam - powiedział.

- Tylko nie tutaj - zaprotestowała. - Przejedziemy się samochodem.

- Ale mnie nie wolno wyjść z domu - broniła się Helen.

- Przyjeżdżam - powtórzył Michael i odłożył słuchawkę.

Spojrzała na zegarek. Wszystko będzie w porządku, pomyślała; jeśli tylko zdoła

się go szybko pozbyć. Film trwa ostatecznie półtorej godziny. Zdecydowała, że w razie czego nie wpuści go do domu. Pod żadnym pozorem. Wypatrywała świateł zbliżającego się podjazdem samochodu i kiedy Buick się zatrzymał - dokładnie przed garażem, jak wielki statek zakotwiczony w ciemnej przystani - wybiegła z domu i oparła się o drzwi po stronie kierowcy, zanim Michael Milton zdążył je otworzyć.

Deszcz zamieniał się u jej stóp w gęstawą marznącą breję, a lodowate krople marzły po drodze, kłując ją w gołą szyję, kiedy się schyliła, żeby porozmawiać z Michaeliem przez opuszczone okno.

Pocałował ją natychmiast. Usiłowała musnąć wargami jego policzek, ale odwrócił jej twarz i na siłę wepchnął język do ust. Stała jej przed oczyma jego banalna sypialnia z wiszącą nad łóżkiem wielką niby plakat reprodukcją „Sindbada żeglarza” Paula Klee. Przypuszczała, że tak właśnie Michael Milton widzi siebie: jako kolorową postać, awanturnika, wrażliwego na uroki Europy.

Odsunęła się od niego i poczuła, jak zimny deszcz przenika jej bluzkę na wylot.

- Nie możemy tak po prostu przestać - powiedział żałośnie.

Helen nie wiedziała, czy to, co lśniło na jego twarzy, to był deszcz zacinający przez otwarte okno, czy łzy. Ku jej zdumieniu zgolił wąsy i jego górna warga przypominała trochę wydętą, nie w pełni rozwiniętą wargę dziecka - małą wargę Walta, która wydawała się rozkoszna u chłopca, ale zupełnie nie odpowiadała wyobrażeniom Helen o wargach kochanka.

- Co zrobiłeś z wąsami? - spytała.

- Wydawało mi się, że ci się nie podobały - odparł. - Zrobiłem to dla ciebie.

- Ależ one mi się podobały - powiedziała Helen i zadygotała w lodowatym deszczu.

- Wsiądź chociaż do samochodu.

Potrząsnęła głową; bluzka przylgnęła do jej zimnej skóry, a długa sztruksowa spódnica była ciężka jak koleczuga; wysokie buty ślizgały jej się w marznącym bloku.

- Nigdzie cię nie wywożę - obiecał. - Posiedzimy tylko tu w samochodzie. Nie możemy tak po prostu przestać - powtórzył.

- Wiedzieliśmy, że będziemy musieli. Wiedzieliśmy, że to sprawa na bardzo krótko.

Głowa Michaela opadła na lśniący krąg klaksonu; ale nie rozległ się żaden dźwięk, silnik wielkiego Buicka był wyłączony. Deszcz zaczął zamarzać na szybach - samochód powoli pokrywał się lodem.

- Proszę cię, wsiądź - jęknął Michael Milton. - Nie mam zamiaru rozstawać się z tobą tutaj - dodał ostro. - Ja się go nie boję. Nie muszę robić tego, co on sobie życzy.

- Ale ja sobie też tego życzę - powiedziała Helen. - Musisz odejść.

- Nie mam zamiaru - upierał się. - Ja wiem o twoim mężu. Wiem o nim wszystko.

Nigdy nie rozmawiali o Garpie; Helen sobie to zastrzegła. Nie wiedziała, co Michael ma na myśli.

- Jest kiepskim pisarzem - powiedział odważnie.

Zrobiła zdziwioną minę; o ile wiedziała, Michael Milton nigdy nie czytał Garpa. Kiedyś jej powiedział, że nie czytuje pisarzy żyjących. Twierdził, że ceni sobie perspektywę, dystans, jaki się zyskuje tylko po wielu latach od śmierci autora. Całe szczęście, że Garp nie wiedział tego o Michaelu Miltonie, wzmogłoby to jedynie jego pogardę dla niego. Wzmogło to w pewnym stopniu rozczarowanie Helen w stosunku do nieszczęsnego Michaela.

- Mój mąż jest bardzo dobrym pisarzem - powiedziała cicho i wstrząsnął nią tak gwałtowny dreszcz, że splecione ręce opadły jej na boki i musiała je ponownie spleść na piersi.

- W każdym razie nie należy do pisarzy znaczących - oświadczył Michael. - Tak w każdym razie twierdzi Higgins. Musisz sobie chyba zdawać sprawę z tego, co myślą o twoim mężu na wydziale.

Higgins był szczególnie ekscentrycznym i kłopotliwym kolegą, który potrafił być jednocześnie nudny i gapowaty w sposób graniczący z ospałością. Helen nie uważała, żeby jego opinię należało traktować poważnie; po prostu jak wielu jej kolegów, którzy czuli się niezbyt pewnie, miał zwyczaj plotkować ze starszymi studentami na temat innych pracowników dydaktycznych; może uważał, że w ten rozpaczliwy sposób pozyska sobie słuchaczy.

- Nie sadyłam, że na wydziale w ogóle cokolwiek myślą o Garpie - rzekła Helen chłodno - Większość nie czyta nic współczesnego.

- I to są ci, co twierdzą, że on jest kiepski - powiedział Michael Milton.

Nacechowane rywalizacją i patetyczne stanowisko chłopaka nie usposobiło Helen do niego dobrze; odwróciła się, żeby iść do domu.

- Ja się stad nie ruszę! - krzyknął. - Spotkam się z nim i porozmawiam o nas! I to zaraz. Nie będzie nam mówił, co mamy robić.

- Ja ci mówię, co masz robić, Michel - powiedziała Helen. Opadł na klakson i

zaczął płakać. Podeszła i przez okno dotknęła jego ramienia.

- Posiedzę tu z tobą przez chwilkę. Ale musisz mi obiecać, że odjedziesz. Nie chcę, żeby on i moje dzieci byli świadkami tej sceny.

Obiecał.

- Daj mi kluczyki - zażądała. Jego nieszczęśliwa i pełna urazy mina - że mu nie ufa - wzruszyła Helen od nowa. Włożyła kluczyki do głębokiej kieszeni z klapą i obeszła samochód, żeby wsiąść od strony pasażera. Podkreślił szybę i siedzieli, nie dotykając się nawzajem; okna zachodziły mgłą, samochód trzeszczał pod powłoką lodu.

I wtedy Michael Milton załamał się zupełnie i powiedział jej, że znaczy dla niego znacznie więcej niż cała Francja - a ona oczywiście wiedziała, czym była dla niego Francja. Objęła go więc przerażona myśląc o tym, ile czasu minęło, czy też mija, w oblodzonym samochodzie. Nawet gdyby to nie był długi film, to i tak jeszcze mieli dobre pół godziny czy czterdzieści pięć minut, ale Michaelowi nawet się nie śniło odjeżdżać. Pocałowała go, mocno, łudząc się, że to pomoże, ale w odpowiedzi zaczął jedynie pieścić jej mokre, zimne piersi. Wydawała mu się cała tak lodowata, jak kiedy stała w marznącym deszczu, ale przynajmniej pozwoliła mu się dotykać.

- Michael, kochanie - powiedziała cały czas myśląc.

- Jak możemy tak po prostu przestać? - To było wszystko, na co potrafił się zdobyć.

Ale Helen już przestała; teraz myślała tylko, co zrobić, żeby przestał i on. Zepchnęła go na miejsce kierowcy i położyła się na długim siedzeniu obciągając spódnicę tak, żeby przykryć nogi, i kładąc mu głowę na kolanach.

- Proszę cię, pamiętaj - powiedziała. - Proszę cię, spróbuj. Dla mnie to było najprzyjemniejsze, jak mnie po prostu wiozłeś samochodem, a ja wiedziałam, dokąd jedziemy. Czy nie możesz być z tym szczęśliwy? Zachować wspomnienia i dać wreszcie spokój?

Siedział sztywny za kierownicą, usiłując trzymać na niej obie ręce, z udami napiętymi pod jej głową, twardym członkiem napierając na jej ucho.

- Michael, proszę cię, spróbuj dać temu po prostu spokój - mówiła miękko. Trwali w tej pozycji przez chwilę wyobrażając sobie, że stary Buick znów ich wiezie do jego mieszkania. Ale Michaelowi Miltonowi nie wystarczały wyobrażenia. Jedną ręką zabłądził ku szyi Helen, którą mocno ujął z tyłu, drugą rozpiął rozporek.

- Michael! - powiedziała ostro.

- Mówiłaś, że zawsze tak chciałaś - przypomniał jej.

- Ale to już jest koniec, Michael.

- Nie, jeszcze nie koniec. - Członkiem muskał jej czoło, wywijał rzęsy - Helen poznała dawnego Michaela ze spotkań u niego w mieszkaniu, Michaela, który od czasu do czasu pozwalał sobie na odrobinę wulgarności. Nie miała na to w tej chwili ochoty. Ale jeśli zacznę się opierać, pomyślała, dojdzie do sceny. Wystarczyło, że wyobraziła sobie Garpa biorącego w niej udział, żeby zrozumieć, że nie może dopuścić do żadnej sceny, obojętne, jakim kosztem.

- Nie bądź chamem, Michael - powiedziała - nie bądź kutasem. Nie psuj wszystkiego.

- Zawsze mówiłaś, że byś tak chciała - powiedział. - Ale twierdziłaś, że to niebezpieczne. Teraz jest bezpieczne. Samochód stoi. Teraz nie będzie żadnego wypadku.

Ze zdziwieniem stwierdziła nagle, że Michael ułatwia jej sytuację. Już jej nie zależało, żeby zerwać z nim łagodnie; była mu wdzięczna, że wymógł na niej siłą ustalenie skali wartości. A w tej skali na pierwszym miejscu, jak stwierdziła z ogromną ulgą, plasował się Garp z dziećmi. Walt nie powinien wychodzić z domu w taką pogodę, pomyślała wstrząsając się. A Garp był dla niej bardziej znaczący niż wszyscy razem kiepscy koledzy i starsi studenci.

Michael Milton ukazał jej się z całą swoją, jak to oceniła, konieczną wulgarnością. Odessij go - pomyślała bez ogródek biorąc go do ust - wtedy sobie pójdzie. Pomyślała z goryczą, że mężczyzna, jak już się spuści, dość skwapliwie odstępkuje od swoich żądań. A z nielicznych doświadczeń w mieszkaniu Michaela wiedziała również, że nie zajmie im to zbyt wiele czasu.

Bo czas nie był bez znaczenia dla jej decyzji; zostało im jeszcze ze dwadzieścia minut do końca nawet najkrótszego filmu. Nastawiła się na to, że jeszcze tyle jej zostało do zakończenia przykrew sprawy, która mogłaby przyjąć lepszy, ale i gorszy obrót. Poczula się nawet trochę dumna: ostatecznie dowiodła sobie, że rodzinę stawia na pierwszym miejscu. Nawet Garp by to docenił, pomyślała, ale kiedyś, nie w tej chwili.

Była tak zdeterminowana, że nawet nie zauważyła, jak Michael rozluźnił swój uścisk na jej szyi. Obydwie ręce trzymał teraz znów na kierownicy, jakby prowadził tę akcję. Niech sobie myśli, co chce - przeleciało jej przez głowę. Ona w każdym razie myślała o swojej rodzinie; przegapiła nawet moment, kiedy marznąca mżawka

przeszła niemal w gradobicie; lodowe kulki stukały w wielkiego Buicka jak niezliczone młoteczki wbijające niewidzialne gwoźdźniki. Nie zdawała sobie też sprawy, że stary samochód jęczy i trzeszczy pod swoim coraz grubszym lodowym grobowcem.

I nie słyszała telefonu, który dzwonił w jej ciepłym domu. Zbyt wiele różnych przeszkód, na czele z pogodą, piętrzyło się pomiędzy jej domem a miejscem, w którym leżała.

Film był głupi. Typowy dla dziecięcych upodobań - pomyślał Garp; typowy dla upodobań miasta uniwersyteckiego. Typowy dla całego kraju. Typowy dla świata! Garp wściekał się w duszy i coraz więcej uwagi poświęcał trudnemu oddechowi Walta i gęstym świecom w jego małym nosku.

- Uważaj, żebyś się nie zakrztusił tą kukurydzą - upomniął go szeptem.

- Nie zakrztuszę się - odparł Walt nie spuszczać oczu z wielkiego ekranu.

- Masz kłopoty z oddychaniem - jęczał Garp. - Więc nie bierz na raz za dużo do buzi. Może ci wpaść do tchawicy. Widać, że zupełnie nie oddychasz nosem. - I znów wyjął chustkę. - Dmuchnij. - Walt dmuchnęła.

- Fantastyczne, co? - szepnęła Duncan. Garp poczuł przez chustkę, jak gorąca jest wydzielina Walta. Mały musi mieć blisko 38 stopni gorączki! - pomyślał. Przewrócił oczyma w stronę Duncana.

- Tak, fantastyczne - rzucił. Duncan miał oczywiście na myśli film.

- Tata, powinieneś sobie dać na luz - powiedział Duncan kiwając głową. Och, jasne, że powinienem, Garp wiedział, ale nie mógł. Myślał o Walcie, o tym, jaką ma małą, zgrabną pupkę i małe, silne nogi i jak rozkosznie pachnie jego pot, kiedy skończy bieg i ma włosy mokre za uszami. Tak idealne ciało nie powinno być chore - rozpamiętywał. Niechby sobie Helen wyszła z domu w taki koszmary wieczór; trzeba jej było powiedzieć, żeby zadzwoniła do tego chłystka z pracy i powiedziała mu, żeby sobie włożył do ucha. Albo w kontakt. I włączył prąd!

Sam powinienem zadzwonić do tego dupka - pomyślał. - Powinienem mu złożyć wizytę w środku nocy. Kiedy szedł między rzędami krzeseł, żeby sprawdzić, czy w hallu jest telefon, cały czas słyszał za sobą kasłanie Walta.

Jeżeli się z nim do tej pory nie porozumiała - myślał - powiem jej, żeby nie próbowała; że teraz kolej na mnie. Jego uczucie dla Helen osiągnęło punkt, w którym czuł się zdradzony, ale jednocześnie uczciwie kochany i ważny dla niej; miał za mało czasu, żeby się zastanawiać, w jakim stopniu czuje się zdradzony albo w jakim

stopniu, tak naprawdę, Helen stara się o nim myśleć. Był to newralgiczny punkt pomiędzy nienawiścią a żarliwą miłością do Helen. Poza tym był pełen zrozumienia dla jej pragnień; ostatecznie wiedział, że sam nie jest bez winy. Wydawało mu się nawet niesprawiedliwe, że Helen, która zawsze miała takie dobre intencje, mogła tak wpaść; była przyzwoitą kobietą i z pewnością zasługiwała na coś lepszego. Ale kiedy stwierdził, że telefon w domu nie odpowiada, ten delikatny punkt w jego uczuciach do Helen jakoś mu umknął. Odczuwał jedynie wściekłość i zdradę.

Kurwa - myślał. Telefon dzwonił i dzwonił.

Wyszła, żeby się z nim spotkać. A może nawet robią to u nas w domu! - zadreślał się; słyszał niemal, jak mówią: „Jeden jedyny ostatni raz”. Ten nędzny gnojek ze swoimi pretensjonalnymi opowiadaniem na temat kruchych związków, które rozpoczynały się w kiepsko oświetlonych europejskich restauracjach. (Na przykład ktoś włożył nie tę rękawiczkę i moment został stracony na zawsze; było opowiadanie, w którym kobieta decyduje się powiedzieć „nie”, ponieważ mężczyzna ma za ciasny kołnierzyk.)

Jak Helen mogła czytać te bzdury! Jak mogła dotykać tego mięczaka!

- Ale przecież nie obejrzelśmy nawet połowy filmu - zaprotestował Duncan. - Teraz będzie pojedynek.

- Ja chce obejrzeć pojedynek - powiedział Walt. - A co to jest pojedynek?

- Wychodzimy - oznajmił Garp.

- Nie - syknął Duncan.

- Walt jest chory - wymamrotał Garp. - Nie powinien tu siedzieć.

- Wcale nie jestem chory - upierał się Walt.

- W każdym razie nie jest aż tak bardzo chory - powiedział Duncan.

- No już, wstawajcie! - Garp musiał złapać Duncana za przód koszuli, co sprawiło, że Walt wstał pierwszy i potykając się wyszedł pomiędzy krzesła. Duncan, urągając, powlókł się za nim.

- Co to jest pojedynek? - dopytywał się Walt.

- To jest coś fajowego. Już tego nigdy nie zobaczysz.

- Uspokój się, Duncan - upomniął go Garp. - Nie bądź wstrętny.

- To ty jesteś wstrętny - odgryzł się Duncan.

- Tak, tata - potwierdził Walt.

Volvo stało skute lodem; przednią szybę miało zupełnie nieprzezroczystą. Gdzieś tam w bagażniku powinny być jakieś skrobaczki, połamane miotelki do śniegu

czy tym podobne graty. Ale do marca przez całą zimę większość tego sprzętu musiała się już zużyć albo po prostu dzieci wzięły go do zabawy i pogubiły. A zresztą Garp i tak nie miał zamiaru tracić czasu na czyszczenie przedniej szyby.

- Przecież nic nie będziesz widział - zwrócił mu uwagę Duncan.

- Mieszkam tu tyle lat - odparł Garp - mogę nic nie widzieć.

W końcu jednak musiał odkręcić okno, wytknąć głowę na marznący deszcz i tak jechać do domu.

- Zimno! - Walt dygotał. - Zamknij okno!

- Musi być otwarte, żebym coś widział - odparł Garp.

- Myślałem, że możesz nic nie widzieć - wtrącił się Duncan.

- Jest mi strasznie zimno! - krzyknął Walt. Zakasłał demonstracyjnie.

Ale to wszystko, w pojęciu Garpa, była wina Helen. Ona odpowiadała za dolegliwości Walta wynikłe z zaziębienia czy za to, że mu się pogarszało: jej wina. Że Duncan miał żal za niewybaczalne zachowanie ojca, który złapał go za hals i podniósł z siedzenia - za to wszystko ona jest odpowiedzialna. Ta suka z tym swoim gnojkiem.

Ale w tym momencie w jego oczach wystawionych na zimny wiatr i deszcz pojawiły się łzy i Garp pomyślał, jak bardzo jednak kocha Helen i że już nigdy jej nie zdradzi, nigdy nie sprawi jej takiej przykrości, może jej to obiecać.

W tym samym momencie Helen poczuła, że ma czyste sumienie. Jej miłość do Garpa była bardzo wzniosła. Czowała, że Michael Milton zbliża się do spełnienia; zdradzał znane objawy - kąt nachylenia w pasie i szczególny sposób uniesienia bioder; napięcie mięśni po wewnętrznej stronie ud. przydatnych do mało czego więcej. Zaraz będzie koniec - pomyślała. Nosem dotykała zimnej mosiężnej klamry jego paska, tyłem głowy uderzała w kierownicę, którą Michael trzymał kurczowo, jakby oczekiwał, że trzytonowy Buick lada chwila wzniesie się w górę.

Garp osiągnął najniższy punkt podjazdu prowadząc z szybkością około czterdziestu mil na godzinę. Zjechał ze wzniesienia na trzecim biegu i dodał gazu w momencie, kiedy wyjeżdżał z zagłębienia; mignęła mu oblodzona nawierzchnia, pokryta marznącą chlupą, i przestraszył się na chwilę, że na krótkim zakręcie pod górę Volvo może wpaść w poślizg. Nie redukował biegu, dopóki się nie upewnił, w jakim stopniu koła trzymają się jezdnii. Stwierdził, że w wystarczającym, i dopiero wtedy przełożył ostro zakończoną dźwignię biegów na luz; było to na sekundę przed wyłączeniem silnika i zgaszeniem reflektorów. Wjechali w czarną zasłonę deszczu. Mieli wrażenie, że siedzą w samolocie odrywającym się od pasa startowego; obaj

chłopcy wykrzyknęli w podnieceniu. Garp czuł, jak przy jego łokciu cisną się do ulubionego miejsca w przerwie między siedzeniami.

- Ciekawe, jak widzisz teraz? - zapytał Duncan.

- On może nic nie widzieć - odparł Walt. Piskliwa nuta w jego głosie świadczyła o tym, że uspokaja samego siebie.

- Znam drogę na pamięć - zapewnił go Garp.

- To jest zupełnie tak, jakby się było pod wodą! - wykrzyknął Duncan; wstrzymał oddech.

- Zupełnie jak we śnie - powiedział Walt; sięgnął po rękę brata.

Rozdział XIV

Świat według Marka Aureliusza

W ten sposób doszło do tego, że Jenny Fields znów została pielęgniarką; po tylu latach pielęgnowania ruchu kobiecego, zawsze w swoim białym stroju, była stosownie ubrana do tej roli. Na jej wniosek rodzina Garpów przeniosła się do posiadłości Fieldsów w Dog's Head Harbor. Było tam dużo pokoi, w których mogła się nimi zajmować, i kojący szum morza, z falą przyprływu i odpływu, która zmywała wszystko do czysta.

Przez całe życie szum morza miał się kojarzyć Duncanowi z rekonwalescencją. Babka zdejmowała mu bandażę i regularnie przemywała dziurę, w której kiedyś było prawe oko. Ojciec i matka nie mogli znieść widoku pustego oczodołu, ale Jenny miała wprawę w zmuszaniu ran siłą wzroku do gojenia się. Również w obecności babki Duncan miał po raz pierwszy zobaczyć swoje szklane oko.

- Widzisz? - powiedziała Jenny. - Jest duże i brązowe. Nie takie ładne jak twoje lewe, ale ustawiaj się zawsze tak, żeby dziewczyny widziały najpierw tamto. - Sama uznała, że to dziwny punkt widzenia jak na feministkę, ale zawsze twierdziła, że przede wszystkim jest pielęgniarką.

Duncan stracił oko w momencie, kiedy rzuciło go do przodu z miejsca pomiędzy tylnymi siedzeniami; ostro zakończona dźwignia biegów była pierwszą rzeczą, na której się zatrzymał. Garp sięgnął do tyłu, ale jego prawe ramię spóźniło się nieco; Duncan przeleciał pod nim, wybijając sobie oko i łamiąc trzy palce prawej ręki, która uwięzła mu w mechanizmie zwalniającym pasy bezpieczeństwa.

Volvo nie mogło mieć większej szybkości niż dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści mil na godzinę, ale siła zderzenia była zdumiewająca. Trzytonowy Buick nie ruszył się nawet o cal pod wpływem uderzenia nadjeżdżającego z wyłączonym silnikiem, samochodu Garpa. Wewnątrz Volvo w chwili zderzenia dzieci przypominały jajka, które wypadły z pojemnika telepią się luźno po torbie na zakupy. Nawet w Buicku wstrząs miał niebywałą gwałtowność.

Helen poleciała głową do przodu, ledwie omijając kolumnę kierownicy, na którą nadziała się karkiem. Dzieci zapaśników mają na ogół twarde karki - kark Helen wytrzymał więc, ale przez sześć tygodni bez mała nosiła kołnierz ortopedyczny i już do

końca życia miała dolegliwości. Złamała natomiast prawy obojczyk, prawdopodobnie na skutek ciosu zadanego przez Michaela Milтона uniesionym gwałtownie kolanem, a poza tym rozwaliła sobie, przypuszczalnie o jego klamrę od paska, grzbiet nosa, który wymagał dziewięciu szwów. Zamknęła przy tym usta z taką siłą, że wyłamała sobie dwa zęby, a na język trzeba jej było założyć dwa szwy.

W pierwszej chwili pomyślała, że odgryzła sobie język: czuła, że coś jej pływa w pełnych krwi ustach; ale tak strasznie bolała ją głowa, że nie śmiała otworzyć ust aż do momentu, kiedy musiała zaczerpnąć tchu; poza tym nie mogła ruszyć prawą ręką. Na lewą dłoń wypluła więc to, co uważała za odgryziony koniec języka. Nie był to język oczywiście. Było to mniej więcej trzy czwarte członka Michaela Milтона.

Ciepła fala krwi, która zalała jej twarz, wydała się Helen benzyną, zaczęła więc krzyczeć - nie ze strachu o siebie, tylko o Garpa i dzieci. Wiedziała, co uderzyło w Buicka. Próbowała podnieść się z kolan Michaela, żeby zobaczyć, co się stało z jej rodziną. Upuściła na podłogę to, co w dalszym ciągu uważała za swój język, i zdrową ręką zdzieliła Michaela Milтона, który kolanami przyciskał ją do kolumny kierownicy. Dopiero wtedy usłyszała inne krzyki poza swoim. Michael też naturalnie wrzeszczał, ale Helen wyteżęła słuch w kierunku Volvo. Była pewna, że słyszy Duncana, sięgnęła więc lewą ręką poprzez skrwawione kolana Michaela do klamki. Kiedy zdołała otworzyć drzwi, wypchnęła go po prostu z samochodu: czuła w sobie potężną siłę. Michael nie zmienił swojej siedzącej wyprostowanej pozycji; leżał na boku w marznęcej chłapie, jak gdyby w dalszym ciągu znajdował się za kierownicą, chociaż ryczał i krwawił jak wół.

Kiedy w wielkim Buicku zapaliło się światło przy drzwiach, Garp mgliście zobaczył jatkę we własnym samochodzie - skrwawioną twarz Duncana, rozdartą osłupiałym szlochem. Garp też zaczął ryczeć, ale jego ryk wydawał się nie głośniejszy niż kwilenie; własny głos, taki dziwny, przeraził go do tego stopnia, że usiłował przemówić cicho do Duncana. Wtedy właśnie dokonał odkrycia, że nie może mówić.

Kiedy Garp wyciągnął do tyłu ramię, żeby zatrzymać Duncana, obrócił się na siedzeniu niemal bokiem i uderzył twarzą w kierownicę na tyle silnie, że złamał sobie szczękę i pokiereszował język (dwanaście szwów). Podczas długich tygodni jego rekonwalescencji Jenny bardzo się przydały bogate doświadczenia z jamesjankami, ponieważ Garp miał zdrutowane szczęki i porozumiewał się z matką głównie drogą korespondencyjną. Czasami pisał na maszynie całe stronicy, które Jenny potem odczytywała Duncanowi, bo chociaż chłopak umiał czytać, to jednak lekarz zalecił mu

oszczędzanie pozostałego oka. W swoim czasie to oko miało przejąć funkcję tamtego utraconego, ale Garp chciał mu zakomunikować wiele pilnych rzeczy, a nie miał jak. Kiedy się zorientował, że matka redaguje jego komunikaty na użytek Duncana i Helen (do której też pisywał całe strony), mruczał przez swoje druty na znak niezadowolenia starając się nie ruszać obolałym językiem. A wtedy Jenny Fields, jak przystało na dobrą pielęgniarkę, bardzo słusznie przeniosła go do osobnego pokoju.

- To jest szpital Dog's Head Harbor - powiedziała kiedyś Helen do Jenny. Mimo że mogła mówić, prawie nie korzystała z tej możliwości, odzywała się rzadko; nie miała do powiedzenia całych stron. Większość czasu spędzała w pokoju Duncana czytając chłopcu, ponieważ robiła to znacznie lepiej niż Jenny, a poza tym miała na języku zaledwie dwa szwy. W tym okresie rekonwalescencji Jenny lepiej radziła sobie z Garpem niż Helen.

Helen i Duncan często siadywali obok siebie w pokoju Duncana. Chłopiec miał stąd wspaniały jednooki widok na morze, które obserwował przez cały dzień, jakby był kamerą. Przyzwyczać się do posiadania jednego oka to tyle, co przyzwyczać się do oglądania świata przez kamerę; problemy są podobne - jeśli chodzi o głębię obrazu i ostrość. Kiedy Duncan był gotów na to odkrycie, Helen kupiła mu aparat fotograficzny - jednoobiektywową lustrzanekę; ten rodzaj aparatu najlepiej się dla niego nadawał.

To właśnie w tym okresie, Duncan Garp wspominał, po raz, pierwszy przyszło mu do głowy, że zostanie artystą: malarzem i fotografikiem; miał wtedy niespełna jedenaście lat. I chociaż był wysportowany, to jednak upośledzenie wzroku napełniło go rezerwą (jak i jego ojca) do wszelkich sportów z piłką. Nawet przy bieganiu, twierdził, przeszkadzał mu brak widzenia przestrzennego; skarżył się, że jest przez to nieporadny. To, że Duncan nie lubił również zapasów, dobiło Garpa ostatecznie. Duncan mówił kategoriami aparatu fotograficznego - zwierzył się ojcu, że jednym z jego problemów, jeśli chodzi o głębię ostrości, jest niemożność ocenienia odległości maty.

- Kiedy walczę - powiedział - czuję się tak, jakbym schodził ze schodów po ciemku. Nie wiem, kiedy jestem na dole, dopóki tego nie poczuję. - Garp doszedł do wniosku, że na skutek wypadku Duncan stracił poczucie bezpieczeństwa w sporcie, ale Helen zwróciła mu uwagę, że zawsze odznaczał się pewną nieśmiałością i rezerwą, mimo że był w sporcie dobry i wyraźnie sprawny ruchowo, wołał się nie angażować. Z całą pewnością nie miał energii Walta, który był nieustraszony, który rzucał się w

każdą nową sytuację z ufnością, wdziękiem i odwagą. Z nich wszystkich, powiedziała Helen, jeden Walt był prawdziwym sportowcem. Po pewnym czasie Garp przyznał jej rację.

- Helen często ma rację - powiedziała mu Jenny pewnej nocy w Dog's Head Harbor. Kontekst tej uwagi był praktycznie obojętny, ale zdarzyło się to wkrótce po wypadku, ponieważ Duncan miał swój pokój, Helen miała swój, Garp miał swój, i tak dalej.

Helen ma często rację, powiedziała mu matka, ale Garp był zły i napisał: „Nie tym razem, mamó”, mając prawdopodobnie na myśli Michaela Milтона. Mając na myśli całą tę sprawę.

Helen zrezygnowała z pracy nie wyłącznie z powodu Michaela Milтона. Wielki szpital Jenny położony nad morzem, jak oboje mieli go z czasem nazywać w myślach, pozwolił im oderwać się od niemiłej swojskości własnego domu i tamtego podjazdu.

Według wydziałowego kodeksu etycznego „deprawacja moralna” jest uważana za jedną z podstaw do cofnięcia etatu, jakkolwiek nigdy sprawa taka nie stała na porządku dziennym; sypiania ze studentami nie traktowano zbyt surowo. Mógł to być pretekst, dla którego odmówiono komuś z pracowników dydaktycznych etatu; nie zdarzyło się jednak, żeby z tego tytułu etat cofnięto. Helen mogła uważać, że odgryzienie studentowi trzech czwartych penisa musi zajmować dość wysokie miejsce w skali wykroczeń przeciwko kodeksowi etycznemu. Sypianie ze studentami było po prostu faktem, chociaż niemiłe widzianym; istniały jednak znacznie poważniejsze kryteria oceny studentów i sklasyfikowania ich raz na zawsze. Ale amputowanie genitaliów to z pewnością coś okrutnego, nawet gdyby chodziło o złego studenta, i Helen najwyraźniej odczuwała potrzebę wymierzenia sobie kary. Zrezygnowała z przyjemności kontynuowania zajęcia, do którego przygotowała się tak dobrze, i z aury podniecenia, w jakiej odbywało się czytanie i dyskusowanie książek. W późniejszym życiu miała sobie oszczędzić wiele przykrości przez odrzucanie poczucia winy; w późniejszym życiu cała sprawa z Michaelem Miltonem raczej ją złościła, niż zasmucała - Helen była bowiem dostatecznie silna, żeby wierzyć, że jest dobrą kobietą, jaką w rzeczywistości była, która zmuszona została do cierpienia niewspółmiernie wielkiego w stosunku do tak drobnego uchybienia.

Ale, przynajmniej na razie, Helen miała leczyć siebie i swoją rodzinę. Zawsze bez matki, z nikłą szansą wykorzystania Jenny w tym charakterze, poddała się

hospitalizacji w Dog's Head Harbor. Szukała uspokojenia w pielęgnowaniu Duncana, mając jednocześnie nadzieję, że Jenny weźmie na siebie pielęgnowanie Garpa.

Aura szpitalna nie była dla Garpa niczym nowym. Jego najwcześniejsze doświadczenia - ze strachem, marzeniami i seksem - powstawały właśnie w atmosferze infirmerii starej szkoły Steering. Adaptował się. Pomagał mu w tym fakt, że pisał wszystko, co miał do powiedzenia, a to go zmuszało do ostrożności; do przemyślenia rzeczy, które chciałby powiedzieć. Kiedy je widział na papierze - te swoje surowe myśli - dochodził do wniosku, że nie może lub nie powinien ich wyrażać; rewidując je zmieniał często zdanie i wyrzucał kartki. Jedna z nich, skierowana do Helen, brzmiała na przykład tak: „Trzy czwarte to za mało”. Wyrzucił ją.

Następnie napisał do Helen inną kartkę, której nie wyrzucił: „Nie mam do ciebie żalu”.

I jeszcze jedną: „Ani do siebie”.

„Tylko w ten sposób możemy pozostać razem” - napisał Garp do matki.

Jenny Fields, ubrana na biało, dreptała po słono-wilgotnym domu, z pokoju do pokoju, obnosząc swoje pielęgniarские zwyczaje i listy Garpa. A było to wszystko, co w tym okresie pisał.

Oczywiście dom w Dog's Head Harbor był przyzwyczajony do rekonwalescentów. Tu przychodziły do siebie okaleczone kobiety Jenny; przesycone zapachem morza pokoje miały za sobą historie najróżniejszych przewyciężonych smutków. Wśród nich smutków Roberty Muldoon, która mieszkała tu z Jenny w najtrudniejszym dla siebie okresie zmiany płci. Prawdę powiedziawszy, okazało się, że Roberta nie potrafi żyć sama, nie potrafiła też żyć z różnymi mężczyznami i kiedy Garpowie wprowadzali się do Jenny, znów mieszkała w Dog's Head Harbor.

Z wiosną, kiedy pocieplało i dziura, która była kiedyś prawym okiem Duncana, zagoiła się powoli i przestała być tak wrażliwa na ostre ziarnka piachu, Roberta zaczęła zabierać Duncana na plażę. To właśnie na plaży przy rzucaniu piłki Duncan zdał sobie sprawę ze swoich problemów z głębią ostrości - Roberta Muldoon bowiem usiłowała grać z nim w piłkę i bardzo prędko doszło do tego, że dostał futbolówka w twarz. Dali więc spokój piłce i Roberta zabawiała Duncana rysując mu na piasku diagramy wszystkich swoich rozgrywek z czasów, kiedy grała w obronie filadelfijskich Orłów; skoncentrowała się na tej części ataku, który dotyczył jej, kiedy była Robertem Muldcon, zawodnikiem Nr 90. Odtwarzała swoje podania, z których zdobyto punkty,

zgubione piłki, rzuty karne, najbardziej agresywne starcia.

- Byłam przeciwko Kowbojom - wyjaśniła Duncanowi. - Graliśmy w Dallas, kiedy ta gadzina - wszyscy go nazywali Ośmiojajeczny - zaskoczył mnie od ślepej strony. - I wtedy Roberta spoglądała na milczące dziecko, które do końca życia miało mieć ślepa stronę, i zręcznie zmieniała temat.

Dla Garpa takim tematem, jeśli chodziło o Robertę, były wstydlive szczegóły jej zmiany płci, ponieważ Garpa to wyraźnie interesowało i Roberta zdawała sobie sprawę, że chętnie by posłuchał o problemie tak odległym od jego własnych.

- Zawsze wiedziałam, że powinnam być dziewczyną - zwierzyła mu się kiedyś. - Marzyłam o tym, żeby to robić z mężczyzną, ale w tych marzeniach zawsze byłam kobietą. Nigdy mężczyzną, który to robi z drugim mężczyzną. - W uwagach Roberty dotyczących homoseksualistów wyczuwało się coś więcej niż lekki niesmak i Garpowi wydało się dziwne, że ktoś będący w trakcie podejmowania decyzji, która na całe życie miała go zaliczyć do mniejszości, może być tak nietolerancyjny w stosunku do innych mniejszości. Nawet kiedy narzekała na inne kobiety, które w kłopotach przybywały do Dog's Head Harbor wydobrzeć przy Jenny Fields, była w tym jakaś złośliwość. - Te cholerne lesbije - mówiła do Garpa. - Chcą wrobić twoją matkę w coś, czym nie jest.

- Czasami wydaje mi się, że mamie o to chodzi - droczył się z nią Garp. - Uszczęśliwiać ludzi w ten sposób, żeby myśleli, że jest czymś, czym nie jest.

- Chciały i mnie zawrócić w głowie - powiedziała Roberta. - Kiedy przygotowywałam się do operacji, usiłowały mnie od tego odwieść. „Zostań pedałem”, mówiły. „Jeśli lubisz chłopów, to możesz ich mieć i tak. Jak zostaniesz kobietą, będą cię wykorzystywać”, tłumaczyły mi. One wszystkie były tchórzami - zakończyła Roberta, ale Garp pomyślał ze smutkiem, że jednak jest bez przerwy wykorzystywana.

Porywczność Roberty nie była zjawiskiem odosobnionym; Garp zastanawiał się, jak te podopieczne matki z Dog's Head Harbor, same ofiary nietolerancji, mogą być - w każdym razie większość spośród tych, które poznał - tak bardzo nietolerancyjne, szczególnie wobec siebie nawzajem. Przede wszystkim nie miały dla niego sensu ich ustawiczne rozgrywki i Garp podziwiał matkę za to, jak potrafiła je sortować i uszczęśliwiać, trzymać poza wzajemnym zasięgiem. Robert Muldoon, Garp wiedział, spędził przed operacją kilka miesięcy przebrany za kobietę. Rano wychodził jako Robert Muldoon; wyprawiał się na zakupy damskiej garderoby i mało kto wiedział, że za zmianę płci płacił pieniędzmi pochodzącymi z honorariów za pogadanki, jakie wygłaszał w klubach chłopięcych i męskich. Wieczorami w Dog's Head Harbor

demonstrował swoje nowe stroje przed Jenny i krytycznymi kobietami, które z nią mieszkały. Kiedy pod wpływem estrogenów urosły mu piersi i cała sylwetka, byłego obrońcy drużyny futbolowej zaczęła się zmieniać w sposób zasadniczy, Robert zaprzestał pogadank i zaczął wychodzić z domu w Dog's Head Harbor w damsko-męskich ubraniach i dość tradycyjnych perukach; próbował być Robertą na długo przed poddaniem się operacji. Obecnie, w sensie klinicznym, Roberta miała takie same genitalia i wyposażenie urologiczne jak większość kobiet.

- Ale oczywiście o ciąży nie ma mowy - zwierzyła się Garpowi. - Nie mam owulacji ani menstruacji. - Miliony kobiet nie mają, uspakajała ją Jenny Fields. - Czy wiesz, co jeszcze powiedziała mi twoja matka, kiedy wróciłam do domu ze szpitala?

Garp potrząsnął głową; wiedział, że „dom” dla Roberty to Dog's Head Harbor.

- Powiedziała mi, że jestem mniej dwuznaczna seksualnie niż większość ludzi, których znała. A to mi naprawdę było potrzebne, ponieważ musiałam używać przez cały czas tego koszmarnego rozwieracza, żeby mi pochwa nie zarosła. Czułam się jak maszyna.

„Pocziwa mama” - pisał Garp.

- W tym, co piszesz, jest tyle życzliwości dla ludzi - powiedziała mu nagle Roberta. - Ale nie widzę tej życzliwości w tobie, w twoim prawdziwym życiu. - O to samo oskarżała go zawsze Jenny.

Ale teraz, Garp czuł, miał tej życzliwości więcej. Ze szczękami zdrutowanymi, z żoną, która nosiła rękę na temblaku, i synem, który tylko połowę swojej ładnej buzi zachował nie tkniętą. Garp czuł się bardziej wielkoduszny w stosunku do innych nieszczęśników, którzy trafiali do Dog's Head Harbor.

Była to miejscowość letniskowa. Poza sezonem kryty zbiełałym gontem dom, ze swoimi gankami i poddaszami, był jedynym zamieszkanym domostwem położonym wzdłuż linii szarozielonych wydm i białej plaży na końcu Bulwaru Nadmorskiego. Od czasu do czasu jakiś pies obwąchał białe jak kość wyrzucone przez morze kawałki drewna czy jacyś emerycy mieszkający w odległości wielu mil w głębi lądu, w swoich dawnych letnich domach, spacerowali brzegiem morza przyglądając się muszelkom. Latem na plaży było pełno psów i dzieci z opiekunkami i zawsze jakaś jedna czy dwie kolorowe łodzie na przystani. Ale kiedy Garpowie wprowadzili się do Jenny, wybrzeże świeciło pustkami. Plaża, upstrzona wyrzuconym przez wysoką zimową falę śmieciem, była bezludna - Atlantyk w kwietniu i w maju miał niebieskawy kolor siniaka - jak nos Helen.

Nie w sezonie nowych przybyszów łatwo dostrzegano w mieście i identyfikowano jako zbłąkane kobiety poszukujące sławnej pielęgniarki Jenny Fields. Latem te same kobiety musiały nieraz stracić cały dzień, nim spotkały kogoś, kto wiedział, gdzie Jenny mieszka. Ale stali mieszkańcy Dog's Head Harbor wiedzieli wszyscy.

- Ostatni dom przy końcu Bulwaru Nadmorskiego - wyjaśniali skrzywdzonym dziewczynom i kobietom, które pytały o drogę. - Jest wielki jak hotel, kochanie. Nie możesz go nie zauważyć.

Czasami te kobiety wlokły się najpierw na plażę i długo przyglądały domowi, zanim zdobyły się na odwagę, żeby sprawdzić, czy zastały Jenny; Garp widywał je, jak po dwie czy trzy siedziały przycupnięte wśród wietrznych wydm i obserwowały dom, usiłując niejako ocenić stopień panującej w nim życzliwości. Jeśli było ich więcej, naradzały się na plaży - wybierały wtedy jedną, która miała zapukać do drzwi, podczas gdy pozostałe, zbite w gromadkę, czekały jak psy, żeby je zawołano.

Helen kupiła Duncanowi teleskop i ze swojego pokoju z widokiem na morze śledził niespokojne, drżące przybyszki często anonsując je na wiele godzin przedtem, nim zapukały.

- Ktoś do babci - oznajmiał wtedy wyostrając stale i wyostrając obraz. - Będzie miała ze dwadzieścia cztery lata. Albo może czternaście. Ma niebieski plecak. I pomarańczę. Ale chyba nie zamierza jej jeść. Jest z nią jeszcze jedna, ale nie widzę jej twarzy. Ona leży, nie, wymiotuje. Nie, ma jakąś maskę na twarzy. Może to jest matka tamtej - nie, jej siostra. A może tylko przyjaciółka.

O, teraz je pomarańczę, ale chyba ta pomarańcza nie jest bardzo dobra - donosił Duncan. Roberta czasem też patrzyła, a niekiedy i Helen. Często Garp otwierał drzwi.

- Tak, to jest moja matka - mawiał - ale teraz jej nie ma, wyszła po zakupy. Proszę wejść, jeśli pani chce na nią zaczekać. - I uśmiechał się, chociaż przez cały czas przyglądał się tej osobie pilnie jak emeryci swoim muszelkom na plaży. Ale zanim szczęka mu się zrosła i stłuczony język zagoił, Garp otwierał drzwi z zapasem różnych kartek. Wielu odwiedzających wcale nie dziwiło, że im ktoś wręcza karteczki, ponieważ i dla nich był to jedyny sposób porozumiewania się.

„Hej, mam na imię Beth. Jestem jamesjanką”.

W odpowiedzi Garp wręczał swój tekst:

„Hej, nazywam się Garp. Mam złamaną szczękę”.

Uśmiechał się i w zależności od sytuacji wręczał drugą karteczkę. Jedna z nich

brzmiała:

„W kuchni pod płytą pali się bardzo przyjemny ogień; proszę na lewo”.

A była i taka:

„Proszę się nie denerwować. Matka zaraz wróci. Są tu jeszcze inne kobiety. Może chciałaby je pani poznać?”

W tym czasie Garp znów zaczął chodzić w marynarce sportowej - nie z tęsknoty za Steering czy Wiedniem, a już w żadnym razie nie dlatego, żeby musiał się jakoś specjalnie dobrze ubierać w Dog's Head Harbor, gdzie jedyną kobietą, która przywiązywała jakąkolwiek wagę do tego, w co się ubierała, była Roberta Muldoon, ale po prostu dlatego, że potrzebne mu były kieszenie; nosił masę karteczek.

Próbował biegać po plaży, ale musiał zrezygnować - narażało to złamaną szczękę na wstrząsy, a język tłukł mu się o zęby. Za to robił wielomilowe spaceru po piasku. Właśnie wracał z takiego spaceru, kiedy pewnego dnia wóz policyjny przywiózł do domu Jenny młodego człowieka. Wspólnymi siłami policjanci pomogli mu wejść na duży frontowy ganek.

- Pan Garp? - zapytał jeden z nich.

Na spaceru Garp zakładał odzież do biegania; nie miał przy sobie żadnych karteczek, więc tylko skinął głową. Tak, pan Garp to on.

- Zna pan tego chłopaka? - zapytał policjant.

- Jasne, że zna - powiedział młody człowiek. - Wy, gliniarze, nigdy nikomu nie wierzycie. Nie umiecie się zrelaksować.

Był to chłopak w fioletowym kaftanie, ten sam, którego Garp wyprowadzał z buduaru pani Ralph - jak mu się wydało, przed laty. Zastanawiał się, czyby nie udać, że go nie poznaje, ale w końcu skinął głową.

- Chłopak nie ma pieniędzy - wyjaśnił policjant. - Jest nietutejszy i nie pracuje. Nigdzie nie chodzi do szkoły, a kiedy zadzwoniliśmy do jego rodziców, powiedzieli, że nie mają pojęcia, co się z nim dzieje, i wyglądało na to, że wcale nie chcą mieć. Ale on twierdzi, że mieszka u pana i że pan powie wszystko w jego imieniu.

Garp oczywiście nie mógł mówić. Wskazał na drucianą siatkę na swojej szczęce i zrobił taki gest, jakby pisał.

- Kiedy się pan dorobił takich klamerek? - zapytał chłopak. - Przeważnie zdarza się to ludziom w młodszym wieku, Najidiotyczniejsze klamerki, jakie w życiu widziałem.

Garp napisał na odwrocie mandatu za przekroczenie przepisów ruchu, który

mu wręczył policjant:

„Owszem, zajmę się nim. Ale nie mogę mówić w jego imieniu, ponieważ mam złamaną szczękę”.

Chłopak przeczytał karteczkę policjantowi przez ramię.

- O kurczę - rzekł z uśmiechem - a co się stało temu drugiemu facetowi?

Stracił trzy czwarte kutasa, pomyślał Garp, ale nie napisał tego na formularzu mandatowym ani na niczym innym. Nigdy.

Okazało się, że chłopak siedząc w więzieniu przeczytał książki Garpa.

- Gdybym wiedział, że to pan jest autorem tych książek - powiedział - nigdy bym się tak okropnie nie zachował. - Miał na imię Randy i został zagorzałym wielbicielem Garpa. Garp doszedł do wniosku, że jego zwolennicy rekrutują się głównie spośród włóczęgów, porzuconych dzieci, niedorozwiniętych dorosłych, dziwaków i bardzo nielicznych obywateli o upodobaniach nieperwersyjnych. Ale Randy przyszedł do niego jak do jedyne go guru, którego był skłonny słuchać. Przesiąknięty duchem domu matki Garp właściwie nie mógł go wyrzucić.

Roberta Muldoon wzięła na siebie trud uświadomienia chłopaka o wypadku, jaki spotkał Garpa i jego rodzinę.

- Kto to jest ta wspaniała wielka cizia? - Randy spytał Garpa pełnym nabożnej czci szeptem.

„Nie poznajesz jej? - napisał Garp. - Grała w obronie fi-ladelfijskich Orłów”.

Ale nawet gorycz Garpa nie była w stanie przytłumić miłego entuzjazmu Randy'ego; a przynajmniej nie od razu. Chłopak godzinami zabawiał Duncana.

„Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób - narzekał Garp do Helen. - Prawdopodobnie opowiada mu o swoich doświadczeniach z narkotykami”.

- Chłopak nie robi nic złego - uspokajała go Helen. - Twoja matka go pytała.

„No to opowiada Duncanowi swoje pasjonujące przeżycia kryminalisty” - pisał Garp.

- Randy chce być pisarzem - powiedziała Helen.

„Każdy chce być pisarzem!” - pisał Garp. Ale była to nieprawda. On nie chciał być pisarzem - już nie. Kiedy próbował pisać, witał go w swojej grozie tylko temat najstraszliwszy. Wiedział, że zamiast pieścić go w pamięci i wyolbrzymiać jego potworność swoją sztuką, powinien o nim zapomnieć. Było to szaleństwo, ale ilekroć Garp pomyślał o pisaniu, jego obsesyjny temat szczyrzył się do niego, witając go kałużami świeżej krwi i odorem śmierci. Wobec tego Garp nie pisał; nawet nie pró-

bował.

W końcu Randy się wyniósł. I chociaż Duncan żegnał go z żalem, to jednak Garp odczuł ulgę; nie pokazał nikomu kartki, która mu tamten zostawił:

„Nigdy nie będę tak dobry jak ty - w niczym. I nawet jeśli to jest prawda, mógłbyś być bardziej wielkoduszny, jak już dajesz to innym odczuć”.

Aha, więc jestem niedobry - pomyślał Garp. Co jeszcze nowego? Wyrzucił list chłopaka.

Kiedy zdjęto mu klamry i język przestał mu dokuczać, Garp znów wrócił do biegania. A kiedy zrobiło się cieplej, Helen zaczęła pływać. Powiedziano jej, że to dobrze robi na mięśnie i wzmocni jej obojczyk - mimo że będzie jeszcze bolało, szczególnie wyrzut ramion przy żabce. Pływała, jak się Garpowi wydawało, całymi milami: daleko w morze, a potem wzdłuż brzegu. Twierdziła, że wypływa tak daleko, bo woda jest tam spokojniejsza; bliżej brzegu przeszkadzają jej fale. Ale Garp bał się o nią. Czasami obserwowali ją z Duncanem przez teleskop. Co ja zrobię, jak coś się stanie? - zastanawiał się. Był kiepskim pływakiem.

- Mama dobrze pływa - uspokajał go Duncan. Duncan też robił postępy.

- Za daleko się wypuszcza - mówił Garp.

Kiedy zaczęli zjeżdżać letnicy, rodzina Garpów wykonywała swoje ćwiczenia w sposób mniej ostentacyjny; bawili się na plaży czy w morzu tylko wczesnym rankiem. W chwilach największego szczytu i wczesnymi wieczorami obserwowali świat z zaciemionych ganków domu Jenny Fields; chowali się w jej wielkim, chłodnym domostwie.

Z Garpem było lepiej. Zaczął nawet pisać - początkowo bardzo nieśmiało: długie szkice wątków i rozważania na temat bohaterów. Unikał głównych postaci, a przynajmniej tego, co uważał za główne postacie: męża, żony, dziecka. Koncentrował się na detektywie, kimś spoza rodziny. Zdawał sobie sprawę, jaka groza czai się w samym sercu książki, i być może z tego względu wolał do niej podejść za pośrednictwem kogoś tak odległego od jego własnych problemów, jak inspektor policji jest daleki od samej zbrodni. Co ja mam za interes w pisaniu o inspektorze policji? - zastanawiał się i wobec tego przerobił inspektora na kogoś, kogo nawet Garp mógł zrozumieć. I wtedy zbliżył się do samego smrodu. Duncanowi zdjęto bandaże i nosił teraz czarna klapkę, która na tle jego letniej opalenizny wyglądała niemal ładnie. Garp zaczerpnął tchu i przystąpił do pisania powieści.

„Świat według Bensenhavera” zaczął powstawać późnym latem podczas jego

rekonwalescencji. Mniej więcej w tym czasie Michael Milton wyszedł ze szpitala; chodził przygięty po operacji, z nieszczęśliwą miną. Na skutek infekcji powstałej w wyniku niewłaściwego drenowania rany, do czego przyplątały się jeszcze normalne komplikacje urologiczne, amputowano mu pozostałą czwartą część. Garp nigdy się o tym nie dowiedział; w tym momencie chyba by mu to nawet nie sprawiło radości. Helen wiedziała, że Garp znów pisze.

- Ja tego nie przeczytam - zapowiedziała mu. - Ani jednego słowa. Wiem, że musisz o tym napisać, ale nie chcę tego widzieć na oczy. Nie mam zamiaru cię urazić, ale musisz to zrozumieć. Ja muszę o tym zapomnieć. Jeśli ty musisz o tym pisać, Bóg z tobą. Ludzie uwalniają się od takich rzeczy na różne sposoby.

- To nie jest dokładnie o „tym” - zapewnił ją Garp. - Nie pisuję powieści autobiograficznych.

- To też wiem - odparła Helen. - Ale i tak nie przeczytam twojej książki.

- Oczywiście, rozumiem cię - zgodził się Garp.

Pisanie, zawsze wiedział, to samotne przeżycie. Trudno było, żeby - nawet jak na pisarza - czuł się wiele bardziej samotny. Wiedział, że Jenny przeczyta jego książkę; była twarda jak opoka. A Jenny obserwowała, jak wszyscy wracają do zdrowia; przyjmowała i wypuszczała coraz to nowe pacjentki.

Jedną z nich była ohydna młoda dziewczucha, imieniem Laura, która pewnego ranka przy śniadaniu miała niezręczność powiedzieć coś na temat Duncana.

- Czy ja bym mogła sypiać w innej części domu? - zwróciła się do Jenny. - Tutaj jest ten koszmarny chłopak z teleskopem, aparatem i klapką na oku. Śledzi mnie jak jakiś pieprzony pirat. Nawet mali chłopcy potrafią człowieka obmacywać oczami - nawet jednym okiem.

Biegając po plaży w szarym świetle przedświt Garp przewrócił się, rozranił sobie szczękę i znów go zdrutowali na mur. Nie miał przy sobie starych kartek, które by się nadawały do tego, co chciał powiedzieć, ale spiesznie nabazgrał na bibułkowej serwetce „Chuj ci w dupę” i rzucił nią w zdumioną dziewczynę.

- Proszę - powiedziała zwracając się do Jenny - właśnie od czegoś takiego musiałam uciekać. Jakiś facet cały czas się nad człowiekiem znęca, jakiś fagas bez przerwy grozi tym swoim palantem. Komu to jest potrzebne? Zwłaszcza tutaj - komu to jest potrzebne, ja się pytam. Czy ja po to przyjechałam, żeby i tu znosić to samo?

„Chuj ci śmiertelny w dupę” - brzmiał następny tekst Garpa, ale Jenny wyprowadziła Laurę i opowiedziała jej historię klapki na oku Duncana, jego teleskopu

i aparatu fotograficznego, w wyniku czego dziewczyna do końca swojego pobytu trzymała się od Garpa z daleka.

A ten pobyt to było zaledwie kilka dni, bo potem „ktoś” po nią przyjechał: sportowy samochód z nowojorską rejestracją, prowadzony przez kogoś, kto wyglądał na fagasa, na kogoś, kto rzeczywiście „groził bez przerwy biednej Laurze tym swoim palantem”.

- Hej, fiuty! - zawołał do Garpa i Roberty, którzy siedzieli na dużej huśtawce na ganku jak para niemodnych kochanków. - Czy to jest ten burdel, w którym trzymacie Laurę?

- Trudno powiedzieć, że ją „trzymamy” - odparła Roberta.

- Zamknij się, ty lesbijo - powiedział gość z Nowego Jorku: wszedł na ganek. Zostawił swój sportowy wóz na chodzie i słychać było, jak silnik na biegu jałowym pracuje to głośniej, to ciszej, to znów głośniej. Mężczyzna miał na sobie kowbojskie buty i zielone zamszowe spodnie z rozszerzonymi dołem nogawkami. Był wysoki i barczysty, ale nie aż tak wysoki i barczysty jak Roberta Muldoon.

- Nie jestem żadna lesbija - powiedziała Roberta.

- Ale i nie westalka - odparł mężczyzna. - Gdzie jest do cholery Laura? - Miał na sobie pomarańczową trykotową koszulkę z jaskrawozielonym napisem między sutkami: TRZYMAJ FORMĘ!

Garp obmacał kieszenie w poszukiwaniu ołówka, ale znalazł tylko stare karteczki: same stałe odzywki, które najwyraźniej nie znajdowały zastosowania w przypadku osoby tak ordynarnej.

- Czy Laura pana oczekuje? - spytała Roberta i Garp wiedział, że znów ma problemy z tożsamością seksualną; prowokowała kretyna - wyraźnie chciała mieć pretekst, żeby mu skuć mordę. Ale mężczyzna, w ocenie Garpa, wyglądał na godnego jej partnera. Estrogeny zmieniły nie tylko jej kształty, ale również osłabiły byłego Roberta Muldoona w stopniu, o którym Roberta zdawała się zapominać.

- Posłuchajcie, pieszczochy - zwrócił się mężczyzna do Garpa i Roberty. - Jeżeli Laura nie weźmie tyłka w troki i się tu zaraz nie pojawi, to ja raz dwa zrobię z wami porządek. Co to za jakaś cholerna lesbijska melina, co? Wszyscy już o niej słyszeli. Nie miałem najmniejszego kłopotu z ustaleniem, dokąd się wyniosła Laura. Każda stuknięta dziwka w Nowym Jorku wie o tym kurwidolku.

Roberta uśmiechnęła się. Zaczęła się huśtać miarowo na dużej ogrodowej huśtawce w sposób, od którego Garpa przeszły ciarki. W szalonym tempie przebierał

palcami w kieszeniach przerzucając jedną po drugiej bezużyteczne kartki.

- Posłuchajcie, pajace - powiedział mężczyzna. - Wiem doskonale, co za modele się tu melinują. Wielki lesbijski show, co? - Pchnął swoim kowbojskim butem potężną huśtawkę, która zaczęła się kołysać nierówno. - A ty co jesteś za jeden? - zwrócił się do Garpa. - Gospodarz domu? Czy dworski eunuch?

Garp wręczył mu kartkę:

„W kuchni pod płytą pali się bardzo przyjemny ogień. Proszę na lewo”. Ale był sierpień; tekst okazał się nieodpowiedni.

- Co to za bzdury? - spytał mężczyzna. I Garp wręczył mu następną kartkę, pierwszą, jaka mu wyleciała z kieszeni:

„Proszę się nie denerwować. Matka zaraz wróci. Są tu jeszcze inne kobiety. Może chciałaby je pani poznać?”

- Pieprzę twoją matkę! - burknął gość i ruszył w kierunku dużych drzwi z siatką. - Laura! - wrzasnął. - Jesteś tam? Ty głupia cipo!

Ale w drzwiach natknął się na Jenny Fields.

- Halo - powitała go.

- Wiem, coś ty za jedna! - warknął. - Poznaję cię po tym idiotycznym stroju. Moja Laura nie jest z tych, kochasiu. Ona się lubi pieprzyć.

- Ale może nie z panem - powiedziała Jenny Fields.

Wszelkie obelgi, jakimi mężczyzna w koszulce z napisem „Trzymaj formę” zamierzał uraczyć Jenny w odpowiedzi, pozostały nie wypowiedziane. Roberta wykonała szarżę na zdumionego faceta; zaatakowała go z tyłu i trochę z boku uderzając barkiem pod kolana. Był to wyraźnie nieczysty chwyt, zasługujący na rzut karny z piętnastu stóp w czasach, kiedy Roberta grała w filadelfijskich Orłach. Mężczyzna upadł na szare deski ganku z taką siłą, że aż zakolysały się wiszące doniczki. Usiłował wstać, ale bezskutecznie. Wyglądało na to, że zarobił kontuzję kolana typową dla zawodników futbolowych - powód, dla którego ten cios zasługiwał na rzut karny z piętnastu stóp. Nie był na tyle odważny, żeby ciskać dalsze obelgi w kogokolwiek leżąc na plecach; na jego lekko pobladłej z bólu twarzy malował się księżycowy spokój.

- Trochę za mocno, Roberta - zwróciła jej uwagę Jenny.

- Pójdę po Laurę - powiedziała Roberta potulnie i weszła do domu. W głębi duszy - wiedzieli to oboje: i Garp, i Jenny - Roberta była bardziej kobieca niż ktokolwiek inny, ale w głębi ciała była wysoce wyszkoloną skałą.

Garp znalazł jeszcze jedną kartkę, którą upuścił na piersi przybysza z Nowego Jorku dokładnie w miejscu, w którym znajdował się napis: „Trzymaj formę!” Była to kartka, którą miał w wielu egzemplarzach.

„Hej, nazywam się Garp. Mam złamaną szczękę”.

- Mam ma imię Harold - odparł mężczyzna. - Przykro mi z powodu twojej szczęki.

Garp znalazł ołówek i napisał jeszcze jeden tekst: „Przykro mi z powodu twojego kolana, Harold”. Przyszła Laura.

- Och, kochanie - wykrzyknęła - znalazłeś mnie!

- Cholera, nie będę mógł prowadzić samochodu - rzekł Harold. Na Bulwarze Nadmorskim jego sportowy wóz w dalszym ciągu dyszał jak zwierzę, gotowe rzucić się i jeść piasek.

- Ja umiem prowadzić, kochanie - powiedziała Laura - tylko mi nigdy nie dawałeś.

- Ale teraz ci dam - jęknął Harold. - Możesz mi wierzyć.

- Och, kochanie - powiedziała Laura.

Roberta i Garp zanieśli mężczyznę do samochodu.

- Laura jest mi chyba rzeczywiście potrzebna - zwierzył im się. - Pieprzone składane siedzenia - narzekał, kiedy go ostrożnie wciskali do środka. Harold był za duży do swojego wozu. Garpowi wydawało się, że lata całe nie stał tak blisko samochodu. Roberta położyła mu rękę na ramieniu, ale Garp się odwrócił.

- No cóż, jestem Haroldowi potrzebna - Laura poinformowała Jenny Fields i lekko wzruszyła ramionami.

- Ale do czego on jest jej potrzebny? - powiedziała Jenny do nikogo w szczególności, kiedy mały samochód odjeżdżał. Garp odszedł. Roberta, za karę, że na moment zapomniała o swojej kobiecości, postanowiła poszukać Duncana, żeby mu trochę pomatkować.

Helen rozmawiała przez telefon z Fletcherami, Harrisonem i Alice, którzy chcieli ich odwiedzić. To nam może dobrze zrobić, pomyślała Helen. I miała rację; świadomość, że znów w jakiejś sprawie ma rację, podbudowała trochę jej wiarę w siebie.

Fletcherowie siedzieli przez tydzień. Wreszcie było jakieś dziecko, jakieś towarzystwo dla Duncana do zabawy - nieodpowiednie ani wiekiem, ani płcią, ale

jednak dziecko, które wiedziało o jego oku, zresztą Duncan przestał się już wstydzić swojej czarnej klapki. Po wyjeździe Fletcherów chętniej wychodził sam na plażę, nawet o tej porze dnia, kiedy spotykał inne dzieci, które mogły go o to pytać, no i oczywiście mu dokuczać.

W Harrisonie, tak jak dawniej, Helen znalazła powiernika; mówiła mu o Michaelu Miltonie rzeczy, które byłyby zbyt bolesne dla Garpa, a o których czuła potrzebę mówienia. Czuła potrzebę mówienia o tym, jak się niepokoi o swoje małżeństwo, teraz, i jak zupełnie inaczej niż Garp przeżywa wypadek. Harrison radził, żeby się zdecydowali na dziecko. Zajdź w ciążę - namawiał. Helen zwierzyła mu się, że przestała zażywać pigułki, ale nie powiedziała mu, że Garp z nią nie sypia - w każdym razie od czasu, kiedy się to stało. Nie musiała Harrisonowi tego mówić, sam zauważył, że mają oddzielne pokoje.

Alice namawiała Garpa, żeby przestał pisać te idiotyczne kartki. Z pewnością może mówić, oczywiście jeśli spróbuje; niech tylko nie będzie zbyt próżny na punkcie swojej wymowy. Skoro ona może mówić, to tym bardziej on może jakoś wypluwać słowa - rozumowała Alice - nawet ze zdrutowanymi szczękami, obolałym językiem i tym wszystkim; w każdym razie powinien popróbować.

- Alisz - powiedział Garp.

- Owthem - odparła. - To jetht moje imię. A jakie jetht twoje?

- Arp - zdołał wykrztusić.

Jenny Fields przechodząc do drugiego pokoju jak biały duch wzdrygnęła się i ruszyła przed siebie.

- Tęszknię za nim - wyznał Garp.

- Jathne, że za nim tęthknisz - powiedziała Alice i przytuliła go, widząc, że płacze.

Upłynęło sporo czasu od wyjazdu Fletcherów, kiedy pewnej nocy Helen przyszła do pokoju Garpa. Nie zdziwiła się, kiedy zobaczyła, że nie śpi; wiedziała, że słucha tego, co i ona. Dlatego sama nie mogła spać.

Ktoś - jedna z ostatnich podopiecznych Jenny, nowy gość - brał kąpiel. Najpierw Garpowie usłyszeli odgłos napszczenia wody do wanny, potem zanurzania się ciała - teraz chłupot i namydlenie. Słyszeli nawet cichutki śpiew czy też może nucenie.

Przypomniało im to oczywiście lata, kiedy słuchali, jak Walt się kąpie, kiedy nasłuchiwali charakterystycznego odgłosu pośliznięcia się czy też najbardziej

przeróżającego ze wszystkich - braku jakiegokolwiek odgłosu. A potem wołali: „Walt?” A Walt odpowiadała: „Co?” A oni na to: „Nic, nic, w porządku, my tylko sprawdzamy!” Żeby się upewnić, że się nie pośliznął i nie utopił.

Walt lubił leżeć z uszami pod wodą i słuchać, jak jego palce wspinają się po ścianie wanny, ale wtedy bywało, że nie słyszał, jak go wołają. Spoglądał zdumiony nagłym widokiem ich zaniepokojonych twarzy nad sobą.

- Nic mi nie jest - mówił siadając.

- Ale odezwij się, na miłość boską, Walt - prosił Garp. - Jak cię wołamy, po prostu nam odpowiedz.

- Kiedy ja was nie słyszałem - tłumaczył się mały.

- To nie trzymaj głowy pod wodą - pouczała go Helen.

- To jak mam myć głowę? - pytał Walt.

- Takie mycie głowy jest do kitu - mówił Garp. - Zawołaj mnie. Ja ci umyję.

- Okay - godził się Walt. I kiedy zostawiali go samego, znowu zanurzał głowę i w ten sposób słuchał świata.

Helen i Garp leżeli obok siebie na wąskim łóżku w gościnnym pokoju na jednym z poddaszy w Dog's Head Harbor. Tyle było w domu łazienek, że nawet nie wiedzieli, skąd dochodzą te odgłosy - ale ich słuchali.

- Ja myślę, że to kobieta - powiedziała Helen.

- Tutaj? Oczywiście, że kobieta - odparł Garp.

- Z początku wydawało mi się, że to dziecko.

- Wiem.

- To pewnie przez to nucenie. Pamiętasz, jak on mówił do siebie?

- Pamiętam.

Ściskali się w łóżku, zawsze troszkę wilgotnym z powodu bliskości morza, okien pootwieranych przez cały dzień i drzwi siatkowych, które stale nie domykały się i trzaskały.

- Ja chcę mieć dziecko - oświadczyła Helen.

- Okay - odparł Garp.

- Jak najszybciej.

- Natychmiast. Oczywiście.

- Jeśli to będzie dziewczynka - powiedziała Helen - damy jej na imię Jenny, ze względu na twoją matkę.

- Dobrze - zgodził się Garp.

- A jak chłopiec, to nie wiem - rzekła Helen.
- W każdym razie nie Walt - zastrzegł się Garp.
- Okay.
- Nigdy więcej Walta. Chociaż wiem, że niektórzy ludzie tak robią.
- Ja bym nie chciała.
- Jakieś inne imię, jeśli to będzie chłopiec.
- Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka.
- Mnie jest wszystko jedno.
- Oczywiście, mnie właściwie też.
- Strasznie cię przepraszam - Garp przytulił Helen.
- Nie, to ja cię przepraszam.
- Ja.
- Ja - zakończył Garp.

Kochali się bardzo ostrożnie. Helen wyobrażała sobie, że jest Roberta Muldoon świeżo po operacji i wypróbować swoją nowiutką pochwę. Garp usiłował nie wyobrażać sobie niczego.

Jeśli kiedykolwiek zaczynał sobie coś wyobrażać, z reguły było to krwawe Volvo. Słyszał krzyki Duncana, a na zewnątrz wołanie Helen i jeszcze czyjeś. Widział, jak sam wysuwa się zza kierownicy i klęka na siedzeniu kierowcy; jak trzyma twarz Duncana w rękach, ale mały nie przestaje krwawić, więc nie może dojrzeć jego obrażeń.

- Wszystko jest w porządku - szepnął do Duncana. - Cicho, wszystko będzie dobrze. - Ale z powodu języka nie było słów, tylko delikatna mgła.

Duncan nie przestawał krzyczeć, tak samo jak i Helen, a ten ktoś jeszcze jęczał - jak pies we śnie. Ale co Garp takiego słyszał, co go tak przeraziło? Co jeszcze?

- Wszystko jest w porządku, Duncan, możesz mi wierzyć - szeptał niezrozumiale. - Wszystko będzie dobrze. - Wytarł ręką krew z szyi chłopca; widział wyraźnie, że szyja jest cała. Wytarł mu krew ze skroni i zobaczył, że nie są wgniecione. Kopniakiem otworzył drzwi od strony kierowcy, żeby się upewnić; zapaliło się światło i zobaczył łyskające oko Duncana. To oko wołało pomocy, ale Garp widział, że ano widzi. Wytarł ręką jeszcze trochę krwi, ale nie mógł znaleźć drugiego oka.

- Wszystko w porządku - wyszeptał, ale Duncan krzyczał jeszcze głośniej.

Ponad ramieniem ojca widział matkę przy otwartych drzwiach Volva. Krew lała się z jej rozciętego nosa i posiekanego języka i prawą rękę trzymała tak, jakby miała ją

złamaną gdzieś w okolicy ramienia. Ale tak naprawdę, to przeraziła Duncana zgroza, jaką dostrzegł w jej twarzy. Garp się odwrócił; jego przeraziło coś jeszcze.

Nie był to ani krzyk Helen, ani krzyk Duncana. Dla Garpa jęczący Michael Milton mógł się spokojnie zajęć na śmierć. Chodziło o coś innego. Wcale nie dźwięk. Brak dźwięku. Nieobecność jakiegokolwiek dźwięku.

- Gdzie jest Walt? - spytała Helen usiłując zajrzeć do Volva. Przestała krzyczeć.

- Walt! - zawołał Garp. Wstrzymał oddech. Duncan przestał płakać.

Nie było nic słyhać. A przecież wiedział, że Walt miał kaszel, który niósł się po całym mieszkaniu - nawet z odległości dwóch pokoiów słyhać było mokre granie w piersi malca.

- Walt! - krzyknęli wszyscy razem.

I Helen, i Garp mówili sobie szeptem, później, że w tym momencie wydawało im się, że Walt siedzi z uszami pod wodą i wsłuchuje się, jak jego palce harcują po wannie.

- Ja mam go stale przed oczami - szepnęła Helen później.

- Przez cały czas - powiedział Garp. - Wiem.

- Jak tylko zamknę oczy.

- Tak. Wiem.

Ale Duncan wyraził to najlepiej. Duncan powiedział, że czasami bywa tak, jakby tego brakującego prawego oka tak zupełnie nie stracił.

- To jest tak, jakbym w dalszym ciągu mógł czasami nim widzieć - powiedział. - Ale tak jak we wspomnieniach, to, co widzę, jest nierealne.

- Może ono stało się okiem specjalnym do oglądania snów - powiedział mu Garp.

- Coś w tym rodzaju - zgodził się z nim Duncan. - Tylko że to się wydaje takie realne.

- To jest oko twojej wyobraźni. To, co nim widzisz, może być bardzo realne.

- To jest oko, którym stale widzę Walta - wyjaśnił Duncan - wiesz?

- Wiem - powiedział Garp.

Wiele dzieci zapaśników ma twarde karki, ale nie wszystkie mają dostatecznie twarde.

Dla Duncana i Helen Garp miał teraz nieprzebrane rezerwy cierpliwości; przez rok mówił do nich cicho; przez rok nie okazał im zniecierpliwienia. Musiała ich

denerwować jego delikatność. Jenny Fields doszła do wniosku, że tej trójce potrzebny był rok, żeby się nawzajem dopielegnowali.

A przez ten rok - zastanawiała się - co oni robili z innymi uczuciami właściwymi ludzkim istotom? Helen ukrywała je; Helen była bardzo silna. Duncan widział je tylko swoim nie istniejącym okiem. A Garp? Garp też był silny, ale nie aż tak. Napisał powieść zatytułowaną „Świat według Bensenhavera”, która te inne uczucia skanalizowała.

Kiedy jego wydawca, John Wolf, przeczytał pierwszy rozdział książki, napisał do Jenny Fields: „Co się tam u nich do diabła dzieje? Wygląda na to, że pod wpływem bólu uczucia Garpa stały się perwersyjne”.

Ale S. T. Garpem kierował impuls tak stary jak Marek Aureliusz, który miał dość mądrości i siły woli, by zauważyć, że „długość życia ludzkiego - to punkcik... spostrzeganie - niejasne”.

Rozdział XV

Świat według Bensenhavera

Kiedy Oren Rath wkroczył do kuchni, Hope Standish była w domu sama ze swoim synkiem Nickym. Wycierała właśnie naczynia i natychmiast zobaczyła długi rybacki nóż z lśniącym ostrzem i drugim, specjalnym, jak piła, służącym do patroszenia i skrobania ryb. Nicky nie miał jeszcze trzech lat; jadał w wysokim foteliku i siedział właśnie przy śniadaniu, kiedy Oren Rath stanął za nim i przyłożył mu do gardła zębate ostrze swojego majchra.

- Zostaw te naczynia - polecił Hope. Pani Standish zrobiła, jak jej kazano. Nicky zbulgotał coś pod adresem intruza; nóż polaskotał go w podbródek.

- Czego chcesz? - zapytała Hope. - Dam ci wszystko, czego zażadasz.

- Jasne, że dasz. Jak masz na imię?

- Hope.

- A ja Oren.

- Ładne imię - powiedziała Hope.

Nicky nie mógł się odwrócić w swoim foteliku, żeby zobaczyć obcego, który go tak łaskotał w szyję. Miał palce mokre od owsianki i kiedy sięgnął do ręki Orena, Rath stanął koło krzesła i przytknął cienkie ostrze rybackiego noża do pucołowatej buzi dziecka. Zrobił szybkie cięcie, jakby z grubszą zaznaczał kość policzkową małego. Następnie wrócił na poprzednie miejsce, żeby obserwować zdumioną twarz Nicky'ego, jego prostoduszny płacz. Na policzku chłopca pojawiła się cienka niteczka krwi, jakby fastryga kieszeni; jak gdyby nagle małemu wyrosły skrzela.

- Ja nie żartuję - powiedział Oren Rath. Hope ruszyła w stronę Nicky'ego, ale Rath zatrzymał ją ręką. - Ty mu nie jesteś potrzebna. On po prostu nie chce owsianki. On chce ciastko. - Nicky zaczął ryczeć.

- Zakrztusi się, jak będzie płakał z pełną buzią - rzekła Hope.

- Chcesz się ze mną kłócić? Bo jak masz ochotę pogadać sobie o zakrztuszeniu, to zaraz mu obetnę kuśkę i wepchnę do gardła.

Hope dała małemu sucharka i przestał płakać.

- Widzisz? - Oren Rath podniósł wysoki fotelik razem z Nickym i przytulił do piersi. - A teraz idziemy do sypialni - powiedział i skinął na Hope. - Ty pierwsza.

Razem przeszli przez korytarz. Standishowie mieszkali wtedy w parterowym domu; mając małe dziecko uznali, że taki dom będzie bezpieczniejszy w razie pożaru. Hope weszła do sypialni, a Oren Rath postawił fotelik z Nickym tuż przed drzwiami. Skaleczenie prawie przestało krwawić, malcowi została na policzku tylko krwawa smuga. Oren Rath wytarł ją ręką, a potem rękę wytarł o spodnie. Następnie wszedł za Hope do sypialni. Kiedy zamknął drzwi, Nicky zaczął płakać.

- Proszę cię - powiedziała Hope. - On się naprawdę może zakrztusić, a poza tym umie z tego fotelika zejść, zresztą fotelik może się przewrócić. Mały nie lubi być sam.

Oren Rath podszedł do nocnego stolika i swoim rybackim nożem ciachnął przewód telefoniczny z taką łatwością, jakby przekroił dojrzałą gruszkę.

- Nie radzę ci się ze mną kłócić.

Hope usiadła na łóżku. Nicky płakał, ale nie histerycznie; wyglądało na to, że może przestać. Hope też zaczęła płakać.

- Rozbieraj się - powiedział Oren Rath. Pomógł jej zdjąć ubranie. Był wysoki, ryżoblond, i miał włosy tak proste i przyzlane jak wysoka trawa położona przez powódź. Pachniał paszą i Hope przypomniała sobie turkusową półciężarówkę na podjeździe tuż przed pojawieniem się Orena w kuchni. - Masz nawet dywan w sypialni - powiedział. Był chudy, ale muskularny, miał duże, niezdarne ręce, przypominające łapy szczeniaka, który wyrośnie na dużego psa. ..Wydawał się prawie bezwłosy, ale po prostu u tak jasnego blondyna zarost jest niewidoczny na tle skóry.

- Czy znasz mojego męża? - zapytała go Hope.

- Wiem, kiedy jest w domu, a kiedy go nie ma - odparł Rath. - Posłuchaj - powiedział nagle; Hope wstrzymała oddech. - Słyszysz? Małego to nic nie obchodzi. - Nicky pod drzwiami gaworzył, śliniąc się i przemawiając do swego sucharka. Hope zaczęła szlochać jeszcze gwałtowniej. Kiedy Oren Rath jej dotknął, niezręcznie i szybko, pomyślała, że jest w środku tak sucha, że nie zdoła jej nawet włożyć swojego obrzydliwego kutasa.

- Poczekaj, proszę cię - powiedziała.

- Tylko bez gadania.

- Nie, chodzi mi o to, że mogłabym ci pomóc. - Chciała, żeby jak najprędzej włożył i wyjął; myślała cały czas o Nickym, który siedział w swoim foteliku na korytarzu. - Zrobię tak, żeby było przyjemniej - dodała nieprzekonywająco; nie wiedziała, jak ma wyrazić to, co chciała powiedzieć. Oren Rath złapał ją za pierś; zorientowała się, że nigdy przedtem nie dotykał kobiecej piersi. Miał tak zimną rękę,

że się wzdrygnęła. Ruszając się niezdarnie uderzył ją w usta czubkiem głowy.

- Tylko bez gadania - burknął.

- Hope! - rozległo się wołanie. Zamarli. Oren gapił się na przecięty przewód telefoniczny.

- Hope?

Była to Margot, sąsiadka i przyjaciółka. Oren Rath przytknął do sutka Hope chłodne, płaskie ostrze swojego noża.

- Ona tu zaraz przyjdzie - wyszeptła Hope. - To bliska przyjaciółka.

- O mój Boże, Nicky - słyszeli, jak mówi. - Widzę, że jadasz, gdzie popadnie.

Mama się ubiera?

- Będę musiał zerznąć was obie i wszystkich pozabijać - syknął Oren Rath.

Hope objęła go w pasie nogami i przycisnęła do piersi, razem z nożem.

- Margot! - wrzasnęła. - Bierz Nicky'ego i uciekaj! Proszę cię! - krzyczała. - Jest tu szalenciec, który pozabija nas wszystkich. Bierz Nicky'ego! Bierz Nicky'ego!

Oren Rath leżał na niej sztywno, jakby go ktoś pierwszy raz w życiu przytulił. Nie wrywał się, nie groził nożem. Oboje leżeli bez ruchu i słuchali, jak Margot usiłuje wyjąć Nicky'ego z fotelika, jak oddała się korytarzem i wychodzi przez kuchenne drzwi. Jedna noga wysokiego krzesła zawadziła o lodówkę i odłamała się, ale Margot nie ustawała w wysiłkach uwolnienia małego aż do chwili, kiedy znalazła się na ulicy w połowie drogi do następnej przecznicy i kopniakiem otworzyła własne drzwi.

- Nie zabijaj mnie - szepnęła Hope. - Uciekaj, tylko szybko, to na pewno zdążysz, ona teraz dzwoni na policję.

- Ubieraj się - powiedział Oren Rath. - Jeszcze cię nie miałem, a muszę. - Tryknąwszy ją czubkiem głowy, rozciął jej o zęby wargę, która zaczęła krwawić. - Ja nie żartuję - powtórzył, ale niepewnie. Był taki kościsty i niezdarny jak młody byczek. Kazał jej włożyć ubranie, bez żadnej bielizny, i wypchnął ją bosą na korytarz niosąc pod pachą własne buty. Dopiero kiedy usiadła koło niego w szoferce, zorientowała się, że Oren włożył jedną z flanelowych koszul jej męża.

- Margot na pewno zapisała numer rejestracyjny twojego wozu - powiedziała; tak ustawiła tylne lusterko, żeby móc się przejrzeć. Przyłożyła brzeg szerokiego, wiotkiego kołnierzyka sukienki do krwawiącej wargi. Oren Rath dał jej kuksańca łokciem w ucho, tak że rąbnęła głową w drzwi.

- Potrzebne mi jest to lusterko, muszę w nie patrzeć - powiedział. - Tylko bez numerów, bo ci naprawdę coś zrobię. - Zabrał ze sobą jej stanik i teraz usiłował

przywiązać przeguby rąk Hope do grubych zardzewiałych zawiasów schowka na rękawiczki, który ział przed nią otworem.

Oren jechał tak, jakby mu się specjalnie nie spieszyło z opuszczeniem miasta. Nie robił też wrażenia zniecierpliwionego, kiedy utknął na dłużej pod światłem w pobliżu uniwersytetu. Przyglądał się wszystkim pieszym przechodzącym przez ulicę, potrząsał głową i cmokał widząc, jak są poubierani niektórzy studenci. Ze swojego miejsca w szoferce Hope widziała okno pokoju swojego męża, ale nie była pewna, czy siedzi akurat w tej chwili u siebie, czy ma właśnie wykład.

W rzeczywistości siedział w swoim pokoju na trzecim piętrze. Dorsey Standish wyjrzał przez okno i zobaczył zmianę światła. Samochody ruszyły, a chmara studentów została czasowo zatrzymana u progu przejścia dla pieszych. Dorsey Standish z upodobaniem obserwował ruch uliczny. W mieście uniwersyteckim jest dużo zagranicznych i eleganckich samochodów, ale tutaj kontrastowały z nimi miejscowe pojazdy: ciężarówki farmerów, zakratowane wozy do transportu bydła i świń, dziwne mechaniczne żniwiarki - a wszystko ubłocone na farmach i wiejskich drogach. Standish nie miał pojęcia o farmach, ale był zafascynowany zwierzętami i maszynami, a szczególnie intrygowały go groźne tajemnicze wehikuly. Właśnie przejechał jeden ze zsysem - do czego? - i płataniną kabli, które miały za zadanie przytrzymać coś ciężkiego. Standish lubił sobie wyobrazać, jak to wszystko funkcjonuje.

Na dole, wraz ze wszystkimi, ruszyła obskurna turkusowa półciężarówka; zderzaki całe miała w liszajach, maskę wgniecioną i czarną od zmiądzonych much i - jak sobie Standish wyobrażał - ptasich główek. Dorseyowi wydało się, że w szoferce obok kierowcy zobaczył ładną kobietę. Coś w jej profilu i włosach przypomniało mu Hope, a kiedy mignęła mu jej sukienka, pomyślał, że i jego żona lubi ten kolor. Ale znajdował się w odległości trzech pięter; ciężarówka przejechała, a jej tylna szyba tak była zalepiona błotem, że nic więcej nie zobaczył. Poza tym był już czas na zajęcia, które zaczynały się o dziewiątej trzydzieści. Dorsey Standish zdecydował, że to niemożliwe, żeby kobieta jadąca w takiej okropnej ciężarówce mogła być ładna.

- Założę się, że twój mąż cały czas pieprzy swoje studentki - powiedział Oren Rath. Jego wielka łapa, z nożem, spoczywała na kolanach Hope.

- Nie, nie sądzę - odparła Hope.

- Bzdura, co ty możesz wiedzieć. A ja ci tak dobrze zrobię, że nie będziesz chciała przestać, zobaczysz.

- Wszystko mi jedno, co mi zrobisz - powiedziała Hope. - Grunt, że mojemu małemu nie możesz już zrobić krzywdy.

- Ale tobie mogę zrobić różne rzeczy - odparł. - I to dużo.

- Aha. I wiem, że to nie żarty - powiedziała ironicznie. Wjeżdżali na tereny rolnicze. Rath przez jakiś czas się nie odzywał. Wreszcie powiedział:

- Nie jestem taki stuknięty, jak ci się wydaje.

- W ogóle mi się nie wydaje, że jesteś stuknięty - skłamała Hope. - Uważam, że jesteś głupi, napalony smarkacz, który jeszcze nigdy sobie nie popieprzył.

Oren Rath musiał w tym momencie poczuć, że traci swoją przewagę opartą na przemocy, i to szybko. Hope zaczęła się zastanawiać, jak wykorzystać tę sytuację, ale nie wiedziała, czy Oren Rath jest na tyle normalny, żeby odczuć upokorzenie.

Skręcili z wiejskiej drogi w długi, piaszczysty podjazd wiodący do domu, gdzie okna były zasłonięte plastikiem, a wyliniały trawnik upstrzony częściami od traktora i innym żelastwem. Na skrzynce pocztowej widniał napis: „R.R.W.E i O Rath.”

Ci Rathowie nie mieli nic wspólnego ze słynnymi Rathami od kiełbas, ale najwyraźniej zajmowali się hodowlą świń. Hope zobaczyła liczne zabudowania, szare, z ukośnymi zardzewiałymi dachami. Na rampie koło brunatnej chlewni leżała na boku oddychając z trudem stara maciora. W pobliżu stało dwóch mężczyzn, którzy wyglądali dla Hope na mutantów - produkt tej samej mutacji, która wydała Orena Ratha.

- Potrzebna mi będzie teraz czarna ciężarówka - zwrócił się do nich Oren. - Tej już szukają. - Od niechcienia przeciął nożem stanik, którym Hope miała przywiązane ręce do schowka na rękawiczki.

- Bzdura - powiedział jeden z mężczyzn.

Drugi wzruszył ramionami; miał na twarzy czerwoną narośl, rodzaj znamienia, które kolorem i gruzelkową fakturą przypominało malinę. I rzeczywiście w rodzinie nazywano go Maliną. Na szczęście Hope o tym nie wiedziała.

Mężczyźni nie patrzyli na Orena i Hope. Potężne pierdnięcie ciężko dyszącej maciory rozdarło ciszę chlewni jak grzmot.

- Kurwa, ta znów zaczyna - powiedział mężczyzna bez znamienia. Nie licząc oczu, jego twarz była w miarę normalna. Miał na imię Weldon.

Malina przeczytał treść nalepki na brązowej butelce, którą uniósł w stronę maciory, jakby spełniał toast:

- „Może powodować nadmierne gazy i wzdęcia”.

- Nie mówią nic o takiej świni jak ta - rzekł Weldon.

- Potrzebna mi jest czarna ciężarówka - powtórzył Oren.

- Kluczyki są w stacyjce - powiedział Weldon Rath. - Jeśli sobie sam z nią poradzisz.

Oren popchnął Hope w kierunku czarnego wozu. Hope zwróciła się do Maliny, który gapił się na nią trzymając w ręku lekarstwo dla świń.

- On mnie porwał. Chce mnie zgwałcić. Policja już go szuka.

Malina nie przestawał gapić się na Hope, ale Weldon zwrócił się do Orena:

- Mam nadzieję, że nie zrobisz nic głupiego?

- Nie bój się - odparł Oren, po czym obaj jego bracia całą swoją uwagę poświęcili maciorze.

- Poczekam jeszcze z godzinę i dam jej następnego sztosy - powiedział Malina. - Dość już mieliśmy weterynarza w ostatnim tygodniu, co? - Podrapał swinię czubkiem buta w oblepiony błotem kark; maciora pierdnęła.

Oren zaprowadził Hope za stodołę, gdzie z silosu wysypywało się ziarno. Igrały w nim prosiaki niewiele większe od kociąt. Kiedy zapalił silnik czarnej półciężarówki, rozbiegły się na wszystkie strony. Hope zaczęła płakać.

- Nie zamierzasz mnie wypuścić? - spytała.

- Jeszcze cię nie miałem - odparł.

Bose stopy Hope były zimne i czarne od wiosennego błocka.

- Bolą mnie nogi - powiedziała. - Dokąd jedziemy?

W skrzyni ciężarówki zobaczyła stary koc, sfilcowany i upstrzony żdźbłami słomy. Oto, gdzie jadą: w pole; a potem, jak już będzie po wszystkim, rozciągniętą na gąbczastej, wiosennej ziemi, z podciętym gardłem i wypatroszoną rybackim nożem - zawinie ją w koc leżący sztywno na dnie ciężarówki, jakby tam przykrywał jakieś martwo urodzone zwierzę z domowego inwentarza.

- Muszę znaleźć jakieś dobre miejsce, żeby cię wziąć - powiedział Oren Rath. - Zabrałbym cię do domu, ale wtedy musiałbym się tobą podzielić z tamtymi.

Hope Standish usiłowała sobie wyobrazić dziwny mechanizm działań tego człowieka. Nie funkcjonował tak jak wszystkie inne ludzkie istoty, do których była przyzwyczajona.

- To, co robisz, jest złe - powiedziała.

- Nie, nieprawda. Wcale nie jest złe.

- Masz zamiar mnie zgwałcić, a to jest złe.

- Po prostu chcę cię mieć. - Tym razem nie zadał sobie trudu, żeby ją przywiązać do schowka na rękawiczki. I tak nie miałyby dokąd iść. Posuwali się tylko po milowych odcinkach wiejskich dróg kierując się powoli na zachód, małymi kwadratami, ruchem konika szachowego: jeden kwadrat naprzód, dwa w bok, jeden w bok, dwa przed siebie. Hope wydało się to bezcelowe, ale potem przyszła jej do głowy pewna myśl: a może Oren zna okolicę tak dobrze, że wie, jak przebyć znaczną odległość nie przejeżdżając przez miasto? Widzieli tylko drogowskazy i mimo że nie oddalili się od uniwersytetu bardziej niż na jakieś trzydzieści mil, wszystkie nazwy wydawały się Hope obce: Coldwater, Hills, Fields, Plainyiew. Może to nie są miasta - pomyślała - tylko potoczne nazwy dla tutejszej ludności, pozwalające zidentyfikować miejsca, jak gdyby ci ludzie nie znali najprostszych rzeczy, z którymi stykali się na co dzień.

- Nie masz prawa mi tego robić - powiedziała Hope.

- Bzdura - odparł; raptownie nacisnął na pedał hamulca rzucając nią o twardą deskę rozdzielczą. Jej czoło odskoczyło od przedniej szyby, nosem walnęła o wierzch dłoni. Czowała, jak w klatce piersiowej pęka jej jakiś mięsień czy bardzo drobna kostka. W tym momencie Oren nacisnął pedał gazu i rzuciło ją do tyłu. - Nienawidzę sprzeczek - powiedział.

Puściła jej się krew z nosa; siedziała podana do przodu, z twarzą ukrytą w dłoniach - krew kapała jej na kolana. Pociągnęła nosem; krew sączyła jej się po wardze na zęby pokrywając je cienką błonką. Odchyliła głowę do tyłu tak, żeby poczuć jej smak. Z jakiegoś powodu ją to uspokoiło - pomogło jej myśleć. Wiedziała, że na czole sinieje jej gwałtownie guz, rosnąc pod gładką skórą. Kiedy dotknęła guza, Oren Rath spojrzął na nią i roześmiał się. Plunęła w niego rzadką flegmą z różowymi żyłkami. Trafiła w policzek; plwocina ściekała aż na kołnierzyk flanelowej koszuli jej męża. Jego ręka, szeroka i płaska jak podeszew buta, sięgnęła do jej włosów. Obydwoma dłońmi złapała go za przedramię, podniosła przegub ręki do ust i ugryzła w miękkie miejsce, gdzie nie zawsze rosną włosy i gdzie widać błękitne naczynia krwionośne.

Chciała go w ten absurdalny sposób zabić, ale zdołała tylko przeciąć skórę. Był tak silny, że poderwał ją całą do góry i przerzucił sobie przez kolana. Przycisnął ją karkiem do kierownicy - dźwięk klaksonu przeszył jej mózg - i złamał nos nadgarstkiem lewej ręki. Następnie położył rękę z powrotem na kierownicy. Cały czas przyciskał sobie jej głowę prawą ręką do brzucha. Kiedy poczuł, że się przestała

wyrywać, zostawił jej głowę w spokoju leżącą na kolanach. Osłonił jej ucho stuloną dłonią, jakby chciał zatrzymać dźwięk klaksonu wewnątrz jej głowy. Z bólu zaciskała oczy.

Oren Rath kilka razy skręcił w lewo, potem znów w prawo. Każdy skręt, Hope wiedziała, oznaczał kolejną milę oddalenia. Teraz trzymał stuloną dłoń na jej szyi; słyszała - czuła - jak jej przebiera palcami we włosach. Górną część twarzy miała drętą.

- Nie chcę cię zabijać - powiedział.

- To mnie nie zabijaj.

- Ale muszę. Jak już to zrobimy, muszę cię zabić.

Ta informacja podziałała na nią jak smak własnej krwi. Wiedziała, że nie uznaje sprzeczek. Zrozumiała, że jedno przegrała: sprawę gwałtu. On to zrobi. Trzeba traktować to tak, jakby się już dokonało. Teraz chodziło jej tylko o życie, a więc musi go przeżyć. A przeżyć go, to znaczy doprowadzić do jego złapania albo do zabicia, albo samej go zabić. Czuła pod policzkiem drobne w jego kieszeni; jego dzinsy były miękkie i lepkie od kurzu i smaru, klamra od paska wrzynała jej się w czoło; wargami Hope dotykała tłustej skóry jego paska. Wiedziała, że rybacki nóż jest w pochwie. Ale gdzie on ją trzyma? Nigdzie nie było jej widać, a nie śmiała szukać. Nagle poczuła pod okiem, że sztywnieje mu członek. W tym momencie - tak naprawdę po raz pierwszy - ogarnęła ją panika, straszliwa, porażająca i obezwładniająca; przestała wierzyć, że sobie poradzi, nie była w stanie odróżnić rzeczy ważnych od nieważnych. Raz jeszcze pomógł jej sam Oren Rath.

- Spójrz na to od tej strony: dzieciak ci się uratował, a jego też miałem zabić, wiesz przecież.

Szczególna logika Orena Ratha wyostrzyła percepcję Hope; zaczęła słyszeć inne samochody. Nie było ich wiele, ale co kilka minut jakiś przejeżdżał. Żałowała, że nie widzi, ale zdawała sobie sprawę, że już nie są w takim odosobnieniu, jak byli. Teraz pomyślała - zanim dojedzie tam, dokąd chce dojechać - o ile w ogóle wie, dokąd zmierza. Wydawało jej się, że wie. A przynajmniej zanim zjedzie z tej drogi, zanim znów znajdą się gdzieś, gdzie nie będzie ludzi.

Oren Rath poprawił się na siedzeniu. Było mu niewygodnie z erekcją. Z rozpaloną twarzą Hope na kolanach, z ręką w jej włosach - był gotów. Teraz - pomyślała. Nieznacznie przesunęła policzek na jego udzie; nie przeszkadzał jej; poruszyła głowę, jakby ją chciała wygodniej ułożyć na poduszce - na jego członku.

Przesuwała twarz dotąd, aż przestała dotykać miejsca, gdzie wzdymały się jego cuchnące spodnie. Wzgórek sterczał w pobliżu jej ust i Hope zaczęła na niego dmuchać. Dmuchanie przez nos było zbyt bolesne. Złożyła usta w kształt litery O, jakby do pocałunku, i skierowując dokładnie strumień powietrza zaczęła bardzo leciutko dmuchać.

Och, Nicky, pomyślała. I Dorsey. Miała nadzieję, że ich jeszcze zobaczy. Dla Orena Ratha przeznaczyla cały swój ciepły, ostrożny oddech. Na nim skoncentrowała swoją jedyną chłodną myśl: ja cię jeszcze dostanę, ty skurwysynu.

Nie ulegało wątpliwości, że dotychczasowe doświadczenia seksualne Orena nie miały nic wspólnego z takimi subtelnościami jak ukierunkowany oddech Hope. Usiłował przesunąć jej głowę na swoich kolanach tak, żeby znów mieć kontakt z jej gorącą twarzą, ale jednocześnie nie chciał zaburzyć delikatnego dmuchania. To, co robiła, wzmagało w nim tylko potrzebę fizycznego kontaktu, ale myśl o tym, że mógłby stracić ten podniecający bodziec, była dla niego straszna. Zaczął się kręcić. Hope się nie spieszyło. Wreszcie na skutek jego ruchów cuchnąca wypukłość dżinsów dotknęła jej warg. Zacisnęła usta. Oren Rath poczuł jedynie gorący wiatr, który przeniknął zgrzebną tkaninę jego spodni; jęknął. Nadjechał samochód, który ich wyprzedził; Oren wyrównał swój wóz, zdawał sobie sprawę, że zaczyna zjeżdżać na środek.

- Co ty robisz? - zapytał Hope, która bardzo lekko ujęła w zęby wypukłość. Uniósł kolano; pompując pedał gazu podbił jej głowę i uraził w nos. Wcisnął rękę pomiędzy jej twarz i swoje kolana. Myślała, że rzeczywiście chce jej zrobić jakąś poważną krzywdę, ale on szamotał się z suwakiem. - Widziałem to na zdjęciach - poinformował ją.

- Daj, ja to zrobię - powiedziała. Żeby mu rozpiąć rozporek, musiała przyjąć pozycję prawie siedzącą. Chciała zobaczyć, gdzie są; w dalszym ciągu oczywiście na wsi, ale na szosie pojawiły się już białe linie. Wyjęła mu go i wzięła do ust nie patrząc.

- Kurwa - powiedział. Myślała, że się udławi, bała się, że zwymiotuje. Przesunęła go sobie językiem na bok uważając, że w ten sposób zyska na czasie. Siedział tak sztywno i spokojnie, cały dygocąc, że Hope nie miała wątpliwości: musiał znacznie przekroczyć granice swoich dotychczasowych doświadczeń, nawet w sferze wyobrażeń. Uspokoilo ją to, dało jej poczucie pewności siebie i czasu. Bardzo wolno kończyła rozpoczęte dzieło nasłuchując jednocześnie samochodów. Wiedziała, że

zwolnił. Na pierwszy sygnał, że zjeżdża z drogi, będzie musiała zmienić plany. Czy mam mu odgryźć tego cholernego kutasa? - zastanawiała się. Ale pomyślała jednocześnie, że nie da rady, a w każdym razie nie dość szybko.

Wyprzedziły ich dwie ciężarówki, jedna za drugą. Była przekonana, że z daleka słyszy klakson jeszcze jakiegoś samochodu. Przyspieszyła tempo - Oren wyżej uniósł kolana. Wydawało jej się, że jadą teraz szybciej. Wyprzedził ich samochód - niebezpiecznie blisko. Zatrąbił na nich.

- Pierdol się! - wrzasnął za nim Oren Rath; zaczynał podskakiwać na siedzeniu urażając ją w nos. Hope musiała teraz bardzo uważać, żeby nie zrobić mu krzywdy; miała na to wielką ochotę. Musisz go doprowadzić do tego, żeby stracił głowę - dodawała sobie otuchy.

Nagle usłyszała, że żwir opryskuje podwozie ciężarówki. Szybko zamknęła usta wokół niego. Ale ani nie wpadli na nic, ani nie skręcali z drogi; po prostu Oren nagle zjechał na bok, żeby się zatrzymać. Ciężarówka zaryła się. Oren oparł ręce po obu stronach twarzy Hope, uda mu stężały podbijając jej szczękę. Udławię się tym - pomyślała, ale on ujął ją za głowę.

- Nie! Nie! - krzyknął. Przemknęła koło nich ciężarówka obsypując ich drobnymi kamykami i zagłuszając jego słowa. - Nie włożyłem tego interesu - wyjaśnił. - Jeśli masz jakieś zarazki, to przejdą prosto na mnie.

Hope klęczała; gorące wargi miała obolałe, nos jej pulsował. Oren zabierał się do założenia gumy, ale kiedy ją wyjął z maleńkiego foliowego opakowania, gapił się na nią bezmyślnie, jakby to nie było to, o co mu chodziło - jakby myślał, że prezerwatywy są jaskrawozielone! Jakby nie wiedział, jak się je zakłada.

- Ściągaj sukienkę! - powiedział; krępowano go, że Hope na niego patrzy. Po obu stronach drogi widziała łany kukurydzy i w odległości kilku jardów tył tablicy ogłoszeń, ale nigdzie dokoła ani domów, ani znaków drogowych, ani żadnego skrzyżowania. Nie nadjeżdżały żadne samochody ani ciężarówki. Hope wydawało się, że jej serce przestanie bić.

Oren Rath zdarł z siebie koszulę jej męża i wyrzucił przez okno - widziała, jak pada na drogę. Ściągnął buty o pedał hamulca, wałąc wąskimi kolanami o kierownicę.

- No, posuń się! - rozkazał. Siedziała zepchnięta dosłownie na drzwi. Wiedziała, że jeśli by nawet zdołała wysiąść, i tak mu nie ucieknie. Była boso, a jego stopy miały stwardniałe poduszki jak psie łapy.

Szamotał się ze spodniami, zrolowaną prezerwatywę trzymając w zębach.

Zobaczyła, że jest goły - cisnął gdzieś spodnie i nasadził kondom, jakby jego członek nie był bardziej wrażliwy niż skórzasty ogon żółwia. Usiłował rozpiąć guziki jej sukienki i Hope znowu napłynęły do oczu łzy, chociaż starała się je powstrzymać. Nagle szarpnął za sukienkę i zaczął ją ściągać przez głowę; zatrzymała się na ramionach Hope. Wykręcił jej boleśnie łokcie do tyłu. Oren był za długi do szoferki - należało otworzyć jedne drzwi. Hope sięgnęła do klamki nad swoją głową, ale Oren ugryzł ją w szyję.

- Nie! - wrzasnął. Wymachiwał nogami i Hope widziała, że krwawi mu łydka - skaleczył ją sobie o krawędź klaksonu. Twardymi piętami walnął w klamkę i otworzył drzwi po swojej stronie. Ponad jego ramieniem zobaczyła szarą wstęgę szosy - jego szczupłe pęciny wystawały aż na pasmo ruchu, ale teraz nie było żadnych samochodów. Bolała ją głowa dociśnięta do drzwi. Ruchem wężowym musiała się cofnąć na siedzenie, głębiej pod niego, i pod wpływem tego ruchu Oren wykrzyknął coś niezrozumiałego. Czują, jak jego obleczony w gumę członek przesuwają się po jej brzuchu, a potem całe jego ciało zastygło i Oren ugryzł ją gwałtownie w ramię. Spuścił się!

- Kurwa! - krzyknął. - Już po wszystkim!

- Nie - powiedziała tuląc go. - Nie, na pewno możesz jeszcze. - Jeśli uzna, że to koniec, z pewnością ją zabije. - Jeszcze wiele razy - szepnęła mu do ucha, które pachniało kurzem. Musiała poślinić palec, żeby troszkę się zwilżyć. Boże, on mi go nigdy nie włoży do środka - pomyślała, ale kiedy namacała go ręką, poczuła, że prezerwatywa jest z rodzaju nasmarowanych.

- Och - powiedział. Leżał na niej spokojnie, jak gdyby zdziwiony, gdzie ona go położyła, jak gdyby nie wiedział, gdzie co jest. - Och - powtórzył.

Och, co teraz? - zastanawiała się Hope. Wstrzymała oddech. Jakiś samochód przemknął koło ich otwartych drzwi jak czerwona smuga - a za nim zamierał w oddali dźwięk klaksonu i jakieś stłumione ironiczne gwizdy. Oczywiście - pomyślała - wyglądamy jak para wieśniaków, którzy się pieprzą na poboczu drogi. Prawdopodobnie takie rzeczy są tu na porządku dziennym. Nikt się nie zatrzyma, chyba że to będzie policja. Wyobraziła sobie, jak nad przechylnym ramieniem Ratha pojawia się pucołowaty policjant konny i wypisuje mandat. „Nie na szosie, przyjacielu” - powiedziałby. A kiedy ona by krzyknęła: „To gwałt! On mnie gwałci!”, mrugnąłby do Orena Ratha.

Oszołomiony Rath zachowywał się tak, jakby czegoś bardzo ostrożnie szukał w

jej wnętrzu. Jeżeli dopiero co się spuścił, to ile mi jeszcze zostało czasu do następnego razu? - myślała Hope. Bardziej przypominał jej kozła niż istotę ludzką, a niemowlęcy bulgot, jaki się wydobywał z jego gardła - gorące tchnienie przy jej uchu - był chyba ostatnim dźwiękiem, jaki się spodziewała usłyszeć.

Brała pod uwagę wszystko, cokolwiek miała w zasięgu wzroku: kluczyki dyndające przy stacyjce były za daleko, żeby mogła do nich sięgnąć, a zresztą co by zrobiła z kluczykami? Bolały ją plecy, więc odepchnęła się ręką od tablicy rozdzielczej, żeby przesunąć jakoś jego ciężar na siebie. Podnieciło go to tak, że coś mruknął.

- Nie ruszaj się! - rozkazał. Próbowwała zastosować się do jego polecenia. - O - powiedział z aprobatą. - Teraz jest dobrze. Zabiję cię naprawdę szybko. Nawet się nie spostrzeżesz. Tak rób jak teraz, to cię dobrze zabiję.

Jej dłoń musnęła metalowy guzik, gładki i okrągły; dotknęła go palcami, nie musiała nawet odwracać twarzy od Orena, żeby stwierdzić, co to jest. Poczula nagle na rękę ciężar zwolnionej przez sprężynę klapy. Powiedziała głośno, przeciągle „Aaaach”, żeby zagłuszyć odgłos przesuwanych ręką w schowku rupieci. Dotknęła szmaty, palcami poczuła żwir. Była tam szpula drutu, coś ostrego, ale zbyt małego - jakieś śrubki, gwoździe, rygiel, być może jakiś zawias. Ale nic, co by jej się nadało. Kiedy usiłowała pomacać głębiej, zabolą ją ramię - pozwoliła ręce opaść na podłogę szoferki. Minęła ich następna ciężarówka, wśród gwizdów i pisku klaksonu, nie zwalniając nawet na tyle, żeby jej pasażerowie mogli im się lepiej przyjrzeć. Hope zaczęła płakać.

- Jednak muszę cię zabić - jęknął Oren Rath.

- Czy robiłeś to już wcześniej? - spytała.

- Jasne - odparł i wszedł w nią głębiej, idiotycznie, jakby jego bezduszne sztосьy mogły zrobić na niej jakiegokolwiek wrażenie.

- I tamte też zabijałeś? - spytała Hope. Jej ręka, błądząca teraz po podłodze szoferki, natrafiła na coś, na jakiś materiał.

- To były zwierzaki - przyznał Rath. - Ale też je musiałem pozabijać. - Hope ogarnęło obrzydzenie, jej palce zamknęły się na czymś - była to jakaś stara kurtka czy coś w tym rodzaju.

- Świnie? - spytała.

- Świnie! - wykrzyknął. - Kurwa, nikt nie pieprzy świń. - Hope pomyślała, że może jednak ktoś pieprzy świnie. - To były owce - wyjaśnił Rath. - i jedno cielę. - Beznadziejna sprawa, Hope wiedziała. Czowała, jak się wewnątrz niej kurczy;

rozpraszała go. Stłumiła szloch, który czuła, że rozsądzi jej czaszkę, jeśli nie da mu ujścia.

- Proszę cię, spróbuj być dla mnie miły - powiedziała.

- Nic nie gadaj - uciął. - Ruszaj się tak jak przedtem. Poruszyła się, ale najwyraźniej nie tak, jak sobie życzył.

- Nie! - wrzasnął. Wczepił palce w jej stos pacierzowy. Spróbowała inaczej. - Tak. - Wykonywał teraz ruchy zdecydowane i celowe, mechaniczne, tępe.

O Boże - myślała Hope. - O, Nicky. I Dorsey. Wtedy poczuła, co trzyma w ręku: jego spodnie. Jej palce, obdarzone nagłą mądrością, jakby czytała Braille'a, znalazły suwak i myszkowały dalej. Przerzuciła drobne w kieszeni, przejechała ręką po szerokim pasku.

- Tak, tak, tak - mówił Oren Rath. Owce - myślała Hope. - I jedno ciele.

- Och, proszę cię, skup się! - krzyknęła głośno pod swoim adresem.

- Nie gadać! - warknął Oren Rath.

Ale teraz miała ją już w ręku: długą, twardą skórzaną pochwę. To jest ten mały haczyk - powiedziały jej palce - a to metalowy przycisk. A to - o, tak! - to jest trzonek, kościana rękojeść rybackiego noża, którym zranił jej synka.

Skaleczenie Nicky'ego nie było poważne. Prawdę powiedziawszy, wszyscy się zastanawiali, skąd mu się wzięło. Nicky jeszcze nie umiał mówić. Lubił oglądać w lusterku cieniutki półksiężyc, który już się zbliżył.

- Musiało to być coś bardzo ostrego - powiedział lekarz policjantom. Margot, sąsiadka, uznała, że lepiej wezwać lekarza - znalazła krew na śliniaku małego. Policjanci odkryli jeszcze krew w sypialni: pojedynczą kroplę na kremowej narzucie. Wydało im się to zastanawiające - nie było żadnych innych śladów przemocy, a Margot widziała, jak pani Standish wychodziła. Wyglądało na to, że wszystko jest z nią w porządku. Krew pochodziła z rozciętej wargi Hope - kiedy Oren Rath tryknął ją głową. Ale skąd oni mieli to wiedzieć? Margot uważała, że sprawa mogła mieć charakter seksualny, ale zachowała to dla siebie. Dorsey Standish był zbyt wstrząśnięty, żeby w ogóle móc myśleć. Policjanci uznali, że było za mało czasu na seks. Doktor utrzymywał, że skaleczenie Nicky'ego nie może być skutkiem ciosu, najprawdopodobniej nawet nie upadku.

- Brzytwa? - poddał. - Albo bardzo ostry nóż.

Inspektor policji, zażywny i rumiany mężczyzna na rok przed emeryturą, znalazł w sypialni przecięty przewód telefoniczny.

- Ostry nóż - oświadczył. - Ostry nóż użyty z pewną siłą. - Nazywał się Arden Bensenhaver i był kiedyś nadinspektorem policji w Toledo, ale jego metody uznano za nieortodoksyjne.

Wskazał na policzek Nicky'ego.

- To jest rana zadana nożem składanym. - I zademonstrował odpowiedni ruch ręki w przegubie. - Ale tu w okolicy prawie się nie spotyka noży składanych - poinformował ich Bensenhaver. - Rana wygląda jak od sprężynowca, ale najprawdopodobniej została zadana nożem myśliwskim albo rybackim.

Margot opisała Orena Ratha jako wiejskiego chłopaka w farmerskiej półciężarówce, której kolor zdradzał zgubny wpływ miasta i uniwersytetu na farmerów: była turkusowa. Dorsey Standish zupełnie nie skojarzył sobie tego z turkusową półciężarówką, którą widział przez okno, ani z siedzącą w sfoferce kobietą, która wydała mu się podobna do Hope. W dalszym ciągu nic nie rozumiał.

- Czy zostawili jakąś wiadomość? - spytał. Arden Bensenhaver wytrzeszczył na niego oczy; doktor wbił wzrok w podłogę. - Mam na myśli okup. - Standish jako człowiek konkretny szukał jakiegoś konkretnego punktu zaczepienia. Ktoś powiedział o porwaniu. Czy okup nie jest ściśle związany z porwaniem?

- Nie ma żadnego listu, panie Standish - poinformował go Bensenhaver. - To nie wygląda na tego rodzaju sprawę.

- Kiedy znalazłam Nicky'ego pod drzwiami, oni byli w sypialni - powiedziała Margot. - Ale jak Hope wychodziła, wszystko z nią było w porządku, Dorsey. Widziałam ją.

Nie powiedzieli mu o majtkach Hope, porzuconych na podłodze sypialni; nie mogli znaleźć stanika od kompletu. Margot powiedziała Ardenowi Bensenhaverowi, że Hope należała do kobiet, które zwykle noszą stanik; wyszła z domu boso - wiedzieli i to. No i Margot poznała koszulę Dorseya na tym wiejskim chłopaku. Tablicę rejestracyjną samochodu odczytała tylko częściowo. Była to tablica stanowa prywatnego przedsiębiorcy, której dwie pierwsze cyfry oznaczały ten okręg, ale nie mogła dojrzeć wszystkich.

Tyłna tablica rejestracyjna była zalepiona błotem; przedniej brakowało.

- Znajdziemy ich - powiedział Arden Bensenhaver. - Nie ma tu w okolicy zbyt wiele turkusowych ciężarówek. Chłopcy od szeryfa okręgowego na pewno ją znają.

- Nicky, co się stało? - Dorsey Standish pytał chłopca. Posadził go sobie na kolanach. - Co się stało z mamą? - Mały pokazał za okno. - To znaczy, że on miał

zamiar ją zgwałcić? - Dorsey zwrócił się do wszystkich.

Margot powiedziała:

- Dorsey, poczekajmy, to się dowiemy.

- Poczekajmy? - oburzył się Standish.

- Pan musi mi wybaczyć to pytanie - powiedział Arden Bensenhaver - ale czy pańska żona nie spotykała się z nikim? Pan zapewne wie.

Standish zaniemówił, ale wyglądało na to, że rozważa problem.

- Nie - odpowiedziała Bensenhaverowi Margot. - Absolutnie.

- Ale ja muszę uzyskać odpowiedź od pana Standisha - nalegał Bensenhaver.

- Boże - jęknęła Margot.

- Nie, nie sędzę - powiedział Standish.

- Oczywiście, że nie, Dorsey - zapewniła go. - Chodź, weźmiemy Nicky'ego na spacer. - Była to pracowita, rzeczowa kobieta, którą Hope bardzo lubiła. Z pięć razy w ciągu dnia wychodziła z domu i zawsze była w trakcie kończenia czegoś. Dwa razy do roku wyłączała jej i włączała telefon; przypominało to próby rzucenia palenia przez niektórych ludzi. Margot też miała dzieci, ale starsze, które większą część dnia spędzały w szkole, tak że czasem pilnowała Nicky'ego, żeby Hope mogła sobie coś załatwić. Dorsey Standish brał Margot taką, jaka była; wiedział, że jest szlachetna i życzliwa, ale nie były to cechy charakteru, do których przywiązywał szczególną wagę. Margot, stwierdził teraz, nie jest również specjalnie atrakcyjna, to znaczy w sensie seksualnym - pomyślał i ogarnęło go rozgoryczenie. Jej nikt nigdy nie zgwałcił, podczas kiedy Hope jest piękna, każdy to przyzna. Każdy ma na nią ochotę.

I tu Dorsey Standish mylił się zasadniczo. Nie wiedział o gwałcie najważniejszego: że ofiara prawie się nie liczy. Od czasu do czasu ludzie wymuszają seks niemal na każdym: na bardzo małych dzieciach, na bardzo starych ludziach, nawet na zmarłych; również na zwierzętach.

Inspektor Arden Bensenhaver, który wiele wiedział o gwałcie, oznajmił, że musi dalej zająć się tą sprawą.

Bensenhaver czuł się znacznie lepiej, kiedy miał wokół siebie otwartą przestrzeń. Jego pierwszym zajęciem były nocne rundy w wozie policyjnym po starej szosie nr 2 na odcinku pomiędzy Sandusky i Toledo. Latem ta trasa była usiana barami piwnymi i małymi sztyldami własnej roboty obiecującymi: KREĞLE! BILARD! RYBY WĘDZONE i ŻYWA PRZYNEĘTA! Arden Bensenhaver okręzał wolno zatokę Sandusky i dalej jechał wzdłuż jeziora Erie do Toledo czekając na samochody

wyładowane pijanymi nastolatkami i wędkarzami, którzy na tej nie oświetlonej dwupasmowej szosie grali z nim w kotka i myszkę. Później, już jako nadinspektora Toledo, wożono go w dzień po tym niegroźnym odcinku drogi. Sklepy z przynętą, piwne spelunki i bary szybkiej obsługi - wszystko to w dzień wydawało się takie niewinne. Przypominało awanturnika, będącego niegdyś postrachem, jak się rozbiera do walki: byczy kark, potężny tors, ręce jak bochny i na końcu, po zdjęciu ostatniej koszuli, żaloszny, bezradny kałdun.

Arden Bensenhaver nienawidził nocy. Walczył z władzami o lepsze oświetlenie Toledo w sobotnie wieczory. Toledo było miastem robotniczym i Bensenhaver wierzył, że gdyby mogło sobie pozwolić na to, żeby się oświetlić jasno w sobotnie wieczory, to liczba ran, okaleczeń i szeroko pojętych obrażeń cielesnych spadłaby do połowy. Ale Toledo patrzyło na ten pomysł niechętnym okiem. Toledo lekceważyło pomysły Ardena Bensenhavera w tym samym stopniu, w jakim kwestionowało jego metody.

Teraz, wśród otwartej przestrzeni wiejskiej okolicy, Bensenhaver odżył. Teraz zyskał perspektywę, z której mógł patrzeć na otaczający go niebezpieczny świat, a o to mu zawsze chodziło: krążył nad płaską, rozległą krainą w helikopterze, z góry obserwując zamknięty obszar swojego dobrze oświetlonego królestwa. Zastępca szeryfa okręgowego powiedział:

W okolicy jest tylko jedna turkusowa ciężarówka. Należy do cholernych Rathów.

- Do Rathów?

- To jest cała rodzinna - odparł zastępca szeryfa. - Bardzo nie lubię tam do nich jeździć.

- Dlaczego? - spytał Bensenhaver; patrzył, jak w dole pod nimi cień helikoptera przecina rzeczkę, potem drogę i sunie najpierw wzdłuż pola kukurydzy, a potem soi.

- Oni wszyscy są niesamowici. - Bensenhaver spojrzał na zastępcę szeryfa: pucołowaty mężczyzna o małych oczkach, ale sympatyczny; długie włosy zwisały mu spod ciasnego kapelusza prawie do ramion. Bensenhaverowi przypominał futbolistów, którym długie włosy wylewają się spod hełmów. Niektórzy mogą je sobie nawet splatać w warkocze - pomyślał. Teraz i przedstawiciele prawa upodobnili się do nich. Był zadowolony, że już wkrótce czeka go emerytura; nie mógł zrozumieć, dlaczego tyle ludzi chce tak głupio wyglądać.

- Niesamowici? - spytał. To samo ich język. Na wyrażenie dosłownie wszystkiego używają czterech lub pięciu słów.

- Właśnie w ubiegłym tygodniu wpłynęła do mnie skarga na tego najmłodszego - powiedział zastępca szeryfa. Bensenhaver zwrócił uwagę na użytą od niechcienia formę „do mnie”, chociaż wiedział, że skarga musiała wpłynąć do samego szeryfa albo do jego biura i szeryf najprawdopodobniej pomyślał, że sprawa jest na tyle prosta, że może tam wysłać swojego młodego zastępcę. Ale dlaczego do tej sprawy dali mi takiego młodzika? - zastanawiał się Bensenhaver.

- Najmłodszy brat ma na imię Oren - wyjaśnił zastępca szeryfa. - Imiona też mają niesamowite.

- A co to była za skarga? - zapytał Bensenhaver. Jego wzrok pobiegł długim wiejskim podjazdem, prowadzącym do czegoś, co przypominało zupełnie przypadkowe skupisko stajni i szop, z których jedna musiała być, jak wiedział, domem mieszkalnym, gdzie żyli ludzie. Ale Arden Bensenhaver nie miał pojęcia, która. Dla niego wszystkie one nie bardzo nadawały się nawet dla zwierząt.

- Ten chłopak, ten Oren - powiedział zastępca szeryfa - pieprzył się tu z czyims psem.

- Pieprzył się? - zapytał Bensenhaver cierpliwie. To może znaczyć praktycznie wszystko, pomyślał.

- Ci ludzie od tego psa - wyjaśnił zastępca - uważali, że Oren chce go zerznąć.

- A on rzeczywiście chciał?

- Najprawdopodobniej. Ale trudno powiedzieć. Jak tam przyjechałem, nie było go w domu, a pies wyglądał normalnie. Zresztą skąd miałem wiedzieć, czy pies został zerżnięty?

- Trzeba go było zapytać - wtrącił się pilot helikoptera, chłopak jeszcze młodszy od zastępcy szeryfa. Nawet zastępca szeryfa spojrzął na niego z pogardą.

- Jeden z tych półgłówków, których nam przysyła Straż Narodowa - szepnęła do Bensenhavera, ale w tym momencie Bensenhaver zauważył turkusową półciężarówkę. Stała zaparkowana na dworze przy niskiej szopie. Nikt nawet nie próbował jej ukryć. W długiej zagrodzie gromada świń miotała się to w tę, to w tamtą stronę, oszalała ze strachu przed unoszącym się nad nimi helikopterem. Dwaj szczupli mężczyźni w kombinezonach kucali przy świni, która leżała rozwalona u stóp rampy prowadzącej do chlewa. Spojrzeli w górę na helikopter osłaniając twarze przed kłusującym kurzem.

- Nie tak blisko, niech pan siądzie na trawie - Bensenhaver polecił pilotowi. - Płoszy pan zwierzęta.

- Nie widzę ani Orena, ani starego - powiedział zastępca szeryfa. - Jest tu ich

więcej.

- To niech pan zapyta tych dwóch, gdzie jest Oren - polecił Sensenhayer. - A ja się przyjrzę tej ciężarówce.

Mężczyźni najwyraźniej znali zastępcę szeryfa; prawie nie patrzyli na niego, kiedy się zbliżał. Ale za to obserwowali Bensenhavera, jak w swoim ciemnym ubraniu i krawacie idzie przez podwórko w kierunku turkusowej ciężarówki. Arden Bensenhaver nie patrzył na nich, ale mimo to ich widział. Debile - pomyślał. Spotykał w Toledo wszelkiego rodzaju złych ludzi - ludzi rozpustnych, ludzi wściekłych bez powodu, ludzi niebezpiecznych, tchórzliwych i odważnych złodziei, ludzi, którzy mordowali dla pieniędzy i którzy mordowali z pobudek seksualnych. Ale tak prostodusznego zepsucia, jakie dostrzegł na twarzach Weldon i Maliny Rathów, nie widział z pewnością. Przejął go dreszcz. Pomyślał, że jednak lepiej byłoby znaleźć panią Standish, i to szybko.

Kiedy Arden Bensenhaver otwierał drzwi turkusowej półciężarówki, nie wiedział dokładnie, czego szuka, ale umiał szukać tego, co nieznanne. Dostrzegł to coś natychmiast; nie było w tym zresztą nic trudnego: przecięty stanik, którego część zwisała w dalszym ciągu przywiązana do zawiasa schowka i pozostałe dwa kawałki na podłodze. Nie było krwi; stanik - w kolorze spokojnego naturalnego beżu - wydał się Bensenhaverowi bardzo elegancki. Nie miał własnego stylu, ale widywał zmarłych wszelkiego autoramentu i po ubraniu potrafił ocenić klasę. Zebrał jedną ręką kawałki jedwabistego stanika; następnie obie ręce włożył do obwisłych, rozepchniętych kieszeni marynarki i ruszył przez podwórko do zastępcy szeryfa, pogrążonego w rozmowie z braćmi Rath.

- Nie widzieli chłopaka przez cały dzień - poinformował Beasenhayera. - Mówią, że Oren czasem nie wraca na noc do domu.

- Zapytaj ich, kto ostatni jeździł tą ciężarówką - polecił Bensenhaver zastępcy szeryfa; nie patrzył na Rathów, traktował ich tak, jakby nie byli zdolni go zrozumieć zapytani wprost.

- Już ich o to pytałem. Twierdzą, że nie pamiętają.

- Spytaj ich, kiedy ostatni raz jechała tą ciężarówką młoda, ładna kobieta - polecił Bensenhaver, ale zastępca szeryfa nie miał casusu zadać tego pytania; Weldon Rath roześmiał się. Bensenhaver odczuł wdzięczność, że ten z plamą na twarzy, podobną do kropli wina, siedzi cicho.

- Bzdura - powiedział Weldon. - Nie ma tu żadnej „ładnej młodej kobiety”,

żadna młoda kobieta nigdy nie posadziła tyłka w tej ciężarówce.

- Powiedz mu - rzekł Bensenhaver do zastępcy szeryfa - że łże.

- Łżesz, Weldon - powiedział zastępca szeryfa.

Malina Rath zwrócił się do zastępcy szeryfa:

- A co on jest, kurwa, za jeden, że tu przyłazi i mówi nam, co mamy robić?

Arden Bensenhaver wyjął z kieszeni trzy kawałki stanika. Spojrzał na maciorę leżącą koło mężczyzn; wyglądało na to, że jedno jej przerażone oko patrzy równocześnie na nich wszystkich; trudno było powiedzieć, gdzie patrzy drugie.

- Czy ta świnia to dziewczyna, czy chłopak? - spytał Bensenhaver.

Bracia Rath wybuchnęli śmiechem.

- Chyba każdy widzi, że to maciora - powiedział Malina.

- Czy kiedykolwiek obcinacie jaja świńskim chłopakom? - zapytał Bensenhaver.

- Czy robicie to sami, czy ktoś wam to robi?

- Sami je kastrujemy - wyjaśnił Weldon. Z pęczkami włosów sterczącymi z uszu sam przypominał knura. - My się znamy na kastrowaniu. To nic wielkiego.

- To posłuchajcie - powiedział Bensenhaver podnosząc w górę stanik, tak żeby i oni, i zastępca szeryfa mogli go sobie dobrze obejrzeć. - To jest właśnie kara, jaką przewiduje nowy kodeks za przestępstwa seksualne. - Ani Rathowie, ani zastępca szeryfa nie odezwali się słowem. - Wszelkie przestępstwa seksualne - ciągnął Bensenhaver - podlegają teraz karze kastracji. Jeżeli ktoś wypieprzy kogoś, kogo nie powinien, albo jeśli w tym w jakikolwiek sposób uczestniczy nie pomagając nam w uniemożliwieniu tego przestępstwa, zostanie wykastrowany.

Weldon Rath spojrział na Malinę, który robił wrażenie z lekka zakłopotanego, a następnie popatrzył z ukosa na Bensenhavera i powiedział:

- Czy robicie to sami, czy ktoś wam to robi? - Trącił łokciem brata. Malina usiłował się uśmiechnąć; jego zamię podjechało do góry.

Ale Bensenhaver miał kamienną twarz; obracał tylko bez przerwy w rękach stanik.

- Oczywiście, że nie my sami - odparł. - Teraz są do tego bardzo nowoczesne urządzenia. Załatwia to Straż Narodowa. Dlatego jesteśmy ich helikopterem. Zabieramy takiego faceta helikopterem do szpitala i zaraz go z powrotem odwozimy. To nic wielkiego. Jak zresztą sami wiecie - zakończył.

- My mamy dużą rodzinę - powiedział Malina Rath. - Jest nas kilku braci. Nie wiemy tak z dnia na dzień, kto jeździ którą ciężarówką.

- Aha, to jest jeszcze jedna, tak? - Bensenhaver zwrócił się do zastępcy szeryfa.

- Nie mówiłeś mi, że jest jeszcze jedna ciężarówka.

- Tak, czarna. Zapomniałem. Mają jeszcze czarną. - Rathowie skinęli głowami.

- A gdzie ona jest? - zapytał Bensenhaver. Był opanowany, ale napięty.

Bracia spojrzeli po sobie. Weldon powiedział:

- Już od jakiegoś czasu jej nie widzę.

- Może ma ją Oren - odezwał się Malina.

- A może ojciec - dodał Weldon.

- Nie mamy czasu na takie bzdury - Bensenhaver rzekł ostro do zastępcy szeryfa. - Najpierw sprawdzimy, ile oni ważą, a potem spytamy pilota, czy ich weźmie.

- Zastępca szeryfa, pomyślał Bensenhaver, to prawie taki sam debil jak bracia Rath. - No dalej! - zwrócił się do niego. A następnie, ze zniecierpliwieniem, do Weltona Ratha: - Imię?

- Weldon - odparł Weldon.

- Waga?

- Waga? - zdziwił się Weldon.

- Ile ważysz. Skoro mamy cię taszczyć helikopterem, musimy wiedzieć, ile ważysz.

- Osiemdziesiąt jeden z czymś - odparł Weldon.

- A ty? - Bensenhaver spytał młodszego.

- Osiemdziesiąt sześć z czymś - odparł tamten. - Mam na imię Malina. - Bensenhaver zamknął oczy.

- To jest razem ponad sto sześćdziesiąt siedem - zwrócił się do zastępcy szeryfa.

- Idź, zapytaj pilota, czy możemy tyle wziąć.

- Ale nigdzie nas teraz nie zabieracie, co? - rzekł Weldon.

- Zabieramy was tylko do szpitala Gwardii Narodowej - powiedział Bensenhaver. - A jak znajdziemy kobietę i okaże się, że wszystko jest z nią w porządku, odwieziemy was z powrotem do domu.

- A jak z nią nie jest w porządku, to mamy prawo do adwokata, tak? - spytał Malina. - Z tych, co to są tam w sądach, tak?

- Jeśli z kim nie jest wszystko w porządku? - zapytał Bensenhaver.

- No, z tą kobietą, której szukacie - wyjaśnił Malina.

- No więc jeżeli z nią nie będzie wszystko w porządku - rzekł Bensenhaver - to was kastrujemy w szpitalu i jeszcze tego samego dnia odsyłamy do domu. Wy,

chłopcy, lepiej ode mnie wiecie, na czym to polega. Ja nigdy nie widziałem, jak się to robi, ale to chyba nie trwa długo, prawda? I nie krwawi specjalnie, co?

- Ale przecież jest chyba sąd i adwokat! - wykrzyknął Malina.

- Jasne, że jest - warknął Weldon - zamknij się.

- Nie, sądy za te rzeczy się skończyły, nowy kodeks nie przewiduje żadnych sądów - powiedział Bensenhaver. - Przepięstwa seksualne to kategoria specjalna, a przy tych nowoczesnych urządzeniach wykastrowanie faceta stało się tak proste, że jest to najsensowniejsze, co może być.

- W porządku! - wrzasnął z helikoptera zastępca szeryfa. - Waga jest dobra. Możemy ich brać.

- Bzdury! - powiedział Malina.

- Zamknij się! - skarcił go Weldon.

- Mnie tam jaj nie obetną! - wydarł się na niego Malina. - Ja tam się do niej nie dobieierałem. - Weldon tak mocno walnął Malinę w żołądek, że młodszy brat zatoczył się na bok i wylądował na rozwalonej świni. Maciora kwiknęła, jej krótkie nogi zadrgały spazmatycznie, sfajdała się nagle i straszliwie, ale poza tym się nie poruszyła. Malina leżał z trudem łapiąc oddech koło cuchnących świńskich odchodów, a Arden Bensenhaver usiłował wsadzić Weldonowi Rathowi kolano w krocze. Ale Weldon okazał się dość szybki; chwycił Bensenhavera za nogę w kolanie i przerzucił go za siebie, za Malinę i za nieszczęsną maciorę.

- Cholera! - krzyknął Bensenhaver.

Zastępca szeryfa wyciągnął spluwę i oddał jeden strzał w powietrze. Weldon padł na kolana trzymając się za uszy.

- Nic się panu nie stało, inspektorze? - zapytał zastępca szeryfa.

- Jasne, że nic - odparł Bensenhaver. Siedział obok świni i Maliny. Bez cienia wstydu stwierdził, że w większym czy mniejszym stopniu czuje się z nimi równy. - Malina - powiedział (na samą myśl o tym imieniu zamykał oczy) - jeśli nie chcesz się rozstać ze swoimi jajami, to masz natychmiast powiedzieć, gdzie jest kobieta.

Znamień mężczyzny zapłonęło w stronę Bensenhavera jak neon.

- Morda w kubek, Malina - ostrzegł Weldon. Bensenhaver zwrócił się do zastępcy szeryfa:

- Jeśli jeszcze raz otworzy gębę, odstrzel mu jaja tu na miejscu. To nam oszczędzi podróży. - Miał nadzieję, że zastępca szeryfa nie okaże się takim idiotą, żeby w razie czego wykonać to polecenie.

- Jest z Orenem - powiedział Malina. - To on wziął czarną ciężarówkę.
- Dokąd on ją zabrał? - zapytał Bensenhaver.
- Nie wiem - odparł Malina. - Na przejażdżkę.
- Czy była w porządku, kiedy stąd odjeżdżała?
- Chyba tak - odrzekł Malina. - To znaczy Oren jej chyba jeszcze nie ruszył.

Chyba jej jeszcze nie miał.

- A dlaczego? - zapytał Bensenhaver.

- No bo jakby ją już miał, to po co by ją jeszcze trzymał? - wyjaśnił Malina. Bensenhaver znów zamknął oczy. Wstał.

- Ustal, jak dawno to było - polecił zastępcy szeryfa. - A potem załatw im tak tę turkusową ciężarówkę, żeby się w niej nie mogli ruszyć. I wracaj do helikoptera.

- A ich mam tu zostawić? - spytał zastępca szeryfa.

- Jasne - odparł Bensenhaver. - Będzie dość czasu później, żeby im obciąć jaja.

Arden Bensenhaver polecił pilotowi przekazać wiadomość, że porywacz nazywa się Oren Rath i że jest czarną, a nie turkusową ciężarówką. Ta informacja w interesujący sposób nałożyła się na inną: otóż policjant konny z policji stanowej otrzymał wiadomość, że samotny mężczyzna w czarnej półciężarówce w niebezpieczny sposób prowadzi swój wóz to zjeżdżając, to wjeżdżając na swoje pasmo ruchu, „jakby był pijany albo pod wpływem narkotyków, albo coś w tym rodzaju”. Policjant nie pojechał za nim, ponieważ był zdania, że przede wszystkim powinien uważać na turkusową ciężarówkę. Arden Bensenhaver nie mógł oczywiście wiedzieć, że faktycznie mężczyzna w czarnej ciężarówce nie był sam - że Hope Standish leżała z głową na jego kolanach. Ta wiadomość przejęła więc Bensenhavera dreszczem: jeżeli Rath jest sam, to znaczy, że już coś zrobił kobiecie. Wrzasnął więc do zastępcy szeryfa, żeby się pospieszył do helikoptera - że mają szukać czarnej półciężarówki, którą ostatnio widziano na okrężnicy przecinającej system wiejskich dróg w pobliżu miasta Sweet Wells.

- Znasz je? - spytał Bensenhaver.

- Aha - odparł zastępca szeryfa.

Znów znaleźli się w powietrzu, a pod nimi znów świnie miały się w panice. Biedna, poddana kuracji maciora, na którą padali, leżała nieruchomo jak na początku. Ale bracia Rathowie bili się, i to całkiem ostro; im więc wyżej i dalej wznosił się helikopter, tym bardziej świat wracał do poziomu normalności, który Arden Bensenhaver akceptował. Kiedy już maleńkie walczące postacie pod nimi trochę na wschód

zmały do rozmiarów miniaterek, a sam Bensenhaver znalazł się daleko od ich krwi i strachu, i kiedy zastępca szeryfa powiedział, że jego zdaniem Malina należy Weldona, o ile ten nie da się zastraszyć - wtedy inspektor roześmiał się z kamienną twarzą jak za dawnych czasów w Toledo.

- To przecież zwierzęta - zwrócił się do zastępcy szeryfa, który mimo całego okrucieństwa i cynizmu młodego wieku wydawał się wstrząśnięty. - Jeśli się nawzajem pozabijają, pomyśl o żywności, którą by zjedli przez całe życie, a która mogłaby przypaść innym. - Zastępca szeryfa zorientował się, że kłamstwo Bensenhavera na temat nowego prawa mówiącego o natychmiastowej kastracji za przestępstwa seksualne, było czymś więcej niż tylko czystą fantazją: dla Bensenhavera bowiem - który przecież wiedział doskonale, że nie jest to prawo - prawo powinno być właśnie takie. Była to jedna z metod Bensenhavera rodem z Toledo.

- Biedna kobieta - powiedział. Wykręcał w swoich żyłastych rękach kawałki jej stanika. - W jakim wieku jest Oren? - zapytał zastępcę szeryfa.

- Może szesnaście, może siedemnaście lat. Dzieciak. - Zastępca szeryfa sam miał przynajmniej dwadzieścia cztery.

- Jeżeli jest dostatecznie dorosły, żeby mu stanął - oświadczył Arden Bensenhaver - to jest dostatecznie dorosły, żeby mu go obciąć.

Ale co ja mam mu obciąć? Och, gdzie mam ciąć? - zastanawiała się Hope; długi, cienki nóż rybacki czuła dobrze w ręce. Krew pulsowała jej w dłoni, ale Hope wydawało się, że to nóż ma swoje własne serce, które bije. Bardzo wolno uniosła rękę do poziomu biodra, ponad krawędź wygniecionej siedzienia, tak żeby móc zobaczyć ostrze. Czy mam użyć tego zębatego, czy tego, które wygląda na bardzo ostre? - rozmyślała. Jak się zabija człowieka czymś takim? Koło spoconego, wiercącego się tyłka Orena Ratha ten nóż w jej ręce wydawał się chłodnym i odległym cudem. Czy mam ciąć, czy dźgać? Żałowała, że nie wie. Obie gorące dłonie trzymał pod jej pośladkami - unosząc ją, podrywając do góry. Wbijał jej brodę w zagłębienie koło obojczyka jak twardy kamień. A potem poczuła, jak jedną rękę wysuwa spod jej pośladka i jak jego palce sięgające do podłogi muskają jej dłoń z nożem.

- Ruszaj się! - burknął. - Teraz, ruszaj się! - Usiłowała wygiąć plecy - nie mogła; usiłowała skrócić się w biodrach - na próżno. Czuła, że Oren szuka swojego własnego rytmu, że próbuje znaleźć to właściwe tempo, które go doprowadzi do finału. Jedną dłoń trzymając rozpostartą pod jej plecami, drugą macał po podłodze.

Nagle zrozumiała: szuka noża. A kiedy namaca pustą pochwę, Hope znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Aaaach! - wykrzyknął.

Szybko - pomyślała. - Między żebra? Wbić mu nóż w bok i pojechać do góry albo prosto w dół, z całej siły, pomiędzy łopatki, tak żeby od tyłu dobrać się do płuc, aż poczuje czubek noża swoją przygniecioną piersią? Machnęła ręką w powietrzu nad jego przygarbionymi plecami. Dostrzegła oleisty błysk ostrza i jego rękę, jak nagle unosi się i rzuca pustymi spodniami o kierownicę.

Usiłował odepchnąć się od niej, ale dolną część ciała przykuł mu długo poszukiwany rytm; jego biodrami wstrząsały lekkie spazmy, nad którymi wyraźnie nie panował - oderwał pierś od jej piersi, rękami wparł się mocno w jej ramiona. Widziała, jak kciuki Orena pełzną do jej gardła.

- Gdzie mój nóż? - Łomotał głową w tył i w przód; spojrzął za siebie, spojrzął w górę; kciukami podbił jej podbródek, próbowała ukryć jabłko Adama.

Ciachnęła biały tyłek. Nie mógł zaprzestać rytmicznych ruchów, chociaż świadomość musiała mu podpowiedzieć, że nagle zaistniało coś ważniejszego.

- Gdzie mój nóż? - powtórzył. Sięgnęła przez jego ramię i (szybciej, niż sama to mogła zobaczyć) przejechała mu wąskim ostrzem po gardle. Przez moment nie widziała żadnej rany. Wiedziała tylko, że on ją dusi. A potem jedną ręką Oren puścił jej gardło i sięgnął do własnego. Ukrył przed nią cięcie, które się spodziewała zobaczyć. W końcu jednak spostrzegła, jak spomiędzy jego kurczowo zaciśniętych palców tryska ciemna krew. Kiedy odjął dłoń - szukając jej ręki, tej z nożem - z rozchlastanego gardła wydobyła się wielka bańka, która pękła nad Hope. Usłyszała dźwięk, jakby ktoś sięgnął słomką dna naczynia próbował wysać resztki płynu. Mogła znów oddychać. Gdzie są jego ręce? - zastanawiała się. Nagle jak gdyby opadły koło niej na siedzeniu, trzepocząc się jak spłoszone ptaki za jego plecami.

Wbiła mu długie ostrze dokładnie nad talią - musiała trafić na nerkę, tak łatwo weszło i wyszło. Oren Rath przyłożył policzek do jej policzka jak dziecko. Krzyczałby oczywiście, gdyby nie to, że miał przeciętą dokładnie tchawicę i struny głosowe.

Hope usiłowała teraz wbić nóż wyżej, ale natrafiła na żebro czy jakąś inną przeszkodę; musiała próbować ostrożnie, więc wyciągnęła go niezadowolona z głębokości zaledwie kilku cali. Oren wiercił się teraz na niej, jakby chciał z niej zejść. Jego ciało słało sygnały ostrzegawcze, ale te sygnały nie docierały, gdzie trzeba. Dźwignął się z pomocą oparcia, ale nie mógł utrzymać głowy sztywno, a poruszający

się jeszcze ciągle członek wiązał go dalej z Hope. Skorzystała z tej okazji, żeby mu jeszcze raz wbić nóż. Ześliznął się z boku do brzucha i pojechał prosto zatrzymując się w odległości mniej więcej cala od pępka, gdzie napotkał na jakąś większą przeszkodę - ciało Orena runęło na nią z powrotem przygniatając jej przegub ręki. Ale był to drobiazg: wywinęła rękę uwalniając bez trudu śliski nóż. Puściło coś, jakby jego wnętrzności. Hope była przytłoczona jego mokrością i odorem. Upuściła nóż na ziemię.

Oren Rath opróżnił się całymi litrami - galonami. Leżąc na niej wydawał się coraz lżejszy. Ich ciała były tak śliskie, że Hope bez trudu wysunęła się spod niego. Przewróciła go na plecy i przykucnęła koło niego na zalanej podłodze szoferki. Jej włosy były brzemienne jego krwią; z przeciętego gardła tryskała na nią fontanna. Kiedy zamrugła, rzęsy przyklepiły jej się do policzków. Zadręła mu ręka; Hope uderzyła ją.

- Przestań! - powiedziała. Jego kolano uniosło się i klapnęło. - Dość. Przestań, ale już! - Miała na myśli serce Orena, jego życie.

Nie chciała patrzeć na jego twarz. Na tle ciemnej mazi pokrywającej całe ciało biały przezroczysty kondom powlekał skurczony członek jak zakrzepła ciecz, obca organicznej materii krwi i wnętrzności. Hope przypomniało się ZOO i plwocina wielbłąda na jej czerwonym swetrze.

Jądra skurczyły mu się. Rozzłościło ją to.

- Przestań! - syknęła. Małe, okrągłe i twarde jądra opadły sflaczałe. - Proszę cię, przestań! - wyszeptła. - Umrzyj. - Rozległo się cichutkie westchnienie, jakby ktoś wypuścił dech bardzo delikatnie, niemal bez wciągania powietrza. Ale Hope przez jakiś czas kuciała przy nim, czując, jak wali jej serce, i myląc własny puls z jego pulsem. Umarł całkiem szybko - doszła później do wniosku.

Na zewnątrz, za otwartymi drzwiami ciężarówki, czyste, białe stopy Orena Ratha woskowymi palcami wskazywały w górę, w słońce. W rozprażonej szoferce krzepła krew. Wszystko się zsiadało. Hope Standish czuła, jak małe włoski na jej rękach sztywnieją i ściągają wysychającą skórę. Wszystko, co było śliskie, stawało się lepkie.

Powinam się ubrać - pomyślała. Ale coś było chyba nie w porządku z pogodą. Przez okna ciężarówki widziała, jak mruga słońce - niby lampa, która sączy światło przez skrzydełka szybkoobrotowego wentylatora. Żwir na drodze unosił się w małych wirach, a suche plewy i kawałki słomy - pozostałość po zeszłorocznej kukurydzy -

gnały po płaskiej, nagiej ziemi, jak gdyby pędzone wielkim wiatrem, tyle że ten wiatr nie wiał ze zwykłego kierunku: wyglądało na to, że dmie prosto w dół. A ten hałas! Przypominał pogłos po pędzącej ciężarówce, ale na drodze w dalszym ciągu nie było żadnego ruchu.

Trąba powietrzna! - pomyślała Hope. Nie znosiła Środkowego Zachodu z jego kapryśną pogodą; pochodziła ze Wschodu i mogła zrozumieć huragan. Ale trąba powietrzna! Nigdy czegoś takiego nie przeżyła, choć prognozy pogody były zawsze pełne ostrzeżeń przed trąbą powietrzną. Po co te ostrzeżenia? - zastanawiała się często. Pewnie przed tym wirującym łomotem, który ją teraz otaczał. Przed tymi latającymi grudami ziemi. Słońce zrobiło się brązowe. Była tak wściekła, że uderzyła Orena Ratha w zimne, lepkie udo. Ledwie przeżyła coś takiego, a tu jeszcze ta pieprzona trąba powietrzna! Hałas był taki, jakby pociąg przejechał po ostrzelanej ciężarówce. Hope wyobrażała sobie wielki lej, który już wessał inne ciężarówki i samochody. Słyszała niemal ich pracujące silniki. Przez otwarte drzwi sypnęło piachem, który przyłgnał do jej lepkiego ciała; zaczęła szukać sukienki - w miejscach, gdzie były rękawy, namacała dziury; trudno, nic na to nie poradzi.

Ale żeby ją włożyć, będzie musiała wysiąść z ciężarówki. Koło Ratha i tej całej jatki, teraz obsypanej piachem, nie było bowiem miejsca. A tam, na zewnątrz, nie miała najmniejszych wątpliwości, wichura wyrwie jej z rąk sukienkę, a ją samą wessie nago do nieba.

- Wcale nie żałuję - wyszeptała. - Wcale nie żałuję! - krzyknęła i znów uderzyła martwe ciało Ratha.

A potem głos, straszliwy jak z najgłośniejszego megafonu - przeszył ją wewnątrz szoferki:

- Jeśli tam jesteś, to wyjdź do jasnej cholery! Załóż ręce na głowę. Wyłaź! Wejdź do skrzyni ciężarówki i połóż się!

Ja już nie żyję - pomyślała Hope. - Ja już jestem w niebie, a to jest głos Boga. Była niewierząca i to właśnie pasowało do jej wyobrażeń: jeśli jest Bóg, to Bóg ma taki gburowaty głos jak ze szczekaczki.

- No, wychodź - powiedział Bóg. - Ale już.

Dlaczego nie? - pomyślała. Ty wielki oszuście. Ciekawe, co jeszcze możesz mi zrobić? Gwałt to grzech, którego nawet Bóg nie rozumie.

W helikopterze, dygocącym w górze nad czarną ciężarówką, Arden

Bensenhaver szczełał przez głośnik. Był pewny, że pani Standish nie żyje. Nie potrafił rozpoznać płci stóp wystających przez otwarte drzwi szoferki, ale podczas schodzenia helikopterem do lądowania te stopy nawet nie drgnęły i wydawały się w blasku słońca tak nagie i tak wyprane z wszelkiego koloru, że Bensenhaver uznał je bez wątpienia za stopy martwe. Ale że martwy może być Oren Rath, nie przyszło do głowy ani jemu, ani zastępcy szeryfa.

Ponieważ jednak nie mogli zrozumieć, dlaczego Rath miałby opuścić wóz po dokonaniu swoich niecných czynów, Bensenhaver przykazał pilotowi tkwić nad ciężarówką.

- Jeżeli on tam jest z nią w dalszym ciągu - powiedział do zastępcy szeryfa - to może uda nam się przestraszyć skurwysyna na śmierć.

Kiedy Hope Standish prześliznęła się między sztywnymi stopami i skuliła pod ścianą szoferki usiłując osłonić oczy przed latającym piaskiem, Arden Bensenhaver poczuł, jak jego palec, napięty na wyłączniku mikrofonu, opada. Hope próbowała zakryć sobie twarz powiewającą sukienką, która trzepotała wokół niej jak żagiel na wietrze; po omacku szła wzdłuż ciężarówki aż do tylnej klapy, skulona przed kłającym żwirem, który przylepiał jej się do skóry w miejscach, gdzie krew jeszcze całkowicie nie wyschła.

- To kobieta - powiedział zastępca szeryfa.

- Daj do tyłu! - polecił pilotowi Bensenhaver.

- Jezus, co jej się stało? - zapytał przerażony zastępca szeryfa. Bensenhaver szorstko wręczył mu mikrofon.

- Ruszamy - zwrócił się do pilota. - Usiądź po drugiej stronie drogi.

Hope poczuła, że wiatr się zmienia; huk trąby powietrznej jakby się nad nią przewalił. Uklękała przy drodze. Oszałała sukienka uspokoiła się w jej rękach. Dławiąc się pyłem Hope przytknęła ją do ust.

Minął ją samochód, ale go nawet nie dostrzegła. Jadący swoim pasmem kierowca miał po prawej stronie stojącą na poboczu czarną ciężarówkę, a po lewej siadający na poboczu helikopter. Zakrwawiona kobieta, pogrążona w modlitwie, naga i oblepiona żwirem, nawet nie zauważyła, jak koło niej przejeżdżał. Wydała mu się aniołem w drodze powrotnej z piekła. Jego reakcja była tak spóźniona, że dopiero kiedy zostawił całą tę scenę o jakieś sto jardów w tyle, ze zdumieniem zawrócił. Nie zwalniając. Przednimi kołami wjechał na miękkie pobocze, przeleciał poślizgiem przez rów przydrożny i zarył się aż po zderzaki w świeżo zoranym na wiosnę polu fasoli. Nie

mogąc otworzyć drzwi odkręcił okno i przez szmat pulchnej ziemi spojrzął ku drodze - jak gdyby siedział sobie spokojnie na molo, które nagle oderwało się od lądu i podryfowało w morze.

- Ratunku! - krzyknął. Widok kobiety przeraził go nie na żarty; obawiał się, że może być w pobliżu takich więcej albo że ten, co ją tak urządził, szuka właśnie następnej ofiary.

- Jezus Maria - powiedział Arden Bensenhaver do pilota. - Musisz iść i zobaczyć, czy temu kretynowi nic się nie stało. Dlaczego prawo jazdy dają każdemu bez wyboru? - Bensenhaver i zastępca szeryfa wyskoczyli w tę samą grząską mazię, w której uwiązał kierowca. - Cholera jasna! - zaklął Bensenhaver.

- Matko - rzekł zastępca szeryfa.

Z drugiej strony szosy Hope Standish spojrziała na nich po raz pierwszy. Dwóch przeklinających mężczyzn brnęło ku niej wyłoniwszy się z błotnistej polny. Śmigło helikoptera zwalniało. Był także mężczyzna, który gapił się głupio przez okno swojego samochodu, ale to wydało jej się czymś bardzo odległym. Hope włożyła sukienkę przez nogi. Jeden otwór po rękawie został rozdarty i musiała przytrzymać łokciem strzęp materiału, w przeciwnym razie miałyby pierś na wierzchu. Właśnie wtedy poczuła, jak obolała ma szyję i ramiona.

Nagle wyrósł przed nią Arden Bensenhaver, bez tchu i utyłany do kolan. Błoto tak oblepiło mu spodnie wokół łydek, że Hope wydał się starym człowiekiem w pumpach.

- Pani Standish? - Odwróciła się do niego tyłem i zakrywszy twarz skinęła głową. - Tyle krwi - powiedział bezradnie. - Bardzo mi przykro, że to trwało tak długo. Czy nic się pani nie stało?

Hope odwróciła się i wbiła wzrok w Bensenhavera. Zobaczył opuchliznę wokół jej oczu, złamany nos i siny guz na czole.

- To w większości jego krew - wyjaśniła. - Ale zostałam. zgwałcona. Zrobił to jednak.

Bensenhaver wyjął chusteczkę; miał zamiar wytrzeć jej twarz., tak jakby wycierał buzię dziecku, ale zrozumiał, jak beznadziejna byłaby to sprawa, i schował chusteczkę z powrotem.

- Przykro mi - powiedział. - Tak mi przykro. Przylecieliśmy tu, jak mogliśmy najprędzej. Widzieliśmy pani małego, jest cały i zdrow - dodał.

- Musiałam go wziąć do ust - oświadczyła Hope. Bensenhaver zamknął oczy. -

A potem on mnie pieprzył i pieprzył. I miał mnie zabić, później, powiedział mi, że to zrobi. Musiałam z nim skończyć i wcale tego nie żałuję.

- Naturalnie, że nie. Nie ma czego, pani Standish - uspokoił ją Bensenhaver. - Jestem przekonany, że nic lepszego nie mogła pani zrobić. - Skinęła głową, po czym spojrzała na swoje stopy. Sięgnęła ręką do ramienia Bensenhavera, który pozwolił jej się wesprzeć, chociaż była od niego nieznacznie wyższa i żeby mu położyć głowę na ramieniu, musiała się trochę przygiąć.

Dopiero wtedy Bensenhaver zdał sobie sprawę z obecności zastępcy szeryfa; młody człowiek poszedł mianowicie do szoferki zobaczyć Orena Ratha, i teraz, na oczach pilota, który właśnie prowadził zszokowanego kierowcę unieruchomionego samochodu, obrzygał cały przedni zderzak ciężarówki. Zastępca szeryfa, z twarzą bez kropli krwi, koloru stóp Orena Ratha w słońcu, prosił Bensenhavera, żeby przyszedł i zobaczył, ale inspektor usiłował na wszelkie możliwe sposoby podtrzymać na duchu panią Standish.

- A więc zabiła go pani już po tym, jak panią zgwałcił, kiedy był odprężony, w chwili nieuwagi?

- Nie, w trakcie - wyszeptała mu w szyję. Jej straszliwy fetor niemal dosięgnął Bensenhavera, ale inspektor trzymał twarz bardzo blisko, tak żeby ją dobrze słyszeć.

- To znaczy chce pani powiedzieć, że dokładnie w tym czasie, kiedy on panią gwałcił, tak, pani Standish?

- Tak - szepnęła. - Był jeszcze we mnie, kiedy namacałam jego nóż. Miał go w spodniach, które leżały na podłodze. Zamierzał mnie nim zabić, jak skończy, więc musiałam to zrobić.

- Oczywiście, że pani musiała - uspokoił ją Bensenhaver. - To nie ma znaczenia. - Chciał powiedzieć, że i tak powinna go była zabić, nawet gdyby on nie miał takich zamiarów. Dla Ardena Bensenhavera nie było zbrodni ponad gwałt - z wyjątkiem może morderstwa popełnionego na dziecku. Ale na ten temat niewiele wiedział; nie miał dzieci.

Był żonaty od siedmiu miesięcy, kiedy jego ciężarna żona została zgwałcona w pralni, podczas kiedy on czekał na nią w samochodzie na zewnątrz. Zrobiło to trzech chłopaków. Otworzyli drzwi jednej z dużych suszarek, a następnie wsadzili jej głowę do ciepłego bębna, gdzie mogła sobie do woli krzyczeć w tłumiące dźwięk nagrzone prześcieradła i poszewki i słuchać, jak jej własny głos odbija się echem w wielkim metalowym bębnie. Ręce miała w suszarce razem z głową, więc była całkowicie

bezbronna. Nogami nawet nie dostawała ziemi. Wsparta na drzwiach podskakiwała jak piłka pod każdym z nich, chociaż najprawdopodobniej usiłowała się nie ruszać. Oczywiście nie mieli zielonego pojęcia, że gwałcą żonę inspektora policji. I nic by jej nie pomogło nawet najlepsze oświetlenie centrum Toledo w sobotnie wieczory.

Bensenhaverowie wstawali wcześnie. Byli jeszcze młodzi i w poniedziałki rano przed śniadaniem razem zanosili pranie do automatu; podczas prania czytali gazety. Potem wkładali bieliznę do suszarki i szli do domu na śniadanie. Jadąc do śródmieścia z mężem, który udawał się do komisariatu, pani Bensenhaver odbierała pranie. Inspektor czekał wtedy na zewnątrz w samochodzie. Bywało, że w czasie ich śniadania ktoś wyjął bieliznę i wtedy pani Bensenhaver musiała ją włożyć jeszcze raz i włączyć suszarkę na kilka minut. Ale lubili załatwiać to wczesnym rankiem, bo mało kto korzystał wtedy z automatu.

Tamtego dnia Bensenhaver zaniepokoił się, co żona robi tak długo, dopiero kiedy zobaczył trzech wyrostków opuszczających pralnię. Ale ostatecznie zgwałcenie kogoś, nawet trzykrotne, nie wymaga tak znów wiele czasu. Bensenhaver wszedł do pralni, gdzie zobaczył nogi swojej żony sterczące z bębna suszarki; pantofle spadły jej z nóg. Nie były to pierwsze martwe nogi, jakie Bensenhaver widział w życiu, ale były to nogi bardzo dla niego ważne.

Pani Bensenhaver udusiła się we własnej czystej bielinie albę zwymiotowała i udławiła się własnymi wymiotami - w każdym razie sprawcy nie mieli zamiaru jej zabić. Ta część stanowiła przypadek i na sprawie wiele było szumu wokół nie zamierzonego zabójstwa. Adwokat oskarżonych powiedział, że chcieli ją „jedynie zgwałcić”, a nie zgwałcić i zabić. I to sformułowanie „jedynie zgwałcić” - można by równie dobrze powiedzieć: „Została jedynie zgwałcona, szczęściara, a mogła zostać zabita” - przeraziło Ardena *Bensenhavera*.

- To dobrze, że go pani zabiła - szepnął do Hope Standish. - My byśmy nie mogli nawet w części zapłacić mu za to, co zrobił - zwierzył jej się. - Nawet w części. Brawo - dodał - brawo!

Hope spodziewała się ze strony policji czegoś zupełnie innego, znacznie bardziej krytycznego dochodzenia - a przynajmniej bardziej podejrzliwego funkcjonariusza, kogoś zupełnie innego niż Arden Bensenhaver. W każdym razie była szczęśliwa, że Bensenhaver jest stary - musiał mieć po sześćdziesiątce - że może go traktować jak wuja albo nawet kogoś jeszcze bardziej dalekiego seksualnie: dziadka. Powiedziała, że czuje się już lepiej, że jest z nią wszystko w porządku. Kiedy się

wyprostowała i stanęła w pewnej odległości od niego, stwierdziła, że pobrudziła mu kołnierzyk koszuli i policzek krwią, ale Bensenhaver albo tego nie zauważył, albo się tym nie przejmował.

- Dobra, pokaż mi! - zwrócił się do zastępcy szeryfa, ale znów uśmiechnął się życzliwie do Hope. Zastępca szeryfa zaprowadził go do otwartej szoferki.

- O Boże - mówił właśnie kierowca samochodu, który utknął. - Jezus Maria, spójrzcie na to, co to takiego? Chryste, popatrzcie, to chyba wątroba. Czy to nie jest podobne do wątroby? - Pilot gapił się w niemym zdumieniu, a Bensenhaver złapał obu mężczyzn za ramiona i szorstko odprowadził na bok. Ruszyli w stronę skrzyni ciężarówki, gdzie Hope próbowała się jako tako doprowadzić do porządku. Bensenhaver syknął do nich:

- Tylko z daleka od pani Standish. Z daleka od ciężarówki. Idź i podaj przez radio nasze położenie - zwrócił się do pilota. - Będzie im potrzebna karetka pogotowia czy coś w tym rodzaju. My zabierzemy ze sobą panią Standish.

- Będzie im potrzebny plastikowy worek - powiedział zastępca szeryfa wskazując Orena Ratha. - Pełno go tu wszędzie.

- Widzę - uciął krótko Arden Bensenhaver. Zajrzał do szoferki i gwizdnął z podziwem.

Zastępca szeryfa zaczął pytać:

- Czy on to robił, kiedy...

- Dobra jest - przerwał mu Bensenhaver. Wsadził rękę w jakieś koszmarne świństwo koło pedału gazu, ale najwyraźniej nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Szukał noża na podłodze po stronie pasażera. Wziął go przez chustkę do nosa, obejrzał starannie, zawinął w chustkę i schował do kieszeni.

- Proszę popatrzeć - szepnął zastępca szeryfa tonem konspiracyjnym. - Czy widział pan kiedy, żeby gwałciciel używał gumy?

- Nie jest to powszechne - odparł Bensenhaver - ale zdarza się.

- Dla mnie to jest niesamowite - rzekł zastępca szeryfa. Patrzył osłupiały, jak Bensenhaver ścisną mocno prezerwatywę dokładnie poniżej zbiorniczka; inspektor ściągnął prezerwatywę i nie uroniwszy nawet kropelki z jej zawartości, uniósł do światła. Obszerny zbiorniczek, wielkości piłki tenisowej, nie przeciekał. Był pełen krwi.

Bensenhaver robił wrażenie zadowolonego; zawiązał węzełek na prezerwatywie, jak się związuje baloniki, i cisnął w pole fasolowe tak daleko, że

stracili ją z oczu.

- Żeby nikomu nie przyszło do głowy, że to nie był gwałt - powiedział cicho do zastępcy szeryfa - zrozumiano?

Nie czekał na odpowiedź; poszedł do skrzyni ciężarówki, żeby być z panią Standish.

- W jakim wieku był ten chłopak? - spytała Bensenhavera.

- W wystarczającym - odparł. - Miał jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat - dodał. Nie chciał, żeby cokolwiek umniejszyło znaczenie tego przeżycia, szczególnie w jej własnych oczach. Skinął na pilota, który miał pomóc pani Standish wsiąść do helikoptera; następnie podszedł do zastępcy szeryfa, żeby mu wydać polecenia. - Ty zostaniesz tutaj z ciałem i tym kiepskim kierowcą.

- Ja nie jestem kiepskim kierowcą - jęknął mężczyzna. - Chryste, gdybyście zobaczyli tę kobietę tam na drodze...

- I nie pozwól nikomu zbliżyć się do ciężarówki - dodał Bensenhaver.

Na drodze leżała koszula męża pani Standish; Bensenhaver podniósł ją i podreptał do helikoptera w zabawny charakterystyczny dla grubasów sposób. Dwaj mężczyźni patrzyli, jak wsiada do śmigłowca i unosi się w górę. Wątle wiosenne słońce jak gdyby odpłynęło razem z helikopterem i nagle ogarnął ich chłód; nie wiedzieli, dokąd iść. Z całą pewnością nie do ciężarówki, a żeby usiąść w szoferce drugiego wozu, musieliby pokonać całe pole grząskiej mazi. Poszli do wozu Rathów od tyłu, otworzyli klapę i usiedli na niej.

- Czy on wezwie wóz do holowania mojego samochodu? - spytał kierowca.

- Prawdopodobnie zapomni - odparł zastępca szeryfa. Myślał o Bensenhaverze; podziwiał go, ale jednocześnie się go bał, uważał też, że nie należy mu całkowicie ufać. Była poza tym sprawa ortodoksyjności metod, o ile to można tak nazwać, nad którą zastępca szeryfa nigdy się dotychczas nie zastanawiał. Ale teraz zbyt wiele spraw się na niego zważyło.

Kierowca spacerował tam i z powrotem wewnątrz skrzyni ciężarówki, co irytowało siedzącego na kłapie zastępcę szeryfa, który wskutek tego cały czas podskakiwał. Kierowca omijał brudny, skłębiony koc wciśnięty w róg koło szoferki; w zapaćkanym tylnym okienku przetarł sobie kółko, tak żeby móc od czasu do czasu rzucić okiem na sztywne, wypatroszone zwłoki Orena Ratha. Krew już wyschła i przez zamazaną szybę ciało kolorem i połyskiem przypominało kierowcy bakłażan. Usiadł na kłapie obok zastępcy szeryfa, który z kolei wstał i zerknął przez okienko na

pokrajanego trupa.

- Wiesz, co ci powiem? - zagadnął kierowca. - Chociaż cała była upaprana, widać, że to ładna babka.

- Owszem - zgodził się z nim zastępca szeryfa. Obaj krążyli teraz po skrzyni ciężarówki, więc zastępca szeryfa z powrotem usiadł na klapie.

- Nie obrażaj się - rzekł kierowca.

- Ja się nie obrażam.

- Wcale nie twierdzę, że rozumiem każdego, kto chciałby ją zgwałcić - tłumaczył się kierowca.

- Wiem, czego nie twierdzisz - burknął zastępca szeryfa.

Wiedział, że tkwi po uszy w tych sprawach, ale naiwność kierowcy skłoniła go do okazania mu takiej pogardy, jaką wyobrażał sobie, że Bensenhaver okazałby jemu.

- Ty pewnie widzisz takich rzeczy od cholery, co? - zapytał kierowca. - To znaczy gwałtów i morderstw.

- Owszem, dość - odrzekł zastępca szeryfa z niezręcznym namaszczeniem. Nigdy przedtem nie widział ani gwałtu, ani morderstwa i stwierdził, że nawet teraz zobaczył je właściwie oczyma Ardena Bensenhavera. Widziałem gwałt i morderstwo według Bensenhavera - pomyślał. Zastępca szeryfa czuł się bardzo niepewnie; usiłował znaleźć jakiś całkowicie własny punkt widzenia.

- Ja też widziałem to i owo w mojej pracy - powiedział kierowca zaglądając znów przez okienko - ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Zastępca szeryfa nie był w stanie odpowiedzieć.

- Zupełnie jak na wojnie - rzekł kierowca. - Jak w kiepskim szpitalu.

Zastępca szeryfa zastanawiał się, czy powinien pozwolić durniowi patrzeć na ciało Ratha, czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie, a jeśli tak, to dla kogo. Z całą pewnością nie dla Ratha. A dla jego niesamowitej rodziny? I dla zastępcy szeryfa? - nie wiedział. I czy Bensenhaver miałby coś przeciwko temu?

- Pozwolisz, że zadam ci dość delikatne pytanie - powiedział kierowca. - Tylko się nie obrażaj, okay?

- Okay - odparł zastępca szeryfa.

- Co się stało z tą gumą?

- Z jaką gumą? - Chwilami mógł mieć wątpliwości co do zdrowego rozsądku Bensenhavera, ale w tym przypadku nie było żadnych wątpliwości; inspektor miał rację. W świecie według Bensenhavera żadne trywialne drobiazgi nie mogą

umniejszać potworności gwałtu.

W tym momencie Hope Standish poczuła się wreszcie bezpieczna w świetle Bensenhavera. Płynęła wraz z nim nad płaską rolniczą okolicą. To unosząc się, to opadając usiłowała opanować mdłości. Znow zaczęła dostrzegać siebie - czuła, jak cuchnie, czuła każde obolałe miejsce na ciele. Czuła też potworny niesmak, ale przecież siedział koło niej ten wesoły policjant, który podziwiał ją, wzruszony jej brutalnym sukcesem.

- Czy pan jest żonaty, panie Bensenhaver? - zapytała.

- Tak, pani Standish, jestem.

- Pan jest dla mnie ogromnie miły - powiedziała Hope - ale wydaje mi się, że zaraz zwymiotuję.

- Och, oczywiście - rzekł Bensenhaver i porwał torebkę, którą miał przy nogach. Była to torebka śniadaniowa pilota; na dnie zostało trochę nie zjedzonych frytek i pod wpływem tłuszczu torebka zrobiła się przezroczysta. Przez resztki frytek i przez dno torby Bensenhaver widział swoją rękę. - Proszę - namawiał Hope - no, śmiało.

Hope miała już skurcze wymiotne; wzięła torebkę i odwróciła głowę. Torebka wydawała się za mała, żeby pomieścić całe paskudztwo, jakie w niej tkwiło. Czuła na swoim karku twardą, ciężką rękę Bensenhavera. Drugą ręką przytrzymał kosmyk zmierzwionych włosów, który jej przeszkadzał.

- Dobrze - zachęcał ją - jeszcze, niech pani to wszystko z siebie wyrzuci, zaraz się pani dużo lepiej poczuje.

Hope przypomniała sobie, że ile razy Nicky wymiotował, mówiła mu to samo. Podziwiała Bensenhavera za to, że nawet jej torsje potrafił zamienić w zwycięstwo, ale rzeczywiście poczuła się znacznie lepiej - rytmiczne skurcze działały na nią uspokajająco jak jego spokojne, suche ręce, które trzymały ją za głowę i poklepywały po plecach. Kiedy torebka pękła, a jej zawartość się rozlała, Bensenhaver wykrzyknął:

- Dobra nasza, pani Standish! Już torebka jest pani niepotrzebna. To helikopter Gwardii Narodowej. Niech go Gwardia Narodowa posprząta! Ostatecznie od czego ona jest?

Pilot ponuro prowadził maszynę - twarz mu nawet nie drgnęła.

- Ale miała pani dzień, pani Standish - ciągnął Bensenhaver. - Mąż będzie z pani dumny. - Bensenhaver pomyślał jednak, że co do tego lepiej się upewnić, że powinien porozmawiać z facetem. Arden Bensenhaver wiedział bowiem z

doświadczenia, że mężowie i inni ludzie nie zawsze patrzą na gwałt we właściwy sposób.

Rozdział XVI

Pierwszy morderca

„Co chcesz powiedzieć przez: To jest rozdział pierwszy? - napisał do Garpa jego wydawca John Wolf. - Jak może być dalszy ciąg czegoś takiego? Tego i tak już jest zdecydowanie za dużo! Jak możesz to dalej ciągnąć?”

„Jakoś mogę - odpisał mu Garp. - Zobaczysz”.

- Nie chcę zobaczyć - odpowiedział mu John Wolf przez telefon. - Daj temu spokój. A przynajmniej odłóż na jakiś czas. Dlaczego nie wybierzecie się w podróż? To by dobrze zrobiło i tobie, i Helen, jestem pewien. I Duncan też już chyba może podróżować, co?

Garp jednak nie tylko upierał się, że ze „Świata według Bensenhavera” będzie powieść, ale żeby jeszcze John Wolf próbował sprzedać pierwszy rozdział do jakiegoś czasopisma. Garp nigdy nie miał swojego agenta; John Wolf był pierwszym, który zajmował się jego sprawami jako pisarza, tak jak zajmował się sprawami Jenny Fields.

- Mam to sprzedać? - spytał.

- Tak, sprzedać - odparł Garp. - Jako zapowiedź powieści.

Tak było z dwiema pierwszymi książkami Garpa: fragmenty zostały opublikowane w czasopiśmie. Ale John Wolf usiłował uświadomić Garpowi, że ten rozdział po pierwsze nie nadaje się do opublikowania, a po drugie stanowiłby jak najgorsza reklamę, gdyby się nawet znalazł jakiś idiota, który by się na to zdecydował. Powiedział, że Garp ma „niewielką, ale poważną” reputację jako pisarz, że jego dwie pierwsze powieści zostały pozytywnie zrecenzowane i zyskały mu zwolenników z autorytetem i „niewielką, ale poważną” grupkę czytelników. Garp powiedział, że ma w nosie „niewielką, ale poważną” reputację, chociaż widzi, że właśnie to przemawia do Johna Wolfa.

- Wolałbym być bogaty i gwizdać sobie na to, co różni idioci nazywają „poważnym” - powiedział. Ale kto może sobie pozwolić, żeby tak całkowicie na to gwizdać?

Garp czuł, że mógłby sobie kupić coś w rodzaju kompletnej izolacji od rzeczywistego i koszmarnego świata. Wyobrażał sobie rodzaj fortu, gdzie on, Duncan, Helen (i ich nowe dziecko) mogliby żyć nie zaczepiani przez nikogo, nawet nie tknięci

przez to, co nazywał „reszta świata”.

- O czym ty chcesz w tej książce powiedzieć? - zapytał go John Wolf.

To samo pytanie zadawała mu Helen. I Jenny. Ale Jenny podobał się pierwszy rozdział „Świata według Bensenhavera”. Uważała, że skala wartości jest w nim właściwie ustawiona - że wiadomo, kogo w takiej sytuacji należy kreować na bohatera, że utwór wyraża niezbędne potępienie dla gwałtu, że w odpowiednio groteskowym świetle przedstawia upadlającą rolę żądzy. Prawdę powiedziawszy, życzliwa ocena Jenny dla pierwszego rozdziału znacznie bardziej zaniepokoiła Garpa niż krytycyzm Johna Wolfa. Nade wszystko bowiem powątpiewał w literackie sądy swojej matki. Jej literackie gusty wydawały mu się szczególnie podejrzane.

- Mój Boże, spójrz na jej książkę - powtarzał Helen, ale Helen, zgodnie z obietnicą, nie dawała się wciągnąć; nie zamierzała przeczytać nowej powieści Garpa - ani słowa.

- Dlaczego tak nagle zaczęło mu zależeć na tym, żeby być bogatym? - zapytał ją John Wolf. - O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie wiem - odparła Helen. - Pewnie myśli, że to by go w jakiś sposób chroniło, nas wszystkich.

- Przed czym? - zapytał John Wolf. - Przed kim?

- Musisz poczekać, aż przeczytasz całą książkę - powiedział Garp swojemu wydawcy. - Każdy interes to brudny interes. A ja usiłuję traktować tę książkę jak interes i chciałbym, żebyś i ty ją tak traktował. Nie obchodzi mnie, czy ona ci się podoba. Chcę, żebyś ją sprzedał.

- Ja nie jestem wulgarnym wydawcą - odparł John Wolf - a ty nie jesteś wulgarnym pisarzem. Przykro mi, że muszę ci o tym przypominać. - Uczucia Johna Wolfa zostały urażone; był zły na Garpa, że pozwala sobie mówić przy nim o interesach, które sam rozumiał znacznie lepiej od niego. Ale zdawał sobie sprawę, że Garp wiele ostatnio przeżył, ma za sobą ciężkie chwile, wiedział, że jest dobrym pisarzem, który napisze jeszcze niejedną - miał nadzieję - lepszą książkę i chciał go w dalszym ciągu wydawać.

- Każdy interes to brudny interes - powtórzył Garp. - Jeśli uważasz tę książkę za wulgarną, to nie powinieneś mieć kłopotów z jej sprzedaniem.

- To nie tylko na tym polega - rzekł ze smutkiem John Wolf. - Nikt nie zna recepty na to, żeby książka szła.

- Już to słyszałem.

- Nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób. Jestem twoim przyjacielem. - Garp wiedział, że to prawda, więc odłożył słuchawkę i przestał odpowiadać na listy, i skończył „Świat według Bensenhavera” na dwa tygodnie przed tym, nim Helen urodziła - jedynie z pomocą Jenny - ich trzecie dziecko, dziewczynkę, co im oszczędziło problemu wyboru imienia dla chłopca, które w najmniejszym nawet stopniu nie miało przypominać Walta. Córeczkę nazwali więc Jenny Garp, czyli dokładnie tak, jakby się nazywała Jenny Fields, gdyby w bardziej konwencjonalny sposób podchodziła do Garpa.

Jenny była uszczęśliwiona, że ma kogoś, kto przynajmniej częściowo nazywa się tak jak ona.

- Ale mogą być nieporozumienia z nami dwiema - ostrzegła ich.

- Zawsze nazywałem cię „mama” - uświadomił jej Garp. Nie wypomnił jej, że pewien projektant mody nazwał jej imieniem model sukienki. Była ona modna w Nowym Jorku przez mniej więcej rok: biały strój pielęgniarzki z jaskrawoczerwonym sercem naszytym na lewej piersi. „JENNY FIELDS ORIGINAL” - głosiło serce.

Helen nic nie powiedziała, kiedy urodziła się Jenny Garp. Była wdzięczna; po raz pierwszy od czasu wypadku czuła, że została uratowana przed szaleństwem rozpaczy, jaka ją przytłaczała po stracie Walta.

„Świat według Bensenhavera”, który przed tym samym szaleństwem uratował Garpa, znajdował się w Nowym Jorku, gdzie John Wolf czytał go w kółko. Dogadał się w sprawie opublikowania pierwszego rozdziału z tak obrzydliwie prymitywnym pismem pornograficznym, że był przekonany, że nawet Garp przestanie liczyć na powodzenie książki. Pismo nosiło tytuł „Panorama krocza” i było pełne właśnie tego: owych wilgotnych, rozdziawionych bobrów z czasów dzieciństwa Garpa, które ilustrowały historię brutalnego gwałtu i oczywistej zemsty. Początkowo Garp zarzucał Wolfowi, że celowo umieścił tam pierwszy rozdział jego powieści, że nawet nie próbował lepszych czasopism. Ale John Wolf zapewnił go, że próbował wszystkich - że to znajdowało się na samym końcu listy. Tak bowiem właśnie rozumiano historię Garpa: jako tani, sensacyjnie podany gwałt i seks bez żadnej głębszej wartości.

- To wcale nie jest o tym - bronił się Garp. - Przekonasz się.

Ale Garp często zastanawiał się nad pierwszym rozdziałem „Świata według Bensenhavera”, opublikowanym w „Panoramie krocza”. O ile był on w ogóle czytany. O ile ktokolwiek z tych, co kupowali pismo, zwracał uwagę na słowa.

„Może nawet i coś czytają, jak już się zonanizują oglądając obrazki” - pisał Garp

do Johna Wolfa. Zastanawiał się, czy jest to nastrój, w którym chciałby być czytany: po masturbacji czytelnik jest przynajmniej odprężony, może samotny („dobry nastrój do czytania” - powiedział Garp Johnowi Wolfowi). Ale może zarazem ma poczucie winy, jest upokorzony i czuje przytłaczającą odpowiedzialność (a to znów nie jest taki dobry nastrój do czytania - pomyślał Garp). Wiedział w każdym razie, że nie jest to nastrój do pisania.

„Świat według Bensenhavera” mówi o niemożliwym do zrealizowania pragnieniu męża, Dorsey’a Standisha, by uchronić swoją żonę i dziecko przed brutalnością świata; w ten sposób Arden Bensenhaver (który jest zmuszony wycofać się z czynnej służby w policji z powodu uporczywego stosowania nieortodoksyjnych metod) zostaje zaangażowany przez rodzinę Standishów; mieszka z nimi w charakterze uzbrojonego wuja, stając się ich ulubionym gorylem, którego Hope w końcu jest zmuszona oddalić. Mimo że to Hope poznała świat z najgorszej strony, jej mąż boi się go najbardziej. Po tym, jak na życzenie Hope Bensenhaver się od nich wynosi, Standish w dalszym ciągu utrzymuje starego policjanta niby kogoś w rodzaju anioła stróża. A więc płaci Bensenhaverowi za to, żeby śledził chłopca, Nicky’ego, ale Bensenhaver jest wyniosłym i wścibskim typem cerbera, zdany na przyływy własnych koszmarnych wspomnień; stopniowo z opiekuna zmienia się w zagrożenie Standishów. Mówi się o nim jako o „czającym się w ostatnich promieniach światła emerytowanym strózu porządku, ledwie żywym na skraju ciemności”.

Hope postanawia uleczyć niepokoje swojego męża nalegając na to, żeby mieli drugie dziecko. Dziecko przychodzi na świat, ale Standish jest jak gdyby skazany na jednego po drugim demona paranoi; teraz spokojniejszy nieco, jeśli chodzi o ewentualne napaści na żonę i dzieci, zaczyna podejrzewać Hope o romans. Powoli dochodzi do wniosku, że byłoby to dla niego o wiele boleśniesz, niż gdyby została zgwałcona (ponownie). Zaczyna więc wątpić również w swoją miłość do niej i w siebie; z poczuciem winy poleca Bensenhaverowi śledzić Hope i ustalić, czy jest mu wierna. Ale Arden Bensenhaver nie chce już spełniać takich poleceń Dorsey’a Standisha. Stary policjant twierdzi, że został wynajęty po to, by strzec rodziny Standishów przed zakusami świata zewnętrznego, a nie żeby ograniczać wolność jej członków. Pozbawiony pomocy Bensenhavera Dorsey Standish wpada w panikę. Pewnej nocy zostawia na przykład dom (i dzieci) bez opieki i idzie śledzić swoją żonę. W czasie jego nieobecności młodsze dziecko dławi się na śmierć kawałkiem gumy do żucia Nicky’ego. Wszystko przepełnione jest poczuciem winy. Cała twórczość Garpa

przepełniona jest poczuciem winy. Podobnie Hope, która rzeczywiście się z kimś spotykała (kto zresztą może mieć do niej o to pretensję?). Bensenhaver, pod brzemieniem odpowiedzialności, dostaje wylewu. Częściowo sparaliżowany, z powrotem wprowadza się do Standishów; Dorsey czuje się za niego odpowiedzialny. Hope nalega na jeszcze jedno dziecko, ale w wyniku stresu jej mąż staje się całkowicie bezpłodny. Zgadza się, żeby Hope upoważniła swojego kochanka, ale tylko do „aktu zapłodnienia”, jak to nazywa. (O ironio, był to jedyny fragment książki, który Jenny Fields uznała za „naciągany”).

Znów Dorsey Standish poszukuje „sytuacji sztucznej, która bardziej przypomina laboratoryjne doświadczenie z życia niż samo życie” - pisał Garp. Hope nie potrafi się dostosować do takiej klinicznej sytuacji; w sensie emocjonalnym albo ma kochanka, albo go nie ma. Nalegając, żeby kochankowie spotykali się jedynie w celu zapłodnienia Hope, Dorsey usiłuje kontrolować miejsca spotkań, ich częstotliwość i długość. Podejrzewając, że Hope spotyka się z kochankiem potajemnie, a zarazem według jakiegoś planu, Standish zwraca uwagę sędziwego Bensenhavera, że w pobliżu kręci się potencjalny kidnaper i gwałcień, którego obecność w okolicy już została ujawniona.

Nie usatysfakcjonowany w pełni, Dorsey Standish zaczyna wpadać niezapowiedziany do domu (najczęściej, kiedy jest najmniej spodziewany); nigdy nie udaje mu się przyłapać Hope na gorącym uczynku, ale Bensenhaver, uzbrojony i niebezpieczny z powodu daleko posuniętej sklerozy, łapie Dorseya. Chytry inwalida jest zdumiewająco operatywny, a jednocześnie cichy w swoim fotelu na kółkach; jest również w dalszym ciągu nieortodoksyjny w swoich metodach. Strzela do Dorseya Standisha ze swojej broni dużego kalibru z odległości niecałych sześciu stóp. Dochodzi do tego, że Dorsey ukrywa się w cedrowej garderobie na górze, potykając się o buty swojej żony, i czeka, aż Hope zadzwoni z sypialni, żeby móc ją swobodnie podsłuchiwać. Naturalnie zasługuje na to, żeby dostać kulkę.

Rana okazuje się śmiertelna. Kompletnie zidiociałego Ardena Bensenhavera zabierają. Hope jest w ciąży ze swoim kochankiem. Kiedy dziecko przychodzi na świat, Nicky, który ma lat dwanaście, odczuwa ulgę - napięcie w rodzinie ustępuje. Potworna nerwowość Dorseya Standisha - tak niezdrowa dla całej rodziny - przestaje wreszcie na nich ciążyć. Hope i jej dzieci żyją dalej, z humorem znosząc szalony bełkot starego Bensenhavera, który jest zbyt twardy na to, żeby umrzeć, i który ze swojego wózka inwalidzkiego w domu dla niebezpiecznych wariatów mnoży wersje swego

koszmarnego świata; wreszcie trafił tam, gdzie jest jego miejsce. Hope i dzieci odwiedzają go dość często, nie tylko z dobroci serca - bo serca mają dobre - ale również po to, żeby sobie uzmysłwić, jak bezcenny jest ich własny rozsądek. Wytrzymałość Hope i fakt ocalenia jej dwojga dzieci sprawiają, że dobrze znosi bredzenie starego, które nawet wydaje jej się zabawne.

Notabene ten właśnie dom dla niebezpiecznych wariatów zdradza zdumiewające podobieństwo do szpitala dla skrzywdzonych kobiet Jenny Fields w Dog's Head Harbor.

I nawet nie tyle „Świat według Bensenhavera” jest zły czy fałszywie rozumiany, ile pozostaje on w niewłaściwej proporcji do zapotrzebowania na przyjemności zmysłowe świata rzeczywistego, jak również do jego zapotrzebowania i na ciepło. Dorsey Standish też nie jest „typowy dla świata” - jest zbyt wrażliwy w sprawach miłości do żony i dzieci; pospółu z Bensenhaverem są uważani za nie przystosowanych do życia na tej planecie. Tu liczy się odporność.

Hope i - czytelnik ma nadzieję - jej dzieci lepiej z tego wychodzą. Powieść sugeruje, że kobiety są odporniejsze od mężczyzn na strach i brutalność i bardziej powściągliwe w okazywaniu tego, jak bardzo są słabe wobec tych, których kochają. Hope jest pokazana jako silna jednostka zdolna przetrwać w świecie ludzi słabych.

Siedzący w Nowym Jorku John Wolf ufał, że dosadny realizm języka Garpa i pogłębione postacie jego bohaterów postawią jednak książkę wyżej od tanich seriali telewizyjnych. Ale, pomyślał zarazem, można ją było równie dobrze zatytułować „Niepokoje życia”; nadawałaby się wspianiale na dzienny serial telewizyjny - gdyby tylko zrobić adaptację stosowną dla inwalidów, ludzi starszych i dzieci w wieku przedszkolnym. John Wolf doszedł do wniosku, że „Świat według Bensenhavera”, mimo całej jędrności języka i tak dalej, jest tanim serialem telewizyjnym od lat osiemnastu.

Znacznie później oczywiście i Garp miał się z tym zgodzić; była to najgorsza z jego powieści. „Ale przecież ten pieprzony świat nigdy nie docenił dwóch pierwszych - pisał do Johna Wolfa. - Nie otrzymałem tego, co mi się należało”. Ale tak, uznał, jest prawie zawsze.

Obawy Wolfa były znacznie bardziej zasadniczej natury: zastanawiał się mianowicie, czy wydawanie „Świata według Bensenhavera” ma sens. Przy utworach,

do których nie miał przekonania, stosował rzadko zawodny system. W wydawnictwie zazdrozczono mu trafności opinii o książkach, którym rokował popularność. Kiedy twierdził, że książka będzie popularna - nie mylić z „dobra” czy „przyjemna” - prawie zawsze miał rację. Było oczywiście wiele takich, które zyskiwały popularność, mimo że im tego nie przepowiedział, ale nigdy odwrotnie. Nikt nie wiedział, jak on to robi.

Po raz pierwszy zastosował swoją metodę do książki Jenny Fields i od tamtej pory stosował ją do różnych innych zaskakujących książek raz na rok lub na dwa lata.

Otóż w jego wydawnictwie pracowała pewna kobieta; powiedziała ona Johnowi Wolfowi, że jeszcze nie czytała książki, której nie miałaby ochoty zamknąć i iść spać. Wolf, wielbiciel książek, potraktował to jako wyzwanie i latami dawał jej do czytania dobre i złe książki; wszystkie okazywały się jednakowe - wszystkie ją usypiały. Po prostu nie lubi czytać - powiedziała mu, ale John Wolf nie dał za wygraną. Nikt poza nim w wydawnictwie nie zaproponował tej kobiecie, żeby cokolwiek przeczytała; prawdę powiedziawszy, nikt jej nigdy nie pytał o zdanie w żadnej sprawie. Poruszała się wśród książek, o które się dosłownie potykała, jakby to były popielniczki, a ona niepaląca. Była to sprzątaczką. Codziennie opróżniała kosze na śmieci; pokoje redakcyjne sprzątała wieczorami, kiedy już wszyscy wyszli. Co poniedziałek czyściła odkurzaczem chodniki na korytarzach, we wtorki gablotki na książki, we środy biurka sekretarek; we czwartki szorowała klozety, a w piątki rozpylała na wszystko odświeżacz powietrza, żeby - jak to wyjaśniła Johnowi Wolfowi - wydawnictwo przez cały weekend zbierało ładny zapach na następny tydzień. John Wolf obserwował ją latami, ale nigdy nie widział, żeby chociaż spojrzała na książkę.

Kiedy zapytana przez niego powiedziała, jak bardzo nie lubi czytać, zaczął jej używać do sprawdzania zarówno tych książek, których nie był pewny, jak i tych, które uważał za całkowicie pewne. Kobieta była konsekwentna w swojej niechęci do wszelkich lektur i John Wolf prawie machnął na nią ręką, kiedy dał jej rękopis „Seksualnie podejrzanej”, czyli autobiografię Jenny Fields.

Sprzątaczką pochłonęła rękopis przez noc i spytała Wolfa, czy będzie mogła dostać książkę na własność, żeby móc ją w kółko czytać.

Od tej chwili John Wolf zawsze skrupulatnie zasięgał jej opinii. Nie zawiodła go nigdy. Większość książek jej się nie podobała, ale jeśli już coś oceniła pozytywnie, znaczyło to dla Johna Wolfa, że prawie każdy poza nią będzie w stanie tę książkę co najmniej przeczytać do końca.

Niemal bez namysłu dał jej „Świat według Bensenhavera”. A potem przez cały

weekend się męczył; chciał do niej dzwonić, żeby jej powiedzieć, że niech broń Boże tego nie czyta. Przypomnił sobie pierwszy rozdział „Bensenhavera” i nie chciał obrazić kobiety, która przecież była czyjąś babką, no i naturalnie czyjąś matką, a poza tym nie wiedziała, że John Wolf jej płaci za wszystko, co jej daje do czytania. To, że jak na sprzątaczkę zarabiała wyjątkowo dużo, wiedział tylko on. Kobieta myślała, że każda dobra sprzątaczką zarabia - i powinna zarabiać - dobrze.

Nazywała się Jillsy Sloper i John Wolf ze zdumieniem stwierdził, że w książce telefonicznej Nowego Jorku nie ma ani jednego Slopera, który miałby chociaż pierwszy inicjał J. Najwyraźniej Jillsy Sloper tak samo lubiła telefony jak książki. John Wolf zapisał sobie, że w poniedziałek musi przede wszystkim przeprosić Jillsy. Resztę ponurego weekendu spędził układając sobie w myśli, jak powie S. T. Garpowi, że zarówno w jego własnym interesie, jak i oczywiście w interesie firmy wydawniczej nie należy publikować „Świata według Bensenhavera”.

Był to ciężki weekend dla Johna Wolfa, ponieważ lubił Garpa i wierzył w niego; poza tym wiedział, że Garp nie miał przyjaciół, którzy by mu poradzili, żeby się nie stawiał w tak trudnej sytuacji - a na tym w końcu polega jedna z głównych wartości przyjaźni. Była jedynie Alice Fletcher, która tak go kochała, że albo w sposób bezkrytyczny akceptowała wszystko, co powiedział, albo - milczała. No i Roberta Muldoon, której sądy literackie, podejrzewał John Wolf, były jeszcze świeższe i bardziej dwuznaczne (o ile w ogóle istniały) niż jej nowa płéć. A Helen nie chciała tego czytać. Zaś Jenny Fields nie była stronniczka w sprawie swojego syna, jak zwykle bywają matki; okazała wątpliwy gust negatywnie oceniając niektóre jego lepsze rzeczy. Probiera z Jenny, John wiedział, polegał na temacie. Książka na ważny temat to według niej książka ważna. A Jenny uważała, że nowa powieść Garpa jest poświęcona wyłącznie głupim męskim niepokojom, które kobiety mają znosić i wytrzymywać. Jak książka jest napisana, nigdy nie miało dla Jenny znaczenia. A to z kolei interesowało Johna Wolfa jako wydawcę. Gdyby „Świat według Bensenhavera” podobał się Jenny Fields, znaczyłoby to, że jest to książka przynajmniej kontrowersyjna. Ale John Wolf, jak i Garp, wiedział, że swój status znanej osobistości politycznej Jenny Fields zawdzięczała w znacznej mierze dziwnemu ogólnemu niezrozumieniu.

Wolf łamał sobie nad tym wszystkim głowę przez cały weekend i zupełnie zapomniał w poniedziałek przeprosić Jillsy Sloper.

Aż tu nagle zjawiła się Jillsy, z zaczerwienionymi oczyma, niespokojna jak

wiewiórka, mocno ściskając w ciemnych, szorstkich rękach wymięte kartki rękopisu „Świata według Bensenhavera”.

- Rany - powiedziała przewracając oczyma; potrząsnęła rękopisem.

- Och, Jillsy - rzekł John Wolf - przepraszam cię bardzo.

- Rany! - zapiszczała Jillsy. - W życiu nie miałam gorszego weekendu. Ani spania, ani jedzenia, ani nawet nie pojechałam na cmentarz, żeby się zobaczyć z rodziną i przyjaciółmi.

Program spędzania weekendu przez Jillsy Sloper musiał się wydać Johnowi Wolfowi nieco dziwny, ale nie odezwał się słowem; po prostu jej słuchał, tak samo jak zawsze od lat z górą dwunastu.

- Ten facet jest stuknięty - orzekła. - Nikt przy zdrowych zmysłach nie napisałby takiej książki.

- Nie powinienem był ci jej dawać, Jillsy. Zapomniałem o tym pierwszym rozdziale.

- Pierwszy rozdział nie jest taki zły. Pierwszy rozdział to nic wielkiego. Ten dziewiętnasty to mnie dopiero wziął. Rany, rany! - piała Jillsy.

- Przeczytałaś dziewiętnaście rozdziałów? - zdziwił się John Wolf.

- Nie dał mi pan przecież więcej. Rany boskie, a czy ma pan coś jeszcze? Jest jakiś dalszy ciąg?

- Nie, nie. To już koniec. To wszystko.

- Tak myślałam - odparła Jillsy. - Bo i co tam może być jeszcze. Ten stary zwariowany gliniarz trafił wreszcie tam, gdzie jego miejsce, i ten stuknięty mąż też dostał to, na co zasłużył: kulkę w łeb. Jeśli mam być szczerą, to jedyne, do czego się ta jego głowa nadawała: żeby w nią wpakować kulkę.

- To ty przeczytałaś tę książkę?

- Rany! - wrzasnęła Jillsy. - Po tym, jak wariował, można by pomyśleć, że to jego ktoś zgwałcił. Jeśli pan chce wiedzieć, co ja o tym sędzę, to powiem tyle: to jest właśnie cały mężczyzna - najpierw cię wypieprzy, że mało ducha nie wyzioniesz, a za chwilę będzie szalał, komu dajesz z własnej woli! I jedno, i drugie to nie ich zakichany interes, no nie? - zapytała Jillsy.

- Nie jestem pewien - odparł John Wolf, który siedział przy biurku oszołomiony. - Nie podobała ci się ta książka, co?

- Czy mi się podobała? - zaskrzeczała Jillsy. - A co tam jest do podobania?

- Ale ją przeczytałaś. Dlaczego?

- Rany - Jillsy jakby się litowała nad Johnem Wolfem, że jest tak beznadziejnie głupi. - Czasami to się zastanawiam, czy pan zna te książki, które pan wydaje - potrząsnęła głową. - A czasami myślę sobie, dlaczego to pan wydaje książki, a ja myję klozety. Tyle, że już wolę szorować klozety, niż czytać te pana książki. Rany, rany.

- Ale skoro ci się ta książka tak nie podobała, to po co ją w ogóle czytałaś, Jillsy?

- Po co - po to, po co czytam inne: żeby się dowiedzieć, co dalej.

John Woli patrzył na nią w osłupieniu.

- Prawie we wszystkich książkach nic się nie dzieje - powiedziała Jillsy. - Rany, panu mam to mówić? A w innych to się po prostu wie, co będzie dalej, więc też ich nie trzeba czytać, ale ta książka, ta książka jest taka stuknięta, że człowiek wie, że coś się stanie, ale ni diabła nie może zgadnąć co. Człowiek sam musi być stuknięty, żeby się domyślił, co dalej - zakończyła Jillsy.

- Aha, to znaczy, że ją przeczytałaś, żeby się tego dowiedzieć, tak? - zapytał Wolf.

- No, a jaki może być inny powód do przeczytania książki? - zdziwiła się Jillsy Sloper. Ciężko położyła na biurku maszynopis (ponieważ był opasły) i podciągnęła do góry długi przewód od odkurzacza, którym w poniedziałki przewiązywała się w grubej talii jak paskiem. - Jak to już będzie książka - wskazała maszynopis - to bym chciała mieć egzemplarz dla siebie na zawsze. Jeśli to możliwe - dodała.

- Chciałabyś mieć dla siebie tę książkę? - zapytał John Wolf.

- Gdyby to było możliwe.

- No dobrze, ale teraz, jak już wiesz, co się stało, to po co miałabyś ją czytać jeszcze raz?

Jillsy robiła wrażenie zmieszanej; John Wolf nigdy nie widział, żeby Jillsy Sloper była zmieszana, najwyżej śpiąca.

- No bo... no bo mogłabym ją komuś pożyczyć - wyjaśniła. - No bo znam takiego jednego, któremu by warto przypomnieć, jacy są mężczyźni na tym świecie.

- A czy ty sama przeczytałabyś to jeszcze z raz?

- No, chyba nie całe. W każdym razie nie od razu. I nie tak zaraz. - Znów wyglądała na zmieszaną. - No bo... - wykrztusiła zakłopotana - bo tam są niektóre takie kawałki, co bym mogła jeszcze raz przeczytać.

- Po co?

- O rany - powiedziała Jillsy znużona, jakby ją wreszcie John Wolf

zniecierpliwiał. - Bo człowiek czuje, że ona jest taka prawdziwa - przeciągnęła tęsknie, co zabrzmiało jak pisk ptactwa wodnego nocą nad jeziorem.

- Bo człowiek czuje, że jest taka prawdziwa - powtórzył John Wolf.

- Rany, to pan nie wie, że ona jest taka? - zdziwiła się Jillsy. - Jak pan nie wie, kiedy książka jest prawdziwa, to powinniśmy się zamienić na posady. - Roześmiała się, ściskając w garści niby spluwę potężną trzybolcową wtyczkę przewodu odkurzacza. - Tak sobie nieraz myślę, panie Wolf, czy pan to w ogóle widzi, kiedy toaleta jest wymyta. - Podeszła do kosza na śmieci i zajrzała do środka. - Albo kiedy kosz jest opróżniony. Człowiek czuje, że książka jest prawdziwa, wtedy kiedy jest prawdziwa - powiedziała ze zniecierpliwieniem. - A książka jest prawdziwa, kiedy można powiedzieć: „No tak, tak się rzeczywiście cholerni ludziska zachowują”. O, wtedy właśnie człowiek wie, że książka jest prawdziwa - zakończyła Jillsy.

Pochyliła się nad koszem, wyjęła leżący samotnie na jego dnie kawałek papieru i wsadziła go do kieszeni fartucha. Była to zmięta pierwsza strona listu, który John Wolf usiłował napisać do Garpa.

W wiele miesięcy później, kiedy „Świat według Bensenhavera” miał iść do druku, Garp żalił się Johnowi, że nie ma komu zadedykować książki. Nie chciał jej poświęcać pamięci Walta, ponieważ nienawidził takich rzeczy: „niewybredne żerowanie - jak to nazywał - na szczegółach własnej biografii, które ma stworzyć przed czytelnikiem pozory, że jest się poważniejszym pisarzem niż w rzeczywistości”. I nie chciał zadedykować jej swojej matce, ponieważ złościło go, że wszyscy, jak się wyrażał, „wycierają sobie gębę jej nazwiskiem”. Helen oczywiście nie wchodziła w grę, no i Garp nie bez wstydu uświadamiał sobie, że nie mógłby zadedykować swojej książki Duncanowi, skoro nie pozwoliliby mu jej czytać. Chłopak był jeszcze za mały. Jako ojciec Garp odczuwał pewien niesmak z tego powodu, że pisze coś, czego zabroniłby czytać własnym dzieciom.

Fletcherom, jak sądził, byłoby głupio, gdyby zadedykować im „Bensenhavera” jako parze małżeńskiej, a zadedykowanie go samej Alice mogłoby obrazić Harry'ego.

- Nie mnie - powiedział John Wolf. - W każdym razie nie tą.

- Wcale o tobie nie myślałem - skłamał Garp.

- A co byś powiedział na Roberta Muldoon - podsunął mu John Wolf.

- Książka nie ma absolutnie nic wspólnego z Robertą odparł Garp. Chociaż wiedział, że przynajmniej Roberta nie miałyby nic przeciwko dedykacji. To zabawne

napisać książkę, której nikt nie chciałby mieć zadedykowanej!

- Może poświęcę ją Jamesjankom - powiedział Garp z goryczą.

- Nie zamartwiaj się takimi rzeczami - rzekł John - to nie ma sensu.

Garp naburmuszył się.

Pani Ralph? - pomyślał. Ale w dalszym ciągu nie wiedział, jak ona się naprawdę nazywa. Był jeszcze ojciec Helen, stary, poczciwy trener zapaśniczy, ale Ernie Holm nie rozumiałby tego gestu, a poza tym mocno wątpliwe, czy książka by mu się podobała. W gruncie rzeczy Garp miał nadzieję, że Ernie jej nigdy nie przeczyta. To zabawne napisać powieść i mieć nadzieję, że ktoś jej nie przeczyta!

Ciepłym Kluchom? - myślał.

Michaelowi Miltonowi.

Pamięci Bonkersa.

Utknął w martwym punkcie. Nie mógł nikogo znaleźć.

- Ja wiem o kimś takim - powiedział John Wolf. - Zapytam ją, czy nie miałyby nic przeciwko temu.

- To zabawne - odparł Garp.

Tyle że osobą, o której John Wolf wiedział, była Jillsy Sloper, odpowiedzialna za to, że powieść Garpa została w ogóle opublikowana.

- To bardzo szczególna kobieta. Była zachwycona twoją książką - wyjaśnił Garpowi. - Powiedziała, że jest taka „prawdziwa”.

Garpa zainteresował ten pomysł.

- Dałem jej maszynopis na jeden weekend i nie mogła się od niego oderwać.

- A dlaczego właśnie jej dałeś ten maszynopis? - zapytał Garp.

- Bo ona była odpowiednią osobą. - Dobry wydawca nie zdradza wszystkich swoich sekretów.

- Okay - rzekł Garp. - Łyso tak nikogo nie mieć. Powiedz jej, że mi będzie miło. Czy to jakaś twoja bardzo bliska znajoma? - Wydawca mrugnął i Garp skinął głową.

- Ale właściwie co to wszystko ma znaczyć? - zapytała podejrzliwie Jillsy Sloper. - Co to znaczy, że on chce mi „zadedykować” taką straszliwą książkę?

- To znaczy, że ceni sobie to, jak na nią zareagowałaś - odparł John Wolf. - Uważa, że została napisana jakby z myślą o tobie.

- Rany, o mnie? A to co znowu ma znaczyć?

- Powiedziałem mu, jak przyjęłaś jego książkę, a on uznał, że jesteś wprost idealną czytelniczką.

- Idealną czytelniczką? Rany, on chyba musi być stuknięty, no nie?
 - On nie ma jej komu zadedykować - przyznał John Wolf.
 - Coś takiego, jakby nie mógł znaleźć świadka do ślubu, co?
 - Coś takiego.
 - Ale to nie znaczy, że ja pochwalam te książkę? - spytała Jillsy.
 - Broń Boże - zapewnił ją John Wolf.
 - No chyba, że broń Boże.
 - Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji o to, co jest w tej książce, jeśli o to ci chodzi - uspokoił ją John Wolf.
 - Dobrze - powiedziała Jillsy.
- Wolf pokazał jej, gdzie ma być dedykacja; pokazał jej dedykacje w innych książkach. Wszystkie jej się podobały i Jillsy skinęła głową, zadowolona wreszcie z tego pomysłu.
- Jeszcze jedno - powiedziała - ale ja nie muszę się z nim spotykać ani nic w tym rodzaju, co?
 - Oczywiście że nie - obiecał jej John Wolf i Jillsy wyraziła zgodę.

Brakowało jeszcze tylko jednego przebłysku geniuszu, by „Świat według Bensenhavera” znalazł się na owej tajemniczej granicy światła i cienia, gdzie od czasu do czasu książki poważne błyszczą zarazem jako książki poczytne. John Wolf był człowiekiem bystrym i cynicznym. Znał się na tych wszystkich szczegółach biograficznych, które sprawiały, że amatorzy tanich sensacji sięgali niekiedy po powieść.

W wiele lat później Helen miała zauważyć, że „Świat według Bensenhavera” zawdzięczał swój sukces wyłącznie obwolucie. John Wolf zwykle powierzał Garpowi wypełnianie tekstami skrzydełek obwoluty, tym razem jednak ocena Garpa jego własnej książki była tak niezdarna i ciężka, że ujął sprawę w swoje ręce; sięgnął od razu do jej problematycznego jądra.

„»Świat według Bensenhavera« - głosił tekst na skrzydełku obwoluty - to książka o człowieku, który żyje pod nieustannym strachem, że tych, których kocha, spotka coś złego. W związku z tym otacza go atmosfera takiego napięcia, iż nie ulega wątpliwości, że coś złego musi się stać. I staje się”.

„S. T. Garp - pisał dalej John Wolf - jest jedynym dzieckiem znanej feministki Jenny Fields”. Wolf wzdrygnął się lekko, kiedy zobaczył to zdanie w druku, bo chociaż

sam je napisał i chociaż bardzo dobrze wiedział, dlaczego je napisał, to jednocześnie zdawał sobie sprawę, że tej informacji Garp by sobie w żadnym razie nie życzył w związku z własną książką. „S. T. Garp jest także ojcem... - mówił tekst. John Wolf potrząsnął głową na widok owej szmiry. - Jest ojcem, który świeżo stracił tragicznie pięcioletniego syna. Z cierpienia, jakie jest udziałem ojca, zrodziła się ta pełna udręki powieść...” - i tak dalej.

Był to w opinii Garpa najtańszy chwyt reklamowy. Zawsze twierdził, że najbardziej go złości, kiedy pytają, co w jego twórczości jest „prawdziwe”, czyli co jest oparte na przeżyciach osobistych. „Prawdziwe” nie w tym dobrym sensie, w jakim użyła tego słowa Jillsy Sloper, ale prawdziwe, czyli „z życia wzięte”. Zwykle z cierpliwością i powściągliwie odpowiadał, że podstawa autobiograficzna - o ile taka w ogóle istnieje - to najmniej interesująca płaszczyzna książki. Że sztuka pisania powieści, akt wyobrażania sobie prawdziwego, to, jak każda sztuka, proces selekcji. Wspomnienia i historie osobiste - wszelkie przypomniane urazy naszego nie znaczącego życia - to podejrzany model dla powieści - powiadał Garp. „Powieść musi być zrobiona lepiej niż życie” - pisał. I konsekwentnie nie cierpiał tego, co nazywał „fałszywymi kamieniami milowymi przeżyć osobistych” pisarzy, których książki są „ważne”, ponieważ w ich życiu wydarzyło się coś ważnego. Pisał, że najslabszym powodem do tego, żeby coś stało się częścią składową powieści, jest fakt, że to się rzeczywiście wydarzyło. „Wszystko się kiedyś naprawdę wydarzyło!” - złościł się. A jedynym powodem, by coś się wydarzyło w powieści, może być tylko to, że ta rzecz idealnie w tym miejscu pasuje.

- Proszę mi powiedzieć cokolwiek, co się pani przytrafiło - zaproponował kiedyś Garp osobie przeprowadzającej z nim wywiad - a ja tę historię udoskonalam. Wyposażyć ją w znacznie lepsze szczegóły niż życie. - Rozmówczyni Garpa, rozwódka z czworgiem małych dzieci, z których jedno umierało na raka miała przyklejony do twarzy wyraz niedowierzania. Garp dostrzegł w jej twarzy takie nieszczęście, że powiedział łagodnie:

- Jeśli to wydarzenie jest smutne, jeśli jest nawet bardzo smutne, potrafię wymyślić historię, która będzie jeszcze smutniejsza. - Ale wyczytał z jej twarzy, że mu nigdy nie uwierzy; nawet tego nie notowała. Ten fragment ich rozmowy miał się w ogóle nie znaleźć w wywiadzie.

A John Wolf wiedział przynajmniej tyle: że jedna z podstawowych rzeczy, które czytelnik chce znać, są informacje o życiu autora. Napisał do Garpa: „Dla większości

ludzi o ograniczonej wyobraźni idea poprawiania rzeczywistości jest po prostu bzdurą". Na skrzydełku obwoluty do „Świata według Bensenhavera" podniósł więc Garpa do fałszywej godności („jedyne dziecko znanej feministki Jenny Fields") i obudził sentymentalne współczucie dla jego przeżyć osobistych („tragiczna strata pięcioletniego syna"). To, że obie te informacje nie miały nic wspólnego z wartością literacką powieści, mało obchodziło Johna Wolfa. Miał do Garpa żal o bezustanne gadanie, że woli pieniądze od poważniejszych wartości.

„To nie jest twoja najlepsza książka - napisał do niego przysyłając mu jednocześnie do przeczytania korektę. - Przyjdzie czas, że sam dojdiesz do tego wniosku. Ale jednocześnie będzie to twoja największa książka. Przekonasz się, tylko poczekaj. Jeszcze sobie nie wyobrażasz, w jaką wściekłość wprawią cię przyczyny jej powodzenia, więc radzę ci wyjechać z kraju na kilka miesięcy. I radzę ci czytać tylko te recenzje, które sam ci prześlę. A kiedy już to wszystko wywietrzeje, bo wietrzeje wszystko, możesz wracać i podjąć w banku swoją niemałą niespodziankę. I możesz się wtedy spodziewać, że popularność, jaką ci przyniesie »Bensenhaver«, skłoni niejednego, by sięgnął do twoich dwóch pierwszych powieści, które znacznie bardziej zasługują na to, żeby ci przynieść rozgłos.

Powiedz Helen, że jest mi bardzo przykro, ale uważam, że powinieneś to wiedzieć: zawsze miałem na uwadze twój interes. Jeżeli chcesz, żeby książka się sprzedawała, sprzedamy ją. »Każdy interes to brudny interes«, Garp. Cytuję ciebie".

Garp był bardzo zaintrygowany tym listem; John Wolf nie pokazał mu oczywiście skrzydełek obwoluty.

„Dlaczego jest ci przykro? - odpisał. - Nie lamentuj; po prostu sprzedaj tę książkę".

- „Każdy interes to brudny interes" - powtórzył John Wolf.

- Wiem, wiem - powiedział Garp.

- Posłuchaj mojej rady - obstawał przy swoim Wolf.

- Kiedy ja lubię czytać recenzje - upierał się Garp.

- Nie te, tych nie będziesz lubił. Wyjedź, bardzo cię proszę. - Po czym John Wolf przesłał egzemplarz skrzydełek obwoluty Jenny Fields. Prosił ją o dyskrecję i o pomoc w przekonaniu Garpa, że powinien wyjechać.

- Wyjedź z kraju - doradziła Jenny swojemu synowi. - To najlepsze, co możesz zrobić dla siebie i dla swojej rodziny. - Helen zapaliła się do tego pomysłu; nigdy nie była za granicą. Duncan przeczytał pierwsze opowiadanie ojca, „Pensjonat

Grillparzer", i chciał jechać do Wiednia.

- Tak naprawdę to Wiedeń wcale nie jest taki - Garp powiedział Duncanowi, ale był bardzo wzruszony, że chłopcu podobała się ta stara historia. - Po co się pchać do Europy z niemowlakiem? - jęczał. - Zupełnie nie rozumiem. To zbyt skomplikowane. Sprawa paszportów i w ogóle, a poza tym dzieciak będzie potrzebował masy zastrzyków czy jeszcze czegoś.

- Ty sam potrzebujesz zastrzyków - powiedziała Jenny Fields. - Dziecku nic się nie stanie.

- A czy ty nie chciałbyś znów zobaczyć Wiednia? - zapytała Helen.

- No, pomyśl tylko, wybrać się śladem swoich dawnych grzeszków! - rzekł serdecznie John Wolf.

- Starych grzeszków? - wymamrotał Garp. - Nie wiem.

- Proszę cię, tata - nalegał Duncan. Garp był miękki na jego prośby; zgodził się. Helen bardzo się ucieszyła i nawet zerknęła na korektę „Świata według Bensenhavera", ale było to tylko przelotne spojrzenie, nie zamierzała jej czytać dokładnie. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy, była dedykacja: „Jillsy Sloper".

- Kto to jest na miłość boską Jillsy Sloper? - spytała.

- Właściwie to nie wiem - odparł Garp; Helen zmarszczyła czoło. - Naprawdę nie wiem - zapewnił ją. - To jakaś przyjaciółka Johna Wolfa, powiedział, że była zachwycona książką, że nie mogła się od niej oderwać. Wolf potraktował to chyba jako dobry omen. W każdym razie to był jego pomysł. A ja uznałem, że to może być miłe.

- Hm - mruknęła Helen; odłożyła korektę.

Oboje w milczeniu wyobrażali sobie przyjaciółkę Johna Wolfa. John był już rozwiedziony, zanim go poznali, i chociaż mieli okazję poznać niektóre z jego dorosłych dzieci, to nigdy nie spotkali pierwszej i jedynej żony. Miał skromną gromadkę przyjaciółek - wszystkie wymuskane, eleganckie i przystojne i wszystkie młodsze od niego. Niektóre też pracowały w wydawnictwach, ale po części były to kobiety z własnymi rozwodami na koncie, no i zawsze z pieniędzmi czy też z pozorami pieniędzy. Większość z nich Garp zapamiętał po ładnym zapachu, po smaku szminki i namacalnie wysokiej jakości ich ubrania.

Ani Garp, ani Helen nie byliby w stanie wyobrazić sobie Jillsy Sloper stanowiącej produkt mariażu osoby białej z kwarteronem, w efekcie czego Jillsy była oktoronka, czyli w jednej ósmej Murzynką. Miała skórę ziemistą, koloru lekko zasiniałej deski sosnowej, włosy proste, krótkie i lśniącoczarne, lekko szpakowate na

grzywce, nierówno przyciętej nad pomarszczonym błyszczącym czołem. Była niska, miała długie ręce i brakowało jej serdecznego palca lewej dłoni. Sądząc z głębokiej blizny na prawym policzku, zapewne straciła ten palec w tej samej bitwie, od tej samej broni: najprawdopodobniej w nieudanym małżeństwie, bo takie było niewątpliwie jej małżeństwo. O czym zresztą nigdy nie mówiła.

Miała około czterdziestu pięciu lat, a wyglądała na sześćdziesiąt. Z figury przypominała szczenna sukę labradora; idąc powłóczyła nogami, które przysparzały jej cierpienie. W ciągu kilku lat Jillsy miała tak zaniedbać guz, który sobie sama wymacała na piersi, a którego nikt inny nigdy nie wymacał, że zupełnie niepotrzebnie umarła na raka.

Jak odkrył John Wolf, miała zastrzeżony numer telefonu, a to dlatego, że były mąż co kilka miesięcy groził jej, że ją zabije, i Jillsy miała już tego dosyć. Powód, dla którego w ogóle miała telefon, był prosty: jej dzieciom potrzebny był numer, pod który mogłyby dzwonić na koszt abonenta, kiedy potrzebowały pieniędzy.

Ale Helen i Garpowi, kiedy sobie usiłowali wyobrazić Jillsy Sloper, nawet przez myśl nie przeszło, że mogła to być smutna, zaharowana, w jednej ósmej czarna kobieta.

- Zdaje się, że wszystko, poza samym napisaniem, zrobił dla tej książki John Wolf - rzekła Helen.

- Szkoda, że to nie on ją napisał - powiedział nagle Garp. Przeczytał po raz drugi „Świat według Bensehavera” i ogarnęły go wątpliwości. W „Pensjonacie Grillparzer”, myślał, była jakaś pewność dotycząca zachowania się świata. W „Świecie według Bensehavera” Garp czuł się mniej pewny - znak, że jest coraz starszy; ale artysta, wiedział również, powinien być też i coraz lepszy.

Z maleńką Jenny i jednookim Duncanem wyruszyli pewnego chłodnego sierpnia z Nowej Anglii do Europy. Większość ludzi, którzy zamierzali odbyć podróż przez Atlantyk, wybierała się w przeciwnym kierunku.

- Dlaczego nie poczekacie i nie wyjedziecie dopiero po Dniu Dziękczynienia? - zapytał ich Ernie Holm. Ale „Świat według Bensehavera” miał wyjść w październiku. Do Johna Wolfa dotarły różne głosy w odpowiedzi na nie poprawioną korektą książki, którą rozesłał po ludziach w ciągu lata. Wszystkie głosy były pełne entuzjazmu: albo entuzjastycznie chwaliły książkę, albo ją entuzjastycznie potępiały.

Miał kłopot z utrzymaniem w tajemnicy przed Garpem pierwszych

egzemplarzy „Bensenhavera”, a w szczególności obwoluty. Ale entuzjazm samego autora dla książki tak był ogólnie rzecz biorąc nikły, że udało mu się sprawę odwlec.

Garp był teraz podniecony perspektywą podróży i ciągle mówił o książkach, które zamierzał napisać. („Dobry znak” - powiedział do Helen John Wolf.)

Jenny i Roberta odwiozły Garpów do Bostonu, skąd mieli samolot do Nowego Jorku.

- Nie bój się samolotu - powiedziała Jenny - na pewno nie spadnie.

- O rany, mamó, co ty wiesz o samolotach, spadają bez przerwy.

- Machaj cały czas rękami jak skrzydłami - poradziła Duncanowi Roberta.

- Nie strasz go, Roberta - zwróciła jej uwagę Helen.

- Ja się wcale nie boję - zaprotestował Duncan.

- Póki twój tata będzie mówił - rzekła Jenny - to na pewno nie spadniecie.

- Jeśli nie przestanie mówić - powiedziała Helen - na pewno nigdy nie wylądujemy. - Widziały, że Garp jest napięty.

- Jeśli ze mnie nie zejdziecie, będę całą drogę pierdział - powiedział Garp - i wylecimy w powietrze.

- Pisz często - przypomniała mu Jenny.

Wspominając starego poczciwego Tinch'a i jego ostatnią podróż do Europy, Garp powiedział do matki:

- Tym razem, mamó, mam zamiar cały czas ch-ch-chłonać. Nie napiszę ani sł-sł-słowa. - Roześmieli się oboje, a Jenny Fields uroniła nawet łzę, chociaż zauważył to tylko Garp; pocałował matkę na do widzenia. Roberta, która po zmianie płci zaczęła całować niesłychanie dynamicznie, ucałowała każde z nich po kilka razy.

- Jezu, Roberta - powiedział Garp.

- Będą się opiekowała mamą podczas waszej nieobecności - zapewniła ich obejmując swoim gigantycznym ramieniem Jenny, która nagle wydała się przy niej bardzo mała i bardzo siwa.

- Nie potrzebuję niczyjej opieki.

- To mama się wszystkimi opiekuje - rzekł Garp.

Helen uściskała Jenny, ponieważ wiedziała, jak bardzo jest to prawdziwe. Z samolotu Garp i Duncan patrzyli, jak Roberta i Jenny machają im z tarasu dla odprowadzających. Nastąpiła zmiana miejsc, ponieważ Duncan chciał siedzieć po lewej stronie przy oknie.

- Miejsce po prawej jest równie dobre - powiedziała stewardesa.

- Ale nie dla kogoś, kto nie ma prawego oka - wyjaśnił jej Duncan uprzejmie i Garp ucieszył się na myśl, że chłopiec już w tym stopniu odzyskał pewność siebie.

Helen z maleństwem siedziała naprzeciwko nich po drugiej stronie przejścia.

- Widzisz babcię? - spytała Duncana.

- Tak.

Chociaż nagle na tarasie zrobiło się tłoczno, ponieważ wszyscy chcieli być świadkami startu, Jenny Fields jak zwykle rzucała się w oczy w swoim białym stroju, mimo że była niewysoka.

- Dlaczego babcia wydaje się taka duża? - Duncan zapytał Garpa i rzeczywiście, miał rację: Jenny przewyższała tłum o głowę. Garp zorientował się, że Roberta unosi jego matkę do góry jak dziecko.

- O, Roberta ją podniosła! - wykrzyknął Duncan. Garp popatrzył na swoją matkę uniesioną w powietrze, żeby mu mogła na pożegnanie pomachać, bezpieczną w ramionach dawnego obrońcy futbolowego; nieśmiały, spokojny uśmiech Jenny wrzucił go i Garp pomachał jej, chociaż wiedział, że Jenny nie może go zobaczyć wewnątrz samolotu. Po raz pierwszy matka wydała mu się stara - odwrócił wzrok i spojrzał na Helen z ich nowym dzieckiem.

- No, startujemy - powiedziała Helen. Kiedy samolot odrywał się od pasa startowego, wzięli się za ręce; Garp wiedział, że Helen śmiertelnie boi się latania.

W Nowym Jorku Wolf zainstalował ich u siebie; oddał Garpowi, Helen i maleńkiej Jenny swoją sypialnię i z wdziękiem zaproponował Duncanowi, że we dwóch zajmą pokój gościnny.

Dorośli zjedli późną kolację i wypili za dużo koniaku. Garp powiedział Johnowi o trzech nowych powieściach, które zamierzał napisać.

- Pierwsza ma być zatytułowana „Złudzenie mojego ojca”. Będzie to powieść o pewnym idealistcie, ojcu licznych dzieci. Wymyśla on dla nich różne małe utopie, w których mają wzrastać, a kiedy dzieci dorastają, zakłada małe koledże. Ale wszystko upada - i koledże, i dzieci. Ojciec stara się wygłosić mowę na forum Narodów Zjednoczonych, ale stale go wyrzucają. Jest to ciągle ta sama mowa, którą on bez końca przerabia. Następnie próbuje zorganizować bezpłatny szpital i ponosi całkowitą klęskę. Potem usiłuje wprowadzić darmowy system komunikacyjny na skalę całego kraju. Tymczasem rzuca go żona, a dzieci, coraz starsze, stają się nieszczęśliwe albo wykolejone, albo zupełnie normalne. Jedyne, co mają ze sobą wspólnego, to

koszmarne wspomnienie utopii, w których ojciec chciał, żeby wzrastały. Na koniec ojciec zostaje gubernatorem Vermontu.

- Vermontu? - zapytał John Wolf.

- Tak, Vermontu - odparł Garp. - Zostaje gubernatorem Vermontu, ale tak naprawdę czuje się królem. No cóż, jeszcze jedna utopia.

- „Król Vermontu” - powiedział John Wolf. - To jest lepszy tytuł.

- Nie, nie. To będzie inna książka. Nie mająca z tamtą żadnego związku. Następna książka po „Złudzeniach mojego ojca” będzie się nazywała „Śmierć Vermontu”.

- Ci sami bohaterowie? - zapytała Helen.

- Nie, nie - odrzekł Garp - to zupełnie inna historia. To będzie o śmierci Vermontu.

- Lubię, żeby coś było tym, czym mówi, że jest - powiedział John Wolf.

- Pewnego roku w Vermoncie nie nadchodzi wiosna - zaczął Garp.

- W Vermoncie i tak nigdy nie ma wiosny - przerwała mu Helen.

- Nie, nie - powiedział Garp marszcząc czoło. - W tym roku nie było i lata. Bez przerwy trwa zima. I nagle robi się ciepło i pojawiają się pąki. Być może w maju. Pewnego dnia w maju pojawiają się na drzewach pąki, następnego dnia są już liście, a jeszcze następnego wszystkie liście usychają. Jest już jesień. Liście spadają z drzew.

- Szalenie krótki okres wegetacji - wtrąciła Helen.

- Śmieszne. Ale tak się właśnie dzieje. Znów jest zima. Zima będzie już zawsze.

- Ludzie umierają? - zapytał John Wolf.

- Nie jestem pewien co do ludzi. Niektórzy oczywiście opuszczają Vermont.

- Niezły pomysł - powiedziała Helen.

- Jedni zostają, inni umierają. A może nawet wszyscy umierają.

- I co to ma znaczyć? - zapytał John Wolf.

- Będę wiedział, jak do tego dojdę - wyjaśnił Garp; Helen roześmiała się.

- A potem napiszesz trzecią powieść, tak? - zainteresował się John Wolf.

- Będzie się nazywała „Spisek przeciwko olbrzymowi”.

- To jest wiersz Wallace'a Stevensa - powiedziała Helen.

- Jasne - rzekł Garp i zadeklamował:

Spisek przeciwko Olbrzymowi

Dziewczyna Pierwsza

*Gdy prostak ten nadejdzie, belkocząc coś nieskładnie
I ostrze swe sposobiąc,
Wnet drogę mu zabiegnę,
By wonie najwdzięczniejsze rozsiać
Pelargonii i kwiecia wszelakiego
To go zatrzyma.*

*Dziewczyna Druga
Też drogę mu zabiegnę,
By rozpiąć swą materię usianą kolorami,
Co drobne niczym ikra.
Te nici
Go spętają.*

*Dziewczyna Trzecia
Oh, la... le pauvre!
I ja mu drogę przetnę,
I westchnę osobliwie.
Nadstawi wtedy ucha.
Wyszepczę
Słodkie zgłoski w tym świecie twardej mowy.
To go rozbroi.⁶*

- Jaki ładny wiersz - powiedziała Helen.
- Powieść składa się z trzech części - wyjaśnił Garp.
- Dziewczyna Pierwsza, Dziewczyna Druga, Dziewczyna Trzecia? - zapytał John Wolf.
- A czy olbrzym jest rzeczywiście rozbrojony? - spytała Helen.
- Raz na zawsze - odparł Garp.
- A czy to jest prawdziwy olbrzym w tej powieści? - zapytał John Wolf.
- Jeszcze nie wiem - odrzekł Garp.
- Czy on jest tobą? - spytała Helen.
- Mam nadzieję, że nie.
- Ja też mam nadzieję - rzekła Helen.
- Napisz najpierw tę powieść - powiedział John.
- Nie, tę na końcu - zaproponowała Helen.

⁶ Przełożyła Katarzyna Heidrich-Żurkowska.

- „Śmierć Vermontu” logicznie wypada na końcu - rzekł John Wolf.

- Nie, ja widzę „Spisek przeciwko olbrzymowi” jako ostatni - powiedział Garp.

- To poczekaj z tym i napiszesz to po mojej śmierci - rzekła Helen.

Wszyscy się roześmieli.

- No, ale mają być tylko trzy książki - powiedział John Wolf. - A co potem? Co będzie po tych trzech?

- Ja umrę - odpowiedział Garp. - W sumie będzie sześć powieści i to wystarczy.

I znów wszyscy się roześmieli.

- Czy wiesz także, w jaki sposób umrzesz? - zapytał John Wolf.

- Dajmy już z tym spokój - zaproponowała Helen i zwróciła się do Garpa: - Jeśli powiesz „w samolocie”, nigdy ci tego nie daruję. - Pod lekkim rauszowym humorkiem John Wolf dopatrywał się poważnej nuty; wyprostował nogi.

- Wiecie co, idźcie spać. I wypocznijcie przed podróżą.

- Czy chcecie wiedzieć, jak umrę? - spytał Garp. Nie odezwali się słowem.

- Popęlnię samobójstwo - powiedział milutko. - Nie ma innego sposobu zapewnienia sobie pozycji. Naprawdę, mówię poważnie. Obecnie, zgodzicie się ze mną, jest to jedyna droga do tego, żeby uznano rangę pisarza. Ponieważ przez swoją sztukę nie zawsze potrafi przekonać o tym, jak poważne jest jego pisarstwo, musi czasem odkryć głębię swoich cierpień osobistych za pomocą innych środków. Zabić się to tyle, co dowieść, że mimo wszystko myślało się poważnie. Taka jest prawda - powiedział Garp, ale jego ironia była nieprzyjemna i Helen westchnęła; Wolf znów się wyciągnął. - I potem - zakończył Garp - okazuje się nagle, że utwory tego pisarza zawierały wielką głębię, której nikt dawniej nie dostrzegał.

Garp często z irytacją mówił, że to będzie jego ostatni obowiązek jako ojca i opiekuna, i z lubością cytował przykłady średnich pisarzy, których teraz wielbiono i namiętnie czytano jedynie z tego powodu, że popełnili samobójstwo. Co do tych pisarzy-samobójców, których on sam często szczerze podziwiał, Garp miał jedynie nadzieję, że w chwili śmierci przynajmniej niektórzy z nich byli świadomi owych korzystnych skutków swojej niefortunnej decyzji. Wiedział doskonale, że prawdziwi samobójcy nie dbają o romantyzm tego aktu; nie zależy im na „głębi”, której samobójstwo jakoby użycza ich dziełu - koszarne przekonanie pokutujące w świecie książek, pomyślał Garp. Wśród czytelników i recenzentów.

Garp wiedział również, że sam nie jest typem samobójcy; wiedział to może już z mniejszą pewnością po wypadku z Waltera, ale wiedział. Samobójstwo było mu tak

dalekie jak gwałt; na tyle, że nie byłby w stanie popełnić ani jednego, ani drugiego. Ale lubił sobie wyobrażać takiego pisarza-samobójcę, jak się uśmiecha do swego udanego psikusa, raz jeszcze czytając i redagując ostatnie pismo, jakie zamierza zostawić: list nabrzmiały bólem i stosownie pozbawiony humoru. Garp lubił wyobrażać sobie ten moment z goryczą: kiedy list samobójczy osiąga już doskonałą formę, pisarz z upiornym, śmiechem sięga po broń - truciznę, skok do wody - świadom, że wreszcie odegrał się na czytelnikach i recenzentach. Jeden z listów, jakie powstały w jego wyobraźni, brzmiał: „Po raz ostatni jestem nie zrozumiany przez was, durnie”.

- Co za chory pomysł - powiedziała Helen.

- Idealna śmierć pisarza - rzekł Garp.

- Jest już późno - przypomniał im John Wolf. - Pamiętajcie o jutrzejszym locie.

W pokoju gościnnym, gdzie miał nadzieję zasnąć, zastał Duncana Garpa w pełni rozbudzonego.

- Podniecony perspektywą podróży? - spytał chłopca.

- Mój ojciec był już w Europie - odparł mały. - Ja jeszcze nie.

- Wiem.

- Czy mój tata zarobi kupę pieniędzy?

- Mam nadzieję.

- Tak naprawdę to my ich nie potrzebujemy, bo babcia ma bardzo dużo - wyjaśnił Duncan.

- Ale to przyjemnie mieć swoje własne.

- Dlaczego?

- No bo przyjemnie jest być sławnym.

- A czy pan myśli, że mój tata będzie sławny?

- Tak sądzę.

- A babcia już jest sławna.

- Wiem.

- Ale ona chyba nie jest z tego zadowolona.

- Dlaczego?

- Za dużo obcych się koło niej kręci. Tak babcia mówi, słyszałem. „Za dużo obcych w domu”.

- Twój tata najprawdopodobniej będzie w inny sposób sławny niż babcia.

- A ile jest takich sposobów? - spytał Duncan.

John Wolf wydał długie, powolne westchnienie. A następnie zaczął wyjaśniać

Duncanowi różnicę między książkami bardzo popularnymi a po prostu poczytnymi. Mówił mu o książkach politycznych i kontrowersyjnych, o powieściach. Wtajemniczył go też w różne subtelności dotyczące wydawania książek; w gruncie rzeczy wyjawiał mu więcej swoich osobistych opinii związanych z pracą edytorską niż kiedykolwiek Garpowi. Garpa to w gruncie rzeczy nie obchodziło. Duncana zresztą też nie. Duncan nie zapamiętał ani jednej z tych subtelności; zasnął niemal zaraz potem, jak John Wolf rozpoczął swoje rozważania.

Bo w gruncie rzeczy dla Duncana ważny był tylko dźwięk głosu Johna Wolfa. Długa opowieść, powolne wyjaśnienia. Głosy Roberty Muldoon, Jenny Fields, matki i Garpa usypiały go wieczorami w Dog's Head Harbor opowiadając mu różne historie, żeby dobrze spał, bez żadnych koszmarów. Duncan przyzwyczał się do takiego głosu i w Nowym Jorku nie mógł bez niego zasnąć.

Rano rozbawiła Garpa i Helen zawartość garderoby Johna Wolfa. Wisiała tam ładna nocna koszula należąca bez wątpienia do jednej z jego najświeższych eleganckich przyjaciółek, która tym razem nie została zaproszona na noc. Było tam około trzydziestu ciemnych garniturów, wszystkie w delikatne prążki, wszystkie eleganckie i wszystkie z nogawkami za długimi na Garpa o jakieś trzy cale. Garp włożył jeden z nich - ten, który mu się najbardziej podobał - do śniadania i zawiął sobie nogawki.

- Jezu, ale ty masz tych garniturów - powiedział.

- Weź sobie jeden - zaproponował John Wolf. Weź sobie dwa albo trzy. Weź sobie ten, który masz na sobie.

- Spodnie są za długie - powiedział Garp unosząc nogę.

- To daj do skrócenia.

- Ty nie masz w ogóle żadnego garnituru - zauważyła Helen.

Ten garnitur tak się Garpowi spodobał, że postanowił poprzypinać nogawki i jechać w nim na lotnisko.

- Jezus - powiedziała Helen.

- Byłoby mi trochę głupio, gdyby nas ktoś razem zobaczył - wyznał John Wolf, ale odwiózł ich na lotnisko. Wolał się upewnić, że Garpowie wyjeżdżają z kraju.

- Och, twoja książka - powiedział, kiedy byli już w samochodzie. - Ciągle zapominam dać ci egzemplarz.

- Zauważyłem.

- Przyślę ci - zapewnił Garpa John Wolf.
- Nawet nie widziałem obwoluty.
- Z tyłu jest twoje zdjęcie - wyjaśnił John. - Stare, musiałeś je widzieć.
- A na froncie?
- No, tytuł.
- Co ty powiesz? Myślałem, że może zdecydowałeś się tytuł pominąć.
- Tylko tytuł... nad... no, nad taką jedną fotografią.
- „Taką jedną fotografią”? Jaka jedną fotografią?
- Zaraz, może mam ją nawet w teczce. Sprawdzę na lotnisku.

Wolf był ostrożny; puścił już farbę, że uważa „Świat według Bensenhavera” za ckliwy serial telewizyjny od osiemnastu lat. Garp się tym specjalnie nie przejął.

- Słuchaj, ta książka jest cholernie dobrze napisana - powiedział Wolf - ale mimo wszystko to jest jednak serial; aż zanadto jednak.

Garp westchnął.

- Życie - powiedział - też jest często zanadto jednak. Życie to ckliwy serial od osiemnastu lat, John.

W teczce Johna Wolfa znajdowała się pierwsza strona obwoluty do „Świata według Bensenhavera”, oczywiście bez fotografii Garpa i bez skrzydełek. John zamierzał wręczyć ją Garpowi tuż przed pożegnaniem. Znajdowała się w zaklejonej kopercie, a ta koperta w innej zaklejonej kopercie. John Wolf był całkiem pewny, że Garp nie dobierze się do niej, dopóki nie usiądzie wygodnie w samolocie.

A kiedy znajdzie się już w Europie, pośle mu pozostałą część obwoluty. Miał nadzieję, że Garp nie będzie na tyle zły, żeby po jej obejrzeniu wrócić do domu.

- Ten samolot jest większy od tamtego - zauważył Duncan, który siedział po lewej stronie przy oknie, niedaleko skrzydła.

- Musi być większy, bo leci przez cały ocean - wyjaśnił mu Garp.

- Proszę was, przestańcie mówić na ten temat - wtrąciła się Helen. Naprzeciwko Duncana i Garpa, po drugiej stronie przejścia, stewardesa wyczarowywała zabawny hamak dla maleńkiej Jenny, która wisiała przed Helen, przymocowana do czyjś oparcia, jak jakieś cudze dziecko albo niemowlę indiańskie.

- John Wolf powiedział, że będziesz bogaty i sławny - oświadczył Duncan.

- Hm. - Garp męczył się właśnie nad otwarciem kopert, które mu wręczył wydawca; była to koszmarna robota.

- Rzeczywiście będziesz? - spytał Duncan.

- Mam nadzieję. - Garp wreszcie spojrział na obwolotę „Świata według Bensehavera”. Nie umiałby powiedzieć, czy nagły dreszcz, który go przejął, był spowodowany pozorną nieważkością wielkiej maszyny, która właśnie oderwała się od ziemi, czy widokiem fotografii.

Czarno-białe zdjęcie, powiększenie, z ziarnem jak płatki śniegu, przedstawiało karetkę pogotowia, stojącą przed szpitalem. Pospólna beznadziejność malująca się na szarych twarzach noszowych tłumaczyła zbędność pośpiechu. Ciało pod prześcieradłem było małe i całkowicie zakryte. Zdjęcie zachowało coś z przerażającej atmosfery wejścia z napisem AWARYJNE pierwszego lepszego szpitala. Bo był to pierwszy lepszy szpital i pierwsza lepsza karetka pogotowia - i pierwszy lepszy mały pacjent przybywający za późno.

Specjalny błyszczący papier, duże ziarno i fakt, że wypadek zdarzył się w deszczowy wieczór, sprawiły, że fotografia wyglądała na zdjęcie z pierwszej lepszej brukowej gazety; był to pierwszy lepszy wypadek. Pierwsza lepsza śmierć dziecka - gdzieś, kiedyś. Ale oczywiście Garpowi skojarzyła się jedynie z czarną rozpaczą na ich twarzach, porażonych widokiem leżącego Walta.

Obwoluta do „Świata według Bensehavera”, cikliwego serialu od osiemnastu lat, wykrzykiwała swoją ponurą zapowiedź: jest to opowieść o tragedii. Domagała się taniego, ale natychmiastowego zainteresowania - ze skutkiem. Obiecywała nagły, obezwładniający smutek; Garp wiedział, że pod tym względem jego książka nie zawiedzie.

Gdyby wtedy mógł przeczytać na skrzydełkach obwoluty tekst zawierający informację o książce i o życiu autora, najprawdopodobniej zaraz po wylądowaniu w Europie przesiadłby się na najbliższy samolot do Nowego Jorku. Ale miałby przynajmniej czas oswoić się z tym rodzajem reklamy - dokładnie tak, jak to zaplanował John Wolf. Do momentu kiedy mógł przeczytać ten tekst, oswoił się już z widokiem potwornego zdjęcia.

Helen nigdy się z nim nie oswoiła i nigdy nie wybaczyła go Johnowi Wolfowi. Tak jak nigdy nie wybaczyła mu zdjęcia Garpa zamieszczonego na odwrocie obwoluty. Była to fotografia zrobiona na kilka lat przed wypadkiem i przedstawiająca Garpa z Duncanem i Waltem. Autorką zdjęcia była Helen, a Garp posłał je Johnowi Wolfowi jako kartę z życzeniami gwiazdkowymi. Garp stał w porcie w Maine. Miał na sobie tylko kąpielówki i prezentował wspaniałą formę. Którą zresztą posiadał. Duncan stał

za nim trzymając swoją szczupłą rękę na ramieniu ojca; też był w kąpielówkach i białej żeglarskiej czapeczce, zawadiacko założonej na bakier; był bardzo opalony. Uśmiechał się do aparatu onieśmielając go swoimi pięknymi oczyma.

Walta Garp trzymał na ręku. Malec był zimny, prosto z wody, i śliski jak foczka; Garp usiłował opatulić go w ręcznik, ale Walt cały czas się szamotał. Tryskał szczęściem, ze swoją okrągłą, śmieszoną, błazeńską buźką i szczyrzył się w obiektyw - do robiącej zdjęcie matki.

Kiedy Garp spojrział na zdjęcie, poczuł niemal, jak mokre, zimne ciało Walta schnie i ogrzewa się od niego.

Pod zdjęciem widniał podpis żerujący na najniższych ludzkich uczuciach: „S. T. Garp z dziećmi (przed wypadkiem)”.

Zawarta w podpisie implikacja brzmiała: jeśli przeczytasz książkę, dowiesz się, co to za wypadek. Oczywiście się nie dowiesz. Bo tak naprawdę „Świat według Bensehavera” nie powie ci nic na temat wypadku, chociaż gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że wypadki grają w powieści niepoślednią rolę. Bowiem jedyne, czego rzeczywiście można się dowiedzieć o wypadku, o którym mowa w podpisie pod zdjęciem, zawarł w swojej brukowej notce John Wolf. A jednak ludzie się łapali na tę fotografię przedstawiającą ojca i dwójkę dzieci z piętnem tragedii.

Wykupowali książkę smutnego syna Jenny Fields masowo.

W samolocie do Europy wyobraźnia Garpa mogła się karmić jedynie zdjęciem karetki pogotowia. Nawet na tej wysokości widział ludzi kupujących książkę masowo. Siedział pełen niesmaku wobec nich, jak również na myśl o tym, że napisał powieść, która mogła budzić „masowe” zainteresowanie.

Masy jakiegokolwiek, a w szczególności ludzkie, nie cieszyły S. T. Garpa. Siedział w samolocie życząc sobie i swojej rodzinie większego odosobnienia i spokoju, niż miał jeszcze kiedykolwiek zaznać.

- Co my zrobimy z tymi wszystkimi pieniędzmi? - zapytał go nagle Duncan.

- Z jakimi pieniędzmi?

- No, jak będziesz sławny i bogaty - to co z nimi zrobimy?

- Będziemy sobie używali - powiedział Garp, ale jedyne oko jego ładnego syna przeszło go wyrazem wątpliwości.

- Za chwilę będziemy lecieli na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp - poinformował ich pilot.

- Rany - rzekł Duncan. A Garp sięgnął po rękę swojej żony. Jakiś tłusty

mężczyzna szedł niepewnie w stronę ubikacji; mogli nawiązać kontakt jedynie wzrokiem.

Oczywiście wyobraźni Garp widział swoją matkę, Jenny Fields, całą w bieli, na tle nieba, uniesioną przez górującą nad wszystkimi Robertę Muldoon. Nie wiedział, co to ma znaczyć, w każdym razie widok Jenny, wyniesionej nad tłum, przejął go chłodem, tak samo jak widok zdjęcia przedstawiającego karetkę pogotowia na obwolecie „Świata według Bensenhavera”. Zaczął rozmawiać z Duncanem - właściwie o niczym.

Duncan rozgadał się o Walcie i wirach - była to słynna historia rodzinna: otóż, jak daleko Duncan sięgał pamięcią, Garpowie co roku wyjeżdżali na lato do Dog's Head Harbor w New Hampshire, gdzie ciągnącą się całymi milami przed posiadłością Jenny Fields plażę podmywały groźne wiry. Kiedy Walt był już na tyle duży, że mógł sam podchodzić do wody, Duncan ostrzegł go - tak jak latami jego ostrzegali rodzice: „Wystrzegaj się zdradliwych wirów”. Walt cofnął się z szacunkiem. Przez trzy lata z rzędu ostrzegano Walta przed wirami. Duncan pamiętał całą litanię:

- Wiry są dzisiaj potężne.
- Wiry są dzisiaj silne.
- Wiry są dziś zdradliwe.

Słowo „zdradliwy” stanowiło mocne określenie w New Hampshire, nie tylko w odniesieniu do wirów.

I latami Walt trzymał się z dala od wirów. Na samym początku, kiedy spytał dlaczego, dowiedział się, że może zostać wciągnięty do morza, wessany pod wodę, utopiony i zniesiony hen, daleko.

Były to czwarte wakacje Walta w Dog's Head Harbor - przypominał sobie Duncan - kiedy wraz z Helen i Garpem zauważyli, że mały wpatruje się w morze. Stał po kostki w pianie przyboju i gapił się w wodę bardzo długo, nie ruszając się z miejsca. Podeszli do niego całą trójką, żeby go spytać, co robi. - Co ty robisz, Walt? - spytała Helen.

- Czego tak wypatrujesz, głupku? - zapytał Duncan.
- Chcę zobaczyć wreszcie, jak wygląda ten zjadliwy wirus - powiedział Walt.
- Co chcesz wreszcie zobaczyć? - zainteresował się Garp.
- No tego wirusa - odparł Walt. - Chcę go zobaczyć. Czy on jest bardzo duży?

Garp, Helen i Duncan wstrzymali oddech; zrozumieli, że przez te wszystkie lata Walt bał się jakiegoś wielkiego potwora, który czai się przy brzegu czekając tylko, aby go wessać pod wodę i zabrać hen, w morze. Zjadliwego Wirusa.

Garp usiłował wyobrazić go sobie razem z Waltem. Czy kiedykolwiek wypływa na powierzchnię? Czy zawsze siedzi pod wodą, oślizły i nadęty jak wielka ropucha, zawsze czujny, wypatrujący nóg, za które mógłby złapać swoim obłożonym jęzorem? Nikczemny Zjadliwy Wirus.

Dla Helen i Garpa Wirus stał się swego rodzaju kryptonimem wszystkiego, co budziło niepokój. Długo jeszcze po tym, jak sprawa potwora została Waltowi wyjaśniona („Wystrzegaj się zdradliwych wirów, głupku, a nie żaden Zjadliwy Wirus!” - ryknął Duncan), poczucie zagrożenia jawiło się Helen i Garpowi jako potwór. Kiedy ruch uliczny był szczególnie duży, kiedy nawierzchnia była oblodzona, kiedy morze zabrało przez noc jeszcze kawałek plaży, mówili zawsze: „Dziś Zjadliwy Wirus jest silny”.

- Pamiętajcie - przypomniał im w samolocie Duncan - jak Walt spytał, czy on jest zielony, czy brązowy?

Obaj, i Garp, i Duncan, się roześmieli. Ale nie był ani zielony, ani brązowy - pomyślał Garp. Był mną. I Helen. Miał kolor paskudnej pogody. A wielkość samochodu.

W Wiedniu Garp poczuł, że Zjadliwy Wirus jest silny. Helen nie zdawała sobie z tego sprawy, a Duncan, jak to jedenastoletek, przeżywał moc wrażeń. Powrót do tego miasta był dla Garpa jak powrót do szkoły w Steering. Ulice, budynki, nawet obrazy w muzeach postarzały się jak jego dawni nauczyciele; ledwie je poznawał, a one w ogóle go nie znały. Helen i Duncan oglądali wszystko. Garp zadowalał się towarzystwem małej Jenny; odbywali długie, ciepłe jesienne spacerunki. Mała jeździła w wózku tak barokowym jak samo miasto, a Garp uśmiechał się i kiwał głową do wszystkich starych ludzi, którzy cmokając zaglądali mu do wózka i podziwiali jego nowe dziecko. Wiedeńcy zrobili na nim wrażenie ludzi dobrze odżywionych i żyjących w luksusie, który wydał się Garpowi czymś nowym. Lata dzieliły ich od okupacji rosyjskiej, wspomnienia wojny, pozostałości ruin. Jeżeli w czasach jego pobytu z Jenny Wiedeń umierał albo już był martwy, o tyle teraz na miejscu starego miasta Garp wyczuwał, wyrosło coś nowego, ale pospolitego.

A jednak lubił oprowadzać Helen i Duncana po mieście. Podobała mu się ta podróż, historyczna w sensie osobistym, i jednocześnie pomieszana z historią miasta z przewodników.

- Tutaj stał Hitler, kiedy po raz pierwszy przemawiał do wiedeńczyków. A tutaj

zwykle w sobotę rano robiłem zakupy.

A to jest Dzielnica Czwarta, rosyjska strefa okupacyjna. Tu macie słynny Karlskirche oraz Dolny i Górny Belweder. A po między Prinz-Eugen-Strasse, po lewej, i Argentinierstrasse jest malutka uliczka, gdzie mama ja...

Wynajęli pokoje w ładnym pensjonacie w Dzielnicy Czwartej. Zastanawiali się, czy nie zapisać Duncana do szkoły z językiem angielskim, ale trzeba byłoby go dowozić daleko samochodem albo Strassenbahnem co rano, a oni nie zamierzali zostać w Wiedniu dłużej niż na pół roku. Wyobrażali sobie Boże Narodzenie w Dog's Head Harbor z Jenny, Robertą i Erniem Holmem.

Wreszcie John Wolf przysłał książkę, z obwolutą i ze wszystkim, i poczucie obecności Zjadliwego Wirusa wzrosło w Garpie nieznacznie w ciągu paru dni, a następnie wkręciło się głębiej w jego podświadomość. Pozornie ustąpiło. Garp napisał nawet powściągliwy list do swojego wydawcy; pisał w nim, że poczuł się osobiście urażony, ale rozumie, że John Wolf kierował się jak najlepszymi intencjami, mając na uwadze interes. Ale... i tak dalej. Właściwie dlaczego miałby się złościć na Wolfa? To przecież; w gruncie rzeczy sam nawarzył tego piwa, a Wolf tylko dał mu je wypić.

Jenny napisała do Garpa, że pierwsze recenzje „nie były zbyt miłe”, ale za radą Johna Wolfa nie załączyła ich w liście. John wyciął pierwsze zachwyty z liczących się recenzji nowojorskich: „Ruch kobiecy wywarł wreszcie znaczący wpływ na wybitnego pisarza-mężczyznę” - pisała autorka recenzji, profesor nadzwyczajny na jakiejś uczelni żeńskiej gdzieś tam. Mówiła ona dalej że „»Świat według Bensehavera« stanowi pierwsze pogłębione studium, dokonane przez mężczyznę, specyficznie męskiej neurotycznej presji, jakiej podlega wiele kobiet”. I tak dalej.

- Chryste - powiedział Garp - to brzmi, jakbym napisał rozprawę naukową. A to jest cholerna powieść, historia, którą sam wymyśliłem!

- Ale wygląda na to, że jej się podobała - powiedziała Helen.

- To nie ta historia jej się podobała - odparł Garp. - Jej się podobało co innego.

Recenzja przyczyniła się jednak do powstania pogłoski, że „Świat według Bensehavera” jest powieścią feministyczną.

„Wygląda na to - napisała do syna Jenny Fields - że tak samo jak ja skorzystasz na jednym z wielu powszechnych nieporozumień naszych czasów”.

Inne recenzje nazywały książkę „paranoiczną, zwariowaną, pełną niczym nie uzasadnianej brutalności i seksu”. Większości tych recenzji Garpowi nie pokazano, ale najprawdopodobniej z punktu widzenia sprzedaży nie przyniosły one „Bensehave-

rowi" szkody.

Jeden z recenzentów stwierdzał, że Garp jest poważnym pisarzem, którego jednak „skłonność do barokowej przesady sprowadziła na bezdroża”. John Wolf nie mógł się oprzeć chęci przesłania Garpowi tej recenzji - najprawdopodobniej dlatego, że sam się z nią zgadzał.

Jenny napisała, że „zaangażowała się” w sprawy polityczne New Hampshire.

„Cały czas poświęcamy wyborom gubernatora New Hampshire” - donosiła Roberta Muldoon.

„Jak można poświęcać cały swój czas gubernatorowi New Hampshire?” - odpisał jej Garp.

Najwyraźniej chodziło o jakąś sprawę dotyczącą kobiet, o jakąś z ogólnego punktu widzenia niepoważną bzdurę i przestępstwa, z których był szczególnie dumny obecny gubernator. Administracja chwaliła się, że zgwałconej czternastolatce odmówiono skrobanki, co spowodowało powstrzymanie fali degeneracji na skalę krajową. Gubernator był istotnie reakcyjnym kretynem. Między innymi uważał, że ani władze stanowe, ani federalne nie powinny pomagać biednym, głównie dlatego, że gubernatorowi New Hampshire ich sytuacja wydawała się zasłużoną karą - sprawiedliwym i moralnie słusznym wyrokiem Istoty Wyższej. Obecny gubernator był nieprzyjemny i sprytny - potrafił na przykład wywołać poczucie zagrożenia „tabunami rozwódek z Nowego Jorku”, których ofiarą miało paść New Hampshire.

Rozwiedzione kobiety z Nowego Jorku rzekomo masowo przenosiły się do New Hampshire. Ich celem było jakoby zrobienie z kobiet New Hampshire lesbijek, a co najmniej skłonienie ich do tego, żeby zdradzały swoich mężów z New Hampshire; miały w programie również uwodzenie mężów z New Hampshire i uczniów ze szkół średnich New Hampshire. Nowojorskie rozwódki najwyraźniej reprezentowały szeroko pojętą swobodę obyczajów, socjalizm, alimenty i coś, o czym złowieszczo wzmiankowała prasa New Hampshire jako o „życiu grupowym kobiet”.

Jednym z rzekomych centrów tego „życia grupowego kobiet” było oczywiście Dog's Head Harbor, „ta jaskinia radykalnej feministki Jenny Fields”.

Zaznaczył się także, i to na szeroką skalę - jak twierdził gubernator - wzrost zachorowań na choroby weneryczne - „znany problem wśród tych liberacjonistek”. Był to straszliwy łgarz. Kandydatką ubiegającą się o urząd gubernatorski i zarazem przeciwniczką tego popularnego idioty była najwyraźniej kobieta. Jenny, Roberta i „masy nowojorskich rozwódek” (pisała Jenny) prowadziły jej kampanię.

Jakoś w jedynej gazecie New Hampshire o ogólnostanowym zasięgu „zdegenerowaną” powieść Garpa nazwano „nową feministyczną Biblią”.

„Brutalny hymn na cześć zepsucia moralnego i zagrożenie seksualnego naszych czasów” - pisał jeden z recenzentów z Wybrzeża Zachodniego.

„Gorący protest przeciwko gwałtowi i walce płci naszych stojących na rozdrożu czasów” - pisano w innej gazecie gdzieś indziej.

Niezależnie jednak od tego, czy się podobała, czy nie - o książce Garpa się mówiło. Jednym ze sposobów zapewnienia powieści powodzenia jest napisanie jej w ten sposób, żeby miała posmaczek skandalu. I taki właśnie los spotkał „Świat według Bensehavera”; podobnie jak głupi gubernator New Hampshire, książka Garpa była na ustach wszystkich.

„New Hampshire to zabita deskami dziura z nikczemną polityką - pisał Garp do swojej matki. - Nie angażuj się w to, na miłość boską”.

„To twoja stara śpiewka - odpisała mu Jenny. - Po powrocie czeka cię sława. Zobaczmy, jak to ty się nie będziesz angażował”.

„Zobaczysz - odpisał jej Garp. - Nic łatwiejszego”.

Zainteresowanie pocztą transatlantycką chwilowo odwróciło uwagę Garpa od obecności straszego śmiertelnośnego Wirusa, ale teraz już i Helen wyczuła potwora.

- Wracajmy do domu - powiedziała - mieliśmy bardzo piękne wakacje.

Przyszedł telegram od Johna Wolfa.

„Siedźcie tam, gdzie jesteście - pisał - ludzie kupują twoją książkę masowo”.

Roberta przysłała Garpowi koszulkę z napisem:

NOWOJORSKIE ROZWÓDKI DOBRE DLA NEW HAMPSHIRE

- O Boże - powiedział Garp do Helen - jeśli już mamy wracać, to przynajmniej poczekajmy, aż się skończą te idiotyczne wybory.

W ten sposób na szczęście stracił „reprezentująca odmienne stanowisko opinie feministyczną” dotyczącą „Świata według Bensehavera”, zamieszczoną w niepoważnym, ale popularnym czasopiśmie. Powieść, jak twierdziła recenzentka, „uporczywie podtrzymuje seksistowski punkt widzenia, że kobiety stanowią przede wszystkim zbiór różnego rodzaju otworów i miły przedmiot męskich żarłocznych zapędów... S. T. Garp rozwija irytującą męską mitologię: dobry mężczyzna to strażnik ogniska domowego, dobra kobieta to taka, która nigdy z własnej woli nie otworzy drzwi przed obcym mężczyzną, zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym”.

Nawet Jenny Fields dała się skusić na zrecenzowanie powieści swojego syna;

całe szczęście zresztą, że i tej „recenzji” Garp nigdy nie zobaczył. Jenny utrzymywała mianowicie, że chociaż jest to najlepsza powieść jej syna - w każdym razie najpoważniejsza, jeśli chodzi o problematykę - to jest to zarazem powieść „skażona nawracającymi męskimi obsesjami, które jego czytelniczkom mogą się wydawać nudne”. Jednakże, twierdziła Jenny, jej syn jest dobrym pisarzem, jeszcze młodym, który się z pewnością rozwinie. „Ma serce - dodała - we właściwym miejscu”.

Gdyby Garp to przeczytał, niewykluczone, że zostałby w Wiedniu znacznie dłużej. Ale postanowili już wracać. Jak zwykle niepokój wpłynął na przyspieszenie planów Garpa. Pewnego dnia Duncan nie wrócił przed zmrokiem z parku i Garp wybiegając po niego z domu zawołał do Helen, że to jest ostateczny znak - wyjeżdżają natychmiast. Uznał, że życie w mieście jest zbyt niebezpieczne ze względu na Duncana.

Pobiegł Prinz-Eugen-Strasse w stronę pomnika żołnierzy radzieckich na Schwarzenbergplatz. Była tam w pobliżu ciastkarnia, a Duncan lubił ciastka, chociaż Garp go bez przerwy ostrzegał, że nie będzie miał apetytu na kolację.

- Duncan! - wołał biegnąc, a jego głos odbijał się od potężnych murów i wracał do niego jak rechot Zjadliwego Wirusa, bestii smrodliwej i całej w brodawkach, której lepką obecność czuł jak oddech.

Ale Duncan, bardzo zadowolony, zjadał się Grillparzetorte w ciastkarni.

- Coraz wcześniej robi się ciemno - narzekał. - Wcale nie jest jeszcze tak późno.

Garp musiał mu przyznać rację. Wrócili razem na piechotę do domu. Zjadliwy Wirus schował się w małej ciemnej uliczce, albo Duncan go nie interesuje - pomyślał Garp. Wydawało mu się, że to jego coś ciągnie za nogi, ale było to wrażenie przelotne.

Telefon, odwieczny sygnał alarmowy - wojownik zasztyletowany na posterunku, krzykiem głoszący swój koniec - poderwał pensjonat, w którym mieszkali, sprowadzając do nich drżącą gospodynię.

- Bitte, bitte - powtarzała prosząco. Podniecona i roztrzęsiona, gestami przekazała im wiadomość, że telefon jest ze Stanów Zjednoczonych.

Była druga nad ranem, ogrzewanie wyłączone i Garp idąc korytarzem za gospodynią dygotał z zimna. „Chodnik w korytarzu był cienki - przypomniało mu się - i miał kolor cienia”. Napisał to wiele lat temu. Teraz szukał reszty scenariusza: węgierskiego śpiewaka, człowieka, który chodził tylko na rękach, nieszczęsnego niedźwiedzia i pozostałych członków smutnej trupy cyrkowej, którą wymyślił.

Ale nie było nikogo; prowadziła go tylko chuda, wyprostowana stara kobieta - tak nienaturalnie sztywna w swojej postawie. Na ścianach nie było fotografii drużyn jazdy szybkiej na lodzie ani unicykla zaparkowanego koło drzwi do W.C. Garp podążył schodami do pomieszczenia z jaskrawym sufitowym oświetleniem, które przypominało zaaranżowaną naprędce salę operacyjną w obłożonym mieście. Czuł się, jakby szedł w ślad za aniołem śmierci, akuszerką Zjadliwego Wirusa, którego bagnisty odór czuł w słuchawce telefonu.

- Słucham? - wyszeptał.

Słyszając głos Roberty Muldoon odczuł chwilową ulgę - być może chodzi o kolejne niepowodzenie seksualne, nic więcej. A może meldunek na temat wyborów gubernatorskich w New Hampshire. Garp spojrzał na starą pytającą twarz gospodyni i stwierdził, że nie zdążyła nawet włożyć zębów: policzki zapadnięte, sflaczała skóra zwisała poniżej linii podbródka - całą twarz miała obwisłą jak śmierć. W pokoju cuchnęło wirusem.

- Nie chciałam, żebyś to zobaczył w wiadomościach - mówiła Roberta. - O ile to w ogóle będzie tam w telewizji... nie jestem pewna. Czy nawet w gazetach. Po prostu nie chciałam, żebyś się dowiedział w ten sposób.

- Ale kto zwyciężył? - spytał Garp niepewnie, ponieważ czuł, że ten telefon ma niewiele wspólnego ze starym czy nowym gubernatorem New Hampshire.

- Została zastrzelona... twoja matka - powiedziała Roberta. - Zabili ją, Garp. Jakiś skurwysyn zastrzelił ją ze strzelby na jelenie.

- Kto? - wyszeptał Garp.

- Mężczyzna! - wyszlochała Roberta. Było to najgorsze słowo, jakie jej się w ogóle nasunęło: mężczyzna. - Mężczyzna, który nienawidził kobiet. To był myśliwy - zawodziła. - Zaczął się właśnie, czy też miał się zacząć, sezon myśliwski i nikt nie widział nic złego w tym, że jest ktoś ze strzelbą. Strzelił do niej.

- I zabił ją?

- Złapałam ją, zanim upadła - płakała Roberta. - Nie dotknęła jeszcze ziemi, Garp. Nie zdążyła nawet powiedzieć słowa. Nie wiedziała nawet, co się dzieje. Jestem przekonana.

- Złapali go?

- Ktoś go zastrzelił czy też on sam strzelił do siebie.

- I zabił się?

- Tak, skurwysyn jeden. On też nie żyje.

- Roberta, czy jesteś sama? - zapytał Garp.

- Nie - szlochała. - Jest nas dużo. Jesteśmy tu u was. - Garp wyobraził sobie te wszystkie kobiety w Dog's Head Harbor oplakujące śmierć swojej przywódczyni.

- Ona chciała, żeby jej ciało oddać do kliniki - powiedział. - Roberta?

- Słyszę cię. Ale to jest takie straszne.

- Ale ona sobie tego życzyła.

- Wiem. Musisz przyjechać.

- Tak, natychmiast.

- Nie wiemy, co robić.

- A co w ogóle można zrobić? - rzekł Garp. - Nic.

- Ale coś trzeba - powiedziała Roberta - tylko że ona zawsze mówiła, że nie chce pogrzebu.

- Oczywiście, że nie. Chciała, żeby jej ciało oddać do kliniki. Załatw to, Roberta, mama by sobie tego życzyła.

- Ale przecież coś można chyba zrobić - zaprotestowała Roberta. - Niekoniecznie pogrzeb kościelny, ale coś.

- W nic się nie angażuj, dopóki ja nie przyjadę - polecił jej Garp.

- Dużo się tu na ten temat mówi. Ludzie domagają się wiecu albo czegoś w tym rodzaju.

- Jestem jej jedyną rodziną, Roberta. Powiedz im to.

- Ona tak wiele znaczyła dla nas, przecież wiesz - rzekła Roberta ostro. Tak, i przez to zginęła! - pomyślał Garp, ale nie odezwał się słowem.

- Próbowałam jej pilnować! - szlochała Roberta. - Mówiłam jej, żeby nie szła na ten parking!

- To niczyja wina, Roberta - powiedział łagodnie Garp.

- Ale ty uważasz, że jest. Ty tak zawsze uważasz.

- Roberta, uspokój się. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Ja ci powiem, czyja to jest wina. Mężczyzn, Garp. To twoja obrzydliwa mordercza płeć! Jeżeli nie możecie nas pieprzyć tak, jak byście chcieli, zabijacie nas na sto różnych sposobów!

- Nie ja, Roberta, uspokój się, proszę cię bardzo.

- Owszem, ty też - wyszeptwała. - Żaden mężczyzna nie jest przyjacielem kobiety.

- Ale ja jestem twoim przyjacielem - zapewnił ją Garp i Roberta przez chwilę płakała; był to dźwięk miły Garpowi jak odgłos deszczu padającego na głębokie

jezioro.

- Tak mi jest strasznie przykro - wyszeptała. - Gdybym o sekundę wcześniej zobaczyła tego mężczyznę ze strzelbą, wzięłabym na siebie ten strzał. Wiesz, że bym to zrobiła.

- Wiem, Roberta. - Garp zastanawiał się, czy i on by to zrobił. Kochał matkę oczywiście i miał poczucie dotkliwej straty. Ale czy kiedykolwiek był tak oddany Jenny jak jej zwolenniczki, przedstawicielki tej samej płci?

Przeprosił gospodynię za późny telefon. Kiedy jej powiedział, że jego matka nie żyje, stara kobieta przeżegnała się - jej zapadnięte policzki i bezzębne dziąsła były nieme, ale wyraźnie mówiły o wszystkich śmierciach w rodzinie, które przeżyła.

Helen płakała najdłużej; nie chciała wypuścić z ramion imienniczki zmarłej, małej Jenny Garp. Duncan i Garp przejrzeni prasę, ale wiadomość - wyłączając cud telewizji - musiała iść do Austrii co najmniej z dzień.

Garp oglądał zabójstwo swojej matki w telewizji gospodyni.

Na placu w centrum handlowym gdzieś w New Hampshire odbywały się jakieś przedwyborcze bzdury. Krajobraz niejasno przypominał wybrzeże morskie i Garp poznał, że musi się to dziać kilka mil od Dog's Head Harbor.

Aktualny gubernator popierał wszystkie te same głupie świństwa. Kobieta, która z nim rywalizowała, robiła wrażenie wykształconej, szlachetnej idealistki; z trudem powstrzymywała oburzenie na głupotę i świństwa gubernatora.

Parking centrum handlowego otaczały półciężarówki. Wozy były pełne mężczyzn w myśliwskich kurtkach; reprezentowali oni lokalne interesy New Hampshire - najwyraźniej sprzeczne z zainteresowaniem, jakie powzięły dla stanu New Hampshire rozwódki nowojorskie.

Sympatyczna kobieta, która kandydowała w wyborach przeciwko aktualnemu gubernatorowi, była także rodzajem rozwódki nowojorskiej. Fakt, że piętnaście lat temu osiedliła się w New Hampshire i jej dzieci chodziły tu do szkoły, był w większym czy w mniejszym stopniu ignorowany przez gubernatora i jego zwolenników, którzy otaczali parking kręgiem półciężarówek.

Było dużo transparentów; były nieustanne kpiny.

Była także drużyna futbolowa ze szkoły średniej w strojach do gry - która butami piłkarskimi na kołkach cały czas stukała o beton parkingu. A wśród nich jeden z synów kandydatki. Sprowadził on piłkarzy, żeby zademonstrowali New Hampshire, że głosowanie na jego matkę jest rzeczą męską.

Myśliwi zebrani w swoich wozach byli zdania, że głosować na tę kobietę to tyle, co głosować na homoseksualizm, miłość lesbijską, socjalizm, alimenty i Nowy Jork. I tak dalej. Oglądając telewizję Garp odniósł wrażenie, że tych rzeczy się w New Hampshire nie toleruje.

Garp, Helen, Duncan i maleńka Jenny siedzieli w wiedeńskim pensjonacie i mieli oglądać scenę zamordowania Jenny Fields. Oszołomiona stara gospodyni podawała im kawę i małe ciasteczka; jedynie Duncan był w stanie cokolwiek przełknąć.

Nadeszła właśnie kolej na Jenny, która miała przemówić do zebranych na parkingi ludzi. Stała w skrzyni jednej z ciężarówek. Podsadziła ją tam Roberta i ustawiła jej mikrofon. Matka Garpa robiła wrażenie bardzo małej w tym wozie, szczególnie przy Robertcie, ale odcinała się jaskrawą bielą swego stroju.

- Jestem Jenny Fields - powiedziała, czemu towarzyszyły owacje, gwizdy i wrzaski. Z otaczających parkingi ciężarówek rozległy się klaksony. Policja usiłowała skłonić wozy, żeby odjechały; odjeżdżały, ale zaraz wracały i znów odjeżdżały. - Większość z was wie, kim jestem - ciągnęła Jenny. Znów owacje, gwizdy, klaksony i - pojedynczy strzał, ostateczny jak fala, która rozbiła się o brzeg.

Nikt nie widział, skąd padł. Roberta Muldoon podtrzymywała matkę Garpa pod pachy. Biały strój Jenny skaziła mała, ciemna plama. I wtedy Roberta, z Jenny w ramionach, zeskoczyła z ciężarówki i przebiła się przez tłum jak za dawnych czasów, kiedy parła z piłką po zdobyciu pierwszego punktu. Tłum rozstąpił się; biały strój Jenny był niemal całkowicie ukryty w objęciach Roberty. Na jej spotkanie ruszył wóz policyjny; kiedy się zbliżył, wyciągnęła w ich stronę ciało Jenny Fields. Przez moment Garp widział, jak nieruchomy biały strój matki, uniesiony ponad tłum, przechodzi w ręce policjanta, który pomógł Robertcie wsiąść do wozu policyjnego.

Samochód, jak powiadają, odjechał z piskiem opon. Uwagę kamery najwyraźniej odwróciła jakaś strzelanina wśród ciężarówek otaczających parking i kilka dalszych wozów policyjnych. A potem zobaczyli bezwładne ciało mężczyzny w myśliwskiej kurtce leżące w ciemnej kałuży czegoś, co wyglądało na olej. Jeszcze później zbliżenie tego, co reporterzy zidentyfikowali jedynie jako „strzelbę na jelenie”.

Podkreślono, że sezon na jelenie jeszcze się oficjalnie nie rozpoczął.

Gdyby nie to, że na ekranie nie było żadnej nagości, cały program, od początku do końca, byłby tanim serialem telewizyjnym od osiemnastu lat.

Garp podziękował gospodyni, że pozwoliła im obejrzeć dziennik. W ciągu

dwóch godzin znaleźli się we Frankfurcie, gdzie przesiadli się na samolot do Nowego Jorku. W samolocie nie było z nimi Zjadliwego Wirusa - nawet Helen, która tak bała się samolotów, nie odczuła jego obecności. Na jakiś czas, wiedzieli, Wirus przeniósł się gdzie indziej.

Jedyna myśl, która towarzyszyła Garpowi, kiedy leciał nad Atlantykiem, dotyczyła jego matki - że wypowiedziała bardzo trafne „ostatnie słowa”. Jenny Fields zakończyła życie mówiąc: „Większość z was wie, kim jestem”. W samolocie Garp trenował te słowa.

- Większość z was wie, kim jestem - wyszeptał. Duncan spał, ale Helen go usłyszała; wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

Tysiące stóp nad poziomem morza S. T. Garp płakał w samolocie, który wiozł go do jego brutalnej ojczyzny, gdzie miał być sławny.

Rozdział XVII

Pierwszy pogrzeb feministyczny i inne pogrzeby

„Od śmierci Walta - pisał S. T. Garp - moje życie wydaje mi się epilogiem”.

Po śmierci Jenny Fields musiało w nim wzrosnąć poczucie zagubienia, tego przemijania czasu według jakiegoś planu. Ale jaki był ten plan?

Garp siedział w nowojorskim biurze Johna Wolfa usiłując ogarnąć zagęszczenie planów wokół śmierci jego matki.

- Ja nie wyraziłem zgody na pogrzeb - powiedział. - Jak w ogóle może być jakiś pogrzeb? Gdzie jest ciało, Roberta?

Roberta Muldoon odpowiedziała cierpliwie, że ciało jest tam, gdzie Jenny Fields chciała, żeby było. To nie jej ciało jest tu najważniejsze - powiedziała. Odbędzie się po prostu rodzaj uroczystości poświęconej jej pamięci; lepiej nie myśleć o tym jako o „pogrzebie”.

Prasa zapowiadała, że będzie to pierwszy feministyczny pogrzeb w Nowym Jorku.

Policja orzekła, że należy się spodziewać jakichś rozruchów.

- Pierwszy feministyczny pogrzeb? - spytał Garp.

- Ona znaczyła tak wiele dla tak wielu kobiet - powiedziała Roberta. - Nie złość się. Przecież w końcu nie była twoją własnością.

John Wolf przewrócił oczami.

Duncan Garp wyglądał przez okno biura Wolfa, czterdzieści pięter nad Manhattanem. Prawdopodobnie czuł się trochę tak jak w samolocie, z którego dopiero co wysiadł.

Helen telefonowała z drugiego pokoju. Usiłowała skontaktować się ze swoim ojcem w starym poczciwym Steering; chciała, żeby wyjechał po nich na lotnisko, kiedy przylecą z Nowego Jorku do Bostonu.

- W porządku - powiedział Garp wolno; trzymał na kolanach maleńką Jenny. - W porządku. Wiesz, że to jest wbrew mnie, Roberta, ale pójdę.

- Pójdziesz? - zdziwił się John Wolf.

- Nie! - zaprotestowała Roberta. - To znaczy nie musisz iść.

- Wiem. Ale masz rację. Ona by sobie najprawdopodobniej czegoś takiego

życzyła, więc pójdę. A na czym to ma polegać?

- Będzie dużo przemówień - powiedziała Roberta. - Ty nie masz ochoty iść.

- I będą czytane fragmenty jej książki - dodał John. - Ofiarowaliśmy pewną ilość egzemplarzy.

- Ale ty nie masz ochoty iść, Garp - powtórzyła nerwowo Roberta. - Proszę cię, nie idź.

- Owszem, mam ochotę - rzekł Garp. - Obiecuję ci, że nie będę syczał ani gwizdał, bez względu na to, co różne idiotki będą o niej mówiły. Mam coś, co sam mógłbym odczytać, jeśli to kogokolwiek obchodzi. Czy wy w ogóle wiecie, co ona napisała w odpowiedzi na to, że ją nazwano feministką? - Roberta i John Wolf spojrzeli po sobie; byli przygnębieni i bladzi. - Napisała tak: „Nienawidzę, kiedy mi przypinają etykietę, której sobie wcale nie wybrałam, na określenie mojego stosunku do mężczyzn albo mojego sposobu pisania”.

- Nie chcę się z tobą sprzeczać, Garp - powiedziała Roberta. - W każdym razie nie teraz. Wiesz doskonale, że mówiła i inne rzeczy. Ona była feministką, czy jej się podobała ta etykieta, czy nie. Była po prostu za ujawnianiem wszystkich krzywd, jakie się dzieją kobietom. Była za tym, żeby dać kobietom żyć, tak jak one same chcą, żeby im pozwolić decydować o sobie.

- Doprawdy. I ona uważała, że wszystko, co spotyka kobiety, spotyka je dlatego, że są kobietami?

- Jeżeli w to wierzysz, to musisz być bardzo głupi, Garp - uznała Roberta. - Robisz z nas wszystkich jamesjanki.

- Uspokójcie się wreszcie - przerwał im John Wolf.

Jenny Garp zapiszczała krótko i klapnęła Garpa w kolano; spojrzął na nią zdziwiony - jakby zapomniał, że ma na kolanach żywe stworzenie.

- O co chodzi? - zwrócił się do małej. Dziecko ucichło, obserwowało jakiś element krajobrazu gabinetu Johna Wolfa, niewidoczny dla nich wszystkich.

- O której godzinie jest ten cyrk? - zapytał Garp.

- O piątej po południu.

- To zostało specjalnie tak zaplanowane - rzekł John Wolf - żeby połowa sekretarek w Nowym Jorku mogła wyjść o godzinę wcześniej z pracy.

- Nie wszystkie pracujące kobiety w Nowym Jorku są sekretarkami - odparła Roberta.

- Ale między czwartą a piątą jedynie brak sekretarek zostanie dostrzeżony.

- Rany - powiedział Garp.

Weszła Helen i oznajmiła, że nie może się dodzwonić do ojca.

- Na pewno ma zajęcia z zapaśnikami - uznał Garp.

- Sezon zapaśniczy jeszcze się nie zaczął - zwróciła mu uwagę Helen. Garp spojrział na kalendarz w swoim zegarku, który różnił się o kilka godzin w stosunku do czasu Stanów Zjednoczonych; po raz ostatni nastawiał go w Wiedniu. Ale Garp wiedział, że sezon zapaśniczy w Steering oficjalnie zaczynał się dopiero po Dniu Dziękczynienia. Helen miała rację.

- Kiedy zadzwoniłam do hali sportowej, powiedzieli mi, że jest w domu. A kiedy zadzwoniłam do domu, nikt się nie odzywał.

- Wynajmiemy samochód na lotnisku. A zresztą i tak nie możemy wyjechać wcześniej, aż dopiero wieczorem. Muszę iść na ten cholerny pogrzeb.

- Nie, nie musisz - upierała się Roberta.

- W gruncie rzeczy - powiedziała Helen - nawet nie możesz.

Roberta i John znów robili wrażenie bladych i przygnębionych; Garp po prostu robił wrażenie, że nie wie, o co chodzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć, że nie mogę? - spytał.

- To jest pogrzeb feministyczny - wyjaśniła Helen. - Przeczytałeś gazetę, czy poprzestałeś na samych nagłówkach?

Garp spojrział oskarżycielsko na Robertę Muldoon, ale ona patrzyła na Duncana wyglądającego przez okno. Duncan obserwował Manhattan przez swój teleskop.

- Tak, nie możesz iść, Garp - przyznała Roberta. - To prawda. Nie mówiłam ci, bo bałam się, że będziesz wściekły. I szczerze mówiąc, nie myślałam, że zechcesz iść.

- Aha, nie wolno mi, tak?

- To jest uroczystość dla kobiet - wyjaśniła mu Roberta. - Kobiety ją kochały, kobiety będą ją oplakiwać. Chciałyśmy, żeby tak było.

Garp spojrział spode łba na Robertę Muldoon.

- Ja ją kochałem - powiedział. - Jestem jej jedynym dzieckiem. Uważasz, że nie mogę wziąć udziału w tym cyrku dlatego, że jestem mężczyzną?

- Wolalabym, żebyś nie nazywał tego cyrkiem.

- O jaki cyrk chodzi? - zapytał Duncan.

Jenny Garp znów pisnęła, ale Garp jej nie słuchał. Helen zabrała mu ją z kolan.

- Czy chcesz powiedzieć, że mężczyznom nie wolno brać udziału w pogrzebie

mojej matki? - zwrócił się do Roberty Garp.

- To nie jest ściśle pogrzeb, już ci mówiłam. To będzie bardziej przypominało wiec, rodzaj uroczystej demonstracji.

- Idę, Roberta - oświadczył Garp. - Wszystko mi jedno, jak to nazywasz.

- Rany - westchnęła Helen. Wyszła z małą na rękę. - Jeszcze raz spróbuję zadzwonić do ojca.

- O, widzę mężczyznę z jedną ręką! - zawołał Duncan.

- Proszę cię, Garp, nie idź - powiedziała łagodnie Roberta.

- Ona ma rację - poparł ją John Wolf. - Ja też chciałem iść. Ostatecznie byłem jej wydawcą. Ale niech już będzie tak, jak one sobie życzą, Garp. Myślę, że Jenny też by tak uważała.

- Nic mnie nie obchodzi, co by uważała Jenny.

- John ma prawdopodobnie rację - wtrąciła Roberta. - I to jest jeszcze jeden powód, dla którego nie powinno cię tam być.

- Nie zdajesz sobie sprawy, Garp, jak niektóre uczestniczki ruchu kobiecego zareagowały na twoją książkę - ostrzegł go John Wolf.

Roberta Muldoon przewróciła oczami. Już wcześniej zarzucano Garpowi, że wykorzystuje reputację swojej matki i ruch kobiecy. Roberta widziała zapowiedź „Świata według Bensehavera”, którą John Wolf zamieścił zaraz po zabójstwie Jenny Fields. Książka Garpa najwyraźniej „zarabiała” i na tej tragedii - zapowiedź roztaczała sensacyjną aurę wokół biednego autora, który stracił syna, „a teraz jeszcze matkę”.

Całe szczęście, że Garp nigdy nie zobaczył tej zapowiedzi; nawet Johnowi było przykro z jej powodu.

„Świat według Bensehavera” sprzedawał się, sprzedawał i sprzedawał. Przez wiele lat miał być kontrowersyjny; miał wejść do programów nauczania wyższych uczelni. Na szczęście sporadycznie inne książki Garpa też. Jeden z programów obejmował autobiografię Jenny łącznie z trzema powieściami Garpa i „Historią Akademii Everetta Steeringa” Stewarta Percy'ego. Celem wykładu było najwyraźniej wyłuskanie z tych książek wszystkiego o życiu Garpa, co wydawało się prawdziwe.

Na szczęście i o tym Garp się nigdy nie dowiedział.

- Widzę człowieka z jedną nogą - oznajmił Duncan Garp wypatrujący na ulicach i w oknach Manhattanu kalek i upośledzonych - zajęcie na lata.

- Duncan, przestań - upomniał go Garp. - Garp, jeśli naprawdę zamierzasz iść - szepnęła do niego Roberta - to musisz iść w przebraniu.

- Skoro mężczyźni rzeczywiście tak trudno się tam dostać - warknął Garp - to proś Boga, żeby przy drzwiach nie robili próby chromosomowej. - Natychmiast, jak to powiedział, zrobiło mu się przykro: zobaczył, że Roberta skrzywiła się, jakby dostała w twarz. Ujął w ręce jej wielkie dłonie i trzymał je tak długo, aż poczuł, że oddała mu uścisk. - Przepraszam - szepnął. - Ale jeżeli mam iść w przebraniu, to całe szczęście, że jesteś, pomożesz mi się przebrać. Masz w tym zdaje się doświadczenie, prawda?

- Prawda - odparła Roberta.

- To śmieszne - wtrącił się John Wolf.

- Ale jeżeli któraś z tych kobiet cię pozna - ostrzegła Garpa Roberta - rozerwą cię na strzępy. W najlepszym razie nie wpuszczą do środka.

Pojawiła się znów Helen z popiskującą Jenny na biodrze.

- Zadzwoiłam do dziekana Bodgera - zwróciła się do Garpa. - Prosiłam go, żeby się jakoś skontaktował z ojcem. To do niego niepodobne: nie być nigdzie.

Garp potrząsnął głową.

- Powinniśmy już jechać na lotnisko - powiedziała Helen. - Wynajmiemy samochód na lotnisku w Bostonie i pojedziemy do Steering. Niech dzieci odpoczną. A potem, jeśli chcesz wracać do Nowego Jorku na jakąś krucjatę, to twoja sprawa.

- Jedź sama. Ja polecę później i też sobie wynajmę samochód.

- To głupota - zaproponowała Helen.

- I niepotrzebny wydatek - dodała Roberta.

- Mam teraz kupę pieniędzy - rzekł Garp; John Wolf nie odwzajemnił jego uszczypliwego uśmiechu.

Ofiarował się, że odwiezie Helen z dziećmi na lotnisko.

- O, jeden człowiek z jedną ręką i jeden z jedną nogą, dwie kaleki - oznajmił Duncan. - O, i człowiek bez nosa.

- Powinieneś zostać i zobaczyć tatę - powiedziała Roberta Muldoon.

Garp pomyślał o sobie: były zapaśnik w żałobie, w kobiecym przebraniu występujący na uroczystościach pogrzebowych matki. Pocałował Helen i dzieci, i nawet Johna Wolfa.

- Nie martw się o ojca, Helen - powiedział.

- I nie martw się o Garpa - dodała Roberta. - Tak go przebiorę, że na pewno dadzą mu spokój.

- Wolalabym, żebyś to ty dał wszystkim spokój - zwróciła się Helen do Garpa.

Nagle w zatłoczonym pokoju pojawiła się jeszcze jedna kobieta; nikt jej nie

dostrzegł, ale ona usiłowała zwrócić na siebie uwagę Johna Wolfa. Kiedy się wreszcie odezwała, wycelowała akurat w jeden jedyny moment ciszy i wtedy wszyscy na nią spojrzeli.

- Panie Wolf? - powiedziała. Była stara, czarno-szaro-brązowa i wyraźnie cierpiała na nogi; jej grubą talię dwukrotnie opasywał przewód elektryczny.

- Słucham cię, Jillsy - powiedział John Wolf i Garp wytrzeszczył na nią oczy. Była to oczywiście Jillsy Sloper; John Wolf powinien wiedzieć, że pisarze zapamiętują imiona.

- Chciałam pana spytać - rzekła Jillsy - czy mogłabym się dziś zwolnić trochę wcześniej, żeby iść na ten pogrzeb. - Mówiła ze spuszczoną głową, oszczędzając słów i mamrocząc pod nosem. Nie lubiła się odzywać przy obcych; poza tym poznała Garpa, a nie chciała być mu przedstawiona - nigdy.

- Naturalnie, że możesz - powiedział szybko John Wolf. Jemu tak samo jak Jillsy Sloper nie zależało na przedstawieniu jej Garpowi.

- Chwileczkę. - Jillsy Sloper i John Wolf zamarli. - Czy pani jest Jillsy Sloper? - spytał Garp.

- Nie! - wybuchnął John Wolf. Garp spojrzał na niego spode łba.

- Dzień dobry - powiedziała Jillsy Sloper; nie chciała na niego patrzeć.

- Dzień dobry - odparł Garp. Na pierwszy rzut oka zorientował się, że ta ponura kobieta nie była „zachwycona” jego książkami, jak się wyraził John Wolf.

- Przykro mi z powodu pana mamy - rzekła Jillsy.

- Dziękuję bardzo - odparł Garp, ale widział - wszyscy widzieli! - że Jillsy Sloper dosłownie gotuje się ze złości.

- Ona była warta dwóch albo trzech takich jak pan! - wrzasnęła nagle. W jej błotnistożółtych oczach pojawiły się łzy. - Była warta cztery czy pięć razy tyle co pana okropne książki! - zapiała. - Rany - mruknęła opuszczając biuro Johna Wolfa. - Rany, rany!

Znów ktoś kulawy - pomyślał Duncan, ale widział, że ojciec nie jest ciekaw jego statystyki.

Na pierwszym feministycznym pogrzebie, jaki się odbył w mieście Nowy Jork, żałobnicy byli najwyraźniej niepewni, jak się mają zachowywać. Wynikało to prawdopodobnie z faktu, że uroczystość odbywała się nie w kościele, tylko w jednym z tych bliżej nie określonych budynków miejskich uczelni - w audytorium,

rozbrzmiewającym echem dawnych mów, których nikt nie słuchał. W ogromnym pomieszczeniu unosiła się jakby niestosowna atmosfera minionych braw - dla orkiestr rockowych i od czasu do czasu dla jakiegoś znanego poety. Ale tchnęło ono również powagą wielkich wykładów, jakie tu wygłaszano; była to sala, w której setki ludzi robiły notatki.

Budynek nosił nazwę Audytorium Szkoły Pielęgniarskiej i w tym sensie był szczególnie odpowiedni jako miejsce oddania hołdu Jenny Fields. Trudno było odróżnić żałobniczki ubrane w „Jenny Fields Original”, z naszytymi na piersi czerwonymi serduszkami, od prawdziwych pielęgniarek, wiecznie białych i niemodnych, które z innych powodów znajdowały się na terenie szkoły pielęgniarskiej, i tylko zatrzymały się, żeby popatrzeć na uroczystości - albo ze szczerej sympatii, albo z ciekawości, albo z jednego i drugiego.

Wśród licznej kotłującej się i szemrzącej publiczności było dużo białych strojów pielęgniarskich i Garp natychmiast naskoczył na Robertę:

- Mówiłem ci, że się przebiorę za pielęgniarkę - syknął. - Znacznie mniej rzucałbym się w oczy.

- Właśnie jako pielęgniarka rzucałbyś się w oczy najbardziej - powiedziała Roberta. - Nie wiedziałam, że będzie ich tyle.

- To się zrobi moda na skalę ogólnokrajową - zauważył Garp. - Zobacysz - mruknął, ale już więcej się nie odezwał; skulił się, mały i krzykliwie ubrany, koło Roberty, świadom, że wszyscy na niego patrzą wyczuwając jakoś jego męskość, a przynajmniej - jak go ostrzegła Roberta - wrogość.

Siedzieli w samym centrum ogromnego audytorium, w trzecim zaledwie rzędzie od sceny i podium dla mówców; do sali wlało się morze kobiet, które usiadły za nimi - całe rzędy kobiet - aż tyłu, w pustej części wielkiego pomieszczenia (gdzie nie było krzeseł), te, którym nie zależało, żeby siedzieć przez całą uroczystość, ale które chciały złożyć Jenny hołd, sączyły się powoli jednymi drzwiami, a wyciekały drugimi. Jak gdyby ta większa, siedząca, część publiczności była otwartą trumną Jenny Fields, którą te wolno sunące kobiety przyszły obejrzyć.

Garp czuł się oczywiście, jakby to on był tą otwartą trumną i wszystkie kobiety jemu się przyglądały - jego bladości, jego kolorytowi, jego niedorzecznemu przebraniu.

To Roberta go tak załatwiła - może chciała się na nim odegrać za to, że zrobił jej na złość i zmusił, żeby mu w ogóle pozwoliła przyjść, albo za okrutny dowcip na

temat jej chromosomów. W każdym razie przebrała go w tandetny turkusowy kombinezon spadochroniarski koloru ciężarówki Orena Ratha. Kombinezon zapinał się na złoty suwak, który biegł od krocza aż pod brodę. Garp nie wypełniał go w biodrach całkowicie, ale jego piersi - sztuczne oczywiście, które mu Roberta przyprowadziła - wypychały kieszonki z klapkami, ściągając nieszczęsny suwak na boki.

- Ale masz cyc! - powiedziała Roberta.

- Jesteś potwór - syknął Garp.

Ramięczka wielkiego, ohydneho stanika wrzynały mu się w ramiona i kiedy tylko Garp czuł, że jakaś kobieta mu się przygląda, powątpiewając być może w jego płęć, po prostu demonstracyjnie odwracał się do niej bokiem. I w ten sposób rozwiewał wszelkie wątpliwości, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Był mniej pewny włosów, kurewskiej natapirowanej peruki w kolorze miodowoblond, pod którą swędziła go skóra.

Na szyi miał ładny zielony szalik, a śniadą twarz przypudrowaną na niezdrowy szary kolor, ale puder, powiedziała Roberta, maskuje zarost. Wąskie wargi Garpa były pomalowane na kolor wiśniowy, ale oblizując je bez przerwy w jednym kąciku rozmazał szminkę.

- Wyglądasz, jakbyś się przed chwilą całował - uspokajała go Roberta.

Mimo że był zaziębiony, nie pozwoliła mu włożyć skafandra - uznała, że wyglądałby za potężnie w ramionach. Na nogach miał buty do kolan na wysokich obcasach w kolorze wiśniowym, które, jak uznała Roberta, pasowały do szminki. Garp przejrzał się w wystawie sklepowej i powiedział, że wygląda jak młodociana prostytutka.

- Starzejąca się młodociana prostytutka - sprostowała Roberta.

- Spadochroniarz-pedał.

- Nie, Garp, wyglądasz na kobietę. Może w nie najlepszym guście, ale kobietę.

Tak więc Garp kręcąc się niespokojnie siedział w Audytorium Szkoły Pielęgniarskiej. Splatał sznurkowe warkoczyki swojej idiotycznej torby, kudłatej i konopnej, z jakimś orientalnym wzorem, która ledwie mieściła jego portfel. W swojej potężnej, wypchanej torbie na ramię Roberta schowała prawdziwe ubranie Garpa - jego drugą osobowość.

- To jest Manda Horton-Jones - szepnęła, wskazując chudą kobietę o haczykowatym nosie i szurzej twarzy; z opuszczoną głową, nosowym głosem odczytywała drętwą, przygotowaną wcześniej mowę.

Garp nie miał pojęcia, kto to jest Manda Horton-Jones; wzruszył ramionami, próbując jakoś wytrzymać jej wystąpienie. Przemówienia były różne: od ostrych politycznych wezwań do jedności do niepewnych, przepojonych żalem osobistych wspomnień związanych z Jenny Fields. Publiczność nie wiedziała, czy bić brawo, czy się modlić - czy głośno wyrażać aprobatę, czy w milczeniu kiwać głową. Atmosfera była przeniknięta duchem żałoby, a zarazem przebojowym duchem jedności - z silnym poczuciem marszowego rytmu. Zastanawiając się nad tym Garp doszedł do wniosku, że jest to naturalne i właściwe, zarówno z punktu widzenia Jenny, jak i jego wyobrażeń na temat ruchu kobiecego.

- To jest Sally Devlin - szepnęła Roberta. Kobieta, która właśnie wstępowała na podium dla mówców, robiła wrażenie sympatycznej i mądrej, i jak gdyby znajomej. Garp poczuł natychmiast, że musi się przed nią bronić. Chcąc się podroczyć z Robertą szepnął:

- Ma ładne nogi.

- Ładniejsze niż ty - odparła Roberta i uszczypnęła go boleśnie w udo swoim potężnym kciukiem i długim palcem wskazującym zaprawionym do odbierania podań, który - jak przypuszczał Garp - musiał być nieraz złamany w czasach, kiedy Roberta grała w filadelfijskich Orłach.

Sally Devlin patrzyła na nich z góry swoimi smutnymi, łagodnymi oczyma, jakby w milczeniu karciała klasę za to, że nie uważa, że nawet nie siedzi spokojnie.

- Ta bezsensowna zbrodnia w gruncie rzeczy nie zasługuje na tyle szumu - powiedziała cicho. - Ale Jenny Fields pomagała tak wielu osobom, była po prostu bezgranicznie cierpliwa i wyrozumiała w stosunku do kobiet, które przeżywały ciężkie chwile. Każdy, kto kiedykolwiek doznał od kogoś drugiego pomocy, powinien czuć się strasznie z powodu tego, co ją spotkało.

Garp istotnie czuł się okropnie w tym momencie; słyszał westchnienia i szlochy setek kobiet. Odbierał wstrząsy potężnych ramion siedzącej obok niego Roberty. Poczuł, jak ręka kobiety siedzącej najprawdopodobniej bezpośrednio za nim chwytła go za ramię, wtłoczone w koszmary turkusowy kombinezon spadochroniarski. Zastanawiał się, czy zostanie spoliczkowany za swój nieodpowiedni strój, ale ręka po prostu spoczywała na jego ramieniu. Być może kobieta potrzebowała wsparcia. W tym momencie, Garp wiedział, łączy je wszystkie siostrzana więź.

Spojrzał, żeby zobaczyć, co mówi Sally Devlin, ale sam miał łzy w oczach i nie widział jej dobrze. Ale za to ją słyszał: płakała. Słyszał z głębi serca płynące

spazmatyczne szlochy! Usiłowała podjąć przerwane przemówienie, ale nie mogła odnaleźć właściwego miejsca na kartce; kartka trzepotała o mikrofon. Jakaś kobieta potężnej budowy - Garp musiał ją już kiedyś widzieć - z rodzaju goryli, które dotrzymywały towarzystwa jego matce - usiłowała sprowadzić Sally Devlin z podium, ale pani Devlin nie chciała zejść.

- To nie było zamierzone - powiedziała płacząc w dalszym ciągu; miała na myśli swój szloch i to, że straciła panowanie nad sobą. - Chciałam powiedzieć znacznie więcej - oznajmiła, ale głos jej się załamał. - Cholera - zakończyła z godnością, która wzruszyła Garpa.

Potężnie zbudowana kobieta znalazła się sam na sam z mikrofonem. Publiczność czekała w ciszy. Garp poczuł drżenie, a może ucisk ręki na swoim ramieniu. Patrząc na wielkie dłonie Roberty, złożone na kolanach, wiedział, że dłón na jego ramieniu musi być bardzo mała.

Potężnie zbudowana kobieta chciała coś powiedzieć i tłum w dalszym ciągu czekał. Ale mógł tak czekać do śmierci na choćby jedno słowo. Roberta ją znała. Wstała i zaczęła oklaskiwać milczenie wielkiej baby, irytującą ciszę przed mikrofonem. Inni przyłączyli się do tych braw, nie wyłączając Garpa, który nie miał pojęcia, dlaczego klaszcze.

- Ona jest jamesjanką - szepnęła mu do ucha Roberta. - Nie może nic mówić. - Kobieta jednak wzruszyła publiczność swoim smutnym, udęczonym wyrazem twarzy. Otwierała usta, jakby śpiewała, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Garpowi wydało się nawet, że widzi kikut jej języka. Uświadomił sobie, jak bardzo jego matka je wspierała - te wariatki; Jenny była nadzwyczajna dla każdej, która się do niej zgłosiła. Ale i ona w końcu wyraziła swoją dezaprobatę dla ich postawy - być może tylko wobec Garpa. „Robią z siebie ofiary - powiedziała. - A jednocześnie są za to samo wściekłe na mężczyzn. Dlaczego nie ślubują milczenia albo po prostu nie przestaną się odzywać w obecności mężczyzn? To nielogiczne: okaleczyć się tylko dla zasady”.

Ale Garpowi, wzruszonemu widokiem stojącej przed nim szalonej kobiety, przysłała w tym momencie na myśl cała historia samookaleczenia świata, która choć brutalna i nielogiczna, jak nic innego unaoczniła potworną krzywdę. „Zadano mi ból” - mówiła wielka twarz, która rozplywała mu się przed załzawionymi oczyma.

I wtedy mała dłón na ramieniu zadała ból jemu: przywołało go to do rzeczywistości, uświadomił sobie, kim jest: mężczyzną biorącym udział w rytuale

czysto kobiecym. Odwrócił się i zobaczył za sobą dość zmęczoną młodą kobietę. Jej twarz wydała mu się jakby znajoma, ale Garp jej nie poznał.

- Ja cię znam - szepnęła do niego, ale bynajmniej nie robiła wrażenia szczęśliwej z tego powodu.

Roberta ostrzegła go, żeby się do nikogo nie odzywał, żeby nawet nie próbował otwierać ust. Był na to przygotowany. Potrząsnął głową. Wyjął z kieszeni notatnik, przygnieciony ciężarem gigantycznych sztucznych piersi, i ze swojej idiotycznej torby wyciągnął długopis. Ostre, przypominające szpony paznokcie kobiety wbiły mu się w ramię, jakby go chciała przytrzymać, jakby się bała, że ucieknie. „Hej, jestem jamesjanką” - Garp nabazgrał w notatniku; wydarł kartkę i wręczył młodej kobiecie, która jej nie wzięła.

- Akurat - powiedziała. - Jesteś S. T. Garp.

Słowo „Garp” wpadło w udręczoną ciszę w dalszym ciągu sterowaną przez milczącą jamesjankę na podium jak czknięcie jakiegoś nieznanego zwierzęcia. Roberta Muldoon rozejrzała się w panice; nigdy w życiu nie widziała tej młodej kobiety.

- Nie wiem, kto to jest ta twoja duża kumpelka - zwróciła się do Garpa dziewczyna - ale ty jesteś S. T. Garp. Nie wiem, skąd wzięłeś tę idiotyczną perukę czy te wielkie cycki, ale na końcu świata bym cię poznała. Od czasu, kiedy pieprzyłeś moją siostrę, nie zmieniłeś się ani trochę. - Garp wiedział, kim był jego wróg - była to ostatnia i najmłodsza z klanu Percych. Bainbridge! Mała Puchatek Percy, która jako kilkuletnia dziewczynka nosiła jeszcze pieluchy i która, podejrzewał Garp, równie dobrze mogła je nosić do tej pory.

Garp spojrzał na nią; miał większe piersi od niej. Puchatek była ubrana w sposób aseksualny i ostrzyżona w popularnym stylu unisex; rysy miała ani specjalnie delikatne, ani grube. Do wojskowej koszuli z dystynkcjami sierżanta przypięła guziczek kampanii wyborczej kobiety, która miała nadzieję zostać nowym gubernatorem stanu New Hampshire. Garpem wstrząsnęło odkrycie, że kandydatką na gubernatora New Hampshire jest Sally Devlin. Ciekaw był, czy wygra.

- Hej, Puchatek - powiedział i zobaczył, jak się skrzywiła: było to znienawidzone przez nią przezwisko, od dawna nie używane. - Bainbridge - mruknął, ale było za późno na to, żeby nawiązać przyjazne stosunki. Całe lata za późno. Za późno od tamtej nocy, kiedy Garp odgryzł Bonkersowi ucho i przespał się z Cushie w szkolnej infirmerii, nigdy jej w gruncie rzeczy nie kochając. Odkąd nie przyszedł na jej

ślub ani nawet na pogrzeb.

Niezależnie od tego, jak wielką winą obciążała za to Garpa czy też jak wielką była jej nienawiść do mężczyzn w ogóle, Puchatek Percy dopadła swojego wroga - w końcu.

Garp poczuł na plecach dużą, ciepłą dłoń Roberty i usłyszał jej niski, nagły głos:

- Uciekaj stąd, tylko szybko, i ani słowa.

- Tu jest mężczyzna! - wrzasnęła Bainbridge Percy wśród żałobnej ciszy Auditorium Szkoły Pielęgniarskiej. Co wywołało nawet nikły odgłos - jak gdyby chrząknięcie - ze strony zatroskanej Jamesjanki na podium. - Tu jest mężczyzna! darła się Puchatek. - I to S. T. Garp! - krzyczała.

Roberta usiłowała go wyprowadzić do przejścia między krzesłami. Obrońca jest przede wszystkim dobry w blokowaniu, a zaraz potem w odbieraniu podań, ale nawet były Robert Muldoon nie mógł poradzić sobie z tymi wszystkimi kobietami.

- Proszę was - mówiła - przepuście nas, proszę. To była jego matka, musicie o tym pamiętać. A on jest jej jedynym dzieckiem.

Moja jedyna matka! - pomyślał Garp napierając na plecy Roberty; czuł, jak podobne do szpilek paznokcie Bainbridge Percy orzą mu twarz. Zdarła mu z głowy perukę; Garp wyrwał jej perukę i przycisnął do wielkiego biustu, jakby przedstawiała dla niego Bóg wie jaką wartość.

- Zajebał moją siostrę na śmierć! - zawodziła Puchatek. Jak mogła sobie coś takiego wykoncypować, Garp miał się nigdy nie dowiedzieć, w każdym razie Puchatek Percy była o tym święcie przekonana. Wdrapała się na krzesło, z którego wstał, i systematycznie posuwała się za nim i za Robertą, którzy w końcu przebili się do przejścia.

- Ona była moją matką - Garp zwrócił się do kobiety, którą właśnie mijał, a która sama wyglądała jak potencjalna matka. Była w ciąży. W jej sceptycznej twarzy dopatrywał się zdrowego rozsądku i dobroci; ale zarazem rezerwy i pogardy.

- Puście go - mruknęła kobieta, ale bez większego przekonania.

Inne wydały mu się życzliwsze. Ktoś wykrzyknął, że Garp ma prawo tu być - ale jednocześnie wykrzykiwano inne rzeczy, nie mające nic wspólnego z jakąkolwiek życzliwością.

Dalej w przejściu Garp poczuł, że ktoś go okłada po sztucznych piersiach; wyciągnął rękę w poszukiwaniu Roberty i stwierdził, że - jak to się mówi w futbolu -

została wyłączona z gry. Leżała na ziemi, a na niej siedziało kilka młodych kobiet w granatowych marynarskich kurtkach. Garpowi przyszło do głowy, że i Robertę mogły uznać za mężczyznę w przebraniu; przekonanie się o jej autentyczności mogło je drogo kosztować.

- Zjeżdżaj, Garp! - krzyknęła Roberta.

- Tak, spieprzaj, ty mały jebako! - syknęła kobieta w marynarskiej kurtce.

Zaczął uciekać.

Dotarł już niemal do kobiet tłoczących się z tyłu audytorium, kiedy trafił go czyjś dobrze obliczony cios. Od czasu treningów zapaśniczych w Steering Garp nigdy nie dostał w jaja - było to tak wiele lat temu, że zupełnie zapomniał o całkowitym obezwładnieniu, które jest skutkiem takiego ciosu. Zasłaniając się leżał na boku. Kobiety usiłowały wyrwać mu z ręki perukę. I małą torebkę. Garp leżał dalej, jakby to był napad rabunkowy. Poczul na sobie kilka butów, kilka klapsów, a potem - wymierzony prosto w twarz - miętowy oddech jakiejś starszej kobiety.

- Niech pan spróbuje wstać - powiedziała łagodnie. Widział, że jest pielęgniarzką. Prawdziwą pielęgniarzką. Nie miała naszytego na piersi modnego serduszka, tylko mosiężną plakietkę z nazwiskiem: „Taka-i-taka, pielęgniarka dyplomowana”.

- Mam na imię Dotty - powiedziała; musiała mieć co najmniej ze sześćdziesiąt lat.

- Hej - rzekł Garp. - Dziękuję ci, Dotty.

Wzięła go pod rękę i szybkim krokiem przeprowadziła przez tłum. W jej towarzystwie najwyraźniej nikt nie miał ochoty go atakować. Rozstępowano się.

Kiedy znaleźli się poza obrębem Audytorium Szkoły Pielęgniarskiej, pielęgniarka imieniem Dotty spytała Garpa:

- Czy masz pieniądze na taksówkę?

- Tak, chyba tak - Garp sprawdził w swojej koszarnej torebce; znalazł tam leżący bezpiecznie portfel. Perukę - jeszcze bardziej skołtunioną - ścisnął pod pachą. Jego prawdziwe ubranie było u Roberty, ale Garp na próżno jej wypatrywał wśród wychodzących z pierwszego feministycznego pogrzebu.

- Włóż perukę na głowę - poradziła mu Dotty - bo cię wezmą za transwestytę. - Nie mógł sobie poradzić, więc mu pomogła. - Ludzie są bardzo surowi dla transwestytów - dodała. Wyjęła kilka spinek z własnych siwych włosów i przymocowała mu perukę. - Zadrapanie na policzku wkrótce przestanie krwawić - zapewniła

go.

Na schodach audytorium jakaś czarna kobieta, która wzrostem dorównywała Robercie, potrząsnęła pięścią pod adresem Garpa, ale nie odezwała się słowem. Może też była jamesjanką. Zebrało się jeszcze kilka kobiet i Garp się przestraszył, że szykują otwarty atak. Na skraju tej grupy stała wątła dziewczyna, właściwie wyrosnięte dziecko; miała włosy brudnoblond i przenikliwe spojrzenie wybałuszonych oczu z lekka zabarwionych krwią - oczu narkomana czy też kogoś, kto często płacze. Garpa poraziło jej spojrzenie, przestraszył się, jakby rzeczywiście była szalona, jakby była nieletnim gangsterem ruchu kobiecego, ze spluwą w za dużej torbie. Przycisnął swoją idiotyczną torbę, uświadamiając sobie, że jego portfel jest przynajmniej pełen kart kredytowych; miał dosyć gotówki na dojazd taksówką do lotniska, a za karty kredytowe może mieć bilet lotniczy do Bostonu i wrócić, jak to się mówi, na łono rodziny. Marzył o tym, żeby się pozbyć swego rzucającego się w oczy biustu, ale ten biust tkwił na miejscu, jakby się Garp z nim urodził; i jakby się urodził w gdzieśgdzie za ciasnym, a gdzieśgdzie workowatym kombinezonie. Było to wszystko, co miał, i musiał się tym zadowolić. Hałas dochodzący ze szkoły pielęgniarstwa świadczył, że Roberta musi być pogrążona w głębokiej debacie - o ile nie w walce. Wynoszono kogoś, kto zemdlął czy też został stratowany; na salę wchodził dalsi policjanci.

- Twoja matka była wspaniałą pielęgniarką i wspaniałą kobietą, która napęłniała dumą każdą kobietę - powiedziała pielęgniarka imieniem Dotty. - Założę się, że była również dobrą matką.

- Naturalnie, że była - potwierdził Garp.

Dotty złapała mu taksówkę - widział ją jeszcze, jak zawraca od krawężnika i kieruje się do Audytorium Szkoły Pielęgniarskiej. Inne kobiety, te, które stały na stopniach na zewnątrz budynku i które wydawały się takie groźne, najwyraźniej nie miały zamiaru jej zaczepiać. Przybywali coraz to nowi policjanci; Garp rozglądał się za dziwną dziewczyną z wybałuszonymi oczami, ale nie było jej wśród kobiet.

Zapytał taksówkarza, kto został nowym gubernatorem New Hampshire. Usiłował zmienić swój niski głos, ale taksówkarz otrząskany w swojej pracy z najrozmaitszymi ekscentrycznościami, nie robił wrażenia zdziwionego ani głosem, ani wyglądem Garpa.

- Nie było mnie w kraju - wyjaśnił Garp.

- Mała strata, kochasiu - odparł taksówkarz. - Ta cipa się załamała.

- Sallyy Devlin?

- Załamała się, akurat przed kamerami - powiedział taksjarsz. - Była taka nabuzowana z powodu tego zabójstwa, że zupełnie nad sobą nie panowała. Zaczęła przemawiać, ale nie mogła nic wykrztusić, kapujesz? Dla mnie to ona wyglądała jak skończona idiotka. Jak może być gubernatorem ktoś, kto nie potrafi nad sobą zapanować?

Garp już widział cały mechanizm jej przegranej. Wystarczyło na przykład, że nieuczciwy gubernator powiedział: „brak opanowania pani Devlin jest typowo kobiecy”, by skompromitowaną demonstracją uczuć dla Jenny Fields uznano Sally Devlin za nie nadającą się do pełnienia choćby tych wątpliwych obowiązków, jakie nakłada na człowieka piastowanie urzędu gubernatora.

Garpowi zrobiło się wstyd. Zrobiło mu się wstyd za innych.

- Moim zdaniem - powiedział taksówkarz - trzeba było aż strzelaniny, żeby ludzie zrozumieli, że kobieta nie nadaje się na gubernatora, kapujesz?

- Zamknij się i jedź - uciał Garp.

- Wiesz co, kochasiu - odparł taksówkarz - ja nie muszę wysłuchiwać żadnych impertynencji.

- Jesteś kretynem i debilem - warknął Garp - i jeżeli nie dowieziesz mnie do lotniska z zamkniętą gębą, to zawołam policjanta i powiem, że mnie usiłowałeś obmacywać.

Taksówkarz wdusił gaz do dechy i przez chwilę jechał w naładowanej wściekłości ciszy, mając nadzieję, że nadmierna szybkość i nieostrożna jazda wystraszą pasażerkę.

- Jeżeli nie zwolnisz - powiedział Garp - zawołam policjanta i powiem, że chciałeś mnie zgwałcić.

- Pieprzone czupiradło - burknął taksówkarz, ale zwolnił i dojechał do lotniska już bez słowa. Garp położył mu napiwek na masce samochodu; jedna z monet potoczyła się i wpadła w szczelinę między maską i zderzakiem. - Pieprzone baby rzucił taksówkarz.

- Pieprzone chłopy - powiedział Garp z mieszanymi uczuciami. Uznał, że podsycając wojnę płci spełnił swój obowiązek.

Na lotnisku zakwestionowali mu kartę American Express i poprosili o jakiś inny dowód tożsamości. No i oczywiście zapytali o inicjały „S. T.". Najwyraźniej osobie, która wystawiła bilety, świat literatury był obcy - nie wiedziała, kto to jest S. T.

Garp.

Garp wyjaśnił, że S to skrót od Sary, a T od Tillie.

- Sara Tillie Garp? - spytała. Była to młoda kobieta, której się najwyraźniej nie podobał dziwnie prowokacyjny, ale kurewski wygląd Garpa. - Nic do sprawdzenia i żadnego bagażu ręcznego?

- Nie, nic - odparł.

- Ma pani płaszcz? - spytała stewardesa również obrzucając go wyniosłym spojrzeniem.

- Nie mam. - Stewardesa aż podskoczyła na dźwięk jego niskiego głosu. - Żadnych toreb i nic do powieszenia - uśmiechnął się. Czuł, że jedyne, co ma, to piersi - niesamowity cyc, który mu sporządziła Roberta - szedł więc przygarbiony i pochylony, żeby je trochę zamaskować. Ale nie było mowy o żadnym maskowaniu.

Jak tylko wybrał sobie miejsce, usiadł koło niego jakiś mężczyzna. Garp zaczął wyglądać przez okno. W dalszym ciągu spieszyli do samolotu pasażerowie. Wśród nich zobaczył wątłą dziewczynę o włosach brudnoblond. Tak samo jak on nie miała płaszcza ani bagażu ręcznego. Tylko tę swoją ogromną torbę - dobrą na bombę. Garp poczuł niewyraźnie obecność Zjadliwego Wirusa - jakby świerzbiecie w okolicy biodra. Spojrzał w stronę przejścia między fotelami, tak żeby widzieć, gdzie usiądzie dziewczyna, ale jego wzrok napotkał lubieżnie lypiącego faceta, siedzącego obok.

- Jak już będziemy w powietrzu - powiedział facet porozumiewawczym tonem - dasz się zaprosić na drinka? - Jego małe, blisko osadzone oczka były utkwione w suwaku napiętego turkusowego kombinezonu.

Garpa ogarnęło poczucie jakiejś szczególnej niesprawiedliwości. Przecież on nie prosił o taką figurę. Żałował, że nie mógł spędzić chwili na spokojnej rozmowie z tą mądrą i przyjemnie wyglądającą kobietą, Sally Devlin, przegraną kandydatką w wyborach gubernatorskich New Hampshire. Powiedziałby jej, że jest za dobra na ten beznadziejny stół.

- Jesteś ciekawsko ubrana - zauważył lubieżny sąsiad Garpa..

- Wsadź se go w ucho - powiedział Garp; ostatecznie był synem kobiety, która w kinie w Bostonie ciachnęła podrywacza nożem - wiele lat temu; dawno temu.

Mężczyzna usiłował wstać, ale nie mógł; pas bezpieczeństwa nie chciał go puścić. Bezradnie popatrzył na Garpa. Garp przechylił się przez jego uwięzione kolana; poczuł duszący zapach własnych perfum, którymi, jak pamiętał, zlała go Roberta. Doprowadził do porządku zaczep pasa i z głośnym trzaśnięciem uwolnił

sąsiada. A następnie złowieszczo warknął mu do bardzo czerwonego ucha:

- Jak już będziemy w powietrzu, kochasiu - szepnął do przerażonego faceta - idź do klozetu i zwal se konia.

Kiedy mężczyzna opuścił Garpa, zostało po nim puste miejsce zapraszające kogoś innego. Garp łytał na nie spode łba, rzucając wyzwanie następnemu kandydatowi do podrywu. Ale osoba, która do niego podeszła, zachwiała jego chwilowym poczuciem pewności. Była bardzo chuda, a jej dziewczęce kościste ręce ścisnęły za dużą torbę. Nie zapytała, czy może usiąść; po prostu usiadła. Zjadliwy Wirus przybrał dziś postać bardzo młodej dziewczyny - pomyślał Garp. Kiedy sięgnęła do torby, złapał ją za przegub, wyciągnął jej rękę i położył na kolanach. Nie była silna i nie miała broni; nie miała nawet noża. Garp zobaczył jedynie notatnik i ołówek z gumką obgryzioną równo z oprawką.

- Przepraszam - szepnął. Skoro nie była morderczynią, domyślał się, kim albo czym była. „Dlaczego w moim życiu jest tyle ludzi z upośledzoną mową? - pisał kiedyś. - A może tylko dlatego dostrzegam te wszystkie upośledzenia, że jestem pisarzem?”

Nieszkodliwa przybłęda, siedząca koło niego w samolocie, napisała coś spieszenie i wręczyła mu świstek papieru.

- Tak, wiem - powiedział znużony. - Jesteś jamesjanką. - Ale dziewczyna zagryzła wargę i gwałtownie potrząsnęła głową. Wcisnęła mu kartkę do ręki.

„Nazywam się Ellen James - informowała go kartka. - Nie jestem jamesjanką”.

- Ty jesteś Ellen James? - zapytał Garp, co było zupełnie zbędne, wystarczyło bowiem na nią spojrzeć. Wiek pasował; całkiem niedawno mogła być owym jedenastoletnim, dzieckiem, zgwałconym, a następnie pozbawionym języka. Brudne, wybałuszone oczy okazały się z bliska wcale nie brudne, były po prostu tylko przekrwione, być może z bezsenności; poszarpana dolna warga przypominała jej gumkę - była obgryziona do żywego.

Dziewczyna bazgrała dalej.

„Przyjechałam z Illinois. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, niedawno. Przyjechałam na Wschód, żeby poznać pana matkę. Napisałam do niej list i ona mi odpisała! Przysłała mi wspaniały list. Zaprosiła mnie do siebie, żebym z nią została. Powiedziała mi też, żebym przeczytała wszystkie pana książki”.

Garp przewracał małe karteczki notatnika; kiwał głową, uśmiechał się.

„Ale pana matka została zabita!”

Ellen James wyciągnęła ze swojej dużej torby chustkę i wydmuchała w nią nos.

„Pojechałam do Nowego Jorku, żeby się tam przyłączyć do jednej z grup kobiecych. Ale poznałam już za dużo jamesjanek. Nikogo poza nimi nie znam; dostaję setki kart świątecznych”... - pisała. Przerwała na chwilę, żeby Garp mógł przeczytać.

- Jasne, jestem przekonany, że dostajesz - zachęcał ją do zwierzeń.

„Oczywiście poszłam na pogrzeb. Poszłam, bo wiedziałam, że pan tam będzie”... - napisała; przerwała, tym razem, żeby się do niego uśmiechnąć. Następnie ukryła twarz w swojej brudnej brązowej chustce.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć? - zapytał Garp. Skinęła głową skwapliwie. Ze swojej wielkiej torby wyciągnęła wymiętoszony egzemplarz „Świata według Bensenhavera”.

„Najlepsza historia na temat gwałtu, jaką kiedykolwiek czytałam” - napisała Ellen James. Garp skrzywił się.

„Czy wie pan, ile razy czytałam tę książkę?” - pisała dalej. Spojrzał na jej zapłakane, pełne podziwu oczy. Potrząsnął głową w takim milczeniu, jakby sam był jamesjanką. Dotknęła jego twarzy. Miała po dziecięcemu niezdarne ręce. Podniosła do góry palce, żeby mógł policzyć. Całą jedną małą dłoń i większość palców drugiej. Przeczytała jego koszmarną książkę osiem razy.

- Osiem razy - mruknął Garp.

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego. Usadowiła się w fotelu, jak gdyby przez fakt, że siedzi koło Garpa w drodze do Bostonu, osiągnęła swój życiowy cel. Jeżeli nie koło kobiety, którą podziwiała całą drogę z Illinois, to przynajmniej koło jej jedyne go syna; musi się nim zadowolić.

- Czy chodziłaś do szkoły średniej? - zapytał Garp.

Ellen James wystawiła jeden brudny palec i zrobiła nieszczęśliwą minę.

- Przez rok? - przetłumaczył sobie Garp. - Ale ci się nie podobało. Nic z tego nie wyszło. Skwapliwie skinęła głową.

- A kim chcesz zostać? - zapytał Garp i ledwie mógł się powstrzymać przed dodaniem: „kiedy dorośniesz”.

Wskazała na niego i zarumieniła się. Dotknęła jednej z jego wielkich piersi.

- Pisarką? - zgadywał. Rozluźniła się i uśmiechnęła; tak dobrze ją rozumie - zdawała się mówić jej twarz. Garp czuł, jak mu się zaciska gardło. Dostrzegł w niej jedno z tych nieszczęsnych dzieci, o których czytał - dzieci pozbawionych przeciwciał, bez naturalnej bariery immunologicznej. Jeśli się ich nie trzyma w plastikowych workach, umierają na pierwsze lepsze zaziębienie. Miał przed sobą Ellen James z

Illinois, wyjętą z worka.

- Czy oboje twoi rodzice zginęli? - zapytał. Dziewczynka skinęła głową i znów zagryzła swoją zmaltretowaną wargę. - I nie masz poza tym żadnej rodziny? - Mała potrząsnęła głową.

Wiedział, co by zrobiła jego matka. Wiedział, że Helen nie miałyby nic przeciwko temu; no i oczywiście zawsze można było liczyć na pomoc Roberty. I tych wszystkich kobiet, kiedyś skrzywdzonych, obecnie uleczonych, na swój sposób.

- To już teraz masz rodzinę - zapewnił Garp Ellen James; wziął ją za rękę i drgnął słysząc swoją ofertę. We własnych słowach usłyszał echo głosu swojej matki w jej starej roli z serialu telewizyjnego od osiemnastu lat: „Przygody dobrej pielęgniarki”.

Ellen James zamknęła oczy, jakby zemdląca z radości. Kiedy stewardesa ją poprosiła, żeby zapięła pas, Ellen nawet tego nie usłyszała; zapiął go Garp. Przez całą krótką drogę do Bostonu Ellen James dosłownie wypisywała swoje serce.

„Nienawidzę jamesjanek - pisała. - Nigdy bym sobie sama czegoś podobnego nie zrobiła”.

Otworzyła usta i pokazała pustkę wewnątrz. Garp wzdrygnął się.

„Ja chcę mówić; chcę powiedzieć wszystko” - pisała Ellen James. Garp zauważył, że jej pełen nagniotków kciuk i palec wskazujący były bez mała dwa razy takie jak te same nie używane palce drugiej ręki; nigdy nie widział, żeby ktoś miał tak wyrobione mięśnie dłoni jak ona. Kto jak kto, ale Ellen James nigdy nie dostanie kurczu pisarskiego.

„Słowa cisną się same”. - Czekwała na jego aprobatę, linijka po linijce. Kiedy skinął głową, pisała dalej. Opisała mu całe swoje życie. Swojego nauczyciela języka angielskiego ze szkoły średniej, jedyne, który się liczył. Egzemplarz matki. Forda Mustanga, którym ojciec jechał za szybko.

„Przeczytałam wszystko” - napisała. Garp powiedział jej, że Helen też była zagorzałą czytelniczką; z pewnością polubi Helen. Dziewczyna miała pełen nadziei wyraz twarzy.

„Kto był pana ulubionym pisarzem, kiedy pan był chłopcem?”

- Joseph Conrad - odpowiedział Garp. Westchnęła na znak aprobaty.

„A moim Jane Austen”.

- To pięknie - powiedział Garp.

Na lotnisku Logana Ellen James dosłownie spała na stojąco; Garp sterował nią

w przejściach i opierał o kontuary, kiedy wypełniał formularz na wynajęcie samochodu.

- S. T.? - zapytała urzędniczka. Jedna ze sztucznych piersi Garpa zsunęła się na bok i kobieta zaniepokoiła się wyraźnie, że całe to turkusowe ciało się rozpadnie.

W samochodzie jadącym ciemną drogą na północ do Steering Ellen James spała na tylnym siedzeniu zwinięta w kłębek jak kociak. W lusterku wstecznym Garp zauważył, że ma kolano obdarte ze skóry i że przez sen ssie palec.

Pogrzeb Jenny Fields był mimo wszystko taki jak trzeba; matka przekazała jednak synowi dość zasadnicze posłanie. Oto Garp wziął na siebie rolę pielęgniarki. A co ważniejsze, zrozumiał wreszcie, na czym polegał talent Jenny: polegał on na właściwych odruchach. Jenny Fields zawsze robiła to, co właściwe. Pewnego dnia, miał nadzieję Garp, dostrzeże związek pomiędzy tą lekcją a swoją własną twórczością, ale to był cel osobisty, który jak inne cele wymagał czasu. Ważne było jedno: to właśnie w drodze na północ, do Steering, mając pod opieką śpiącą w samochodzie prawdziwą Ellen James, S. T. Garp postanowił, że w swoim postępowaniu będzie się bardziej wzorował na matce, Jenny Fields.

Ta myśl, zdawał sobie sprawę, ucieszyłaby ją ogromnie, gdyby mu tylko przysłała do głowy za jej życia.

„Śmierć - pisał Garp - najwyraźniej nie lubi czekać, aż będziemy na nią przygotowani. Śmierć jest sybarytką i kiedy może, wygrywa efekty teatralne”.

Tak więc Garp, z wyłączonymi mechanizmami obronnymi, wolny wreszcie od poczucia obecności Zjadliwego Wirusa, przynajmniej od chwili przybycia do Bostonu, wkroczył do domu swojego teścia Erniego Holma, niosąc w ramionach śpiącą Ellen James. Mogła mieć z dziewiętnaście lat, ale ważyła mniej od Duncana.

Garp nie był przygotowany na widok posiwiąłego dziekana Bodgera oglądającego samotnie telewizję w mrocznym living-roomie Erniego. Stary dziekan, wkrótce przed emeryturą, nie wydawał się specjalnie zdziwiony tym, że Garp jest przebrany za prostytutkę, za to ze zgrozą patrzył na śpiącą Ellen James.

- Czy ona?...

- Ona śpi - powiedział Garp. - A gdzie są wszyscy? - Ale już wypowiadając te słowa słyszał „klap, klap” Zjadliwego Wirusa po zimnych podłogach cichego domu.

- Próbowałem was zawiadomić - powiedział dziekan Bodger. - Biedny Ernie...

- Serce? - zapytał Garp.

- Tak. Helen dostała coś na sen. Jest na górze. A ja pomyślałem, że poczekam tu na ciebie, rozumiesz, jakby się dzieci pobudziły i czegoś potrzebowały, żeby jej nie obudziły. Tak mi przykro, Garp. Nieszczęścia chodzą parami, a przynajmniej tak by wyglądało.

Garp wiedział, jak bardzo Bodger lubił jego matkę. Położył śpiacą Ellen James na kanapie i wyłączył telewizję, w której trupim światłem twarz dziewczyny wydawała się niebieskawa.

- Czy umarł we śnie? - spytał zdejmując perukę. - Tu go pan znalazł?

Teraz biedny dziekan był wyraźnie zdenerwowany.

- Leżał na łóżku na górze - powiedział. - Wołałem z dołu, ale wiedziałem, że muszę tam iść. Zrobiłem z nim jaki taki porządek, zanim kogoś wezwałem.

- Jaki taki porządek? - powtórzył Garp. Rozpiął suwak koszmarne kombinezonu spadochroniarskiego i zerwał sztuczne piersi. Stary dziekan pewnie pomyślał, że jest to normalne podrózne przebranie sławnego obecnie pisarza.

- Tylko proszę cię, nigdy nie mów tego Helen - powiedział Bodger.

- Czego mam jej nigdy nie mówić? - zapytał Garp.

Spod wypchanej kamizelki Bodger wyjął pismo. Był to egzemplarz „Panoramy Krocza”, gdzie opublikowano pierwszy rozdział „Świata według Bensenhavera”. Pismo robiło wrażenie bardzo zniszczonego i wymiętego.

- Serce Erniego przestało bić - wyjaśnił Bodger - podczas oglądania tego.

Garp wziął od niego pismo i usiłował wyobrazić sobie scenę śmierci. Ernie onanizował się patrząc na fotki przedstawiające rozdziawione bobry i wtedy serce odmówiło mu posłuszeństwa. Za czasów Garpa kursowało w Steering żartobliwe powiedzenie, że to najlepszy sposób, żeby się dostać do rajów. A więc Ernie w ten sposób dostał się do rajów. Poczciwy Bodger podciągnął trenerowi portki i schował przed córką pismo.

- Musiałem tylko powiedzieć lekarzowi, rozumiesz - tłumaczył się.

Złośliwa metafora z przeszłości matki uderzyła w Garpa jak fala mdłości, ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem jej wobec starego dziekana. Żądza znów upodliła przyzwoitego człowieka! Samotne życie Erniego przygnębiło Garpa.

- No i twoja matka - westchnął Bodger potrząsając głową w zimnym świetle ganku, które sączyło się w ciemny kampus Steering. - Twoja matka była niezwykłą osobą - rozpamiętywał stary. - Była naprawdę bojowa - rzekł z dumą wojowniczy Bodger. - Do tej pory mam jej listy do Stewarta Percy'ego.

- Pan był dla niej zawsze bardzo miły.
- Garp, ona była warta stu takich Stewartów Percych.
- Jasne, że była.
- A czy ty wiesz, że i on nie żyje?
- Ciepłe Kluchy?
- Zmarł wczoraj. Po długiej i ciężkiej chorobie. Wiesz, co to zwykle znaczy, prawda?
- Nie. - Garp nigdy o tym nie myślał.
- Zwykle jest to rak - powiedział poważnie Bodger. - Miał go już od dłuższego czasu.
- To przykro - rzekł Garp. Pomyślał o Puchatku, no i oczywiście o Cushie. I o swoim starym adwersarzu Bonkersie; smak jego ucha do dziś czuł w snach.
- Będzie trochę zamieszania ze szkolną kaplicą - wyjaśnił Bodger. - Helen ci powie, ona to rozumie. Nabożeństwo Stewarta jest rano, Erniego później. No i oczywiście wiesz o matce?
- A co mam wiedzieć?
- No, o uroczystości żałobnej ku jej czci.
- Boże, nie wiem. Uroczystość żałobna tutaj?
- Teraz mamy tu dziewczęta - wyjaśnił Bodger. - Powinienem powiedzieć „kobiety” - potrząsnął głową. - Zresztą nie wiem, są nieprzyzwoicie młode. Dla mnie to dziewczynki.
- Uczennice? - zapytał Garp.
- Tak, uczennice. Głosowały za tym, żeby nazwać jej imieniem infirmerię.
- Infirmerię?
- No cóż, infirmeria nigdy właściwie nie miała żadnej nazwy. A większość naszych budynków ma.
- Infirmeria imienia Jenny Fields - powiedział Garp drętw.
- Nawet dobrze brzmi, prawda? - Bodger nie był pewien, co Garp o tym myśli, ale Garpowi było wszystko jedno.

W ciągu długiej nocy Jenny obudziła się raz; zanim Garp oderwał się od ciepłego i głęboko uspiętego ciała Helen, stwierdził, że Ellen James zdążyła znaleźć płaczące dziecko i że już podgrzewa butelkę. Z jej pozbawionych języka ust wydobywały się łagodne, dziwnie stosowne dla niemowlęcia pomruki i gruchania. Pracowała w żłobku w Illinois - napisała Garpowi w samolocie. Wiele wiedziała o

niemowlakach i potrafiła nawet naśladować ich głosy.

Garp uśmiechnął się do niej i wrócił do łóżka.

Rano powiedział Helen o Ellen James, a potem rozmawiali o Erniem.

- To dobrze, że umarł we śnie - powiedziała Helen. - Kiedy pomyślę o twojej matce...

- Tak, tak - rzekł Garp.

Przedstawili Duncana Ellen James. Jednookie i nieme - pomyślał Garp - moja rodzina stanowi zgrany zespół.

Kiedy zadzwoniła Roberta, żeby powiedzieć o swoim aresztowaniu, Duncan, który był najmniej zmęczoną mówieniem istotą ludzką w całym domu, poinformował ją o ataku serca Erniego.

Helen znalazła w kuchni w koszu na śmieci turkusowy kombinezon spadochroniarski i ogromny wypchany stanik; najwyraźniej ją to ubawiło. Wiśniowe plastikowe buty w gruncie rzeczy pasowały na nią lepiej niż na Garpa, ale mimo to je wyrzuciła. Ellen James wzięła sobie zielony szalik, a Helen zabrała ją do sklepu, żeby sobie kupiła coś z ubrania. Duncan poprosił o perukę, którą - ku irytacji Garpa - nosił prawie całe rano. Zadzwonił dziekan Bodger, żeby zapytać, czy może w czymś pomóc.

Wstąpił do nich nowy szef działu sportowego w Steering na poufną rozmowę z Garpem. Wyjaśnił, że Ernie zajmował domek należący do szkoły i że w pierwszym dogodnym dla Helen momencie należy usunąć jego rzeczy. Garp wiedział, że oryginalny dom rodzinny Steeringów, zajmowany przez Midge Steering Percy, został już wiele lat temu zwrócony szkole. Był to dar Midge i Ciepłych Kluch i ten akt darowizny został uczczony specjalną uroczystością. Garp wyraził nadzieję, że Helen będzie miała tyle czasu na wyprowadzkę, co Midge.

- Ach, my się pozbędziemy tego kłopotu - zwierzył się szef działu sportowego Garpowi. - To przecież rudera, pan wie.

Dom rodzinny Steeringów ze wspomnień Garpa wcale nie był rudera.

- No a jego historyczna wartość - powiedział Garp. - Myślałem, że będziecie go sobie cenili. I mimo wszystko był to dar.

- Kanalizacja jest w strasznym stanie - powiedział mężczyzna. Dawał do zrozumienia, że w miarę tetryczenia Midge i Ciepłe Kluchy doprowadzili budynek do ruiny. - Może to i jest uroczy stary dom - dodał - ale szkoła musi myśleć o przyszłości. Mamy tu dosyć historii. Nie możemy topić naszych funduszy w historii. Potrzeba nam więcej budynków nadających się do użytku. Obojętne, co się zrobi z tym starym

domostwem, jest to w końcu tylko jeszcze jedna siedziba rodzinna.

Kiedy Garp powiedział Helen, że dom Steeringów i Percych ma być sprzedany, Helen załamała się. Oczywiście tak naprawdę oplakiwała ojca, ale myśl, że szkoła w Steering nie chce najdostojniejszego domu z ich lat dzieciennych, przygnębiła oboje.

Przed Garpem stało jeszcze zadanie dogadania się z organistą, żeby nie grał tego samego na nabożeństwie za Erniego Holma co rano za Stewarta. Była to sprawa ważna dla Helen, tak bardzo zdenerwowanej, że Garp nie kwestionował nawet celowości swojej misji.

Kaplica Steering była przysadzistą budowlą z pretensjami do stylu tudorowskiego, tak uwikłaną w bluszczu, jakby się chciała zerwać do lotu i nie mogła przebić przez splątane pnącza. Zaglądając do zatęchłego wnętrza Garp przydeptywał obcasami nogawki ciemnych prążkowanych spodni Johna Wolfa, które zamiast oddać do krawca, sam usiłował sobie skrócić. Pierwsza fala mrocznej muzyki organowej przepłynęła nad nim jak dym. Myślał, że przyszedł bardzo wcześnie, ale ku swemu przerażeniu stwierdził, że nabożeństwo za Ciepłe Kluchy już się zaczęło. Nikogo prawie spośród starych żałobników Garp nie poznawał - byli to weterani Steering, którzy by uczestniczyli w każdym pogrzebie z podwójnym współczuciem oczekując własnego. W tym uczestniczą - pomyślał Garp - ponieważ Midge jest z domu Steering; Stewart Percy miał niewielu przyjaciół. Ławki były upstrzone wdowami; woalki na małych czarnych kapeluszach robiły wrażenie pajęczyn, które pospadały tym starym kobietom na głowy.

- Cieszę się, że jesteś, Jack - zwrócił się do Garpa jakiś mężczyzna w czerni. Garp przemknął się niepostrzeżenie do tylnej ławki; miał zamiar tutaj przeczekać tę martyrologię i po nabożeństwie porozmawiać z organistą. - Brakuje nam paru silnych do niesienia trumny - powiedział mężczyzna i Garp poznał w nim kierowcę karawanu z zakładu pogrzebowego.

- Ja nie jestem łapiduch - szepnął.

- Musisz być - powiedział kierowca. - Inaczej go stąd nie wytaszczymy. To kawał chłopa.

Kierowca karawanu śmierdział cygarami, ale Garpowi wystarczyło rzucić okiem po nakrapianych słońcem ławkach kaplicy Steering, żeby się przekonać, że ma rację. Z rzadka rozsiane męskie głowy świeciły łysiną i siwizną; na ławkach wisiało ze trzynaście czy czternaście lasek. Były także dwa wózki inwalidzkie.

Garp pozwolił kierowcy wziąć się pod rękę.

- Mówili, że będzie więcej mężczyzn - narzekał kierowca - ale nikt zdrowy się nie pokazał.

Garpa podprowadzono do frontowej ławki, dokładnie naprzeciwko rodzinnej ławki Percych. Ze zgrozą stwierdził, że tam, gdzie miał usiąść, leży rozciągnięty jakiś starzec, dano mu więc gestami do zrozumienia, że ma zająć miejsce w ławce rodziny Percych, gdzie go usadowiono obok Midge. Zastanawiał się przez chwilę, czy ów starzec, rozciągnięty w ławce, to przypadkiem nie następne zwłoki oczekujące swojej kolejki.

- To jest wuj Harris Stanfull - szepnęła mu do ucha Midge, wskazując głową śpiącego, który z pewnej odległości wyglądał jak trup.

- Wuj Horace Salter, mamó - sprostował mężczyzna, czerwony na twarzy i korpulentny, siedzący po drugiej stronie Midge. Garp poznał w nim Stewie'ego Drugiego, najstarsze dziecko Percych i jedyne żyjącego syna. Miał coś wspólnego z aluminium w Pittsburghu. Stewie Drugi po raz ostatni widział Garpa, kiedy ten miał pięć lat; robił wrażenie, że nie ma zielonego pojęcia, kim Garp jest. Midge też najwyraźniej nikogo nie poznawała. Zaszuszone i siwa, z brązowymi plamami na twarzy wielkości i faktury łuskanych orzeszków ziemnych, trzęsła głową i podrygiwała w ławce, jak kurczę, które nie może się zdecydować, co dziobnąć.

Jedno spojrzenie wystarczyło Garpowi, żeby się przekonać, że do niesienia trumny jest Stewie Drugi, kierowca i on. Miał wątpliwości, czy podolają. Jakże to straszne być tak nie kochanym! - pomyślał patrząc na szary okręt trumny Stewarta Percy'ego, szczęśliwie zamkniętej.

- Bardzo mi przykro, młody człowieku - Midge szepnęła do Garpa; jej ręka w rękawiczce spoczęła na jego ramieniu lekko jak jedna z papug należących do rodziny Percych. - Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska - powiedziała, pełna wdzięku aż do późnej starości.

- Mhm - Garp zająknął się gdzieś między Smith a Jones i wyszło mu Smoans - ku zdumieniu i Midge, i własnemu. Stewie Drugi nawet tego nie zauważył.

- Pan Smoans? - zapytała Midge.

- Tak, Smoans - potwierdził Garp. - Smoans, rocznik sześćdziesiąty pierwszy. Miałem historię z panem Percym. - Moja część Pacyfiku.

- Ach tak, pan Smoans! Jakże miłe z pana strony, że pan przyszedł.

- Z wielką przykrością przyjąłem tę wiadomość - zapewnił ją pan Smoans.

- Tak, wszystkim nam było przykro - powiedziała Midge rozglądając się

ostrożnie po prawie pustej kaplicy. Jakiś skurcz przebiegł jej twarz i obwisła skóra na policzkach zaklekotała cicho.

- Mamo - zwrócił jej uwagę Stewie Drugi.

- Tak, tak, Stewart - powiedziała. A do pana Smoansa: - Szkoda, że nie wszystkie nasze dzieci mogły przyjść.

Garp oczywiście wiedział, że słabe serce odmówiło Dopeyowi posłuszeństwa, że William zginął na wojnie, że Cushie padła ofiarą robienia dzieci. Wydało mu się nawet, że wie, gdzie może być Puchatek. Ku jego uldze jednak Bainbridge Percy nie było w ławce rodzinnej Percych.

Tu właśnie, w tej ławce, przypomniał się Garpowi pewien inny dzień.

- A gdzie my pójdziemy po śmierci? - spytała kiedyś matkę Cushie Percy. Ciepłe Kluchy beknął i wyszedł z kuchni. Były tam akurat wszystkie dzieci Percych: William, którego czekała wojna, Dopey, który powoli dostawał otłuszczenia serca, Cushie, która nie mogła urodzić i której miały się splątać jajowody; Stewie Drugi, który zamieniał się w aluminium. Bóg wie, gdzie była wtedy Puchatek. W wystawnej wiejskiej kuchni wielkiego, wspaniałego domu Steeringów był też i mały Garp.

- Otóż po śmierci - powiedziała Midge Percy dzieciom, w tym małemu Garpowi - wszyscy pójdziemy do wielkiego domu, mniej więcej takiego jak ten.

- Tylko, że większego - rzekł poważnie Stewie Drugi.

- Mam nadzieję - rzekł William, zatroskany.

Dopey nie chwycił, o co chodzi. Puchatek jeszcze nie umiała mówić. Cushie powiedziała, że w to nie wierzy - Bóg raczy wiedzieć, dokąd ona poszła.

Garp pomyślał o wielkim domu rodzinnym Steeringów - teraz wystawionym na sprzedaż. Chętnie by go kupił.

- Panie Smoans? - trąciła go Midge.

- Mhm.

- Jack, trumna - szepnął kierowca. Stewie Drugi, zwałiste cielsko obok, spojrzał poważnie w stronę ogromnej trumny, która zawierała doczesne szczątki jego ojca.

- Potrzeba czterech - powiedział kierowca. - Co najmniej czterech.

- Nie, ja sam wezmę z jednej strony - zapewnił go Garp.

- Pan Smoans wygląda na bardzo silnego - powiedziała Midge - niezbyt dużego, ale silnego.

- Mamo! - przywołał ją do porządku Stewie Drugi.

- Tak, tak, Stewart.

- Potrzebujemy czterech. Inaczej nie da rady - rzekł kierowca.

Garp nie wierzył. On da radę.

- Wy dwaj bierzcie z tamtej strony i podnosimy - powiedział.

Doszedł go cichy pomruk żałobników, przerażonych nie dającą się ruszyć z miejsca trumną. Ale Garp wierzył w siebie. Przecież tam w środku jest tylko śmierć; oczywiście, że będzie ciężka - jak Jenny Fields, Ernie Holm i mały Walt (najcięższy ze wszystkich) razem wzięci, Bóg jeden wie, ile oni mogli ważyć pospołu, w każdym razie Garp ustawił się po jednej stronie szarej kanonierki, do której można było przyrównać trumnę Ciepłych Kluch. Był gotów. Na brakującego czwartego zgłosił się dziekan Bodger.

- Nigdy nie myślałem, że cię tu zobaczę - szepnął do Garpa.

- Czy pan zna pana Smoansa? - spytała Bodgera Midge.

- Smoans, rocznik sześćdziesiąt jeden - podsunął Garp.

- Ach, tak, Smoans, oczywiście - powiedział Bodger. Z tymi słowami niefortunny gołębiarz, krzywonogi szeryf Steering, wziął na siebie wraz z Garpem i innymi przypadający mu udział w ciężarze trumny. W ten sposób wyprawili Ciepłe Kluchy na tamten świat. Czy też do tamtego innego domu, miejmy nadzieję większego.

Bodger i Garp wlekli się za żałobnikami drepczącymi i kuśtykającymi do samochodów, które miały ich zawieźć na cmentarz. Kiedy już zgubili wszystkich sędziwych uczestników pogrzebu, Bodger zabrał Garpa do baru Bustera na kawę. Najwyraźniej uznał, że Garp wieczorem zmienia płęć, a w ciągu dnia nazwisko.

- Ach, Smoans - powiedział - być może teraz twoje życie się ustabilizuje i będziesz szczęśliwy i zamożny.

- Przynajmniej zamożny.

Garp zupełnie zapomniał poprosić organistę, żeby Erniemu Holmowi nie grał tego samego co Stewartowi Percy'emu. Zresztą i tak nie zauważył, co to była za muzyka; nie poznałby jej nawet, gdyby ją powtórzono. Ale przecież Helen tam nie było; nie pozna się. Tym bardziej Ernie.

- A dlaczego nie miałbyś tu u nas zostać? - spytał Bodger; grubą, silną łapą przetarłszy zasmarowane okno w snack barze Bustera dziekan wskazał na szkolny kampus. - To nie jest takie złe miejsce, naprawdę.

- Pan jest jedynym miejscem, jakie znam - rzekł Garp wymijająco.

Wiedział, że jego matka wybrała kiedyś Steering, głównie jako miejsce dobre dla dzieci. A Jenny Fields, Garp wiedział, miała właściwe odruchy. Wypił kawę i

serdecznie uściskał dłoń dziekana Bodgera. Czekał go jeszcze jeden pogrzeb. A potem, razem z Helen, zastanowi się nad przyszłością.

Rozdział XVIII

Obyczaje Zjadliwego Wirusa

Mimo gorącego zaproszenia szkoły Helen nie była pewna, czy chciałaby uczyć w Steering angielskiego.

- Myślałem, że masz ochotę do tego wrócić - powiedział Garp. Ale Helen nie zamierzała od razu wyrażać zgody na pracę w szkole, do której nie przyjmowano dziewcząt w czasach, kiedy sama była dziewczynką.

- Może jak Jenny dorośnie do wieku szkolnego. Tymczasem chciałabym czytać, po prostu czytać.

Jako pisarz Garp był zarówno zazdrosny, jak i nieufny w stosunku do ludzi, którzy czytali tak dużo jak Helen. Poza tym oboje robili się coraz bardziej bojaźliwi, co ich niepokoiło; z taką troską myśleli o swoim życiu, jakby naprawdę byli starzy. Garp miał oczywiście zawsze tę swoją obsesję ochraniać dzieci i teraz wreszcie zrozumiał, że decyzja Jenny, żeby być zawsze z synem, nie była mimo wszystko taka absurdalna.

Postanowili zostać w Steering. Nie potrzebowali się martwić o pieniądze; Helen nie musiała nic robić, jeśli nie chciała. Garp natomiast musiał coś robić.

- Będziesz pisał - powiedziała Helen znużona.

- Przez jakiś czas jeszcze nie. Może nawet już nigdy. W każdym razie nie zaraz.

Rzeczywiście uderzyło to Helen jako symptom przedwczesnego starzenia się, ale nauczyła się podzielać jego niepokoje - jego pragnienie utrzymania tego, co ma, nie wyłączając zdrowia psychicznego, a jednocześnie wiedziała, że Garp na równi z nią trzęsie się o ich miłość małżeńską.

Nie powiedziała mu nic, kiedy poszedł do szkoły i zgłosił się na miejsce Erniego Holma.

- Nie musicie mi płacić - oświadczył. - Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Po prostu chcę być trenerem zapaśniczym. - Oczywiście musieli przyznać, że da sobie z tym świetnie radę. Zapasy, postawione przez Erniego Holma na przyzwoitym poziomie, bez zastępstwa zaczęłyby podupadać.

- Nie chce pan pieniędzy? - spytał szef działu sportowego.

- Mnie pieniądze nie są potrzebne - odrzekł Garp. - Mnie jest potrzebna jakaś robota, coś, co nie jest pisaniem. - Z wyjątkiem Helen nikt na świecie nie wiedział, że

istniały tylko dwie rzeczy, które Garp naprawdę umiał robić: pisanie i zapasy.

Helen była też najprawdopodobniej jedyną osobą, która wiedziała, dlaczego nie mógł w obecnej chwili pisać. Jej teoria na ten temat została później rozwinięta przez krytyka A. J. Harmsa, który twierdził, że twórczość Garpa stopniowo traciła na wartości poprzez coraz bliższe paralele z życiem osobistym pisarza. „W miarę jak jego pisarstwo nabierało charakteru autobiograficznego, twórczość Garpa zawężała się stopniowo; a z kolei świadomość, że tak się dzieje, krępowała go coraz bardziej. Jak gdyby zdawał sobie sprawę, że nie tylko samo pisanie jest dla niego coraz bardziej bolesne w sensie osobistym - przez nieustanne drenowanie własnej pamięci - ale że cała jego twórczość zawęża się pod każdym względem i ubożeje w sensie imaginacyjnym - pisał Harms. - Garp stracił swobodę wyobrażania sobie świata w sposób prawdziwy, którą we wczesnym okresie zapowiadała zarówno jemu, jak i nam wszystkim błyskotliwość »Pensjonatu Grillparzer«". Zdaniem Harmsa Garp potrafił być teraz autentyczny jedynie we wspomnianiu, a ta metoda - w odróżnieniu od wyobrażania sobie - była nie tylko szkodliwa dla niego w sensie psychicznym, ale także znacznie mniej owocna.

Ale ta ocena twórczości Garpa ex post nie była taka trudna; Helen zrozumiała jego problem w dniu, w którym zaangażował się jako trener w Steering. Wiedzieli oboje, że nigdy nie będzie tak dobry jak Ernie, ale wiedzieli również, że postawi zapasy na zupełnie niezłym poziomie i że jego zawodnicy zawsze będą raczej wygrywali, niż przegrywali.

- A spróbuj bajek - radziła mu Helen, która więcej myślała o jego pisaniu niż on sam. - Spróbuj coś wymyślić, całkowicie, od początku do końca. - Nigdy nie powiedziała „jak »Pensjonat Grillparzer«"; nigdy go nawet nie wspomniała, chociaż wiedziała, że teraz Garp się z nią zgadzał: był to najlepszy z jego utworów. A co najsmutniejsze - pierwszy.

Kiedykolwiek Garp próbował pisać, widział tylko nudne, gołe fakty ze swego życia: szary parking w New Hampshire, bezruch małego ciała Walta, błyszczące kurtki myśliwych i ich czerwone czapki - i bezpłciowy faryzejski fanatyzm Bainbridge Percy. Z tych obrazów nic nie wychodziło. Garp spędzał więc dużo czasu zajmując się swoim nowym domem.

Midge Steering Percy nigdy się nie dowiedziała, kto kupił ich starą rodzinną siedzibę, jej dar dla szkoły. Jeżeli kiedykolwiek Stewie Drugi dokonał tego odkrycia, to był przynajmniej na tyle rozsądny, żeby nigdy tego nie zdradzić przed matką, której

wspomnienie Garpa zostało przyćmione przez znacznie świeższe wspomnienie miłego pana Smoansa. Midge Steering Percy umarła w przytułku w Pittsburghu; ponieważ Stewie Drugi miał stale do czynienia z aluminium, przeniósł matkę do zakładu położonego niedaleko miejsca, w którym ten metal produkowano.

Bóg jeden wie, jakie były losy Puchatka.

Helen i Garp doprowadzili do porządku starą rezydencję Steeringów, jak ją nazywano na terenie szkoły. Nazwisko „Percy” szybko poszło w niepamięć; w różnych wspominkach Midge występowała najczęściej jako Midge Steering. Nowy dom Garpa był najbardziej stylowy zarówno na samym terenie, jak i w okolicy i kiedy uczniowie oprowadzali po kampusie wycieczki składające się z rodziców i przyszłych uczniów, rzadko kiedy mówili: „A tutaj mieszka S. T. Garp, pisarz. Pierwotnie była to siedziba rodzinna Steeringów; powstała około roku 1781”. Uczniowie traktowali rzecz znacznie lżej; mówili zwykle: „Tutaj mieszka nasz trener zapaśniczy”. I wtedy rodzice patrzyli grzecznie po sobie, a przyszli uczniowie pytali: „Czy zapasy w Steering stoją na bardzo wysokim poziomie?”

Wkrótce, myślał Garp, Duncan zacznie chodzić do szkoły w Steering; była to niekłopotliwa przyjemność, na którą się cieszył. Brak mu było Duncana na sali zapaśniczej, ale z radością myślał o tym, że chłopak znalazł sobie wreszcie miejsce - basen pływacki - odpowiadające jego usposobieniu czy wzrokowi, czy też jednemu i drugiemu. Duncan idąc z basenu, otulony w ręczniki i dygocący, wstępował czasem na salę zapaśniczą; siadał wtedy na miękkich matach, pod jednym z grzejników, żeby się wysuszyć.

- No jak tam? - zagadywał Garp. - Mam nadzieję, że nie jesteś mokry, co? Tylko nie zamocz maty, okay?

- Nie zamoczę - odpowiadał Duncan. - Jestem w porządku.

Znacznie częściej salę zapaśniczą odwiedzała Helen. Znów rzuciła się na książki i przychodziła tu sobie poczytać. „Jak w saunie” - mawiała często, od czasu do czasu podnosząc głowę znad lektury, kiedy rozległ się szczególnie głośny klaps czy krzyk bólu. Jediną przeszkodę stanowił fakt, że okulary zachodziły jej mgłą.

- Czy my już jesteśmy w średnim wieku? - spytała pewnego wieczoru Garpa w ich pięknym domu, z którego frontowego salonu w jasne noce widać było prostokąty światła w oknach infirmerii imienia Jenny Fields i skąd mogli poprzez zielonoczerwony trawnik patrzeć na samotną lampę, hen w dali, nad drzwiami do przybudówki szpitalnej, gdzie Garp spędził dzieciństwo.

- Jezu, w średnim wieku? - odparł Garp. - My już jesteśmy na emeryturze. Jakoś raptownie przeskoczyliśmy wiek średni i od razu zrobili się z nas starsi państwo.

- Czy to cię przygnębia? - spytała Helen ostrożnie.

- Jeszcze nie. Jak mnie to zacznie przygnębiać, zajmę się czym innym. Czy też w ogóle czymś. Wydaje mi się, Helen, że wzięliśmy wszystkich o głowę. Możemy sobie na to pozwolić, żeby się wycofać na dłużej.

Helen zmęczyła już ta sportowa terminologia Garpa, ale przecież w tym wzrosła, spływało to po niej jak woda po gęsi. I chociaż Garp nie pisał, to jednak robił wrażenie szczęśliwego. Wieczorami ona czytała, a on oglądał telewizję.

Książka Garpa zyskała dziwną reputację, niezupełnie odbiegającą od tego, czego by sobie sam autor życzył, i nawet dziwniejszą, niż sobie John Wolf wyobrażał. I chociaż obu, i Garpa, i jego wydawcę, krępowało to, z jak politycznego punktu widzenia „Świat według Bensehavera” jest zarówno podziwiany, jak i potępiany, to jednak owa reputacja sprawiła, że czytelnicy, choćby nawet z fałszywych pobudek, sięgali jednak do wcześniejszych utworów Garpa. Garp grzecznie odmawiał, kiedy go zapraszano do wygłaszania pogadank na uczelniach, gdzie miał naświetlać różne aspekty tak zwanej sprawy kobiecej. Proszono go również, żeby mówił o swoim stosunku do matki i jej pracy oraz żeby wyjaśniał „seksualne role”, które przydzielał różnym bohaterom swoich książek. Nazywał to „niszczeniem sztuki przez socjologię i psychoanalizę”. Ale jednocześnie otrzymywał wiele zaproszeń do czytania fragmentów swojej prozy; przyjmował niektóre z nich, zwłaszcza jeśli to było gdzieś, gdzie Helen miała ochotę jechać.

Garp był szczęśliwy z Helen. Przestał ją zdradzać; rzadko kiedy taka myśl przychodziła mu w ogóle do głowy. Być może kontakt z Ellen James oduczył go raz na zawsze patrzenia w ten sposób na młode dziewczyny. Co do innych kobiet - w wieku Helen i starszych - okazywał siłę woli, co nie przychodziło mu trudno. Dostatecznie duża część jego życia upłynęła pod znakiem żądz.

Ellen James, zgwałcona i pozbawiona języka jako jedenastoletnie dziecko, miała lat dziewiętnaście, kiedy się wprowadziła do Garpów. Natychmiast została starszą siostrą Duncana i pospół z nim członkiem stowarzyszenia upośledzonych, do którego Duncan nieśmiało należał. Łączyło ich wiele. Ellen pomagała Duncanowi w odrabianiu lekcji, ponieważ była bardzo dobra w czytaniu i pisaniu. Duncan z kolei

zainteresował ją pływaniem i fotografią. Garp urządził im w wielkim domu ciemnię, gdzie spędzali całe godziny wywołując filmy; Duncan gadał bez przerwy na temat przesłoniętych światła, a Ellen wydawała nieartykułowane „ochy” i „achy”.

Helen kupiła im kamerę filmową, a oni do spółki napisali scenariusz i następnie zagraли we własnym filmie, historii niewidomego księcia, który częściowo odzyskuje wzrok pod wpływem pocałunku, którym obdarza młodą sprzątaczkę. Księżę odzyskuje wzrok tylko w jednym oku, ponieważ sprzątaczką pozwala mu się pocałować jedynie w policzek. Wstydzi się pocałunków w u-sta, ponieważ straciła język. Pomimo swoich felerów i wstydlivosti młodzi pobierają się. Historia jest opowiedziana za pomocą gestów i napisów, wykonanych przez Ellen. Największą zaletą filmu, jak miał później powiedzieć Duncan, było to, że trwał zaledwie siedem minut.

Ellen James była również dla Helen wielką pomocą w zajmowaniu się Jenny. Ellen i Duncan okazali się wprost idealnymi baby-sitters dla małej, którą w niedzielne popołudnia Garp zabierał do sali zapaśniczej; tutaj, twierdził, nauczy się chodzić, biegać i upadać nie robiąc sobie krzywdy, aczkolwiek Helen była zdania, że w kontakcie z matką dziecko nabierze fałszywego przekonania, że to, po czym człowiek stąpa, jest elastyczną gąbką.

- Ale właśnie świat robi takie wrażenie - twierdził Garp.

Od kiedy przestał pisać, jedyne zgrzyty w jego życiu dotyczyły jego stosunków z najbliższą przyjaciółką, Robertą Muldoon. Ale to nie Roberta była źródłem tych zgrzytów. Otóż Garp odkrył, że matka zostawiła ogromny majątek i że - jak gdyby chciała dokuczyć synowi - uczyniła go egzekutorem swojej ostatniej woli i dysponentem zarówno swoich bajecznych zasobów, jak i rezydencji w Dog's Head Harbor, przeznaczonej dla skrzywdzonych kobiet.

- Dlaczego ja? - szalał Garp. - Dlaczego nie ty? - darł się na Robertę. Ale Roberta sama czuła się dotknięta tym, że to nie ona.

- Nie mam pojęcia. Rzeczywiście, dlaczego ty? - przyznała. - Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ty!

- Mama uwzięła się, żeby mi dokuczyć - zdecydował.

- A może uwzięła się, żeby cię zmusić do myślenia - zasugerowała Roberta. - Była nadzwyczajną matką.

- Rany - jęknął Garp.

Tygodniami głowił się nad jednym jedynym zdaniem, które zawierało

wszystkie życzenia Jenny związane z dysponowaniem jej pieniędzmi i ogromnym nadmorskim domem: „Chciałabym zostawić jakieś miejsce, gdzie każda przyzwoita kobieta mogłaby iść, żeby się jakoś pozbierać, a poza tym po prostu być sobą i sama”.

- Rany - powiedział.

- Rodzaj fundacji? - rzuciła Roberta.

- Fundacja Fields - zaproponował.

- Wspaniale! - wykrzyknęła Roberta. - Tak, zasiłki dla kobiet i jakieś miejsce, gdzie by mogły iść.

- Iść po co? - spytał Garp. - A zasiłki na co?

- Gdzie by mogły iść, żeby wydobreć, jeżeli muszą, albo żeby być same, jeżeli tego potrzebują - powiedziała Roberta. - I pisać, jeśli się tym zajmują, albo malować.

- A może dom dla niezamężnych matek? - zastanawiał się Garp. - Zasiłek na to, żeby „wydobreć”? Rany.

- Bądź poważny - powiedziała Roberta. - Bo to poważna sprawa. Nie rozumiesz? Ona chciała, żebyś to ty zrozumiał te potrzeby, chciała, żebyś to ty rozwiązał te problemy.

- A kto ma decydować, czy kobieta jest „przyzwoita”? - zapytał Garp. - Rany, mamo! - wykrzyknął. - Ukreśliłbym ci głowę za te bzdury.

- Ty masz decydować. To cię właśnie zmusi do myślenia.

- No a ty? - zapytał Garp. - To jest sprawa dla ciebie. Roberta najwyraźniej była w rozterce. Podzielała pragnienie Jenny Fields wychowania Garpa i innych mężczyzn w duchu zrozumienia dla słuszności i złożoności kobiecych potrzeb. Poza tym uważała, że Garp się do tego zupełnie nie nadaje, podczas kiedy ona świetnie by sobie poradziła.

- Będziemy to załatwiali wspólnie - zaproponowała. - Ty będziesz miał głos decydujący, a ja doradczy. Będę ci mówiła, kiedy uznam, że popełniasz błędy.

- Roberta - powiedział Garp - ty mi stale mówisz, że popełniam błędy.

Roberta, w swoim najbardziej frywolnym nastroju, pocałowała go w usta, a następnie walnęła w ramię - i jedno, i drugie tak mocno, że aż się skrzywił.

- Jezus - powiedział.

- Fundacja Fields! - wykrzyknęła. - To będzie coś cudownego.

Tak więc w życiu S. T. Garpa były jakieś zgrzyty, bez których najprawdopodobniej straciłby zdrowy rozsądek i kontakt ze światem. To właśnie one utrzymywały go przy życiu, kiedy nie pisał: Roberta Muldoon i Fundacja Fields dostarczały mu

przynajmniej niezbędnych zgrzytów.

Roberta zamieszkała w Dog's Head Harbor i została administratorką Fundacji Fields; dom stał się natychmiast kolonią pisarek, centrum zdrowotnym, poradnią macierzyństwa, a nieliczne dobrze oświetlone pokoiki na poddaszu dostarczały światła i odosobnienia malarkom. Jak tylko kobiety zwiedziały się o istnieniu fundacji, wiele z nich zaczęło się zastanawiać, kto jest uprawniony do korzystania z pomocy. Garp też się zastanawiał. Ponieważ wszystkie petentki pisały do Roberty, dobrała sobie niewielką grupkę kobiet - które na zmianę to lubiły, to nie znosiły Garpa; w każdym razie zawsze się z nim kłóciły. Dwa razy w miesiącu wspólnie, Roberta i jej rada nadzorcza - w kąśliwej obecności Garpa - zatwierdzały podania.

Kiedy było ładnie, zbierali się na bocznej werandzie w balsamicznym powietrzu Dog's Head Harbor, ale Garp coraz częściej się buntował.

- Przeszkadzają mi te wszystkie czupiradła, tutejsze rezydentki - powiedział Robercie. - Przypominają mi dawne czasy, - Wobec tego zaczęli się spotykać w Steering, w rodzinnej siedzibie Steeringów, w domu trenera zapaśniczego, gdzie Garp czuł się nieco pewniej w towarzystwie tych zajadłych kobiet.

A czułby się bez wątplenia jeszcze pewniej, gdyby mógł się z nimi spotykać na sali zapaśniczej. Chociaż nawet i tam, wiedział doskonale, były Robert Muldoon zmusiłby go do walki o każdą rzecz.

Petentka Nr 1048 nazywała się Charlie Pulaski.

- Myślałem, że to muszą być kobiety - powiedział Garp. - Że istnieje przynajmniej jedno twarde kryterium.

- Charlie Pulaski jest kobietą - wyjaśniła Roberta. - Po prostu zawsze mówiło się na nią tylko Charlie.

- Według mnie to wystarczy, żeby ją zdyskwalifikować - odezwał się ktoś. Była to Marcia Fox, drobna, szczupła poetka, z którą Garp często krzyżował szpady, chociaż podziwiał jej wiersze. Nigdy nie potrafił być tak oszczędny w słowach.

- A o co prosi Charlie Pulaski? - zapytał automatycznie.

Niektóre z petentek chciały tylko pieniędzy, inne pragnęły przez jakiś czas mieszkać w Dog's Head Harbor. Jeszcze inne chciały i dużo pieniędzy, i pokój w Dog's Head Harbor - na stałe.

- Ona prosi tylko o pieniądze - wyjaśniła Roberta.

- Żeby sobie zmienić imię? - zapytała Marcia Fox.

- Chce rzucić pracę i napisać książkę.
 - Rany - powiedział Garp.
 - Poradź jej, żeby jednak nie rzucała tej pracy - wtrąciła Marcia Fox; należała do tych pisarzy, którzy czują niechęć do innych pisarzy - nawet przyszłych.
 - Marcia nie lubi nawet zmarłych pisarzy - powiedział Garp do Roberty.
- Ale Marcia i Garp przeczytali maszynopis nadesłany przez panią Charlie Pulaski i zgodzili się co do tego, że powinna trzymać się każdej pracy, jaka jej się trafi.

Petentka Nr 1073, profesor nadzwyczajny mikrobiologii, chciała wziąć w pracy urlop bezpłatny również po to, żeby napisać książkę.

- Powieść? - spytał Garp.
- Studia nad wirologią molekularną - wyjaśniła doktor Joan Axe; sama dostała urlop z Duke University Medical Center na prowadzenie samodzielnych badań. Kiedy Garp ją zapytał, jakiego rodzaju są to badania, odpowiedziała mu tajemniczo, że interesuje się „niedostrzegalnymi chorobami krążenia”.

Petentka Nr 1081 miała nie ubezpieczonego męża, który zginął w wypadku samolotowym. Była matką trojga dzieci w wieku poniżej lat pięciu i brakowało jej jeszcze piętnastu godzin wykładowych do zrobienia magisterium z francuskiego. Chciała wrócić na studia, żeby zrobić dyplom i dostać jakąś przyzwoitą posadę; na to potrzebne jej były pieniądze, a w Dog's Head Harbor pokoje dla dzieci i ich opiekunki.

Rada nadzorcza jednogłośnie przyznała kobiecie pieniądze na ukończenie studiów i na opłacenie stałej opiekunki, tyle że i dzieci, i opiekunka miały mieszkać tam, gdzie i ona, to znaczy w miejscu jej studiów. Dog's Head Harbor nie jest przeznaczone dla dzieci i ich opiekunek. Są tu kobiety, które dostają szału na widok dziecka. Są także i takie, które zostały unieszczęśliwione przez opiekunki. W tym wypadku decyzja była łatwa.

Nr 1088 stwarzał pewne problemy. Była to rozwiedziona żona człowieka, który zabił Jenny Fields. Miała troje dzieci, z których jedno przebywało w domu poprawczym dla młodocianych; wstrzymano jej zasiłki dla dzieci, kiedy ich ojciec, zabójca Jenny Fields, zginął w strzelaninie, jaka się wywiązała pomiędzy policją stanową New Hampshire a częścią uzbrojonych myśliwych otaczających parking.

Nieżyjący Kenny Truckenmiller był rozwiedziony od niecałego roku. Zwierzył

się swoim przyjaciółom, że rzygać mu się chce od płacenia na dzieci; powiedział, że ruch na rzecz wyzwolenia kobiet tak popieprzył jego żonie w głowie, że się z nim rozwiodła. Adwokatka, która wygrała sprawę w imieniu pani Truckenmiller, była nowojorską rozwódką. Kenny Truckenmiller bijał swoją żonę przynajmniej dwa razy w tygodniu przez trzynaście lat i maltretował zarówno fizycznie, jak i psychicznie każde ze swoich trojga dzieci. Ale pani Truckenmiller za mało wiedziała o sobie i o tym, jakie są jej prawa, dopóki nie przeczytała „Seksualnie podejrzanej”, autobiografii Jenny Fields. Pod wpływem tej lektury przyszło jej do głowy, że może cotygodniowe bicie, które znosi, i maltretowanie dzieci to w gruncie rzeczy wina Kenny'ego Truckenmillera; przez trzynaście lat była bowiem przekonana, że jest to jej problem, że „taki już po prostu jej po prostu jej los.”

Kenny Truckenmiller winił ruch kobiecy za uświadomienie swojej żony. Pani Truckenmiller pracowała zawsze samodzielnie jako fryzjerka w mieście North Mountain, New Hampshire. Kiedy Kenny został sądownie zmuszony do wyprowadzenia się z domu, w dalszym ciągu pracowała jako fryzjerka, ale teraz, kiedy Kenny przestał być kierowcą miejskiej ciężarówki, przekonała się, że utrzymanie trójki dzieci z pracy fryzjerki nie jest rzeczą prostą. W swoim prawie nieczytelnym podaniu napisała, że „aby związać koniec z końcem”, musiała się poniżyć i że nie zamierza w przyszłości tego aktu poniżenia powtarzać.

Pani Truckenmiller, z której listu nie wynikało, żeby w ogóle miała jakieś imię, zdawała sobie sprawę, że nienawiść do jej męża jest zapewne tak silna, że zarząd może być do niej uprzedzony. Zrozumie to w pełni, pisała, jeśli jej prośba zostanie odrzucona.

John Wolf, który był (wbrew swojej woli) honorowym członkiem zarządu - cenionym za zdrowy rozsądek w sprawach finansowych - powiedział, że trudno o coś korzystniejszego dla Fundacji Fields z punktu widzenia reklamy, jak przyznanie „nieszczęsnej rodzinie zabójcy Jenny” tego, o co prosi. Sprawa natychmiast znajdzie się na ustach wszystkich; dowiedzie, że intencje fundacji nie mają nic wspólnego z polityką; to się zwróci, uznał John Wolf, w niewyobrażalnych wprost sumach i darowiznach.

- My już całkiem nieźle się mamy z darowizn - zaasekurował się Garp.

- A jeśli ona jest zwykłą prostytutką? - Roberta miała wątpliwości co do nieszczęsnej pani Truckenmiller; wszyscy wybałuszyli na nią oczy. Roberta miała nad nimi przewagę: potrafiła myśleć i jak kobieta, i jak filadelfijski Orzeł. - Tylko pomyślcie - powiedziała. - A jeśli to jest zwykła latawica, która zawsze się poniżała i

której to nie robi żadnej różnicy? Wtedy natychmiast stajemy się pośmiewiskiem, wtedy jesteśmy załatwieni.

- Wobec tego potrzebne nam są referencje moralne - odezwała się Marcia Fox.

- Ktoś powinien się z nią zobaczyć i porozmawiać - rzucił Garp. - Sprawdzić, czy to przyzwoita kobieta i czy rzeczywiście próbowała być niezależna.

Tym razem wszyscy wybałuszyli oczy na niego.

- Ja - powiedziała Roberta - w każdym razie nie zamierzam sprawdzać, czy ona jest prostytutką, czy nie.

- Jasne - odparł Garp - ja tym bardziej.

- Gdzie jest North Mountain, New Hampshire? - zapytała Marcia Fox.

- Na mnie nie liczcie - zastrzegł się John Wolf. - I tak za często mnie nie ma w Nowym Jorku.

- Rany - jęknął Garp. - A jeżeli ona mnie pozna? Ludzie mnie jednak poznają.

- Wątpię - powiedziała Hilma Bloch, pracująca w pomocy społecznej jako psychiatra; Garp jej nie cierpiał. - Ludzie, którzy czytują autobiografie, takie jak autobiografia twojej matki, rzadko sięgają po powieści, a jeżeli, to z zupełnie innych względów. O ile ona w ogóle przeczytała „Świat według Bensenhavera”, to jedynie ze względu na twoją osobę. A do tego nie musiała kończyć książki. Najprawdopodobniej - zwłaszcza, że to mimo wszystko fryzjerka - utknęła gdzieś i nie skończyła. I na pewno nie zapamiętała twojego zdjęcia z okładki, tylko twoją twarz, a i to mgliście (pokazywałeś się w telewizji, ale też właściwie tylko w okresie zabójstwa Jenny). A wtedy to twarz Jenny zostawała ludziom w pamięci. Tego typu kobiety oglądają telewizję, one nie czytają książek. Bardzo wątpię, czy ta Truckenmiller sobie ciebie w ogóle jakoś wyobraża.

John Wolf przewrócił oczami pod adresem Hilmy Bloch. Nawet Roberta przewróciła oczami.

- Dziękuję ci, Hilma - powiedział Garp spokojnie. Postanowiono, że Garp odwiedzi panią Truckenmiller, „żeby ustalić coś bardziej konkretnego na temat jej charakteru”.

- A przynajmniej dowiedzieć się jej imienia - rzuciła Marcia Fox.

- Założę się, że ma na imię Charlie - powiedziała Roberta. Przeszli do sprawozdań: kto obecnie mieszka w Dog's Head Harbor, komu wygasło prawo pobytu, kto ma się wprowadzić. No i problemy - o ile są jakieś.

W Dog's Head Harbor były dwie malarki - jedna na poddaszu od strony

południowej, druga od północnej. Ta z południowego poddasza zazdrościła oświetlenia tej z północnego i przez dwa tygodnie ze sobą wojowały; przy śniadaniu nie odzywały się do siebie słowem i ciągle oskarżały się nawzajem, że jedna drugiej kradnie pocztę. I tak dalej. A potem okazało się, że są kochankami. Teraz malowała już tylko ta z północnego poddasza - były to akty tej z południowego, która po całych dniach pozowała w dobrym północnym świetle. Jej nagość, prezentowana w górnych rejonach domu, przeszkadzała co najmniej jednej z pisarek, zagorzałej przeciwniczce miłości lesbijskiej, dramatopisarce z Cleveland, której szum fal przeszkadzał spać. Najprawdopodobniej przeszkadzały jej igraszki miłosne malarek; mówiono o niej w każdym razie, że jest „nadpobudliwa”. Jej skargi ustały jednak, kiedy inna z pisarek-rezydentek zaproponowała, żeby wszyscy goście Dog's Head Harbor po kolei czytali głośno fragmenty jej sztuki, nad którą właśnie pracuje. Ta sprawa została szczęśliwie dla wszystkich rozwiązana i na górnych piętrach Dog's Head Harbor zapanował spokój.

„Druga pisarka”, autorka dobrych opowiadań, którą Garp rok wcześniej rekomendował entuzjastycznie, miała się wkrótce wyprowadzić, upływał jej właśnie termin pobytu. Kto zajmie jej pokój?

Czy kobieta, której teściowej przyznano opiekę nad jej dziećmi w wyniku samobójstwa męża?

- Mówiłem wam, żeby ją odrzucić - powiedział Garp. Dwie jamesjanki, które się po prostu zjawily pewnego dnia?

- Chwileczkę - zaproponował Garp. - A to co takiego? Jamesjanki? Które się po prostu zjawily? To wbrew regulaminowi.

- Jenny je zawsze przyjmowała - uświadomiła mu Roberta.

- Ale mamy nie zawsze, tylko teraz, Roberta.

Pozostali członkowie zarządu w mniejszym czy większym stopniu zgadzali się z Garpem; jamesjanki nie były specjalnie popularne - nigdy zresztą nie były - a ich ekstremizm wydawał się (obecnie) coraz bardziej patetyczny i nie na czasie.

- To już prawie tradycja - obstawała przy swoim Roberta. Opisała dwie „stare” jamesjanki, które właśnie wróciły z Kalifornii, gdzie przeżyły ciężkie chwile. Kilka lat temu były w Dog's Head Harbor i powrót tutaj, dowodziła, byłby dla nich czymś w rodzaju uczuciowej rehabilitacji.

- Na miłość boską, Roberta, pozbadź się ich.

- Twoja matka zawsze się nimi opiekowała.

- Przynajmniej będzie cicho - odezwała się Marcia Fox, którą Garp podziwiał za oszczędność wypowiedzi. Ale tylko on się roześmiał.

- Ja też uważam, że powinnaś jednak je skłonić, żeby się wyniosły, Roberta - dodała doktor Joan Axe.

- One w gruncie rzeczy nie cierpią całego społeczeństwa powiedziała Hilma Bloch. - To może być zaraźliwe. Z drugiej strony jak gdyby uosabiają ducha tego miejsca.

John Wolf przewrócił oczami.

- Mamy też lekarkę prowadzącą badania nad rakiem jako skutkiem zabiegu przerywania ciąży - wtrąciła Joan Axe. - Co z nią?

- Tak, ją dajcie na drugie piętro - zaproponował Garp. - Poznałem ją. Każdy, kto chce wejść na górę, sfajda się ze strachu. - Roberta skrzywiła się.

Parter był najobszerniejszą częścią Dog's Head Harbor: mieścił dwie kuchnie i cztery łazienki; mogło tu bardzo wygodnie spać dwanaście osób, nie licząc pokoiów konferencyjnych, jak je nazywała Roberta - czyli salonów i wielkich sal z czasów Jenny. Była też ogromna jadalnia, gdzie jadano posiłki, rozdzielano pocztę i gdzie zbierali się wszyscy - zarówno w dzień, jak i nocą - którzy potrzebowali towarzystwa.

Był to najbardziej ruchliwy poziom domostwa w Dog's Head Harbor, ogólnie rzecz biorąc niestosowny dla malarek i pisarek. Najlepsze piętro dla samobójczyń - powiedział zarządowi, Garp - „łatwiej się utopić w oceanie, niż skakać z okien”.

Ale Roberta sprawowała tu rządy silnej ręki, trochę jak matka, a trochę jak były obrońca piłkarski; potrafiła wyperswadować każdemu niemal wszystko, a jeżeli nie, to i tak miała nad każdym przewagę fizyczną. Nawiązała z miejscową policją znacznie bliższe stosunki, niż kiedykolwiek udało się Jenny. Od czasu do czasu przyprawiano jej grzecznie do domu różne nieszczęsne ofiary, które policjanci znajdowali albo gdzieś daleko na plaży, albo zgarniali lamentujące z deptaków osiedla. Policjanci z Dog's Head Harbor byli jak jeden mąż kibicami piłkarskimi, pełnymi szacunku dla agresywnej gry w polu i zacieklej obrony byłego Roberta Muldoon.

- Stawiam wniosek, żeby żadna jamesjanka nie miała prawa do korzystania z dobrodziejstw Fundacji Fields - powiedział Garp.

- Popieram - odezwała się Marcia Fox.

- To jest sprawa do przedyskutowania - zaproponowała Roberta. - Nie widzę potrzeby przyjmowania takiej zasady. Oczywiście nie zamierzamy popierać czegoś, co mniej więcej wszyscy uważamy za głupią formę wypowiedzi politycznej, ale to nie

znaczy, że żadna z tych pozbawionych języka kobiet nie jest w autentycznej potrzebie. Powiem nawet, że okazały już zdecydowaną potrzebę znalezienia sobie miejsca, i nie wątpię, że jeszcze dadzą o sobie znać. To grupa naprawdę wymagająca pomocy.

- Ale one są stuknięte - powiedział Garp.

- To zbyt ogólne sformułowanie - odparła Hilma Bloch.

- Istnieją kobiety aktywne - wtrąciła Marcia Fox - które nie tylko nie zrezygnowały ze swoich głosów, ale przeciwnie, walczą o to, żeby móc z nich korzystać. Ja bym nie popierała głupoty i narzuconego sobie gwałtem milczenia.

- Milczenie może być cnotą - obstawała przy swoim Roberta.

- Jezus, Roberta - powiedział Garp i dostrzegł jasny punkt w całej tej ciemnej sprawie. Z jakichś względów jamesjanki złościły go nawet bardziej niż jego własny wizerunek Kennych Truckenmillerów tego świata, i mimo że wychodziły z mody, robiły to nie dość szybko jak na jego potrzeby. Chciał, żeby w ogóle zniknęły, chciał więcej: żeby zostały poniżone. Helen już mu mówiła, że jego nienawiść do jamesjanek jest nieproporcjonalna do tego, co sobą reprezentują.

- To, co one robią, dowodzi tylko szaleństwa, i to prymitywnego - przekonywała go. - Spróbuj je po prostu ignorować i daj im święty spokój.

Ale Garp odparł:

- Zapytajmy Ellen James. To będzie przynajmniej fair, nie uważasz? Zapytajmy Ellen James, co ona myśli o jamesjankach. Bardzo chciałbym opublikować jej opinię na ten temat. Czy ty wiesz, co ona do nich czuje?

- To jest sprawa zbyt osobista - powiedziała Hilma Bloch. Wszyscy poznali Ellen; wszyscy wiedzieli, że Ellen James jest nieszczęśliwa z powodu braku języka i że nienawidzi jamesjanek.

- Wycofajmy na razie ten wniosek - rzucił John Wolf. - Proponuję, żebyśmy go odroczyli.

- Cholera - burknął Garp.

- No więc dobrze, Garp - powiedziała Roberta - przegłosujemy go zaraz. - Wszyscy wiedzieli, że wniosek zostanie przegłosowany i że w ten sposób będą mieli sprawę z głowy.

- Wycofuję wniosek - powiedział Garp złośliwie. - Niech żyją jamesjanki.

Ale nie wycofał.

To był obłąd, który zabił Jenny Fields, jego matkę. To był ekstremizm. Obłudne, fanatyczne, wynaturzone rozczulanie się nad sobą. Kenny Truckenmiller był

tylko szczególnym przypadkiem kretyna - szczerze wierzącym bandziorem. Był człowiekiem tak zapamiętałym w rozczulaniu się nad sobą, że uważał za absolutnych wrogów ludzi, którzy jedynie ideami przyczynili się do jego zguby.

A czym różniły się od niego jamesjanki? Czy ich gest nie był równie desperacki i czy nie świadczył o całkowitym braku zrozumienia dla złożoności ludzkiej natury?

- Daj spokój - powiedział John Wolf - przecież one nikogo nie zamordowały.

- Jeszcze nie - odparł Garp. - Ale mają po temu wszelkie dane. Podejmują bezsensowne decyzje, a poza tym są bezwzględnie przekonane o swojej racji.

- Zabić kogoś to znacznie więcej - zauważyła Roberta. Pozwolili się jednak Garpowi wyzłościć. Co mieli robić. Nie była to jego mocna strona: być tolerancyjnym w stosunku do nietolerancyjnych. Ludzie szaleni doprowadzali go do szaleństwa. Jak gdyby osobiście nienawidził ich za to, że się temu szaleństwu poddają - w znacznej mierze dlatego, że tak często sam się przed nim bronił. Jeśli ktokolwiek nie walczył z szaleństwem albo w tej walce ulegał, Garp go z reguły podejrzewał, że za mało w to wkładał wysiłku.

- Tolerancja w stosunku do nietolerancyjnych to trudna postawa, której jednak wymagają od nas nasze czasy - powiedziała Helen. I chociaż Garp wiedział, że jest inteligentna i często znacznie bardziej dalekowzroczna od niego, to jednak w sprawie jamesjanek był ślepy.

Tak jak i one w jego sprawie.

Najostrzejsza bowiem krytyka dotycząca twórczości Garpa i jego stosunku do matki pochodziła od różnych jamesjanek. Nękanie zatem przez nie - sam je nękał. Trudno powiedzieć, dlaczego się to zaczęło i czy w ogóle powinno się było zacząć, w każdym razie Garp stał się przedmiotem kontrowersji wśród feministek, głównie dlatego, że stanowił sól w oku jamesjanek. I nawzajem. Z tych właśnie względów miał wśród feministek tyle samo zwolenniczek, co i przeciwniczek.

Co zaś do jamesjanek, były one w swoich uczuciach dla Garpa nie bardziej skomplikowane niż w swojej symbolice sprowadzającej się do formuły: za odcięty język Ellen James ich odcięte języki.

Jak na ironię to właśnie Ellen James przyczyniła się do eskalacji tej od dawna toczącej się zimnej wojny.

Miała zwyczaj nieustannie pokazywania Garpowi tego, co napisała: licznym opowiadaniom, wspomnieniom o rodzicach i o Illinois; swoich wierszach; swoich bolesnych analogiach do niemoty; swoich ocen sztuk wizualnych i pływania. Pisała mądrze,

zręcznie i z nerwem.

- Ona ma naprawdę talent - powtarzał Garp. - Jest zdolna, a poza tym ma pasję i chyba nie zabraknie jej wytrwałości.

Wspomnianą wyżej wytrwałość Helen puszczała mimo uszu, ponieważ podejrzewała, że właśnie tego zabrakło Garpowi. Z pewnością był zdolny i miał pasję, ale obawiała się jednocześnie, że wkroczył na niebezpieczną drogę - że stracił kierunek - i tylko wytrwałość mogłaby go z tej drogi zawrócić.

Zasmuciło ją to. Na razie pocieszała się tym, że są jeszcze rzeczy, do których Garp ma namiętny stosunek: zapasy, a nawet jamesjanki. Ponieważ, wierzyła Helen, energia rodzi energię, prędzej czy później Garp zacznie pisać.

Dlatego nie interweniowała zbyt gwałtownie, kiedy podniecał się pewnym esejem, który mu pokazała Ellen James. Nosił on tytuł „Dlaczego nie jestem jamesjanką”. Miał w sobie siłę i wzruszył Garpa do łez. Opowiadał szczegółowo o gwałcie, o związanych z tym problemach Ellen i jej rodziców, a jamesjanki jako ruch nazywał płytkim naśladownictwem bardzo osobistego urazu mającym charakter ściśle polityczny. Ellen James utrzymywała, że jamesjanki przyczyniły się jedynie do przedłużenia jej udreki; że zrobiły z niej publiczną ofiarę. Garp był szczególnie wrażliwy na punkcie publicznych ofiar.

Naturalnie gwoli uczciwości trzeba przyznać, że lepszej części jamesjanek zależało po prostu na uświadamianiu kobietom i dziewczynkom tak powszechnie i brutalnie zagrażającego im niebezpieczeństwa. Dla wielu jamesjanek naśladownictwo potwornego pozbawienia języka nie było gestem „ściśle politycznym”. Było aktem bardzo osobistego utożsamiania się. W wielu wypadkach oczywiście jamesjanki wywodziły się spośród kobiet, które także zostały zgwałcone: te chciały powiedzieć, że czują się tak, jakby straciły język. Że w świecie mężczyzn zamilkły raz na zawsze.

Co do tego, że organizacja roiała się od wariatek, nikt nie miał wątpliwości. Łącznie z niektórymi jamesjankami. Ogólnie rzecz biorąc, była to prawda, że stanowiły one agresywną polityczną grupę ekstremistek ruchu kobiecego, która często deprecjonowała poważne zasługi innych kobiet, innych feministek. Ale Ellen James w swoich atakach na jamesjanki w równym stopniu ignorowała poszczególne jednostki, co i one samą Ellen James; nikt się bowiem nie liczył z tym, że może jedenastoletnia dziewczynka wolałaby przeżyć swój koszmar w sposób mniej publiczny.

Wszyscy w Stanach Zjednoczonych wiedzieli bowiem, w jakich okolicznościach Ellen James straciła język, z wyjątkiem może młodszego, dorastającego pokolenia,

które myliło Ellen z jamesjankami; była to zresztą najbardziej bolesna dla Ellen pomyłka, oznaczała bowiem podejrzenie, że dokonała aktu samookaleczenia.

- Ten gniew był jej potrzebny - powiedziała Garpowi Helen w związku z esejem Ellen James. - Ona musiała się na ten temat wypisać i fakt, że mogła sobie na to pozwolić, przyniósł jej wiele dobrego. Powiedziałam jej to.

- A ja jej powiedziałem, że powinna swój esej opublikować.

- Wcale tak nie uważam. Co jej z tego przyjdzie?

- Co jej z tego przyjdzie? Jak to co, przecież to jest prawda. To będzie dla niej dobre.

- A dla ciebie? - spytała Helen wiedząc, że Garp domaga się czegoś w rodzaju publicznego upokorzenia jamesjanek.

- Okay - odparł. - Okay, okay. Ale przecież ona ma do cholery rację. I te idiotki powinny to usłyszeć u samego źródła.

- Ale po co? - spytała Helen. - Komu na tym zależy?

- Zależy, zależy - mruknął Garp, ale w głębi duszy wiedział, że Helen ma rację. Powiedział Ellen, że powinna swój esej odłożyć na półkę. Przez tydzień Ellen nie porozumiewała się ani z Helen, ani z Garpem.

Dopóki John Wolf nie zadzwonił, żadne z nich nie wiedziało, że to jemu przesłała swoje dzieło.

- Co ja mam z tym zrobić? - zapytał.

- Odeślij jej, na miłość boską - powiedziała Helen.

- Nie, do diabła - zaprotestował Garp. - Zapytaj najpierw Ellen, co chce, żebyś z tym zrobił.

- Wiadomo, Piłat, który umywa ręce - skomentowała Helen.

- A co ty chciałbyś z tym zrobić? - zapytał Garp Johna Wolfa.

- Ja? Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia. Ale oczywiście praca nadaje się do opublikowania. Jest bardzo dobrze napisana.

- Ale przecież nie dlatego nadaje się do opublikowania - powiedział Garp. - I ty doskonale o tym wiesz.

- Oczywiście, że nie - przyznał John Wolf. - To bardzo dobrze jednak, że potrafiła nadać temu taką formę.

Ellen powiedziała Johnowi Wolfowi, że chciałyby wydać swój esej. Helen próbowała jej to wyperswadować. Garp postanowił się w to nie mieszać.

- I tak jesteś w to zamieszany - powiedziała mu Helen. - Wiesz, że nie

odzywając się osiągniesz swój cel: ta agresywna napaść zostanie opublikowana. A tego sobie właśnie życzysz.

Garp przełamał więc mur milczenia. Usiłował w sposób przekonywający wytłumaczyć Ellen, dlaczego nie powinna publicznie mówić tych wszystkich rzeczy. Te kobiety są chore, przygnębione, nie bardzo rozumieją, o co chodzi, cierpią, zostały skrzywdzone przez innych, a teraz jeszcze przez siebie - co za sens je krytykować? Jeszcze pięć lat i wszyscy o nich zapomną. Będą wtykały swoje kartki, a ludzie będą pytali: „A co to takiego Jamesjanka? Nie umiesz mówić? Nie masz języka?”

Ellen była chmurna i wyraźnie zdeterminowana.

„Ja ich nie zapomnę! - napisała. - Ani za pięć, ani nawet za pięćdziesiąt lat; będę o nich pamiętała tak, jak pamiętam o swoim języku”.

Garp był zachwycony tym, że Ellen ceni sobie stary pocziwy średnik. Powiedział łagodnie:

- Uważam, Ellen, że nie powinnaś tego publikować.

„Czy będziesz na mnie zły, jak to zrobię?” - spytała. Garp przyznał, że będzie.

- „A Helen?”

- Helen będzie zła tylko na mnie.

- Za bardzo ludzi złościś - powiedziała mu Helen w łóżku. - Są przez ciebie napięci. Działasz im na nerwy. Powinieneś dać spokój. I zająć się swoją własną pracą. Po prostu własną pracą. Mówiłeś zawsze, że polityka jest głupia i nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. Masz rację. Ona jest rzeczywiście głupia i rzeczywiście bez znaczenia. Ale ty się w to bawisz, bo to jest łatwiejsze niż przysiąść fałdów i coś wymyślić od początku. Zresztą doskonale o tym wiesz. Budujesz w całym domu półki i wykańczasz podłogi i pieprzysz się z ogrodem. Na miłość boską, Garp! Czy ja wychodziłam za męża za złotą rączkę? Czy kiedykolwiek wymagałam od ciebie jakichś krucjat? Powinieneś pisać książki, a innym pozwolić robić półki. Wiesz doskonale, że mam rację.

- Masz rację - przyznał.

Usiłował sobie przypomnieć, w jaki sposób wymyślił pierwsze zdanie „Pensjonatu Grillparzer”. „Mój ojciec pracował w Austriackim Biurze Turystycznym”. Skąd mu się to wzięło? Próbował wymyślać podobne zdania. A wychodziło mu: „Chłopiec miał pięć lat; dostał kaszlu i ten kaszel jak gdyby tkwił głębiej niż w jego małej, szczuplutkiej klatce piersiowej”. Były tylko wspomnienia, a z tych wychodził kit. Garp stracił czystą wyobraźnię.

W sali zapaśniczej zafundował sobie trzy dni pod rząd z wagę ciężką. Żeby sobie dać w kość?

- Można powiedzieć, że to dalszy ciąg pieprzenia się z ogrodem - podsumowała Helen.

Garp oznajmił, że ma pewną misję do spełnienia. Musi wyjechać w sprawach Fundacji. Do North Mountain, New Hampshire. Żeby ustalić, czy warto marnować stypendium dla kobiety o nazwisku Trackenmiller.

- I znów pieprzenie się z ogrodem - powiedziała Helen. - I dalsze półki. I polityka. I krucjaty. To są właśnie rzeczy, którymi zajmują się ci, co nie mogą pisać.

Ale Garp wyjechał; nie było go w domu, kiedy zadzwonił John Wolf, żeby powiedzieć, że bardzo poczytne i popularne pismo chce zamieścić „Dlaczego nie jestem jamesjanką” Ellen James.

Głos Johna przez telefon miał w sobie coś z zimnego śmignięcia języka starego Wiecie-Kogo, Zjadliwego Wirusa - właśnie jego, pomyślała Helen. Ale nie wiedziała dlaczego; jeszcze nie wtedy.

Zakomunikowała wiadomość Ellen James; przebaczyła jej natychmiast i nawet podzieliła jej podniecenie. Pojechały nad morze z Duncanem i Jenny. Kupiły homary - przysmak Ellen - i mule dla Garpa, który nie przepadał za homarami.

„Szampan! - napisała Ellen w samochodzie. - Czy szampan pasuje do homarów i muli?”

- Oczywiście - powiedziała Helen. - Może być. - Kupiły szampana. Wstąpiły do Dog's Head Harbor i zaprosiły Robertę na kolację.

- Kiedy tata wróci? - zapytał Duncan.

- Nie wiem, gdzie jest North Mountain, New Hampshire - odparła Helen - ale obiecał, że wróci na kolację.

„Mnie też tak powiedział” - napisała Ellen James.

SALON PIĘKNOŚCI NANETTE w North Mountain, New Hampshire, była to w rzeczywistości kuchnia pani Truckenmiller, której imię brzmiało Harriet.

- Czy pani Nanette? - spytał nieśmiało Garp stojąc na stopniach, białych od soli i chrupkich od tającego śniegu.

- Tu nie ma żadnej Nanette - odpowiedział damski głos. - Jestem Harriet Truckenmiller. - Za nią w ciemnej kuchni widać było dużego psa, który warczał, cały zjeżony. Pani Truckenmiller starała się nie dopuścić go do Garpa w ten sposób, że

swoim długim udem blokowała rzucające się zwierzę. Białą, pokrytą w kostce bliznami nogą uchyliła drzwi kuchenne. Była w niebieskich kapciach i chociaż długi szlafrok krył jej figurę, Garp zauważył, że jest wysoka i że brała akurat kąpiel.

- Mhm, czy pani strzyże również mężczyzn? - zapytał.

- Nie.

- A czy nie zrobiłaby pani dla mnie wyjątku? Nie dowierzam fryzjerom męskim.

Harriet Truckenmiller spojrzała podejrzliwie na czarną włóczkową czapkę narciarską Garpa, naciągniętą na uszy, która ukrywała całkowicie jego włosy, poza gęstymi kosmykami, które obrastając z tyłu krótką szyję Garpa sięgały mu do ramion.

- Nie widzę pana włosów - powiedziała.

Ściągnął z głowy skarpetę i pokazał zmierzwioną czuprynę, naelektryzowaną i rozwianą przez zimny wiatr.

- Mnie właściwie nie chodzi o strzyżenie - rzekł obojętnym tonem, przyglądając się smutnej, mizernej twarzy kobiety i delikatnym zmarszczkom koło szarych oczu. Jej wypełzłe blond włosy były nawinięte na wałki.

- Pan nie był zamówiony - powiedziała Harriet Truckenmiller.

Widział wyraźnie, że nie jest prostytutką. Była zmęczona i przestraszona.

- A o co właściwie panu chodzi? - zapytała.

- Chciałbym, żeby mi pani tylko leciutko przystrzygła włosy i troszkę zakręciła.

- Zakręciła? - powtórzyła Harriet Truckenmiller, usiłując sobie wyobrazić proste jak drut włosy Garpa w lokach. - Coś w rodzaju trwałej, tak? - zapytała.

- No wie pani - powiedział nieśmiało przeczesując ręką swoją strzechę - co tam się uda pani z nimi zrobić.

Harriet Truckenmiller wzruszyła ramionami.

- Muszę się ubrać - powiedziała. Psisko, przebiegłe i silne, wepchnęło się swoim krępyim cielskiem między jej nogi i wkręciło szeroki, pomarszczony pysk w szczelinę pomiędzy śnieżycą a drzwiami wejściowymi. Garp zeszywniał w oczekiwaniu ataku, ale Harriet Truckenmiller uniosła swoje duże kolano gwałtownie i silnym ciosem w pysk cofnęła psa. Złapała go mocno za luźną skórę na karku; pies zaskomlał i zniknął w głębi kuchni za nią. Zamarznięte podwórko, stwierdził Garp, stanowiło mozaikę skutych lodem wielkich psich głów. Na podwórzu stały trzy samochody, Garp miał poważne wątpliwości, czy którykolwiek z nich jest sprawny. Zauważył także kupę drewna, nie ułożoną w stos, i antenę telewizyjną, która mogła być kiedyś na dachu; teraz opierała się o beżową aluminiową płytę zabezpieczającą

mur, a jej druty rozchodziły się promieniście jak pajęczyna z popękanej szyby.

Pani Truckenmiller cofnęła się i otworzyła Garpowi drzwi. Zaraz po wejściu poczuł, że od płonącego ognia pieką go oczy; pachniało świeżym ciastem i myciem włosów - najwyraźniej pomieszczenie pełniło funkcję zarówno kuchni, jak i salonu fryzjerskiego. Była tu różowa umywalka z prysznicem do mycia głowy; puszkę przecieru pomidorowego; trójskrzydłowe lustro, obramowane światłami; drewniana półka z przyprawami; rzędy kremów, płynów i mazideł. I metalowy stołek, nad którym wisiała umocowana do stalowego pręta suszarka do włosów - niby oryginalny model krzesła elektrycznego.

Harriet Truckenmiller poszła się ubrać, a jej gburowaty towarzysz zniknął najwyraźniej razem z nią. Garp się uczesał; spojrzął w lustro, jakby chciał zapamiętać swoją twarz. Zaraz się zmieni i nikt go nie pozna - tak sobie wyobrażał.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł potężny mężczyzna w kurtce myśliwskiej i czerwonej myśliwskiej czapce. Przyniósł ogromne naręcze drewna, które zwałił do skrzynki przy kuchni. Pies przycupnięty cały czas pod umywalką - zaledwie o parę cali od drżących kolan Garpa - przybiegł szybko, żeby go powitać. Podkraśl się cicho, nawet nie warknąwszy; mężczyzna był tu swój.

- Połóż się, ty cholerny durniu - powiedział i pies zastosował się do polecenia.

- Czy to ty, Dickie? - zawołała Harriet Truckenmiller z głębi domu.

- A kogo się jeszcze spodziewałaś? - Mężczyzna odwrócił się i zobaczył stojącego przed lustrem Garpa.

- Dzień dobry - powiedział Garp. Wysoki przybysz, zwany Dickiem, wytrzeszczył oczy. Mógł mieć około pięćdziesiątki; jego wielka czerwona twarz robiła wrażenie spierzchniętej i Garp, obeznany z mimiką Duncana, poznał natychmiast, że ma szklane oko.

- Dobry - odparł Dickie.

- Mam klienta! - zawołała Harriet.

- Widzę, że masz. - Garp nerwowo dotknął włosów, jakby w ten sposób chciał dać Dickiemu do zrozumienia, jak ważne są dla niego te włosy, skoro przyjechał aż do North Mountain, New Hampshire, do SALONU PIĘKNOŚCI NANETTE, żeby je - jak się zapewne wydawało Dickiemu - po prostu ostrzec.

- Chce sobie ułożyć włosy! - krzyknęła Harriet. Dickie nie zdejmował swojej czerwonej czapki, ale Garp i tak widział, że jest łysy.

- Nie wiem, bracie, o co ci tak naprawdę chodzi - szepnął Dickie do Garpa - ale

na nic więcej poza ułożeniem włosów nie licz. Słyszysz?

- Nie mam zaufania do fryzjerów męskich - powiedział Garp.

- A ja nie mam zaufania do ciebie - rzekł Dickie.

- Dickie, on nie zrobił nic złego - powiedziała Harriet Truckenmiller. Miała na sobie dosyć obcisłe spodnie w kolorze turkusowym, które przypomniały Garpowi porzucony przez niego niedawno kombinezon spadochroniarski, i kretonową bluzkę w kwiaty, które nigdy nie rosną w New Hampshire. Włosy związała do tyłu szalikiem w jakieś rośliny i umalowała się, ale dyskretnie; wyglądała „przyjemnie”, jak czyjaś zadbana matka. W pojęciu Garpa była o parę lat młodsza od Dickiego, ale zaledwie o parę.

- Jemu nie chodzi o żadne ułożenie włosów, Harriet - powiedział Dickie - ciekawe, po co mu ta zabawa z włosami.

- Bo nie ma zaufania do fryzjerów męskich - wyjaśniła Harriet. Przez chwilę Garp się zastanawiał, czy Dickie nie jest przypadkiem fryzjerem męskim; doszedł do wniosku, że chyba nie.

- Ja naprawdę nie mam nic złego na myśli - powiedział. Zobaczył już wszystko, co chciał zobaczyć. Gotów był wracać i powiedzieć Fundacji Fdelds, żeby przyznała Harriet Truckenmiller tyle pieniędzy, ile potrzebuje. - Jeśli sprawiam komuś kłopot, to nie ma o czym mówić. - Sięgnął po swój skafander, który rzucił na wolne krzesło, ale wielkie psisko leżało na nim na podłodze.

- Ależ może pan zostać - zaprotestowała pani Truckenmiller. - Dickie się mną po prostu opiekuje. - Dickie robił wrażenie zawstydzonego; stał przydeptując sobie jeden wielki bucior drugim.

- Przyniosłem ci trochę suchego drewna - powiedział. - Trzeba mi było zapukać. - Stał nadąsany koło kuchni.

- Dickie, dajże spokój - Harriet pocałowała go czule w duży różowy policzek.

Wyszedł z kuchni spojrzawszy jeszcze na Garpa spode łba.

- Mam nadzieję, że pan będzie zadowolony ze strzyżenia - rzucił na odchodnym.

- Dziękuję - odparł Garp i kiedy to mówił, pies zaczął tarmosić jego skafander.

- Zostaw to! - krzyknęła Harriet; z powrotem położyła skafander na krześle. - Może pan iść, jak pan chce, Dickie nie będzie pana zaczepiał. On się mną po prostu opiekuje.

- To pani mąż? - spytał Garp, choć wydawało mu się to mało prawdopodobne.

- Mój mąż to był Kenny Truckenmiller - wyjaśniła Harriet. - Każdy to wie i obojętne, kim pan jest, musi pan wiedzieć, kto to był.

- Tak - przyznał Garp - wiem.

- Dickie jest moim bratem. Po prostu się o mnie martwi. Od czasu śmierci Kenny'ego kręcą się tu różni faceci. - Usiadła przed lustrem koło Garpa i oparła długie, żyłaste ręce na swoich turkusowych udach. Westchnęła. Mówiąc nie patrzyła w jego stronę. - Nie wiem, co pan słyszał, i nic mnie to nie obchodzi - powiedziała. - Zajmuję się włosami, tylko włosami. Jeżeli pan rzeczywiście chce, żebym coś zrobiła z pańskimi włosami, to proszę bardzo, ale nic więcej. Obojętne, co kto panu na mój temat powiedział, ja tam się nie puszczam. Tylko włosy.

- Tylko włosy - powtórzył Garp. - A ja chcę się tylko uczesać, nic więcej.

- Dobrze - w dalszym ciągu na niego nie patrzyła. Zatknięte za listwą lustra tkwiły w ramkach małe fotografie. Jedna z nich była zdjęciem ślubnym młodej Harriet Truckenmiller i jej uśmiechniętego męża Kenny'ego. Niezręcznie dzielili tort.

Następna fotografia przedstawiała Harriet Truckenmiller w ciąży, trzymającą na ręku niemowlę, drugie dziecko, może w wieku Walta, tuliło się policzkiem do jej biodra. Harriet robiła wrażenie zmęczonej, ale nie zniechęconej. Było też zdjęcie Dickiego; stał koło Kenny'ego Truckenmiller, a obok nich zwiślał z gałęzi głową na dół wypatroszony jelen. Drzewo rosło od frontu przed SALONEM PIĘKNOŚCI NANETTE. Garp natychmiast poznał to zdjęcie; widział je w jednym z czasopism po zamordowaniu Jenny. Fotografia miała najwyraźniej przekonać prostaczków o tym, że Kenny Truckenmiller był urodzonym mordercą: poza Jenny Fields zabił też kiedyś jelenia.

- Ale dlaczego Nanette? - spytał Garp Harriet później, kiedy już odważył się spojrzeć na jej ciepłe palce, a zanim spojrział na nieszczęśliwą twarz i na własne włosy.

- Bo to brzmi tak jakoś z francuska - wyznała, ale wiedziała, że on jest przybyszem ze świata zewnętrznego - spoza North Mountain, New Hampshire - i roześmiała się z siebie,

- Rzeczywiście, że brzmi - potwierdził Garp i też się roześmiał. - Mniej więcej - dodał i śmieli się już razem po przyjacielsku.

Kiedy miał wychodzić, starła gąbką psią ślinę z jego skafandra.

- Nawet pan nie chce zobaczyć, jak to wyszło? - spytała. Miała na myśli jego fryzurę. Garp zaczerpnął tchu i spojrział w potrójne lustro. Uznał, że jego włosy są

piękne! Były to te same stare włosy, tego samego koloru, a nawet tej samej długości, ale po raz pierwszy w życiu wydawały się pasować do jego głowy. Przylegały mu bowiem do czaszki, a jednocześnie były zwiewne i puszyste. Lekkie fale sprawiały, że jego złamany nos i krótka szyja tak nie raziły. Garp uznał, że pasuje do własnej twarzy jak nigdy; nie przypuszczał, że to w ogóle będzie możliwe. Był to oczywiście pierwszy salon piękności, jaki odwiedził. Prawdę powiedziawszy, aż do ślubu z Helen strzygła go Jenny, a potem Helen mu obcinała włosy; nigdy nie był nawet u fryzjera męskiego.

- Wspaniale! - powiedział; jego odgryzione ucho zostało po mistrzowsku ukryte.

- Och, nie ma o czym mówić - Harriet popchnęła go żartobliwie - ale nie prowokacyjnie, powie Fundacji Fields; broń Boże. Chciał jej wtedy wyznać, że jest synem Jenny Fields, ale wiedział, że zrobiłby to z pobudek egoistycznych - dla własnej przyjemności wzruszenia kogoś.

„To nieuczciwe wykorzystywać czyjąś wrażliwość uczuciową” - pisała polemiczna Jenny Fields. Stąd wzięło się nowe credo Garpa; nie zbijaj kapitału na uczuciach innych.

- Dziękuję i do widzenia - powiedział do pani Truckenmiller.

Kiedy wyszedł, Dickie przed domem rąbał drzewo. Robił to bardzo dobrze. Na widok Garpa przerwał pracę.

- Do widzenia! - zawołał do niego Garp, ale Dickie podszedł do niego... z siekierą.

- Chciałbym rzucić okiem na uczesanie - powiedział. Garp stał spokojnie podczas oględzin.

- Byłeś przyjacielem Kenny'ego Truckenmillera? - zapytał.

- Aha - odparł Dickie. - Byłem jego jedynym przyjacielem. Ja go zapoznałem z Harriet. - Garp skinął głową. Dickie wpatrywał się w jego nowe uczesanie.

- Tragiczne - rzekł Garp; miał na myśli to wszystko, co się stało.

- Nie jest tak źle - Dickie miał na myśli włosy Garpa.

- Jenny Fields była moją matką - wyznał Garp, ponieważ chciał, żeby przynajmniej ktoś wiedział, a poza tym był spokojny, że nie nadużywa Dickiego w sensie uczuciowym.

- Ale jej tego nie powiedziałaś, co? - Dickie wskazał w stronę domu i Harriet swoją długą siekierą.

- Nie, nie - zapewnił go Garp.

- To dobrze. Ona o niczym takim nie chce słyszeć.

- Tak przypuszczam. - Dickie z aprobatą skinął głową. - Twoja siostra to bardzo przyjemna kobieta - dodał Garp.

- Przyjemna, przyjemna - Dickie znów skwapliwie kiwnął głową.

- No, to do widzenia. - Ale Dickie dotknął Garpa lekko ręką siekiery.

- Ja byłem jednym z tych, którzy do niego strzelali - powiedział. - Pan wie?

- To ty zabiłeś Kenny'ego?

- Byłem jednym z nich. Kenny był stuknięty. Ktoś go musiał zabić.

- Bardzo mi przykro - powiedział Garp. Dickie wzruszył ramionami.

- Nawet lubiłem faceta, ale dostał fioła na punkcie Harriet i pana matki. Jemu by to nigdy nie przeszło. On był po prostu chory na punkcie kobiet. I to tak na dobre. Widać było gołym, okiem, że z tego nigdy nie wyjdzie.

- To straszne! - wykrzyknął Garp.

- Cześć - rzucił Dickie i odwrócił się do swojej sterty drewna. Garp ruszył w stronę samochodu poprzez zamarznięte gówna, którymi upstrzone było podwórko. - Włosy są w porządku! - zawołał za nim Dickie. Uwaga wydawała się szczera. Kiedy Garp pomachał do niego już z samochodu, Dickie dalej rąbał drwa. Z okna SALONU PIĘKNOŚCI NANETTE machała do Garpa Harriet Truckenmiller: to machanie nie miało oznaczać żadnej zachęty, nic z tych rzeczy, Garp był przekonany. Pojechał z powrotem przez miasteczko North Mountain - po drodze wypił filiżankę kawy w jedynym barze i zatankował na jedynej stacji benzynowej. Wszyscy podziwiali jego ładne uczesanie. I Garp w każdym napotkanym lustrze podziwiał swoje ładne uczesanie! Po czym ruszył do domu, żeby zdążyć akurat na uroczystość oblewania pierwszej publikacji Ellen.

Jeżeli czuł się tak zaniepokojony jak Helen, kiedy się o tym dowiedziała, to w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Przeczekał homara, mule i szampana, ciekaw komentarzy Helen czy Duncana na temat jego włosów. Ale dopiero kiedy zmywał naczynia, Ellen wręczyła mu zmoczoną karteczkę.

„Byłeś się uczesać?”

Skinął głową z irytacją.

- Nie podobasz mi się tak - powiedziała mu Helen w łóżku.

- A mnie się wydaje, że jest fantastycznie - rzekł Garp.

- To nie w twoim stylu - Helen zrobiła wszystko, żeby go potargać. - To mi przypomina włosy trupa - dodała w ciemności.

- Trupa! - wykrzyknął Garp. - Jezus!

- No, jak zwłoki przygotowane przez zakład pogrzebowy - powiedziała Helen, niemal z zapamiętaniem przeczesując mu włosy palcami. - Każdy włoszek na miejscu. Aż za porządnie. Nie wyglądasz jak żywy człowiek! - zakończyła i rozplakała się. Szlochała i szlochała, a Garp ją tulił i szeptał jej do ucha usiłując dociec, o co chodzi.

Nie wyczuwał wraz z nią obecności Zjadliwego Wirusa - nie tym razem - więc przemawiał do niej bez końca i kochał ją, aż wreszcie zasnęła.

Wydawało się, że esej Ellen James „Dlaczego nie jestem jamesjanką” nie wywoła natychmiastowego szumu. Zanim się pojawią w druku pierwsze „listy do wydawcy”, musi upłynąć trochę czasu.

A więc była łatwa do przewidzenia korespondencja osobista do Ellen James: kondolencje od różnych idiotów, propozycje od ludzi chorych - paskudnych tyranów o nastawieniu antyfeministycznym, dręczycieli kobiet, którzy, jak Garp uprzedził Ellen, będą uważali, że są po jej stronie.

- Ludzie zawsze stwarzają „strony” - powiedział Garp - we wszystkim.

I ani słowa od żadnej jamesjanki.

Pierwsza drużyna zapaśnicza Garpa podeszła do finałowego meczu ze swoim głównym rywalem, wstrętnymi chłopakami z Bath, ze stosunkiem ośmiu meczów wygranych do dwóch przegranych. Oczywiście siła drużyny polegała głównie na zawodnikach przygotowanych świetnie jeszcze przez Erniego Holma w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat, ale Garp utrzymywał wszystkich w dobrej formie. Usiłował właśnie ocenić wygrane i przegrane, waga po wadze, w nadchodzącym meczu z Bath siedząc przy kuchennym stole w swoim wielkim domu, teraz nazwanym ku czci pierwszych Steeringów - kiedy wpadła Ellen James cała we łzach, z nowym numerem pisma, które miesiąc wcześniej opublikowało jej esej.

Garp pomyślał, że powinien był ją ostrzec w sprawie pism również. Oczywiście wydrukowali długi, utrzymany w formie listu esej, napisany przez dwadzieścia jamesjanek w odpowiedzi na śmiałe oświadczenie Ellen, że czuje się przez nie wykorzystana i że ich nie lubi. Był to rodzaj kontrowersji, w jakich się lubują czasopisma. Ellen miała szczególnie żal do wydawcy, który najwyraźniej zdradził jamesjankom, że ona teraz mieszka u słynnego S. T. Garpa.

A więc jamesjanki znalazły wreszcie punkt zahaczenia: Ellen James, biedne dziecko, została poddana praniu mózgu przez potwora w męskiej postaci, Garpa,

który zrobił z niej antyfeministkę. Zdrajca własnej matki! Z głupim uśmieszkiem odcina kupony od polityki ruchu kobiecego! W różnych listach wzajemny stosunek Garpa i Ellen James nazywano „uwodzicielskim”, „oślizłym”, „pokątnym”.

„Przepraszam!” - napisała Ellen.

- Okay, okay, to nie twoja wina - uspokoił ja Garp. „Ja nie jestem antyfeministką!”

- Oczywiście, że nie jesteś.

„One ze wszystkiego robią albo czarne, albo białe”.

- Oczywiście, że robią.

„Dlatego ich nienawidzę. Albo cię zmuszą, żebyś był taki jak one, albo stajesz się ich wrogiem”.

- Tak, tak - powiedział Garp. „Chciałabym móc mówić”.

W tym momencie Ellen James się rozczuliła i zaczęła szlochać na ramieniu Garpa, a jej nieartykułowany, pełen złości bełkot sprowadził z odległego pokoju do czytania Helen, wygonił z ciemni Duncana i obudził ze snu Jenny.

Tak więc, zupełnie bez sensu, Garp postanowił przyjąć wyzwanie tych dorosłych wariatek, tych zagorzałych fanatyczek, które nawet odrzucone przez ich własny symbol - upierały się, że wiedzą więcej o Ellen James, niż sama Ellen James wiedziała o sobie.

„Ellen James nie jest symbolem - pisał Garp. - Jest ofiarą, która została zgwałcona i okaleczona, zanim dorosła na tyle, żeby w ogóle cokolwiek wiedzieć na temat seksu i mężczyzn”. - Tak zaczął, a dalej już poszło samo. Oczywiście mu to wydrukowali, z radością dolewając oliwy do ognia. Była to poza wszystkim pierwsza publikacja S. T. Garpa od czasów jego słynnej powieści „Świat według Bensenhavera”.

A tak naprawdę to druga. W niewielkim czasopiśmie, wkrótce po śmierci Jenny, opublikował swój pierwszy i jedyny wiersz. Był to dziwny wiersz; był to wiersz o prezerwatywach.

Garp czuł, że na jego życiu położyły się cieniem prezerwatywy - męskie urządzenia, przeznaczone do tego, by uchronić mężczyznę i innych przed konsekwencjami jego żądy. W życiu na każdym kroku - był zdania - czyhają na nas prezerwatywy: na parkingach o wczesnym ranku, w piasku na plażach, w miejscach dziecięcych zabaw; prezerwatywy jako posłania (na przykład do jego matki - kondom naciągnięty na gałkę drzwi ich maleńkiego mieszkanka w przybudówce szpitalnej). Kondomy wypływające w toaletach internatu szkolnego w Steering. Kondomy, śliskie

i czupurne, szczerzące się z pisuarów publicznych. Kiedyś przyniesiono prezerwatywę z niedzielną gazetą. Kiedy indziej leżała w skrzynce na listy przy końcu podjazdu. To znów tkwiła nasadzona na dźwignię biegów w Volvo; ktoś musiał w nocy używać samochodu nie po to jedynie, żeby jeździć.

Prezerwatywy ciągnęły do Garpa jak mrówki do cukru. Przemierzał mile, zmieniał kontynenty, a tam... w bidecie skądinąd nieskazitelnego, ale obcego apartamentu hotelowego... na tylnym siedzeniu taksówki, jak wydłubane oko wielkiej ryby... na podeszwie buta, do której gdzieś przyłgnęła. Kondomy napadały go zewsząd, zaskakując złośliwie.

Towarzyszyły Garpowi od niepamiętnych czasów. Ich losy złączyły się z jego losami gdzieś na samym początku. Jakże często wspominał szok wywołany pierwszym zetknięciem z prezerwatywami - ich widokiem w lufie armatniej!

Był to niezły wiersz, ale prawie nikt go nie czytał, bo był ordynarny. Znacznie więcej osób przeczytało esej Garpa na temat Ellen James kontra jamesjanki, O tym się mówiło, to było wydarzenie na czasie. Ze smutkiem Garp zdał sobie sprawę, że to coś znacznie bardziej interesującego niż sztuka.

Helen błagała go, żeby się nie dał nabrać, żeby się nie dał wciągnąć. Nawet Ellen James powiedziała mu, że to jej rozgrywka, że nie prosiła go o wsparcie.

- Znów pieprzenie się z ogrodem - ostrzegła go Helen. - Znów półki.

Ale Garp pisał gniewnie i dobrze; wyraził bardziej stanowczo, to, co chciała powiedzieć Ellen James. Z wielką elokwencją przemawiał w imieniu tych poważnych kobiet, które cierpiały, przez skojarzenie - „radikalne samookaleczenie, rodzaj bzdury, która kała dobre imię feminizmu”. Nie mógł się oprzeć potrzebie poskromienia jamesjanek i chociaż robił to dobrze, Helen słusznie zapytała: „Dla kogo to wszystko? Kto z ludzi poważnych jeszcze nie wie, że jamesjanki są stuknięte? Nie, Garp, tyś to zrobił ze względu na nie - nawet nie ze względu na Ellen. Tyś to zrobił ze względu na pieprzone jamesjanki! Po to, żeby im się dobrać do skóry. I po co? Jezu, jeszcze rok i nikt o nich nie będzie pamiętał; nikt nie będzie w każdym razie wiedział, dlaczego robiły to, co robiły. Przecież to moda, głupia moda. Dlaczego im nie darujesz?”

Ale Garp był ponury; przyjął łatwą do przewidzenia postawę kogoś, kto chce mieć rację za wszelką cenę. I wobec tego zastanawiał się, czy popełnił błąd. Było to uczucie, które izolowało go od wszystkich - nawet od Ellen. A Ellen była skłonna machnąć na to ręką; żałowała, że rozpętała całą tę sprawę.

- Ale to one ją rozpętały - upierał się Garp. „Niezupełnie. Zrobił to pierwszy mężczyzna, który kogoś zgwałcił i tak okaleczył, żeby ten ktoś nie mógł się poskarżyć - on to rozpętał” - powiedziała Ellen James.

- Okay - odparł Garp. - Okay, okay. - Zabolęła go smutna prawda dziewczyny. Czyż nie miał na celu jedynie jej obrony?

W finałowym meczu sezonu drużyna zapaśnicza Steering rozniosła Bath w stosunku 9:2, zdobywając drugie miejsce w turnieju o mistrzostwo Nowej Anglii i jedno mistrzostwo indywidualne w kategorii do 167 funtów; wywalczył je chłopak, z którym Garp pracował osobiście. Ale sezon się skończył i Garp, pisarz na emeryturze, znów miał za dużo czasu.

Często widywał się z Robertą, z którą bez końca grywali w squasha. W ciągu trzech miesięcy złamali do spółki trzy rakiety i - Garpowi - mały palec lewej ręki. Garp nieostrożnym zamachem zafundował Robertcie dziewięć szwów na nosie; od czasu kiedy grywała w Orłach, nie była szyta, więc bardzo to przeżywała. Roberta z kolei biegnąc do piłki swoim spiczastym kolaniem zadała Garpowi taki cios w krocze, że przez tydzień kulał.

- Hej, wy dwoje - powiedziała Helen - dlaczego nie rzucicie tego wszystkiego i nie zaczniecie ze sobą sypiać? Byłoby to naprawdę bezpieczniejsze.

Ale Garp i Roberta byli parą najlepszych przyjaciół i jeżeli kiedykolwiek mieli względem siebie takie potrzeby, szybko obracali je w żart. Poza tym sprawy sercowe Roberty nabrały wreszcie spokojniejszego zorganizowanego charakteru; jak urodzona kobieta zaczęła sobie cenić intymność. A poza tym dobrze się czuła sprawując rządy w Dog's Head Harbor. Swoją osobowość seksualną rezerwowała na nierzadkie, ale i nigdy nadmiernie częste wypadki do Nowego Jorku, gdzie utrzymywała w pogotowiu skromną gromadkę kochanków.

- Inaczej nie potrafię - zwierzyła się Garpowi.

- Ależ to wcale nie jest zły sposób - powiedział Garp. - Nie każdego stać na taki podział władzy.

Tak więc grywali w squasha jeszcze częściej, a kiedy się ociepliło, biegali po półkolistych drogach ciągnących się od Steering do morza. Przy jednej z tych dróg leżało Dog's Head Harbor dokładnie w odległości sześciu mil od Steering; często biegali od jednego do drugiego domu. Kiedy Roberta załatwiała swoje sprawy w Nowym Jorku, Garp biegał sam.

Był właśnie mniej więcej w połowie drogi do Dog's Head Harbor - gdzie miał zawrócić i pobiec z powrotem do Steering - kiedy minął go brudnobiały Saab; samochód zwolnił na chwilę, a następnie śmignął do przodu i zniknął Garpowi z oczu. Była to jedyna w tym wszystkim dziwna rzecz. Garp biegł lewą stroną drogi, żeby móc widzieć nadjeżdżające z naprzeciwka samochody; Saab minął go z prawej, jadąc swoim pasmem - nic osobliwego.

Myślał o spotkaniu, jakie go czekało w Dog's Head Harbor. Roberta namówiła go, żeby przeczytał coś swojego stypendystkom Fundacji i ich gościom - ostatecznie był głównym członkiem rady nadzorczej. Roberta często organizowała małe koncerty, wieczory poetyckie i tak dalej, ale Garp odnosił się do nich nieufnie. Nie lubił takich spotkań - szczególnie teraz, z kobietami. Odkąd dał jamesjankom po nosie, wiele kobiet poczuło się urażonych. Większość kobiet poważnych zgadzała się z nim oczywiście, ale niektóre z nich były na tyle inteligentne, że dostrzegały w jego krytyce jamesjanek pewne elementy zemsty osobistej, silniejszej od logiki. Wyczuwały w nim instynkt zabijania, z gruntu męski i z gruntu nietolerancyjny. Bo Garp był, jak to ujęła Helen, zbyt nietolerancyjny względem nietolerancyjnych. Z pewnością większość kobiet uważała, że napisał prawdę o jamesjankach, ale czy musiał być taki brutalny? Posługując się jego własną terminologią zapaśniczą - był za ostry. Właśnie ta jego brutalność wydawała się wielu kobietom podejrzana i kiedy czytał swoje rzeczy, nawet przed audytorium mieszanym - głównie w college'ach, gdzie brutalność była wyraźnie w modzie - zdawał sobie nieraz sprawę z pełnych potępienia momentów ciszy. Był człowiekiem, który publicznie stracił panowanie nad sobą; pokazał, że potrafi być okrutny.

Roberta radziła mu, żeby nie czytał scen erotycznych; nie to, żeby stypendystki Fundacji Fields były z gruntu przeciwne takim rzeczom, nie, w każdym razie są czujne - powiedziała.

- Masz tyle innych scen do czytania - mówiła. Żadne z nich nie wspomniało nawet słowem, że mogłyby mieć do przeczytania coś nowego. Ale to właśnie głównie z tej przyczyny - że nie miał nic nowego - z coraz większą niechęcią odnosił się do wszelkiego rodzaju spotkań autorskich.

Garp znalazł się właśnie na szczycie niewielkiego wzniesienia w pobliżu farmy, gdzie hodowano czarne bydło rasy Angus; był to jedyny pagórek pomiędzy Steering a morzem. Biegając minął słupek oznaczający odległość dwóch mil. Nad niskim murkiem zobaczył niebieskoczarne nosy zwierząt wymierzone w niego jak dwururki.

Garp zawsze przemawiał do bydła; zamuczał i tym razem.

Brudnobiały Saab zbliżał się teraz do niego i Garp zszedł na miękkie pyliste pobocze. Jedna z czarnych krów zamuczała do niego w odpowiedzi; dwie cofnęły się w głąb ogrodu. Garp patrzył w ich stronę. Saab nie jechał specjalnie szybko, nie robił wrażenia niebezpiecznego. Nie było powodu mu się przyglądać.

Uratowała go tylko pamięć. Pisarze mają pamięć selektywną i na szczęście dla Garpa jego pamięć wybrała moment, kiedy jadący w tamtą stronę Saab zwalniał, a kierowca jak gdyby go sobie ustawiał w lusterku wstecznym.

Odwrócił wzrok od bydła rasy Angus i zobaczył, jak Saab, z wyłączonym silnikiem, sunie prosto na niego miękkim poboczem; za cichą, białą sylwetką samochodu i nad pochyloną głową kierowcy wznosił się pióropusz kurzu. Kierowca, celujący w Garpa Saabem, stanowił najlepsze wyobrażenie strzelca pokładowego w akcji.

Garp wykonał dwa skoki i przesadził kamienny murek nie dostrzegając nawet przeciągniętego nad nim drutu pod napięciem. Kiedy się o niego otarł, poczuł lekkie mrowienie w udzie, ale przeskoczył i mur, i drut i wylądował na podmokłym zielonym pastwisku, powygryzonym i poznaczonym krowim łajnem.

Kiedy tak leżał tuląc do siebie wilgotny grunt, usłyszał rechot i poczuł w suchym gardle wstrętny smak Zjadliwego Wirusa. Słyszał także grzmot kopyt pierzchającego bydła. I zderzenie metalu z kamieniem, kiedy brudnobiały Saab spotkał się z murkiem. Dwa kamienie wielkości ludzkiej głowy wylądowały leniwie koło Garpa. Jeden z ogłupiałych byków stanął jak wryty, ale klakson Saaba się zaciął; być może nieustanne trąbienie powstrzymywało go przed atakiem.

Garp wiedział, że żyje; krew w ustach pochodziła tylko z przygryzionej wargi. Przeszedł wzdłuż muru aż do miejsca zderzenia, w którym utknął rozbity Saab. Właścicielka straciła więcej niż język.

Mogła mieć czterdzieści kilka lat. Silnik Saaba podbił jej kolana, którymi objęła zmasakrowaną kolumnę kierownicy. Na dłoniach o krótkich czerwonych z odmrożenia palcach - efekt ostrej zimy czy zim, jakich zaznała - nie było pierścionków. Drzwi po stronie kierowcy albo rama przedniej szyby uderzyła ją w głowę i wgniotła skroń i policzek, tak że cała twarz była przekrzywiona. Brązowe, posklejane krwią włosy rozwiewał ciepły, letni wiatr wpadający przez otwór pozostały po przedniej szybie.

Garp wiedział, że kobieta nie żyje, ponieważ spojrzął w jej oczy. Wiedział, że

była jamesjanką, ponieważ zajrzał jej w usta. Zajrzał także do jej torebki. Znalazł tam to, czego się łatwo można było spodziewać: notatnik i ołówek. Jak również wiele używanych i nowych kartek. Jedna z nich brzmiała:

„Hej, nazywam się...” - i tak dalej. A inna: „Należało ci się”.

Przypuszczał, że ta druga była przeznaczona dla niego. Kobieta miała mu ją zapewne wetknąć za okrwawioną gumkę spodenek, kiedy go będzie zostawiała martwego i zmasakrowanego na poboczu drogi.

Inna karteczka była niemal liryczna - z tych, co to gazety przedrukowywałyby w kółko z lubością.

„Nigdy nie byłam i nigdy nie chciałam być zgwałcona. Nigdy nie byłam i nigdy nie chciałam być z mężczyzną. Jedyny cel mojego życia to dzielić cierpienie z Ellen James”.

Rany - pomyślał Garp, ale zostawił tę karteczkę, żeby ją znaleziono wraz z innymi rzeczami zmarłej. Nie należał do pisarzy - ani do ludzi - którzy by ukrywali ważne posłania, nawet jeśli były szalone.

Podczas skoku przez murek i drut pod napięciem odnowiła mu się stara kontuzja krocza, ale jakoś zdołał podbiec kawałek truchtem, zanim go podwiózł do miasta wóz z jogurtem; po drodze podjechali na policję zameldować o wypadku.

Do czasu kiedy kierowca wozu z jogurtem, minąwszy miejsce wypadku, zbliżał się do Garpa, czarne bydło rasy Angus zdążyło powyłazić przez wyłom w murze i teraz, udeptując ziemię, otaczało brudnobiałego Saaba jak tłum wielkich żałobników zgromadzonych wokół kruchego anioła, zabitego w zagranicznym samochodzie.

Może to był właśnie ten Zjadliwy Wirus, którego wtedy poczułam - pomyślała Helen leżąc bezsennie obok głęboko uspiętego Garpa. Tuliła jego ciepłe ciało, napawając się intensywnym zapachem własnego seksu, którym był przesiąknięty. Może ten Zjadliwy Wirus to właśnie ta zabita jamesjanka, może go już nie ma - myślała Helen; ścisnęła Garpa tak mocno, że aż się obudził.

- Co się stało? - zapytał. Ale Helen, niema jak Ellen James, przyciskała tylko do siebie jego biodra; dzwoniła zębami na jego piersi i Garp utulił ją, aż przestała drżeć.

„Rzeczniczka” jamesjanek zauważyła, że był to odosobniony akt gwałtu, nie firmowany przez stowarzyszenie, ale oczywiście sprowokowany przez „typowo męską, agresywną, brutalną osobowość S. T. Garpa”. Nie mogą brać odpowiedzialności za ten „odosobniony akt”, oświadczały jamesjanki, ale ani nie są nim zdziwione, ani tego specjalnie nie żałują.

Roberta powiedziała Garpowi, że jeśli w tej sytuacji nie czuje się usposobiony do spotkania z grupą kobiet, jest w stanie go zrozumieć. Ale Garp miał wieczór autorski dla rezydentek Fundacji Fields i ich zaproszonych gości, zebranych w przytulnym i wygodnym pokoju w Dog's Head Harbor w liczbie niespełna stu osób. Czytał im „Pensjonat Grillparzer”, który zapowiedział tak:

- To jest pierwsza, a zarazem najlepsza rzecz, jaką napisałem, i naprawdę nie wiem, jak zdołałem ją wymyślić. Jest to chyba opowiadanie o śmierci, o której w gruncie rzeczy niewiele wtedy wiedziałem. Teraz wiem o śmierci znacznie więcej, a jednak nic nie piszę. W tym opowiadaniu jest jedenastu pierwszoplanowych bohaterów, z których siedmiu umiera; jeden z nich wariuje; jeden ucieka z inną kobietą. Nie będę zdradzał, co spotyka pozostałą dwójkę, ale widać wyraźnie, że szanse na przeżycie tej historii nie są wielkie.

A potem zaczął im czytać. Niektóre z zebranych się śmiały; kilka płakało; słychać było kichanie i pokasztywanie, być może z powodu wilgotnego morskiego powietrza; nikt nie wyszedł i wszyscy klaskali. Starsza kobieta, siedząca w głębi koło pianina, przespała całe opowiadanie mocnym snem, ale nawet ona pod koniec biła brawo; brawa ją obudziły, więc włączyła się spontanicznie.

To wydarzenie wpłynęło na Garpa pobudzająco. Na spotkanie przyszedł Duncan - „Pensjonat Grillparzer” był jego ulubionym utworem (prawdę powiedziawszy jednym z nielicznych utworów ojca, które wolno mu było czytać). Duncan, utalentowany młody artysta, wykonał ponad pięćdziesiąt ilustracji przedstawiających postacie i sytuacje z tego opowiadania; pokazał je ojcu po powrocie do domu. Niektóre rysunki były świeże i bezpretensjonalne - wszystkie wydawały się Garpowi interesujące. Obwisłe boki starego niedźwiedzia kryjące idiotyczny unicykl; cienkie jak zapalki pęciny babki, kruche i bezbronne w szparze pod drzwiami WC. Figlarny ogień w płonących oczach człowieka, który opowiadał sny! Jarmarczna uroda siostry Herr Theobalda („... jak gdyby w jej życiu czy w jej towarzystwie nigdy nie było dla niej nic egzotycznego - jak gdyby zawsze dokonywali absurdalnych i beznadziejnych prób awansowania do wyższej kategorii”.). I dzielny optymizm człowieka, który chodził tylko na rękach.

- Od jak dawna to robiłeś? - Garp spytał Duncana; mało się nie rozpląkał z dumy.

Pobudziło go to - nawet bardzo. zaproponował Johnowi Wolfowi specjalne wydanie „Pensjonatu Grillparzer” z ilustracjami Duncana. „Opowiadanie jest na tyle

dobre, że zasługuje na to, by je wydać jako samodzielny książkę - pisał Garp do Johna Wolfa. - A ja z pewnością jestem wystarczająco znany, żeby nie było kłopotu ze sprzedażą. Z wyjątkiem jednego niewielkiego czasopisma i jednej czy dwóch antologii, właściwie nigdzie nie było publikowane. Zresztą ilustracje są urocze! No i opowiadanie naprawdę wytrzymało próbę czasu.

„Sam nie cierpię, kiedy pisarz zaczyna zarabiać na własnej reputacji, kiedy wyciąga z szuflad wszystkie śmiecie i wznawia starocie, które zasługują na zapomnienie. Ale w tym przypadku tak nie jest. Wiesz przecież, John”.

John Wolf wiedział. Uważał, że rysunki Duncana rzeczywiście są świeże i bezpretensjonalne, ale zarazem nie nadzwyczajne. Ostatecznie chłopak nie miał jeszcze trzynastu lat - obojętne, jak bardzo był utalentowany. Tyle że John Wolf potrafił oczywiście docenić dobry pomysł wydawniczy. Naturalnie poddał książkę „tajnemu testowi Jillsy Sloper”; opowiadanie Garpa, ale przede wszystkim rysunki Duncana przeszły go z najwyższą notą. Jedyne zastrzeżenie Jillsy polegało na tym, że Garp używa zbyt wielu nieznanymi słów.

Książka ojca i syna będzie dobrym upominkiem gwiazdkowym - pomyślał John Wolf. Jej pełna smutku łagodność, jej głębokie współczucie i umiarkowana brutalność złagodzą być może nieco napięcia pomiędzy Garpem a Jameskami.

Kontuzja krocza ustąpiła i Garp całe lato biegał pomiędzy Steering a morzem, codziennie pozdrawiając skinieniem zamyślane byki rasy Angus; łączyło ich teraz wspólne bezpieczeństwo kamiennego murku i Garp zawsze utożsamiał się z tymi dużymi, szczęśliwymi zwierzakami. Radośnie się pasły i radośnie rozmnażały. A potem pewnego dnia szły szybko na rzeź. Garp jednak nie myślał o ich rzezi. Ani o swojej. Wystrzegał się samochodów, ale bez szczególnej nerwowości.

- Odosobniony akt - powiedział Helen, Robercie i Ellen James. Skinęły głowami, ale Roberta od tej pory, kiedy tylko mogła, biegała razem z nim. Helen pomyślała, że będzie spokojniejsza, kiedy znów się zrobi zimno i Garp zacznie biegać na krytej bieżni Hali Sportowej Milesa Seabrooka. Albo niechby się rozpoczął sezon zapaśniczy - wtedy rzadko kiedy wychodził poza teren szkoły. Ciepłe maty i obite ściany stanowiły dla Helen Holm, która się wychowała w takim inkubatorze, symbol bezpieczeństwa.

Garp też nie mógł się doczekać rozpoczęcia sezonu zapaśniczego. I wyjścia wspólnej publikacji ojca i syna - „Pensjonatu Grillparzer” - opowiadania S. T. Garpa, z ilustracjami Duncana Garpa. Nareszcie książka dla dzieci i dla dorosłych! Jak gdyby

dopiero zaczynał. Powrót do początków i nowy start. Co za bogactwo złudzeń wraz z ideą „zaczynania od początku”.

Nagle Garp znów zaczął pisać.

Zaczął od napisania listu do czasopisma, które opublikowało jego atak na jamesjanki. W tym liście przeproszał za gwałtowność i arbitralność swoich uwag. „Chociaż uważam, że Ellen James została wykorzystana przez te kobiety, które niewiele się liczyły z prawdziwą Ellen, to jednak widzę, że potrzeba wykorzystania przez nie tego przypadku była w pewnym sensie autentyczna i wielka. Oczywiście jestem, przynajmniej częściowo, odpowiedzialny za śmierć tej tak bardzo potrzebującej i gwałtownej kobiety, która czuła się na tyle sprowokowana, żeby usiłować mnie zabić. Przepraszam”.

Naturalnie przeprosiny rzadko kiedy bywają przyjmowane przez fanatycznych wyznawców jakiejś wiary czy też przez tych, co wierzą w dobro i zło w czystej postaci. To jamesjanki, które mu odpowiedziały w druku, wszystkie uznały, że Garp zląkł się po prostu o swoje życie; powiedziały, że się najwyraźniej boi niezliczonej rzeszy zamachowców (czy zamachowczyń), których będą wysyłać tak długo, aż go dostaną. Utrzymywały, że Garp jest nie tylko męską świnią, która znęca się nad kobietami, ale również „śmierdzącym tchórzem bez jaj”.

Jeżeli nawet Garp widział te odpowiedzi, to wyglądało na to, że nie zwraca na nie uwagi; możliwe, że ich nigdy nie czytał. Wystosował ten list z przeprosinami głównie ze względu na swoje pisanie; chciał sobie w ten sposób oczyścić biurko, nie sumienie; chciał uwolnić swój umysł od błahostek typu zajmowania się ogrodem czy robieniem półek, które zabierały mu czas, kiedy on zamierzał na serio przystąpić do pracy. Wyobrażał sobie, że pojedna się z jamesjankami, a następnie o nich zapomni - chociaż nie mogła o nich zapomnieć ani Helen, ani oczywiście Ellen James i nawet Roberta była czujna i zdenerwowana, ilekroć wychodziła gdzieś z Garpem.

W odległości mniej więcej mili za bydłą farmą, pewnego pogodnego dnia, kiedy biegli w stronę morza, Roberta poczuła nagle, że kierowca zbliżającego się Volkswagena to następny zamachowiec. Wspaniałą szarżą zepchnęła Garpa z pobocza i z wysokości dwunastu stóp zrzuciła do błotnistej przydrożnej rowu. Garp skręcił nogę w kostce i siedząc na dnie strumyka wrzeszczał na Robertę, która złapała kamień i pogroziła nim Volkswagenowi, pełnemu przerażonych nastolatków wracających z plaży. A następnie przekonała ich, żeby zrobili miejsce dla Garpa i zawieźli go do

Infirmerii imienia Jenny Fields.

- To ty stanowisz największe zagrożenie! - powiedział jej Garp, ale Helen była szczególnie rada z obecności Roberty. Ceniła sobie jej piłkarski instynkt do nieczystych chwytów i tanich sztuczek.

Skrecona w kostce noga uniemożliwiła Garpowi na dwa tygodnie biegi, ale za to przyspieszyła pisanie. Pracował właśnie nad czymś, co nazwał „książką ojcowską” czy też „książką ojców”; był to pierwszy z trzech projektów, które w beztroskim nastroju przedstawił Johnowi Wolfowi w przeddzień wyjazdu do Europy. Powieść miała nosić tytuł „Złudzenia mojego ojca”. Ponieważ ojciec był postacią wymyśloną, Garp czuł, że duch czystej wyobraźni, który ożywił „Pensjonat Grillparzer”, jest mu bliższy. Jakżeż niesłusznie tak daleko od niego odszedł. Był pod zbyt wielkim wrażeniem tego, co nazywał obecnie „zwykłymi przypadkami i wypadkami życia codziennego i wynikającymi z nich zrozumiałymi urazami”. Czuł się znów pewny siebie, zdolny wymyślić wszystko.

„Mój ojciec chciał, żebyśmy wszyscy mieli lepsze życie - zaczął - ale lepsze niż co - nie był taki znów pewien. Nie sądzę, żeby w ogóle wiedział, na czym polega życie; tyle tylko, że chciał, żeby było lepsze”.

Tak jak i w „Pensjonacie Grillparzer”, wymyślił rodzinę; obdarzył się braćmi, siostrami i ciotkami, ekscentrycznym i złym wujem i znów poczuł się powieściopisarzem. Watek zagęszczał się stopniowo ku jego radości.

Wieczorami czytał głośno Helen i Ellen James; czasami słuchał i Duncan, a czasami zostawała na kolacji Roberta - wtedy czytał i jej. Nagle stał się niesłuchanie hojny we wszystkim, co dotyczyło Fundacji Fields. Prawdę powiedziawszy, pozostali członkowie zarządu byli nawet na niego wściekli: Garp każdej petentce chciał coś dać.

- Robi wrażenie uczciwej - mawiał. - Słuchajcie, miała takie ciężkie życie. Przecież chyba mamy dosyć pieniędzy?

- Owszem, pod warunkiem, że nie będziemy tak nimi szastać - powiedziała Marcia Fox.

- Jeżeli nie zaczniemy stosować surowszej selekcji, niż ty proponujesz - dodała Hilma Bloch - pójdziemy z torbami.

- Z torbami? Jakim cudem? - Wydawało się im wszystkim (z wyjątkiem Roberty), że z dnia na dzień zrobił się z Garpa najślabszy typ liberała - przestał oceniać kogokolwiek. Całkowicie pochłaniało go wymyślanie smutnych historii członków własnej fikcyjnej rodziny; tak więc przepełniony współczuciem, i w świecie

realnym stał się litościwą duszą.

Rocznica zamordowania Jenny i nagłych pogrzebów Erniego Holma i Stewarta Percy'ego minęła Garpowi szybko w ferworze weny twórczej. Nadchodził nowy sezon zapaśniczy; Helen nigdy nie widziała, żeby go tak wzięło, żeby był tak całkowicie nastawiony na jedno, taki nieustępliwy. Był znów tamtym młodym, pełnym determinacji Garpem, w którym zakochała się od nowa; stał się jej tak bliski, że kiedy go nie było, płakała nieraz nie wiedząc dlaczego. A przebywała sama zbyt często; teraz kiedy Garpa pochłaniało pisanie, Helen stwierdziła, że za długo była bezczynna. Przyjęła pracę w Steering, żeby móc uczyć i znów samodzielnie używać swojego umysłu.

Nauczyła także Ellen James prowadzić samochód i Ellen dwa razy w tygodniu jeździła na uniwersytet stanowy na kurs dla pisarzy.

- Ta rodzina jest za mała dla dwojga pisarzy, Ellen - droczył się z nią Garp. Jakżeż się wszyscy cieszyli jego dobrym nastrojem! No i Helen, odkąd zaczęła pracować, stała się spokojniejsza.

W świecie według Garpa wieczór mógł być radosny, ale już następny ranek morderczy.

Później mieli często wspominać (Roberta też), jak to dobrze się stało, że Garp - zanim mu się objawił Zjadliwy Wirus - zdążył jeszcze zobaczyć pierwsze wydanie „Pensjonatu Grillparzer” z ilustracjami Duncana Garpa, które wyszło akurat na Boże Narodzenie.

Rozdział XIX

Życie po Garpie

Lubił epilogi, jak tego dowiedział w „Pensjonacie Grillparzer”.

„Epilog - pisał Garp - to coś więcej niż lista strat. Epilog to w gruncie rzeczy ostrzeżenie na przyszłość, ukryte pod pozorem omawiania przeszłości”.

Tego lutowego dnia Helen słyszała, jak przy śniadaniu opowiadał kawały Ellen James i Duncanowi; był wyraźnie spokojny o przyszłość. Helen wykąpała Jenny, zapudrowała zasypką, posmarowała jej główkę oliwą, obcięła maleńkie paznokietki i zasunęła zamek błyskawiczny żółtych śpioszków, które kiedyś należały do Walta. Czowała kawę, którą zaparzył Garp, i słyszała, jak wyprawia do szkoły Duncana.

- Nie tę czapkę, Duncan, na miłość boską - powiedział. - Ta ci wejdzie ledwie na czubek głowy. Jest dwadzieścia cztery stopnie mrozu.

- Jest jedenaście stopni mrozu, tato - zaprotestował Duncan.

- Akademicki spór - rzekł Garp. - Jest bardzo zimno.

I to jest ważne.

Ellen James musiała w tym momencie wejść przez drzwi wewnętrzne z garażu i coś napisać, bo Helen słyszała, jak Garp mówi, że jej za chwilę pomoże; oczywiście nie mogła uruchomić samochodu.

Potem przez moment w wielkim domu panowała cisza; jak przez mgłę Helen słyszała tylko skrzypienie butów na śniegu i powolne zapalanie zimnego silnika.

- Powodzenia! - Garp zawołał do Duncana, który z pewnością oddalał się długim podjazdem do szkoły.

- Buźka! - zawołał Duncan. - I tobie też!

Samochód ruszył; Ellen James pojechała na uniwersytet.

- Jedź ostrożnie! - zawołał za nią Garp.

Helen sama wypila kawę. Czasem nieartykułowane dźwięki rozmawiającej ze sobą Jenny przypominały jej jamesjanki albo Ellen, kiedy była podniecona - ale nie tego ranka. Tym razem mała bawiła się cicho jakimiś plastikowymi zabawkami. Do Helen dochodziło tylko stukanie maszyny Garpa - i to wszystko.

Pisał przez trzy godziny. Trzy, cztery strony łomotania, a potem cisza tak długa, że Helen się wydawało, że Garp przestaje oddychać; kiedy już o tym zapominała,

pochłonięta czytaniem czy zajęta Jenny, maszyna eksplodowała na nowo.

O wpół do dwunastej usłyszała, jak Garp dzwoni do Roberty Muldoon. Chciał zagrać w squasha, zanim rozpocznie trening zapaśniczy, o ile Roberta może zostawić swoje „dziewczynki”, jak nazywał stypendystki Fundacji Fields,

- Jak tam się mają twoje dziewczynki, Roberta? - zapytał. Ale Roberta nie mogła z nim zagrać; Helen pochwyciła rozczarowanie w jego głosie.

Później biedna Roberta bez przerwy robiła sobie wyrzuty, że powinna była z nim zagrać; gdyby z nim wtedy zagrała, powtarzała w kółko, może by spostrzegła, jak nadchodzi - byłaby w każdym razie pod ręką, czujna i napięta, rozpoznałaby trop, ślady łap, które Garp zawsze przegapiał czy ignorował. Ale Roberta Muldoon nie mogła wtedy zagrać w squasha.

Garp pisał przez następne pół godziny. Helen wiedziała, że pisze list; w jakiś sposób poznawała to po stukocie maszyny. Pisał do Johna Wolfa na temat „Złudzeń mojego ojca”; był zadowolony ze swoich postępów. Narzekał na Robertę - że zbyt poważnie traktuje swoją pracę i że traci formę; żadna praca typu administracyjnego nie wymaga tyle czasu, ile Roberta poświęca Fundacji Fields.

Pisał, że spodziewał się kiepskiej sprzedaży „Pensjonatu Grillparzer”; najważniejsze, że książka jest „urocza” - lubił na nią patrzeć, z przyjemnością ofiarowywał ją ludziom; jej odrodzenie było jego odrodzeniem. Pisał, że spodziewał się lepszego sezonu zapaśniczego, niż był ubiegłoroczny, chociaż jego początkujący zawodnik wagi ciężkiej przeszedł operację kolana, a jedyny mistrz Nowej Anglii zrobił już maturę. Powiedział, że życie z kimś, kto tak dużo czyta jak Helen, jest zarówno irytujące, jak inspirujące; chciałby dać jej do czytania coś takiego, żeby odłożyła wszystkie inne książki.

W południe przyszedł, pocałował Helen i popieścił jej piersi; w kółko obcałowywał Jenny wkładając jej jednocześnie zimowy kombinezon, który także nosił przed nią Walt, a przed Waltem trochę Duncan. Zaraz po powrocie Ellen James Garp odwoził małą do żłobka. Potem wpadał do snack baru Bustera na swoją zwyczajową filiżankę herbaty z miodem, jedną mandarynkę i jednego banana. To był cały jego lunch przed bieganiem czy treningiem zapaśniczym. Dlaczego jada tylko taki lunch, wyjaśnił nowemu nauczycielowi angielskiego, młodemu człowiekowi tuż po studiach, który podziwiał Garpa. Nazywał się Donald Whitcomb i jego nerwowe jąkanie budziło w Garpie czułe wspomnienie zmarłego pana Tinha i słabość, jaką w dalszym ciągu miał do Alice Fletcher.

Tego szczególnego dnia Garp był skory do gadania o pisaniu z kimkolwiek, a młody Whitcomb był skory do słuchania. Miał na zawsze zapamiętać, jak mu Garp opowiadał o uczuciu towarzyszącym rozpoczynaniu powieści. „To tak jak wskrzeszanie zmarłego - powiedział. - Nie, nie, to raczej tak, jakby się próbowało utrzymać przy życiu każdego, na zawsze. Nawet tych, którzy muszą w końcu umrzeć. Ci są najważniejsi”. Wreszcie Garpowi udało się ująć to tak, że sam był zadowolony. „Powieściopisarz jest jak lekarz, który widzi tylko przypadki beznadziejne”. Młody Whitcomb zapisał to z nabożną czcią.

W wiele lat później przyszli biografowie Garpa mieli zazdrościć Whitcombowi i nienawidzić go za jego biografię. Whitcomb zauważył, że okres rozkwitu w twórczości Garpa (jak go nazwał) wynikał z poczucia śmiertelności autora. Zamach na jego życie, dokonany przez jamesjanę w brudnobiałym Saabie, twierdził Whitcomb, zrodził w nim wreszcie potrzebę pisania. Helen miała się pod tą tezę podpisać.

Nie był to głupi pomysł, aczkolwiek Garp by go wyśmiał. Rzeczywiście zapomniał o jamesjankach i przestał ich wszędzie wypatrywać. Ale być może podświadomie odczuwał tę potrzebę, o której mówił młody Whitcomb.

W snack barze Bustera trzymał Whitcomba kompletnie zniewolonego, dopóki nie przyszedł czas na trening. Kiedy wychodził (zostawiając Whitcombowi zapłcenie rachunku, jak wspominał później dobrodusznie młody człowiek), natknął się na dziekana Bodgera, który spędził właśnie trzy dni w szpitalu z powodu jakichś dolegliwości sercowych.

- Nic nie znaleźli - narzekał.

- Ale serce znaleźli? - zapytał Garp.

Roześmieli się wszyscy trzej - dziekan, młody Whitcomb i Garp. Bodger powiedział, że wziął ze sobą do szpitala tylko „Pensjonat Grillparzer”, a że książka jest taka cienka, zdążył ją przeczytać trzy razy od deski do deski. Dość ponura historia jak na lekturę szpitalną, stwierdził, chociaż z przyjemnością komunikuje, że nie miał snu prababki; stąd wie, że jeszcze trochę pożyje. Bodger oświadczył, że jest zachwycony opowiadaniem.

Whitcomb zapamiętał, że Garp poczuł się nawet skrępowany tą pochwałą, która mu oczywiście pochlebiała. Whitcomb i Bodger pomachali mu na pożegnanie. Garp zapomniał swojej narciarskiej włóczkowej czapki, ale Bodger powiedział Whitcombowi, że mu odniesie do hali sportowej. Wyznał, że lubi czasem wpaść do Garpa na salę zapaśniczą.

- On jest tam naprawdę w swoim żywiole - dodał. Donald Whitcomb nie był fanatykiem zapasów, ale wyrażał się entuzjastycznie o twórczości Garpa. Obaj mężczyźni, i młody, i stary, zgodzili się co do jednego: Garp jest człowiekiem obdarzonym nadzwyczajną energią.

Whitcomb wspominał, że wrócił do swojego małego mieszkania w jednym z internatów i próbował zapisać wszystko, co zrobiło na nim wrażenie w związku z Garpem, musiał jednak przerwać, bo nadeszła pora kolacji. Schodząc do jadalni był jedną z nielicznych osób w Steering, które nie słyszały, co się stało. Dopiero dziekan Bodger - z zaczerwienionymi oczami i z twarzą nagle postarzałą o kilka lat - zatrzymał go po drodze. Dziekan, który zostawił w hali sportowej rękawiczki, w zziębniętych rękach trzymał czapkę Garpa. Kiedy Whitcomb zobaczył tę czapkę, wiedział od razu, nawet nie patrząc mu w oczy, że stało się coś złego.

Garp zauważył brak czapki, jak tylko wybiegł na zaśnieżoną ścieżkę wiodącą ze snack baru Bustera do Hali Sportowej Seabrooka. Ale zamiast po nią wracać, przyspieszył tempo i pobiegł szybciej. Po drodze, w przeciągu trzech minut, zdążył już zmarznąć w głowę; zmarzły mu też palce u nóg, więc zanim włożył buty zapaśnicze, ogrzał sobie nogi w pokoju trenerów.

Pogadał tam przez chwilę ze swoim zawodnikiem wagi do 145 funtów. Chłopak przyklejał sobie właśnie plasterm mały palec do serdecznego, żeby go trochę podeprzeć z powodu, jak go trener zapewnił, tylko zwichnięcia. Garp go zapytał, czy był na prześwietleniu; chłopak był, ale rentgen nic nie wykazał. Garp poklepał go po ramieniu i spytał, ile waży. Skrzywił się na odpowiedź, najpewniej niezgodną z prawdą, choć i tak było to o pięć funtów za dużo, i poszedł się przebrać.

Przed rozpoczęciem treningu jednak zatrzymał się w pokoju trenerów jeszcze na chwilę. „Tylko żeby sobie posmarować ucho wazeliną” - jak wspominał jeden z instruktorów. Robił mu się kalafior i Garp uznał, że śliska warstwa wazeliny działa ochronnie. Nie lubił walczyć w kasku; w jego szkolnych czasach nie wymagano ochraniaczy na uszy i Garp nie widział powodu, żeby je nosić teraz.

Zanim otworzył salę zapaśniczą, przebiegł milę po krytej bieżni ze swoim zawodnikiem wagi 152 funty. Na ostatnim okrążeniu sprowokował go do sprintu, ale chłopak miał więcej sił i na końcu zostawił Garpa o sześć stóp w tyle. Zamiast rozgrzewki „pobawił się” z nim na sali. Sprowadził go lekko do parteru z pięć czy sześć razy i przez jakieś pięć minut poprzewracał się z nim po macie, dopóki tamten nie zaczął zdradzać objawów zmęczenia. A potem pozwolił mu się przytrzymać broniąc się

w parterze. Ale Garp miał w karku jakiś sztywny mięsień, za mało elastyczny, więc powiedział chłopakowi, żeby poszedł się pobawić z kimś innym. Usiadł samotnie, oparty o wyścielaną ścianę, i zachwycony patrzył, jak jego drużyna wypełnia salę.

Przed zademonstrowaniem pierwszych ćwiczeń pozwolił im na rozgrzewkę indywidualną - nienawidził zorganizowanej gimnastyki.

- Dobierać się parami, dobierać się parami - powtarzał mechanicznie, a następnie dodał: - Eric? Dobierz sobie ostrzejszego partnera, bo będziesz trenował ze mną.

Eric, zawodnik wagi 133 funty, migał się zwykle na treningach dobierając sobie rezerwowego zawodnika wagi 115 funtów, swojego współlokatora z pokoju i najlepszego przyjaciela.

Kiedy Helen weszła do sali zapaśniczej, temperatura wynosiła prawie 29 stopni i dalej rosła. Poczepiani parami na matach chłopcy już ciężko dyszeli. Garp uważnie patrzył na stoper.

- Jeszcze minuta! - wrzasnął. Kiedy Helen przechodziła koło niego, miał w ustach gwizdek, więc go nie pocałowała.

Miała zapamiętać ten gwizdek i to, że go nie pocałowała, do końca życia - czyli na długo.

Poszła do swojego zwykłego kąta sali, gdzie obawa, że ktoś na nią wpadnie, była mniejsza. Otworzyła książkę. Okulary zaszyły jej mgłą, więc sobie przetarła. Miała je na nosie, kiedy na salę, z przeciwległego końca, weszła pielęgniarka. Ale Helen nigdy nie podnosiła głowy znad książki, chyba że usłyszała mocniejsze uderzenie ciała o matę albo szczególnie głośny krzyk bólu. Pielęgniarka zamknęła za sobą drzwi i szybkim krokiem, mijając moczujących się na matach zawodników, podeszła do Garpa, który siedział z gwizdkiem w ustach i stoperem w ręce. Wyjął gwizdek z ust i zawołał:

- Piętnaście sekund! - Tyle i jemu pozostało. Wsadził gwizdek z powrotem do ust, gotów zagwizdać.

Kiedy zobaczył pielęgniarkę, wziął ją za sympatyczną pielęgniarkę imieniem Dotty, która pomogła mu się wydostać z pierwszego feministycznego pogrzebu. Poznał ją jedynie po włosach, stalowoszarych, splecionych w warkocz upięty wokół głowy - była to oczywiście peruka. Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego. Prawdopodobnie nie było nikogo, z kim Garp czułby się lepiej niż z pielęgniarką; odpowiedział jej uśmiechem, a następnie spojrział na stoper: dziesięć sekund.

Kiedy ponownie na nią popatrzył, spostrzegł broń. Myślał właśnie o swojej matce Jenny Fields i o tym, jak musiała wyglądać, kiedy wchodziła na salę zapaśniczą niecałe dwadzieścia lat temu. Jenny była od tej młodsza - przeszło mu przez głowę. Gdyby Helen w tym momencie podniosła wzrok, mogłaby znów pomyśleć, że to jej zagubiona matka zdecydowała się wreszcie wyjść z ukrycia.

Kiedy Garp zobaczył broń, zauważył również, że kobieta nie ma na sobie prawdziwego stroju pielęgniarstwa, tylko „Jenny Fields Original”, z naszytym na piersi charakterystycznym czerwonym sercem. Wtedy też zwrócił uwagę na jej biust - mały, ale zbyt jędrny i młodzieńczo sprężysty jak na osobę o siwych włosach; w biodrach też była za szczupła i nogi miała zbyt dziewczęce. Kiedy znów spojrział na jej twarz, dostrzegł rodzinne podobieństwo: kwadratową szczękę, którą Midge Steering obdarzyła wszystkie swoje dzieci, i cofnięte czoło Ciepłych Kluch. To połączenie cech upodabniało głowy wszystkich Percych do groźnych okrętów.

Pierwszy strzał wytrącił mu z ostrym świstem gwizdek z ust; stoper wyleciał mu z rąk. Garp usiadł. Mata była ciepła. Kula przeszła mu brzuch i utkwiała w stosie pacierzowym. Na zegarze zostało jeszcze niecałe pięć sekund, kiedy Bainbridge Percy oddała drugi strzał; kula trafiła w pierś i rzuciła Garpa, w dalszym ciągu w pozycji siedzącej, o obitą miękko ścianę. Oszołomieni zapaśnicy, którzy byli w końcu tylko chłopcami, stali jak wryci. I dopiero Helen przewróciła Bainbridge Percy na matę uniemożliwiając jej trzeci strzał.

Krzyki Helen wyrwały ich z odrętwienia. Jeden z chłopców, rezerwowy zawodnik wagi ciężkiej, przygniół Puchatka Percy brzuchem do maty i wykręcił jej rękę ze spluwą; rozciął przy tym łokciem wargę Helen, ale ona tego nawet nie poczuła. Początkujący zawodnik wagi 145 funtów, z małym palcem przyklejonym plastrem do palca serdecznego, wyrwał Bainbridge rewolwer łamiąc jej kciuk.

W chwili kiedy chrupnęła jej kość i Puchatek Percy krzyknęła, nawet Garp zobaczył, co z siebie zrobiła: zabieg musiał być bardzo świeży. W jej otwartych ustach każdy, kto stał blisko, mógł dostrzec na kikucie stanowiącym szczątek języka czarne mrówki szwów. Rezerwowy zawodnik wagi ciężkiej tak się przestraszył, że ścisnął ją za mocno i złamał jej zebro. Szaleństwo Bainbridge Percy - w wyniku którego została jamesjanką - musiało być dla niej bolesne.

- Inie! - wrzeszczała. - One inie! - „Ona inia” znaczyło „pieprzona świnia”, ale żeby zrozumieć teraz biedną Bainbridge Percy, trzeba byłoby samemu być jamesjanką.

Początkujący zawodnik wagi 145 funtów trzymał broń na odległość wyciągniętej ręki, wycelowaną w matę i w pusty róg sali.

- Inia! - wybełkotała pod jego adresem Bainbridge Percy, ale drżący chłopak patrzył na swojego trenera.

Helen podtrzymała Garpa, który zaczął się już osuwać po ścianie. Nie mógł mówić - wiedział o tym; stracił czucie. Zachował tylko doskonałe powonienie, wzrok i żywą pamięć.

Raz wreszcie był zadowolony, że Duncan nie interesował się zapasami. Dzięki temu, że wolał pływać, ominął go ten widok; Garp wiedział, że w tej chwili Duncan albo wychodzi ze szkoły, albo jest już na pływalni.

Było mu przykro z powodu Helen - że akurat się tu znalazła - ale był jednocześnie szczęśliwy, że czuje tak blisko siebie jej zapach. Delektował się nim pośród innych tak swojskich zapachów sali zapaśniczej Steering. Gdyby mógł mówić, powiedziałby jej, żeby się już nigdy nie bała Zjadliwego Wirusa. Ze zdziwieniem stwierdził, że Zjadliwy Wirus to nikt obcy, a nawet nikt tajemniczy; Zjadliwy Wirus to ktoś dobrze znany - od zawsze, ktoś, z kim się wzrasta. Sprężysty jak ciepłe maty zapaśnicze; pachnący jak pot czystych chłopców, jak Helen - pierwsza i ostatnia kobieta, którą kochał. Zjadliwy Wirus, Garp już teraz wiedział, mógł nawet wyglądać jak pielęgniarka: osoba otrząskana ze śmiercią i wyszkolona, jak reagować na ból.

Kiedy Bodger otworzył drzwi do sali zapaśniczej z jego narciarską czapką w ręce, Garp się nie łudził, że dziekan raz jeszcze przybył zorganizować ekipę ratowniczą - że przyszedł złapać jego ciało spadające z dachu infirmerii z wysokości czterech pięter nad miejscem, gdzie świat był bezpieczny. Świat nie był bezpieczny. Dziekan Bodger, Garp nie miał wątpliwości, zrobiłby wszystko, żeby mu pomóc; uśmiechnął się więc do niego z wdzięcznością, uśmiechnął się do Helen i do swoich zapaśników; niektórzy z nich płakali. Spojrzał z czułością na swojego szlochającego rezerwowego wagi ciężkiej, który dalej dusił Bainbridge Percy do maty; wiedział, jaki trudny sezon czeka biednego grubasa.

Popatrzył na Helen; jedyne, czym mógł poruszać, to były oczy. Widział, że Helen próbuje odpowiedzieć mu uśmiechem. Oczyma usiłował ją podnieść na duchu: nie martw się - co z tego jeśli nie ma życia po śmierci? Jest życie po Garpie, możesz mi wierzyć. Nawet jeśli po śmierci jest tylko śmierć, trzeba sobie cenić drobne łaski - czasami są na przykład narodziny po seksie. A jeśli masz dużo szczęścia, bywa i seks po narodzinach! Owthem - jakby powiedziała Alice Fletcher. A jeśli masz życie -

mówiły oczy Garpa - jest nadzieja, że będziesz mieć energię. I nigdy nie zapominaj, Helen - powiedziały jej jego oczy - mamy jeszcze wspomnienia.

„W świecie według Garpa - miał napisać młody Donald Whitcomb - jesteśmy zobowiązani pamiętać wszystko”.

Garp umarł, zanim zdążyli go wynieść z sali zapaśniczej. Miał trzydzieści trzy lata, tyle samo co Helen. Ellen James dopiero co skończyła dwadzieścia. Duncan trzynaście. Mała Jenny Garp zaczynała trzeci rok życia. Walt miałby osiem lat.

Wiadomość o śmierci Garpa spowodowała natychmiast trzecie i czwarte wydanie książki ojca i syna „Pensjonat Grillparzer”. W ciągu długiego weekendu John Wolf pił za dużo i zastanawiał się nad porzuceniem zawodu wydawcy; czasem robiło mu się niedobrze, kiedy widział, jak nagła śmierć wpływa korzystnie na interesy. Pocieszała go tylko myśl o tym, jak sam Garp przyjąłby tę wiadomość. Nawet on nie byłby w stanie przewidzieć, że jego własna śmierć okaże się korzystniejsza od samobójstwa, jeśli chodziło o postawienie go w rzędzie pisarzy poważnych i sławnych. Nie tak źle jak na kogoś, kto jako pisarz trzydziestotrzyletni miał w dorobku jedno dobre opowiadanie i być może półtorej dobrej powieści na trzy. Rzadka bowiem forma śmierci Garpa okazała się w gruncie rzeczy tak doskonała, że John Wolf musiał się aż uśmiechnąć na myśl o tym, jak bardzo sam Garp byłby z niej zadowolony. Była to śmierć, myślał, komiczna, brzydka i dziwaczna, która przez swoją przypadkowość, głupotę i bezsensowność unaoczniła wszystko, co Garp kiedykolwiek napisał na temat funkcjonowania świata.

Helen miała zauważyć z goryczą, ale tylko raz, że śmierć Garpa była mimo wszystko rodzajem samobójstwa.

- W tym sensie, w jakim całe jego życie było samobójstwem - powiedziała tajemniczo. Wyjaśniła później, że miała na myśli to, jak Garp działał ludziom na nerwy.

W każdym razie nadmiernie zdenerwował Puchatka Percy; to przynajmniej nie ulegało wątpliwości.

Innych znów skłaniał do hołdów, drobnych i dziwnych. Szkolny cmentarz w Steering miał na przykład zaszczyt posiadania jego nagrobka - chociaż nie ciała; podobnie jak ciało jego matki, ciało Garpa miało służyć studentom medycyny. Szkoła Steering postanowiła go także uhonorować nazywając jego imieniem jedyny szkolny budynek, jaki jeszcze nie miał nazwy. Był to pomysł starego Bodgera. Skoro jest

Infirmeria imienia Jenny Fields, dowodził poczciwy dziekan, to powinien być Aneks Szpitalny Garpa.

W przyszłości funkcje tych budynków miały się nieznacznie zmienić, chociaż nazwy na zawsze pozostały te same: Infirmeria Fields i Aneks Garpa. Infirmeria Fields miała pewnego dnia zejść do roli starego skrzydła Klinicznego Ośrodka Zdrowia Steering; Aneks Garpa miał służyć głównie jako skład - rodzaj magazynu sprzętu medycznego, kuchennego i szkolnego; można go było także używać w razie epidemii. Ale oczywiście epidemie się już prawie nie zdarzały. Garpowi najprawdopodobniej spodobałby się pomysł nazwania jego imieniem magazynu. Napisał kiedyś, że powieść to „jedynie skład wszystkich znaczących rzeczy, których pisarz nie jest w stanie wykorzystać w ciągu swego życia”.

Spodobałby mu się też z pewnością pomysł epilogu; oto on: epilog „ostrzegający nas na przyszłość”, jakby go mógł sformułować S. T. Garp.

ALICE i HARRISON FLETCHEROWIE mieli pozostać małżeństwem na dobre i na złe - ten związek okazał się trwały częściowo dlatego, że Alice nie potrafiła niczego skończyć. Ich jedyne dziecko, córka, grała na wiolonczeli - dużym, nieporęcznym instrumencie o jedwabistych tonach - z takim wdziękiem, że czysty, głęboki dźwięk, jaki z niego dobywała, za każdym razem powodował kłopoty Alice z wymową na wiele godzin. Harrison, który po jakimś czasie dostał, i tym razem już utrzymał, stały etat w innym miejscu, wyrósł ze swoich sfer z co ładniejszymi studentkami mniej więcej w tym samym okresie, kiedy jego utalentowana córka zaczęła ugruntowywać swoją pozycję poważnej muzyczki.

Alice, która nigdy nie ukończyła swojej drugiej powieści ani trzeciej, ani czwartej, nie miała też nigdy drugiego dziecka. Pozostała wymowna, potoczysta na papierze, ale trudna do zniesienia w rzeczywistości. Nigdy więcej nie upodobała sobie w żadnym z „innych mężczyzn” w tym stopniu co w Garpie; nawet we wspomnieniach pozostał namiętnością na tyle silną, że Alice nigdy nie potrafiła zbliżyć się do Helen. A sympatia Harry'ego dla Helen zdawała się wietrzeć stopniowo wraz z każdym z jego szybko wietrzejących flirtów, tak że w końcu Fletcherowie prawie stracili kontakt z pozostałymi Garpami.

Kiedyś Duncan spotkał ich córkę w Nowym Jorku po jej pierwszym solowym występie w tym niebezpiecznym mieście; zaprosił ją na kolację.

- Czy jest podobny do matki? - zapytał córkę Harrison.

- Ja jej tak dobrze nie pamiętam.

- Czy on się do ciebie przytulał? - spytała Alice.

- Nie sądzę - odrzekła dziewczyna, której pierwszym i sercu najbliższym partnerem miała na zawsze pozostać biodrzasta wiolonczela.

Oboje Fletcherowie - i Harry, i Alice - mieli zginąć w wypadku samolotowym jako ludzie w dobrze już średnim wieku, kiedy w okresie Bożego Narodzenia lecieli na Martynikę. Jedna ze studentek Harrisona odwoziła ich na lotnisko.

- Jeśli się mieszka w Nowej Anglii - zwierzyła się Alice studentce - należą się człowiekowi słoneczne wakacje. Prawda, Harrithon?

Helen zawsze uważała, że Alice jest „trochę stuknięta”.

HELEN HOLM, która przez większą część swego życia była znana jako Helen Garp, miała żyć bardzo długo. Szczupła, ciemna kobieta o fascynującej twarzy i ładnym sposobie wyrażania się, miała wprawdzie kochanków, ale nigdy nie wyszła powtórnie za mąż. Każdy z jej kochanków musiał znosić obecność Garpa - nie tylko w jej nieustępliwej pamięci, ale także w przedmiotach, którymi się otaczała. Dom w Steering, który opuszczała rzadko, pełen był książek Garpa, zdjęć, jakie Duncan robił ojcu, a nawet pucharów, zdobytych przez Garpa w zawodach zapaśniczych.

Helen utrzymywała, że nigdy nie przebaczy Garpowi tego, że umarł tak młodo, zostawiając ją na tak znaczną część życia samą; twierdziła też, że ją zepsuł: nigdy nie brała poważnie pod uwagę możliwości życia z innym mężczyzną.

Helen miała stać się jedną z najbardziej poważanych nauczycielek Steering, chociaż nigdy nie wyzbyła się ironicznego stosunku do szkoły. Miała tam przyjaciół, ale nielicznych: starego dziekana Bodgera, aż do jego śmierci, i młodego naukowca Donalda Whitcomba, tak oczarowanego nią jak kiedyś twórczością Garpa. I jeszcze rzeźbiarkę, artystkę-rezydentkę, z którą poznała ją Roberta.

Był także dożywotni przyjaciel John Wolf, któremu Helen przebaczała po troszeczkę, ale nigdy całkowicie, to, że mu się udało zapewnić powodzenie Garpowi. Helen i Roberta pozostały ze sobą blisko; od czasu do czasu Helen brała udział w sławetnych wypadach Roberty do Nowego Jorku. Obie kobiety, coraz starsze i coraz bardziej ekscentryczne, latami rządziły Fundacją Fields. Ich dowcipny bieżący komentarz dotyczący wydarzeń świata zewnętrznego stał się czymś w rodzaju atrakcji turystycznej w Dog's Head Harbor; od czasu do czasu, kiedy Helen czuła się w Steering samotna czy znudzona - kiedy jej dorosłe już dzieci były zajęte własnymi

sprawami, gdzieś daleko - przenosiła się do Roberta do dawnej posiadłości Jenny Fields. Tam był zawsze ruch. Kiedy Roberta umarła, Helen przybyło ze dwadzieścia lat.

W bardzo już podeszłym wieku, narzekając, że przeżyła wszystkich swoich bliskich rówieśników, Helen Holm zapadła nagle na chorobę śluzówek. Umarła we śnie.

Przeżyła z powodzeniem wielu krwiożerczych biografów, którzy tylko czekali na jej śmierć, żeby się rzucić na szczątki Garpa. Chroniła jego listy, nie skończony rękopis „Złudzeń mojego ojca”, większość jego pamiętników i notatek. Wszystkim niedoszłym biografom mówiła to samo, co on by im powiedział: „Czytajcie książki. Zapomnijcie o życiu”.

Sama Helen napisała kilka artykułów, które były cenione w jej dziedzinie. Jeden z nich nosił tytuł: „Żyłka awanturnicza w narracji”. Było to studium porównawcze techniki narracyjnej Josepha Conrada i Wirginii Woolf.

Helen zawsze uważała się za wdowę z trojgiem dzieci - Duncanem, Jenny i Ellen James. Cała trójka przeżyła ją i obficie opłakiwała jej śmierć. Byli za młodzi i zbyt zaskoczeni, żeby tak samo opłakiwać Garpa.

DZIEKAN BODGER, który śmierć Garpa opłakiwał niemal w tym samym stopniu co i Helen, pozostał lojalny jak bulterier i równie wierny. Długo jeszcze po przejściu na emeryturę cierpiący na bezsenność starzec nawiedzał nocami kampus spadając jak sęp na kochanków, którzy się chyłkiem przemykali ścieżkami albo obściskiwali na wilgotnej jak gąbka ziemi pod delikatnymi krzewami rosnącymi wzdłuż starych, pięknych budynków.

Bodger pozostał czynny w Steering aż do matury Duncana.

- Przeprowadziłem przez szkołę twojego ojca, chłopcze - powiedział - przeprowadzę i ciebie. I jeśli mi pozwolą, to zostanę tak długo, żeby przeprowadzić jeszcze i twoją siostrę. - Ale wreszcie wymusili na nim odejście na emeryturę; wśród wielu problemów, jakie stwarzał, wymieniano to, że mówi do siebie podczas nabożeństw w kaplicy, no i jego obsesyjne zgarnianie chłopców i dziewcząt po dozwolonych godzinach. Wspominano także nawracające urojenie dziekana, który twierdził uparcie, że tamtego wieczoru przed laty złapał w ramiona młodego Garpa, a nie żadnego gołębia. Bodger odmówił wyprowadzenia się z terenu kampusu i pomimo - a może właśnie z powodu - swojego uporu został najbardziej szacownym emerytem

Steering. Wywlekali go na wszystkie szkolne uroczystości, podsadzali na podium, przedstawiali ludziom, którzy nie wiedzieli, kim był, a następnie wyprowadzali. Być może dlatego tolerowali jego dziwactwa; latami na przykład, będąc już dobrze po siedemdziesiątce - czasem przez kilka tygodni pod rząd - Bodger roił sobie, że jest w dalszym ciągu dziekanem.

- Naprawdę jest pan dziekanem - droczyła się z nim Helen.

- Oczywiście, że jestem! - grzmiał Bodger.

Spotykali się często i w miarę jak Bodger głuchł, coraz częściej widywano go pod rękę z tą miłą Ellen James, która miała swoje sposoby na porozumiewanie się z ludźmi nie słyszającymi.

Dziekan Bodger pozostał lojalny nawet w stosunku do drużyny zapaśniczej Steering, której okres chwały szybko uleciał z pamięci niemal wszystkich. Nigdy już nie mieli trenera, który byłby równy Erniemu Holmowi ani nawet Garpowi. Zaczęli przegrywać, ale mimo to Bodger popierał ich zawsze, dopingując aż do ostatniej walki biednego zawodnika Steering, który sprowadzony do parteru bronił się przed położeniem na łopatkę.

Bodger zmarł podczas meczu zapaśniczego. Było to wyjątkowo wyrównane spotkanie w wadze najcięższej. Zawodnik z drużyny Steering zmagał się rozpaczliwie ze swoim równie wyczerpanym przeciwnikiem, który zupełnie stracił formę; jak młode wieloryby wyrzucone na brzeg pełzali walcząc o przewagę i zwycięskie punkty, podczas gdy czas się kończył.

- Piętnaście sekund! - huknął sędzia. Chłopcy walczyli dalej. Bodger wstał tupiąc i dopingując.

- Gott! - zapiszczał; na koniec jego niemiecki doszedł do głosu.

Kiedy walka się skończyła i trybuny opustoszały, pozostał na swoim miejscu tylko emerytowany dziekan - martwy. Helen musiała bardzo pocieszać młodego wrażliwego Whitcoma, żeby wreszcie przestał rozpaczać po stracie Bodgera.

DONALD WHITCOMB nigdy nie sypiał z Helen mimo zawistnych plotek niedoszłych biografów, którzy nie mogli się doczekać, kiedy położą łapy na spuściznie i na wdowie po Garpie. Whitcomb całe życie spędził dosłownie jak pustelnik w ukryciu szkoły Steering. Miał podwójne szczęście: raz, że odkrył tu Garpa na krótko przed jego śmiercią, a dwa, że znalazł przyjaźń i opiekę Helen. Wiedziała, że Whitcomb wielbi jej męża być może jeszcze bardziej bezkrytycznie niż ona sama.

O biednym Whitcombie zawsze mówiło się „ten młody Whitcomb”, mimo że przecież nie zawsze był młody. Nigdy nie miał zarostu, a jego twarz do końca pozostała różowa pod brązową, pod siwą i wreszcie pod srebrzystobiałą czupryną, zaś głos do końca przypominał nerwowe, przerywane jodłowanie. Nigdy też Whitcomb nie przestał zacierać rąk. Ale właśnie jemu zaufała Helen, jeśli chodziło o historię rodziny i dorobek literacki męża.

Whitcomb miał zostać biografem Garpa. Helen przeczytała całość biografii, poza ostatnim rozdziałem, z którym autor czekał całe lata; był to rozdział stanowiący pochwałę Helen. Whitcomb został uczonym „garpologiem”, najwyższym autorytetem w sprawach Garpa. Miał odpowiednią jak na biografę potulność - żartował zawsze Duncan. Był dobrym biografem z punktu widzenia ich rodziny: wierzył we wszystko, co mu powiedziała Helen, w każdą notatkę, którą zostawił Garp, albo w każdą notatkę, którą Helen mu powiedziała, że Garp zostawił.

„Życie - pisał Garp - niestety nie jest skonstruowane jak pocziwa staroświecka powieść. Przeciwnie, koniec następuje wtedy, kiedy ci, co mają się skończyć, skończyli się. Zostają tylko wspomnienia. Ale nawet cynik ma wspomnienia”.

Whitcomb uwielbiał Garpa również i w tym, co było u niego najbardziej kapryśne i pretensjonalne.

Wśród rzeczy Garpa Helen znalazła taką notatkę:

„Obojętne, jakie będą moje pieprzone ostatnie słowa, bardzo was proszę, powiedzcie, że brzmiały tak: »Zawsze wiedziałem, że dążenie do doskonałości jest zwyczajem niosącym w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo«”.

Donald Whitcomb, który wielbił Garpa bezkrytycznie, miłością psów i dzieci, twierdził, że to były rzeczywiście jego ostatnie słowa.

- Jeżeli Whitcomb tak mówi, to znaczy, że tak jest - powtarzał Duncan.

Jenny Garp i Ellen James też były co do tego zgodne. „Ochrona Garpa przed biografami to była sprawa rodzinna” - pisała Ellen.

- Dlaczego nie? - pytała Jenny Garp. - A cóż on zawdzięcza opinii publicznej? Zawsze mówił, że jest jedynie wdzięczny losowi za istnienie innych artystów i ludziom, którzy go kochają.

„Kto więc jeszcze zasługuje na to, żeby mieć teraz coś z niego?” - pisała Ellen James.

Donald Whitcomb był posłuszny nawet ostatniej woli Helen. Mimo podeszłego wieku umarła nagle i właśnie Whitcomb stanął na straży jej ostatniej woli. Helen nie

chciała mianowicie, żeby ją pochowano na szkolnym cmentarzu Steering, koło Garpa i Jenny, koło jej ojca, Ciepłych Kluch i wszystkich innych. Powiedziała, że cmentarz miejski jej w zupełności wystarczy. Nie chciała też, żeby jej ciało oddano do akademii medycznej; jest bardzo stara, twierdziła, i nikt nie będzie miał z jej ciała żadnego pożytku. Życzyła sobie, żeby jej zwłoki uległy kremacji, a prochy pozostały własnością Duncana, Jenny Garp i Ellen James. Jak już część tych prochów pochowają, z resztą mogą zrobić, co im się podoba, byle ich nie rozsypali po terenie należącym do szkoły. Niech ją raczej cholera weźmie, powiedziała Whitcombowi, niżby szkoła, która nie przyjmowała dziewcząt w jej czasach, miała mieć z niej teraz cokolwiek.

Na jej nagrobku, na cmentarzu miejskim, oświadczyła Whitcombowi, ma być po prostu napisane, że tu spoczywa Helen Holm, córka trenera zapaśniczego Erniego Holma, która nie mogła chodzić do szkoły w Steering dlatego tylko, że była dziewczyną; ponadto była kochającą żoną powieściopisarza S. T. Garpa, którego nagrobek można oglądać na cmentarzu szkolnym - ponieważ on był chłopcem.

Whitcomb uszanował i to życzenie, co szczególnie ubawiło Duncana.

- Dopiero tata byłby tym zachwycony! - powtarzał zawsze. - Rany, już go słyszę.

A jakby była zachwycona ostatnią wolą Helen Jenny Fields, podkreślały najczęściej Jenny Garp i Ellen James.

ELLEN JAMES miała wyrosnąć na pisarkę. Okazała się „czymś autentycznym”, jak przepowiadał Garp. Jej mentorzy - Garp i duch jego matki Jenny Fields - okazali się jednak dla niej zbyt onieśmielający i z ich powodu nie próbowała właściwie swoich sił ani w powieści, ani w innych gatunkach prozy. Została natomiast bardzo dobrą poetką - aczkolwiek mało poczytną.

Z jej pierwszego uroczego zbioru wierszy, zatytułowanego „Mowy wygłoszone do roślin i zwierząt”, Garp i Jenny Fields byliby z pewnością dumni. A Helen była bardzo dumna. Przyjaźniły się ogromnie, nie mówiąc o tym, że łączył je stosunek matki i córki.

Ellen James miała oczywiście przeżyć jamesjanki. Po zabójstwie Garpa zeszyły głębiej do podziemia, a ich sporadyczne wystąpienia na przestrzeni lat były zawoalowane, nawet nieśmiałe.

„Hej, jestem niemową” - głosiły w końcu ich kartki. Albo: „Miałam wypadek i nie mogę mówić. Ale nieźle piszę, jak widać”.

Od czasu do czasu pytano je:

- Ale pani nie jest jedną z tych jakichś tam „mesjanek”?

„Jakich?” - nauczyły się odpowiadać. A uczciwsze z nich pisały:

„Nie. Teraz już nie”.

Teraz były już tylko kobietami, które nie mogą mówić. Bez żadnej ostentacji większość z nich wkładała wiele wysiłku w znalezienie sobie jakiegoś zajęcia. Znaczna część jamesjanek, bardzo pożytecznie, zwróciła się ku tym, którzy też czegoś nie mogli. Aktywnie pomagały upośledzonym i ludziom nadmiernie litującym się nad sobą. Coraz częściej wyzbywały się wszelkich etykiet i jedna po drugiej te nieme kobiety dorabiały się własnych imion.

Niektóre z nich doczekały się za swoje zasługi nawet stypendium Fundacji Fields.

Inne oczywiście dalej usiłowały być jamesjankami w świecie, który wkrótce zapomniał, co to takiego jamesjanka. Byli tacy, co brali je za gang kryminalistek, przeżywający swój krótki rozkwit w połowie dwudziestego wieku, albo jak na ironię mylili je z tymi, przeciwko którym pierwotnie występowały - z gwałcicielami. Jedna z jamesjanek napisała do Ellen James, że przestała być jamesjanką w momencie, kiedy zapytała pewną małą dziewczynkę, czy wie, kto to są jamesjanki.

- Takie, co gwałcą małych chłopców - odparło dziecko.

W jakieś dwa miesiące po zamordowaniu Garpa pojawiła się kiepska, ale bardzo popularna powieść. Trzy tygodnie trwało jej pisanie, a pięć wydawanie. Nosiła ona tytuł „Wyznania jamesjanki” i w znacznym stopniu przyczyniła się do tego, że jamesjanki stały się jeszcze bardziej stuknięte albo po prostu zepchnięte na margines. Autorem powieści był naturalnie mężczyzna. Jego poprzednia książka nazywała się „Wyznania króla Porno”, a jeszcze wcześniejsza „Wyznania handlarza młodocianych niewolników”. I tak dalej. Był to szczwany, zły człowiek, który co sześć miesięcy zmieniał skórę.

Jeden z jego okrutnych niewybrednych żartów z „Wyznań jamesjanki” polegał na tym, że narratorka, a zarazem główna bohaterka powieści, jest lesbijką, która dopiero po obcięciu języka uświadamia sobie, że również jako kochanka straciła przydatność.

Popularność tej wulgarnej grafomanii wprawiła wiele jamesjanek w straszliwe zakłopotanie. Doszło do samobójstw.

„Zawsze zdarzają się samobójstwa - pisał Garp - wśród ludzi, którzy nie są w stanie powiedzieć, o co im chodzi”.

W końcu jednak Ellen James zaczęła je wyciągać z ukrycia i obdarzać przyjaźnią. Tak by z pewnością - myślała - postąpiła Jenny Fields. Ellen urządziła wieczory autorskie do spółki z Robertą Muldoon, która swoim potężnym, dźwięcznym głosem czytała jej wiersze. Siedząca obok niej Ellen miała taką minę, jakby żałowała, że sama nie może tego robić. Pod wpływem tego ujawniło się wiele jamesjanek, które też żałowały, że nie mogą mówić. Kilka z nich zostało przyjaciółkami Ellen James.

Ellen James nigdy nie wyszła za mąż. Od czasu do czasu nawet przyjaźniła się z jakimś mężczyzną, ale bardziej dlatego, że był kolegą po piórze, niż dlatego, że był mężczyzną. Ellen, jako dobra poetki i żarliwa feministka, wierzyła w sposób życia Jenny Fields i w pisanie z energią i osobistą wizją świata Garpa. Innymi słowy, była wystarczająco uparta, by mieć własne zdanie, ale jednocześnie była dobra dla ludzi. Przez całe życie łączyło ją z Duncanem Garpem - w gruncie rzeczy jej młodszym bratem - coś w rodzaju flirtu.

Duncan bardzo bolał nad jej śmiercią. Ellen, już w starszym wieku, zaczęła pływać na długie dystanse - było to mniej więcej w okresie, kiedy została po Robercie prezeską Fundacji Fields. Doszła do tego, że przepływała po kilka razy szeroki przesmyk Dog's Head Harbor. W swoich ostatnich, najlepszych wierszach często posługiwała się pływaniem i „zewem oceanu” jako metaforami. Ale Ellen James pozostała dziewczynką ze Środkowego Zachodu, która nigdy nie zrozumiała do końca natury wirów; pewnego zimnego jesiennego dnia była na tyle zmęczona, że ją dopadły.

„Kiedy pływam - pisała do Duncana - przypomina mi się, jak wyczerpujące, a zarazem pełne uroku były sprzeczki z twoim ojcem. Czuję także wysiłek morza, żeby mnie dopaść - mego suchego środka, wyspy mojego serca. Wyspy mojego tyłka, jakby się z pewnością wyraził twój ojciec. Ale my się tak przekomarzamy, morze i ja. Ty byś, świntuchu, powiedział, że to wrażenia zastępcze - zamiast seksu”.

FLORENCE COCHRAN BOWLSBY, lepiej znana Garpowi jako pani Ralph, miała przeżyć życie motyla, bez żadnych wrażeń zastępczych, które jej zresztą nie były potrzebne. Rzeczywiście zrobiła doktorat z literatury porównawczej i dostała w końcu stały etat na dużym i bałaganiarskim wydziale anglistyki, którego pracowników łączył jedynie strach przed nią. W różnych okresach najpierw uwiodła, a następnie odtrąciła dziewięciu spośród trzynastu starszych pracowników wydziału, których na zmianę to dopuszczała do łask, to wyszydzała. Studenci mówili o niej „Dynamit” - tak oto w

końcu pokazała innym, jeśli nie sobie, pewność siebie w jakiejś dziedzinie poza seksem.

Jej zastraszeni kochankowie, z których każdy brał w końcu ogon pod siebie i zmykał, przypominali pani Ralph Garpa, jak to kiedyś opuszczał jej dom.

Pani Ralph była jedną z pierwszych osób, które na wiadomość o wstrząsającej śmierci Garpa przesłały Helen wyrazy współczucia. „Nigdy nie udało mi się go uwieść - pisała - czego zawsze żałowałam, ale co jednocześnie potrafiłam uszanować”.

Helen nawet polubiła panią Ralph i korespondowała z nią od czasu do czasu.

Roberta Muldoon też miała okazję z nią korespondować - odrzucając jej prośbę o przyznanie stypendium Fundacji Fields. Była dość zaskoczona jej odpowiedzią: „Pocałujcie mnie w d...” - brzmiała ta odpowiedź. Pani Ralph nie lubiła, jak jej odmawiano.

Jej jedyne dziecko, Ralph, miał umrzeć przed nią; został zupełnie niezłym dziennikarzem i jak William Percy zginął w czasie wojny.

BAINBRIDGE PERCY, znana Garpowi przede wszystkim jako Puchatek, miała żyć bardzo długo. Ostatni z wielu psychiatrów, którzy się nią zajmowali, twierdził, że ją wyleczył, ale Puchatka po prostu psychoanaliza i wysiłki najróżniejszych zakładów zanadto znużyły, żeby mogła być niebezpieczna.

Obojętne, jaką drogą - Bainbridge po dłuższym czasie wróciła jednak spokojnie na łono społeczeństwa; włączyła się ponownie w nurt życia publicznego jako jego czynny, choć niemy uczestnik, mniej więcej bezpieczny i (w końcu) pożyteczny. Mając po pięćdziesiątce zaczęła się interesować dziećmi; szczególnie dobrze i cierpliwie zajmowała się dziećmi opóźnionymi w rozwoju. Przy tej okazji miała często kontakty z innymi jamesjankami, które na różne sposoby też zostały wyleczone - a przynajmniej w znacznym stopniu zmienione.

Przez jakieś dwadzieścia lat Puchatek nie wspominała swojej zmarłej siostry Cushie, ale miłość do dzieci zachwiała jej równowagę. Kiedy miała pięćdziesiąt cztery lata, zaszła w ciążę (nikt nie mógł pojąć, jakim sposobem) i powróciła do szpitala na obserwację, przekonana, że umrze przy porodzie. Ale kiedy te prognozy się nie spełniły, została czulą matką; nie zaprzestała przy tym pracy z dziećmi opóźnionymi. Jej własne dziecko, córka, która w przyszłości miała przeżyć brutalny życiorys matki jako poważny wstrząs, na szczęście nie była opóźniona; szczerze mówiąc, Garpowi przypominałaby Cushie.

Wiele osób twierdziło, że Bainbridge Percy stała się pozytywnym przykładem dla tych, którzy występowali na rzecz całkowitego zniesienia kary śmierci - tak imponujące było jej wyleczenie. Ale nie dla Helen i nie dla Duncana Garpa, którzy do grobowej deski żalowali, że Puchatek nie zginęła w chwili, kiedy ostatni raz krzyknęła „Inia!” w sali zapaśniczej Steering.

Pewnego dnia Bainbridge Percy oczywiście miała umrzeć; dostała wylewu na Florydzie, dokąd pojechała odwiedzić swoją córkę. Dla Helen to, że ją przeżyła, było niewielką pociechą.

Wierny Whitcomb scharakteryzował Bainbridge Percy zgodnie z tym, jak ją określił Garp po swojej ucieczce z pierwszego feministycznego pogrzebu. „Stuknięty obojnak - powiedział do dziekana Bodgera - z twarzą łasicy i mózgiem kompletnie rozmiękczone przez piętnaście lat chodzenia z pieluchą”.

Oficjalna biografia Garpa, którą Donald Whitcomb zatytułował „Szaleństwo i smutek: życie i sztuka S. T. Garpa”, miała zostać opublikowana już przez współników JOHNA WOLFA, który nie dożył ukazania się drukiem tej dobrej książki. John Wolf włożył wiele wysiłku w jej staranne przygotowanie i był redaktorem prawie całego maszynopisu Whitcoma - aż do swojej przedwczesnej śmierci.

John Wolf umarł na raka płuc w Nowym Jorku w stosunkowo młodym wieku. Był to człowiek ostrożny, sumienny, uprzejmy, a nawet elegancki - przez większość życia - ale swój głęboki niepokój i niepokohamowany pesymizm potrafił łagodzić i ukrywać tylko przez wypalanie dziennie trzech paczek papierosów bez filtrów od osiemnastego roku życia. Jak wielu ludzi bardzo zajętych, którzy skądinąd zachowują pozory spokojnych i opanowanych, John Wolf „zapalił się na śmierć”.

Tego, co zrobił dla Garpa i dla jego książek, nie sposób przecenić. I chociaż od czasu do czasu wyrzucał sobie, że mu pomógł w zyskaniu sławy, która ostatecznie przyczyniła się do jego gwałtownej śmierci, to jednak był człowiekiem obdarzonym zbyt wyrafinowanym umysłem, by nie wznieść się ponad ten wąski punkt widzenia. Zabójstwo to zdaniem Wolfa „coraz bardziej popularny amatorski sport naszych czasów”, a „prawdziwi fanatycy polityczni” - jak nazywał prawie wszystkich - są zawsze zagorzałymi wrogami artystów, którzy głoszą, być może nawet w sposób zarozumiały, wyższość własnego widzenia świata. Poza tym, John Wolf wiedział, nie chodziło jedynie o to, że Bainbridge Percy została jamesjanką i odpowiedziała na prowokację Garpa; jej uraza wywodziła się jeszcze z czasów dzieciństwa i chociaż

może pogłębiły ją sprawy polityczne, to w gruncie rzeczy była tak głęboka jak jej potrzeba pieluch. Puchatek wbiła sobie do głowy, że upodobanie, z jakim Garp i Cushie ze sobą sypiali, stało się w końcu przyczyną śmierci jej siostry. Okazało się to prawdą - ale w odniesieniu do Garpa.

Jako profesjonalista w świecie zbyt często stawiającym na ołtarzu współczesność, którą sam tworzy, John Wolf do końca obstawał, że jego najambitniejszym osiągnięciem edytorskim był „Pensjonat Grillparzer” we wspólnej wersji ojca i syna. Był oczywiście dumny i z wczesnych powieści Garpa, a o „Świecie według Bensenhavera” mówił później, że „jest nieunikniony - jeśli się weźmie pod uwagę całą brutalność, na jaką był narażony Garp”. Ale dopiero przy „Pensjonacie Grillparzer” John Wolf ożywił się naprawdę - na to i na nie skończony rękopis „Złudzeń mojego ojca” patrzył ze smutkiem i sympatią jako na „drogę powrotną Garpa do właściwego pisania”. Latami Wolf redagował niechlujny pierwszy szkic tej ostatniej powieści omawiając z Helen i z Donaldem Whitcombem jej zalety i wady.

- Dopiero po mojej śmierci - upierała się Helen. - Garp nie pozwoliłby na wydanie niczego, czego nie uznałby za skończone. - Wolf zgodził się, ale umarł przed Helen. Whitcombowi i Duncanowi miał przypaść trud opublikowania „Złudzeń mojego ojca” - grubo pośmiertnie.

Najwięcej czasu w jego powolnej męczarni umierania na raka płuc spędził z Johnem Wolfem Duncan. Wolf leżał w prywatnym szpitalu w Nowym Jorku, od czasu do czasu paląc papierosa przez plastikową rurkę wetkniętą w gardło.

- Ciekawe, co by na to powiedział twój ojciec? - zagadnął Duncana. - Czyby mu to nie pasowało na jedną z wersji jego śmierci? Chyba jest dostatecznie groteskowa? Czy kiedykolwiek opowiadał ci o prostytutce, która umarła w Wiedniu w Rudolf-ingerhaus? Zaraz, jak ona miała na imię?

- Charlotte - odparł Duncan. Byli bardzo blisko z Johnem Wolfem. Wolf nawet polubił te jego wczesne rysunki do „Pensjonatu Grillparzer”. Duncan przeniósł się do Nowego Jorku; powiedział Wolfowi, że po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że chce być malarzem i fotografikiem, kiedy w dniu pierwszego feministycznego pogrzebu, jaki odbył się w Nowym Jorku, zobaczył z okna jego biura widok Manhattanu.

W liście, podyktowanym Duncanowi na łożu śmierci, Wolf wspominał swoim współnikom, że mają udostępnić Duncanowi Garpowi widok Manhattanu z okna jego biura tak długo, jak długo wydawnictwo będzie zajmowało ten budynek.

Przez wiele lat po jego śmierci Duncan korzystał z tej możliwości. Gabinet Wolfa zajął nowy redaktor, ale nazwisko „Garp” otwierało Duncanowi wszystkie drzwi.

Latami sekretarki wchodziły i mówiły:

- Przepraszam bardzo, przyszedł ten młody Garp. Znow chciałby powygłądać przez okno.

Te liczne godziny, które zajęło Johnowi Wolfowi umieranie, spędzili z Duncanem dyskutując nad tym, jak dobrym pisarzem był Garp.

- On byłby kimś wyjątkowym - powiedział John Wolf.

- Może i byłby - odparł Duncan. - Ale właściwie co innego mógłbyś mi powiedzieć?

- Nie, nie, ja nie kłamię. Nie ma potrzeby. On miał swoją wizję świata i swój język. Ale przede wszystkim wizję. Był zawsze bardzo osobisty. Przez jakiś czas znajdował się w ślepych zaułku, ale tą nową książką wrócił na właściwe tory. Odzyskał dobre odruchy. „Pensjonat Grillparzer” jest najbardziej uroczym, ale nie najbardziej oryginalnym z jego utworów - ojciec był jeszcze za młody. Inni też by to mogli napisać. „Kunktatorstwo” jest oryginalne w pomysłach i błyskotliwe jak na pierwszą powieść, ale to w końcu tylko pierwsza powieść. „Drugi oddech rogowca” wydaje mi się zabawny i najlepszy jako tytuł; też jest oryginalny, ale to powieść obyczajowa i przy tym dość ograniczona. Naturalnie „Świat według Bensenhavera” jest najoryginalniejszy, nawet jeśli go nazwać serialem telewizyjnym od lat osiemnastu, którym w gruncie rzeczy jest. Ale jest taki chropowaty, jak surowa strawa - dobra, ale zupełnie surowa. Komu to potrzebne? Kto lubi, żeby go tak brutalnie traktować?

Twój ojciec był trudnym człowiekiem, nigdy nie ustąpił ani na krok - zawsze kierował się własnym nosem. Obojętne, gdzie go ten nos zaprowadził, był to zawsze jego nos. Poza tym był ambitny. Miał odwagę zacząć od pisania o świecie jeszcze jako dzieciak. Na miłość boską, on się przecież dopiero rozwijał. A potem - jak wielu innych - przez jakiś czas mógł pisać tylko o sobie. Pisał w gruncie rzeczy i o świecie, tylko że to nie było takie oczywiste. A ostatnio znużyło go pisanie o sobie, o własnym życiu, i znow zaczął pisać o całym świecie; dopiero zaczynał. Jezu, Duncan, musisz pamiętać, że to był taki młody człowiek! Miał trzydzieści trzy lata.

- I miał energię - powiedział Duncan.

- Och, on by napisał jeszcze dużo, nie ulega kwestii. - Ale John Wolf zaczął kasłać i musiał przestać mówić.

- Tylko że on się nigdy nie potrafił zrelaksować. Więc co z tego? Tak czy owak by się wewnątrznie wypalił, prawda?

Potrząsając głową - ale delikatnie, żeby mu nie wypadła z gardła plastikowa rurka - John kasłał dalej.

- Nie on! - wykrztusił.

- I co, i po prostu tak by pisał i pisał? - zapytał Duncan. - Tak uważasz?

Kaszłący John Wolf skinął głową. Miał umrzeć kaszłąc.

Roberta i Helen były oczywiście na jego pogrzebie. Plotkarze chrząkali, ponieważ w małym miasteczku Nowy Jork mówiło się, że John Wolf opiekuje się nie tylko literacką schedą po Garpie. Gdy się znało Helen, wydawało się niemożliwe, żeby ją kiedykolwiek łączył tego rodzaju stosunek z Johnem Wolfem. Ile razy słyszała, że jest z kimś związana, śmiała się po prostu. Roberta Muldoon była bardziej spontaniczna.

- Z Johnem Wolfem? Helen i Wolf? Chyba żartujecie.

Ta jej pewność opierała się na mocnych podstawach. Raz czy dwa w czasie swoich wypadów do Nowego Jorku Roberta przespała się z Johnem Wolfem.

- I pomyśleć, że kiedyś podziwiałem twoją grę - powiedział jej pewnego razu.

- Teraz też możesz podziwiać moją grę - odparła.

- Miałem na myśli futbol, Roberta.

- Są lepsze rzeczy od futbolu.

- Ale ty robisz dobrze tak wiele rzeczy.

- Ha!

- Naprawdę, Roberta.

- Wszyscy mężczyźni to łgarze - powiedziała Roberta Muldoon; wiedziała, co mówi - sama była kiedyś mężczyzną.

ROBERTA MULDOON, były Robert Muldoon, zawodnik "Nr 90 z filadelfijskich Orłów, miała przeżyć Johna Wolfa - podobnie jak większość swoich kochanków. Nie przeżyła natomiast Helen, w każdym razie żyła wystarczająco długo, żeby się poczuć dobrze w swojej nowej płci. Kiedy zbliżała się do pięćdziesiątki, zwierzyła się Helen, że odczuwa zarówno próżność mężczyzny w średnim wieku, jak i niepokoje kobiety w średnim wieku. „Ale - dodała - ma to nawet swoje dobre strony. Teraz zawsze wiem, co mężczyzna ma zamiar powiedzieć, zanim jeszcze otworzy usta”.

- Ale ja też wiem, Roberta - powiedziała Helen. Roberta gruchnęła swoim przeraźliwym śmiechem; miała zwyczaj brać przyjaciół w niedźwiedzi uścisk, co zawsze przyprawiało Helen o zdenerwowanie; kiedyś zgmiotła jej okulary.

Roberta stopniowo powściągała swoją nieprawdopodobną ekscentryczność stając się coraz bardziej odpowiedzialna - głównie za Fundację Fields, którą rządziła z takim rozmachem, że Ellen James nadała jej przezwisko „Pani Tajfun”.

- Ha! - powiedziała Roberta. - To Garp był Tajfunem.

Roberta cieszyła się również wielkim uznaniem małej społeczności Dog's Head Harbor, ponieważ posiadłość Jenny Fields nigdy nie była tak szacowna, a i Roberta brała znacznie większy udział w życiu miasta niż kiedykolwiek Jenny. Przez dziesięć lat pełniła funkcję prezeski zarządu miejscowej szkoły, chociaż oczywiście nie miała dzieci. Przez dwanaście lat była organizatorką, trenerką i członkiem Kobiecej Drużyny Baseballowej Hrabstwa Rockingham, najlepszej tego rodzaju drużyny w stanie New Hampshire. Pewnego razu ta sama głupia świnka, gubernator New Hampshire, zasugerował, że Robertę należy poddać testowi chromosomowemu, zanim zostanie dopuszczona do rozgrywek o mistrzostwo; Roberta zasugerowała w odpowiedzi, żeby gubernator spotkał się z nią przed meczem na terenie boiska „i zobaczył, czy potrafi walczyć jak mężczyzna”. Nic z tego nie wyszło, ale ponieważ polityka jest polityką, gubernator rzucił pierwszą piłkę. Roberta załatwiła go w stylu klasycznym niezależnie od chromosomów.

Trzeba oddać sprawiedliwość szefowi ośrodka sportowego szkoły w Steering, że jej zaproponował posadę trenera miejscowej drużyny futbolowej. Ale były obrońca odmówił grzecznie.

- Tylu młodych chłopców - powiedziała Roberta słodko - miałabym cholerne kłopoty.

Ale jej ulubionym chłopcem pozostał przez całe życie Duncan, dla którego była matką i siostrą i na którego wylewała swoje perfumy i swoje uczucie. Duncan kochał Robertę; jako jeden z nielicznych mężczyzn miał prawo wstępu do Dog's Head Harbor, chociaż po tym, jak uwiódł młodą poetkę, Roberta była na niego zła i przez jakieś dwa lata go nie zapraszała.

- Syn swojego ojca - powiedziała Helen. - Ma tyle czaru.

- Za dużo - rzekła Roberta. - A ta poetka musiała nie być specjalnie oporna. Poza tym jest dla niego o wiele za stara.

- Robisz wrażenie zazdrosnej, Roberta - wtrąciła Helen.

- Zawiedliście pokładane w was zaufanie - powiedziała głośno Roberta. Helen zgodziła się z nią. Duncan przeprosił. Nawet poetka przeprosiła.

- To ja go uwiodłam - wyznała.

- Nie uwiodłaś - ucięła Roberta - nie byłabyś w stanie. Ale wszystko poszło w niepamięć pewnej wiosny w Nowym Jorku, kiedy Roberta zaskoczyła Duncana zaproszeniem na kolację.

- Przeprowadzę cudowną dziewczynę, specjalnie dla ciebie, przyjaciółkę. Zeskrob farbę z rąk i umyj włosy, żebyś ładnie wyglądał. Powiedziałam jej, że jesteś miły, i wiem, że potrafisz być. Myślę, że ci się spodoba.

W ten sposób, umawiając go z wybraną przez siebie dziewczyną, Roberta poczuła się lepiej. Po dłuższym czasie wyszło na jaw, że nienawidziła poetki, z którą Duncan sypiał, i że na tym polegał cały problem.

Kiedy Duncan rozbił się na motocyklu w odległości mniej więcej mili od szpitala w Vermoncie, Roberta była pierwsza na miejscu. Przebywała akurat na nartach dalej na północy i Helen do niej zadzwoniła - Roberta zjawiała się w szpitalu przed nią.

- Jeździć po śniegu na motocyklu! - wrzeszczała. - Co by na to powiedział twój ojciec! - Duncan ledwie mógł szeptać. Wydawało się, że wszystkie kończyny ma zwichnięte, dołączyły się do tego jakieś komplikacje z nerkami, a poza tym - czego ani on, ani ona wtedy jeszcze nie wiedzieli - trzeba mu było amputować rękę.

Helen, Roberta i Jenny Garp czekały przez trzy dni, aż minie niebezpieczeństwo. Ellen James była tym zbyt wstrząśnięta, żeby czekać z nimi. Roberta szalała cały czas.

- Po co mu był ten motocykl - z jednym okiem? Nie ma mowy o żadnym przestrzennym widzeniu. Jedna strona jest zawsze ślepa.

Dokładnie taka właśnie była przyczyna wypadku. Pijany kierowca przejechał na czerwonych światłach i Duncan za późno zobaczył samochód; kiedy usiłował go jakoś wyminąć, utknął w śniegu stając się niemal nieruchomym celem dla pijaka.

Wszystko zostało rozbite.

- On jest za bardzo podobny do swojego ojca - narzekała Helen. Ale, Pani Tajfun wiedziała to dobrze, pod wieloma względami nie był podobny do ojca. Jej zdaniem Duncanowi brakowało kierunku.

Kiedy już minęło bezpośrednie zagrożenie, Roberta załamała się przy Duncanie.

- Jeżeli się zabijesz przed moją śmiercią, ty mały sukinsynu - szlochała - ja tego nie przeżyję! Twoja matka pewnie też nie, a być może i Ellen, ale ja to już na pewno. To by mnie bezwzględnie zabiło, ty skurwysynu jeden! - Płakała i płakała i Duncan też płakał, ponieważ wiedział, że to prawda: Roberta go kochała i była ogromnie czuła na jego punkcie.

Jenny Garp, wówczas studentka zaledwie pierwszego roku, przerwała naukę, żeby móc przyjechać do Vermontu i być z Duncanem, dopóki nie wydobrzeje. Skończyła Steering z najwyższymi honorami; przerwa w studiach nie mogła stanowić dla niej problemu. Zgłosiła się do szpitala na ochotnika jako pomoc pielęgniarska i stała się źródłem wielkiego optymizmu dla Duncana, którego czekała długotrwała i ciężka rekonwalescencja, chociaż oczywiście miał już jako rekonwalescent pewne doświadczenia.

Helen odwiedzała go w każdy weekend; Roberta pojechała do Nowego Jorku zająć się pracownią Duncana, która była w opłakanym stanie. Duncan obawiał się, że mu pokradną obrazy, fotografie i aparaturę stereo.

Kiedy Roberta po raz pierwszy poszła do pracowni stanowiącej zarazem mieszkanie Duncana, zastała tam chudą, wiotką dziewczynę, ubraną w jego rzeczy, poplamione farbami. Zmywanie naczyń najwyraźniej nie należało do jej ulubionych zajęć.

- Spływaj, mała! - powiedziała Roberta otwierając sobie kluczem Duncana. - Duncan wrócił na łono rodziny.

- Kim pani jest? - zapytała dziewczyna. - Jego matką?

- Jego żoną, kochasiu. Zawsze lubiłam młodszych.

- Jego żoną? - powtórzyła dziewczyna gapiąc się na Robertę. - Nie wiedziałam, że on jest żonaty.

- Jego dzieci już jada windą - powiedziała Roberta - więc lepiej spadaj schodami. Są właściwie tak duże jak ja.

- Jego dzieci? - Dziewczyna uciekła.

Roberta kazała wysprzątać pracownię i poprosiła swoją młodą znajomą, żeby się na jakiś czas wprowadziła i pilnowała mieszkania. Kobieta przeszła świeżo operację zmiany płci i potrzebne jej było nowe miejsce, które by odpowiadało jej nowej osobowości.

- To jest dla ciebie coś wymarzonego - zapewniła świeżo upieczoną kobietę Roberta. - Mieszka tu uroczy młody człowiek, ale jego nie będzie przez wiele miesięcy.

Możesz się opiekować jego dobytkiem i sobie o nim marzyć, a ja cię zawiadomię, kiedy masz się wynieść.

W Vermoncie powiedziała Duncanowi:

- Mam nadzieję, że uporządkujesz swoje życie. Musisz skończyć z motocyklami i z tym całym bałaganem, i z dziewczynami, które nic o tobie nie wiedzą. Boże! Sypiać z nieznajomymi! Jeszcze nie jesteś swoim ojcem. Jeszcze tak na dobre nie zacząłeś pracować. Gdybyś był prawdziwym artystą, Duncan, nie miałbyś czasu na te wszystkie bzdury. A szczególnie na bzdury prowadzące do samounicestwienia.

Teraz, kiedy zabrakło Garpa, tylko Pani Tajfun mogła sobie pozwolić na to, żeby się w ten sposób odzywać do Duncana. Helen nie mogła go krytykować. Helen była zbyt szczęśliwa, że on w ogóle żyje, a Jenny, o dziesięć lat młodsza, mogła go jedynie podziwiać, kochać i być z nim przez długi okres jego powrotu do zdrowia. Ellen James, która kochała Duncana żarliwie i zaborczo, była na niego tak wściekła, że cisnęła swoim notesem i ołówkiem - a wtedy nie miała oczywiście nic do powiedzenia.

- Jednooki, jednoręki malarz - narzekał Duncan. - Rany.

- Bądź szczęśliwy, że została ci jeszcze jedna głowa i jedno serce - powiedziała Roberta. - Czy znasz tak znów wielu malarzy, którzy trzymają pędzel oburącz? A dwoje oczu jest ci potrzebne do prowadzenia motocykla, głupku. Do malowania wystarczy ci jedno.

Jenny Garp, która kochała brata, jakby był jej bratem i ojcem - w jednej osobie - ponieważ była za mała, żeby tak naprawdę znać Garpa - napisała specjalnie dla Duncana wiersz w czasie jego rekonwalescencji szpitalnej, pierwszy i jedyny wiersz, jaki kiedykolwiek wyszedł spod jej pióra. Nie miała artystycznego zacięcia swojego ojca ani brata. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie zacięcie miałby Walt.

*Tu pierworodny, długi i chudy, spoczywa,
jedną ma rękę, na drugiej kończynie mu zbywa,
w oku iskierka, jedynym, bo drugie postradał,
wśród ciosów kolejnych rodzinne wspomnienia układał.
Niech syn zapamięta, swej matki potomek,
by z dala się trzymać od zgliszcz Garpa domu.⁷*

Wiersz był oczywiście beznadziejny, ale Duncanowi się ogromnie spodobał.

- Zapamiętam - obiecał Jenny.

⁷ Tłumaczyła Katarzyna Heidrich-Żurkowska.

Była hermafrodyta, którą Roberta zainstalowała w pracowni Duncana, przysłała mu z Nowego Jorku dwie kartki z życzeniami powrotu do zdrowia.

„Rośliny mają się dobrze, ale duży żółty obraz koło kominka zaczął się paczyć - pewnie płótno było źle napięte, więc go zdjęłam i oparłam razem z innymi w spiżarni, gdzie jest chłodniej. Ale uwielbiam niebieski obraz i rysunki - wszystkie rysunki! A ten obraz, co to Roberta mówi, że jest pana autoportretem, szczególnie mi się podoba”.

- Rany! - jęknął Duncan.

Jenny przeczytała mu całego Josepha Conrada, który był ulubionym pisarzem Garpa w jego latach chłopięcych.

Całe szczęście, że Helen miała swoje obowiązki szkolne - w pewnym stopniu odwracały jej uwagę od Duncana.

- Ten chłopak się ustatkuje - zapewniała ją Roberta.

- To już młody mężczyzna, Roberta. On już nie jest chłopcem, chociaż tak się zachowuje.

- Oni wszyscy są dla mnie chłopcami. Garp był chłopcem. I ja byłam chłopcem, zanim zostałam dziewczyną. Duncan zawsze będzie chłopcem... dla mnie.

- Rany - powiedziała Helen.

- Powinnaś się zająć jakimś sportem - poradziła jej Roberta. - Byłabyś spokojniejsza.

- Proszę cię, Roberta.

- Spróbuj biegania.

- Wystarczy, że ty biegasz, ja czytam.

Roberta biegła cały czas. Przed sześćdziesiątką przestała przestrzegać brania estrogenów, które są niezbędne w tej sytuacji dla zachowania kobiecej figury. Zaniedbania w braniu estrogenów i coraz intensywniejsze bieganie sprawiły, że jej wielkie ciało zaczęło się zmieniać na oczach Helen to w tę, to w tamtą stronę.

- Wiesz co, Roberta, czasami nie wiem, co się z tobą dzieje - wyznała jej Helen.

- To jest nawet podniecające - odparła Roberta - sama nigdy nie wiem, kim się będę czuła. Nigdy też nie wiem, jak będę wyglądała.

Już po pięćdziesiątce wzięła udział w trzech maratonach, ale zaczęły jej pękać naczynia krwionośne i lekarz doradził jej, żeby biegła ,na krótsze dystanse. Dwadzieścia sześć mil okazało się za dużo dla byłego obrońcy piłkarskiego po pięćdziesiątce - dla „Starej Poczciwej Dziewięćdziesiątki”, jak sobie z niej czasem żartował Duncan. Roberta była o kilka lat starsza od Garpa i Helen i zawsze na to

wyglądała. Zaczęła więc znów biegać, jak dawniej z Garpem, swoje sześć mil między Steering a morzem i Helen nigdy nie wiedziała, kiedy zjawi się, spocona i zadyszana, i zażąda prysznicu. Roberta trzymała w Steering na te okazje obszerny szlafrok i kilka zmian ubrania. Bywało tak, że Helen podniósłszy wzrok znad książki spostrzegła nagle Robertę Muldoon w stroju do biegania, trzymającą w swoich wielkich piłkarskich rękach stoper, jakby to było jej serce.

Roberta umarła tej wiosny, kiedy Duncan był w szpitalu w Vermoncie. Robiła przebieżki na plaży w Dog's Head Harbor, ale przerwała bieganie i przysłała na werandę narzekając na jakieś „pykanie” z tyłu głowy - czy też może w skroniach; nie potrafiła tego dokładnie zlokalizować. Siedząc na hamaku na werandzie i patrząc w morze poprosiła Ellen James, żeby jej przyniosła szklankę mrożonej herbaty. Ellen przysłała jej przez jedną z rezydentek kartkę: „Z cytryną?”

- Nie, tylko z cukrem! - odkrzyknęła Roberta.

Kiedy Ellen przyniosła herbatę, Roberta wypila ją duszkiem.

- Wspaniała, Ellen - pochwaliła. Ellen poszła przygotować jej następną szklankę. - Wspaniała - powtórzyła Roberta. - Żeby ta następna była dokładnie taka sama jak ta! - zawołała. - Żeby całe życie było takie!

Kiedy Ellen James przysłała z drugą herbatą, Roberta leżała w hamaku - nieżywa. Coś jej pyknęło, coś pękło.

Jeśli śmierć Roberty zabolęła Helen i przygnębiła, to miała przecież Duncana, o którego musiała się martwić - przynajmniej raz pożyteczna dystrakcja. Ellen James, którą Roberta tak bardzo wspierała, uratował przed nadmiernym żalem ogrom obojętności, jakie się na nią nagle zwały: musiała przejąć po Robertce sprawy Fundacji Fields - musiała dorosnąć do sytuacji, jak to się mówi. Jenny Garp nigdy nie była tak blisko z Robertą jak Duncan, dlatego też Duncan, leżący jeszcze na wyciągu, przeżył to najbardziej. Jenny siedziała przy nim bez przerwy i próbowała go zagadywać, ale Duncan nie mógł zapomnieć Roberty i tego, jak wiele razy wyciągała ich wszystkich z tarapatów - a szczególnie jego.

Duncan płakał i płakał. Płakał tak bardzo, że musieli mu zmienić gips na piersi.

Jego lokatorka, która świeżo zmieniła płęć, przysłała mu z Nowego Jorku telegram.

„Wynoszę się, skoro nie ma R. Jeśli pan sobie nie życzy mojej obecności tutaj. Wyprowadzam się. Nie wiem, czy mogę sobie wziąć jej fotografię. Tę, na której jest R. i pan? To znaczy przypuszczam, że to pan. Z piłką. Pan jest w za dużym swetrze z

dziewięćdziesiątką".

Duncan nigdy nie odpowiadał na jej karty, na raporty o stanie kwiatków i aktualnym rozmieszczeniu obrazów. Teraz odpisał jej w duchu Starej Pocziwej Dziewięćdziesiątki - obojętne kim była ta biedna, skołowana chłopobaba, dla której Roberta - Duncan wiedział - byłaby dobra.

„Niech pani zostanie, jak długo pani chce - napisał. - Ale ja też lubię tę fotografię. Jak się pozbięram, zrobię dla pani odbitkę".

Roberta powiedziała mu, żeby uporządkował swoje życie, i Duncan żałował, że nie może jej pokazać, jak to robi. Myśląc o ojcu, który został pisarzem jako bardzo młody człowiek, a jeszcze do tego miał dzieci, miał Duncana, poczuł się odpowiedzialny. Podjął w szpitalu wiele postanowień i większości miał dotrzymać.

Napisał do Ellen James, która w dalszym ciągu była zbyt wstrząśnięta jego wypadkiem, żeby przyjechać i zobaczyć go całego w gipsie i w gwoździach.

„Czas, żebyśmy się oboje wzięli do pracy, chociaż ja mam wiele do nadrobienia - muszę dogonić ciebie. Teraz, bez Dziewięćdziesiątki, nasza rodzina jest mniejsza. Starajmy się nie stracić już nikogo więcej".

Miał ochotę napisać do matki, że tak bardzo chciał, żeby mogła być z niego dumna, ale zrobiło mu się głupio: wiedział, jaka jest twarda, i że nie potrzebuje takiego pocieszania. Cały więc swój nowy entuzjazm skierował ku Jenny.

- Cholerny świat, trzeba mieć energię - powiedział swojej siostrze, która miała bardzo dużo energii. - W tym sensie najwięcej straciłaś nie znając ojca. Energia! Musisz w tej sprawie liczyć na siebie.

- Ja mam energię - odparła Jenny. - Jezu, a co ty sobie wyobrażasz, że ja nie robiłam nic innego, tylko zajmowałam się tobą?

Było niedzielne popołudnie; Duncan i Jenny zawsze wtedy oglądali futbol zawodowy na szpitalnym telewizorze. I znów dobry omen - pomyślał Duncan - że to Vermont transmituje mecz z Filadelfii. Kowboje mieli właśnie wlać Orłom. Ale sama gra nie miała właściwie znaczenia; dla Duncana liczyła się przede wszystkim ceremonia poprzedzająca rozpoczęcie meczu. Flaga była opuszczona do pół masztu ku pamięci byłego obrońcy Roberta Muldoona. Na tablicy wyników migąło: 90! 90! 90! Duncan zauważył, jak bardzo zmieniły się czasy: na przykład wszędzie teraz odbywały się pogrzeby feministyczne; przeczytał właśnie o bardzo uroczystym w Nebrasce. A w Filadelfii komentator sportowy zdołał powiedzieć, bez chichotów, że flaga jest opuszczona do pół masztu z uwagi na pamięć R o b e r t y Muldoon.

- Była świetną sportsmenką - bąknął komentator - wspaniała para rąk.
- Była niezwykłą osobą - zgodził się z nim jego kolega.

Potem znów przemówił ten pierwszy:

- Tak, proszę państwa, zrobiła wiele dla... - Męczył się dalej, podczas kiedy Duncan czekał, dla kogo: dla zбочeńców, oryginałów, rozbitków seksualnych, dla jego ojca i matki, dla niego i Ellen James. - Zrobiła, proszę państwa, wiele dla ludzi o skomplikowanych życiorysach - zakończył komentator sportowy z godnością, zadziwiając samego siebie i Duncana Garpa.

Zagrała orkiestra. Kowboje z Dallas strzelili karnego filadelfijskim Orłom; był to pierwszy z wielu rzutów karnych, które Orły miały otrzymać. Duncan Garp wyobrażał sobie, że jego ojciec doceniłby wysiłki komentatora, który chciał być taktowny i uprzejmy. Dosłownie widział, jak Garp z Robertą to przeżywają; czuł, że w jakiś sposób Roberta tam jest, wtajemniczona w mowę pochwalną na swoją cześć. Oboje z Garpem są rozbawieni nieudolnością komentatora.

Garp by go przedrzeźniał: „Tak, proszę państwa, zrobiła wiele dla... dla... przeróbki swojego narządu!”

- Ha! - ryknęłyby Roberta.
- Rany! - krzyczałby Garp. - Rany!

Kiedy Garp został zabity, przypomniał sobie Duncan, Roberta groziła, że każe sobie z powrotem zoperować tę zoperowaną płeć.

- To już raczej wolę być znów pieprzonym facetem - zawodziła - niż mieć świadomość, że są na tym świecie kobiety, które się napawają tą ohydłą zbrodnią tej ohydnej cipy!

„Przestań! Przestań! Żebyś nigdy więcej nie mówiła tego słowa!” - nabazgrała Ellen James.

„Są tylko ci z nas, którzy go kochali, i ci, którzy go nie znali - obojętne, czy to mężczyźni, czy kobiety” - pisała.

I wtedy Roberta Muldoon podniosła każde z nich po kolei i zamknęła oficjalnie, poważnie i serdecznie w swoim słynnym niedźwiedzim uścisku.

Kiedy umarła, jedna z mówiących rezydentek Dog's Head Harbor zadzwoniła do Helen. Helen znów musiała zmobilizować wszystkie siły, ona bowiem miała z kolei zatelefonować do Vermontu i poinstruować Jenny, w jaki sposób powiedzieć o tym Duncanowi. Jenny Garp odziedziczyła po swojej sławnej babce Jenny Fields coś z jej pielęgnarskich instynktów.

- Złe wieści, Duncan - szepnęła całując brata w usta. - Stara Pocziwa Dziewięćdziesiątka zesła... z boiska.

DUNCAN GARP przeżył zarówno wypadek, w którym stracił oko, jak i wypadek, w którym stracił rękę, i został dobrym i poważnym malarzem; odegrał też pionierską rolę w tak podejrzanej z artystycznego punktu widzenia dziedzinie jak fotografia kolorowa; mając oko malarza w sprawach koloru i uporczywość swego ojca w bardzo osobistym widzeniu świata dokonał w fotografii kolorowej znacznego postępu. Nie powtarzał w nonsensowny sposób rzeczywistości, to jasne - wprowadził natomiast do swojego malarstwa element niesamowitego, zmysłowego, niemal narracyjnego realizmu. Kiedy się wiedziało, kim jest, łatwo mu było zarzucić, że w tym, co robi, więcej jest kunsztu pisarskiego niż malarskiego czy też krytykować go, tak jak to się zdarzało, za zbytnią „dosłowność”.

- Obojętne, co to znaczy - mawiał Duncan. - Czego właściwie oczekują po jednookim, jednorękim artyście, i jeszcze do tego synu Garpa? Żadnych skaz?

Duncan miał mimo wszystko poczucie humoru swojego ojca i Helen była z niego bardzo dumna.

W cyklu nazwanym „Album rodzinny”, który mu przyniósł największy rozgłos, namalował ze sto obrazów. Malował je na podstawie zdjęć, które robił w dzieciństwie, po wypadku z okiem.

Były to fotografie Roberta, jego babki Jenny Fields, matki pływającej w Dog's Head Harbor, biegającego po plaży ojca ze zdrutowaną szczęką. Było też dwanaście małych obrazków przedstawiających brudnobiałego Saaba - ten cykl nazywał się „Kolory świata”, ponieważ - utrzymywał Duncan - w dwunastu wersjach brudnobiałego Saaba widoczne są wszystkie możliwe kolory.

Niektóre obrazy przedstawiały Jenny Garp z czasów niemowlęcych, zaś występujący niezmiennie w dużych grupowych portretach malowanych głównie z wyobraźni, a nie z fotografii, kontur twarzy czy bardzo mała sylwetka odwrócona tyłem, był to, jak twierdzili krytycy, Walt.

Duncan nie chciał mieć dzieci.

- Są zbyt kruche - powiedział matce. - Nie mógłbym patrzeć, jak dorastają. - A tak naprawdę chciał powiedzieć, że nie mógłby patrzeć, jak nie dorastają.

Skoro więc tak czuł, dzieci szczęśliwie nie stanowiły dla niego problemu, nawet troski. Po czteromiesięcznym pobycie w szpitalu w Vermoncie zastał w swojej

nowojorskiej pracowni potwornie samotną była hermafrodytę. Urządziła mieszkanie tak, jakby w nim rzeczywiście mieszkał prawdziwy artysta; w dziwny sposób, w drodze jakiejś szczególnej osmozy, przebywając wśród jego rzeczy poznała go bardzo dobrze. Zakochała się w nim oglądając tylko jego obrazy. Jeszcze jeden dar dla Duncana od Roberty Muldoon! Niektórzy - a wśród nich Jenny Garp - twierdzili, że dziewczyna jest nawet piękna.

Pobrali się, ponieważ jeśli w ogóle istniał chłopak bez jakichkolwiek uprzedzeń w stosunku do osób, które zmieniły płeć, był nim Duncan Garp.

- To jest małżeństwo skojarzone w niebie - powiedziała matce Jenny; miała oczywiście na myśli Robertę - Roberta była w niebie. Ale Helen miała wrodzony lęk o Duncana; od śmierci Garpa musiała wziąć na siebie większą część tego lęku. A od śmierci Roberty uznała, że musi wziąć cały.

- Nie wiem, nie wiem - mówiła. Niepokoiła się małżeństwem Duncana. - Cholerna Roberta! Zawsze postawi na swoim!

„Ale w ten sposób nie ma obawy o niepożądaną ciążę” - napisała Ellen James.

- Daj spokój! Ja jednak chciałam mieć wnuki. Jedno albo dwoje.

- Możesz na mnie liczyć - obiecała jej Jenny.

- Mój Boże, o ile jeszcze będę żyła, drogie dziecko. Niestety, miała już tego nie dożyć, chociaż dane jej było widzieć Jenny w ciąży i wyobrazać sobie, że jest babcią.

„Wyobrazać sobie coś to lepiej niż pamiętać” - pisał Garp.

Ale Helen oczywiście musiała być zadowolona widząc, jak Duncan, zgodnie z życzeniem Roberty, uporządkował swoje życie.

Po śmierci Helen Duncan bardzo intensywnie pracował z potulnym panem Whitcombem; zupełnie przyzwoicie przygotowali nie skończoną powieść Garpa „Złudzenia mojego ojca”. Tak jak i „Pensjonat Grillparzer”, Duncan zilustrował to, co się dało ze „Złudzeń” - wizerunek ojca, w ambitny, a zarazem nierealny sposób usiłującego stworzyć swoim dzieciom świat, w którym byłyby szczęśliwe i bezpieczne. Ilustracje były to głównie portrety Garpa.

W jakiś czas po opublikowaniu książki złożył Duncanowi wizytę bardzo stary człowiek, którego nazwiska Duncan nie zdołał zapamiętać. Człowiek ten twierdził, że pracuje nad „krytyczną biografią” Garpa, ale Duncana irytowały jego pytania. Mężczyzna z uporem maniaka wypytywał, jak doszło do straszliwego wypadku, w którym zginął Walt. Duncan nie chciał mu nic powiedzieć (nic zresztą nie wiedział) i ów człowiek odszedł z pustymi rękami - w sensie biograficznym. Mężczyzną był natu-

ralnie Michael Milton. Duncan odniósł wrażenie, że mu czegoś brakuje, chociaż oczywiście nie mógł wiedzieć, że Michaelowi Miltonowi brakuje penisa.

Książki, którą rzekomo pisał, nikt nigdy nie widział i nikt nie wie, co się stało z samym autorem.

Jeśli recenzenci po wyjściu „Złudzeń mojego ojca” zadowolili się jedynie epitetami w rodzaju „pisarz ekscentryczny”, „pisarz dobry, ale nie wielki”, to Duncan nie dbał o to. Według jego własnych słów Garp był „oryginalny” i był „czymś autentycznym”. Był w każdym razie typem człowieka, który zmuszał do ślepej lojalności.

- Jednookiej lojalności - jak ją Duncan nazywał.

Ze swoją siostrą Jenny i z Ellen James Duncan miał z dawna ustalony kod, znali się jak łyse konie.

- Zdrowie Pani Tajfun! - mówili, kiedy razem popijali.

- Najlepsze kobity to hermafrodyty! - wykrzykiwali po pijanemu, co czasami bywało krępujące dla żony Duncana - mimo, że się z nimi zgadzała.

„Jak tam energia?” - pisali, telefonowali czy depeszowali do siebie, kiedy się chcieli dowiedzieć, co słyhać. A kiedy czuli, że im energia dopisuje, odpowiadali, że są „pełni Garpa”.

Chociaż Duncan miał żyć bardzo długo, miał umrzeć zupełnie niepotrzebnie i to, jak na ironię, z powodu swojego poczucia humoru. Umarł śmiejąc się z jednego ze swoich własnych dowcipów, a więc bardzo w stylu rodziny Garpów. Stało się to na czymś w rodzaju inauguracyjnego przyjęcia, jakie wydała jedna z przyjaciółek jego żony z okazji zmiany płci. Duncanowi wpadła do tchawicy oliwka i w ciągu kilku sekund zakrztusił się na śmierć w wybuchu gwałtownego śmiechu. Była to śmierć koszmarna i głupia, ale każdy, kto znał Duncana, twierdził, że nie miałby nic przeciwko takiej formie śmierci ani przeciwko takiemu życiu. Duncan Garp zawsze był zdania, że jego ojciec cierpiał z powodu śmierci Walta bardziej niż ktokolwiek w rodzinie z jakiegokolwiek innego powodu. Pośród różnych rodzajów śmierci śmierć jest w końcu zawsze ta sama. „Między mężczyzn i kobiety - jak powiedziała kiedyś Jenny Fields - jedynie śmierć została równo rozdzielona”.

Jenny Garp, która w sprawach śmierci miała znacznie bardziej fachowe przygotowanie niż jej sławna babka, nie zgodziłaby się z tą opinią. Jenny Garp wiedziała bowiem, że między mężczyzn i kobiety nawet śmierć nie została równo rozdzielona i że nawet w tym udział mężczyzn jest większy.

JENNY GARP miała przeżyć ich wszystkich. Gdyby była na przyjęciu, na którym jej brat zakrzuszył się na śmierć, najprawdopodobniej by go uratowała. A przynajmniej wiedziałyby dokładnie, co robić. Była lekarką. Zawsze twierdziła, że to okres pielęgnacji Duncana w szpitalu w Vermoncie obudził w niej zainteresowanie medycyną, a nie historia jej słynnej babki pielęgniarce, którą Jenny Garp знаła tylko ze słyszenia.

Jenny była wspaniałą studentką; jak jej matka - chłoneła wszystko i wszystko to potrafiła potem przekazać. Krążąc po szpitalach jak Jenny Fields nabrała do ludzi sympatii, obdzielając życzliwością tych, którzy tego potrzebowali.

Będąc jeszcze stażystką wyszła za mąż za młodego lekarza. Ale nie chciała się pozbyć swojego panieńskiego nazwiska - pozostała Garp; prowadząc z mężem straszliwe boje, widziała, że i trójka jej dzieci to też będą Garpowie. W końcu rozwiodła się i wyszła za mąż po raz drugi - ale bez pośpiechu. Z drugiego małżeństwa była zadowolona. Mąż Jenny był malarzem, znacznie od niej starszym, i gdyby ktoś z rodziny Garpów żył jeszcze, żeby móc jej dokuczać, wytknąłby jej z pewnością, że widzi w nim coś z Duncana.

„No to co z tego?” - powiedziałyby. Jak matka, miała swoje własne zdanie; jak Jenny Fields, zachowała swoje własne nazwisko.

A jej ojciec? Czy w jakikolwiek, choćby nieznacznym, sposób przypominała ojca, którego praktycznie nie znała? Ostatecznie kiedy umarł, była jeszcze bardzo mała.

No cóż, była ekscentryczna. Miała zwyczaj wstępowania do wszystkich księgarń i pytania o książki ojca. Jeśli były wyczerpane, zamawiała. Miała poczucie nieśmiertelności pisarza: jeżeli książki wychodzą i są na półkach, to znaczy, że pisarz żyje. Jenny Garp zostawiała fikcyjne adresy i nazwiska po całym kraju; książki, które zamówi, zawsze do kogoś trafią - rozumowała. S. T. Garp nie przestanie wychodzić - przynajmniej za życia jego córki.

Żarliwie także popierała swoją babkę, słynną feministkę, ale jak ojciec, nie ceniła zbyt wysoko jej talentów literackich; nie zadrezczała księgarń o „Seksualnie podejrzaną”.

Przede wszystkim jednak przypominała swego ojca w tym, jaką była lekarką. Jenny Garp zajęła się mianowicie medycyną od strony badawczej. Nie prowadziła prywatnej praktyki. A ze szpitalami miała do czynienia tylko wtedy, kiedy sama była chora. Jenny spędziła wiele lat współpracując blisko z Centrum Nowotworowym

Connecticut; potem prowadziła jedną z filii Narodowego Instytutu Onkologicznego. Jak dobry pisarz, który musi i troszczyć się o każdy szczegół, Jenny Garp spędzała godziny obserwując obyczaje pojedynczych ludzkich komórek. Jak przystało na dobrego pisarza, była ambitna; miała nadzieję, że pozna raka od podstaw. W pewnym sensie jej się to udało. Umarła na raka.

Jak inni lekarze, Jenny Garp złożyła świętą przysięgę Hipokratesa, zwanego ojcem medycyny, a tym samym zgodziła się żyć tak, jak to kiedyś Garp opisał młodemu Whitcombowi - aczkolwiek z punktu widzenia ambicji pisarza, „... próbując utrzymać przy życiu każdego, na zawsze. Nawet tych, którzy muszą w końcu umrzeć. Ci są najważniejsi”. Tak więc badania nad rakiem nie przygnębiły Jenny Garp, która mówiła o sobie tak, jak Garp o powieściopisarzu: „Lekarz, który widzi tylko przypadki beznadziejne”.

W świecie według jej ojca, Jenny Garp wiedziała, musimy mieć energię. Jej sławna babka Jenny Fields dzieliła nas kiedyś na Skórnych, Organy, Nieobecnych i Denatów. Ale w świecie według Garpa wszyscy jesteśmy przypadkami beznadziejnymi.